BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

353183
1871
II



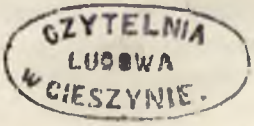
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1871.

Tom trzeci.



WARSZAWA.
Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1871.

Дозволено Цензурою

Варшава 24 Іюня 1871 года.

W drukarni Józefa Bergera przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

I.

Stolica naddunajska.

Trzy lata minęły od tego czasu.

Dla państwa Rakuzkiego były to lata ciężkiéj próby i wielkich nieszczęść.

Stolica naddunajska, owa hoża i zawsze wesoła niewiasta spoważniała, i z tańczącéj bajadery stała się poważną matroną, na czole któréj pokazała się po raz pierwszy troska—o jutro! Śród bezmyślnego szału i swobodnéj radości, śród tego wygodnego życia z dnia na dzień, po raz pierwszy wionęło chłodne zapytanie z jéj ust: co będzie jutro?

Lata te przyniosły państwu i stolicy niesłychaną i niespodziewaną katastrofę!

Była nią bitwa pod Sadową!

Trzeba znać Wiedeń, jakim był dawniéj, aby ocenić wrażenie téj klęski.

Wiedeń to ulubione dziecko, któremu było więcéj wolno niżeli inuym śmiertelnym mieszkańcom monarchii; Wie-

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

deń był bogaty, miał usta mniéj zawiązane: wolno mu było nawet wiele rzeczy krytykować, byle tylko działo się z rodzinnym czysto wiedeńskim dowcipem. Ministrowie, których ten dowcip bezlitośny trafiał, cieszyli się z niego jako z produktu krajowego, bo wiedzieli, że na tym dowcipie wszystko się skończy.

Opowiadają, że gdy razu pewnego naczelna władza porządku, ś. p. cesarzowi Franciszkowi niepokojący raport przyniosła, że w stolicy opinia publiczna po ogródkach i kafenhauzach zwraca się przeciw władzom rządowym krytykując to i owo, zapytał zafrasowany cesarz:

— Czy płacą regularnie podatki?

— Podatki, Najjaśniejszy Panie—odpowiedział radca nadworny — są należycie spłacone.

— To niech sobie gadają co chcą!—rzekł z uśmiechem monarcha – przecież za ich pieniądze trzeba im coś pozwolić!

To też gadali sobie rozpieszczeni Wiedeńczycy przy kufelku piwa co im się tylko podobało, byle tylko dowcipnie i wesoło, byle ten dowcip był czysto miejscowy, a nie pożyczany od Francuzów. Ktoby chciał życie publiczne ówczesnego Wiednia studyować, musiałby przedewszystkiém pozbierać wszystkie dowcipy, które wówczas stolicę obiegały, i chronologicznie ułożyć; z nich bowiem dowiedziałby się, jak się Wiedeńczycy na tę lub ową kwestyę europejską zapatrywali, jak te i owe reformy rządowe wewnątrz przyjmowali. Gdzieindziéj nie ma śladu publicznego żywota: żadne pismo, żadna książka nie zapisała go.

Zresztą myliłby się, ktoby sądził, że Wiedeńczykom chodziło kiedykolwiek o tę lub ową kwestyę europejską lub państwową: im chodziło przedewszystkiém o dowcip. Kwestya europejska lub państwowa była tylko przypadkowym materyałem, z którego swój dowcip wyrabiali; gdyby jaki inny mieli pod ręką materyał, pewnieby się tych rzeczy nie tknęli.

Było to istne miasto humorystów. Ludzie znakomici w tym zawodzie jak Saphir przewodzili w stolicy: ich słowa chwytano jak motyle na wiosnę i powtarzano od Schottenthor do Alsergrund. Trzeba jednak przyznać, że humoryści wiedeńscy byli w tym względzie niedoścignionymi mistrzami, rozumie się dla swoich. Dowcip ich różnił się

tém od francuzkiego, że ten obiegał świat cały, a zatém musiał się do wymagań różnych stosować, a dowcip wiedeński nie troszczył się o świat, był tylko dzieckiem ciasnych piwnych ogródków, urodził się i rozrastał dla swoich: mógł więc mieć więcéj soli i papryki i nie potrzebował białych rękawiczek.

Oprócz humorystyki, która całe życie Wiedeńczyka zajmowała, wszystkie inne gałęzie życia umysłowego były bezlistne. Ludzi pracowitych i wysokiéj nauki było dosyć, ale ci przeżuwali tylko to, co gdzieindziéj się nauczyli. Pisarzy prawie żadnych. Pisano romanse i powieści blade, kryminalne, nijakie, a najwięcéj tłumaczono. O poetach nic nawet słychać nie było, bo samo życie mieszkańców było tak sielankowo-poetyczne, że nic więcéj do marzeń poetycznych nie pozostawało: poezya i realizm podały sobie tutaj ręce i żyły w zgodzie jak małżeństwo.

Wiedeńczyk w dzień powszedni pracował, a w niedzielę i święta miał piwo w praterze lub w czasie chłodnym w swoim szyneczku, do którego od lat dwudziestu co dzień chodził. Miał oprócz tego małpy i niedźwiedzie w Schönbrunie, do których co niedziela chodził z niemałą rozkoszą, niosąc dla nich w kieszeni bułki i owoce. Co roku, na wiosnę miał bezpłatne, pyszne widowisko, tak zwaną „Praterfahrt.“ Była to promenada olbrzymia najpyszniejszych ekwipaży, na któréj czele zazwyczaj ktoś ze dworu jechał. Tym sposobem inaugurowano niejako piękną porę lata, która rozkochanemu w naturze Wiedeńczykowi obiecywała zielone gałęzie w piwnych ogródkach. Rozumie się, że ograniczał się w takim razie na tych rozkoszach natury, które wewnątrz rogatek miejskich do użytku były.

Ideałem w téj porze Wiedeńczyka były kurczęta z sałatą. Był to fundament każdéj sielanki: bez nich nie pojmowano natury, nie widziano wcale jéj wdzięków.

Kochano się wiele, ale kochano bez żadnych excentryczności. Zamiast gwiazd na niebie, zamiast księżyca i szmeru strumyka miano inne, praktyczniejsze rozkosze.— „Spodziewam się—pisała w liście miłosnym romantyczna Nany do swego kochanka— spodziewam się że przyjdziesz dzisiaj do nas. Z tęsknotą będę cię oczekiwać. Mamy na wieczerzę krwawe kiszki z magdeburską kapustą i ser limburski.“

Połowę rozkoszy towarzyskich zajmował ojczysty, astronomiczny taniec: walec. Nieśmiertelny Strauss i genialny uczeń jego Lanner stworzyli z tego, zrazu prozaicznego tańca prawdziwą poezyą. Wiedeńczyk rozszalał się przy dźwiękach Straussa lub Lannera, rozpoetyzował, i w tańcu tym był istotnym poetą. Bywało nieraz u „Sperla," że całe masy wirujące, jakby oczarowane melodyą nową, zawtórzyły na głos grającéj kapeli i hucznym chóralnym śpiewem prowadziły motywa wszystkich walców.

Był to widok prawdziwie czarodziejski: kilkaset par śpiewając toczyło się jak fala morza śród tysiąca świec a cały obraz zmieniał się w chwili jak w kalejdoskopie!

I nie było w téj zabawie nic coby wykraczało przeciw przyzwoitości. Przynajmniéj w sali nie zamącono niczém owéj poezyi życia, któréj Wiedeńczyk tak łaknął. Tańce przy muzyce Straussa lub Lannera różniły się od bachanaliów *Mabilla* lub *Closerie de lilas*, jak Szyller od Paul de Kocka. Nieraz widzowie, z warstw wyższych, uniesieni czarem tonów wmieszali się między tańczących i obiegli obszerny salon w objęciach tanecznic, o których wcale nie wiedzieli, że jutro pojdą z koszyczkiem po pietruszkę na „*Gemusemarkt.*" Byli dla nich grzeczni i uprzejmi, bo „damy" swojém obejściem zasługiwały na to.

Za owych czasów żył sobie Wiedeń, jak sam zwykł mawiać „*gemüthlich.*" Jest to wyraz, którego w żadnym innym języku oddać nie można: najbliżéj niego stoi nasze „bez troski."

Magnaci państwa i wyższa szlachta mieli chwalebny zwyczaj spożywać swoje dochody w stolicy naddunajskiéj. Mianowicie wielkiego kontyngensu dostarczały Węgry. Każdy bogatszy Węgier ciągnął do tego Eldorado i uważał za swój obowiązek imponować Niemcom kosztownem życiem. To téż Wiedeńczycy lubili Węgrów, brali od nich pieniądze pełnemi garściami, a w nagrodę tworzyli na ich rachunek najlepsze dowcipy towarzyskie.

W dowcipach tych odgrywają Węgrzy pierwszą rolę; Wiedeńczycy bowiem uroili sobie, słusznie czy niesłusznie, że ci synowie Arpada nie grzeszą wcale rozległą nauką ani znajomością wykwintniejszych obyczajów. Wyobrazili ich

sobie jako dzikich mieszkańców puszczy i przylepiali do nich wszystkie swoje dowcipne anegdotki.

Pod względem politycznym byli Wiedeńczycy nadzwyczaj lojalni. Chociaż jeszcze nie mieli ministrów odpowiedzialnych, tylko rządy autokratyczne, prześcignęli jednak czas swojemi wyobrażeniami i afektami. Ministrów krytykowali po ogródkach: „Bierhallach," ale dla dynastyi mieli zawsze afekt głęboki i otaczali ją czcią i szacunkiem.

Szacunek ten jednak nie opierał się na grozie majestatu, ale na pewnéj zażyłości, jaka zazwyczaj łączy dobrych przyjaciół i znajomych. Ś. p. cesarz Franciszek był dla nich prostym „Francem."

— *Haben Sie den Franz heute gesehen?*—pytał szewc swego sąsiada.

Bo też ten „Franz" był kością z ich kości. Chodził pomiędzy nimi po „Bastej" w długim granatowym surducie i granatowych spodniach, które czasami, gdy było błoto, podkasywał na butach.

Wiedeńczycy tak byli przekonani, że cesarz jest wyłączną ich własnością, że niechętnie słuchali, gdy ktoś z krajów koronnych równe prawo do tego rościł. Każdy Wiedeńczyk miał wyobrażenie o sobie, że należy do rządzących, a mieszkańców krajów koronnych uważał za poddanych, którzy jakby na jakim odległym folwarku dla niego pracowali.

Mimo to rządami nie kłopotał sobie głowy. Płacił, jak mniemał, ministrów i na nich ze wszystkiém się spuszczał. Jeżeli wynurzyła się jaka kwestya europejska, to zwykł wtedy się tém pocieszać, że jest ktoś kogo się za to płaci, aby o tém myślał.

Wprawdzie był czas, w którym Wiedeńczyk na wzór Francuza krew sobie zagrzał tak, że musiano do niego armatniemi kulami strzelać; ale to przeminęło i Wiedeńczyk sam już zapomniał o tém, nazywając ten wypadek prostém nieporozumieniem.

I tak spokojnie i swobodnie używał sobie Wiedeń bożych darów i chociaż od niejakiego czasu żył już na krédkę, nie troszczył się jednak o swoje jutro; a nawet, jak to często na schyłku mienia się wydarza, opanowała go w końcu dziwna pycha.

Roboty *Hausmana* w Paryżu nie dały mu spać w nocy. Słyszał i czytał w dziennikach że Hausmann stary Paryż wali a nowy buduje. Jakto? Czyż Wiedeń nie może się także trochę odmłodnić? Czyż nie może przynajmniéj tu i owdzie nakryć swoje stare styrane szaty?

I nastąpiła szlachetna rywalizacya kapitałów i budowniczych z kapitałami i budowniczymi Hausmana. Bulwarów nowych nie można było stworzyć, ale nowe ulice!

Zniesiono i rozkopano „Bastej“ i inne średniowieczne zabytki dawnych fortyfikacyj i wymierzono kilka nowych ulic, które mogłyby rywalizować z Paryżem.

I rzeczywiście stworzono bardzo piękne rzeczy. Na wzór ogrodu Luxemburskiego w Paryżu założono „Stadtpark“ i wystawiono okazały pałac dla publiczności, która letnią porą może tu się przechadzać, pić kawę i wody mineralne. Kilka nowych ulic zabudowano prawdziwemi pałacami, którychby sam Hausman mógł pozazdrościć. Pewien bogaty kupiec wzniósł dom okazały i pomalował go w stylu bizantyńskim różnemi alegoryami na tle złotém! Obok niego stanęła nowa „Opera,“ która pod względem estetycznym może nawet przewyższa paryzką również Nową operę.

I czegóż teraz Wiedeńczykowi brakowało? Nic, chyba ptasiego mléka!

Otóż właśnie w téj chwili, kiedy Wiedeńczyk słodko sobie wśród snów różowéj przyszłości swojéj zasypiał, zgromadziły się nad wieżą św. Szczepana groźne chmury.

A chmury te były tém boleśniejsze, że wyszły od strony, od któréj Wiedeńczyk wcale się nie spodziewał!

Dobroduszny i poczciwy Wiedeńczyk miał bowiem dziwne tradycyjne wyobrażenia. Rzeczy w polityce brał on poprostu tak, jak się je bierze w życiu towarzyskiém, to jest, że sąsiad może z sąsiadem żyć w przyjaźni aż do śmierci. Wierzył on przedewszystkiém w umowy piśmienne, wynurzenia serdeczne i przyjacielskie względy. Ponad to nic u niego nie było. Ani mu przez głowę nigdy nie przeszło, że interesa dwóch sąsiadów mogą z czasem tak się rozwinąć, że nieprzyjaźnie staną przeciw sobie!

A stało się to jakoś dziwnym sposobem, że interesa Prus poróżniły się z interesami Austryi. Wiedeńczyk do ostatniéj chwili nie wierzył, aby między „bracią“ przyszło na

seryo do rozlewu krwi. I był nawet tak skrupulatny w przestrzeganiu tradycyjnéj, sąsiedzkiéj przyjaźni, że póty czekał w granicach swoich, póki zbrojny sąsiad sam do niego nie przyszedł.

Wtedy Wiedeńczyk rozsierdził się, że pruski brat jest tak lekkomyślny i gwałtem chce być pobitym! Chcąc niechcąc musiał także broń nabić i z dobrą fantazyą, jakby szedł na szaraka, wyruszył w pole, obiecując, że za dwa tygodnie będzie w Berlinie i tam rzeczy uporządkuje.

Kiedy dzieci stolicy, nieśmiertelny pułk „Hoch und Deutschmeister", z miasta wychodziły, Wiedeńczycy traktując je piwem i kiełbaskami prosili na wszystko w świecie, aby pruskiego brata nie bardzo biły i więcéj moralnie na niego działały, gdyż on musi być bez zdrowych zmysłów, jeśli z tak groźną potęgą chce się mierzyć!...

Nieśmiertelny pułk przyrzekł umiarkowanie, obiecał pruskiemu bratu dać tylko małą nauczkę a potém wrócić i na długi czas świątynię Janusa zamknąć!

Przez kilka tygodni był Wiedeńczyk zupełnie spokojny, swobodnie wysypiał się pod pierzynką włożywszy na głowę tradycyjną szlafmycę; żadna zła myśl, żaden sen złowrogi nie turbował spokojnéj cyrkulacyi krwi jego: nawet życie w ogródkach nie ucierpiało nic, a konsumcya piwa była normalna.

Wprawdzie czasami pytał jeden drugiego: dlaczego nieśmiertelny pułk jeszcze nie jest w Berlinie? ale na to odpowiadali pensyonowani wojskowi, że prosty śmiertelnik nie rozumie strategii ani taktyki; że jeżeli dotąd Berlina nie zajęto, to musi być w tém jakaś wyższa myśl strategiczna.

I znowu uspokojono się, i czekano cierpliwie zajęcia Berlina.

Tymczasem ponad stolicą zaczęły nocną porą przelatywać jakieś dziwne zmory. Wiedeńczyk miał sny niespokojne: śniły mu się dziwne, bardzo dziwne rzeczy, których w żaden sposób nie mógł pojąć!

Nareszcie pojawiły się wieści hiobowe: mówiono że tu i owdzie przegrano potyczkę. Z małych potyczek znalazły się większe... Wiedeńczyk jeszcze wierzył, że to tylko— strategia!

Ale pewnéj lipcowéj nocy nadszedł złowrogi posłaniec w płaszczu skrwawionym i podartym od kul nieprzyjacielskich i powiedział zdumionemu Wiedniowi że wielka bitwa przegrana!

Nie, to być nie może! pomyślał sobie Wiedeńczyk, to sen tylko, sen brzydki i złośliwy!

Wiedeńczyk tak mocno wierzył w swoją potęgę i w rozum tych „których drogo płacił," że wieści hiobowéj nie dał wiary. W ogródkach piwnych i kafenhauzach miał nawet tego za wroga a poprostu za płatnego szpiega nieprzyjacielskiego, który podobnym wieściom odważył się wierzyć!

Były to dni wielkiéj alteracyi, dni gorączki i niepokoju. Niepokojono się, ale nie dlatego, aby nieszczęsnemu posłańcowi uwierzono, ale dlatego, że nikt z ludzi ku temu przeznaczonych nie starał się owych fałszywych proroków co do jednego w kałauzie osadzić.

Wreszcie nieśmiertelny pułk „Hoch und Deutschmeister," pieszczone dzieci Wiednia, wrócił do miasta rodzinnego, ale wrócił w znacznéj części uśmiertelniony, a którzy jeszcze przy życiu zostali, mieli głowy powiązane skrwawionemi szmatami i ręce na temblakach.

Wiedeń zapłakał nad nieśmiertelnemi dziećmi swemi, ale w zwycięztwo pruskiego brata pod Sadową jeszcze nie wierzył! Nie, on nie mógł uwierzyć, choćby mu sam prorok o tém mówił!

Niewiara ta czyni wielki zaszczyt Wiedeńczykowi. Podobny on był do kochanka, który w żaden sposób uwierzyć nie chciał, że mu kochanka umarła, chociaż już widział trumnę i grób wykopany....

Wiedeńczyk nie wierzył nawet wtedy, gdy już dwadzieścia tysięcy rannych miał w swoich murach, nie wierzył żeby ci ranni całą armię Benedeka reprezentowali! On jeszcze mniemał, że ta cała kolosalna armia lada dzień nieprzyjaciela na głowę pobije i chociaż później nieco, Berlin zajmie!

Wreszcie celnicy przy rogatkach miasta powiedzieli mu, że nieprzyjaciel już— pod Wiedniem!

Wiedeńczyk jeszcze nie wierzył. Wyszedł na najwyższe piętra kamienic, wydrapał się na strych i ztamtąd przez perspektywę patrzał poza Dunaj, patrzał... i ocierał łzy!

Rzeczywiście... „*an der blauen, schönen Donau*“ były forpoczty nieprzyjaciela!...

W nocy, z okien swego mieszkania widział rozłożone ogniska czat pruskich!

Wtedy zapłakał rzewnie Wiedeńczyk i... uwierzył!

Ogródki piwne były puste, kafenhauzy miały pozór klasztoru Trapistów...

Wiedeńczyk siedział w domu, nie pił piwa, i płakał, rzewnie płakał!

Dźwięki Straussa umilkły, sala „beim Sperl,“ była pustą i wymarłą jak cmentarz!...

Wprawdzie Wiedeń przed kilkoma wiekami był już w podobném położeniu; ale wtedy inne były czasy. Pan Bóg i ludzie dobrzy oswobodzili miasto, a Wiedeńczyk z wielką radością słuchał w kościele św. Szczepana kazania znakomitego swego kaznodziei, który mówił na temat z ewangelii: „Był człowiek od Boga posłany, a imie jego było Jan!“..

Dzisiaj nie było takiego posłańca bożego, a zostawiony własnym siłom, musiał Wiedeńczyk uwierzyć, że jest zwyciężony i z dumą nieszczęśliwego ugiął czoło przed zwycięzcą!...

Ognie pruskich czat pogasły, nieprzyjaciel cofnął się wziąwszy kilkanaście wagonów złota i srebra w sztabach, bo Wiedeń nie miał brzęczącéj monety: ale Wiedeńczyk nie odzyskał już więcéj swojéj dawnéj swobody życia!

Posmutniał i spoważniał. Zaczął na seryo wglądać w sprawy publiczne i przemyśliwał nad tém, jakby to rany swoje zabliźnić i jako tako na nogi się postawić.

Przy „Schottenthor“ zbudowano już przedtem duży, bezkształtny gmach „prowizoryczny.“ W tym gmachu zbierały się podczas ciepłéj pory wysłańcy różnych krajów koronnych.

Wiedeńczyk zrazu z niedowierzaniem patrzał na tę letnią „budę przy Schottenthor“ jak ją sam dowcipnie nazywał. Po „Sadowie“ jednak miał dla téj „budy“ już miłościwsze oko, a nawet własnoręcznie poustawiał piece, aby posłom różnych krajów i narodów było ciepło i wygodnie.

Zrazu opierał on się energicznie przeciw takiemu systematowi rządzenia monarchią. Wiedeńczyk bowiem chciał jak dotąd, rządzić całą monarchią. Teraz w nieszczęściu

swojém, zrzekł się dawnych swoich prerogatyw i starał się jak na dobrego gospodarza przystoi, aby posłowie krajów i narodów nie nudzili się w murach jego wspaniałych.

Oni to, radzili teraz przy „Schottenthor“ nad losami monarchii, a Wiedeńczyk nader pilnie przysłuchiwał się ich mowom sążnistym i według humoru swego dawał im z galeryi grzmiące brawa, albo nielitościwie smagał karykaturą w ulubioném piśmie swojém: *Kikiriki!*

I powoli jakoś znalazł sobie Wiedeńczyk nowe rozrywki życia. Jakkolwiek dawna swoboda i życie bez troski już bezpowrotnie przeminęły, jakkolwiek Lannera już nie było, a Straussowie chociaż licznie się rozrodzili, jednak już jak dawniéj oczarować go nie mogli: Wiedeńczyk bawił się teraz trochę polityką, a trochę tém, co polityka za sobą przynosi.

Monarchia zmieniała teraz bardzo często ministrów. Zdawało się, że owładnął ją szał demokratyczny, w skutek którego postanowiła pewny rodzaj metampsychozy, to jest, aby każdy mieszkaniec raz w życiu był ministrem.

To też co tygodnia miał Wiedeń nowych ministrów. Przedstawiali oni niejako lekarzy, którzy do chorego nieustannie zwoływani byli. Chory niecierpliwił się, i jednego lekarza po drugim odpędzał, jeśli mu natychmiast wraz z receptą zdrowia w kieszeni nie przyniósł.

Wiedeńczyk co tydzień bawił się układaniem nowéj listy ministrów, w czém zdawał się mieć rozkosz niewypowiedzianą. Była to rzeczywista rozkosz. Zazwyczaj mianuje korona ministrów. Wiedeńczyk podzielił się z koroną tym rozkosznym przywilejem i codziennie przy kufelku piwa mianował nowych ministrów, którzy skołatanéj monarchii mieli przywrócić zdrowie i dawną potęgę. A zabawie téj oddawał się z tém większą rozkoszą, bo miał przytem nadzieję, że przy szybszéj rotacyi może przyjść kolej i na niego, który także czyta gazety i chodzi na „Schottenthor!“

Nadzieja ta nie była żadną extrawagancyą. Wiedeńczyk rozumował sobie: Jeżeli naprzykład pierwszy lepszy burmistrz niepoczestnego miasteczka ministrem zostać może, dla czegóż nie mógłby nim być mieszkaniec stolicy, który przecież już z natury swojej jest czémś więcéj?...

Ztąd też poszło, że każdy z ministrów chcąc się nieco dłużéj przy tak powszechnéj niecierpliwości Wiedeńczyka

przy swojéj tece utrzymać, musiał dla niego coś nowego wymyślić, aby go czémś zatrudnić lub przynajmniej okazać mu namacalną korzyść swego systematu.

Jedni naprzykład obiecali Wiedeńczykowi „śluby cywilne.“ Był to stratagemat nie lada. Wiedeńczyk jest z natury kochliwy, a kobiety nadzwyczaj sentymentalne. Uprzątnąć więc im ciernie z drogi, które im do mety szczęścia zawadzały, było bardzo głębokim pomysłem.

Wiedeńczyk bawił się niejaki czas tą nową myślą. Wkrótce jednak spostrzegł, że ta myśl nie bardzo sprzyja jego usposobieniu; przeciwnie zagraża mu nawet: Wiedeńczyk bowiem chciał się tylko kochać ale nie żenić. Dotąd zwalał wszystko na trudności ślubu, osobliwie między różnowiercami; dzisiaj przy pierwszym uścisku rączki już może go pytać oswobodzona od ślubów kościelnych czarnobrewa *Betty:*

— *Willst du mich heirathen?...* Chcesz się ze mną ożenić?

Stratagemat ten zrobił fiasco. Wiedeńczyk żądał od ministrów czegoś innego.

Wymyślono dla nich „*Schuetzenfest*,“ jako słabą kopię tego, co dawniéj przed kilku laty w Dreznie „Sängerfest“ nazwano. Ale tamto jak to przeminęło bez szczególnych alteracyi Wiedeńczyka, który wołał teraz na całe gardło: „*So kann's nicht bleiben!*“ Tak daléj być nie może! Coś innego! Coś nowego!

Obiecano Wiedniowi powszechną wystawę przemysłową, po któréj może się stać tak sławnym jak Paryż.

Wiedeńczyk jednak nie chciał gruszek na wierzbie i wołał ciągle: *Was anderes!*

Po wielu walkach i naradach uchwalono ostatecznie, że monarchia potrzebuje do normalnego swego zdrowia dwóch rzeczy przedewszystkiém: banków i kolei żelaznych!

Był to środek wyborny do zatkania gardła niejednemu krzykaczowi. Niejeden bowiem dziennikarz, który dotąd zbyt ostrém piórem tego lub owego niepokoił, zamknąwszy do biurka swego kilkanaście akcyj tego lub owego przedsiębierstwa, stawał się łagodny jak baranek!

Również i przy „Schottenthor“ działało to wybornie. Niejeden frazeolog z nad Dunaju, z nad Elby albo nawet i z nad spokojnej Wisły, gdy mu w perspektywie jaką koncessyjkę pokazano, umilkł nagle jakby wzrosł lub wychował się w zakonie Trapistów! A jeśli mówił, to pewnie nie mówił tak, jakby mówił bez tych litografowanych arkuszy w kieszeni, od których co pół roku odcinają się podłużne kartki wypłacalne w różnych kantorach...

Wiedeńczyk teraz uspokoił się nieco pod pewnym względem. Przestał nawoływać na ministrów, że są niezdolni do niczego, przestał fabrykować nowe listy po ogródkach piwnych; przeciwnie wziął ich w obronę przeciw odzywającéj się tu i owdzie opozycyi i chwalił pod niebiosy ich talenty organizacyjne: z tych talentów bowiem obiecywał sobie zysk niemały.

I powstało naraz kilkadziesiąt różnych banków, kilkadziesiąt nowych koncessyj na koleje żelazne wydano w bardzo krótkim przeciągu czasu.

Jakkolwiek ekonomicy utrzymują, że instytucye banków są koroną rozwiniętego przemysłu, Wiedeńczyk jednak wierzył inaczéj: wierzył on, że banki obudzą dopiéro przemysł i teraz dopiéro będzie w monarchii tak dobrze, jak jeszcze nigdy nie bywało!

I powstała prawdziwa choroba i gorączka banków. Co inne państwa w ciągu wieku zdziałały, chciano tutaj w jednym miesiącu stworzyć, chciano nie tylko im dorównać, ale ich wyprzedzić!

I co tygodnia prawie jak grzyby z pod ziemi wyłaziły nowe banki, nowe stowarzyszenia, nowe konsorcya, którym nic nie brakowało, jak tylko— kapitałów!

Wołano więc o te kapitały różnemi językami, wysyłano ajentów do krajów koronnych, tworzono w najodleglejszych punktach monarchii kosztowne „filie,“ aby tylko ściągnąć jak najwięcéj pieniędzy.

Ze stolicy rozeszła się gorączka banków i konsorcyów dla kolei żelaznych do krajów koronnych. Nadzieja szybkiego zbogacenia ogarnęła wszystkich. Szlachcic polski sprzedawał wieś i z kapitałem w pugilaresie pędził do Wiednia, aby tam przystawić się do wielkiego stołu gry bankier-

skiéj, lub solicytował w przedpokojach ministrów o koncessyjkę dla téj lub owéj kolei.

„Prowizoryczny“ dom przy „Schottenthor“ odgrywał tutaj znaczną rolę. Posłowie krajów koronnych mieli codzienną styczność z ministrami. Użyto tych stosunków w celach przedsiębierczych. Zapraszano ich na wspólników, dawano im znaczną dywidendę w zysku i exploatowano ich stanowisko.

Ministrowie lubili te drogi, bo tym sposobem pozbywali się uciążliwéj opozycyi chciwych zysków trybunów. Niektórzy z nich byli nawet tak niewybredni, że po pierwszéj swojéj opozycyjnéj mowie, wygłoszonéj z emfazą katońską, brali w entrepryzę dostarczanie naprzykład butów dla armii, lub rzemieni do tornister, chociaż nigdy w życiu nie widzieli jak się skóra garbuje, lub jak się komu buty szyją!...

Rozumie się, że nieubłagany Katon stanął się wtedy łagodny jak baranek i milczący jak ryba; a jeśli kiedy przemówił, to tylko na to, aby walczyć przeciw tym, z pomiędzy których wyszedł.

Najulubieńszym jednak ideałem dla takich ludzi był tylko tytuł: *Verwaltungsrath*, co na polskie znaczy: członek rady zarządzającéj.

Stowarzyszenia przemysłowe rozdawały takie tytuły, do których nie łączyły się żadne obowiązki, tylko bardzo znaczne roczne pensye, przewyższające nieraz pensye ministrów.

Czasami spadały te tytuły i pensye na kogoś jakby meteory z nieba. Trudno było wiedzieć, kto to zarządził, i przyjmowano je pokornie jako „zrządzenie Boga.“ Rozumie się, że taki wypadek działał nader skutecznie na usposobienie wybrańca i przerzucał go nagle z lewicy na prawicę. Stawał się konserwatystą i lękał się w takim razie knowań socyalistów...

To też Wiedeńczyk uważał bardzo słusznie „prowizoryczny“ dom przy „Schottenthor“ za ową szczęśliwą krainę, do któréj różni Jazonowie z krajów koronnych zjeżdżali się po złote runo....

Wiedeńczyk nie gniewał się za rozdawanie tego złotego runa, ale przy każdém wyciągał rękę po należący mu się procent. I był to procent dobry, a tak byli wszyscy kontenci,

był wilk syty i owca cała. Pod tym względem nastąpiło zupełne porozumienie.

Banki i stowarzyszenia przemysłowe rzuciły na giełdę bardzo wiele papierów.

Wiedeńczyk, który dotąd w ogródkach i w szyneczku tylko w domino grywał, dowiedział się teraz, że można grać na giełdzie i w krótkim czasie zostać milionerem!

Z jakim zapałem dawniéj Wiedeńczyk u „Sperla“ walca tańczył, lub w Schönbrunie z małpami i niedźwiedziami się bawił, z takim zapałem rzucił się teraz do gry giełdowej!

Grał przyjaciel ministra, grał bankier, grał szewc i krawiec, grał stróż i roznosiciel dzienników. Wszystko co żyło grało na zwyżkę i zniżkę, wszystko czytało tylko kursa.

Zdawało się, jakoby Wiedeńczyk wpadł we furyę i za przegranę pod Sadową chciał się na giełdzie odegrać!..

I nastały w spokojnym, sielankowym Wiedniu gorączkowe czasy Lawa...

W godzinach przerzucano milionami, jakby to tylko plewa była!...

Jedni ubożeli, inni wzbogacali się nagle. Z krajów koronnych nadciągnął legion z różnych narodowości złożony, aby tu sytuacyę korzystnie dla siebie wyzyskać.

I z tém wszystkiém Wiedeńczyk odzyskał znowu dawny swój humor. Tylko już nie tak wiele tańczył walca, nie był tak poetycznie sentymentalnym, ale żył kosztowniéj niżeli dawniéj. Przemyśliwał tylko nad tém, jakby to nową mysl urodzić i jakąś spółkę kapitałów wymyślić!

Kobiety nawet, celujące dawniéj sielankową prostotą zaczęły brać wzór z bulwarów paryzkich i ubierać się jak zgrabne, kokietujące paryżanki. Żywioł słowiański i węgierski zasilił znacznie ich szeregi, jak to można było poznać po małych nóżkach i ładnych równych ząbkach...

A nawet sam xiąże Napoleon, który po katastrofie Sadowskiéj przyjechał do Wiednia aby się naocznie przekonać, czy Wiedeń jeszcze żyje; wyraził się o nim nader korzystnie, jak to w „prowizorycznym domu“ przy „Schottenthor“ jeden z wielkich parlamentarnych mówców publicznie stwierdził. Według niego. uderzyło xięcia Napoleona ruchliwe życie stolicy, wielka liczba dorożek, czystość chodników, co

razem wziąwszy miało być dowodem niezbitym, że Wiedeń żyje, że klęska pod Sadową jeszcze go nie zmorzyła!

Taką była stolica naddunajska, gdy nasza powieść do jéj murów wchodzi.

II.

Bracia.

Był to już późny wieczór. Sklepy bławatne i galanteryjne były już pozamykane; tylko handle korzenne stały otworem i zapraszały przechodnia rzęsistém oświetleniem.

Ruch na ulicy jeszcze wcale się nie zmniejszył. Dorożki turkotały po bruku, chłopcy nawoływali na siebie lub gwizdali najnowsze melodye z operetki Offenbacha, oszklone karety rozwoziły dostojnych gości, jednych do teatru, innych na wieczorki familijne..

Wieża św. Szczepana zaczęła dopiéro od szczytu niknąć w mgłach wieczornych...

Po jednéj z pryncypalnych ulic toczyła się szybko dorożka. Jadący w niéj spoglądał często na zegarek i pochylał się naprzód, aby woźnicę do prędszego jechania zachęcać.

Woźnica podciął konie i z głównéj ulicy skręcił nagle w małą poprzecznicę, gdzie się zatrzymał przy pierwszéj prawie narożnéj kamienicy.

Jadący przeczytał na kamienicy napis wielkiemi literami: „*Wechselstube*,“ popatrzył jeszcze raz na numer kamienicy, potém wyskoczył z dorożki i zapukał do zamkniętych drzwi.

Przez szpary drzwi widać było światło, ale z wewnątrz nikt mu nic odpowiedział.

Nieznajomy zapukał jeszcze kilka razy, ale i tym razem nikt mu nie odpowiedział.

Zatrzymał się przed kantorem czas niejaki, jakby się namyślał. Spojrzał do góry, jakby na gwiazdy nieba, które w téj chwili drgały srebrnym połyskiem,... potém odpiął piersi, jakby mu powietrza brakowało... wyjął z kieszeni rewolwer i jeszcze raz podniósł głowę do nieba...

Właśnie w téj chwili przechodził koło niego chłopiec szewski, który gwizdał aryę z Pięknéj Heleny: „*Ich bin Menelaus, König von Kreta.*“

Chłopiec stanął przed nieznajomym, ale nie przerwał sobie aryi...

Tak stał i gwizdał jakby czekał, co to z tego będzie?

Ozwał się strzał... nieznajomy padł na twarz, krew spływała do rynsztoka...

Chłopiec szewski zaprzestał na chwilę gwizdania.

Hätt' nit geglaubt, dass das Ernst sein soll! zawołał dyalektem wiedeńskim i poszedł daléj zaczynając z początku melodyę: *Ich bin Menelaus der Gute...*

Za kilka chwil zbiegło się trochę ludzi. Stójkowy policyant zatrzymał pierwszą lepszą dorożkę, włożył w nią trupa nieznajomego, a za chwilę nie było przed kantorem już nikogo, prócz kałuży krwi, która powoli rozlewała się rynsztokiem coraz daléj...

Kilka minut mówiono o tym wypadku. Jedni utrzymywali, że ktoś się zastrzelił, inni twierdzili że to tylko był napad wielkiéj choroby, a w dziesięć minut tak się wieści o tym wypadku pomąciły, że niektórzy byli tego zdania, że na ulicy poprostu zaszła jakaś bitwa.

Nowa fala przechodniów zmiotła tych, którzy tam stali i porwała z sobą, a ci co teraz nastąpili, już nic wiedzieli o niczém. Świadkowie téj sceny tragicznéj już poszli z falą i zaginął wszelki słuch o tém, co się stało pod żelaznemi drzwiami kantoru.

I jakby nic na świecie się nie stało, szli ludzie tą ulicą tłumnie i spiesznie: jedni rozmawiali i śmiali się głośno, inni nucili lub gwizdali sobie wesołe śpiewki, podczas gdy ich podeszwy maczały się w krwi zakrzepłéj, która przed chwilą poruszała sercem żyjącego człowieka i nasuwała mu myśli samobójcze...

Wszystko poszło w niepamięć! Nowa fala życia zatarła do szczętu co dawna zostawiła po sobie, a i ta sunęła się w przeczuciu śmierci, że nowa znowu ją zmaże...

To zwyczajny obraz życia stołecznego!

Być może, że własnie w téj chwili przeszli tamtędy kochankowie dłoń w dłoni, oko w oko; być może że mówili między sobą o błogiem szczęściu swojém, podczas, gdy ich

nogi znaczyły na granitowym chodniku krwawém pismem nagrobek dla nieznajomego?...

I któż z nich wié, poco ten nieznajomy patrzał przed chwilą na niebo gwiazdziste? Czy tam miał kogo, kto ztamtąd w téj chwili patrzał na niego?... Po cóż on pierś swoją obnażył? Czy mu było duszno w tym wielkim świecie? Czy nie miał powietrza dla ochłodzenia serca? Czy łaknął chłodu grobowego, aby tam spocząć i zasnąć snem bez marzeń i pragnień?... A gdy już teraz dostąpił tego, czego pragnął, czyż żadne oko nie zapłacze nad nim? Czyż nikt nie spyta się o niego, gdy późną nocą nie przyjdzie do domu?...

W kantorze, przed drzwiami którego stał się ten wypadek, nic nie wiedziano. Gwar stolicy, turkot fiakrów i powozów, głośny śmiech i śpiewy przechodniów, zrzucanie przy sąsiednim handlu olbrzymich pak, które właśnie z dworca kolei nadeszły, wszystko to nie dozwoliło znajdującym się w kantorze ludziom słyszeć owego strzału tuż koło drzwi i okien kantoru.

Był to zwykły kantor wexlarski. Izba duża, sklepiona, z wilgocią na ścianach, miała pozór podziemnego więzienia. Była przegrodzona w środku żelazną balustradą na dwie połowy. Przed balustradą stał duży, marmurowy stół, a daléj przy ścianie były dwie olbrzymie żelazne kasy Wertheima. Ruchomy gazowy świecznik spuszczał się ponad stolikiem marmurowym i oświecał w sposób Rembrandta dwie siedzące przy nim postacie.

Byli to ludzie wiekowi. Jeden z nich był łysy, z dużym wyskakującym naprzód nosem. Tusza niepospolita wykrzywiła w dziwny sposób całą jego postać. Nie była to tusza człowieka normalnie tyjącego; miał on bowiem nadzwyczaj cienkie ręce i nogi, za to brzuch kolosalny i jedną stronę szyi oblępioną sadłem. Druga strona była chuda. Ta nieproporcya tuszy zrobiła z niego dziwną karykaturę. Zdaje się, że nawet zwyczajne kształty ludzkiéj postaci były tam zatracone, a z człowieka zrobił się jakiś niemiły potwór!

Czy to był kaleka z urodzenia? Nie! Współcześni pamiętają, że był człowiekiem zwyczajnym, że chodził prosto i miał nawet powodzenie u niemek sentymentalnych. Późniéj coś się z nim stało, że skoszlawiał, utył nieproporcyonalnie i na szyi dostał wolę.

Była to istna karykatura człowieka. Natura upodobała sobie tylko niektóre części jego ciała, i tam składała zasoby tłuszczu, podczas gdy z innemi postąpiła sobie po macoszemu. Nawet na twarzy uwydatnił się jéj dziwny kaprys: jeden policzek był chudy, drugi tłusty i obrzękły.

Lekarz domowy przypisywał to dziwne zjawisko częściowemu sparaliżowaniu ciała; inny zaś, biorąc więcéj rzecz psychologicznie, był tego zdania: że w duchowym ustroju tego człowieka nastąpił pewien rozstrój, którego naturalnym skutkiem był nieporządek w organizmie.

Ostatnie zdanie było może prawdziwe. Od kilkunastu lat bowiem przestał ten człowiek potworny żyć zwykłém życiem człowieka. Odeszły go wszelkie złe i dobre namiętności ludzkie, a pozostał tylko... wexlarz. Przestał czuć i myśléć i tylko... rachował.

Dwadzieścia lat takiego życia, musiało odbić się na jego zewnętrznéj postaci. Cały organizm jego stracił przyrodzoną równowagę i popsuł naturalną machinę.

To téż pokłady tłuszczu i sadła, odbywały się u niego w sposób nienormalny. Defekta duchowe sprowadziły nieporządek w ciele, które jak drzewo przez robaka wewnątrz roztoczone, przybrało kształty karłowate i pokręcone.

Ponieważ przez lat dwadzieścia całą machinę życia tylko do rachunku nastrajał, to ciało jego przybrało wyraźne kształty jakiéjś cyfry arabskiéj, pokrzywionéj i połamanej.

Drugi jego towarzysz stanowił żywy kontrast. Był wysoki i chudy jak Don Kiszot. Zdaje się że na kościach nic nie miał mięsa, tylko żółtą pargaminową skórę. Nos długi, kończasty, brwi w gotyckim łamanym łuku do góry podniesione, twarz przeciągniętą, usta wązkie, zacięte, miały w sobie coś odrażającego; oczy duże, wypukłe, obracały się niespokojnie, jak dwie czaty, na straconém stanowisku postawione.

Widok tego drugiego człowieka sprawiał wrażenie, jakby zawsze był głodny i spragniony. Wydatny węzeł krtani suwał się ustawicznie pod skórą to na dół, to do góry, jakby coś połykał, a żuchwy ruszały się jakby żuł ustawicznie.

A co było najdziwniejszém, że to byli... bracia rodzeni!

Ruchomy świécznik gazowy oświecał z góry ich twarze, pochylone nad wielką księgą.

— Dzisiejszy dzień był niezły, Jonathan!—rzekł chudy i połknął coś.

— Wcale tego nie widzę, Jonas!—odpowiedział półtłusty i podniósł do góry swoje krzywe usta.

Zdaje się, że był to przegląd połowu dnia dzisiejszego.

— Jakto nie widzisz?—oponował Jonas przewracając karty—przecież jest pół miliona! Obróciło się pół milionem! Liczba to nie szpetna!... Nasz ojciec ani wyobrażenia nie miał o takiéj liczbie, gdy skupywał stare szpargały do zawijania pieprzu!

— Pół miliona!—z lekceważeniem odparł Jonathan. Cóż to pół miliona! Gdyby te pół miliona były w naszéj kassie, albo przynajmniéj w téj księdze pod rubryką: *Haben.* A to tylko przeszło dzisiaj przez nasze ręce! Wzięła je giełda, a nam dostał się tylko lichy procent!

— Choćby najlichszy procent, ale od... pół miliona! A dyferencyj przecież nie wypłaciliśmy tak wielkich jak zapisano! Była wielka fluktuacya, co pięć minut zmieniały się kursa, wiadomości z Paryża balansowały nieustannie!...

— I wieleż konsumentów składało się na ten pół-milionik?

Rzuciwszy to zapytanie, pochylił Jonathan świecącą łysinę nad księgą i zaczął czytać.

— Tam do kata!... Same mizeraki. Nie ma ani jednéj grubéj ryby!... Po tysiąc, po pięćset, po sto nawet guldenów!... Nie lubię takiego interesu. Gdy jeden wielki zwierz coś przegra, to wiem, że skończy się na jednéj utarczce. A tak, trzeba się ucierać z tysiącem biédnych charłaków, którzy przychodzą i płaczą, że cały swój dobytek stracili!

— Takich płaczów zazwyczaj się nie słucha!... Racyonalnie rzecz biorąc, czyż my temu winni? My tylko pośredniczymy temu kto chce, a jak koło fortuny się obraca, to nie do nas!

— Jesteś mądry Jonas, ale widzisz, świat jest głupi! Jeżeli ktoś nie patrzy pod nogi i potknie się, to nie gniewa się na siebie, ale mści się na kamieniu, który leżał na drodze!

— Najpocieszniejszy był stróż z kamienicy „pod ziębą". Przychodzi tutaj i powiada, że przez lat pięćdziesiąt zbierał po groszu za odmykanie bramy i złożył z tych groszy parę tysięcy, które dzisiaj na dyferencyi przegrał w przeciągu pół godziny!

— A któż mu poradził grać na dyferencyą bez kuwrowania?

— Kto?... Ja mu poradziłem! Przecież i z tego kapnął nam jakiś procencik!

— A cóż to za wdowa takiego krzyku narobiła?

— To była scena bardzo śmieszna. Przyprowadziła ośmioro dzieci i przysięgała, że ich z kantoru nie weźmie, tylko nam zostawi, aby je żywić i chować!

— Głupia kobiéta! Czy dałeś jéj co?

— Dałem coś policyantowi, aby ją wyprowadził!...

Nastąpiła pauza. Dwie głowy pochyliły się znowu nad księgą. Obaj czytali daléj wpisane cyfry. Przy każdéj liczbie drgała konwulsyjnie tłusta połowa twarzy Jonathana, podczas gdy węzeł krtani Jonasa, wsuwał się i wysuwał.

Śród głębokiego milczenia, które teraz panowało w kantorze, zapukał ktoś lekko do drzwi od sieni, w sposób jakby umówiony. Jonas poskoczył szybko i odsunął gruby rygiel.

Do kantoru wszedł młody człowiek z kołnierzem do góry podniesionym.

— Jest telegram?—zapytali obaj bracia naraz i dzikim wzrokiem rzucili na papier.

— Jest — odparł nieznajomy i złożył na stole małą kartkę.

— Czy excellencya wrócił już od pani baronowéj?— zapytał Jonathan.

— Jeszcze nie, ale może wrócić każdéj chwili!—odparł nieznajomy i wyszedł.

Obaj bracia zatopili się teraz w przyniesionéj kartce.

— Jutro będzie *haussa!*—ozwał się Jonathan, a tłusta twarz jego zadrgała.

— To nie dobrze!—odparł Jonas połykając ustawicznie, —dzisiaj coś sprzedałem!

— Trzeba błąd naprawić!... Zapisać na dzisiaj tę summę pułkownika...

— Masz słuszność! Tak będzie dobrze!... Możliwa strata pokryje się!

Chudy Jonas wziął teraz pióro do ręki i ostrożnie zaczął w księdze pisać...

Stary pułkownik właśnie w téj chwili przegrał u *Dauna* partyę w domino...

Po długiéj pauzie milczenia, po należytém wycieniowaniu liczb i notatek, ozwał się Jonas:

— Myślałem znowu dzisiaj, ale jakoś nic mi do głowy przyjść nie może!

— Trzeba koniecznie coś wymyśléć! Ty masz czasem genialne pomysły—odpowiedział Jonathan.

— Cóż, kiedy w pomysłach moich wszyscy mnie wyprzedzają!

— To myśl o dzień pierwéj!

— Tobie żarty w głowie! A ja ci powiadam, że trzeba koniecznie coś zrobić. Meklerstwo dzisiaj tak wiele nie przynosi, jak przynoszą różne spółki, konsorcya, banki i koleje! Ludzie w jednym dniu stają się milionerami, a my musimy lichym procentem grosz do grosza zbierać!...

— Wymyśl jaką spółkę, jakie przedsiębierstwo... rozpiszemy akcye... nałapiemy rybek!

— Ba, widzisz Jonathan, tu nie chodzi o rzecz, taby się znalazła, ale chodzi o formę! Gdybyśmy wydrukowali odezwę do konsumentów akcyj i odezwę tę podpisali: *Jonas et Jonathan Schmilles* toby i pies tego nie czytał, a tém mniéj po akcye przychodził.

— Jakto? *Jonas et Jonathan Schmilles*, czyżto nie jest ładna firma?—zapytał z dumą Jonathan.

— Jest to firma budy wexlarskiéj przy ciasnéj uliczce z *Karnthner strasse*, na *Graben*, firma stara i stateczna, ale świat jest tak głupi, że potrzebuje blichtru!

— Naprzykład... książe Lichtenbaum von Turneis! którą firmę stary szachraj Bismuth za trzy tysiące guldenów kupił i swemu lichwiarskiemu bankowi na czoło położył!

— Tak się rybki łapią!... Można łapać i na plewy, jeśli te mają pozór ziarna!

— Ba, ależ gdzie znaleźć takiego człowieka?... Królestwo za jednego księcia!

— Mógłby być i hrabia, byle tylko znane głośne nazwisko!

— Miałem barona, ale ten właśnie dzisiaj zgrał się na giełdzie i prawdopodobnie czmychnął z Wiednia, nie zapłaciwszy długów w hotelu!

Bracia Schmilles rozmawiali jeszcze długi czas między sobą o różnych projektach pomnożenia fortuny, podczas gdy pod oknami kantoru cichnął coraz więcéj gwar uliczny i coraz rzadziej odzywały się koła fiakrów i powozów.

A przechodzący zacierali tymczasem ostatki krwi rozlanéj na granitowym chodniku przez nieznajomego samobójcę.

III.

Ostatni z domu.

Naprzeciw drzwi kantoru był sklep piekarza. Gdy bracia Schmilles z kantoru wyszli i stróża po fiakra na główną ulicę wysłali, zatrzymali się chwilę na chodniku.

Obok nich zatrzymał się w téj chwili dosyć słusznego wzrostu mężczyzna. Zdawało się jakby zkąd dopiéro przyjechał, bo w ręku trzymał węzełek, starannie grubym szalem owinięty.

Mężczyzna mógł miéć około lat trzydziestu. Ubiór na nim był dosyć staranny, widać najświéższéj mody, ale w podróży nieco styrany. Kapelusz wysoki, z olbrzymiemi krysami, koloru perłowego, nosił także znamiona różnych przygód. Cała jednak postawa nieznajomego, okazywała człowieka do wyższych sfer należącego. Ruchy jego były swobodne, szerokie angielskie bakenbardy trzymały się twarzy z fantazyą.

Mężczyzna ten stał naprzeciw sklepu piekarza i patrzał do jego wnętrza. Bracia Schmilles zwrócili na niego uwagę i właśnie Jonathan chciał do Jonasa coś powiedzieć, gdy fiakr nadjechał. Stróż otworzył drzwiczki: obaj bracia wsiedli.

— Nie wiem dlaczego—rzekł Jonathan półgłosem— ale czekając na chodniku, miałem jakieś dziwnie nieprzyjemne uczucie! Czy ty Jonas nie doznałeś tego?

— Zapewne ten stojący człowiek sprawił na tobie to wrażenie! — odparł Jonas i zwrócił się do stróża; Johan! trzeba będzie dzisiaj uważać na kantor, bo kręcą się jacyś ludzie!...

Stróż przyrzekł czujność, fiakier zaciął konie, a dorożka zniknęła na zakręcie.

Mężczyzna, o którym bracia Schmilles mówili, stał jeszcze i ciągle patrzał do sklepu piekarza. Zdaje się, jakby mu coś niewygodnie było stać na chodniku, bo spojrzał pod nogi i usunął się. Stał właśnie na miejscu, gdzie przed chwilą była jeszcze kałuża krwi...

Za chwilę, kiedy właśnie na ulicy nikogo nie było, wpadł szybko do piekarza i za kilka groszy kupił mały bocheneczek chleba. Wychodząc ze sklepu, obejrzał się znowu, czy go kto nie widzi. Szybko przebiegł na drugą stronę, aby jak najprędzéj od piekarza się oddalić i puścił się potém prosto z dobrą miną i fantazyą, jakby wychodził z najpierwszéj restauracyi stolicy.

Szedł dosyć długo, z jednéj ulicy w drugą. Koło niego przechodzili resztki dążących do domów mieszkańców, a każdy spieszył się, aby jeszcze przed zamknięciem bramy zdążyć. Fiakry wlokły się powoli na nocną leżę; konie ze spuszczonemi łbami szły noga za nogą, marząc o żłobie i sianie...

Podróżny mężczyzna szedł daléj i daléj...

Wreszcie zatrzymał się przed żelazną, misternie wyrobioną bramą. Za bramą widać było drzewa, gazony i szeroko wykrojone drogi do przechadzek. Daléj w głębi majaczył w nocnéj mgle wysoki wspaniały gmach, z jakiemiś herbami po bokach przy dachu.

Podróżny obejrzał się wkoło. Nie było prawie nikogo. Zbliżył się do bramy, tuż przy bramie była czarna tablica z napisem, że ten publiczny ogród przeznaczony jest dla publiczności.

Był to nowozałożony tak zwany „Park miejski".

Podróżny trącił lekko żelazną bramą; brama otworzyła się na roścież: uśmiechnął się zadowolony i wszedł do parku.

Księżyc świecił dosyć jasno na niebie. Podróżny obejrzał się wkoło.

Park był nie wielki, ale bardzo gustownie urządzony. Kilka grup drzew i krzaków urozmaicało widok bardzo poetycznie, a z pomiędzy nich bieliły się do księżyca ławki do wypoczynku.

Podróżny zwrócił się ku jednéj z tych grup i wybrał sobie ławkę ocienioną gęstém drzewem, z po za którego właśnie wytaczał się po niebie srebrny księżyc.

Na téj ławce usiadł, położył węzełek koło siebie i zadumał się

Dumał tak chwilę. Potém jakby się ocknął, potarł ręką po czole i wyjął z kieszeni bocheneczek chleba. Rozłamał go i zaczął jeść. A księżyc coraz grubszym cieniem otaczał biédnego podróżnego... Za kilka minut nie było już chleba. Ostatnie okruszyny, pozbierane skrzętnie na ławce wpadły do gęby i znikły. Wkoło była cisza, tylko z głębi miasta dolatywał głuchy gwar toczących się po kamieniach dorożek. Tylko z poza konarów drzew, widać było wieżę św. Szczepana, jak słup wody pnący się ku niebu...

Zdaje się że podróżny postanowił tutaj noc przepędzić. Cóż go do tego skłaniało? Czy był lubownikiem pięknéj natury i nocnych widoków *á la Matthison?* Czy był artystą, który studyuje dwa światła: księżyca i latarni gazowéj? Czy wreszcie z potrzeby obrał sobie ten chłodny nocleg?

Podróżny jak się zdaje, przygotowywał się tutaj do snu. Węzełek przywiązał rzemykiem do ręki, a sam usiadł sobie wygodnie, opierając plecy o poręcz ławki.

Niejaki czas patrzał przed siebie zamyślony, potém zamknęły mu się powieki i głowa nachyliła się ku ziemi.

Czyje oko w świat duchów wejrzéć zdolne, ten widziałby w téj chwili, jak głowę podróżnego otaczały rożne jasne i ciemne obrazy, z których jedne malowały mu jego przeszłość, a inne jako ulotne marzenia należały do przyszłości!.. Widziałby jak te obrazy z eteru i mgły, powoli wsiąkają w czoło i w skronie aby tam, rozkosznemi snami, bawić biédnego podróżnego, który tutaj o kawałku chleba suchego usiadł, aby pod gołém niebem przesiedzieć noc całą, czekając na promienie słoneczne.

Najprzód tuż przed nim uszykował się zwolna obraz małego, wpół-zapadłego miasta. Domki nieregularne stanęły długim szeregiem, jedne wychodząc na przód, drugie

cofając się. Dachy ich były malowniczo pokrzywione i upstrzone. Na tych dachach sterczały napół rozwalone kominy, obite ze wszystkich stron słotą i szarugą. Na niektórych z nich rosły małe krzewy zielska, które wiatr tam zaniósł, i całemu widokowi miasta nadawały pozór ruin z odległych wieków...

Na ten widok wyjaśniła się twarz podróżnego. Wszak to rodzinne miasto jego!... Wszak to są te same kominy, o których niegdyś mówił mu stary bakałarz że są podobne do ideałów ludzkich, które zawsze za zbliżeniem się uciekają!.. Czyż to życie nic innego nie ma dla człowieka, jak tylko takie ideały, które nikną nam z przed oczu, gdy po nie ręką sięgamy?...

Twarz podróżnego oblekła się rzewnym smutkiem. Zapewne ideały jego życia tak samo uciekały przed nim jak te kominy na dachach uciekają i nikną, gdy ongi, będąc małym chłopcem chciał się do nich zbliżyć, i z bliska je obejrzéć!...

Po tym obrazie nastąpił inny. Jeden z tych domów, które szeregiem stały przed nim, otworzył ściany swoje i okazał mu, co tam wewnątrz było.

Było tam dwoje starych ludzi: on pracował przy warsztacie, ona zatrudniała się szyciem. Sprzęty były ubogie, ale schludne. Na ścianach wisiały obrazy świętych. Najprzód z bokiem przebitym był Chrystus Milatyński. Obraz ten miał przed sobą lampkę okopconą, a małe światełko odbijało się tęczowemi barwami przez szkło kolorowe... Obok tego obrazu była Matka Boska Bolesna; przed Nią wisiała także lampka. Daléj całym szeregiem uszykowali się święci Pańscy, a pod nimi był długi rząd zegarków z rozmaitemi twarzami...

To jego dom rodzinny!... To ojciec i matka!.. To wspomnienia pierwszéj młodości...

Jakaś mała dziewczynka z piwnemi oczyma opierała się o jego ramie, i patrzyła na niego temi piwnemi oczętami jak kochająca siostra...

Rzewność rozlała się po twarzy podróżnego, a nawet coś błyszczącego jakby łza uwisła u rzęsy...

Szybko nastąpiły inne obrazy. Jasnowłosy młodzieniec patrzy śmiało w świat i szuka w nim dróg dla siebie....

A drogi te rozwijają się przed nim i zwijają jak wstęgi różnobarwne, jedne piękniejsze od drugich!... Widać tam same róże i bratki, lilije i fiołki, a wszystko pełne woni, pełne uroku!...

I rozmykają się przed nim salony o światłach gazowych... śpiew i muzyka łechcą ucho... powiewne postacie pląsają wkoło... On chwyta jedną z nich, obiega salon... rozkosz wzmaga się za każdym krokiem... już mu tchu niestaje...

Nagle zmienia się scena: ściany salonu zapadają w ziemię jak kulisy w teatrze, i odsłaniają prześliczną dolinę... śród doliny dworek biały... a przed dworkiem młode różowe dziewczę...

Dziewczę patrzy z tkliwością na niego... w jego oczach błękitnych błyszczy łza...

Nagle zaszeleściała długa, czarna suknia... poetyczna Najada wyłonia się z téj sukni i z filuternym uśmiechem pokazuje mu testament stryjaszka... i zwraca się do innego...

I dzwon pogrzebowy ozwał się nagle... Długim szeregiem idą cechy miejskie, prostą dębową trumnę niosą na barkach mieszczanie... Koło niego w czarnéj sukni idzie piękna, młoda kobieta i lekko opiera się o jego ramie... on uchyla ramie i patrzy na swój dom rodzinny, a tam w oknach widzi jakieś obce brodate twarze... to nowi lokatorowie...

Niemiecki starożytny gród staje przed nim. Mistrz daje mu naukę życia.....

Dalsze obrazy są ciemne. Mącą się i mięszają jak barwy w kalejdoskopie.... Ale prawdopodobnie nie są miłe, bo podróżny rękę w pięść zacisnął i groźnie przed siebie ją wysunął.....

W téj chwili jednak uczuł na téj ręce coś zimnego jak lód.... była to ręka jakiejś białéj kobiéty, która wraz z mgłą i nocną rosą, z nieba na ziemię się spuściła...

— Stefanie!—szeptały jéj zimne usta...—gdzież twoje jutro będzie?...

Stefan otworzył oczy... i równemi nogami stanął na ziemi.

Zimnéj kobiéty w białéj, powiewnéj szacie nie było.... ale za to stał przed nim chudy, wysoki mężczyzna i trzymał go za rękę, którą we śnie, zaciśnioną w pięść daleko od siebie wysunął...

— Kto jesteś i czego chcesz odemnie?—zawołał Stefan i cofnął prędko rękę.

Wysoki, chudy mężczyzna złożył twarz do uśmiechu, patrzał chwilę na niego i odparł:

— To moja rzecz pytać cię, kto jesteś i co tu robisz. Ja bowiem jestem spokojnym, przechodzącym mieszkańcem miasta, a ty ulokowałeś się tutaj na noc, jakbyś w całém mieście kąta nie miał dla siebie!...

Stefan spojrzał z uwagą na mówiącego. Właśnie księżyc wychylił się już po nad drzewa i pełném światłem oddał całą jego postać. Stefan uczuł jakiś dziwny dreszcz na widok tego człowieka.

Był on wzrostu słusznego i nadzwyczaj chudy... Twarz miał podłużną, brodę długą i kończastą. Na jego wązkich barkach wisiał płaszcz fantastyczny, podbity czerwoną podszewką. W całéj jego postaci było coś rycerskiego, przypominającego mimowolnie rycerza średnich wieków.

— Jeżeli pan jesteś spokojnym mieszkańcem miasta— odpowiedział po chwili Stefan—to nie turbuj mnie i idź sobie daléj, a jeśli masz jakie złe zamysły, to ci szczerze powiem, że nie mam ani złamanego szeląga a na obronę mojéj odzieży mam silną rękę.

Ostatnie słowa poparł Stefan silnym dowodem i dobrze zastosowanym kułakiem odepchnął natręta od siebie.

Nieznajomy z największą flegmą starał się zatrzymać równowagę, którą mu ręka Stefana nieco zwichnęła i do dawnego porządku przyprowadzić draperye płaszcza. A gdy to uskutecznił, postąpił naprzód krokiem tragicznym, położył rękę na ramieniu Stefana i odparł nadzwyczaj spokojnie:

— Nieporozumienie między nami, mój przyjacielu!. Masz mnie za złodzieja lub rabusia... ale to moja wina!.... Gdybyś widział mój herb na moim powozie i liberyą moją, tobyś nie zwijał ręki w tak ostry kułak, który jeszcze dotąd czuję pod trzeciém żebrem!... Ale cóż robić, wybaczam ci, bo sam zawiniłem. Nie powinienem chodzić piechotą między gminem. Myślałem że przy świetle księżyca można to zrobić!.

Teraz był Stefan pewny, że ma przed sobą waryata. Niezwykła jego fizyognomia, rysy nadzwyczaj ostre i wydatne,

mogły go w tém utwierdzić; prócz tego oświetlenie księżycowe nadawało mu jeszcze fantastyczności.

— Czego pan żądasz odemnie?—zapytał po chwili Stefan z jakimś mimowolnym niepokojem.

— Chcę ci dać lepszy nocleg, niżeli pod tém drzewem miéć możesz—odpowiedział spokojnie nieznajomy.

— Nocleg? Może masz pan jakie brzydkie zamysły ze mną?

— Otóż masz!. Otóż to wasze doktryny wieku!..... Mówią że świat postępuje, że dawne przesądy znikają z pomiędzy ludzi, że światło prawdziwe, światło rozumu i cywilizacyi zapełnia dawne zaułki ciemności i grozę feudalizmu.... a tymczasem prosta litość i miłosierdzie są rzeczą niezrozumianą!..... Kto chce być litościwym i miłosiernym, to mają go albo za waryata, albo za zbrodniarza, który tym sposobem chce opanować ofiarę swoją!.... O ludzie, ludzie! kiedyż przejrzycie i nawrócicie się?...

Twarz nieznajomego gdy to mówił była tak szczerą i otwartą, taki ból malował się na niéj, że Stefana odstąpiła zupełnie dawna obawa. Zdawało mu się tylko, że widzi przed sobą jakiegoś oryginała, w jakich zazwyczaj wielkie stolice obfitują, a że ten oryginał wspomniał coś o herbach i ekwipażach, więc nie od rzeczy było zastanowić się nad jego propozycyą, którą tak po chrześciańsku mu uczynił.

Namysł Stefana był krótki. Jutro jego było niepewne, w kieszeni nie miał ani złamanego szeląga, lepiéj może było powierzyć się chociaż nie bardzo pewnemu człowiekowi, niżeli tutaj pod drzewem całą noc przesiedzieć o głodzie i chłodzie: zawsze była to stawka, która go nic nie kosztowała.

Powstał więc z ławki, wziął węzełek do ręki, strzepał z połów okruszyny chleba i rzekł:

— Jeżeli pan tak po rycersku walczysz przeciw doktrynom wieku, jakiemi jest egoizm i bezofiarność, to nie mogę się temu sprzeciwiać; chętnie więc przyjmuję pomoc jaką mi pan ofiarujesz!

— Widzę po słowach twoich że jesteś wart méj pomocy, za co ja tylko potém małéj przysługi od ciebie żądać będę. Ale to nic, późniéj o tém. Człowiek szlachetny nie powinien żadnéj jałmużny brać bez odwdzięczenia się natych-

miast, a do dawcy należy stworzyć mu sposobność do tego..... Więc chodźmy!.

Stefan wziął swój węzełek pod pachę i obaj wyszli z parku w milczeniu.

Pilnie uważał Stefan na kierunek drogi, jaką obrał nieznajomy. Ponieważ oryentowanie się w Wiedniu nader łatwe jest, bo wieża św. Szczepana zawsze środkowy punkt miasta okazuje, to też i Stefan poznał wkrótce, że nieznajomy jego dobroczyńca coraz więcéj od miasta się oddala.

Zrazu nie nabawiało to Stefana żadnym niepokojem: Wiedeń ma rozległe przedmieścia, na których daleko piękniejsze stoją pałace i domy niżeli w samém mieście.

Po godzinie jednak drogi, zaczął się nieco niepokoić. Wreszcie i druga godzina była na schyłku, a nieznajomy szedł jeszcze ciągle, a szedł krokiem wyciągniętym, jakby jeszcze miał spory kawał do domu.

Wreszcie zaczęły domy coraz niżéj przysiadać do ziemi. Już tylko małe domki i to w pojedyńczych porozrzucane ogródkach okazywały się zaniepokojonym oczom Stefana. Dziwne myśli przychodziły mu do głowy. Stolicy państwa nie znał jeszcze, nie wiedział, jakie rzeczy tutaj dziać się mogą!....

Wyobraźnia jego rozogniała się coraz więcéj. Co tylko kiedy czytał o rozbójnikach miast wielkich, wszystko to stawało mu w téj chwili przed oczy... A nieznajomy szedł i szedł krokiem wyciągniętym...

Wreszcie postanowił Stefan już nie iść daléj, bo wyraźnie zaczynały się już orne pola.

— Zdaje mi się, że pomyliliśmy drogę!—ozwał się i zatrzymał.

— Już jesteśmy na miejscu!— odparł nieznajomy i wskazał ręką mały parterowy domek.

Domek nie wyglądał szczególnie. Stefan spodziewał się pałacu albo przynajmniéj willi okazałéj. Do takiego domku szkoda było tak dalekiéj drogi. Północ już dawno minęła. W milczeniu szedł daléj.

Domek był z frontu otoczony dosyć nizkim parkanem, w którym była mała furtka.

— A teraz.— ozwał się nieznajomy—trzeba przeleźć przez parkan. Czy umiesz skakać?

— Wszak przy furtce jest dzwonek!—zauważył zdziwiony tą propozycyą Stefan.

— Wiem o tém mój przylacielu — odpowiedział nieznajomy łaskawie — ale trzeba strożowi dziesiątkę zapłacić! A tak można tę dziesiątkę oszczędzić. Oszczędność jest rzecz dobra!

Teraz już nie mógł Stefan przyjść z zadziwienia do siebie. Wyobrażał sobie, że dobroczyńca jego jest bogatym oryginałem i że przygoda ta nocna będzie mu nawet mogła w czém posłużyć.... a tu tymczasem dobrodziéj jego każe mu dla oszczędzenia dziesięciu centów przełazić przez parkan daszkiem pokryty, który widocznie zagrażał połom jego surduta!.... Cóż w takim razie robić?

Nieznajomy dał mu tymczasem pierwszy przykład: uchwycił daszek jak siodło na koniu i jednym susem przesadził parkan. Stefan podziwiał jego siłę mimo lat pięćdziesięciu, jakie mógł liczyć.

— A teraz daj mi twój węzełek i hop przez parkan—rzekł do niego nieznajomy z drugiéj strony.

Stefan nie namyślał się, bo też nie było się co namyślać: do miasta wracać było za daleko i tak nie było właściwie po co wracać. Przed parkanem, w pustém prawie polu niepodobna było zostać! Więc bądź co bądź potrzeba było już trzymać się dziwaka, choćby ten dziwak tylko łóżko i łyżkę strawy mógł mu ofiarować. I to było już czemś na dzień jutrzejszy!

Podał więc swemu dobroczyńcy węzełek i naśladując go, przesadził szczęśliwie parkan.

— A teraz choć za mną ostrożnie, abyś gospodarza na dole nie zbudził,—mówił daléj dobroczyńca.

— Gospodarza?—powtórzył Stefan i pomyślał sobie rzeczy nader smutne.

Rzeczywiście to słowo rozczarowało go jeszcze więcéj. Domek był tylko parterowy, gdzież on mógł mieszkać, jeśli prócz niego mieszkał jeszeze tutaj gospodarz? więc on był tylko lokatorem?

Takie myśli były nader smutne dla Stefana, który sobie czegóś innego obiecywał.

— Daj rękę a poprowadzę cię, bo schody nie wygodne!—rzekł znowu do niego nieznajomy.

— Tam do kata! to już pewnie na strychu mieszka! — pomyślał sobie Stefan—a mówił o herbach i ekwipażach!

Dobroczyńca tymczasem złapał go za rękę i zaczął za sobą ciągnąć do góry!

Nie były to schody, ale istna drabina. Stefan czuł wyraźnie przy kresach kapelusza napiętki swego poprzednika, i opóźniał jak mógł swoje kroki, aby tylko głową nie wleźć między szczebel i napiętek.

Po téj nader uciążliwéj pielgrzymce odetchnął wreszcie Stefan, bo stał już na jakimś pewniejszym gruncie.

Powoli i ostrożnie wszedł za swoim przewodnikiem do izdebki. Przewodnik zaświecił.

Dziwne wrażenie sprawiła na Stefanie izdebka, w któréj się tenże znajdował. Było to zwykłe, nader ubogie poddasze składające się z dwóch małych celek: pierwsza służyła gospodarzowi za właściwe mieszkanie, w drugiéj był skład różnych rupieci: w jednym rogu leżał wysypany na ziemię owies.

Ściany pierwszéj izdebki były dosyć puste i wapnem wybielone. Nie było ani obrazka ani zwierciadła. Na jednéj ścianie wisiały szory angielskie, nadzwyczaj eleganckie, wykładane posrebrzaną blachą. Wszystko świeciło się i lśniło jakby co dopiero wzięte z wystawy sklepowéj. Na drugim kołku wisiała liberya dla lokaja lub stangreta. Była także bardzo porządna, szerokim galonem obszyta czapka. Nad nią wisiał kapelusz w żółtawą ceratę obszyty, ze złotą bordurą. W kącie stały batogi eleganckie.

Po drugiéj stronie wisiała, jak się zdaje, garderoba gospodarza. Stefan nie mógł jéj widzieć, bo była szarém płótnem starannie osłoniona.

Naprzeciwko był tapczan słomą wypchany i białym kocem nakryty. Za tapczanem widać było parę dosyć melancholijnie wyglądających butów. Pomiędzy oknami stał stół prosty, biały, a koło niego dwa sosnowe krzesła.

— Otóż jesteśmy już w domu,—rzekł gospodarz — stawiając świeczkę na stole.

Stefan smutno obejrzał się dokoła: gospodarz spostrzegł to.

— Zapewne oglądasz się za legowiskiem dla siebie - ozwał się z uśmiechem—jest ono w drugim pokoju. Sypiał tam

niegdyś mój Johan, ale od czasu jak umarł na cholerę, nie jest zajęte. Będzie ci tam dosyć wygodnie, a w każdym razie lepiéj niżeli w parku na ławie; jeśli jeszcze do tego dobrze chrapisz, czém myszy od siebie, które się do owsa schodzą, odpędzić możesz, to już ci w niebie lepiéj nie będzie!.. A teraz trzeba jeszcze popatrzyć co robi Barbarossa i Henryk Zięba!

Dla Stefana było to wszystko tak dziwném, że jeszcze dobrze nie mógł przyjść do siebie. Jeszcze mógł to być dalszy szereg snów, które na ławie w parku był rozpoczął, mogło być jakieś dziwne złudzenie zmysłów, bo rzeczywistość była prawie nie prawdopodobną....

Gospodarz tymczasem bez ceremonii usiadł na stołku i zaczął się rozbierać. Zdjął wszystko co miał na sobie, a natomiast ubrał się w szerokie płócienne szarawary i takąż bluzę wziął na siebie, a wszystko to razem przepasał siwym fartuchem; potém zaświecił małą latarkę i wziął z drugiéj izdebki przetak owsa. Gdy już był gotów rzekł do Stefana:

— Może chcesz obaczyć Barbarossę i Henryka Ziębę?. To pójdź za mną, tylko ostrożnie, bez chałasu.

Stefan położył swój węzełek na stołku, zdjął swój cylinder, któremu dach mógł zagrażać i poszedł za gospodarzem, który z manierami prawdziwego koniuszego postępował naprzód oświecając drogę.

Weszli do małéj stajenki. Cesarzowie niemieccy, Barbarossa i Henryk Ptasznik zarżeli z roskoszą. Były to konie bardzo szlachetnéj rasy, dobrze utuczone. W stajni panował porządek wzorowy.

Gospodarz rozmawiał to z Henrykiem to z Barbarossą, którzy widocznie rozmowę jego rozumieli. Głaskał ich, wycierał im wiechciem nogi, które sobie powalały i obiecał im jutro świeżego siana.

— A teraz niezawadzi zajrzéć do wozowni, czy kto kawał skóry nie oderżnął! — ozwał się gospodarz.

W wozowni ujrzał Stefan prześliczny powozik, błyszczący, jakby dziś dopiéro kupiony. Gospodarz obszedł ręką wszystkie obicia, pozmiatał miejscami kurz ze skóry lakierowanéj i zwrócił się na poddasze.

Stefanowi przyszła myśl do głowy, że dobroczyńca jego jest prawdopodobnie właścicielem ekwipażu, który na godziny wynajmuje, pełniąc przytém funkcye furmana!

Bądź co bądź, jednak lepszy nocleg i u takiego człowieka, niżeli na ławce w parku w srebrném świetle księżyca, który za to mógł go należycie oziębić; pogodził się więc na ten raz ze swoim losem.

— A teraz—rzekł do niego gospodarz siadając na stołku—nim spać pójdziemy, trzeba abyśmy wzajemnie coś o sobie się dowiedzieli. Co się ciebie tyczy, mój przyjaeielu, to zaraz odgadłem po twojéj dystyngowanéj powierzchowności, że jesteś również ofiarą doktryn dzisiejszego wieku. Nieprawdaż?

Stefan nie wiedział z razu co ma temu oryginałowi odpowiedzieć, o którym teraz powziął przekonanie, że nim został fiakrem, był prawdopodobnie czemś więcéj.

— Tak... to prawda...—cedził zwolna—wszyscy jesteśmy ofiarami rozmaitych doktryn dzisiejszych.

— Uchowaj Boże!—przerwał z ogniem oryginał—broń Boże, nie wszyscy!. Są tacy którzy tyją na tych doktrynach, którzy jak grzyby właśnie, rosną i pęcznieją wśród téj pleśni, ktora wszystko inne szlachetne zabija!. Są ludzie, którzy właśnie bogacą się i w górę idą na falach tego cuchnącego prądu wieku; ale mówię ci przyjacielu, ci ludzie ani świata nie zbawią, ani ludzkości o cal naprzód nie popchną!. Oni są płodem chwilowéj stagnacyi a niczém więcéj. Oni są tém, czém jest pleśń na chlebie w wilgotnéj śpiżarni: przyjdzie szafarka ze ścierką, obetrze i po niéj!

Stefan usiadł na stołku i wpatrzył się w mówiącego, bo słów jego dobrze pojąć nie mógł.

— Dobrze mój przyjacielu,—prawił daléj oryginał—że ty do nich nie należysz. Mówię ci, że lepszy jest nocleg na ławie w parku dla poczciwego człowieka, niżeli w puchowych pierzynach dzisiejszych bogaczy, którzy krwią poczciwego a głupiego gminu tuczą się!... Dzisiaj być ubogim, jest już zaszczytnie, a ty musisz być poczciwym, jeśli dotąd jesteś biednym, mimo że potrafiłbyś jak widzę, grać rolę bogatego lepiéj od niejednego krezusa z *Kärnthnerring*.

— Jestem wprawdzie w téj chwili ubogim—odparł z uśmiechem Stefan—ale to tylko nadzwyczajny zbieg okoliczności... wypadki nadzwyczajne... zła wola ludzi...

— Daj pokój!. Widzę że się wstydzisz swego ubóstwa i obawiam się że będziesz kiedyś bogatym!. Wstyd ubóstwa to pierwszy krok do grzechu dzisiejszego bogactwa!

Stefan nie wiedział, co na to odpowiedzieć, dał się więc oryginałowi wygadać.

— Widzisz—prawił daléj oryginał—ja jestem także ubogi. Ród mój należy do najdawniejszych rodów germańskich. Przodkowie moi pisali się hrabiami na *Fichtenau* a ja ostatni tego rodu piszę się do dziś dnia *Otto Max* hr. *Fichtenau!*

Na twarzy Stefana malowało się wielkie zdziwienie: spostrzegł to gospodarz.

— Dziwisz się—rzekł z uśmiechem—żem cię przyjął pod mój dach w ścisłém znaczeniu tego słowa.. Uczyniłem to dlatego, bo mam tradycye rodu, że zamek mego praszczura stał zawsze otworem dla spragnionych pielgrzymów i pątników wracających z Ziemi Świętéj!....

Twarz Fichtenauna spoważniała, malowało się na niéj wzruszenie: w téj chwili zdawało się Stefanowi że widzi przed sobą istny obraz rycerza z Manszy!...

— Dzisiaj upadliśmy—mówił daléj Fichtenau—świat wymyślił sobie nowe doktryny, nas nazywa „*feudałami*" i straszą nami ludzi jakby upiorem jakim! Doktryny te tuczą ich, chociaż świat cały coraz niżéj upada a z nim cała ludzkość wstecz się cofa!.... Czyś ty przyjacielu słyszał kiedy, aby prosty burmistrz z małego miasteczka był ministrem państwa? Czy ci się śniło kiedy, aby adwokat, który supliki pisze, zasiadał w radzie korony?.... Tak téż i nawa państwa idzie!... krewni Hohenstauffów, jakim ja jestem, żyją w ubóstwie i zapomnieniu, a inni tuczą się.....

Stefan nie chciał się wdawać w dysputę z krewnym Hohenstauffów, tylko słuchał go daléj.

— To téż widzisz przyjacielu—prawił daléj Fichtenau—jakkolwiek jestem dzisiaj ubogim, nie sięgam jednak po bogactwa dzisiejsze, bo dumy przodków moich jeszcze nie sprzedałem. Patrz, na poddaszu mieszkam, jem kawałek suchego chleba, ale świat nie widzi nigdy mego ubóstwa.

Pokazuję mu się zawsze w pysznym ekwipażu ze służącym w liberyi rodu mego. Inaczéj moi równi i gmin nie znają mnie! Umarłbym, zdaje mi się, gdybym raz na *Kärnthnerringu* bez tego blasku się okazał!

Téraz dopiero wyjaśniło się nieco Stefanowi; dowiedział się że ma przed sobą zubożałego potomka znakomitego rodu, któremu zdaje się że jako prosty śmiertelnik po ziemi chodzić nie może.

Odkrycie to ucieszyło go, bo zawsze była to rzecz bardzo ciekawa. Zresztą, pomyślał sobie, że człowiek ten może mu być użytecznym w sprawie jakiéj przez swoje stosunki.

Rozmawiali jeszcze czas niejaki o Hohenstauffach i dzisiejszych doktrynach a ponieważ sen swego prawa się domagał udali się obaj na spoczynek. Krewny Hohenstauffów pozostał w pierwszéj izbie.

Za kilka chwil, gdy już Stefan na swoim tapczanie w drugiéj izbie leżał, spostrzegł, że grzeczny gospodarz, który mu na odpędzenie myszy głośne chrapanie zalecał, sam go w tym obowiązku wyręczył, gdyż donośnie i regularnie chrapać zaczął, jakby wcale nie był krewnym Hohenstauffów!....

Stefan do różnych swoich przygód dodał i noc dzisiejszą, która nie była bez pewnego uroku. Pomyślał sobie przytem, czy też słowa mistrza jego z Frankfurtu spełnią się kiedy? Był już rzeczywiście bez jutra, a pierwszym zyskiem téj zaleconéj mu sytuacyi była już noc dzisiejsza i znajomość zabrana w sposób tak oryginalny z krewnym Hohenstauffów!!.. A to nie nastąpiłoby nigdy, gdyby z jakim takim zasobem w kieszeni zajechał do hotelu i tam w czterech ścianach się wysypiał!

— Życie bez jutra, pomyślał sobie, może miéć także swój urok, gdyby tylko Pan Bóg nie stworzył zimna i głodnego żołądka! Bez tych rzeczy byłoby znośniéj na świecie!

To pomyślawszy zakrył sobie kilimkiem uszy i zasnął tak słodko, jak już dawno tego nie doświadczał. I właśnie zaczął coś śnić o potomku Hohenstauffów, gdy go nagle jakiś stuk obudził.

Przed nim stał Fichtenau we wczorajszym stroju mastalerza. Trzymał w ręku jakiś garnuszek szczerbaty

i uśmiechał się do Stefana, jakby w tym garnuszku miał dla niego jaką niespodziankę.

Stefan przetarł oczy i spojrzał na zegarek: była już godzina dziesiąta.

— Twardo śpisz przyjacielu—rzekł do niego krewny cesarski—jakbyś był rzemieślnikiem! Ja tymczasem wyczyściłem już obu cesarzów i gnój z pod nich wyrzuciłem. I widzisz, nawet o tobie nie zapomniałem: wypiłem tylko połowę mojéj porcyi, a resztę tobie przynoszę.

Mówiąc to, podał Stefanowi garnuszek. Miała to być kawa, ale trudno było nazwać tę mixturę takiém mianem: był to prosty odwar z cykoryi, bez cukru i zafarbowany fałszowanym mlékiem.

Dla Stefana i taki posiłek w téj chwili był upragniony. Wprawdzie połykając tę polewkę, cisnęły mu się łzy do oczu, gdy sobie przypomniał dom rodzinny, salony baronowéj, i tyle a tyle świetnych wieczorków, gdzie z pańskim kaprysem maczał usta w wytwornych napojach...

— Ale nie myśl mój przyjacielu—mówił daléj oryginał —abym za darmo dawał ci połowę mego śniadania. Już wczoraj powiedziałem ci, że człowiek szlachetny nie powinien przyjmować jałmużny. Otóż mam sposób, że mi tę kawę i inną strawę, jaką z tobą dzielić się będę, należycie odsłużysz pewną grzecznością, jakiéj od ciebie wymagam!

— Cóż pan chcesz, abym uczynił? — zapytał Stefan połykając ostatni haust cykoryi.

— Będziesz moim służącym!—spokojnie odparł krewny cesarzów.

— Służącym?—powtórzył Stefan zadziwiony.

— To jest... będziesz odgrywał rolę służącego!

— W jakiż sposób?

Fichtenau wskazał na liberyą wiszącą na kołku i odparł:

— Ubierzesz się w tę liberyą i pojedziesz ze mną... Mam dzisiaj odbyć kilka wizyt. Pojedziemy do księcia X***, potém do hrabiego Y***, a w końcu do barona Z***. Są to wielkie figury przy dworze!

Stefan patrzał ciągle na mówiącego z zadziwieniem.

— Nie potrzebnie dziwisz się!—mówił daléj Fichtenau —nie wchodzę kto jesteś, bo tajemnice cudze szanuję; ale to powiedzieć mogę, że ta liberya odziewała już ludzi nawet

znakomitych!... Jeden poeta paradował w niéj dwa tygodnie; malarz rodzajowy nosił ją miesiąc; były bankier nie chciał się nawet z nią rozstać, tak mu się podobała: a były tenor opery sztudgardskiéj chciał nawet ją sobie przyswoić, aż organu publicznego bezpieczeństwa do rewindykacyi użyć musiałem!... Wszystkich tych znalazłem również jak ciebie na noclegu w parku pod srebrnym księżycem!...

Stefan spojrzał z większém uszanowaniem na liberyą, która tyle znakomitych ludzi odziewała... Nie mógł jednak powstrzymać ironicznego uśmiechu, gdy sobie dawne swoje marzenia przypomniał!... Było w tém całém wydarzeniu coś tragi-komicznego, co wyciskało łzy, oraz bawiło...

Zresztą, pomyślał sobie, że nikt go tutaj nie zna, że przejechawszy się w roli służącego po mieście, rozpatrzy się w niém, że zresztą patrząc na niektóre rzeczy ze stanowiska lokajskiego, może coś obaczyć, z czego mógłby korzystać potém... a w końcu do wyboru nic nie miał, jak tylko albo ubrać się w liberyą lokaja, albo opuścić dach gościnny dziwaka i iść w nieznane miasto bez grosza w kieszeni!...

I pomyślał sobie przy téj sposobności, co mu mistrz frankfurtski powiedział, że człowiek *bez jutra* wiele rzeczy zrobi, czegoby inny zrobić nie chciał!... A kto wié, może właśnie te rzeczy będą dla niego początkiem jakiego szczęścia, albo przynajmniéj nowéj przygody, która do szczęścia prowadzi?...

To pomyślawszy wstał z tapczanu i z żartobliwym uśmiechem oznajmił swemu gospodarzowi że jak najchętniéj, jeżeli tak potrzeba, stanie się lokajem!...

Uśmiech ironiczny zadrgnął na długiéj twarzy krewnego Hohenstauffów, z oczu ukośnie zmrużonych strzelił na Stefana jakiś pocisk złośliwy. Zdawało się że Fichtenau chciał coś szyderczego mu powiedzieć; ale uśmiech ironiczny niknął a Fichtenau rzekł smutno:

— Jak widzę jesteś dzieckiem wieku! Obawiam się, że nawet możesz być bogatym, jeśli tak łatwo zdecydowałeś się zostać... lokajem!

— Ależ ja tylko chwilowo rolę jego odgrywać będę— zauważył Stefan z uśmiechem.

Kuzyn Hohenstauffów nic na to nie odpowiedział, tylko ręką machnął i wziął się do ubierania.

Ubierał się powoli i z wielką systematycznością. Zdjął grubą koszulę a natomiast wziął cienką batystową. Wszystkie części jego ubioru były nadzwyczaj wykwintne. A gdy w końcu z papierowego pudła wyjął nowiuteńki, błyszczący cylinder i z fantazyą na głowę włożył, Stefan sam swoim oczom nie mógł uwierzyć, że to jest ten sam człowiek, który niedawno gnój z pod koni wyrzucał i zgrzebłem je czesał! Tyle było w nim pańskości i pewnéj dystynkcyi.

Stefan tymczasem napół z uśmiechem, napół ze łzami ubrał się w liberyą, wsadził liberyjny kapelusz na głowę i wziął na ręce białe, bawełniane rękawiczki.

I przypomniał sobie słowa mistrza o pewnych skrupułach, których się ten pozbywa, co nie ma swojego *jutra!*... W innych okolicznościach nie byłby tak prędko wdział na siebie liberyi...

Tymczasem Barbarossa i Henryk Ptasznik już się niepokoiły. Krewny Hohenstauffów wziął lejce i skoczył z elegancyą księcia na kozioł, a Stefan siadł za nim i według reguły lokajskiéj, założył ręce nakrzyż.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O GROBIE DĄBRÓWKI W GNIEZNIE.

(Szczegóły udzielone przez Prof. J. Łepkowskiego).

W książce mojéj *O zabytkach Kruszwicy, Gniezna i Krakowa*, wydanéj w roku 1866, oraz w broszurze *Gniezno i Trzemeszno*, drukowanéj w roku 1863, podałem przy opisie katedry gnieźneńskiéj wiadomość o grobie Dąbrówki i o dwukrotném odkryciu jéj zwłok. Obecnie (pomnażając gromadzone przezemnie materyały do wyczerpującéj przedmiot monografii o grobach i pomnikach królewskich) mam nawet sposobność dopełnienia swéj wiadomości, ogłoszeniem dosłownych opisów z aktów kapituły metropolitalnéj gnieźneńskiéj, dokumentów tyczących się téj sprawy. Odpisy zawdzięczam uprzejmości JM X. prałata Dra J. Zienkiewicza, kanonika gnieźneńskiego. Poczynam od listu hr. Edwarda Raczyńskiego, pisanego do kapituły metropolitalnéj archidyecezyi wielkopolskiéj.

Prześwietna Kapitułol

„Przybyłem do Gniezna dla rozpoznania pomników przesławnéj téj archikatedry. Pragnę przedewszystkiem widzieć otworzony grób murowany przed wielkim ołtarzem, o którym powszechne głosi mniemanie, iż zawiera w sobie zwłoki Dąbrówki.

Dzień jutrzejszy z wielu miar jest niestosowny do tych poszukiwań, mam przeto honor Przesw. kapitułę upraszać:

„Aby mi pozwoliła w późniejszym czasie przystąpić do otworzenia rzeczonego grobu przed wielkim ołtarzem, a to pod dyrekcyą członka Prześw. Kapituły, o którego wyznaczenie upraszam. Poszukiwania te żadnego nakładu Prześw. Kapitule nie sprawią".

Gniezno, dnia 24 kwietnia 1842 r.

(podp.) *Edward Raczyński.*

Ad acta, gdyż żądaniu podającego w dniu 25 b. m. stało się zadosyć, 29/4 1842 roku.

Działo się w Gnieznie na posiedzeniu kapituły zwyczajném czwartkowém, dnia 19 maja 1842 roku.

Wiadomo, że nietylko w mieście tutejszém Gnieźnie, mianowicie przy kościele naszym katedralnym, ale nawet w prowincyi całéj utrzymuje się od niepamiętnych czasów tradycya: że Dąbrówka księżniczka czeska żona Mieczysława, pierwszego monarchy chrześciańskiego w Polsce pochowana jest w kościele naszym katedralnym i że grób jéj znajduje się w środku presbyteryi przed wielkim ołtarzem. Lubo powierzchownie widocznego znaku nie ma żadnego, któryby rzeczony grób wskazywał, oprócz małego krzyżyka, na dwa cale długości i tyleż szerokości mającego, wyrytego na jednym z środkowych flizów w posadzce; to jednak o egzystencyi jego już dla tego powątpiewać nie można, że tu w miejscu są wiarogodni świadkowie, między nimi Ludwik Basiński były sługa kościelny przy katedrze i Wojciech Jax mularz, obydwaj mężowie sędziwi wiekiem, którzy pamiętają i sumieniem wyznawają, jako przed 40stu laty, to jest w roku 1802, gdy przypadkiem kilka flizów w środku presbyteryi się zapadło, i z tego powodu powstała potrzeba reparacyi posadzki, owóż przy téj reparacyi odkryto grób, którego sklepienie w jednéj części się było zarwało, co téż istotnie zapadnięcie flizów było zrządziło. Ówczesna kapituła grób ten świeżo odkryty wewnątrz zrewidować i szczątki, jakie w nim się znajdowały, na widok wydobyć kazała. I wymienieni wyżéj świadkowie, jednozgodnie wyznawają: iż to była trumienka drewniana, circa trzy stopy długości mająca, w któréj się najdowały czaszka i pewna ilość kości z dorosłego człowieka, i szczątki z ubioru, w któréj w jednym końcu przybita była tabliczka blaszana z wybitemi na niéj literami, których liter wprawdzie nie każdy (nawet przytomni tam naówczas liczni księża) przeczytać nie umieli, dlatego, że były napisane charakterem staroświeckim już naówczas nie każdemu znanym; lecz mieszkał w owym czasie tu w Gnieznie pewien szlachcic nazwiskiem Bekanowski, palestrant, mąż w czytaniu i odgadywaniu starożytnych charakterów biegły; ten miał z tabliczki wyczytać wyrazy: „Dąbrówka, żona Mieczysława". Po takiém zrewidowaniu grobu i znajdujących się w nim szczątków, ułożono ostatnie znowu w téj saméj trumience i po ustawieniu jéj napowrót w swojém miejscu, zasklepiono grób i zabudowano takowy z wierzchu flizami czyli posadzką, nie dawszy zresztą innego znaku na oznaczenie grobu prócz małego krzyżyka, który został wyryty na jednym flizie w środku presbyteryi. Takie mając daty historyczne uzasadnione na lokalnéj tradycyi, kapituła teraźniejsza chcąca w tym przedmiocie powziąć pewność, o ile takowa się da wypośrodkować przez porównanie materyalnego stanu rzeczy z miejscową tradycyą, postanowiła przez otworzenie grobu i przedsięwzięcie naocznéj rewizyi przekonać się o stanie rzeczy. Powodem do tego stał się JW. Edward hrabia Raczyński, pan religijnością i cnotami obywatelskiemi bardzo zasłużony w kraju i w literaturze krajowéj, przez wydanie

rozlicznych dzieł, które pracą i nakładami jego na publiczność wyszły. Mąż ten światły, szczególniéj w badaniu i ocalaniu pamiątek historycznych i narodowych gorliwy, porozumiawszy się z JW. Arcy-pasterzem naszym Marcinem Duninem, zjechał wraz z nim tego roku tu do Gniezna na uroczystość ś. Wojciecha na nabożeństwo odpustowe w kościele katedralnym, który piśmienną swoją odezwą z dnia 24 t. m. (tu załączoną) spowodował kapitułę do otworzenia grobu Dąbrówki. Takowe przedsiewzięte zostało w przytomności JW. Arcypasterza, członków kapituły, JW. hrabiego Raczyńskiego, tudzież wielu innych osób. Po podniesieniu flizów okazał się najprzód otwór nad schodami prowadzącemi stopniami do grobu sklepionego, bliżéj ku stopniom wielkiego ołtarza położonego. W grobie ustawiona była na dwoch cegłach trumienka na półtora łokcia długa, sosnowa, zewnątrz i wewnątrz wybita materyą, któréj gatunku rozpoznać już nie można było, gwoździczkami małemi, z żółtemi mosiężnemi główkami, przybitą. Lecz trumienka tak dalece była spróchniała, zgniła i w części z kupy rozchwiana, że już nie całkowicie, lecz tylko cząstkowo, sama i znajdujące się w niéj kości na jaw wydobyć się dały; w trumience była czaszka (niemal z całéj głowy, tylko części twarzy brakuje); daléj były cztery wielkie kości tak nazwano giczele i 22 różnych pomniejszych ułamków kości, między któremi jeden kawałek od piersi, drugi od łopatki rozpoznać się dały, tudzież 5 małych ułamków od czaszki, między któremi pół szczęki spodniéj z sześcioma zdrowemi zębami, tudzież znaczna ilość zbutwiałych płatów od sukien, między któremi kawałek galonka złotem przerabianego.

Kapituła chcąc zapobiedz zupełnemu zatraceniu téj pamiątki historyi, ocalić ją owszem dla potomności i podać ją następnym pokoleniom i wiekom, umyśliła naradzić się między sobą względem sposobu zachowania na przyszłość wydobytych szczątków; i nim w téj mierze nastąpi jaka jéj uchwała. i decyzya, kazano tymczasowie złożyć te szczątki (wraz z trumienką i wszystkiemi prochami) na jednym obrusie, w kapitularzu pod zamknięciem. Gdy tym sposobem dalsze postępowanie w téj mierze odłożone zostało do dalszego czasu; owóż téż i zakończenie niniejszéj czynności nadal odłożoném być musiało, i tylko co do dzisiejszéj sessyi zakończenie czynności nastąpiło.

Przeczytano, przyjęto i podpisano

d. u. s.

Kapituła Metr. Gn.

Działo się w Gnieźnie na posiedzeniu zwyczajném czwartkowém dnia 16 czerwca 1842 r.

W kontynuacyi czynności naszéj z dnia 19 maja r. b. w przedmiocie otworzenia grobu Dąbrówki i pochowania napowrót jéj szczątków, kapituła po naradzeniu się między sobą względem sposobu przechowania na przyszłość tychże szczątków, tak, iżby

pamiątka ich nigdy nie zaginęła; owszem, dla najdalszych pokoleń w najpóźniejsze czasy zachowana była i uczyniwszy potrzebne do tego przygotowania, wyznaczyła dzień wczorajszy do pochowania tychże szczątków.

W tym więc dniu kości wraz z innemi prochami wyniesiono z kapitularza, w którym tymczasowie były złożone, i przebrano je pilnie co do najmniejszych nawet ułamków, od innych prochów drewnianych i płacianych, w takiéj ilości i w takim gatunku jak w czynności z dnia 19 maja są opisane. Po takiém rozłączeniu kości, ułożono je w trumnie z kamienia polnego, (z granitu siwego) umyślnie wyrobionéj, która wiekiem z tegoż samego kamienia wyrobioném, w formie wypukłej, przykrytą i po zakitowaniu wieka ze spodkiem, do grobu wstawioną została, z którego pierwsza trumienka była wyjęta. Inne zaś prochy, jako to drzewo z trumienki, i płaty od sukien były także jedne od drugich odłączone, i pierwsze w urnie glinianéj glazurowanéj o dwoch uszach, porcelanowym blatem przykrytéj, drugie zaś w wazonie porcelanowym takiémże wiekiem przykrytym, ułożone, i w grobie w głowach trumny przystawione zostały. Aby po zasklepieniu grobu, na wierzchu posadzki pozostawić pewny znak miejsce grobu wskazujący, wpasowano i pomieszczono między flizami kamień wapienny, pięknie wygładzony, w formie prostokąta, na 3 stopy długi i 2 stopy szeroki. Zresztą dekretujemy, aby z okazyi poruszenia zwłoków tej pierwszéj na ziemi naszéj chrześciańskiéj księżniczki, za duszę jéj odprawiło się nabożeństwo żałobne ze Mszą Ś. śpiewaną i z wigiliami w przyszłą sobotę, na które całe duchowieństwo katedralne zaproszone będzie.

Nim do zakończenia niniejszéj czynności przystąpimy, nie możemy pomijać umieścić tu niektóre postrzeżenia, dotyczące się starożytności i formy tego grobu. Takowy jest 9 stóp długi, $3^1/_2$ szeroki i 6 wysoki, oprócz schodów, które także do 7 stóp są długie. Starożytności grobu dowodzi materyał, z którego jest zbudowany. Cegła bowiem bardzo jest gruba i długa, i widzi się być téj saméj formy i materyi jak ta, z któréj sam kościół jest zbudowany. Chociaż materyał mocny i miejsce dosyć suche, przecież wiele cegieł jest wypróchniałych, tak dalece, że na kilka cali głęboko w proch się rozsypały. To wypróchnienie cegieł, stało się zapewne przyczyną do zarwania sklepienia, po którém widać, że w znacznéj części w późniejszym czasie naprawioném zostało. Drugi znak dowodzący starożytności grobu, są cztery szyny, czyli ankry żelazne wmurowane po obydwóch ścianach grobu w równéj wysokości: na półtoréj stopy wysoko od posadzki. Od tych ankrów żelazne końce jeszcze wytykają z muru, ale zupełnie od rdzy zjedzone, czyli oxydowane i domyślić się trzeba, że pierwiastkowa trumna, która była naturalnéj wielkości, bez wątpienia stała na tych żelaznych ankrach. Dopiéro późniéj daleko, gdy rdza ankry zjadła i pierwiastkowa trumna się rozsypała, rozrzucone szczątki (zapewne już nie wszystkie, lecz tylko z pewnéj części) pozbiera-

ne i do nowéj małéj trumienki złożone i takowa już nie na ankrach żelaznych (których już nie było) ale na dwóch cegłach, na 20 cali długich, ustawioną została.

Cegły te dwie tak rzadkiéj długości, dotychczas przetrwały, i teraźniejsza trumna granitowa na nich jest ustawiona.

Więcéj nie było do nadmienienia, zaczem czynność powyższa, po przeczytaniu i przyjęciu przez wszystkich członków kapituły podpisaną została.

d. u. s.

Kapituła Metrop. Gnieźn.

(podp.) X. *Przyłuski.*

X. *Brodziszewski.* X. Dr. *Zienkiewicz.*

X. *Walkowski.*

Oprócz członków prześwietnéj kapituły, byli także przytomni przy otwarciu grobu w protokóle powyższym opisanego, niektórzy duchowni, którzy się tu *in perpetuam rei memoriam* zapisują.

(podp.) m. p. X. *Sucharski* Penitencyarz Metr. Gnieźn.

X. *Dorszewski* wikar. katedr.

(podp.) X. *Dyament.*

O MORALNOŚCI LEGEND DRAMATYCZNYCH W GRECYI.

(z M. Eggera.)

przez J. P.

Idea spoczywająca w głębi sumienia ludu helleńskiego, zamykała się w tym wyrazie *Nemesis*. Jakkolwiek wyraz przeszedł do potomności, pocci tegocześni inne do niego przywiązują znaczenie, jak starożytni; Nemesis dla nas współczesnych, to furya uzbrojona chłostą mściwą. Nemesis dla starożytnych jest bóstwem większego spokoju i surowości: to bogini odwetu i równowagi. Starożytni mieli przekonanie, że każde szczęście, wywoływać musi odpowiednie nieszczęście, że rodzina nie może długo pozostawać w pomyślności, że władca nie może długo używać panowania i bogactw, ażeby prędzéj czy późniéj, nie uczepił się do jego kroków złowieszczy geniusz, któryby boleścią, upokorzeniem i nędzą nie zrównoważył dotychczasowéj pomyślności. Oto jest główna idea ludowa o Nemesis. Jest to początek, pierwsze przebudzenie się sumienia ludzkiego, by śledzić rękę Opatrzności w tajemnicy rozlicznych czynów ludzkości. Z tego się pokazuje, że nie ma szczęścia długotrwałego, że nie ma nieszczęścia bez pociechy, a starożytni wierzyli, że w tém pomieszaniu boleści z pomyślnością kryło się jakieś tajemne pośrednictwo: działalność boska. Nemesis, bóstwo, które się nam wydaje jakby jaki szczególny postrach religijny, przecież w pozostałych rysach pomnikowych, nie widać tego postrachu, nie widać tego przerażenia, jakie zwykle rodzi myśl pomsty boskiéj. Nie jest ona bynajmniéj potęgą nieprzyjaciela ludzi; ta Nemesis ukazująca się w pierwszych pomnikach poezyi, której ślady odznajdują, tak w tragedyi, jako też w historyi, która natchnęła pierwszych historyków Grecyi, jak również poddała kilka rysów pierwszemu z owych wielkich poetów tragicznych; ta Nemesis nawet wcześnie usiłuje przetworzyć się, udoskonalić przez instynktowe działanie sumienia, jak o tém przekonywają niektóre sceny jednego z starożytnych twórców poezyi greckiéj. Oto jeden z ustępów, w których wyrywa się sumienie poety i Grecyi, poprawia tradycye starożytnéj religii, podnosi je do czystości moralnéj na to, aby je postawić niejako na równi z nowemi potrzebami duszy, podniesionéj wyższą moralnością.

„Ludzie powtarzają oddawna starożytne przysłowie: że wielka „i nieograniczona pomyślność płodzi ziarno, które nie jest bez owocu, „bo z szczęśliwego losu wyrasta latorośl nienasyconéj boleści. Ale ja „inaczéj sądzę: czyn bezbożny płodzi i zostawia po sobie mnóstwo „czynów tak bezbożnych jak ich matka, lecz z rodziny sprawiedliwéj wy- „rasta zawsze sprawiedliwa i piękna potomność.“ (Eschylos Agame- „mnon) (1).“

Ale ja inaczéj sądzę, to znaczy że ja nie poprzestaję na téj ślepéj równowadze, szukam innéj moralności i oto jest:

„Stara zbrodnia rodzi kiedykolwiek, gdy nadejdzie oznaczo- „na godzina, młodą nieszczęśliwą rodzinę zbrodni. Geniusz ciemności „z oddechem obrzydłym, bezbożnym i nieprzepartym rzuca czarne „nieszczęście w głąb gmachów pałacowych, potwor podobny tym „z których powstał.

„Sprawiedliwość jaśnieje w domach cichych i uzacnia życie świę- „tobliwe; lecz ucieka odwracając spojrzenia od mieszkań złoco- „nych, gdzie ręka nie jest bez zmazy: unika nieczystego dotknięcia. Nie „czci wcale potęgi złota, jeśli ono naznaczone piętnem hańby; ale kie- „ruje wszechświat ku swemu celowi“ (2).

Wówczas poeta wykazuje, jak pomyślność prowadzi zwykle władców do dumy, duma do gwałtów, wywołujących wzburzenie poddanych, sprawiedliwy gniew bogów. Tak więc nie jest to wcale brutalna, prosta równowaga między pomyślnością a nieszczęściem, ale widocznie przyczyna moralna, która tworzy karę występnéj potęgi, kiedy ona bez granic oddaje się upojeniom swoim. Czyż tu się

(1) „Stara to powieść między ludźmi chodzi,
Że każdy szczęśliwy téj ziemi,
Bez dziatek ze świata nie schodzi;
Ale nad dziećmi ludzkiemi,
Nieprzeliczone nieszczęść bujają nasiona:
Alem ja innéj myśli: wiem że z złego łona,
Złe strumieniem szerokim leje się obficie:
Z dobrego domu
Poczciwe się rodzi dziecię.
(*Przekład Józefa Szujskiego*).

(2) Bezdzietną, bo krzywda nie schodzi ze świata,
Czas przyjdzie, a demon z niéj zemsty wylata
Twardy, niezłomny, niezgięty;
Boginie zguby, do matki podobne
Na ściany domu drapią się żałobne,
Aż padnie w posadach wstrząśnięty.
Lecz sprawiedliwość z dymiącéj lepianki
Wychodzi z jasném obliczem niebianki,
Krocząca drogi prawemi:
Bogactwy gardząca, gdy krzywda je plami,
Gdy skarby nieczyste, gardząca skarbami
Dank daje dobremu na ziemi.
(*Przekład J. Szujskiego*).

nie wyrywa krzyk sumienia ludu odbijający się w potężnym głosie, jaki mu nadaje poezya Eschylesa. Zachowuje on w swéj wielkości i piękności jakiś charakter niepewny i nie określony, po którym poznaje się męczarnie wewnętrzne duszy ludzkiéj w puszukiwaniu ideału większéj prawdy i czystości, w poszukiwaniu pojęcia Opatrzności *wiodącéj wszystko ku swemu celowi*, prowadzącéj ludzi do szczęścia, jeśli życie ich było czyste, do nieszczęścia, jeśli na nie swemi błędami zasłużyli. Oto jest Nemesis, która się stała ideą wymiaru sprawiedliwości rozdzielającéj kary i nagrody.

Są jeszcze inne poglądy na ten układ życia ludzkiego wypływające z sprzeczności żywota skromnego i uczciwego z wielkością nieuczciwą. Jest to pogląd, że tak powiem, ściślejszy, który poezya, a nawet sam język grecki określa jednym wyrazem, nadając mu wedle potrzeby znaczenie i wpływ szczególnéj doniosłości: tym wyrazem jest *przekleństwo*. Gdy człowiek ginie jako ofiara od równego sobie, zostaje mu broń przeciw występcy: tą bronią jest *przekleństwo*.

Przekleństwo nie jest tu prostém słowem wyrywającém się z ust ofiary, jest ono czémś więcéj; jest niejako istotą żyjącą; posuwa stopy, rozwija skrzydła, by ścigać zabójcę, i kiedykolwiekbądź doprowadzić do poniesienia zasłużonéj kary. Jest ona w rękach ofiary bronią pomsty, którą zdaje się, że sami bogowie porywają i przekleństwo człowieka przeistacza się w przekleństwo samego Jowisza; a to przekleństwo Jowisza ma swoich wykonawców w *Erynnach*, które ścigają występnego dopóki go nie dosięgną i nie zmuszą do odwetu za krew przelaną. Tym to sposobem poezya posiada tajemnicę tworzenia istot żyjących z myśli oderwanych.

„Bolesny i ostry pocisk, przeszywający łono ofiary, słusznie „zwraca się, (bo bezbożność nie może upaść na ziemię, żeby jéj nie „podniesiono) i uderza tych którzy przeciw wszelkiéj sprawiedliwości, „gwałcą święte przez Jowisza ustanowione prawo, które ma stałe zasady. „Oto przeznaczenie ostrzy stal swego miecza, i śle do domu syna krwi „przelanéj. Z czasem ukarze zbrodnie wielka Erynna, głębokich my„śli.“ (Eschyles, Choëfory, koniec trzeciego chóru).

Z tych już wyjątków można sądzić o potędze malowniczéj mowy greckiéj, która przelaną krew przemienia na syna padłéj ofiary, i śle go jako mściciela w pogoń za zbrodniarzem.

„Wielka Erynna głębokich myśli,“ to Furya mścicielka; ona powstała z krwi przelanéj i w imieniu bogów staje się zawziętym demonem tego, który przez ich sprawiedliwość został osądzony.

Przysięga jest jeszcze jedną z tych istot moralnych, które w wyobraźni poety, często nawet w wyobraźni wieszczów wydających wyrocznie imieniem bogów, przybierają „ciało, ducha, i lica.“ Nie jest to utwór nędzny poety gwałtem pragnącego ozdobić poemat epiczny. Tu poeta potęgą głębokiego natchnienia nadaje wyrażeniom najprostszym, najzwyczajniejszym, doniosłość dramatyczną i religijną.

Oto wyrocznia, której data bezwątpienia wyprzedza o jeden lub dwa wieki początek teatru greckiego; wyrocznia wydana jednemu ze Spartan, który mając sobie powierzony skarb, uległ występnej

myśli przywłaszczenia go sobie pragnąc dowieść krzywoprzysięstwem, iż skarb nie był mu powierzony. Myśl tę z dziecinną nieśmiałością ówczesnych Hellenów poddał bogowi Delfów, a bóg ten mu odrzekł:

„Glaukusie synu Epicydesa, nateraz wygodniéj ci będzie przez „przysięgę plan twój wykonać i skarb ogarnąć, a więc przysięgnij (fałszy- „wie) kiedy śmierć dosięga nawet człowieka wiernego swojemu słowu.

„Lecz krzywoprzysięztwo ma syna bez imienia, bez rąk i bez „nóg, a który przecież niemniéj jest lotny, i ściga dopóki nie ujmie „i nie wytępi całego rodu, całego plemienia.

„Człowiek uczciwy przeciwnie, zostawia po sobie potomstwo „szczęśliwe.“

Tradycya spartańska opowiada, że Glaukus usłyszawszy tę wyrocznią wstrzymał się od przywłaszczenia powierzonego sobie skarbu, i wiernie go oddał. Lecz bóg Delfów na równi z krzywoprzysięztwem ukarał samą myśl niecną. Glaukus umarł w nędzy, w nędzy było potomstwo jego, a w czasach gdy tę legendę jeden ze Spartan opowiadał Ateńczykom, już z domu przez winowajcę zamieszkałego ani jeden nie pozostał kamień. (Herodot, VI, 86).

Oto z jak głęboką i zbawienną trwogą, walczyło ciągle sumienie Hellenów w tych właśnie czasach, które nam dotąd podawano za wieki grubych przesądów, za wieki religii nieokrzesanéj i nieprzynoszącéj dla ludzkości żadnéj korzyści. Przeciwnie, w tych wiekach właśnie istnieje głębokie uczucie moralności, ciągła usilność pojednania słabości ludzkiéj z nigdy niewygasłemi prawami sprawiedliwości boskiéj. Jeźli to wszystko nie jest moralnością, gdzież jéj szukać należy?

Takie idee rozwijały się, przybierały formę legendy lub snuły się w jednéj seryi dramatów, w których przeciągała się jedna akcya, a w niéj biło życie religijne i poetyczne, zmierzając zawsze do jednego wniosku, do jednego dogmatu teologii helleńskiéj. Jako dowód tego dość przytoczyć kilka znanych przykładów.

Dzieje dwóch rodzin Edypa i Atreusza, pozostawiły dla Hellenów najsmutniejsze pamiątki, źródło scen najdramatyczniejszych, dające najwięcéj natchnienia genialnym tragikom.

W dziejach tych rodzin odbija się walka wszystkich namiętności, które dusze człowieka, to podnoszą, to rozwijają, to gwałtem ciągną w jednym kierunku, to miotają bez sił na wszystkie strony.

Widać jak sumienie sili się, tam otworzyć sobie drogę przez pomrokę życia wewnętrznego, jak pragnie wcisnąć tam promień światła moralności. W takiéj legendzie na każdym kroku, spotyka się z tak zwanym u Greków fatalizmem (fatum), działaniem nieuniknionem boskiéj potęgi, która panując nad wolą ludzką ogranicza w części jéj niezależność. Jednakże jakikolwiek przypada udział dla téj boskiej potęgi niedopuszczającéj oporu, przecież widzieć się daje jak w każdym obrazie téj legendy są chwile, w których dusza przychodzi do zupełnéj swéj niezależności. Ztąd wypływa że wolność piętnując działania ludzkie czyni je działaniami moralnemi, do których słusznie przywiązana jest nagroda gdy są uczciwe, kara gdy występne.

Na wstępie legendy o Edypie ukazuje się postać Lajusa ojca tego króla Tebów. Lajus rozpoczął życie wielką zbrodnią. Przyjęty w dom monarszy, młodość syna jego skaził zepsuciem. Wyrocznia przepowiedziała mu, iż za karę przestępstwa, jeśli się ożeni, i będzie miał syna, to syn ten stanie się jego zabójcą. Lajus mimo to, ożenił się i został ojcem. Odtąd zagrożony ciosem z rąk własnego dziecka pragnął zatracić owoc swego małżeństwa, wyrzucił go z domu. Dziecko cudem ocalało wychowane w pałacu obcego księcia; tam niepokojone swém urodzeniem, przeczuwając w niém jakąś tajemnicę, udało się z zapytaniem do wyroczni, a wyrocznia mu odrzekła, iż przeznaczeniem jego jest zabić własnego ojca. Zdaje się, iż po tych słowach nie może uniknąć śmierci, jaką mu fatum zgotowało. Lecz jakiś czaś mija. Edyp na szerokiéj drodze spotyka jadącego na wozie nieznajomego w otoczeniu kilku sług. Powstaje sprzeczka pomiędzy ludźmi orszaku, a młodzieńcem. Edyp unosi się, zabija woźnicę, samego zaś starca rani śmiertelnie. Jakto! wiedząc o tém, iż przeznaczeniem jego zabić ojca, bez żadnego wyzwania, z lichego sporu, na otwartéj drodze, ten człowiek podnosi rękę na nieznajomego, chociaż wie dobrze, że król który go wychował i obsypał dobrodziejstwami, nie był ojcem jego.

Z tego widzieć się daje, że i on posiadał chwilę swobody moralnéj, krótką wprawdzie, w któréj przecież mógł był przewidzieć skutek i powstrzymać się. Nie uczynił tego. I otóż został zabójcą Lajusa. Po tym wypadku przybywa do miasta, które utraciło króla i dotknięto jest klęską. Edyp uwalnia je od téj klęski przez swój rozum i poświęcenie. Wdzięczność ludu oddaje mu koronę i rękę królowéj wdowy. W téj królowéj Edyp nie poznaje wdowy po zabitym, nie przypuszcza nawet, żeby nią być mogła, i tym sposobem staje się mężem własnéj swojéj matki. Z tego związku przychodzą na świat dwie córki i dwóch synów; poczém lata upływają, nieszczęścia spadają na miasto co osłaniało i czciło bezwiednie tak wielkiego zbrodniarza, i bezwiedném uwielbieniem uświęciło tak wielką zbrodnię. Edyp znów zapytuje wyrocznię; powoli spadają zasłony i przed oczyma jego wychodzi na jaw cała tajemnica istnienia jego i jego czynów. Widzi, że jest ojcobójcą i kazirodcą, karze się dobrowolnie wydzierając sobie oczy, wówczas gdy jego matka, a zarazem żona nie mogąc dłużéj znieść podobnéj sromoty, własnemi rękami śmierć sobie zadaje w głębi swego pałacu.

Po dokonaniu takich okrucieństw, zdaje się, że sprawiedliwość bogów wyczerpała już ostatek surowości swojéj. Edyp sam się ukarał, straszny ból rozrywa jego sumienie na widok ofiar i zbrodni własnych. Bogowie sami mają już litość nad nim. Edyp pokutujący, ukarany własnemi rękami zasługuje na poszanowanie, na współczucie przynajmniéj tych, którzy go otaczają. Kto zaś takiego obowiązku nie spełnia, staje się znowu przestępcą. Takiemi przestępcami są dwaj jego synowie. Teraz ich obu ściga pomsta bogów za brak jakiejkolwiek litości dla starca, co upadając pod ciężarem wyrzutów sumienia, jeszcze miał tyle siły, iż sam się własną ręką ukarał. Synowie jego oddani są na pastwę pomsty boskiéj, bo wzgardzili

wielkiém prawem moralności, prawem osłaniającém winowajcę, które nakazuje zapomnieć o przeszłości przestępcy, skoro mu bogowie przebaczyli.

Tak więc na każdym kroku ukazuje się myśl moralna téj pięknéj tradycyi z historyi Edypa i jego dzieci. Nie dosyć na tém: legenda rozumnie łagodząc okropność tych strasznych obrazów, stawia obok Edypa postacie pełne wdzięku i tkliwości, Antygonę i Ismenę dwie córki Edypa, młodziutkie naówczas, które poświęcają się dla ojca, pójdą za nim na wygnanie, i aż do chwili w któréj znajdzie przytułek w Atenach, będą mu podporą w starości i nędzy. Tutaj legenda nie wiedząc jak rozwiązać zagadkę jego przeznaczenia przypuszcza, iż on w nagrodę za udzielone mu przez gościny gród schronienie, przynosi z sobą rodzaj tajemniczego poświęcenia stanowiącego szczęście. W Atenach panował naówczas Tezeusz, a do czasów Tezeusza, właśnie odnoszą się pierwotne instytucye, z których tak dumny był lud ateński. Edyp przybywa do Aten. Wié, że tam jest kres jego przeznaczenia; sam o tém mówi, gdy mu opisują miejscowość, któréj oczy jego już widzieć nie mogą. Słyszy „głos swego przeznaczenia.“ Razem z Tezeuszem dzielącym tajemnicę bogów podąża ku miejscu opodal miasta leżącemu do pieczary z wejściem tylko znaném, lecz któréj głębokości nikt nie śmiał zbadać; przedziera się, dochodzi do pewnéj odległości zawsze przy boku króla swego przewodnika. Tu król się zatrzymuje, gdyż bogowie daléj iść mu nie pozwalają. Edyp wówczas znika; śmierć jego ma wszelkie godło tajemnicy religijnej, a ową tajemnicę tworzy świętość przebaczenia bogów, po doznanym żalu za winy. Przebaczenie to tajemnicze stanowiło pewien rodzaj wzniosłéj cnoty dla ludu, który był téj świętości świadkiem, i który okazał tyle ludzkiego współczucia, przyjmując gościnnie starego Edypa. Ostatnie słowa Edypa do Ateńczyków, stały się jakoby rodzajem „testamentu,“ którego pamięć przechowała się od pokolenia do pokolenia, i uświęciła w oczach wiary ludowéj wielkie zdarzenia, na które składają się błąd, obłąkanie, zbrodnia, i zarazem nowa świętość duszy oczyszczonéj zgryzotami sumienia. Tak się kończy z Edypem długi szereg nieszczęść rodziny Lajusa, od których nie jest wolne potomstwo.

Synowie Edypa odepchnęli i wypędzili ojca swego. Jeden z nich jednak pragnął go wykryć i ściągnąć z wygnania, aby ojca użyć za narzędzie do wykonania swych widoków na przyszłość. Lecz Edyp na obudwóch synów rzucił przekleństwo, a przekleństwo to stało się dla nich narzędziem wzajemnego zabójstwa i nędzy. Pod murami miasta stoczyli we dwóch utarczkę i obaj polegli zamordowani wzajemną bratobójczą dłonią. Obok tak straszliwych scen, legenda dla kontrastu wrażeń stawia obraz poświęcenia się Antygony. Siostra nie może tego znieść, aby zwłoki brata jéj Polenika bez pogrzebu poniewierały się na ziemi, chociaż taka była wola Kreona, stryja, jako króla, w którego oczach Polenik był winnym za chęć przywłaszczenia sobie władzy najwyższéj. Antygona postanowiła przekroczyć ten

zakaz. Miłość brata wystąpiła do walki z zakazem stryja. Wypełniła więc ostatnią przysługę religijną, i zwykłym pogrzebem uczciła zwłoki Polenika. Za to Kreon skazał ją na śmierć. Jednocześnie Kreona ściga pomsta bogów za wzgardę najwyższego ze wszystkich praw na ziemi, prawa, które (jak poeta wywodzi) nie jest pisane, a przecież równie jest świętém, bo się wyrywa z sumienia ludzkiego prawa. Syn Kreona kochając młodą bohaterkę Antygonę, przebija się mieczem. Tak więc w ostatnim akcie tych straszliwych dziejów, dwie niewinne ofiary śmierci, przeszywają serce kata wiecznym wyrzutem sumienia i nieskończonym żalem.

Jakaż to potęga życia moralnego krąży w każdéj części legendy Labdacydów, i czém ona była na scenie ateńskiej pod czarem świetnego wykonania, z chórami, z towarzyszeniem muzyki, dziś już straconéj, może na zawsze, a która jak świadczą starożytni, wywierała wrażenia przenikające do głębi dusze widzów.

Była jednakże tradycya bardziéj nauczająca i jaśniejsza, (jeśli tak nazwać można) w swych następstwach teologicznych: tradycya Atrydów, Agamemnona i Menelausa. Tam również złe i dobre, zbrodnia i cnota, pomyślność i nędza, łączą się w nieład dramatyczny, z którego poeta, niemal teolog wyprowadza naukę, wykazując walkę sumienia pojmującego coraz głębiéj ideę opatrzności sprawiedliwéj.

Na wstępie téj historyi ukazuje się wiarołomstwo Tyesta, kalające dom swego brata Atreusza, następnie Atreusz mszczący się straszną ucztą, na któréj podaje bratu rozszarpane członki własnych jego dzieci; daléj wiarołomstwo Heleny, pomsta za nie bohaterów sprzysięgłych na zgubę Troi, zabójstwo Ifigenii, dokonane przez ojca dla zapewnienia pomyślności świetnemu przedsięwzięciu;—i oto sprawca takiéj ofiary, zaraz po swoim tryumfie zastaje domowe ognisko skalane, i pada ofiarą Egista i Klitemnestry. Lecz z krwi Agamemnona powstaje mściciel dla ukarania Klitemnestry, jak z krwi Ifigenii powstał mściciel dla ukarania Agamemnona. Tym mścicielem jest syn Orest, który zabija Klitemnestrę matkę własną, popchnięty do téj zbrodni namową i krzykiem rozpaczliwym siostry Elektry i chóru wyobrażającego naród namiętnie kochający rodzinę królewską, a z nią sprawiedliwość, lecz sprawiedliwość jako prawo odwetu zachowane w całéj swéj surowości.

Przypatrzmy się bliżéj tym walkom różnorodnych namiętności rozdzierających tajnie serca ludzkiego.

Oto występuje chór i zwraca się do Oresta i jego siostry w chwili, kiedy oboje gotowi są do wykonania pomsty na Klitemnestrze za śmierć Agamemnona:

„O wy potężne Parki! niechaj z niebios spada wyrok, zgodny „z głosem sprawiedliwości! niech hańbą za hańbę płaci: tego dopomina „się sprawiedliwość i woła o swe prawa. Krew za krew! krzywda za „krzywdę!“

Poczem odzywa się do Oresta:

„Synu mój, pożerający ogień nie schłonie duszy umarłych; „z czasem znowu on wybuchnie. Ofiara zrywa się z wściekłością; za-

„bójca zjawia się w dzień jasny. Obudzone uczucia braci i ojców pę-
„dzą do celu swego.“

Zwraca się do Elektry, a ona śpiewa pieśni żałobne:

„... Bóg, skoro zechce spuści nam słodsze dźwięki, a zamiast pogrzebowych pieśni, pieśń tryumfu zabrzmi w pałacu tryumfalnych libacyi....“

OREST.

„Jakoby ostrze miecza słowa twoje przeszywają me ucho. Jo-
„wisz, tak, Jowisz rzuca z głębi piekieł spóźnioną zemstę i tę zemstę
„wykonywa dłoń zbrodnicza nędznych istot, lecz spełniających przy-
„najmniéj obowiązek synowski.“

Jakaż to burza namiętności w śród których przerzuca się sumienie Oresta walcząc pomiędzy świętością jaka mu się z piersi wyrywa na wspomnienie matki, a głosem, któremu wtórują (to właśnie co stanowi wspaniałość tragedyi greckiéj) pierwszorzędni aktorowie, chóry i cały ród Hellenów zajmujący przed sceną tysiącami wszystkie „miejsca w teatrze.

Oto stawa przed oczyma żywe przekleństwo uosobione! Zawsze to myśl poezyi ludowéj która się odbiła w poezyi Eschylesa, a do któréj on dodał własną znajomość serca ludzkiego.

Sprawiedliwość jest zawsze nieugięta, zawsze żąda krwi za krew, i zawsze pod postacią Erynnów lub Furyi dokonywa dzieła nieubłaganego odwetu. Nie ma ona innego trybunału, innéj świętości, prócz serca istot nieszczęśliwych, które skłania do mordu mimo oburzających się na to uczuć uszanowania i przywiązania synowskiego.

Nic dramatyczniejszego jak widok tego miotania się bolesnego, w którém w końcu biorą górę porywy gwałtu.

CHÓR.

Niechaj mi wolno będzie śpiewać głośno hymn żałobny nad zabójcą ukaranym śmiercią i nad żoną umierającą z nim razem!...

OREST.

Niech obydwoma rękami uderzy Jowisz! Tak i niech zgruchoczę dwie ofiary dla szczęścia kraju! Żądam tylko okupu za zbrodnie. Słuchajcie mię ziemio, i wy bogowie podziemni, którym obelgę wyrządzono.

CHÓR.

Prawo za krew przelaną na ziemi żąda nowéj krwi przelewu. Zabójstwo wywołuje Erynny, a te po pierwszém nieszczęściu przywołują nowe nieszczęścia.

ELEKTRA.

Gdyby się inaczéj stało, czemżeby była władza bogów podziemnych? Jakież potężno przekleństwo zmarłych! w jakiémże rozbiciu dom Atreusza, jakaż hańba spadła na ród cały!... Tego niczém wstrzymać, niczém złagodzić niepodobna.

... Bo jak wilczycy dała mi taka matka serce bez litości...

A ja co żyłam bez czci, wypędzona z wzgardą, zdala od ogniska domowego, jak pies dotknięty zarazą znosiłam pośmiewiska najdotkliwsze, i w ukryciu łałam bez ustanku łzy boleści... (Eschyles Chocfory, wiersz 305 i dalsze).

Zabójstwo Klitemnestry spełnione. Lecz po jego spełnieniu oburza się sumienie Oresta, a umysł jego wpada w obłąkanie. Czy zbrodnia jego będzie znowu przedmiotem straszliwych Erynn? One więcéj mają władzy nad nim niż nad matką. Tym sposobem fatalny łańcuch coraz bardziéj się ściska i nieszczęśliwą rodzinę zmusza do zbrodni i odwetu.

Trzeba zerwać ten łańcuch dla podniesienia sumienia przywalonego potwornym związkiem niewinności ze zbrodnią. Trzeba koniecznie od jednego razu, aby wyswobodziła się ludzkość z takiego prawa, które przy tém zdarzeniu utrzymać się niemoże, bo zarząd świata opierać się musi na uczuciu dobroci i sprawiedliwości. W dalszym więc ciągu sumienie ludowe rozwięzuje tę zagadkę straszliwą zjednoczenia niewinności ze zbrodnią. Sumienie ludowe marzyło o doskonalszéj sprawiedliwości bogów i doskonalszém wykonaniu na ziemi odwiecznych praw nadanych przez bóstwo.

Orest jest ostatnim potomkiem Atrydów, którego dosięga fatalizm zbrodni i szereg odwetów spadkowych i nieubłaganych. W ciągu długiego wygnania ścigany przez Furye, które z grobu matki wybiegły udaje się do do Delfów. Staje w świątyni Apollina. Apollo uosabia tu nowy zwrot sumienia, łagodności i ludzkości w obyczajach Hellenów; zjawia się on, jakoby pełnomocnik przebaczenia boskiego, lecz już nie owego mistycznego, tajemniczego, jakie nam ukazuje legenda Edypa, ale przebaczenia, które utworzyła rozwaga i zasady sprawiedliwości. Orest tak długo dręczony wyrzutami sumienia znajduje nakoniec spokój pod schronieniem opiekuńczém Pythyi delfickiéj, kapłanki przewodniczącéj w świątyni Apollina; sam Apollo odpędza Furye od Oresta i zapewnia mu ucieczkę do Aten, a w Atenach ścigany, napotyka Minerwę boginię czystości, odwagi i przemyślnéj czynności, która zarazem jest boginią łaski; tamto przed sądem Areopagu, którego wspomnienie łączy się ze wszystkiem, co jest najczystsze w pojęciu sprawiedliwości ludzkiéj, uroczyście toczy się sprawa Oresta zabójcy matki z Furyami nastającemi o karę za zbrodnię w obec Apollina i Minerwy. Zdanie sędziów wyrokujących są równo podzielone, lecz Minerwa rzuca do urny sądowéj głos wybawienia i zapada wyrok, iż odtąd na przyszłość przestają Furye czyli Erynny ścigać Oresta zemstą boską, i odtąd też zamiast *Erynnami* zwać się będą *Eumenidami*, to jest „życzliwemi,“ że Ateńczycy

wystawią im świątynię, i w niéj składać będą ofiary, a kiedy tym sposobem Eumenidy stają się bóstwami, będą one odtąd wraz z Apollinem i Minerwą wznosić chwałę ludu ateńskiego, tego ludu, który ze wszystkich narodów greckich sam jeden najwięcéj odznacza się miłością ludzkości. Czemże więc jest takie oczyszczenie Oresta i zjawienie się Eumenid? oto niczém więcéj jak zupełném usunięciem niedostatecznéj moralności, a przedstawiającéj dotąd bogów starożytnego Olimpu. Sam Jowisz zmienia swój charakter, a Jowisz gromowładca srogi, staje się pełnym łaski i pobłażliwości; już wykonawcami rozkazów jego przestają być Furye, które dla ukarania za pierwszą zbrodnię pędziły przestępcę od zbrodni do zbrodni, tak, że duch człowieka nie miał ani odpoczynku ani wytchnienia na téj drodze krwawéj, na któréj przez pierwszy błąd wepchnięty został. Jowisz już nie narzuca, a nawet nie wykonywa wyroków ślepego przeznaczenia (Fatum), lecz poddaje się wyrokom zgromadzenia mędrców. Samowola ustępuje przed sumieniem ludowém.

Tu mimo woli prawie nasuwają się na myśl owe wyrażenia starożytnych poetów. Gdyż tak samo jak w pierwszej legendzie jest: „przekleństwo za głosem ludu," co powtarza Eschyles, tak samo jest „ułaskawienie za głosem ludu." Stało się światło w sumieniach wszystkich, i to światło oświeciło religię. Otóż owo działanie sumienia ogółu, jest także działaniem filozofów: epoka Eschylesów, Sophoklesów, jest również epoką Sokratesa; wielki zaś moralista utrzymuje, w Platonie to zdanie, że wymowa sama przez się nie może uratować winnego od zasłużonéj kary, że dla przestępcy jedyny środek zbawienia, jest sama kara, i że tém samém, skoro dusza utraciła swą czystość pierwotną czynami godnemi gniewu boskiego, jeden jéj tylko zostaje środek odkupienia: niech sama spieszy po zasłużoną karę, i niech domaga się wyroku sędziego co ją ma potępić.

Oto, co wymową potężną rozwija Sokrates w jednym z dyalogów Platona. Moralność ujęta filozofią szkoły Sokratesa nie różni się wcale od moralności legend ludowych.

Jak dalece Ateńczycy uważali swych poetów za teologów i moralistów, dowodem tego jeszcze niektóre zdarzenia, jakie ich dzieje podają. I tak:

Sofokles zakończył życie. Sofokles jeden z najznakomitszych tragików greckich, który w obrazach dramatycznych przedstawiał swym ziomkom najszlachetniejsze sceny z mitologii Hellenów. Grób dla wielkiego poety był przygotowany pod Atenami w polu. Właśnie w tym czasie, miejsce to opanował nieprzyjaciel Aten Lyzander, wojskiem licznem, mającém już przez ostatnie natarcie dokonać zwycięztwa i zdobyć Ateny. Jakżeż tam przenieść szczątki poety, i dopełnić uroczystości pogrzebowych?

W téj saméj nocy Lyzander miał szczególny sen: zjawił mu się Dionysius bóstwo wszelkich uroczystości, przy których zawsze przedstawiano ludowi tragedye Sofoklesa. Lyzander nie zrozumiał tego zjawiska. Bóstwo więc powtórnie staje przed nim, i przestrzega go, że ma wielki obowiązek do spełnienia. Lyzander zaczął zbie-

rać wiadomości, i dowiedział się, że Ateńczycy stracili swego wielkiego poetę, że pragną uroczysty pogrzeb mu sprawić w miejscu zajętém przez nieprzyjaciela. Lyzander natychmiast rozkazał usunąć się szykom swym bojowym; a Ateńczycy z największą uroczystością zanieśli popioły i złożyli w grobie tego, którego geniusz wlał w religię Hellenów nowy blask i nową siłę. Nie ma wątpliwości, że to jest legenda, ale lengendę taką, taki tylko naród mógł utworzyć.

W kilka miesięcy potém Lyzander był panem Aten. Narzucał rzeczypospolitéj ateńskiéj najdotkliwsze upokorzenia, zmusił naród do zaprowadzenia u siebie rządu arystokratycznego, naród, który zawsze tém się chlubił, że od niepamiętnych czasów, od wieków bajecznych hołdował tylko czystéj demokracyi. Wydał rozkaz zniesienia murów otaczających Ateny, a nawet na radzie wojennéj w porcie Pirejskim już stanowiono zburzyć do najmniejszego śladu Ateny, napełnione arcydziełami sztuki, brzmiące jeszcze melodyami cudownéj poezyi i wymowy. Na téj radzie dzikich żołdaków upojonych bez granic zwycięztwami swemi, przypadkiem dał się słyszeć głos śpiewaka Tebańczyka, głos który powtórzył wyjątek z chóru tragedyi Eurypidesa i to z téj sceny, gdzie maluje się poniżenie, hańba i boleść córki Agamemnona w pałacu ojca, w pałacu skalanym wiarołomstwem, i zakrwawionym zbrodnią. Na ten głos łzy potoczyły się z oczu wojowników, myśl zagłady znikła i Ateny ocalone zostały.

Jest nie mało dowodów uczucia z jakiém cała Grecya uchylała się przed wielkością moralną tego małego miasta stanowiącego jednak, prawie przez cztery wieki stolicę ucywilizowanego Zachodu. W świątyni Minerwy wykryto spisy darów składanych w ofierze opiekuńczéj bogini Aten, która była uosobieniem ludu ateńskiego i jego geniuszu. Pomiędzy temi darami zapisaną jest szczerozłota korona ofiarowana bogini przez Lyzandra dowódcę Spartan. Tak więc ów zręczny wojownik, zwycięzca plemienia doryckiego nad jońskiém, bogini najczystszéj, chociaż opiekuńce miasta nieprzyjacielskiego składa dar pokutniczy. Taki był urok geniuszu ateńskiego na całą Helladę.

W tych podaniach i legendach mnóstwo napotykamy prawd głębokich, które ważną nawet dla naszego wieku przynoszą naukę. Wszystkie pozostałe po Grekach arcydzieła nauk i sztuki przynoszą zwierciadło życia ludzkiego przez ciąg tylu wieków i stanowią dzieje postępu sumienia moralnego i religijnego. Owe odważne poszukiwanie prawdy i dobra jest najlepszym przykładem. najwyższą nauką, jaką kiedykolwiek dali ludzkości mieszkańcy starożytnéj Hellady.

WIEK JANA KAZIMIERZA

w głównych przedstawcach piśmiennych.

I.

SZYMON STAROWOLSKI.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Okres literatury naszej z wieku Jana Kazimierza uważany jest zwykle za jeden z najsmutniejszych w jéj biegu. Ten zamęt, ten bezład i ten upadek, które się stały były w tym czasie wyrazem dziejów zewnętrznych kraju, odnoszone są zwykle i do jego dziejów pismiennych. Zewnętrznie makaronizm, wewnętrznie panegiryzm,—dzikość, potworność, nicość,—to zdaniem wszystkich prawie historyków naszéj literatury główna i jedyna rzetelna charakterystyka owego okresu. Zdania te są jednak wyraźnie błędne. Makaronizm, panegiryzm, i nicość były to istotnie, prawie jedyne cechy naszéj literatury pięknéj w epoce saskiéj, lecz okres który przegradzał tę epokę saską od złotéj, odmiennéj jeszcze był barwy. Utwory literackie główne z tego pośredniego okresu nie tylko nie ustępowały wartością utworom poprzedniéj epoki, lecz nawet pod nie jednym względem i przewyższały je. To co wpływało głównie i wpływa na tak ujemne a mylne wyobrażenie o naturze téj pośredniéj epoki, jestto: nie obeznanie się bliższe z jéj utworami, długa niewiadomość zupełna o istnieniu znacznéj ich części, jaskrawość niektórych ujemnych stron epoki, i wreszcie a nadewszystko: owo przenoszenie ogólnéj barwy dziejów zewnętrznych na wewnętrzne. Dzieje piśmienne kraju są zapewne zawsze,—w taki lub inny sposób—odbiciem jego dziejów zewnętrznych, dodatniość ich jednak lub ujemność nie zawsze są

w harmonii z dodatnym lub ujemnym stanem podstawy ich; a nadto, wiek ów, o którym mówimy, Jana Kazimierza, nawet i w swéj stronie zewnętrznéj nie jest dotąd ściśléj z przynależną mu charakterystyką oceniany. Wiek Jana Kazimierza pod względem dziejów zewnętrznych był zapewne czasem upadku kraju, ale upadek tego co od tak dawna było rozrosłe i wzrosłe, musiał téż mieścić i wyrazić sam w swéj istocie i tę oryginalność i wzniosłość. Wiek ten był wiekiem wybitnych faktów, był wiekiem typów. Wielki *obraz* upadku musiał się złożyć z *rysów*, które w sobie, w swéj odrębności, odmienną odznaczyć się mogły i musiały cechą ogólną, niżeli ich całość.

Jakież to—przypomnijmy chociażby w kilku słowach—były te rysy dziejowe za panowania Jana Kazimierza w swéj stronie zewnętrznéj?.

Król Jan Kazimierz wstąpił był na tron w roku 1648 i panował przez lat 20; przeciąg ten był prawie bez przerwy pasmem wojen, były to mianowicie: wojny kozackie, następnie szwedzkie i w końcu wojna domowa.

Cóż to były wojny kozackie?.

W biegu dziejów powszechnych są pewne ogólne prawa, które tém jaśniejsze się stają, i tém bliżéj są poznawane, im się więcéj rozwija ten bieg. Do liczby ich należy między innemi to: iż jest łączność ogólna dziejowa w rozwiciu krajów, iż w téj łączności jest pewne, postępnie rozwikłujące się prawo, i że ten postęp czyli to (stosunkowo powolne) rozwikływanie się, objawia się przez akcye i reakcye. Jedną z cząstek owego rozwikłującego się prawa jest dążenie do porównania praw jednostkowych, czyli stopniowe wyzwalanie się w krajach, klas poniżonych z pod przewagi możniejszych. Rok 1648 w którym Jan Kazimierz wstąpił na tron (tak podobny uważać można z cyfry do bliższego nam i dla wielu jeszcze tak pamiętnego 1848 roku), był właściwie rokiem *akcyi* w owym postępie, (lubo następnie wnet skrzyżowanéj przez różne reakcye), czyli rokiem wyzwalań się w różnych rodzajach, krokiem do owych porównań. Rok 1648 był to rok w którym w środkowéj Europie po wojnie 30-letniéj stanął był pokój Westfalski i zaręczył mieszkańcom téj strony swobodę sumienia, w którym na zachodzie Europy w Anglii rozpoczął był walkę *Parlament* z Karolem 1-ym i wygrał, na południu zabłysnął był *Mazaniello* (Neapol), na wschodzie zas. w kraju właśnie Jana Kazimierza, klassa i lud któremu szlachta krajowa nadawała poniżające nazwisko chłopów, z bronią w ręku dopomniał się był o równość z nią przywilejów.—To było pierwsze źródło i barwa wojen *kozackich*. Los Jana Kazimierza zdał się być zrazu innym niż los Karola. Karol 1-y wstąpił na rusztowanie, Jan Kazimierz wygrał bitwę pod Beresteczkiem, tron jednak na którym pozostał nie był bynajmniéj tronem z róż, i po 20-letniem passowaniu się z wypadkami dobrowolnie zeń zstąpił. Punktem kulminacyjnym nieszczęść tego króla był mianowicie rok 1655, kiedy po najściu Szwedów, powodzeniu ko-

zaków, wyzuty z kraju, szukał już tylko schronienia na ziemi dziedzicznéj wuja a swojéj zastawnéj w Szlązku Austryackim. Chwila ta była jednak zarazem i chwilą zwrotu sród cyklu wypadków!. Śród wodzów pozostałych wiernymi królowi ukazał się wtedy był wódz, którego dokonane nagle i prawie jednocześnie zwycięzkie czyny na północy, południu, zachodzie i wschodzie kraju za bajeczneby poczytane być mogły, gdyby nie skutki ich. Wojny szwedzkie zakończył traktat Oliwski (1660), kozackie, i z nich wynikłe traktat Andruszowski (1667). Traktaty te nie wzniosły były bynajmniéj potęgi króla i kraju. Pierwszym zrzekł się Jan Kazimierz dziedzicznego prawa do Szwecyi i stracił Inflanty, drugim całą Ukrainę zadnieprską. Traktaty te jednak po swym poprzednim losie mógł król uważać za świetne—z obszaru Inflant pozostawało przy nim województwo Inflantskie, z Ukrainy Ukraina przeddnieprska— i (korzystając z nich, albo już je przeczuwając) myślał tylko o zapobieżeniu nieszczęściom dalszym przez zamienienie tronu obieralnego na dziedziczny. Krok ten stał się był jednak źródłem owéj 3-éj wojny, domowéj. Z przywilejów o które dbała wtedy najwięcéj któremi chlubić się lubiła przed światem szlachta krajowa, były to: wolna elekcya królowi prawo jednogłośnych ustaw czyli *liberum veto*; posiągnienie na główny z tych przywilejów tak rozbudziło o nie troskliwość i wzniosło ich miłość, iż, jak wiadomo, w dwóch następnych elekcyach królewskich obierano na tron tylko szlachtę krajowców, a z 42 następnych sejmów ustawodawczych (do Stanisława Aug.) dziewięć tylko nie było zerwanych przez *liberum veto*. Uosobieniem właśnie tego uczucia i tego kierunku w samym zawiązku, stała się była owa wojna domowa, t. j.: Jerzy Lubomirski i jego wygrana pod Montwami. Najazd i czyny protestanckich Szwedów podniosły też były w tym czasie gorliwość o wiarę domową, a fakt ten wyraził się był najjawniéj wywołaniem Aryanów (podejrzywanych o spólność z najazdem).—Taki okres musiały więc w szczegółach swoich odznaczyć i odznaczyły, czyny wybitne, postacie wybitne. Taki okres wydał nam *typy*, to jest te tak rzadkie zkądinąd w dziejach jednostki, których samo wymienienie nazwiska dostateczném jest do wyrażenia jakiejś idei. A takim właśnie typem z owego czasu nieszczęść i klęsk jest *Jan Kazimierz*, typem męzstwa *Czarniecki*, typem wiary *Kordecki*, typem dumy możnowładczéj J. *Lubomirski*, swobody w swéj przesadzie *Siciński*, i. t. d.

Śród takich pierwiastków *ducha*, pierwiastków *ciała*, *myśl* i utwory jéj nie mogły miéć rysów martwych i mimo ciągłość wojen, ciągłość zamieszek, literatura liczne i znakomite w wieku tym wydała i przekazała nam pomniki. Ruch wypadków, obfitość ich, wielkie klęski i wielkie tryumfy, popychały ich świadków do zapisywania ich, chlubienia się niemi, albo też do czynienia sobie wzajem przestróg, wyrzutów. Jakoż np.: gałąź historyi wydała była w tym okresie pośrednim historyków, którzy nie ustępowali w ni-

czém historykom epoki złotéj, chyba zakresem przedmiotów, a takimi byli np. historycy monografowie: *Piasecki*, *Kobierzycki*, *Łubieński*, *Fredro*, *Kochowski*, *Rudawski*, *Kordecki*, *Kojałowicz*, (historyk ogólny) i. t. p. a nadto odznaczyły tę gałęź w owym okresie nader liczne pamiętniki domowe, dziś dopiero po największéj części odnajdywane i ogłaszane jako. np. ks. Albrychta *Radziwiłła*, *Wydżgi*, *Łosia*, *Jerlicza*, *Jemiołkowskiego*, *Obuchowiczów*, *Cedrowskiego*, *Wierzbowskiego* i celujące wszystkie talentem i różnostronnością szczegółów drobnych *Paska* Chryzostoma. Poezya z tego okresu wydała poemata większe i większéj rozmaitości niż w wieku złotym a takiemi byli np: *Wiśniowiecki*, *Władysław*, *Zbarawski*, *Wojny kozackie* i *szwedzkie* Twardowskiego, *Wojna Chocimska* Potockiego, poemata erotyczne i czarodziejskie nieznane przedtem (od *Filomachii* i *Paskwaliny* do *Sylvreta*), dydaktyczne (jak Opalińskiego); sielanki téż z nową barwą jak *Zimorowicza* Bartłomieja (z czasu wojen kozackich) *Gawińskiego* i innych. Makaronizm za wieku Jana Kazimierza był zapewne modą w całéj swéj sile w wymowie radnéj, korrespondencyach, aktach urzędowych i. t. p., lecz nie może się wcale nazwać cechą literatury właściwéj. Prócz użycia go w jednéj czy dwóch satyrach przez Opalińskiego (pisanych wreszcie wierszem nierymowym) makaronizmów nie używał w wierszu żaden poeta; i owszem w znakomitszych nawet utworach ówczesnéj prozy jak np. w *Przysłowiach* Fredra, pismach polskich *Starowolskiego*, kazaniach *Młodzianowskiego*, *Lorencowicza*, *Kochanowskiego* Jędrz. i. t. p, *Rozmowach Artaxesa i Ewandra* Lubomirskiego i. t. p. makaronizm nie tylko nie był praktykowany, ale téż nie raz i wyśmiewany. Nie był téż wcale cechą tak tych wszystkich prozaików, jak tych wszystkich poetów, panegiryzm. Sam język w epoce téj jak był pięknym pod piórem wyborniejszych pisarzy prozy, tak téż nie upadł był wcale pod piórem poetów. Któż owszem np. z poetów wieku Zygmuntów umiał był zaśpiewać taką muzyką słowa jak w niejednéj liryce swéj *Kochowski*? lub tak ozdobnym i poważnym wierszem jak autor *Wojny Chocimskiéj*?

Te kilka uwag, które zkądinąd nie dotknęły tu jeszcze całości piśmiennictwa śród epoki, dostateczne są jednak sądzimy dla okazania iż *to* w epoce téj nie było wcale wyrazem „potworności, nicości".

Okres literatury *po* złotéj, jakoby już upadłéj, Lesław Łukaszewicz zaczyna od r. 1620, inni od 1630 i późniéj; my go zowiemy wiekiem Jana Kazimierza, panowanie bowiem tego króla przeciągające się lat 20 jest największą cząstką tego okresu, i wszyscy do okresu tego należący pisarze kończyli lub zaczynali swój zawód pod tém panowaniem.

Aby bliżéj poznać ten okres, chcemy tu właśnie wspomnieć o kilku z jego głównych przedstawców.

Wybieramy tu najprzód pisarza który jak ilością swych pism tak i doborem przedmiotów ich, był jednym z najpoważniejszych śród epoki,— którego większa część życia ubiegła była wprawdzie nie pod rządami Jana Kazimierza, lecz jego poprzednikami, które-

go pamięć jednak najwięcéj związaną jest historycznie z tym królem, i którego charakter pism najtrafniéj téż wewnętrznie i zewnętrznie odkreśla tę epokę przejścia. Chcemy rzec najprzód o *Szymonie Starowolskim.*

Szymon Starowolski autor dzieł wydawanych pomiędzy rokiem 1616 i 1656 był jednym z najobfitszych i najwszechstronniejszych pisarzy polskich jakiejbądź epoki. *Historyk. poeta, krytyk, strategik, muzyk, moralista, prawnik, teolog,* żadnéj prawie gałęzi literatury nie zostawił piórem swém nietkniętéj, i każdéj zasłużone prace poświęcił. Ta tak wielka różnorodność przedmiotów które dotykał i ich pozorna sprzeczność miały jednak pod piórem jego i skrytą łączność, pewną wewnętrzną jedność, a tą była: troska o dobro krajowe. Jedne z pism swych poświęcał on głównie kréśleniu i pochwale kraju,—te pisał językiem łacińskim i drukował po różnych miastach Europy; drugie głównie przestrogom i napomnieniom krajowców i te pisał językiem polskim. Ten jest nojogólniejszy wyraz zawodu i zasługi tego pisarza.— Jakież były szczegóły jego życia? oraz nazwiska i charakterystyka bliższa jego prac ?

Jak wszystkich naszych autorów dawnych tak i Starowolskiego szczegóły życia są nader mało nam znane, a wiadomość o nich ze sprzecznych nawet po większéj części podań składana. Nie wiemy np. z pewnością w którym roku się rodził? gdzie? a przynajmniéj kiedy nauki odbywał? kiedy i jakie pierwsze swe pismo ogłosił? czyli służył wojskowo lub nie? i t. p. Pewniejsze z tego żywota dane są zaś następne:

Starowolski Szymon urodził się w drugiéj połowie XVI wieku (być może że przy jego końcu (1)), w dziedzicznéj wsi Starowola w Krakowskiém. Biografowie dodają zwykle że się urodził z rodziców niezamożnych; właściwie jednak byli oni zamożni, nagrobek bowiem który im syn w r. 1615 napisał i w kościele starowolskim umieścił, (a który znajduje się w liczbie innych na-

(1) Biografie a raczéj krótkie wzmianki o życiu Starowolskiego pisali i przekazali nam, z dawnych: ksiądz *Wolski* w mowie pogrzebowéj, *Kochowski* w „Klimakterach", *Pruszcz* w „Fortecy duchownéj", *Niesiecki* w „Koronie" *Załuski* w „Bibliotece", *Janocki* w „Nachrichten" etc. *Mitzler de Koloff* w „Acta literaria" i t. p.; z nowszych: *Bętkowski*, *Juszyński*, biskup *Łętowski*, *Mecherzyński* i inni. Żaden z tych pisarzy, nawet ksiądz Łętowski który czerpiąc z akt kapituły krakowskiéj wymienia daty, nominacyi Starowolskiego na kaznodzieję, kanonika i t. p. nie wspomina o roku urodzenia tego pisarza. Dopiéro w biografii Starowolskiego, umieszczonéj w *Encyklopedyi Powszechnéj* (pióra pana Sobieszczańskiego) datę tę, znajdujemy oznaczoną rokiem 1588. Granice Encyklopedyi, które dopuszczają tylko wnioski a nie rozumowania, nie dozwalają nam wiedzieć czyli data ta, poczerpniętą została z jakiego źró-

grobków krajowych w dziele jego *Monumenta*), tak brzmi dosłownie: „Bazylemu Adamowiczowi i Zofii z Zarankow Starowolskim, którzy świątynię tę *wznieśli, przyozdobili i uposażyli*", być może jednak iż ta zamożność uszczupliła się z czasem z powodu licznego rodzeństwa, w tychże bowiem nagrobkach, znajdujemy wzmiankę o czterech braciach Szymona, którzy służyli wojskowo, a być mogło i więcéj rodzeństwa. Szymon doszedłszy do lat, słuchał nauk i kształcił się najprzód w Lowanium w Belgii, następnie w Akademii Krakowskiéj, gdzie ówczesny stopień bakałarza nauk wyzwolonych i filozofii otrzymał. Biografowie utrzymują wprawdzie iż dopiéro po ukończeniu nauk w Krakowie kształcił się Starowolski w Lowanium, i że było to w roku 1624, lecz ze wzmianek które następnie sam czynił o pobycie swoim w tém mieście jawném jest, iż był tu za lat swych wcześniejszych, nie za późniejszych. Wzmianki te znajdujemy mianowicie w dziele jego *O reformacyi obyczajów polskich*;—pierwsza jest tu z okoliczności powstawania na zbytki w kraju, od ubrania do jedzenia, i jest w tych słowach: „ja gdym był *żakiem* w Lowanium w Inderlandzie, w wigilią Bożego Narodzenia rozumiałem że tak miał być stół zastawiony jako u nas, alić gospodarz wszystkim nam stołownikom" etc. (r. IX). Wyraz *żak* za czasów Starowolskiego toż znaczył co dziś, to jest małego ucznia w szkołach, czytamy bowiem np. w *Polityce* Petrycego z roku 1603 „kto żakiem w szkołach nieposłusznym, ten i w Rzeczypospolitéj" etc., więc Starowolski młodym dopiéro chłopcem był w Lowanium; z drugiéj wzmianki (w rozdziale XVII) okazuje się iż pobyt ten był za rządów „Izabelli arcyksiężnéj", Izabella arcyksiężna była regentką czynną Niderlandów od roku 1598 do 1620, więc w każdym razie, pobyt ten mógł być tylko dobrze przed rokiem 1624. W piśmie swém z r. 1639 *Laudatio Academiae Cracoviensis* mówi Starowolski: iż „z ludzi odznaczających się w kraju, nie ma dziś takich którzyby się niekształcili w téj Akademii, lub téż *wykształciwszy się gdzieindziéj* w naukach powierzchownych tu udoskonalenia nie zyskali" (*vel*

dła, czyli téż jest wynikiem jakich kombinacyj? jest ona jednak w sprzeczności z następującą wnet wzmianką, którą przytaczają i inni biografowie, a mianowicie iż: „po ukończeniu nauk w Krakowie przyłączył się (Starowolski) do orszaku młodych Ostrogskich *Janusza* i *Konstantego* i zwiedził z nimi Niemcy, Niderlandy, Hiszpanią, Francyą i Włochy". Janusz Ostrogski rodził się w roku 1558, Konstanty umarł przed rokiem 1600 będąc już krajczym litewskim; obaj więc (równie jak nawet najmłodszy ich brat Alexander, który umarł w roku 1603 będąc wojewodą wołyńskim) przy początku XVII wieku nie mogli już być młodzi, a nawet gdyby owa podróż przypadła w ostatnim roku życia Konstantego to jest, 1599, tedy Starowolski rodząc się w roku 1588, nie mógłby wtedy mieć więcéj jak lat 11, a zatém być nawet uczniem akademii, nie tylko jéj ukończyć. Albo więc ta powtarzana powieść o podróży Starowolskiego z Ostrogskimi jest mylną, albo téż rodził się on daleko wcześniéj niż w roku 1588.

alibi trivialibus artibus tincti hic suam perfectionem non acceperint), mówiąc to, wnieść można, iż do siebie właśnie czynił alluzyą. Najprawdopodobniéj więc rodzice Szymona przeznaczywszy jednego z synów do zawodu naukowego, za czasów jeszcze swéj zamożności, wysłali go z razu w gronie innéj młodzieży zamożnéj za granicę, następnie zaś czyli to dla uszczuplonych środków, czy dla korzystania ze słynnych ówcześnie wykładów w kraju, zwłaszcza teologicznych, kończył nauki w Krakowie. W jakiéjbykolwiek jednak kolei Starowolski ukształcenie swe nabył, ukształcenie to naukowe które go wnet odznaczyło, zdatność do pióra, umiejętność władania równie mową łacińską jak własną, chęć niesienia usługi rzeczom krajowym, może téż i zawodowi własnemu sprawiły, iż wcześnie pochwycił był za pióro, a raz pochwyciwszy nie rzucił go następnie do dnia śmierci, to jest blizko przez pół wieku. Rok piérwszy w którym czynność piśmienna i szczegóły życia tego pisarza stają się nam jaśniejsze, jest 1616. Zdaje się iż w tym roku zmuszonym był do szukania i obierania jakiegoś stałego zawodu, i że zaczął był od szukania protekcyi dworskiéj, napisawszy bowiem w tym czasie dziełko w języku łacińskim o rządach Zygmunta I (*De rebus Sigismundi I*) wydał je i przypisał 7letniemu synowi króla, Janowi Kazimierzowi. Nadzieja ta (jeśli ją miał) chybiła go jednak zupełnie; król (może w skutku podmuchu zazdrośnych) w dziełku tém ujrzał przeciwnie jakieś przymówki do siebie, do granic swéj władzy, i kazał je niszczyć. Ale zarazem: okazana zdolność, stosunki, i może sama ta głośność sprawiły, iż pochwycone zostały usługi Starowolskiego. W tymże 1616 roku widzimy go najprzód wykładającym kursa dla kleryków klasztoru Cystersów w Wąchocku (opatem których był przyjaciel jego Gostomski), wnet w Akademii Krakowskiéj i wreszcie przy boku hetmana Jana Karola Chodkiewicza, który poruczył mu kierowanie swoją korrespondencyą przyboczną. W tym też roku wydał pierwsze znane nam (1) pismo w języku polskim, w kwestyi najwięcéj wtedy politycznie kraj obchodzącéj, to jest turecko-tatarskiéj p. n. *Pobudka albo rada na zniesienie Tatarów Perekopskich*. — Przy boku Chodkiewicza zostawał Starowolski lat 5, to jest do jego śmierci, a czas ten musiał pilnie poświęcać usłudze prywatnéj, w całym tym bowiem przeciągu dwa tylko pisma ogłosił, pożyteczne wprawdzie i zajmujące lecz wagi mniejszéj: jedno w języku łacińskim (na wzór Lipsiusza) o korzyściach zajmowania się naukami historycznemi p. n. *Penu historicum* (Śpichlerz historyczny) i przekład polski listów *Mahometa II*

(1) Mówimy: pierwsze znane nam; w dziele bowiem o *Reformacyi obycz.*, które jak ujrzymy pisane było w roku 1645, powołuje się na jakieś swe pismo wydane „przed 30 laty," a więc w roku 1615 (może tém pismém był *Dyskurs o wojnie tureckiéj*, który jest bez daty). Według *Encyklopedyi* pismo Starowolskiego *Elogia militarium virorum*, jest z roku 1614, pismo to nie jest dziś także znane.

do różnych władców, p. n. *Wielkiego Turka listy*. Sprawy tureckie prawie przez cały ciąg życia Starowolskiego były zawsze dla kraju na pierwszym planie i sprawom tym przez całe też życie w różnych kształtach pisma poświęcał. W owym czasie miał też sam bezpośredni miéć udział w biegu tych spraw. W roku 1620, miała miejsce klęska Cecorska a w roku 1621 sułtan Osman na czele 400,000 żołnierza z dwóch części świata, zbliżył się dla zagarnięcia wreszcie ostatecznie (jak wnoszono) kraju polskiego. Wysłany naprzeciw téj siły Chodkiewicz na czele 60,000, przeprawił się przez Dniestr i rozłożył się obozem pod Chocimem. Tu też przy nim znalazł się i Starowolski. Czy Starowolski pomagał tu hetmanowi nie tylko piórem, ale i bronią? jasném zupełnie nie jest. Niesiecki w biografii jego powiada: „w młodości służył wojskowo". Spółcześni: Kochowski, Pruszcz i inni, o tém nie wzmiankują. W przypisaniu swego dzieła *Hecatontas* Lwowianom (1625) Starowolski wyraża: „kiedym przebywał u was, wracając z wyprawy przeciwko Turkom", a wyrażenie to kazałoby wnosić: iż mimo śmierć która spotkała tam Chodkiewicza przed końcem wyprawy służył téj wyprawie do końca, a przeto bronią; być może jednak iż obecność jego jako przełożonego nad kancellaryą głównego hetmana, potrzebną była i dla następcy tego hetmaua (Lubomirskiego); w żadnym z pism swych nie czyni wzmianki iżby sam służył wojskowo a w przedmowie do wydanego przez siebie dzieła „O sztuce wojskowéj" (*Institutionum* etc.) mówi wyraźnie iż: „*lubo wojskowym nie jest*, ale będzie powtarzał zdania sędziów właściwych". Boje chocimskie skończyły się jak wiadomo odwrotem Turków i śmiercią Osmana, i dziwić się należy iż wtedy kiedy o téj, tak sławnéj ówcześnie w Europie całéj wyprawie, pozostało nam tyle pamiętników pisanych przez pióra, które zkądinąd nic więcéj nie napisały, Starowolski który tyle pisał o wszystkiém i który w swym ręku mógł miéć wszystkie potrzebne dane, nie zostawił nam jéj opisu. Jedyném pismem obejmującém wzmianki co do tego przedmiotu jest jego pochwała, czyli mowa na śmierć J. Kar. Chodkiewicza, którą w następnym (1622) roku ogłosił drukiem p. n. *Oratio in obitum magnanimi Herois* etc.

Od śmierci Chodkiewicza do obrania stanu duchownego, to jest przez lat następnych 20, Starowolski niemając żadnego stałego zajęcia, przebywał kolejno na dworach i w towarzystwie możnych panów krajowych, jako to: Mikołaja Wolskiego, marszałka W. koronnego, Tomasza Zamoyskiego kanclerza, Zadzika podkanclerzego (następnie biskupa krakowskiego) i wreszcie Koniecpolskich. Pomoc to ich zapewne sprawiła, iż miał i czas i możność przebiegania po kilkakroć Europy (1), zbierania pomocy nauko-

(1) Iż Starowolski odbywał częste podróże, prócz wzmianek u biografów mamy na to i świadectwo spółczesne, w dziełku z roku 1655 *Prussia recuperata* (Prussy odzyskane) niejakiego Cynerskiego *Rachtamowicza*, który przypisując je Starowolskiemu wyraża tu między innemi:

wych, i wydawania wreszcie pism; w przeciągu tym bowiem właśnie, wszystkie swe najgłówniejsze z pisanych po łacinie, ogłosił. Pisma te drukowane za granicą a w różnych stronach Europy, jako to: w Kolonii, Amsterdamie, Florencyi, Wenecyi, Rzymie, Antwerpii, Frankfurcie i t. p. głównie też przeznaczane były dla zagranicy, w któréj autor spotykał ogólną niewiadomość co do rzeczy swojego kraju. Pisma te, przynoszące zkądinąd bezpośrednią korzyść i dla krajowców, były główniejsze następne:

1625 *Scriptorum Polonicorum Hecatontas*, czyli wiadomość o stu znakomitych pisarzach polskich; pismo to wydrukowane najprzód we Frankfurcie, w lat parę w nowém pomnożonem wydaniu wyszło w Wenecyi.

1628 *De claribus oratoribus Sarmatiae*, czyli wiadomość o mówcach polskich, drukowane we Florencyi.

Tegoż 1628 *Equus Polonus* pismo przypisane Urbanowi VIII za które otrzymał autor medal złoty z popiersiem papiezkiem, drukowane w Wenecyi.

1631 w Kolonii: *Sarmatiae Bellatores* czyli wiadomość o wojownikach polskich.

1631 w Wenecyi: *Declaratio contra obtrectatores Paloniae*, to jest Odpowiedź oszczercom.

1632 tamże: *Polonia*, czyli opisanie stanu Królestwa Polskiego.

1639 *Laudatio almae Academiae Cracoviensis.*

1640 *Institutionum rei militaris libri VIII* w Amsterdamie, to jest ksiąg VIII O sztuce wojskowéj.

W tymże czasie ogłaszał też w kraju pisma w języku polskim, które jednak przeciwnie nie pochwały albo samo kreślenie rzeczy krajowych, ale przeciwnie wyrzuty, przestrogi i porady czynione krajowcom miały za treść, a temi były:

1625 Wiersz dydaktyczny p. n. *Votum o naprawie Rzeczypospolitéj.*

Tegoż roku pisemko prozą: *Poprawa niektórych obyczajów polskich.*

1632 *Prawy rycerz*, to jest traktat nauczający jakim powinien być prawy rycerz.

Ściśle związany zawsze z najwyższém towarzystwem krajowém, każdemu też ważniejszemu wypadkowi, koła tego dotyczącemu, osobne poświęcał pismo, najczęściéj w języku łacińskim; pisał więc między innemi także na śmierć *Zygmunta III*, na *obiór Władysława*, na *śmierć marszałka Wolskiego*, kanclerza *Zamoyskiego* i t. p.

Wydane w roku 1640 pomienione pismo o Strategii, czyli sztuce wojennéj, ułożone przez autora zapewne z powodu zajmowania się przewodnictwem synów zamożnéj szlachty, było osta-

„*Trzykroć* zwiedziwszy Niemcy, Włochy, Hiszpanię i Francyę, wyjeżdżasz *znowu* w obce kraje z wielkim wielkich nadzici synem Alexandrem Koniecpolskim".

tniém w jego zawodzie świeckim. Starowolski nie tylko we wszystkich swych pismach okazywał zawsze gorliwy kierunek religijny, ale też drukował oddzielnie i w młodych latach kilka pism wyłącznie ascetycznych. W roku 1625 przyjaciel i protektor jego podkanclerzy Zadzik, mianowany został biskupem Krakowskim a w lat kilka, to jest w roku 1640 i Starowolski czyli to w skutek spodziewanéj protekcyi biskupa czy jego namowy, przywdział sukienkę duchowną. Biografowie mówiąc o zawodzie duchownym Starowolskiego powtarzają, iż biskupi krakowscy, Albert syn Zygmunta III i jego następca Zadzik, wzywali i używali go do rady; w twierdzeniach tych jest jednak wyraźna omyłka, Starowolski bowiem wstąpił do stanu duchownego w roku 1640, zaś biskup Albert umarł był jeszcze w roku 1634; podobniejszém być może do prawdy, co wzmiankuje Janocki, iż biskupi krakowscy wzywali go do zajęcia wyższych godności, lecz że Starowolski wymawiał się, bojąc się iżby nie stracił pożądanego pokoju dla swych zajęć. Faktem było iż zaraz po wyświęceniu mianowanym był *Kantorem* tarnowskim, to jest właściwie, przełożonym nad śpiewem i muzyką kościelną, który to jednak urząd (*primicerius*) uważał się u nas drugim po godności dziekana;—wkrótce po tém kaznodzieją Krakowskiéj katedry, zaś w roku 1654, to jest 14 swego zawodu duchownego, przyjął i zajął ofiarowany mu przez biskupa Gębickiego urząd kanonika tejże katedry. W roku następnym 1655, kiedy biskup Gębicki pośpieszył do boku króla który kraj opuściwszy bawił na Szlązku, Starowolski miał sobie poruczonym zarząd dyecezyą. Głośną i powtarzaną była ówcześnie w kraju jego śmiała i prorocza odpowiedź uczyniona królowi szwedzkiemu, gdy towarzyszył mu w katedrze przy zwiedzaniu grobów królewskich. Przyszedłszy z kolei do grobu Władysława Łokietka, Starowolski objaśniając rzekł: „Jest to król który potrzykroć zmuszonym był opuszczać kraj i potrzykroć powracał" a na to Karol Gustaw: „z waszym Janem Kazimierzem to się nie stanie" —„*Deus mirabilis, Fortuna mutabilis*"—odpowiedział Starowolski. Starowolski w części już tylko jednak ujrzał sprawdzenie swéj przepowiedni; ujrzał był jeszcze powrót królewski ale nie koniec klęsk, wkrótce bowiem t. j. w roku następnym 1656 i życie zakończył. Wprawdzie spółczesny Kochowski o śmierci téj wspomina w Klimakterach pod r. 1659, inni odnoszą ją do r. 1658, ale tę ostatnią datę nosi tylko druk mowy mianéj na pogrzebie Starowolskiego, sam zaś ten pogrzeb—jak to mówi wyraźnie napis broszurki, miał miejsce w roku owym burzliwym 1656 i ztąd lubo „z niemałą wszystkich *kondolencyą*, ale z małą *frequencyą*" był odbyty.

Prace piśmienne Starowolskiego w zawodzie duchownym nie tylko się nie zmniejszyły, ale obok uprawiania gałęzi dawnych i uprawą nowych, z nowego powołania wynikających pomnożonemi zastały. Wydał on był mianowicie w tym przeciągu w języku łacińskim:

1643 w Rzymie *Epitome Conciliorum*, gdzie zajmująca wiadomość i o Synodach polskich.

1653 tamże, *Breviarium juris Pontificii*, czyli zbiór głównych ustaw papiezkich.

1645 pismo na wzór *Turcyk* Orzechowskiego *Ad principes Christianos*, w którém dopomagając ówczesnym planom *Władysława IV* wzywał monarchów Chrześciańskich do łącznéj koalicyi przeciwko Turcyi.

1646, *Dwór Cesarza Tureckiego* (z włoskiego, z przydatkami z pisarzy krajowych).

1650, z powodu zapewne swego urzędu *Kantora: Musices practicae erotemata* czyli przepisy muzyczne; i wreszcie:

1655 dzieło będące wprawdzie owocem nie myślenia lub fantazyi lecz tylko pracy, ale olbrzymiego rozmiaru i które pozostanie na zawsze jako źródłowa pomoc dla historyków kraiu, to jest zbiór nagrobków ludzi różnych zawodów z różnych miejscowości krajowych, i różnych wieków, któremu stosownie do nastałéj już wtedy mody dał szumny napis: *Monumenta Sarmatarum viam universa carnis ingresorum* t. j.: *Pomniki Sarmatów którzy się już połączyli z ciałem powszechném*;—zaś w języku polskim:

1642, Mowę pogrzebową po biskupie i dyplomacie *Zadziku* którą z powodu herbu biskupa *Korab* wydał pod napisem: *Wielkiego Korabia wielki Sternik.*

1645, 1648 i 1649, trzy zbiory kazań już niedzielnych, już świątecznych pod napisem: *Świątnica Pańska*, *Arka Testamentu i Wieniec nie więdniejący.*

1645, jedno z najgłówniejszych swych dzieł p. n. *Reformacya obyczajów polskich.* etc.

Także dziełka bez daty: *Dyskurs o monecie*, *Zguba ojczyzny stacye*, Lament *korony Polskiéj* (bezimiennie) i. in.

Wiele nadto drukował w tym czasie pism ascetycznych, mianowicie na cześć Najśw. Panny, polemiczne przeciw aryanom (p. n. *Braterskie napomnienie*, odpowiedź na odpowiedź i in.), Wiązankę kazań (*Sertum Concionum*) po łacinie i. t. p. Ostatnią zaś pracą któréj ostatnią kartę (jak wspomniał w mowie pogrzebowéj Wolski) napisał Starowolski w wigilią śmierci a która już wydaną została po jego zgonie. jest: *życie biskupów krakowskich*, po łacinie (*Vitae Antistitum Cracoviensium.*).

Ogólna liczba wydanych przez Starowolskiego dzieł, jak to wzmiankuje sam w *Sertum Concionum* była 58; z temi które są wzmiankowane jako istniejące w rękopiśmie lub zaginione, ogólna ilość jest 64 (1).

(1) Wyliczenia pism wszystkich Starowolskiego u Janockiego, Mitzlera de Koloff, Bentkowskiego, były bardzo niepełne; najdokładniejsze jest w *Encyklopedyi Powszechnéj*, i według tego umieszczamy tu ich spis w porządku chronologicznym. Druki bez daty roku kładą się w miejscach domyślnych.

Tak dziwnéj rozmaitości, takiéj obfitości, tak różnostronnego użytku były prace i dzieła Szymona Starowolskiego. Ich przyjęcie przez kraj nie odpowiadało jednak znaczeniu ich i zasłudze. Z wyjątkiem *Hekatontas i Polonii* które po śmierci autora były przedrukowane raz, i pisma *O Reformacyi* przedrukowanego po kilkakroć, nowe wydania pism jego oryginalnych nie powtarzały się, wzmianki o zasłudze autora nader bywały skromne, i rzadkie, chlubniéj i częściéj wzmiankowały nawet o nim pisma obce niż krajowe. Ksiądz Hyacynt Pruszcz w *Fortecy Duchownéj* królestwa Polskiego, wydanéj w r. 1662, mówiąc o Starowolskim wylicza wszystkie spotykane dotąd o tym pisarzu wzmianki, a w wyliczaniu tém na kilkunastu wzmiankach u pisarzy włoskich, niemieckich, francuzkich, znajdujemy tylko trzy polskie. Oryginalną była ta mowa, którą na pogrzebie Starowolskiego powiedział ks. Wolski Reformat. Wymieniwszy on tu w zaczęciu kilkanaście pism które wydał zmarły i zakończywszy uwagą iż: „kogóżby takie *objektum, ex nunc* śmierci *subjektum*, do żalu nie poruszyło?" rozbierał następnie dwa z owych pism: *Arkę Testamentu i Świątnicę Pobożności* a w rozbiorze tym rozwija to założenie: iż zmarły autor Arki sam był jako arka a mianowicie, iż jako arka przenosił się z miejsca na miejsce czyli iż był w ciągłych podróżach, iż jako owa inna arka wszelkie rodzaje nauk mieścił w swéj erudycyi, iż była to arka złota, iż tkwiła w niéj i rózga Aaronowa, iż mając śmiałość powstawać na obyczaje spół-

1614 *Elogia militarium virorum* Kr.
1616 *De rebus Sigismundi I.* Krak.
1616 *Pobudka albo rada na zniesienie Tatarów Perekopskich.* Krak.
1617 *Eucharisticon* (na wjazd biskupa Szyszkowskiego).
1618 *Wielkiego Turka listy.* Krak.
1620 *Penu historicum.* Wenecya.
1622 *Oratio in obitum etc Caroli Chodkievicii.* Krak.
1622 *Pochwały mężów orężem świetnych.*
1622 *Mellifluus Bernardus.* Krak.
1623 *Camaldula Argentini* i *Laudatio Wolski fundatoris.* Krak.
1625 *Votum o naprawie Rzeczypospolitéj.* Krak.
1625 *Scriptorum Polonicorum Hecatontas.* Frankf.
1628 *De claris oratoribus Sarmatiae.* Florencya.
1628 *Eques Polonus.* Florencya.
1630 *Laudatio funebris Nicolai Wolski.* Wenecya.
1631 *Sarmatiae Bellatores.* Kolonia.
1632 *Declaratio contra obtrectatores Poloniae.* Wenecya.
1632 *In obitum Sigismundi Regis.* Antwerpia.
1632 *Polonia sive status regni Poloniae descriptio.* Kolonia.
1632 *Prawy Rycerz.* Kraków.
1633 *Accessus ad juris utriusque cognitionem.* Rzym.
1633 *Panegiricus Vladislao Sigismundo etc.* Antwerpia.
Dyskurs o wojnie tureckiéj.
1634 *Lacrymae in obitum Alexandri Casimiri infantis.* Krak.
1634 *Wyprawa na wyjazd Sułtana Amurata na wojnę do Polski.* Kraków.
1638 *Oratio de gloriosa Assumptione B. V. Mariae.* Krak.

czesne, zmarły był nie tylko Starowolskim ale i Staropolskim" i. t.d. Mowa ta była nie bez dowcipu i nie bez erudycyi, sobie właściwych i więcéj zapewne mieściła pochwał niż inne jakie pismo, lecz był to panegiryk z urzędu i nawet w miarę wymaganych spółcześnie szumności i superlatywów, rzec można skromny.

Mniéj też jeszcze charakteryzowały zasługi Starowolskiego inne o nim wzmianki. Różni nasi pisarze wspominając o nim, wspominali prawie wyłącznie o jego zawodzie duchownym, stanowisku duchownem. Braun wyrażał tylko ogólnie (a nader niesłusznie) iż „wszystkie tego pisarza zdania są lub ułomne lub żadne". Załuski i Janocki nazywali go tylko *polihistor*. Równie ogólnie Krasicki w Encyklopedyi swéj iż: „był to mąż nauki niepospolitéj i wielce w pisaniu ksiąg pracowity". Tylko autor *Rysu literatury Polskiéj* wydanéj w r. 1778 w Warszawie w języku francuzkim *Duclos* (1), jak innych tu wzmiankowanych pisarzy tak i Starowolskiego określał szczegółowiéj, lecz w ocenieniu tém obok dowcipu, tak właściwego kraju jego pisarzom, tkwiła i powierzchowność sądu, który jak się zdaje poczerpniętym był więcéj

1638 *Elogium funebre Thomae Zamoscii.* Kraków.
1638 *Commentarius in IV libros Institutionum juris civilis.* Kraków.
1639 *Laudatio Almae Academiae Cracoviensis.*
1640 *Diva Claromontana etc.* Krak.
1640 *Vestis Mariana.* Krak.
1641 *Wielki Patryarcha Zachodn. Kościoła Ś. Benedykt* Krak.
1642 *Vita et miracula servi Dei Vinc. Cadlubconis.* Kraków.
1642 *Wielkiego korabiu, wielki sternik ks. Jak. Zadzik.* Kraków.
1644 Toż po łacinie.
1643 *Epitome Conciliorum.* Rzym.
1644 *Panegirys Joan. Conopackii.* Wenecya.
1644 *Braterskie napomnienie ad dissidentes.* Kraków.
1645 *Ad Principes Christianos.* Gd.
1645 *Świątnica Pańska etc.* Krak.
1646 *Prawdziwe objaśnienie braterskiego napomnienia.* Krak.
1646 *Dwór cesarzu tureckiego.* Krak.
Zguba ojczyzny Stagé.
Dyskurs o monecie.
1648 *Arka Testamentu etc.* Krak.
1649 *Wieniec nie więdniejący etc.* Kraków.
1650 *Musices practicae erotemata.* Kraków.
1651 *Jubileus etc.* Kraków.
1652 *Monita legalia.* Krak.
Lament utrapionéj matki Korony Polskiéj.
1655 *Monumenta Sarmatarum etc.* Kraków.
1655 *Sertum concionum.* Krak.
Orationes variae Panegirycae.
1658 *Vitae Antistitum Cracoviensium.* Kraków.
W rękopiśmie:
Dyaryusz oblężenia Krakowa przez Szwedów (ma być w Bibliotece Ossolińskich).
Wzmiankowane w innych pismach:
De consilio.
O męce Pańskiéj.
Mówca polityczny.

(1) Essai sur l'histoire litteraire de Pologne, T. I. Tom ten obejmował tylko wiadomość o pisarzach polskich z gałęzi historyi naturalnéj i jeografii. O Starowolskim mowa tu jest z powodu dzieła jego *Polonia.*

z opinii ogólnéj oraz ze znajomości tytułów pism jak samych tych pism, tak bowiem mówi: „chociaż dzieła tego pisarza nie są odznaczone geniuszem, zawsze jednak są odznaczone talentem, *imaginacyą żywą* (?), umysłem *przyjemnym* i łatwością zadziwiającą“ kończąc zaś dodał: „jedno z drugiém wziąwszy przystawała mu więcéj do twarzy szabla jak kadzielnica.“ Ten zwłaszcza ostatni wniosek zupełnie był nietrafny.

Po wieku odrodzenia się u nas wszechstronnéj literatury, pomimo wydawane wybory i zbiory dawnych pisarzy polskich, do naszych prawie czasów, żadne z pism Starowolskiego nie było przedrukowane, i znajomość ich w kraju dotąd nawet w ogóle jest prawie żadna. Dla zapoznania więc bliżéj z treścią i charakterem dzieł tego pisarza, powiemy tu po kolei już dłużéj, już krócéj, lecz szczegółowiéj, o każdém z tych, których treść była powszechniejszego użytku. Najprzód o pismach łacińskich, następnie o polskich.

Pisma łacińskie:

Hecatontas, 1625, 1627.

Pierwszém pismem Starowolskiego na większą skalę, pismem z gruntu oryginalném i które pozostanie na zawsze stałym tytułem jego zasługi dla literatury krajowéj, jest to, które wydał w r. 1625 we Frankfurcie p. n. *Scriptorum polonicorum Hecatontas seu centum illustrium Poloniae scriptorum elogia et vitae*, t. j. „Pisarzy polskich *Hecatontas* (secina), czyli stu znakomitych pisarzy polskich pochwały i żywoty.“

Pismem tém stał się autor pierwszym twórcą i ojcem nowéj gałęzi w literaturze krajowéj t. j. *Historyi literatury*. Przed nim prócz wzmianek przygodnich u kronikarzy o takim a takim pisarzu, paru życiorysów, przygodnich wzmianek w przedmowach i t. p. nie miała historya literatury żadnego do uprawy swéj źródła; nie mieliśmy ogłaszanych żadnych spisów wydanych książek, spisu żadnéj biblioteki. Pierwszy wprawdzie ile wiemy postawił był krok na téj drodze ks. Krzysztof *Warszewicki*, wydrukowawszy w roku 1601 dziełko p. t. „Reges, Sancti scriptores et Bellatores polonici;“ treść jednak tego dziełka zdaje się, iż się nawet równać nie mogła z zasobem *Hecatontas*. Dziełka tego Warszewickiego nie znamy, i żaden z historyków naszéj literatury nie widział go, lecz Załuski w swéj Bibliotece, czyli „Bibliografii wierszem białym pisanéj,“ po przytoczeniu tytułu dziełka i miejscu jego wydania, tak o téj treści pisze:

. . . . Rozumiałby tu kto
Że znajdzie opisanie życia cnych Polaków
W téj dziwnie rzadkiéj książce, lecz *prima Aprilis*,
Same tylko imiona gołe, sto trzydzieści.

Jeżeli potrącimy liczbę królów, rycerzy, błogosławionych, na *scriptores* nie pozostawało tu zapewne więcéj jak imion 30. Heca-

tontas jak już sam napis wskazuje mówiło o pisarzach stu, a nadto oprócz tych stu których podane są biografie, dodany tu ogólny alfabetyczny rejestr pisarzy polskich, obejmuje w 1szém wydaniu nazwisk 175, w 2giém (które nastąpiło w lat parę) 230. Wiadomości też o tych pisarzach w dziele podane, nie są to wcale same „imiona gołe.“ Treść bowiem bliższa tego pisma jest następna:

Po przypisaniu dzieła *Lwowianom*, którym autor przyznaje, iż mają żywsze zamiłowanie w naukach i literaturze krajowéj niż mieszkańcy innych stron kraju, następuje tu szereg biografii stu wybranych pisarzy koleją zasług. Każda z biografii tych opowiada o zawodzie życia autora, miejscach jego kształcenia się, wylicza nazwiska dzieł które napisał i dołącza jego ogólną charakterystykę; dodawane też są do każdéj biografii jedno, dwa i więcéj epigrammatów na cześć określonego pisarza, pióra uproszonych przez autora spółpracowników (najwięcéj *Vitteliusza*, niejakiego *Stosława* i znanego filologa Mik. *Żórawskiego*).

Pisma tego jakaż jest charakterystyka bliższa? Pismo to, połączenie biografii i bibliografii nie może być naturalnie sądzoném według warunków tych jakie dziś wymagane są od dobréj biografii i bibliografii; śród szczegółów życiorysów rzadko tu znajdujemy daty, t. j. datę urodzeń, śmierci, obieranego zawodu i t. p.; przy wzmiance o pismach nie znajdujemy oznaczeń roku i miejsca druku,— a nawet czy jest mowa o druku czy rękopiśmie, w jakim języku jest pismo i t. p. Co do charakterystyk, te są najczęściéj ogólne, nie określające samych dzieł, ale tylko ogół zasługi pisarza, najczęściéj przez przyrównanie do jakiegoś nazwiska w starożytności; wszakże wypada dodać, iż niesłusznym jest czyniony temu pismu zarzut od czasów Brauna, iż jakby te ogólne zdania Starowolskiego o pisarzach nie były to właściwie zdania, ale tylko same pochwały przesadne. O przesadę możnaby tu niekiedy obwinić pióra wspólników autora, którzy jako pocci mieli za obowiązek udawać się nieraz w epigrammatach i do superlatywów,— zdania jednak własne Starowolskiego w textach, są owszem raczéj oględne, umiarkowane, i nawet najczęściéj trafne, nie zaś przesadne. Autor np. mówiąc tu o *Stryjkowskim* wyraża: „historyk znakomity i poeta polski,“ przymiotnik „znakomity“ nie stosowany tu więc do poezyi; o *Birkowskim*: „w prozie i wierszu dobry ale skromnością i obyczajami nader lepszy;“ o *Górnickim*: „odznaczał się niemi (t. j. wyliczonemi tu przez autora zaletami dobrego pisarza) nasz Górnicki *nieraz*, a przytém i wymową, z któréj za życia i po śmierci chwałę odniósł;“ jeżeli zaś mówiąc o niektórych pisarzach wyrażał się żywiéj, jeżeli np. (że przytoczymy tu wychwalania najwyższe), mówiąc o Janie *Kochanowskim* rzekł: „iż w wierszu mową krajową tak wygórował, iż dotąd ani wyższego ani równego mu niema;“ o *Klonowiczu*: „iż taką miał energię i styl, że zdaniem wielu nie nowego naszego wieku i zimnego nieba ale raczéj owych starożytnych i samego Owidiusza miał geniusz (ingenium);“ o *Warszewickim*: iż „dzieła jego nauczać będą potomność jaką była jego

umysłu siła, dowcipu ostrość, w radach biegłość, znajomość wieków dawnych i wysokość wymowy;“ o *Orzechowskim*: „iż dla swobody w słowie a nagłości wymowy Demostenesem Roxolańskim był nazywany;“ o *Symonowiczu*: iż był to „drugi Katullus“ i t. p: tedy w tych wszystkich określeniach i zdaniach, może nie zawsze był dostatecznie charakterystycznym, ale niemożna rzec iżby był zbyt w pochwale przesadnym.

Za większą ujemność krytyczną i ułomność w układzie téj książki poczytaćby można autorowi ten wybór jaki uczynił z imion do pochwalania wziętych, i tę kolej w jakiéj przedstawił wybrane. Wydziwić się dziś nie łatwo dlaczego Starowolski przystąpiwszy do uczynienia wyboru pośród pisarzy, których ilość stosunkowie nie była jeszcze tak wielką, rozkwitnienie bowiem literatury poczęte było jeszcze niespełna przed wiekiem, opuścił jednak i w części zamilczał nawet zupełnie nie o jednym pisarzu, którzy bezsprzecznie powinni się byli mieścić w pierwszym rzędzie znakomitości,— i przeciwnie zamieścił i epigrammatami szczególnéj pochwały uczcił wielu, których dziś, bliżéj nawet z historyą literatury obeznanym, nazwiska znane nie są. Nie znajdują się np. w liczbie wybranych stu ani *Kadłubek*, ani *Rej*, ani *Miaskowski*, ani *Sęp*, ani *Paprocki*, ani *Morsztynowie*, ani *Sarbiewski* (który przynajmniéj w wydaniu drugiém mógł i powinien był znaleźć miejsce), przeciwnie zaś pomieszczeni: *Ujazdowski*, *Broniewski*, *Iłowski*, *Nerwicki*, *Chilchenius*, *Anapachanie* i t. p. pisarze, którzy tylko lub autorami byli jakiegoś jednego pisemka polemicznego lub nawet mając może głośność z wykładów nic jeszcze nie byli napisali. Takież nieodgadnione kriterium kierowało piórem autora i w uszykowaniu żywotów. Zaczynając od żywotów *Hosiusza*, *Łaskiego*, oświadcza tu Starowolski, iż będzie się trzymał nie chronologii ale kolei zasług w wykazie pisarzy, tymczasem powodów takiéj nie innéj kolei niemożna tu wcale dostrzedz; dosyć rzec, iż zaledwo nie na końcu położony *Kopernik*, na samym końcu: *Symonowicz*, *Burski* i Abrah. *Bzowski*; po czołach zaś figurują owe sławy spółczesne, których podniesienia powodem były chyba osobiste jakieś związki z autorem.

W przedmowie do swéj książki autor mówi, iż powodem do jéj napisania była chęć zaprzeczenia mniemaniu najwięcéj upowszechnionemu w Europie, że kraj jego nie zna żadnéj literatury. Ze spełnieniem téj chęci (która jak się zdaje nagle była nastała, czy to w skutek jakiejś rozmowy z cudzoziemcem, czy czyjéj w kraju namowy), autor starał się oczywiście pospieszyć i lubo do wykonania zadania przystąpił rzutnie i zdatnie, nie przystąpił jednak po wyczerpaniu możliwych środków usposobienia się. Iż wydanie to cechowało dorywczość i pośpiech najlepszym dowodem jest porównanie dwóch wydań Hecatontas t. j. pierwszego uczynionego w r. 1625 we Frankfurcie, i następnego, które w lat parę t. j. 1627 wyszło w Wenecyi; już sama liczba wymienionych alfabetycznie pisarzy polskich, przy pierwszém wydaniu jest 175, przy drugiém, jak już wzmiankowaliśmy 230, wewnątrz téż pisma widne nie w jedném miejscu różnice znaczne. W biografii np. Długosza

mówiąc autor o tym historyku w wydaniu 1szém wyraził: „iż przed nim notował tylko dzieje krajowe Kadłubek biskup krakowski;“ w wydaniu zaś 2giém w tém miejscu dodał: „chociaż i przed Kadłubkiem pisał już *Gallus* Anonymus, a także *Baszko*, *Strepa* i *Briger*.“

Dlaczego autor nie umieścił w liczbie wybranych stu Wincentego Kadłubka? dla tego najpewniéj, iż niemiał nawet w ręku jego kroniki; kronika ta w akademii krakowskiéj nie była już tak przedmiotem wykładu w wieku XVII, jak niegdyś w wieku XV za czasów Dąbrówki! Kadłubek umieszczonym jest tylko przy Hecatontas w dodanym ogólnym spisie pisarzy polskich i tu nazwany jest nie Wincentym ale Janem; z témże imieniem *Jan* znajduje się jeszcze i w dziele *De claris oratoribus*. Starowolski pisał wprawdzie następnie oddzielnie nawet życie Kadłubka i wydał je pod napisem: *Vita et miracula servi Dei Vincentii Cadlubconis* (1649), lecz pismo to przypisane biskupowi Gębickiemu a napisane na uczczenie świętości jego poprzednika, złożone jest tylko z dosłownego wypisania i zestawienia obok, świadectw i wzmianek o tym pisarzu: Długosza, Miechowity, Kromera, kroniki Śto-Krzyzkiéj i t. p. i poświęcone jest tylko wykazywaniu pobożności jego za życia i cudów które się przeciągać miały przy jego grobie, niema zaś śladu iżby znał autor i wtedy jego kronikę.

Dlaczego nie umieszczony Rej nawet w spisie pisarzy przy obu edycyach? na to trudniéj jest odpowiedzieć; nie dla tego zapewne iż był protestantem, bo umieszczeni: Trzycieski, Modrzewski i inni, nie tylko w spisie ale i w liczbie wybranych stu, z epigrammatami; nie dla tego iżby nie wiedział o nim, wspomina bowiem o Reju jako znakomitym pisarzu pod *Bielskim;* nie dla tego wreszcie iż nie mógł powziąść wiadomości o jego życiu i pismach, bo te nie były konieczne dla położenia nazwiska w spisie. Dlaczegoż więc?— przyczyna nie może być położona inna jak tylko dorywczość, pośpiech, może nawet zupełna nieznajomość własna pism Reja.

Pośpiech ten być musiał powodem opuszczenia i tylu innych imion pisarzy o których jednak i w poprzednich swych pismach wspominał, i tych różnych omyłek ktorych się tu dopuścił, niejednokrotnie w wypisywaniu tytułów pism, w szczegółach biografij i t. p. jakie między innemi, prostował wkrótce *Nąkielski* w *Miechowii*. Gdyby nie pośpiech, Starowolski równie zasadnie mógł był ogłosić pismo o 200 znakomitych pisarzach zamiast tylko o 100.

Jakiebykolwiek jednak były powody tych opuszczeń, omyłek, niedokładności, to co dał Starowolski w swém Hecatontas wynagradzało obficie te braki. Rzutność i zdolność autora w zebraniu w krótkim przeciągu tylu stosunkowie dokładnych szczegółów biograficznych o tylu pisarzach, o pracach ich, nie tylko ogłoszonych drukiem lecz i w rękopismach istnących, bez żadnych poprzednich pomocy, były zadziwiające. Pismo jego stworzyło jakby świat nowy. Pismo to stało się było jak epoką wyobrażeń o umysłowości kraju polskiego u obcych, tak znowu w kraju początkiem i źródłem nowego ruchu w zainteresowaniu się pismami i pisarzami. Z na-

tchnienia to, naśladowania, albo oppozycyi przeciw Starowolskiemu pisali wkrótce: Hoppiusz, Braun, Hofmann i inni, i rozpoczął się rozwój téj bibliograficznéj gałęzi, którą reprezentowali *Załuski*, *Jabłonowski*, *Janocki* i tylu innych. Hekatontas Starowolskiego tém stało się było rzec można dla historyi literatury swego okresu, czém historya literatury Felixa Bentkowskiego dla epoki nam spółczesnéj.

De claris oratoribus Sarmatiae 1628.

Po ogłoszeniu w Wenecyi w r. 1627 poprawionego wydania *Hecatontas*, w roku następnym 1628 wydał Starowolski we Florencyi dziełko: *De claris oratoribus Sarmatiae*, czyli: „O znakomitych mówcach polskich. Dzieło to nie jest jakby można sądzić, dziełem o autorach odznaczonych w swych pismach wymową, ale o słynnych z wymowy mężach krajowych w różnych zawodach, jako to: dygnitarzach, hetmanach, kaznodziejach i t. p. Wyrażenia pochwalne daleko tu przesadniejsze niż w Hekatontas; gdy zaś te z saméj istoty rzeczy ściągają się do przedmiotu, który po większéj części nie mógł być pismem ujęty, a ztąd nie mogą być ani sprawdzone ani zaprzeczone, pozostawać muszą jako opinie.

Sarmatiae Bellatores 1631.

Po wyliczeniu pisarzy i mówców, w roku 1631 ogłosił Starowolski w Kolonii pisemko dające poznać i wojowników polskich. Starowolski wydał już był niegdyś dziełko p. n. *Elegia militarium virorum*, i przełożywszy je następnie na język polski poświęcił w r. 1622 Lwowianom jak sam przypomina o tém w przypisaniu tymże Hecatontas; treść jednak i granice dziełka tego (dziś nieznanego) musiały być znacznie szczuplejsze, autor bowiem w nowém tém dziele nie odwołuje się do dawnego, lecz mówi przeciwnie iż „*po* zaznajomieniu świata z pisarzami kraju swojego, chce teraz zaznajomić (jakby poraz pierwszy) i z jego wojownikami". Pismo to w swém wykonaniu tak co do wad jak i zalet nader podobném jest do Hecatontas; zaletą jego jest, iż przypomina i zbliża znakomitsze imiona i główne czyny wojowników krajowych, już królów, już wodzów; wadą: iż równie jak tamto ma najczęściéj zupełny brak dat i bliższych szczegółowych określeń. W tych życiorysach rycerzy jak życiorysach autorów brak dat ich urodzeń, śmierci, a nawet daty tych czynów wojennych które są wymienione; brak nadto charakterystyki i tych dziejów i tych wypadków o których mowa i w ogóle tak historycznéj jak i psychologicznéj charakterystyki figur kreślonych. Są tu tylko, jak w owém poprzedniém piśmie, wyliczenia dzieł, oraz ogólne pochwały męztwa, zdolności, przez przyrównanie do znanych imion starożytności najczęściéj oznaczone, i dodaniem pochwalnych epigrammatów podnoszone. W życiorysach tylko niektórych mężów osobiście autorowi znanych jak J. K. *Chodkiewicza*, Konst. *Ostrogskiego* i t. p. dodane są i szczegółowsze zewnętrzne przynajmniéj charakterystyki. Liczba tu opisanych rycerzy jest 126. *D. c. n.*

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzisiejszy stan Francyi.—*To by or not to by.* —Żywioły składające narodowość, społeczeństwo, cywilizacyą i Państwo francuzkie,—według Emila Chasles — Podbój Cezara. —Potęga Druidów.—Gaj marsylski z Farsali Lukana.—Przeradzanie się Gallów w Gallo-Rzymian. — Korneliusz Gallus. — Petroniusz.— Narada Gallów w Reims.—Wpływ idei chrześciańskiéj. — Lyon.—Poeta Laktancyusz. — Hymn żałobny nad Rzymem: *Dies Irae.* — Poeta Pantiliusz; jego poemat: Odjazd z Rzymu do ojczyzny. — Sydoniusz: obraz ludów barbarzyńskich.—Salwian: Skargi na lekkomyślność Trewizanów.—Frankowie. — Chlodwig.—Poeta Avitus, poprzednik Miltona: Raj zatracony. — Fortunat. — Żale Radegundy.— Porównanie jéj z połocką Gorysławą. — Grzegorz z Tours: jego kronika. Wpływ matki. Barbarzyńska łacina. — Pierwszy brzask literatury ludowéj - Gallo Frankowie. — Dwuwiekowy pomrok.— Znaczenie Legendy.— Karol Wielki.—Szkoły. — Alkuin. — Obraz Karola Wielkiego z Eginharda.— Wojny domowe. — Chaos. — Skargi poetów po obu stronach Renu. — Wyrób narodowości francuzkiéj.— Pierwsze jéj objawy:—Krucyaty.

Cztery miesiące temu, kiedy nieprzyjacielskie bomby, huczały nad oblężonym Paryżem, rozsiewając śmierć, postrach i zniszczenie, przerwaliśmy chwilowo zwykły bieg kronik naszych, czuliśmy bowiem, że niepodobna mówić o teatrach, obrazach i nowościach literackich, w obec krwawych wypadków spełniających się przed oczyma naszemi. A czemże były tamte wypadki w porównaniu nowych klęsk stokroć straszniejszych, bo wstrząsających do gruntu podwaliny porządku społecznego! Jakże maleją wszelkie objawy nauki, literatury i artyzmu, które zajmowały tak żywo świat ucywilizowany, w obec wielkich zagadnień jakie podnosi dzisiejszy stan Francyi!

Sławne Hamletowskie *Być albo nie być!* wybiega dziś z ust wszystkich ludów patrzących na zgliszcza Paryża, na znieważone świątynie, na powalone pomniki chwały narodowéj, na gród zbezczeszczony wandalizmem wyrodnych synów swoich. *To by or not to by!* powtarzają dziś narody, jedne z obłudném politowaniem,

drugie z szyderstwem i pogardą, inne współczuciem i żalem. Francya sama jedna nie pyta o to, ona wié że żyć musi, bo życie jéj, to nie ów fosforyczny płomyk, co go lada wiatr zdmuchnie, lada powódź zatopi: przetrwała ona sroższe burze i uragany, a z każdego wstrząśnienia wyszła potężniejszą, odrodzoną.

Na owo *To by or not to by* historya najlepszą da odpowiedź. Jak więc przed czterma miesiącami, tak i teraz, zostawiamy na boku sprawozdanie z literatury, nauki i sztuk pięknych, a biorąc dziś za przewodnika p. Emila Chasles, autora *Historyi literatury narodowéj*, przejrzymy choć pobieżnie żywioły z których utworzyły się w paśmie wieków: narodowość, społeczeństwo, cywilizacya i Państwo francuzkie.

I.

Nie będziemy tu sięgać w głąb starożytnéj Galii; przypomnimy tylko zdanie Lelewela, że dzisiejsi Francuzi są przedewszystkiem potomkami Gallów, to jest, że wpływy obce: greckie, łacińskie i germańskie, aczkolwiek przyczyniły się do rozwoju tubylców, nie zmieniły w niczem ich rodowego geniuszu. O ważności krytycznego poglądu, naszego znakomitego historyka, poglądu który stał się skazówką dla dzisiejszych badaczów francuzkich, wspominaliśmy już nieraz przy sprawozdaniu z ich prac. Mamy także przygotowaną dla Biblioteki konferencyą Henri Martin, o starożytnych Gallach: praca ta dokładniéj rzecz objaśni. Pomijamy więc charakterystykę ośmio-milionowego ludu który Cezar zastał w Galii. Krótki nasz pogląd nie pozwala nam zatrzymywać się ani na stosunkach Gallów z wysoko ucywilizowanemi ludami starożytności, jakiemi byli Fenicyanie i Grecy, ani téż na długoletnich walkach z Rzymem zakończonych ostatecznem zwycięztwem legionów. Zaczniemy od chwili dokonanego już podboju.

Zobaczmy oto jak wielki poeta Lukan, przedstawia Rzymianom nowo podbite społeczeństwo. Przytaczamy obraz Gaju świętego, wyjęty z Farsalii.

GAJ MARSYLSKI.

Poza grodem gaj święty, ciągnie się daleko,
Ludziom groźny, lecz bogów osłonion opieką.
Tam, nim się przez liściaste przebije drzew sploty,
Na jasném licu słońca, gaśnie promień złoty.
Pod ciemnemi tych buków i wiązów konary,
Nie brzmią fletnie Sylwanów, nie Faunów fujary;
Tam pomrok wiekuisty, cieniem tajemniczém,
Kryje straszne ofiary przed słońca obliczem.
Tam krwią, co z drgającego życiem tryska łona
Ku czci bogom, przyroda srodze znieważona.

Krwią skały pociekają, krwią ziemia się pieni,
Krew ludzka mchem przerosłe pnie dębów czerwieni.
Wszystko przemawia grozą, postrach serca więzi,
Ptak nawet nie przysiędzie na tych drzew gałęzi,
Tam, ni lew z długą grzywą, ni dzik co kłem błyska,
Nie śmie w ciemnych ostępach, usłać legowiska;
Nawet grom, co na zbrodnie miota z nieba strzały,
One miejsca skażone pomija struchlały;
Tam bogi prostaczemi wykowane młoty,
Postrachem zdobywają hołd ludzkiéj ślepoty:
Im szpetniéj razi oczy postać ich obrzydła,
Tém szczodrzéj im pod stopy, sypią się kadzidła;
Tam, z zaklętych zdrojowisk przez szczerby granitu,
Wytryska potok czarny, jak fala Kocytu;
Raz po raz dziką wrzawą, rozgrzmi las szeroki,
Zaszumią stare dęby, zaryczą opoki;
I łuna się jaskrawo rozpostrze nad lasem,
Lecz pożar nie pochłonie tych gęstwin, choć czasem
Smok z ognistemi skrzydły, lub potworna żmija,
Płomienistym pierścieniem, pnie dębów owija.
Zdaleka straszną paszczę mija lud strwożony,
Niech tu nocą swobodnie harcują demony,
Sam Druida o zmroku w te gęstwia nie wkroczy,
Bogom przez siebie czczonym, nie rad spojrzeć w oczy.

Cóż ujdzie przed zniewagą świętokradzkiéj dłoni,
Samychże nawet bogów ich świętość nie broni;
Cezar łamie ich prawa, cóż stawi mu opór,
Żołdak łupi ołtarze i zamierza topór;
Lecz zaczem twardem ostrzem pień święty rozwali,
Wstrząsł się cały od grozy i patrzy, ażali
Topór w jego pierś grzeszną nie zwróci się czarem,
Waha się, gniew szalony zawładnął Cezarem:
Podjął topór w prawicę, silnie w pień wymierzy,
„Jeżeli gaj ten świętym, woła na żołnierzy,
Niech wszystkie gromy niebios na mą spaduą głowę!“
Duch ockuął się w Rzymianach, już ręce gotowe
Ugodzić świętokradzko; przebiegły ich dreszcze.
Bogowie im do serca snać szepczą coś jeszcze,
Lecz rozkaz Cezarowy, ten poszept przygłusza,
Umilkli nieśmiertelni: na głos Juliusza
Padły buki zwalone topory twardemi,
I dęby pierworodne syny młodéj ziemi,
I zielone cyprysy, i wysokie sosny,
Co smętnéj dają zimie słodki urok wiosny;
Drżą ludy przygnębione tą zniewagą świeżą,
Z ust kapłanów ku niebu w chór klątwy uderzą,
A Marsylczyk z baszt grodu własne klęski liczy,
Bazkarnie czyż Latynom ujdzie czyn zbrodniczy.

Dziś, rzecze, tym przestępstwom przebrała się miara,
Grom pomsty wnet ugodzi w pyszną skroń Cezara!

Grom ugodził w rzeczy samej w pyszną głowę Cezara, lecz Galia podbita jego orężem, nie przestała być prowincyą rzymską; po ostatecznem jéj pokonaniu, następuje pięciowiekowy okres, w ciągu którego Gallowie przeradzają się w Gallo-Rzymian. Okres to mało znany. Sądzą powszechnie, że zwycięzcy opanowawszy kraj, zakładają szkoły, wychowują lud i tym sposobem spełniają dzieło przenarodowienia. Inaczéj jednak było. Okres ten przedstawia się w szerszych i wspanialszych zarysach. Rzym zwycięzki rozciąga ku północy potęgę wojskową i administracyjną, a jednak upada, bo traci właściwy sobie charakter; Galia przeciwnie, upokorzona, podbita, rozmaga się i gotuje do nowych przeznaczeń, rozwijając własny geniusz.

Rzym działa z niesłychaną zręcznością, prześladuje i ściga najzawzięciéj Druidów i Bardów, piastunów tych odwiecznych tradycyj, które wskazał Lukan, jako ożywcze ognisko ducha galskiego, stan rycerski tymczasem przypuszcza do najwyższych dostojeństw, wprowadza go na Forum, otacza świetną lecz skażoną atmosferą stolicy. Wtedy to Gallowie rozdzielają się na trzy grupy: jedni osiadają w Rzymie, słyną tam jako mówcy, poeci, filozofowie; żyją otoczeni zaszczytami, ale wszelka niesforność z ich strony karana śmiercią lub wygnaniem. Drudzy pozostają w Galii, rządzą w niéj z ramienia Rzymu. Trzecia nakoniec gruppa, złożona z Druidów i Bardów, usuwa się na północ, na brzegi morza, gdzie osłoniona cieniem skał i lasów, zakłada ową Galię Bretońską, wierną po dziś dzień strażnicę podań, pieśni, języka i obyczajów celtyckich. Część téj gruppy chroni się do Irlandyi, inna na wyspę Walles.

Poznajmy nasamprzód Gallów w Rzymie, ci bowiem najsilniéj wpływali na przeobrażenie się ziomków w ojczystym kraju. Przeważną rolę odgrywają tam zwyciężeni w pośród zwycięzców. Już za złotego wieku literatury łacińskiéj, pomiędzy Horacym a Wirgillim, błyszczą Gallowie jako mówcy i poeci. Imiona ich przebiegają z ust do ust, wiersze ich każdy umie na pamięć.

Do świetnéj plejady poetów z czasów Augusta, należy Korneliusz Gallus. Zachwyca on Rzym elegiami, w których obok wytwornéj formy greckiéj, przebija żywotność właściwa Gallom. Dla lutni przecież nie puszcza z rąk oręża. Wysłany przez Augusta do Afryki, pochwyca sławną Kleopatrę, poczém zostaje prefektem w Egipcie, zamienionym w rzymską prowincyą.

Prefekt Cezara pozostał w duszy Gallem. Razu jednego podczas uczty, pozwolił sobie sądzić czyny Augusta. Oskarżono go w Rzymie. Skazany na wygnanie do Sarmatów, byłby dzielił losy Owidiusza.—Gal przełożył śmierć nad ostracyzm; odebrał sobie życie. Wiersze jego zniszczono; nie zostało z nich ani śladu

Wirgilli zmuszony był przerobić czwartą księgę Georgik, w któréj opiewał chwałę Korneliusza.

Przy boku każdego z Cezarów widzimy postać Galla. Ale synowie ziemi tak długo niepodległéj, nie umieją się nagiąć do roli ulubieńców. Votienus Montanus nagania czyny Tyberyusza i umiera wygnańcem na wyspach Balearskich. Petroniusz Gal z Marsylii ulubieniec Nerona, poważa się chłostać biczem satyry, bezprzykładne okrucieństwa pana swego. Skazany na śmierć, nie czeka wyroku, lecz sam otwiera sobie żyły.—Zwyczaj wymagał że ulubieńcy Cezarów zapisywali im całe mienie. Petroniusz przekazał Neronowi opieczętowany zwój papierów. Otworzył go Neron: znalazł własny swój obraz na tle ohydnego społeczeństwa rzymskiego, nakreślony czarnemi barwy, ręką mistrza i naocznego świadka.

Wpływ Gallów silnie oddziaływał na Rzymian. Podczas gdy moda upowszechnia w Rzymie galską odzież, owe Kaligule i Karakalle, od których dwaj cezary biorą imiona przechowane im w dziejach, uczeni galscy i rzymscy, zawiązują między sobą najściślejsze związki; świadczą o tém listy pozostałe z tych czasów. Pliniusz młody pisuje do Gemininsza z Lyonu, naradzając się z nim jak utrzymać miłość poważnéj pracy, w rozprzęgającém się społeczeństwie. Seneka poświęca rozprawę *O dobrodziejstwach* Liberalisowi także z Lyonu. Sam wielki historyk Tacyt, ożeniony z córką sławnego Galla Agrikoli, pędzi życie w towarzystwie uczonych Gallów. Ich to wpływowi przypisać potrzeba ów ironiczny dowcip, połączony z powagą która ożywia jego księgi.

W miarę jak Rzym przychodzi do rozkładu, postać Gallów występuje coraz to silniéj i wybitniéj. Wśród powszechnéj zgrzybiałości, Gallowie sami zachowali czerstwą młodzieńczość ducha. Oni nie umrą z Rzymem!

A teraz z grodu Cezarów przejdźmy do Galii, zamienionéj w prowincyą rzymską.

Galia ścisnięta nową organizacyą, długo szamotała się w pętach. Młodzież z jednéj strony słucha w szkołach retorów rzymskich, z drugiéj nakłania ucha na gorące słowa galskich mówców, przypominających jéj walki Brennusa i Wercyngetoryxa. Już pod Tyberyuszem, Sakrowir i Florus, dobywają miecz z pochwy, świadcząc o żywotnéj sile galskiego ducha. Pokonani, przebijają się obaj sztyletem. Za Kaliguli, Klaudyusza i Nerona, nowi zapaśnicy występują do walki.

Cywilis Batawczyk, widząc bezprzykładność pojedyńczych wysileń, przedsiębierze śmiały plan, niebezpieczny dla Rzymu. Zawiązuje ligę północy przeciwko południowi; łączy się z Bretonami i Germanami. Zamiarem jego utworzyć niepodległe państwo Galskie. Po długich walkach, pada Cywilis pokonany przez Cerialisa wodza rzymskiego. Zwycięzca zgromadza Gallów, przemawia do nich w sposób zasługujący na szczególną uwagę: „*Germanie—mówi — nie mogą być przyjaciołmi waszemi, duch zaborczy*

będzie zawsze główną namiętnością tego ludu, niezadowolonego z bagnisk swoich, i zawistnem okiem poglądającego na Galię.“

Od téj klęski dwie opinie poczęły równoważyć się w Galii. Południowa część kraju utrzymywała, że Gallowie połączeni z Rzymem, powinni jako lud młody i krzepki, wzmocnić go żywotnością swoją i działać z nim wspólnie na rzecz ogólnéj cywilizacyi świata; północni zaś pod wpływem Druidów i Bardów, marzyli zawsze o odrębności państwa Galskiego. Aby raz zakończyć te spory, i rozwiązać zagadkę przyszłości, naznaczono walne zgromadzenie narodowe w mieście Reims. Przybyli tam deputowani z całéj Galii. Północ piorunowała na Rzym, rzucała mu w oczy straszne zbrodnie, ubolewała nad losami podbitych. Tymczasem stronnicy pokoju oświadczyli stanowczo, że Rzymianie mają za sobą działalność, potęgę, odwagę i karność wojskową; że Gallowie szarpani odwieczną niezgodą, skorzy do wojny domowéj, nie mogą sobą rządzić; potrzeba im zatém dojrzeć pod słońcem rzymskiéj cywilizacyi, nim przyjdzie im wystąpić samodzielnie na widownię dziejową.

Zebranie w Reims miało wielką doniosłość. Dwa stronnictwa rozdzieliły się całkiem: zacięci Celtowie usunęli się na bok, zamknęli w niedostępnych puszczach Armoryki i Bretanii; stronnicy zaś nowéj cywilizacyi postanowili wysyłać dzieci do szkół, a pod opieką Rzymu rozwijać rolnictwo, przemysł, handel, jak niemniéj wykształcać się naukowo.

I oto, podczas gdy Druidy i Bardowie, pielęgnowali skarby podań i poezyi w cieniu puszcz Armoryki, większość Gallów przeradzała się w Gallo-Rzymian. Czas dokonywał pomału ale stanowczo tego zlewu odrębnych żywiołów, z których miał kiedyś powstać nowy naród.

Ze strony Rzymian nie było żadnych gwałtów w narzucaniu języka i religii. Na ołtarzach czytano świeżo wyryte imię Jowisza, obok imienia galskiego Hesusa. Po szkołach wykładano zarazem starożytne tradycye Druidów, prawo rzymskie i aleksandryjskie, filozoficzne systemata. Wpływ jednak Rzymu i Grecyi silnie oddziaływał na Galią, skutkiem téj nieprzepartéj siły, jaką wyższa cywilizacya wywiera na ludy mniéj oświecone. Jeszcze przed podbojem Cezarowem, Marsylia grecka i Narbonna rzymska, były temi ogniskami, z których światło rozchodziło się po Galii. Po ostatecznym podboju, dzieło cywilizacyi spieszniejszym postępuje krokiem. Rzymskie drogi ułatwiają rozwój nauk i myśli. Szkoły powstają w wielkich miastach. Lyon nowa stolica, staje się wspaniałą metropolią nauk. Tu u spływu Saony i Rodanu, Druzus buduje świątynię mieszczącą w sobie wszystkie tak rzymskie jak i galskie bogi. Świątynię tę otacza sześćdziesiąt posągów wyobrażających sześćdziesiąt wielkich miast Galii. W przedsionku jéj odbywają sie sławne konkursa wymowy greckiéj i łacińskiéj, w obecności samychże Cezarów.

I Galia nową całkiem przybiera postać. Administracya zakwita, pola falują zbożem; miasta zdobią się w pyszne cyrki i pałace, w łuki i wodociągi. Wkoło miast ciągną się wille świecące od marmuru i złota, otoczone wieńcem ogrodów. Gdzie rzucić okiem wszędzie posągi, marmury i rzeźby; wszędzie ślady młodzieńczéj a bujnie zakwitającéj cywilizacyi.

Sztuczne to jednak plony, nie wydadzą posiewu. Blask ten pozorny łudzi oko a nie ogrzewa. Był to stan przejściowy: młodemu społeczeństwu nie mogła starczyć cywilizacya świata zgrzybiałego starością i zepsuciem. Rzym przekazał Galii skarby wiedzy nauk i doświadczeń; Gallo-Rzymianie odziedziczyli bogatą puściznę, ale z nią razem i zarody skażenia. Młodzież przekształca się na modły mistrzów; lecz nie wydobywa sił sama z siebie. Naśladuje Greków, staje się gallo-rzymską a traci cechy samoistnego geniuszu.

Węzły łączące Rzym z Galią, nie mają téj siły żywotnéj, która odradza społeczeństwa: brak im wyższych pobudek, wielkich celów. Gród Cezarów nadaje Gallom prawa obywateli rzymskich, doprowadza kraj do kwitnącego stanu, aby wyciskać z niego złoto; młodzi Gallowie garną się do szkół, widząc w nich jedyną drogę do zaszczytów i dostojeństw. Interes stanowi całą spójnię. Dziwna też bezwładność daje się czuć w tych szkołach tak błyszczących z pozoru a tak rozprzężonych w gruncie rzeczy. Marsylia którą Tacyt stawiał obok Aten, zmienia się jakby w nowy Korynt, miasto niegdyś słynne z zbytków i zabaw. O tym zwrocie Marsylii świadczy grobowy pomnik wzniesiony przez miasto młodemu tancerzowi: *Saltavit et placuit*, tańczył i był lubiony, wyryto mu na grobie.

II.

Bije wreszcie godzina odrodzenia, godzina stanowcza w dziejach Galii.

W Lyonie stołecznym grodzie Galii Rzymskiéj, stała się rzecz nadzwyczajna. Było to w połowie drugiego wieku, w sto lat po założeniu miasta. Lud poruszył się nagle: doprowadzał go do wściekłości widok ludzi nieznanych, którzy przebywali w Lyonie jakoby cudzoziemcy, żyjąc nie według rzymskiego obyczaju. Szczególni to byli ci ludzie: nie widywano ich nigdy ani w świątyni, ani w cyrku, ani na publicznych zebraniach. Na ulicy poznawano ich po ubogiéj odzieży, ale postać ich cała tchnęła nadzwyczajną godnością i powagą. Żyli na osobności, ztąd podejrzliwém patrzano na nich okiem.

— Kto jesteście?—pytali ich przechodnie.

— Jesteśmy chrześcianie,—odpowiadali słodko.

Tysiączne potwarze miotano na tych ludzi: między innemi krążyła bajka że kradną i pożerają drobną dziatwę.

— Śmierć im! —wołał lud rozjuszony.

Pojmano chrześcian w Lyonie, rozkazano im złożyć ofiarę bogom; przewódców wzięto na tortury, innym przyrzekano pieniądze, niewolnikom wolność, jeżeli zaprą się błędów swoich. Niektórzy upadli; większość trwała niezachwianie w oporze. I powleczono ich do cyrku; przy głośnym poklasku tłumów, przy klątwach sypiących się z tysiąca ust, oprawcy żelaznemi hakami szarpali na kęsy ich ciała, w końcu rzucili ich na pożarcie głodnym lwom i tygrysom.

Nazajutrz po strasznym dniu, dziwna zmiana nastąpiła w umysłach. Wkoło tych niedogryzionych kości, tego błota krwi, lud garnął się z uczuciem najwyższego uwielbienia. Liktorowie na rozkaz prokonsula, podjęli szczątki ciał, spalili je na popiół, wrzucili do Rodanu. Lud tymczasem rozważał pilnie każde słowo męczenników wyrzeczone przez nich przed skonem. Prawda poświadczona krwią ofiar, przemawiała do serc w cudowny sposób, męczeński posiew obfite wydał plony.

Wiara chrześciańska przyszła do Lyonu prosto z Azyi, w sto czterdzieści lat po Chrystusie, przyniesiona przez Greków. Garstka chrześcian która zdołała ujść prześladowania, wyprawiła list do braci swoich na Wschodzie, opisując męczeńską śmierć dziewięćdziesięcioletniego Pothina, pierwszego biskupa Lyonu, i innych ofiar, wśród których świeci postać niewolnicy Blandiny. List ten uznany został jako akt fundacyi galskiego kościoła. Lyon zamienia się odtąd w metropolią chrześciaństwa; promień wiary ogarnia ztąd całą Galią. Wielkie miasta, owe główne ostoje filozofii pogańskiéj, z których zbytek i skalanie spływały na kraj wraz z nauką, stają się ogniskami nowéj wiary.

Zapaśnicy krzyża walczą niezmordowanie: najprzód walczą przeciw rzymskiemu bałwochwalstwu, następnie przeciw sektom szerzącym się na Wschodzie. Pod wpływem tych walk rodzi się literatura chrześciańska. Kamień jéj węgielny kładzie święty Ireneusz drugi biskup lyonski dziełem: *przeciwko wszechwiedzy Gnostyków.*

Obok Lyonu przyświeca Trewiza. Tu sławny retor Laktancyusz przybywszy z Afryki, uderzony silnie żywotnością idei chrześciańskiéj, wyrzeka się politeizmu i piórem godném Cycerona, formułuje nową naukę, w dziele: *Instytucye Boże.* Ledwie że umarł Laktancyusz, rośnie w Trewizie młodzian wielkich zdolności, przyszły filar kościoła, święty Ambroży, późniejszy biskup Medyolanu. Inny młodzian przybywa tu na naukę z dalekich ziem słowiańskich, tym młodzianem Dalmata Hieronim. W Poitiers biskup Hilary święty, walczy potężnie przeciw błędom Aryusza. Wygnany udaje się na Wschód: tam pisze sławną *Historyę koncyliów.*

W Tours zasiada na stolicy biskupiéj, uczeń świętego Hilarego, dawny żołnierz rodem z Panonii, święty Marcin, wielki szermierz kościoła. Żywot biskupa tego skreślił płomienistém piórem, święty Sulpicyusz u stóp Pirenejów. „Rozsiewajmy—wola—

życie świętego po gościńcach i portach morskich, po wyspach i po miastach; ponieśmy je do Rzymu i Kartagi, do Koryntu i Aten! Grecya dowie się że Platon nie był mędrszym, ani Sokrates odważniejszym od Marcina! Święci Tebaidy, przekonają się że Europa nie ustępuje w niczem Azyi!“

Jakoż żywot świętego Marcina obiegł wszystkie kraje; nigdy księga nie oddziałała silniéj na umysły i serca: tysiące nawróconych pielgrzymowała do Tours.

Ciekawy to i wielce nauczający obraz tych atletycznych zapasów, które po dwóch przeszło wiekach sprowadziły w Galii zupełny tryumf chrześciaństwa. Odrodzona Galia staje się wielkiém ogniskiem, z którego czerpią światło wszystkie narody.

Miasta galskie utrzymują stosunki z całym światem. Z Trewizy do Betlejemu, z pustyni Tebaidy na prowanckie wybrzeża wędrują pielgrzymi, gońce roznoszą pisma. Mędrcy z dalekich krańców ziemi, utrzymują związki ze społeczeństwem galskiém; świadczą o tém przechowane listy świętych: Hieronima i Augustyna.

Podczas gdy Galia rozkwita nowém życiem, Rzym pogański rozkłada się powoli, przeczucia krążą w powietrzu: świat drży w oczekiwaniu nadzwyczajnych wypadków. Przyszłość pokryta grubą tajemnicą, ale poeta duchem proroczym rozdziera tę zasłonę. Jeszcze powódź barbarzyńska nie wylega ze Wschodu, a już Saktancyusz śpiewa przez usta Dawida i Sybilli prorocze *Dies irae* nad konającym światem pogańskim. „Bezład zapanuje na ziemi!— woła on— wojna wszędzie! zbrojne ludy uderzą na siebie!.. straszne żniwo miecza przemknie po krajach, waląc wszystko i burząc. A dlaczego? Bo imię Rzymianina, które dziś rządzi światem— o! jakże mi gorzko powiedzieć, ale wypowiem bo tak się stanie!— imię Rzymianina musi zniknąć na ziemi!“

I stało się jak przepowiedział ten, którego hymn wyrwany z duszy ciężką boleścią nad losem Rzymu, — ów żałobny *Dies irae* uświęcony przez kościół— przetrwał aż do dni naszych. Nie upłynęło sto lat, a oto kiedy cesarz Julian wychowany w chrześciaństwie, zaprzecza prawdom Chrystusa, i tworzy nową religię filozoficzną, którą zwie Helenizmem; kiedy prefekt Rzymu Symak jakby na przekór wróżbom poety, buduje ołtarz na cześć *bogini zwycięztwa*, wówczas to staje na kresach państwa Rzymskiego nieprzebłagany sędzia i kat... Attyla! powódź barbarzyńców uderza w progi Romy. Tarany burzycieli świata odpowiadają na rozprawy rzymskich retorów.

Ludy ze Wschodu płyną a płyną jak rozhukana fala, pogański Rzym utonie w téj powodzi; nie obroni sam siebie, ani ludów którym był tarczą. Galia stratowana wzdłuż i w szerz stopami najezdników. Wizygoci zakładają królestwo w Akwitanii; Burgundy sadowią się u stóp Jura; wślad za niemi ciągną nowe rzesze, którym przeznaczono wywrzeć stanowczy wpływ na przyszłe losy Galii.

Przerażony lud błaga o pomoc braci galskich, piastujących w Rzymie wysokie dostojeństwa. Wzywa ich do ojczyzny. Gallowie odpowiadają na wezwanie; widzimy wśród nich poetę Rutiliusza. Ocalony szczątek jego poematu, opisujący pożegnanie z grodem Cezarów i przeprawę do Marsylii, stawia nam przed oczy ciekawy obraz Gallo-Rzymianina, przesiąkłego na wskróś cywilizacyą pogańską.

W roku 419 poeta Rutiliusz Numatianus płynie z Rzymu do Marsylii, po tém morzu co oblewało stopy tylu kolonii fenickich i greckich, a nad którém jeszcze panuje olbrzymi cień Romy. Mgły jesienne przysłaniają widnokrąg; poeta płynie małym statkiem, raz poraz zatrzymuje się w przystani na wybrzeżu, gdzie niema schronienia, wznosi namiot z żagli wsparty na wiosłach, przed oczyma jego sterczą kupy rumowisk: tu zburzony gmach, tam odłam muru lub portyk, jedyny szczątek powalonéj świątyni, tu posąg strącony z ołtarza, tam gruzy wielkiego niegdyś grodu. Gdy opływa brzegi, wysp inne znów napotyka wspomnienia. Na jedną z tych wysp chronili się Rzymianie zbiegli przed Allarykiem, drugą zajęli mnichy.

Okrzyk grozy wydziera się z piersi Rutiliusza na widok pustelni wykutéj w skale. Wspomina imię dawnego przyjaciela:

Obu nas szczera przyjaźń łączyła od młodu,
Słynął wśród nas darami fortuny i rodu;
Lecz furye na nowe popchnęły go drogi,
Rzucił dawnych przyjaciół, odtrącił swe bogi.
W téj ohydnéj ustroni, z daleka od świata,
Dobrowolny wygnaniec trawi nędzne lata,
On mniema nieszczęśliwy, że przez kupy śmieci
Snadniéj mu jasny promień z niebiosów zaświeci;
Więc krwawemi tortury sam chłoszcze się srożéj,
Niżby go chłostać mogły gromy pomsty Bożéj;
Mniéj straszne od téj sekty jady tajemnicze,
Któremi Cyrce ludzkie zmieniała oblicze:
Ona zmieniała postać tylko... dziś o grozo!
Chrześcijanie się chlubią dusz metamorfozą.

Słusznie rzekł poganin: przemiana duszy, oto hasło nowego porządku.

Rutiliusz lubo Gal rodem, kocha nadewszystko Rzym, gdzie pobierał nauki, gdzie dosłużył się dostojeństwa prefekta. Z żalem téż opuszcza forum i kapitol; żegna Rzym zalewając się łzami:

Wyrywam się z twych objęć nieszczęśliwy grodzie,
Boleść tysiącem żądeł moje serce bodzie!
Gorącym pocałunkiem, w téj chwili złowrogiéj,
Gdy zmuszon cię opuścić, czczę bram twoich progi,

W hołdzie słusznym dla ciebie wyśpiewam pieśń nową,
Jeśli z łkającéj piersi wydobędę słowo.

Słuchaj Romo królowo, ty co władasz światem,
Co przyświecasz nad ziemią gwiazdy majestatem,
Słuchaj mnie matko bogów, opiekunko ludzi,
Pod łukami twych świątyń myśl ze snu się budzi,
I słodkie zdroje natchnień czerpie w jasném niebie,
Po kres dni moich Romo! nie przepomnę ciebie;
Snadniéj złoty blask słońca nowy mrok przygłuszy,
Nim zatrze się twój promień w głębinach méj duszy,
Bo twoje dobrodziejstwa słonecznemi żary
Ogarniają szerokie onych ziem obszary,
Co brzegi swe w burzliwym kąpią oceanie,
Z twych dziedzin na ognistym wyjeżdża rydwanie
Złoty Febus, i chyży bieg dla ciebie toczy,
I twe morze go tuli w wieczornéj pomroczy.
Nic twych stóp zwycięzkiego nie wstrzyma pochodu,
Ni piaski puszcz libijskich, ani zwały lodu
Z północy, kędy straże niedźwiedzica trzyma:
O królowo! dla ciebie zapory świat nié ma.
Gdzie powietrza na oddech ludzkiéj piersi starczy,
Idziesz tam, i osłaniasz świat cieniem twéj tarczy,
I błoga barbarzyńcom twych ustaw potęga,
Niesforne karki ludów w silny węzeł sprzęga;
Ty, mocą praw na ziemi, wracasz ład stargany,
I wszystkie ludy świata przemieniasz w Rzymiany!

Tak sławi Gal Rutiniusz pyszną Romę. Chciałby jeszcze widzieć w niéj słońce przyświecające ludom, nie widzi, że promienie tego słońca zgasły już bez powrotu. Ale miłość dla Romy, któréj zawdzięcza wiedzę i chwałę, nie tłumi w nim uczucia dla kolebki swojéj Galii. Opuszcza Romę, bo Galia powołała rozpierzchłe swe dzieci, aby ją zasłaniały piersią własną.

Z boleścią poeta odzywa się do rodzinnego kraju:

Biedna ziemio! twe pola chwast lichy zarasta,
Pożar chłonie twe włosci i warowne miasta;
Gdzież zasoby długiemi gromadzone laty:
Czas podźwignąć two grody, odbudować chaty.
Naszych krynic przeczystych słyszę gwar żałosny,
Wołają na mnie dęby i stuletnie sosny;
Wyrzut rani me serce, wstyd lica me pali,
A łódź coraz to chyżéj pomyka po fali!

Rutiliusz patrzy z boleścią na gruzy i pogorzeliska ojczystéj ziemi swojéj. Opiewa je, lecz nie dźwignie ich z prochu. Długie lata upłyną, zaczem oschną kałuże krwi, nim zagasną łuny poża-

rów na szerokiéj przestrzeni od Renu po Pireneje. Coraz nowe gromady barbarzyńców, pchają się w głąb Galii. Zobaczmy jak inny poeta gallo-rzymski Sydoniusz, opisuje te ludy wylegle z ciemnych puszcz Germanii, którym świat ucywilizowany spojrzał raz pierwszy oko w oko. Widział poeta z bliska i Wandalów z cerą ogorzałą, i Hunów z okiem zaklęsłém, spłaszczonemi nozdrzami, i modro-okich Saksonów, co na łodziach skórzanych przepływają rzeki i morza; przyjrzał się szczególniéj owym Gotom Dytrycha i Euryka, którzy górują światłem nad bratniemi plemiony.

Sydoniusz odwiedza Bordeaux, gdzie panuje dumny Euryk król Wizy-Gotów. Oto skreślony przezeń obraz dworu: „Po dwakroć-- mówi— księżyc dokonał biegu, zaczem zdołałem otrzymać posłuchanie. Król niema dla mnie chwili wolnéj, świat bowiem cały domaga się téż odpowiedzi, i czeka jéj z głową pochyloną. Tu widzę drżącego Saksona, którego nie lada co ustraszy, przywykł bowiem do walk z burzami oceanu; tu stary Sykambr ostrzyżony po klęsce, czeka aż mu odrosną długie włosy; tu przechadza się Herul z cerą zielonkowatą, jak one fale północnych mórz co go wykołysały groźnym szumem; tu Burgund olbrzymiego wzrostu gnie kolano, błaga o pokój; tu Ostrogota wzywa pomocy przeciw Hunom; tu i ty sam Rzymianinie domagasz się ramienia Euryka przeciw scytyjskim hordom, błagasz młodą Garonnę, aby wsparła bezsilny Tyber."

Dłużsj Sydoniusz zatrzymuje uwagę na Frankach, jakby przeczuwał rychłą przewagę ich w Galii:

„Od wierzchu głowy sprowadzają na czoło bujny rudy włos, odkrywając nagą a białą szyję; oko ich ma barwę zielono-modrą, twarz wygoloną starannie zdobią nie wielkie wąsy; opięta odzież rysuje członki olbrzymich kształtów; szeroki pas skórzanny udatnie ją obciska. Najmilszą dla nich zabawą rzucać do celu obosieczny topór lub wyprawiać gonitwy. Od dziecka zaprawni do oręża, wojna jedynym ich żywiołem. Naciśnięci liczbą, idą na śmierć bez trwogi: żadna moc pokonać ich nie zdoła."

Takiém okiem świat gallo-rzymski poglądał na barbarzyńców. Widział w nich tylko burzycieli cywilizacyi, wrogów rodu ludzkiego. Inaczéj patrzeli na nich owi mędrce chrześciańscy, którzy duchem wybiegli w górę i sądzili sprawy świata z wyżyn niedostępnych zwyczajnym politykom. Z głębi monasterów wznoszących się na skałach Prowancyi, poglądali oni na krwawą powódź, na łuny pożarów i zgorzeliska, ale nieustraszeni tym obrazem, widzieli także i bogate plony, które czas rozwinie na zgliszczach.

Ogień i miecz barbarzyńców nie tyle ich przeraża, jak ten wyziew zgnilizny, którym rzymska cywilizacya zatruwała ludy żyjące pod jéj wpływem.

Z pomiędzy tych mędrców co orlim wzrokiem przebili zasłonę przyszłości, występuje tu olbrzymia postać Salwiana. Ten wielki szermierz chrześciański V wieku, w obec barbarzyńców staje do

walki nie z nimi ale z Rzymem, rzuca gromy na rozprzężone społeczeństwo. W oczach Salwiana napad barbarzyńców jest złem koniecznem; w tych czasach bezrządu moralnego, on tylko rozstrzygnie rzecz stanowczo: potrzeba zerwać z zepsuciem gallo-rzymskiém. Niech żyją Allany i Goty, Gepidy i Huny! Precz z Rzymem, z jego skażoną literaturą, z jego szalonym zbytkiem!

Salwian kreśli przerażający obraz ówczesnego Rzymu: „przemoc cięży nad ubogim, wdowy jęczą, sieroty uciśnione. Rodziny całe chronią się pod opiekę Gotów i innych ludów barbarzyńskich. Lżejsze im stokroć ich jarzmo, niżeli mniemana wolność rzymska. Tytuł obywatela Rzymu, niegdyś tak cenny, tak drogo opłacany krwią, dziś staje się ohydą, przedmiotem pośmiewiska i odrazy.“

Z równą siłą chłoszcze Salwian lekkomyślność Gallo-Rzymian, mieszkańców Bordeaux i Trewizy.

„Potrzeba wam cyrków Trewizanie! wołacie o cyrk, i to po strasznem spustoszeniu, po niezliczonych klęskach, kiedy ulice grodu waszego zawalone gruzem, cuchnące krwią jeszcze nieociekłą! Smutne zaprawdę, opłakane szaleństwo wasze! Jam się litował patrząc na kupy zwalisk, zaścielające miasto; dziś stokroć bardziéj lituję się nad wami, gdy widzę was złaknionych widowiska. Sądziłem że w téj powodzi klęsk, zatonęło tylko mienie wasze; nie wiedziałem że w niéj zatonął i wasz rozum.

„Wy żądacie igrzysk Trewizanie! A kędyż to obchodzić te igrzyska? na zgliszczach i popiele, na krwi i kościach pomordowanych obywateli! Jest-li część miasta nie zalana krwią? nie zawalona kupą trupów? Gdzie rzucić okiem, straszny obraz zdobytego grodu, wszędzie postrach, śmierć i niewola! nieszczęsny lud wylewa łzy na grobach swych umarłych, a wam potrzeba igrzysk! Mury miasta czarne od pożaru, a wasze oblicza promieniste jakby na święto! wszystko płacze a wy radośni! wam-że to nikczemną rozpustą ściągać na miasto nowe pioruny pomsty Bożéj.“

Ten głos wielkiéj boleści mędrca chrześciańskiego, tłumaczy nam, dlaczego tenże mędrzec w napływie barbarzyńców, widział zbawczą kotwicę dla zachwianego w posadach społeczeństwa. Gallo-Rzymskie społeczeństwo skupione po miastach, tak było do gruntu spróchniałe, że zatarło w sobie nawet poczucie własnego upokorzenia. Już głos narodowych przewódzców nie znajdował w niém oddźwięku. W takim to stanie społeczeństw, silny tylko bicz najezdnika zdolny jeszcze wydobyć ducha z martwoty i rozbudzić w nim energię.

I spadł nowy bicz na Gallów rozpasanych w zbytkach zarażonych zepsuciem zgniłéj Romy. Nawał nowych barbarzyńców wycisnął ślady stóp swoich na całym obszarze ziemi galskiéj. Najazd ten odrębną ma cechę. Nie była to już owa tłuszcza koczowników stepowych jaką Atylla pędził na Rzym; nie była to owa dzicz wandalska, zbieranina plemion, co z taranem w ręku spełniała dzieło zatraty, jakby uprzątając miejsce dla przyszłych budowników: nowi zdobywcy Galii Frankowie, obok barbarzyństwa

właściwego Germanom, mieli w sobie jak późniejsi Normandowie, tę siłę organizacyjną polityczną, co buduje państwa. Krzepkie i młodzieńcze to plemię, nie po to wyległo z puszcz germańskich aby niszczyć i burzyć, lecz aby wywalczyć w kraju bogatym i ucywilizowanym, stałą siedzibę dla siebie i potomków. Wysoka cywilizacya jaką zastali Frankowie w Galii, zetknięcie się z ludem podbitym, który jednak błyszczał im w oczy wyższością umysłową, oddziałał na zwycięzców z równą siłą jak niegdyś Grecya oddziałała na Rzym, daleko nawet silniéj, bo Galia była już chrześciańską.

III.

Chrześcianizm występuje tu jako siła pośrednicząca między zaborcami a podbitemi. Walka nie długo trwała, albowiem dogmata chrześciańskie w Galii nie były abstrakcyą, ale przeszły już ogniową próbę męczeństwa, i twardą próbę zapasów ze wschodniemi sekciarstwami. Galia była tą areną, gdzie się rozstrzygały najważniejsze sprawy chrześciaństwa. Kościół na tak silnych stał tu już podwalinach, i tak był ściśle miejscowym, że w całém pasmie wieków utrzymał nazwę galskiego i tę po dziś dzień zachowuje. Siła ta porwała barbarzyńskich Franków, i zaszczepiła krzepką latorośl w pień zużytego społeczeństwa i popchnęła naród Gallo-Franków, na nowe drogi życia historycznego.

Te nowe drogi objawiły się w feudalizmie. Przy całém barbarzyństwie w zastosowaniu, ten feudalizm miał w sobie piękną dodatnią stronę; wyrabiał wolność jednostek, i zabezpieczał je mocą prawa. Ówto właśnie indywidualizm w dalszym rozwoju, wydał drogocenne instytucye prowincyonalne, instytucye które do dziś dnia są zasadą społeczeństw ucywilizowanéj Europy.

Mędrcy chrześciańscy jak Salwian, zrozumieli całą żywotną siłę wrzącą w piersi barbarzyńskich Franków, i bez trwogi, z otuchą nawet spoglądali w oczy przybyszom. Chlodwig odpowiedział ich oczekiwaniu.

„Pochyl głowę dumny Sykambrze! umiłuj to coś dotąd nienawidził, znienawidz coś dotąd miłował—rzekł doń święty biskup, zlewając mu głowę wodą chrztu. I Chlodwig odrzucił cześć Odyna, zrzekł się rozkoszy Walhalli, gdzie Walkyrye pełną krwi czaszą miała witać poległych bohaterów. Chlodwig podjął krzyż w rękę, pokonał hordy Atylli pod Challonem, oczyścił kraj z koczowników stepowych, i położył kamień węgielny państwa Gallo-Franków, które miało się stać Francyą.

Kiedy ochrzczony Sykambr na gruzach zburzonego społeczeństwa kładzie podwaliny przyszłego porządku politycznego, mędrcy chrześciańscy ze swój strony pracują nad przywróceniem zburzonego ładu w sumieniach. Klaudyusz Wiktor, słynny rétor z Arles, odrzuca z pogardą czcze oratorskie popisy, a potęgą słowa usiłuje goić rany serc bratnich: „Połóż Panie, miód na usta

nasze— wola z wiarą — uczyń wymownym język nasz, abyśmy zdołali prowadzić lud Twój drogą prawdy!“ Kiedy Gallowie ukazują mu z boleścią zgliszcza domów własnych, powalonych młotem barbarzyńców: „Odbudujmy nasamprzód dusze?—woła z uniesieniem— podźwignijmy zwaliska intelligencyi.“ Słowa te stały się hasłem dla ówczesnych pisarzy i uczonych.

Chrześciańscy mędrcy, powtarzamy,— odgadli wielką przyszłość tworzącego się społeczeństwa. Jeden z nich wielki teolog i poeta V wieku Avitus, biskup Windybony, w liście do Chlodwiga wyraża uczucia Gallów południowych, tych właśnie, którzy jak on sam pozostali za obrębem władzy króla Franków. „Ty jesteś— rzecze — słońcem które wschodzi dla świata! żaden kraj nie ma prawa zagarnąć wyłącznie blasku twych słonecznych promieni. Ziemie najbliższe więcéj nad inne użyją zbawiennego ich wpływu, ale odbłysk ich oświeci i najdalsze strefy. Bądź rozkoszą krajów, które ogarniasz berłem twojém, a stań się otuchą dla reszty świata; wszystkie części Galii odtętniają echem swych zwycięztw, i radują się dolą twoich poddanych; my sami uczestniczymy duchem w twoich sprawach, każdy twój tryumf nowém zwycięztwem dla nas!“

Te słowa mędrca, nakreślone w natchnieniu proroczém, zapowiadają wielką missyę, jaką tworząca się ledwie Francya powinna spełnić wśród ludów Europy. Jeśli zorza wschodząca nad jéj kołyską, przyświeca już całemu społeczeństwu galskiemu, czemże dla świata staną się promienie tego słońca, gdy zabłyśnie żarem południowym! Upłyną dwa wieki a Karloman urzeczywistni to proroctwo.

Ten biskup Avitus, wielki mąż czynu i myśliciel, również był wielkim poetą swego czasu. Pozostawił on sześć poematów: *O stworzeniu świata*, *o potopie* i. t. p., wysnutych z biblijnych tradycyj. Jego *Raj utracony*, porównywa Guizot ze znaném arcydziełem Miltona. Oto ustęp z poematu VI wieku:

Za obszarem gdzie Hindów ciągnie się dziedzina,
Kędy ziemia się kończy a niebo zaczyna,
Jest ustroń olbrzymiemi zagrodzona wały,
Tam nigdy śmiertelnika stopy nie postały;
Odkąd ten, co przełamał pierwszy prawo Boże,
Wygnany po upadku, we łzach i pokorze,
Przekroczył raz ostatni te szczęśliwe wrota,
I poszedł w krwawéj pracy, snuć przędzę żywota.

Nie znany tu żar letni ani chłód zimowy.
Mróz tych krynic przeczystych nie więzi w okowy;
Gdy nasz posiew marnieje przepalony skwarem,
Albo zimą przepada pod śniegu ciężarem:
Kraj ten ubłogosławion wiekuistą wiosną!
Tu, bez pracy rolnika złote plony rosną,

Słodki wietrzyk obłoczki wciąż rozgania w górze,
Iż chmurki nie dopatrzysz na czystym lazurze.

Nigdy dżdżu upragniony kwiat tu nie usycha,
Bo co dnia pojon rosą własnego kielicha;
Ziemia nigdy tu krasy nie pozbywa młodéj,
Wiecznie płaszczem zielonym strojna jak na gody;
Świeża trawa kobiercem ściele gór podnóża,
Liści nie zczernią słoty, nie otrąci burza;
Jabłoń czerpie wciąż soki w swém łonie bogatém
Szerokie co dnia czoło nowym zdobi kwiatem;
Owoc który w jesieni rodzą dla nas drzewa,
Pod tém niebem pogodném raz w miesiąc dojrzewa;
Od skwaru tu przeczyste nie więdną lilije,
Tu bezpiecznie fijołek w murawie się kryje,
I róża nieskażona tknięciem ludzkiéj dłoni,
Nigdy barwy nie traci, ni uroczéj woni.

Jeśli skrzydła do lotu rozpostrze wiatr czasem,
Gdy w górze zaszeleści nad milczącym lasem,
Odpowiedzą mu szumem krzepkie dębów czoła,
I żywicznym balsamem powioną dokoła.

Tu zdrój żywy ze skały wytryska potokiem,
Do dna czystéj krynicy nie dosięgniesz wzrokiem,
Gdy błyśnie promień słońca po wody kryształe,
Snopem iskier srebrzystych zamigocą fale.

Wśród kwiecistej murawy na pobrzeżnéj łące,
Szmaragdów i rubinów połyska tysiące;
Drogocenne klejnoty które pycha świata
W złote wieńce potężnych tak chciwie zaplata,
Rozrzucone po smugu wspaniale tu płoną,
I wieńczą łono ziemi królewską koroną!

Taką to poezyą, któréj słabe ledwie odbicie dajemy w tłumaczeniu, karmili się w wieku VI praojcc dzisiejszych Francuzów, mimo ogólnego upadku w owym czasie; jakże to potężny duch ożywiał poetów gallo-rzymskich, kiedy podobne obrazy w *Raju zatraconym* wieszcza angielskiego podziwiały świat europejski, w dwanaście wieków potém!

Literatura gallo-rzymska bujnie jeszcze kwitnęła w nowo urządzającém się społeczeństwie. Następcy Chlodwiga silnie ją popierali. Chilperik przygarniał na dwór swój poetów, przysłuchiwał się pilnie z drużyną harmonijnym ich rymom; między innymi na dworze tego króla, przebywał i słynny Fortunat.

Postać Fortunata należy do najciekawszych swego czasu. Zamyka on świetnie plejadę poetów, którzy przez dwa wieki przy-

świecali w literaturze gallo-rzymskiéj. Fortunat obiega wszystkie strony Galii, zatrzymuje się to na dworach książąt germańskich, to w pałacach galskich biskupów. Witany uprzejmie gdziekolwiek się ukaże, ożywia pieśnią ponure ściany warownych zamczysk. W ciągłych wędrówkach po kraju, wszystko widział, poznał i opisał. Pozostałe jego prace są nieprzebraną kopalnią szczegółów, uwydatniających tę ważną epokę; w nich to pełną ręką czerpał Augustyn Thierry materyały do nieśmiertelnego dzieła swego.

W poezyach Fortunata znajdujemy zajmujące obrazy niewiast germańskich VI wieku. Ważna to skazówka dla historyi, we wszystkich bowiem epokach, stanowisko jakie zajmuje kobieta, daje miarę społecznego postępu. Fortunat opiewał walkę Fredegundy z Brunchildą, walkę sławną w historyi Franków. Zostawmy na boku te dwie krwawe bohaterki, a przypatrzmy się trzeciéj słodkiéj i smętnéj Radegundzie, postaci prawdziwie idealnéj.

Radegunda była corką książęcia Turyngii, wśród gwałtów wojennych porwano ją z płomieni ojczystego zamczyska. Klotaryusz król Neustryi zachwycony jéj urodą, postanowił wychować ją starannie i poślubić po kilku latach. Strzeżona pilnie w samotnéj ustroni nad Sommą, czytywała z zamiłowaniem księgi Ojców kościoła w greckim i łacińskim języku. Gdy nadszedł czas małżeństwa, dzieweczka wykarmiona wzniosłą nauką, patrzała ze wstrętem na barbarzyńskiego wodza Franków; pałac królewski pełen niewolnic, istny harem wschodni, przejmował ją oburzeniem i grozą. Uciekła; Klotaryusz dogonił ją i zaślubił przemocą.

W ciągu lat sześciu Radegunda zajęta więcéj ubogiemi niż dworem, trawiła życie u łoża chorych jak prawdziwa siostra miłosierdzia; nigdy królowa nie bierze udziału w łowach i ucztach dworskich, smętna zawsze i zadumana, okazuje ku mężowi wstręt niezwyciężony, czém doprowadza go do szału. Dnia jednego Klotaryusz zabija rodzonego jéj brata. Radegunda opuszcza tajemnie pałac, przywdziewa szaty zakonne, ucieka do Orleanu, potém do Tours na grób Śgo Marcina. Z głębi ukrycia domaga się rozwiązania ślubów małżeńskich. Klotaryusz powraca żonie wolność, pozwala jéj zamknąć się w murach klasztoru.

Oswobodzona z niemiłych związków, Radegunda zakłada monaster niewieści w Poitiers. Tu pędzi żywot samotny, poświęcony modlitwie i pracy literackiéj. W gronie sióstr zakonnych przepisuje księgi, czyta poezye, kształci młode dziewczęta.

Pragnienia królowéj spełnione, a przecież serce jéj cierpi, oczy jéj zalewają się łzami; wspomina z żalem młode lata dziecinne, zamek ojcowski z którego ją porwano, opłakuje zamordowanego brata, boleje nad losem złupionéj Turyngii. Żal karmiony w samotności, coraz silniéj szarpie jéj serce. Tęsknota rozbudza w niéj gwałtowną miłość do rodzinnego kraju, ściga myślą krewnych i przyjaciół, zbiegłych do Konstantynopola i Azyi. Rozpa-

czliwe łzy i jęki Radegundy, przenikają na wskróś serce Fortunata: poeta wsłuchuje się w skargi turyngskiéj niewiasty, i powtarza je silnym wierszem. Pod formą łacińską, czuć tu jakby samorodną pieśń branki germańskiéj:

Wojna pożogą w oczy krwawo błyska:
Z potężnych grodów proch i zgorzeliska.
Dom dzielnych królów kwitnął przez lat wiele
A dziś pogrążon we łzach i popiele!
Złote pałaców poczerniały ściany,
Córy królewskie pobrzękują w pęta;
Rycerski orszak w pień wymordowany,
Królewska czeladź do nogi wycięta;
Pokosy trupów w krąg ziemię zasłały:
Wielką mogiłą dziś stał się kraj cały.
Łzawą niewiastę w powrozy stroczoną
Wlecze najezdnik gdzieś na krańce świata,
Po trupie męża depcz nieszczęsna żono,
Żałosna siostro depcz po trupie brata;
Wróg tobie nie da wstecz odwrócić głowy
Ni pocałunkiem uczcić próg domowy.

Wszystkie dziś serca pokryte żałobą,
Oko się łzami zalewa gorzkiemi,
I ja boleśnie płaczę téż nad sobą,
Ale boleśniéj płaczę klęsk méj ziemi.
Nad umarłemi co legli w mogile
Ciężkim ja żalem zawodzę sierota;
Choć łkanie w piersi umilknie na chwilę,
Nie zmilknie w duszy boleść i zgryzota.
Gdy wiatr porankiem zawionie od wschodu,
Gdy mi nad głową z cicha zaszeleści,
Pytam: ach wietrze! od mojego rodu
Czy ty mi słodkich nie przynosisz wieści?
Ale on powiał na lasy, na pola,
A mnie żałoba i wieczna niedola.

Od ukochanych dzieli mnie świat cały,
Gdy mi dni płyną we łzach i ohydzie;
Niechby przysłali choćby liścik mały.
Gdzież jesteś stryju mój Hamalofrydzie?
Pytam ja wiatru co mknie skrzydłem skoróm,
Pytam ja chmury co po niebie płynie,
Czy cię nad modrym widziały Bosforem,
Albo w Byzancyum, lub w Persów krainie;
Czy w Betlejemie, gdzie żył Zbawca świata,
Czy w Jeruzalem kędy złożon w grobie?

Wietrzyk przelata i chmura przelata,
Ani mi słówka nie rzekną o tobie!

Radegunda marzy potém że wsiada na łódź, że płynie po szerokiém morzu nie bacząc na wichry i pioruny. Jeśli krucha łódź roztrzaska się o skałę, ona pochwyci słabą deszczułkę i dopłynie wreszcie do brzegu. A gdyby fala wyrzuciła martwe jéj zwłoki, rodzina podejmie je z miłością i pogrzebie własnemi rękoma: łzy krewnych popłyną nad jéj grobem.

I obraz miłego brata staje znów w pamięci, czoło jéj posępnieje; on zabity, zabity gdzieś daleko! nie pożegnała go ostatnim pocałunkiem. Cóż z tego że pękły jéj więzy, że niewola skończona, w którekolwiek pójdzie świata strony, pójdzie za nią ohydna pamięć wrogów, i trup ubitego brata. Ani dnia bez boleści!

Postać Radegundy jakże dziwnie przypomina Rogniedę, księżniczkę Krzywiczan Połockich! Jakież to zbliżenie w ich losach, w ich boleści, a nawet w ich imieniu! Tak samo jak Klodoweusz uprowadza Radegundę okutą w pęta, po zgliszczach zburzonego zamku jéj ojców, jak kąpie ręce we krwi rodzonego jéj brata, jak wreszcie poślubia piękną brankę wbrew jéj woli: tak Konung Normandzki Włodzimierz, wiodąc zbrojne drużyny do Kijowa, porywa córkę księcia połockiego Rogniedę, morduje jéj ojca i braci i przemocą poślubia brankę. Tak samo jak Radegunda zmuszona żyć z mężem, którego przeklina i nienawidzi, zalewa się łzami, opłakując własną i ludu swego niedolę: tak i Rognieda zmuszona żyć z Włodzimierzem jeszcze naówczas poganinem, jawnie wyznaje swą ku niemu pogardę, i opłakuje niedolę własną i ludu swego, a opłakuje tak gorzko, że cały lud płacze z nią razem i uwiecznia jéj boleść nadając jéj imię *Gorysławy*. Nakoniec tak samo jak Klodoweusz pokonany łzami żony powraca jéj wolność; zarówno i Włodzimierz, szanując boleść Rogniedy, odsyła ją do ziemi ojców, do Połocka.

Podobieństwo to nie jest przypadkowém. Ten sam duch który ożywia zaborcze dzieje Franków w V i VI wieku, ożywia niemniéj dzieje Normando-Rusów w X i XI wieku.

Wróćmy znow do wieku VI. Fortunat ostatnim był pisarzem gallo-rzymskim: odtąd literatura przeradza się od korzenia i zamienia w ludową. Ten zwrot rozpoczyna wielki teolog i kronikarz Grzegorz z Tours, a rozpoczyna go za radą kobiety własnéj matki.

Grzegorz wykształcony od młodu na wzorach Sallustyusza i Wirgillego, zasiadłszy na stolicy biskupiéj w Tours, porzuca ulubionych klassyków, a krząta się pilnie około spraw kościoła; po długich a uporczywych walkach przeciw sektom wciskającym się ze Wschodu, i gwałtom barbarzyńskich władców, postanawia w końcu życia spisać wypadki, których naocznym był świadkiem, i w których sam czynny brał udział. Kronika jego jest dla Francyi tém samém, czém dla nas kroniki Gallusa, Nestora i Kadłubka.

Przez długi czas krytycy francuzcy posądzali go o nieuctwo. Nie pojmowano dlaczego Grzegorz mając pod ręką język wyrobiony wzorowo przez klasycznych pisarzy, łamie się z barbarzyńską łaciną, zepsutą w ustach ludu, odartą z wszelkich form gramatycznych. Nie domyślali się krytycy, że Grzegorzowi zaprawnemu na szkolnych wzorach, łatwiéjby może było wznieść się do wysokości Cycerona i Tacyta, niżeli zniżyć do mowy prostaczéj i dotąd niepiśmiennéj. Zniżenie się to, jest właśnie najwyższą ofiarą ze strony kronikarza. Zrzeka się dobrowolnie sławy pisarskiéj, a podejmuje wielką sprawę szerzenia oświaty między ludem.

Pierwszy popęd wychodzi od kobiety!

— „Chcesz-li działać potężnie na ludzi?— pisz dla prostaczków! — rzekła do niego światła matka. Grzegorz uderzony tą radą idzie za nią wiernie, odrzuca Wirgillego, i mową wziętą z ust wieśniaczego ludu, bez uczonych frazesów, w sposób zastosowany do pojęcia ogółu, opowiada co widział i słyszał. Zrywając z tradycyą klasycznego Rzymu, Grzegorz z Tours zakłada kamień węgielny rodzinnéj literatury.

Imię matki Grzegorza przebrzmiało w dziejach; dzisiejsi dopiero badacze, wysoko podnoszą zasługę téj kobiety. Rada jéj dana mądremu synowi: „Chcesz-li działać na ludzi, pisz dla prostaczków,"— wpłynęła pilnie na przyszły rozwój społeczny, cywilizacyjny i polityczny we Francyi. Czyżby ta rada nie powinna stać się bodźcem dla pisarzy wszystkich wieków i narodów?

Kronika Grzegorza z Tours zaleca się prawdą i nadzwyczajną prostotą; przytaczamy tu obraz okrutnéj Fredegundy.

Ta straszna małżonka Chilperyka, oprócz innych gwałtów, wyciskała krwawy pot z ludu, obarczała go coraz nowemi podatkami. Razu jednego dzieci jéj zapadły na ciężką chorobę; przerażona, widzi w tém karę Bożą. W uniesieniu boleści zawodzi żałobnie na wzór barbarzyńskich germanek. Kronikarz nie szukając effektów dramatycznych, maluje wyrzut i boleść jéj z całą prawdą:

„Matka Fredegunda widzi syna w niebezpieczeństwie śmierci, przerażona rzecze do króla:

„Dawno już miłosierdzie Boże cierpi nasze złe sprawy. Nie raz Bóg dotykał nas chorobą, lub inną plagą, my przecież trwaliśmy w przestępstwie.

„I oto tracimy naszych synów; albowiem łzy ubogich, jęki wdów, westchnienia sierot przywiodły ich do zguby. Gromadzimy skarby, a nie wiemy dla kogo! I nikt nie odzierży po nas tych bogactw, zdobytych łupieżą, obciążonych przekleństwem!

„Nasze lochy ażali nie pełne wina? w spichlerzach naszych brakłoż czystéj pszenicy? nasze skrzynie czyż nie ładowane złotem, srebrem i klejnotami? a oto tracimy najdroższe klejnoty nasze!

„Popalmy więc owe niesłuszne rejestra, krzywdzące biedny lud, poprzestańmy na tém co posiadał twój ojciec Klotaryusz.

„I królowa rzekłszy to, biła się w piersi twardą pięścią, i rozkazała przynieść rejestra i wrzuciła je w płomień; król uczynił

toż samo w skrusze serca, i odtąd nie uciskał biednego ludu nowemi podatkami.“

W tych kilku rysach, jak wiernie kronikarz maluje owych Sykambrów, których popędy tak barbarzyńskie, a wiara tak gorąca!

Grzegorz z Tours wydeptał nowe szlaki literaturze gallo-franków. On pierwszy zerwał stanowczo z nauką staréj Romy. Uczniowie zrozumieli dobrze myśl mistrza i poszli jego torem. Poezya, retoryka i filozofia klasyczno-pogańska, nie odpowiadały już wymaganiom nowego społeczeństwa; potrzeba było zagrzebać w niepamięci całą przeszłość, a odrodzić się dla przyszłości.

I tak się też stało. Nad ziemią gallo-franków zgasł promień cywilizacyi rzymskiéj, który od sześciu wieków przyświecał jéj jasnym lecz zimnym blaskiem. Gruby pomrok ogarnął społeczeństwo; miał on przetrwać dwa wieki!

W tych to czasach, pomawianych o grubą ciemnotę przez pisarzy wieku XVI, wychowańców odrodzonéj literatury rzymskiéj, w tych czasach powtarzamy, spełniają się olbrzymie prace, z których przyszłość zbierać ma plony. Widzimy oto jak roje irlandzkich i saksońskich missyonarzy wzdłuż i wszerz przebiegają Galią i Germanią; jak Kolumban gromi królów, biskupów i zakonników, jak zakłada opactwa, urządzą szkoły, przysposabia uczniów, jak przez lat trzydzieści rzuca posiew chrześciańskiéj cywilizacyi. Widzimy jak święty Bonifacy wykorzenia szczątki bałwochwalstwa nad Renem, jak przewodniczy na synodach galskich, jak namaszcza w Rzymie Pepina króla Franków, ojca wielkiego Karlomana.

W cieniu monasterów tworzy się nowy rodzaj literatury czysto ludowej. zwany legendą. Były to cudowne powiastki z życia świętych odczytywane po refektarzach, od czego pochodzi ich nazwa.

Legenda silnie oddziaływała na ówczesne społeczeństwo; winna ona niesłychane powodzenie szczerości wiary i wzniosłemu natchnieniu jakie ją tworzyło. Główny jéj urok stanowiła cudowność, wpleciona jak złota nić w szarą tkankę powszedniego żywota. Ukazując ludziom czysty ideał, budziła w sercach otuchę w obec smutnéj rzeczywistości. Była to historya ducha, panującego nad siłą zmysłową w czasach najwyższego jéj tryumfu. Legenda opowiada jak święty biskup potęgą słowa zatrzymuje rozhukane hordy Attyli; jak święty Markulf mówi do Childeberta: „lud uczynił cię królem, nie góruj nad nim, ale bądź prostaczkiem wśród prostaczków.“ Ubodzy, rzemieślnicy i jeńcy, wychodzą na jaw w téj domowéj epopei. Tu mąż Boży występuje zawsze przeciw niewoli i uciskowi bliźnich; święty Cezary zdejmuje z siebie szaty i wykupuje jeńców; święty Wandregisl zanurza się po szyję w błoto, aby wydobyć zagrzęzły wóz biednego; święty German brnie przez rzekę, niosąc na barkach chromego starca; pasterka z Nanterre odwraca od Paryża chmary barbarzyńskich najezdzców.

Wpływ legendy silnie porywał wyobraźnię ludzką; nie mniéj silnie odbija ona w literaturach wszystkich niemal ludów Europy. We Francyi legenda wrosła w epopeję rycerską; we Włoszech utorowała drogę Dantemu; w Hiszpanii stworzyła Don Juana; w Niemczech wydała nieśmiertelną postać Fausta.

IV.

Po dwuwiekowym mroku, w którym legenda przyświeca jakby jutrzenką, zabłysła nagle zorza nad społeczeństwem Gallo-Franków. Mąż niesłychanego geniuszu i potężnéj wiary, jeden z tych Tytanów, na jaki składają się wieki całe, występuje na widownię dziejową i rozbudza naród z uśpienia.

Bohaterskie czyny Karola Wielkiego, dostarczyły przyszłym pokoleniom wątku do wspaniałéj epopei, która unieśmiertelniła jego imię. Tém samém potężny król Frankow, wpłynął dzielnie na rozwój literatury. Ależ ziarno posiane dla przyszłości drzymało jeszcze w ziemi za czasów tego olbrzyma. Dosyć dla niego chwały że urządził nauki szkolne, a tém samem położył kamień węgielny przyszłej oświaty narodu.

Zobaczmy jak naiwnie kronikarz z St. Gall, opowiada ten wielki przewrot mięszając prawdę z poetyczną fantazyą:

„Wszechmocny Pan panów, co rozrządza królestwy, kiedy powalił potężne państwo rzymskie, on kolos na glinianych nogach, zbudował wtedy prawicą Karola Wielkiego, inny kolos nie mniéj wspaniały, z głową złotą; tym kolosem państwo Franków. W chwili gdy Karol rozpoczął rządy swoje nad zachodnim światem, nauka wszędzie prawie poszła w zupełne zapomnienie. Wypadek sprowadził wonczas z Irlandyi do Galii, na statku bretońskich handlarzy, dwóch szkockich mężów, głęboko wtajemniczonych w nauki świeckie i duchowne. Nie wystawiali oni przed oczy przechodniom żadnego towaru, ale co dnia wołali na tłumy: „kto żąda nauki, niechaj przyjdzie i bierze: my ją mamy na sprzedaż!“ Głosili jako sprzedają naukę, albowiem wiadomo im było, że tłum chciwszy zazwyczaj na to co sam kupi, niżli na to co otrzymuje darmo. I tak długo powtarzali ten okrzyk, aż zdumiony lud wziąwszy obu za szaleńców, jął rozgłaszać ich słowa, a te niebawem doszły do ucha Karola Wielkiego.

„Pełen miłości dla nauki, król rozkazał przywieść dwóch cudzoziemców przed oblicze swoje i zapytał ich, ażali prawda, jak głosi wieść, że przynoszą naukę z sobą?

— Tak jest, — odrzekli — posiadamy ją, i gotowi jesteśmy udzielać jéj tym wszystkim, którzy uganiają się za nią, szczerze, dla chwały Bożéj.

Karól zapytał wówczas jakiejby żądali zapłaty.

— Żądamy tylko uczciwego pomieszczenia i umysłów dobrze usposobionych, niezbędnego pokarmu i odzieży.

Uradowany król zachował ich obu czas jakiś koło osoby swojéj, ale wkrótce potém, wybierając się na daleką wyprawę, jednego z nich Klemensa osadził w Galii, i powierzył mu wielką moc dziatek. Byli tam i synowie najszlachetniejszych rodzin, i młodzieniaszki stanu mieszczańskiego, a i wieśniacze pacholęta. Rozkazał król aby i mistrzom i uczniom na niczém nie zbywało; dał im uczciwe pomieszczenie. Drugiego zaś Szkota zabrał Karól z sobą do Italii, osadził go w klasztorze Ś-go Augustyna pod Pawią, gdzie zgromadził chciwą nauki młodzież."

Powieść ta *o kramarzach nauki*, jak ją tytułuje kronikarz, ukrywa rzeczywistą prawdę.

W końcu VIII-go wieku, spotyka król w Italii sławnego mistrza szkockiego Alkuina, przywozi go z sobą do Akwizgranu i osadza w pałacu własnym. Wtajemnicza go w wielkie plany. Zamierza król z podbitych orężem krajów, urządzić potężne państwo na wzór rzymskiego, rozwinąć w niém oświatę, przywrócić ład cywilny i religijny, sprządz silnie Południe z Północą, zmusić lud rycerski do nauki, zebrać księgi starożytne a nawet odwieczne pieśni Germanów, oddać prowincye pod zarząd mężów światłych. Do spełnienia tego wielkiego planu, przyczynia się potężnie Alkuin, postawiony na czele szkoły pałacowéj. Król z synami i rodziną słucha wykładu mistrza. Za przykładem króla idą wielcy dostojnicy, idzie ogół rycerstwa. Jak późniéj nasz Stefan Batory, którego *Disce puer* przeszło w przysłowie, Karol Wielki zaleca dziatwie naukę; pilnym przyrzeka względy i dostojeństwa, nieukom grozi odebraniem ojcowskich zaszczytów.

I rój młodzieży zasiada ławy szkolne, uczy się na wyścigi teologii, retoryki, prawa, poezyi, astronomii, matematyki, chronologii i t. p. Tak przez lat piętnaście, Alkuin przewodniczy szkole pałacowéj, karmi jednych – jak się wyraża, miodem Pisma Świętego; drugich zasila po kropli starem winem klassycznych nauk; innym nakoniec, daje zakosztować owoców retoryki i poezyi: słowem, przyrzeka uczynić z kraju Gallo-Franków Ateny chrześciańskie.

Karol z niesłychaną energią prowadzi rozpoczętą reformę naukową: z jednéj strony powtarza rycerstwu, że nauka nie jest wyłącznym udziałem stanu duchownego, ale że każdy ma prawo czerpać w jéj żywym zdroju; z drugiéj strony gorąco upomina duchowieństwo by pilnowało nauk. Najdrobniejsze w tym względzie szczegóły mają dla niego wielką wagę. Przełożony jednego klasztoru donosi mu, że odbywa modły z bracią zakonną za pomyślność jego oręża; Karól dziękuje za modły, ale surowo gromi błędy ortografii, jakie napotkał w doniesieniu. W dalekich nawet wyprawach wojennych, przemyśla nad postępem nauk. Z wąwozów Pirenejskich, albo z Nadłabiańskich wybrzeży, wysyła gońców do Alkuina, woła natarczywie o pośpiech, obwinia mistrza o niedbalstwo i upór. „Niestety, odpowiada Alkuin z pokorą,

przyrzekłem ci panie, że zmienię kraj w chrześciańskie Ateny, lecz nie od nas obu zależy, by to w dniu jednym nastąpiło.“

Pamięć tych sprzeczek krola Franków z uczonym mistrzem, uwiecznił mnich z St. Gall w poetycznéj kronice.

„Karol — mówi on — niesyty chwały, patrzał na zakwitające nauki w rozległych państwach swoich. Trapił się jednak że pisma współczesne, nie dorównywały szczytną mądrością pracom sławnych Ojców kościoła. W zbytniéj troskliwości, żądał on rzeczy przechodzących możność prostego śmiertelnika. „I czemuż to, wołał z uniesieniem, nie mam choćby dwunastu mężów tak wszechstronnie i głęboko uczonych, jak święty Hieronim i Augustyn?“ Mistrz szkocki, ktory uważał się słusznie za nieuka w porównaniu z temi Ojcami, uczuł na te słowa tak gwałtowne oburzenie, iż nie mógł powstrzymać się od wybuchu. Zawołał też w obec groźnego pana: „Stwórca niebios i ziemi nie stworzył innych ludzi, podobnych tym dwom, a ty panie, chcesz ich mieć aż dwunastu!“

Wielkim geniuszom dano siać dla przyszłości; lecz nie dano im spożywać plonów przygotowanych własną pracą. Karól Wielki, szczęśliwszy od tylu innych, widział przynajmniéj kiełkujące ziarna swego posiewu. Rozbudził on umysły z uśpienia, dał im uczuć potrzebę reformy. Ze wszystkich stron państwa garnęli się do niego wychowańce nowych idei, gotowi wspierać go w urzeczywistnieniu wielkich pomysłów. Jedni piórem krzewili oświatę jak Eginhard, drudzy pracowali gorliwie nad poprawą administracyi w myśl cesarza; inni zakładali bezpłatne szkoły, po miastach dla rzemieślników, po wsiach dla rolniczego ludu; inni nakoniec pisali w sposób dostępny dla umysłów otrząsających się z grubego barbarzyństwa.

Do najciekawszych zabytków, malujących wiernie epokę, należy poemat Theodulfa pod tytułem: *Rada Sędziom.* Theodulf wyprawiony był *z missyą* na Południe. Przerażona ludność widokiem cesarskiego wysłańca, przyjęła go jak niegdyś przyjmowano Werresów rzymskich, lub popleczników Fredegundy. Znoszono mu tysiące upominków. Ten sypie mu pełną garść monety arabskiej, tamten obdarza go złotą czaszą, inny kosztownym płaszczem; ubodzy nawet znoszą płótno i świece woskowe: słowem każdyby rad zniewolić go dla siebie, i datkiem zamalować mu oczy. Jeden radby unieważnić akt ojca wyzwalający niewolników, drugi usunąć rodzonego brata od spadku, trzeci worać się w ziemię lub wrąbać w las sąsiada.

Te intrygi i zabiegi Theodulf opisuje w poemacie z wielkiém życiem. Odtrąca dary, ostrzega iż odtąd nic nie złamie powagi prawa, iż sprawiedliwość ma być każdemu jednako wymierzaną. Zakończa poemat odezwą do sędziów, pełną prawości rycerskiéj:

„Jeżeli dziecko jest sierotą albo niewiasta wdową, weźcie ich sprawę do serca, bądźcie im obroną i ramieniem. Przyjdą-li do was maluczcy, kalecy, chorzy, albo bezsilni starce: dajcież im opiekę i litość. Posadźcie tego kto się chwieje na nogach, podnie-

ście tego, kto sam powstać nie może. Komu brak odwagi, ukrzepcie go w moc, kto w gniewie, złagodźcie butny umysł. Dajcie męztwo bojaźliwym a bojaźń zuchwałym!“

Tak to przemawiali wysłańce Karola Wielkiego: *Missi Dominici*, którzy wnikali w postępową myśl króla Franków, i usiłowali z nim razem urządzić na nowych prawach świat barbarzyńsko-chrześciański.

Przypatrzmy się naostatek osobistości tego wielkiego budownika, na którego pracy organicznéj spoczywają po dziś dzień podwaliny społeczeństwa europejskiego. Współczesny Eginhard tak maluje postać Karlomana:

„Karól był gruby, krzepki, dorodnego wzrostu; głowę miał okrągłą, oko wielkie, pełne życia, nos długi, włosy bujne, wyraz oblicza otwarty i wesoły. Czy to stał czy siedział, postawa króla tchnęła godnością, nakazywała poszanowanie. Każdy krok jego, każdy ruch, nacechowany był męzką siłą, głos tylko lubo przenikliwy, nie miał dźwięków odpowiednich olbrzymim kształtom ciała.

„Zdrów do późnéj starości, oddawał się chętnie harcom konnym i łowom. Upodobanie to wrodzone plemieniu Frankow: żaden naród nie sprostał im w tym względzie. Lubił też łaźnię, zapraszał do niéj wielkich dostojników, i liczną gawiedź dworską. Skutkiem tego upodobania, obrał Akwizgran na stolicę; zbudował tu królewski pałac, w którym mieszkał do śmierci.

„Król nosił obyczajem ojców swych Franków tunikę obciśniętą pasem jedwabnym. Zimą kładł dla ciepła kaftan z wydrzéj skóry, na wierzch zarzucał sayę krojem Wenetów. U boku nosił szpadę o rękojeści srebrnéj; pogardzał strojem cudzoziemskim. Dwa razy tylko przebywając w Rzymie, na żądanie papieża Adryana, przywdział długą tunikę i starożytne sandały. W dnie uroczyste występował w koronie i stroju narodowym błyszczącym od złota i klejnotów; codzień chodził jak wszyscy.

„Wstrzemięźliwy w pokarmie i napoju, nienawidził pijatyk i surowo zabraniał ich na dworze. Codzienna uczta królewska, składała się z czterech dań, oprócz zwierzyny, którą sami łowcy przynosili z rożnem do sali. Podczas uczty czytywano królowi kroniki i historye z czasów przeszłych; z upodobaniem też przysłuchiwał się dziełom Ś-go Augustyna.

„Obdarzony wielką łatwością słowa, jasno wyrażał się w każdym przedmiocie. Nie poprzestając na własnym języku, uczył się pilnie obcych. Łaciną władał jakby ojczystą mową, rozumiał też po grecku. Tak był niewyczerpany w rozmowie, że uchodził niemal za gadatliwego. Zamiłowany w sztukach wyzwolonych, szanował ludzi którzy je uprawiali, obsypywał ich zaszczytami. Diakon Piotr starzec z Pisy, pierwszy obznajmił go z gramatyką, w innych naukach, mistrzem jego był Alkuin, dyakon bretoński najuczeńszy mąż swego czasu. Pod jegoto kierunkiem Karol

uczył się retoryki i astronomii. Z niesłychaną pilnością śledził obroty gwiazd na niebie. Pragnął też wyćwiczyć się w pisaniu. Nieraz w długą noc bezsenną, kreślił litery na tabliczkach, które kładziono mu zawsze u wezgłowia. Nie szła mu przecież ta nauka rozpoczęta zbyt późno w wieku nieodpowiednim."

Tak Eginhard maluje postać Karola Wielkiego. Ta postać głęboko utkwiła w sercu i pamięci wszystkich warstw społeczeństwa; pokolenia przekazywały ją pokoleniom, otaczając ją coraz to wspanialszym urokiem poezyi. Wielkim był Karol bez wątpienia, ale ten poetyczny urok jakim otaczały go ludy, rozmagał się w miarę klęsk sypiących się gradem na zachodnią Europę od chwili jego skonu.

Ledwie że Karol spoczął w grobie, zachwiał się gmach dźwigniony przezeń z takim trudem; ale potrzeba było dwóch wieków, aby ten gmach rozsypał się ostatecznie, aby z rumowisk jego powstały trzy osobne narody: francuzki, włoski i niemiecki.

Synowie zmarłego mocarza porywają za oręż: strugi krwi bratniéj toczą się po szerokich przestrzeniach od brzegów Renu po za Alpy i Apeniny. Chmary Normandów niby stada jastrzębi spadają od północy, odrywają szmat kraju po nad morzem, zkąd puszczając się na łodziach korytami rzek, sieją po brzegach mordy, pożogi i grabieże. Feudalizm podnosi głowę. Dumni wazale korzystając z bezsilności zwierzchnich władców, wypowiadają posłuszeństwo. Wszędzie bezrząd i rozprzężenie, samowola i gwałty. Taki stan, miał przetrwać lat dwieście.

V.

Głuchy jęk rozlega się po obu brzegach Renu. Poeci w żałosnych skargach opiewają powszechną niedolę. Po bratobójczém starciu książąt Karolowingów, poeta germański Engelbert uniesiony słusznym gniewem, nastraja lirę na ton starogermańskich pieśni, rzuca grom klątwy w oczy ludziom zanurzonym w krwi bratniéj. Posłuchajmy tego przerażającego wykrzyku boleści:

Wojna wszędzie! straszne czasy!
Wkoło toczą się zapasy,
Brat miecz topi w bratniém łonie,
We krwi Franków ziemia tonie.
Krew strumieniem z żył wytryska,
Krasi lasy i bagniska.
Trup na trupa mostem pada,
Niby ptaków białe stada,
Co je słoty z gniazd wygnały
Zawaliły przestwór cały.
Skrusz śpiewaku lutnię twoję,
Srom opiewać takie boje;
Niech od wschodu do zachodu

Rzeką spłyną łzy narodu:
Płaczmy raczéj nad zmarłemi,
Co kraj ścielą trupy swemi,
W dni szeregu zatrzeć raczéj,
Dzień ohydy—dzień rozpaczy.
Niech utonie w nocy wiecznéj,
Niech mu zgaśnie żar słoneczny;
Niech go blaskiem swych promieni,
Zorza nigdy nie zrumieni!

Na ten wykrzyk Germanida, odpowiada wykrzyk z piersi Gallo-Franka. Florus, kapłan z Lyonu, nastraja lutnię na ton Wirgillego i w imię cywilizacyi południowéj, opłakuje niedolę współczesną, pisze o rozprzężeniu się państwa: *De divisione regni.*

Potężne tu mocarstwo rozmogło się cudem,
Jeden mocarz, nad jednym zapanował ludem;
Pod tarczą praw swobodnie zakwitają grody,
Żarliwość duchowieństwa wzmagają synody;
Zasiada szkolne ławy pilne młodzi grono,
Poi w zdroju mądrości pierś wiedzy złaknioną.
Miłość ją ku dobremu nagina powoli,
A bojaźń krnąbrne serca strzeże od swawoli.

I wielki naród Franków, zdumionemu światu,
Zaświecił nagle w oczy blaskiem majestatu.
Wieść o nim na dalekie rozeszła się kraje,
Lud powtarza ją ludom, gród grodom podaje,
I Grecy i Barbary, nawet Rzym wyniosły
Z hołdem do króla Franków wyprawiają posły,
I stara macierz królestw, wiekuista Roma,
Zwierzchnictwa tego władcy przyjąć się nie sroma,
W jéj murach o krzyż wsparty na skale Piotrowéj,
Przyjmuje berło świata, król-apostoł nowy.

Strącona ta potęga! dziś runął gmach wielki!
Zgasł promień dawnéj chwały, rozpadły się belki;
Cóż zostało z dziedziny Karola bogatéj?
Bratobójczym orężem rozdarta w trzy szmaty!
Gdzież mocarz co prawicą berło świata trzyma?
W karły się przerodziło potomstwo olbrzyma!
Korona potyrana we krwi i barłogu,
Kto żyw myśli o sobie—nie pomni o Bogu.

Upadło państwo Gallo-Franków! Ostatni rys: „Kto żyw myśli o sobie,“ najlepiéj określa ten upadek. Rozprzężenie powszechne. Całun grobowy pokrywa dziedzinę Karlomana. Łuny pożarów unoszą się nad krajem; krew pociekła bruzdami, głód i mór dziesiętkują biedną ludność. A Saracen koczownik wylęgły

ze stepów Azyi, który od wieków trzyma już w mocy Iberyą, wychyla głowę przez wąwozy Pirenejów, i sępim wzrokiem ogarnia te obszary, zkąd go wyparł miecz Karola Martela. „Wybiła godzina odwetu! woła radośnie: górą sztandar Proroka.“ W oczach koczownika swiecą tylko łuny pożarów, on widzi tylko bezład i rozprzężenie. Jemu nie dano zrozumieć tych wielkich tajemnic, które przyśpieszają rozwój społeczeństw europejskich, właśnie w chwilach najkrwawszych klęsk i politycznego rozstroju.

Wśród takich to klęsk, wśród takiego politycznego rozstroju, kiełkuje posiew złożony w geniusz ludu Gallów, wiekową pracą Chlodwiga, Karola Martela i Karlomana. Nie z podboju obcych narodów, nie w tryumfach wojennéj sławy, ale w dwustuletnich męczeństwach, ale w upokorzeniu i boleści zrodziła się Francya. Wyszła ona z dwuwiekowego grobu wonczas właśnie, kiedy wszystek lud oczekiwał ze drżeniem ostatecznego sądu, zapowiedzianego na rok tysiączny.

Owo grobowe życie w paśmie dwóch wieków, od śmierci Karola Wielkiego, do czasu kiedy Hugo Kapet wytknął nowe szlaki Francyi, przygotowało naród do wielkiego posłannictwa, jakie miał spełnić w przyszłości. Mówimy *naród*, bo właśnie w owym grobie dwuwiekowym, w ciągu długiego rozbicia politycznego, kiedy upadło państwo Franków, zrodził się naród francuzki.

Wielkiém też i potężném życiem zakipiała znów ta prastara ojczyzna Gallów, odrodzona niby Feniks z popiołów własnych. Któż nie zna tego życia pełnego ofiar i bohaterskich wysileń! Kto nie zna tych krucyat do których odrodzona Francya wydała pierwsze hasło!

Są tacy, którzy zowią wojny krzyżowe wyskokiem rycerskiéj buty młodzieńczego narodu. Przypominają oni ówczesny stan dwóch światów postawionych groźno w obec siebie: świata chrześciańskiego i muzułmańskiego, reprezentowanych przez Europejczyków i Azyatów. Cała Europa rozpadła się na maleńkie dzielnice, a geniusz plemienny aryjski, geniusz ludów rolniczych, utrudniał ześrodkowanie sił; gdy tymczasem koczownicy Azyi, już w geniuszu własnym czerpali tę siłę centralistyczną, która pozwalała im ustalić panowanie od Donu, Wołgi i Kamy, wzdłuż Euxynu i afrykańskich wybrzeży, po skały Pirenejów. Wielcy geniusze ówcześni, wiedzieli że rozprzężona Europa, nie wyprze Saracenów z Hiszpanii, że potrzeba nastąpić na łeb hydrze w samém jéj legowisku. Takim geniuszem był oto Piotr pustelnik. Słusznie wyrzekł głęboki myśliciel nowych czasów, że jeśli żadna z wojen krzyżowych uważana z osobna nie odpowiedziała wielkiemu zadaniu, wszystkie za to razem urzeczywistniły myśl ludzkościową, połączyły bowiem w bratnie węzły rozproszone ludy Europy a podkopały posady muzułmanizmu, i przygotowały długie pasmo tryumfów chrześciańskich, od Ferdynanda i Izabelli, do Jana Sobieskiego.

Ten wielki zasób życia, objawiający się tak silnie na zewnątrz w wojnach krzyżowych, okazuje się z równą potęgą w we-

wnętrznym rozwoju narodu. Myśl ludzka rozkwita wszechstronnie. Poezya wybiega pierwsza, zrazu nieśmiało niby jaskółka zwiastująca wiosnę. Poetyczna kronika mnicha z St. Gall, zaczerpnięta żywcem z opowieści starców, zaprawiona urokiem cudowności, rozpoczyna wielki cykl epopei uwieńczających czyny i tryumfy Karola Wielkiego. Inny mnich Abbon, opiewa krwawe najazdy Skandynawskie, i wystawia czyny pierwszych Kapetów, których dzielność zmusiła wodza normandzkiego, do sławnego wykrzyku: *nie można wziąść Paryża!* Inny znów poeta Flodonard z Reims, na dwa wieki przed Dantem, opisuje czarne otchłanie piekieł, po których oprowadza bohatera pieśni Bernolda. Za poezyą idzie w ślady filozofia; Erygenes wyróżnia ją pierwszy od teologii, i tworzy z niéj osobną naukę.

Zakwitają opactwa Benedyktynów i Cystersów, wielkie ogniska, których promienie sięgają tak daleko, jak daleko żyją ludy bratnie, wykarmione wspólną tradycyą wiekową, zdolne przyjąć światło zachodniéj cywilizacyi. Z takiego to ogniska Kluniaku, Chrobry sprowadził Benedyktynów do Tyńca i na Łysą Górę.

Wreszcie pojawia się jeden z tych wielkich geniuszów, którym dano popchnąć myśl ludzką w nowe szlaki, — Gerbert — późniejszy Papież Sylwester II, reformuje szkoły we Francyi: sam wykłada wyższą matematykę, również jak i astronomię, któréj wyuczył się u Arabów.

Te różnostronne płody geniuszu francuzkiego, objawiały się jużto w języku łacińskim, już w nowo kształcącéj się mowie francuzkiéj. Rzecz godna uwagi, że pierwszy istniejący pomnik tego nowego języka, jest to akt polityczny: umowa między potomkami Karola Wielkiego, Ludwikiem a Karolem Łysym spisana w Strasburgu r. 837, ustalająca rozdział państwa na Niemcy i Francyą. Ważny ten akt ułożony był w dwóch rodzących się ledwie językach, z których każdy ma już własny charakter.

Potrzeba było tysiąca lat z górą na utworzenie tego społeczeństwa francuzkiego, które takim blaskiem zaświeciło Europie, z początkiem XI-go wieku. Cztery wielkie prądy poruszyły do gruntu Galią: prąd grecki wykrzesał z niéj pierwszą iskrę samopoznania; prąd Rzymu pogańskiego, dał jéj uczuć potrzebę centralizacyi; prąd franko-germański wyrobił indywidualizm; najważniejszy zaś prąd chrześciański, połączył w jedno te wszystkie żywioły, i wycisnął wiekuiste piętno na obliczu narodu. Pod jego wpływem geniusz francuzki zabłysnął tą aureolą cywilizacyi, która tyle wieków przyświecała ludzkości, a któréj mimo kataklizmów, powtarzających się tylokrotnie w dziejach, nie zgasiły nigdy kałuże krwi, nie przyćmiły dymy pożarów.

Po każdém wielkiém wstrząśnieniu, Francya powstawała odrodzona nowém życiem, promienista nową chwałą. A dlaczego? bo jéj zadaniem podejmować nowe zagadnienia obchodzące ludzkość, i oddawać je na pożytek światu, przetrawione w ogniu boleści i ofiary.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

I.

Osady przedhistoryczne na gruntach dawnego Starostwa Gulczewskiego pod Płockiem, w dobrach generała Bontemps.

P. Alexander Przezdziecki za powrotem z wycieczki do ziemi Wyszogrodzkiéj i okolic Płocka, nadesłał nam opis zabytków z epoki przedhistorycznéj, który tu podajemy, sądząc, że wiadomość o nich zająć może archeologów naszych.

„Od miejscowości zwanéj *Grabówką* pod miastem Płockiem, aż do wsi *Ościny* nad Wisłą w dobrach Gulczewskich, dzisiejszém dziedzictwie generała Bontemps, pasmo gór piaszczystych oddala się od dzisiejszego koryta Wisły, z którém się dopiero w Wyszogrodzie znów dotyka. Pomiędzy temi wzgórzami a Wisłą ciągną się wydmy piaszczyste, jak gdyby dawniejsze koryto rzeki, dziś jeszcze corocznie wylewami Wisły spłukiwane. Miejscowość tę około trzechset morgów rozciągłości przerzynają gdzieniegdzie bagna, roeczułki, gaiki, a na dzisiejszym brzegu Wisły sterczą na piaskach chaty wsi *Ościna*. Gdy wiatr po tych piaskach powieje, cała powierzchnia pokrywa się drobnemi krzemykami, w kształcie *ostrza od strzał* i *dzid*, lub *nożyków*, *dłutów*, *drapaczy* i rozmaitych innych narzędzi. Nieobrobionych krzemieni znajduje się bardzo mało, a więcéj *klocków* (*nucleus*), pozostałych po odbiciu od nich wyżéj pomienionych narzędzi. Z owemi drobnemi krzemyczkami pomięszane są drobne kawałeczki potłuczonych naczyń glinianych, czerwonych i czarnych, stare żelaztwa, niektóre w kształcie ostrza od strzał i od dzid, kawałeczki szkła z niedokwasem, paciorki szklanne i gliniane, drobne kamyczki i szczególnego rodzaju żużle i skamieniałości; w wielkiéj obfitości muszle rzeczne. Znaleziono w pośród tego kość skamieniałą, igliçę bronzową i odłamki ozdób

bronzowych, nareszcie bardzo piękny młotek (*celt*) bronzowy. Niemal wszędzie znajdują się w tych piaskach *popielnice*, często jedna drugą przykryte, i z przystawkami, ale oprócz przepalonych kości nic się w nich nie znajduje; w jednéj tylko był krzemyk nieobrobiony. We wsi *Ościnie* odkopano w piasku grób ocembrowany granitowemi kamieniami na 4 stopy głębokości, 5 szerokości, a 7 długości, w którym znaleziono 8 popielnic całych a dwie zupełnie zbutwiałe; ale nic oprócz kości przepalonych nie zawierają w sobie. Grób przykryty był trzema płytami kamiennemi. Niedaleko od tego grobu, na stromym brzegu Wisły w piasku sterczała takiego kształtu skrzynia z gliny, zewnątrz czerwonéj barwy z wyciśniętemi ozdobami, a wewnątrz na żużel węglowy spalona; lud nazywa ją *tliskiem*, musiała służyć do palenia ciał. Pewnie więcéj tego rodzaju zabytków dałoby się jeszcze odszukać. Ale pokładów krzemieni nieobrobionych, ani też obrobionych krzemyków dotychczas nie znaleziono, z którychby pochodzić mogły owe rozrzucone na wydmach piaszczystych około *ośmiu wiorst* długości, krzemienne narzędzia i odpadki. Jeżeliby to Wisła za każdym zalewem wzbogacała te piaski taką obfitością różnorodnych przedmiotów, powinnyby poniżéj téj miejscowości znalezione być podmyte brzegi, czy cmentarzyska, czy jakiéj *stacyi* nadbrzéżnéj, starożytnych mieszkańców obrabiających krzemienie na własny użytek.

W każdym razie otwiera się pole do ściślejszych badań archeologicznych. Właściciel dóbr Gulczewskich pan generał Bontemps, którego gościnnéj uprzejmości zawdzięczam zapoznanie się z temi starożytnemi zabytkami, obiecał kazać sporządzić mappę miejscowości, dla oznaczenia na niéj już znalezionych zabytków, i dla systematycznego odszukania pozostałych.

Nie bez pożytku będzie jednak dziś już podać archeologom naszym choć pobieżną wiadomość o odkryciu *krzemiennéj stacyi* na brzegach Wisły.

6 Czerwca 1871 roku.

II.

Kopiec na łące Wilkanowskiéj, należącéj do wsi Nakwasina w ziemi Wyszogrodzkiéj.

Na błotnistéj łące wznosi się kępa w kształcie kopca, dziś młodocianemi drzewkami obrośniętego. Kopiec ten ma 286 stóp obwodu, a ledwie na 9 stóp jest wysoki. U góry ma wklęsłość otoczoną jakby wałem obrosłym drzewkami; pośrodku wklęsłości wyrastał młodziutki dębczak z pnia o lat kilkadziesiąt starszego. Właściciel Nakwasina p. Bolesław Nakwaski uprzejmie zarządził roz-

kopanie wnętrza kopca. Po usunięciu darniny i korzeni drzew, okazały się okrągłe kamienie: po podważeniu pniaka dębowego znowu granitowe bryły (1), ale już poczernione a czasem potrzaskane od ognia, rozmaitego rodzaju żużle, węgle, ułamki kości i czerepy naczyń glinianych, i drobne bryłki czerwonéj i kruchéj cegły.

W około okrągłéj podstawy kopca, ubitéj i przepalonéj a mającéj 16 stóp średnicy ciągnął się pas ze słoju czerwonéj miadżgi ceglanéj na dwie stopy wysoki; w tym pasie okazały się w równych od siebie odległościach czarne otwory nakształt gniazdek jaskółczych, bądź miadżgą ceglaną, bądź drobnemi kamieniami zatkane, a w nich margiel z kości i spalonéj kości, także szczerby naczyń glinianych w niewielkiéj obfitości. Żadnych sprzętów kamiennych, bronzowych ani żelaznych nie znaleziono w tém *pieczysku*.

O podobnych mogiłach które *wydrążonemi* nazywa, wspomina kilkakrotnie autor *Ukrainy dawnéj i teraźniejszéj* Michał Grabowski. I tak w *Horodnicy* (w powiecie humańskim) w rozkopanéj mogile, na samym spodzie znaleziono *mocno wypalony piec* i *wokoło niego czerwonawą glinę* (p. 61).

Niedaleko *Kopaczowa* (w powiecie kijowskim), w zrujnowanéj mogile znaleziono *cegły i trochę węgla*, oraz kilka ludzkich czaszek i niedopalonych kości (p. 92). Grabowski sądzi, że to co brano za cegłę mogło być gliną paloną, przemienioną na ziemię czerwoną, ale znajdywanie takiéj gliny lub cegły w połączeniu z węglami i kośćmi, dowodzi, że to było miejsce uroczystego palenia ciał (p. 100—101).

Zastosowując to do bardzo licznych na Ukrainie mogił wydrążonych, przy których zawsze znajdują się pieczyska, Grabowski stawia hypotezę, że takowe mogiły mogły służyć do obrzędów religijnych ludożerczych. Na to jednak żadnego dowodu, np. rozłupanych dla wyciągnienia szpiku, kości ludzkich nie stawia.

Czyli kopiec Wilkanowski był grobem familijnym, czy pieczyskiem poświęconém z ktorego kości przenoszono do popielnic na cmentarzysko ogólne, o tém jeszcze ostatecznie sądzić nie można. Za drugiém przypuszczeniem przemawiałoby to, że nie bardzo wiele szczerb z popielnic zachowało się w pieczysku, a tak że więcéj w nim węgli i żużlów, niż przepalonych kości.

Pan Bolesław Nakwaski chcąc uszanować ten jedyny w swoim rodzaju dobrze zachowany zabytek pogaństwa w naszym kraju, ma zamiar oczyścić z gruzów wnętrze kopca Wilkanowskiego, i zabezpieczyć od zniszczenia.

Na sąsiedniém polu do wsi Nakwasina należącém, przed niedawnym czasem znalazł właściciel długi młot kamienny, zabytek mieszkańców spółczesnych kopcowi Wilkanowskiemu.

(1) Z pod najbardziéj zagłębionéj bryły granitowéj, wyskoczyła jedna po drugiéj dwie ropuchy.

W pobliskim Orszymowie nad bagnem wznosi się ogromna mogiła, otoczona podwójnym wałem z otworem od strony bagna. Mogiła ta ma także wklęsłość na samym wierzchołku, i zasługuje na bliższe zbadanie. Rycina przy dziele *Gawareckiego: „O starożytnościach miasta Płocka“* umieszczona, nie daje żadnego wyobrażenia o kształcie Orszymowskiéj mogiły.

Na polach Orszymowskich ma się znajdować nie wielki wzgórek czyli kurhanek okolony rzędem polnych kamieni. Będzie to zapewnie grób, ale czy z epoki palenia czy może grzebania ciał, okaże się to z rozkopania kurhana.

9 Czerwca 1871 roku.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W lutowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj, dr. Stanisław Krzyżanowski przytacza wyjątek z dokumentu z 1585 roku, dotyczący zamiany dóbr Szpikowa i Krasnego, a w którym następujący ustęp znajdujemy: „we wszystkiém, na wszystko, z ludźmi osiadłémi, *podsusitkami* i kunicznikami“. Zapytuje więc dr. Krzyżanowski, co oznacza wyraz *„podsusidki“*, kogo tak nazywano, i prosi o wyjaśnienie. Takowe więc załączamy na podstawie wzmianki o *„podsusidkach“*, którą znaleźliśmy w inwentarzu dóbr Połońskich, spisanym w 1598 r.

Wieś Połonna w powiecie Łuckim, i kilkanaście innych przyległych wiosek należały wówczas do Krzysztofa Radziwiłła, ks. na Birżach i Dubinkach, hetmana W. ks. Lit. i na rozkaz jego spisanym został ów inwentarz. Jako zaś zawierający dużo ciekawych szczegółów ówczesnych urządzeń i stosunków społecznych, wyliczenia powinności poddanych, nadziałów, ziemi, czynszów i. t.d. przedrukowanym był w Pamiętnikach wydanych p. komisyą archeologiczną w Kijowie 1848 i 1859 (*Tom 3ci Część 2ga str. 60*).

Otóż w inwentarzu tém, po wyliczeniu powinności i czynszów poddanych gruntowych i *ogrodników* (którzy pola nie mieli, tylko sadyby i ogrody), następny znajdujemy ustęp o *podsusidkach*:

„Podsusiedki isz domów ani ogrodów nie mayą, telkó w sąmsiedziech mieszkaią, przetho od wszelkiego płatku y dawania wolni, ieno dzień w thidzień robić powinni.“

Przy opisaniu każdéj włości, należącéj do dóbr Połońskich, takąż samą znajdujemy wzmiankę o *„podsusidkach“* zresztą nic więcéj, spis ich nawet nie jest podany (tak jak innych włościan), nie wiemy przeto w jakim stosunku liczebnym znajdowali się do innych poddanych.

Z tego jednakże ustępu, określającego powinności „*podsusidków*“ widzimy iż byli to po prostu komornicy, t. j. nie mieli żadnych nadziałów gruntu, ani sadyb, i ogrodów, przypisani tylko byli do gromady. Wyrażenie zaś „*w sąmsiedziech mieszkają*“, oznacza, iż mieszkali u swych sąsiadów włościan, którzy znów utrzymywali ich i żywili, gdyż tamci mając jeden tylko dzień w tydzień zajęty robotą dla dworu, przez inne dnie pracowali u tychże gospodarzy włościan.

Tacy komornicy czyli „*podsusidki*“ samowolnie wioski do któréj przypisani byli, opuścić nie mogli, i przesiedlić się gdzie indziéj, u innych panów przyjmując ziemię na odrobek. Wyraźnie to okazuje następujący ustęp z wyżéj wzmiankowanego inwentarza:

„Ziem u cudzopańców obcych na płacie prziymować nie mayą, pod winą na Jego Xmść s tém ij pod utraceniem onego zboża, które by na they ziemi posiał, a któryby ziemie potrzebował, thedy pod the włóki na gruncie JXmści s płatku prziymować maiją, ieśliby gdzie były.“

Zatém, tacy „*podsusidki*“ mogli stać się gruntowémi osadnikami, otrzymując od swego pana ziemię i sadyby.

W innym znowu inwentarzu (z 1578 r.), w którym opisane są dobra Czernogorodzkie, znajdujemy inną jeszcze wzmiankę o „*podsusidkach*“ dotyczącą także ich powinności i czynszów, wypłacanych przez nich.

Dobra te należały do ks: Romana Sanguszki, wojewody Bracławskiego het. pol. lit.., po jego śmierci (1571 r.), żona jego Anna z ks. Zbarażskich była opiekunką całego majątku małoletnich dzieci, gdy zaś umarła (1578 r.) opiekę nad niémi objął Konstanty książe Ostrogski wojewoda kijowski i wtedy to spisany został inwentarz wszystkich dóbr, które należały do księcia Sanguszki.

W tém więc opisie, znajdujemy wyliczenie czynszów wypłacanych przez „*podsusidków*“.

Nie we wszystkich jednakże wioskach znajdowali się oni, w niektórych tylko, i to zawsze w bardzo małéj liczbie. I tak np. we wsi *Wola Sitna*, znajdowało się pod rokiem 1578, włościan gruntowych (to jest ciągłych, mających pole, ogród i sadybę) piętnastu; tacy płacili czynszu 60 groszy (ówczesny grosz polski równa się $9\,^{21}/_{31}$ dzisiejszym groszom). Ogrodników (mających 3 morgi pod ogród i sadybę) czterech; płacili po 12 groszy czynszu a „*kiryło podsusiedok hrosz odin powynen daty*“ zatém jeden był tylko „*podsusidek*“ na 19 chat osady.

W innéj znów wiosce *Dziedowicze*, włościanie gruntowi płacili po 30 groszy, ogrodnicy 4 do 6 groszy a „*Anoszko podsusiedok hroszi czotyri powynen daty*“. W innych wioskach mniéj więcéj tenże sam jest stosunek: jedném słowem „*podsusidki*“ płacili od 1 do 5 groszy czynszu.

Że włościanie gruntowi i ogrodnicy w jednym majątku nie jednostajny czynsz płacili, to nic dziwnego, bo czynsz ten stoso-

wnie do nadziałów ziemi i gatunku gruntu mógł być większym lub mniejszym. Lecz dlaczego „*podsusidki*“ którzy gruntu nie trzymali, w przyległych wioskach także nie jednostajny czynsz płacili, trudno wiedzieć. Być jednak może, że ci, którzy mniéj czynszu dawali, więcéj za to odrabiali, wszyscy bowiem oprócz tych czynszów, odrabiali jeszcze pewne powinności, jak się to pokazuje z następującego dopisku: „*a powinnosi' roboty ich wodług dawnoho zwyczaiu*“.

Ustawa Zygmunta Augusta o „*włókach*“ wydana dla Litwy w 1557 r. a obejmująca w najdrobniejszych szczegółach wszystkie powinności i czynsze poddanych, żadnéj nie robi wzmianki o „*podsusidkach*“ może dla tego właśnie że ziemi nie mieli, podstawą zaś owéj ustawy była *włóka*, i należności od osadników gruntowych.

Ustawa ta przedrukowaną jest w pamiętnikach wyżéj już wspomnianych. Otóż w przedruku tym, wydawca umieszczając przy texcie oryginalnym przekład rossyjski, nie wiém dla czego nazwał po rossyjsku „*podsosidkami*“ (подсосѣдки), zwyczajnych czynszowników, którzy w texcie „*zaściankami*“ *(zastienki)* są nazwani. Ztądby przypuszczać można, że „*podsusidki*“ a „*zaścianki*“ byłoby jedno i to samo. A przecież wiadomo iż „zaścianki“ (zaściankami nazywano wówczas nie tylko miejscowość na czynsz oddaną, ale i tych, którzy tę miejscowość zamieszkiwali) byli to czynszownicy, bądź drobna szlachta, bądź też poddani, którzy otrzymawszy nadział gruntu, oddzielny od innych gruntów już uprawianych przez włościan, czynsz zań płacili bez żadnych innych powinności. *Podsusiedki* zaś byli to, jak się wyżéj powiedziało komornicy bez gruntu i sadyb. Zatém wydawca owych pamiętników, (które zresztą niezmiernie cenne zawierają materyały historyczne) opierając się tylko na zewnętrznem podobieństwie wyrazów, błędnie przetłumaczył nazwę „*zaścianka*“ na „*podsusidka*“ nie mając dokładnego pojęcia czém byli ci ostatni.

Podając tych kilka szczegółów o „*podsusidkach*“, upraszamy światłych czytelników „Biblioteki“ o ogłaszanie wszelkich śladów i źródeł historycznych, jakie odkryć-by się dały, i dokładniéj jeszcze wyjaśniłyby nam ten przedmiot. Dawne urządzenia i stosunki społeczne w Polsce dotąd ani zbadane, ani obrobione nie są, zaledwie dotknięte tylko, choć materyałów znalazłoby się dosyć. Należałoby zwrócić uwagę w tym kierunku.

Zawadyńce $^{15}/_{27}$ marca 1870 r.

K. P.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Przegląd powieści z 1870 r.

Nie rozszerzając w niczém zakresu, w jakim roku zeszłego podaliśmy przegląd naszéj literatury powieściowéj, podajemy i teraz spis takich tylko utworów, które na nazwisko artystycznych, w naszych przynajmniéj oczach, zasługują. Wyłączają się więc wszystkie krótkie, szkicowe kalendarzowe powiastki, czy to osobno, czy téż w jakiemkolwiek piśmie ogłoszone, daléj wszystkie moralne opowiadania, mające cele pedagogiczne, a wreszcie takie spekulacyjne ramoty, jak np. *Barbara Ubryk*, *Izabella*, które ze świątyni piękna wyrzucone być muszą. Rzecz naturalna, że się ograniczamy publikacyami w naszém Królestwie, a raczéj ściśle mówiąc, w Warszawie wyszłémi.

W takich więc granicach rozpatrując zeszłoroczne powieści, zauważyć można, że liczba ich w porównaniu z r. 1869 pomniejszyła się zarówno w tłumaczonych jak i oryginalnych płodach. W roku bowiem 1869 tłumaczeń było 30 a oryginalnych powieści 20. Obecnie wszystkich ogłoszeń jest 40; przekładów 24, oryginalnych 16. Z tego objawu dość zresztą ważnego, nie śmiemy i nie możemy robić przypuszczenia, jakoby smak do powieści miał maleć; zbyt to bowiem pojedyńczy przykład, w zbyt szczupłym okresie czasu, ażeby przypuszczenie podobne, choć cokolwiek miało prawdy za sobą. W części wytłumaczyć go można tą okolicznością, że pisma polityczne, będąc zajęte wypadkami wojny, która wszystkich interesowała, nie potrzebowały dawać powieściowych odcinków. Jakoż w przeciągu całego pół roku, obie gazety nie zamieściły *żadnéj* powieści, a po *jednéj* tylko komedyi. W czasie spokojnym mielibyśmy w tych gazetach 4 do 6 powieści. W każdym jednak razie tłumaczenie to nie jest zupełne, bo mielibyśmy w ten sposób 48—do 50 utworów, gdy tymczasem przypuszczaćby należało, że powinno być więcéj; zaznaczamy więc fakt, nie będąc w możności objaśnić go.

Przekłady: 1) *Barbarossa*, nowella, *P. Heysego*, (w Wędrow.); 2) *Biedna Joasia, Wiktora Berserio* (w Tyg. Romansów); 3) *Czarodziejka z Argentières, E. Galena*, (w Tyg. Illustr.); 4) *Dziewczyna z dworu Fr. Spielhagena* (w Bluszczu); 5) *Hrabina Chalis, Ernesta Feydeau* (w Dzienn. Warsz.); 6) *Książe srebrny, A. K. Tołstoja*, przekład *Józefa Prackiego;* 7) *Król i Paź, Miss Jonge*, (w Kron. Rodz.); 8) *Lekarz duszy Wilhelminy von Hillern*, przekład *E. Sulickiego* (w Gaz. Pols.); 9) *Monsieur, Madame et Bébé, Gustawa Droz*, przekład *M. D. i J. R* (w dodatku do *Przeglądu Tygod.*); 10) *Malgrétout, Jerzego Sanda* (w Gaz. Warsz.); 11) *Młot i kowadło, Fr. Spielhagena*, przekład *M Gliszczyńskiego*, (w Tygod Mód ; 12) *Natalia Borysówna Dołgorukowa, P. Furmanna*, (w Tyg. Mód); 13) *O własnéj sile, Wilhelminy von Hillern*, przekład *P. Ch.*, (w dodatku do Przeglądu Tyg.); 14) *O Anusi krawcównie,* obrazek z Jeszteda, przez *Karolinę Swietlą* (Joannę Mużakową), przekład *B. Grabowskiego*, (w Wędrowcu); 15) *Ojcowie i dzieci, Jana Turgieniewa* (w dodatku do Tyg. Illustr); 16) *Pamiętniki Szatana, Fryderyka Soulié* (osobno, zeszytami); 17) *Spadkobierca zamku Redcliffe*, przez *Miss Joung*, przekład *Z. W.*, (w Gaz. Warsz.); 18) *Sprawa Prospera Bertomy Emila Gaboriau*, (w Tygod Rom.); 19) *Swietny związek Emilii Carlén*, (w Kron Rodz.); 20) *Wspomnienia klarynecisty*, opowiedziane przez *Erckmana i Chatriana*, przekład *Jana Chęcińskiego*, (w Tyg. Mód); 21) *z Rodzinnéj Kroniki*, przez *Karolinę Swietlą* (Joannę Mużakową), przekład *Bron. Grabowskiego*, (w Wędrowcu); 22) *Złowieszczy dyament*, przez *Wilkie Collins'a* (w Gaz Warsz.); 23) *Życie piekielne Emila Gaboriau*, przekład *F. S* (w Wędrow.); 24) *Zamek Mont-Revêche Jerzego Sanda* (w Tyg. Romansów).

Oryginalne: 1) *Bronisia* (bezimiennie, w Bluszczu); 2) *Dziewczyna*, p. *Mieczysława Dzikowskiego*, (osobno, nakładem jego wydawnictwa); 3) *Fatalizm*, p. *Michała Bałuckiego*, (w Bibl. Warsz.); 4) *Garbusek*, p. *Karola Pieńkowskiego*, (w Tyg. Illustr.); 5) *Historya o kapitalném głupstwie kandydata filozofii*, p. *Poncent de Sandon*, (tamże); 6) *Nieroztrzygnięte pytanie*, p. *Maryę Ilnicką*, (w Bluszczu); 7) *Nie w porę*, p. *Teressę Prażmowską*, (w Bibl. Warsz.); 8) *Opowiadanie pana Erazma*, p. *Adama Rzążewskiego*, (tamże); 9) *Pamiętnik Mroczka*, p. *J. I. Kraszewskiego*, (w Tyg. Illustr.); 10) *Pan Graba*, p. *Elizę Orzeszkową*, (w Tyg. Romansów); 11) *Przygody pana Marka Hińczy*, rzecz ze staroszlacheckiego życia podań spisana, przez *J. I. Kraszewskiego*, (tamże); 12) *Rozsądna panna*, p. *Teressę Prażmowską*, (w Gaz. Pols. i osobno); 13) *Straceni*, przez *Arkadyusza Kleta i Wołodego Skibę*. (*w Czytelni Domowéj*, wychodzącéj jako dodatek do Opiekuna Domowego) 14) *Tajemnica Ondyny*, przez *Gabryelę z Günterow Puzyninę*, (w Kłosach); 15) *Tarłowa Góra*, (bezimiennie, w Bluszczu); 16) *Uskoki*, powieść historyczna *T. T. Jeża*, (w Kłosach).

Jak w poprzednim tak i w zeszłym roku przewaga tłumaczeń, pozostała na stronie utworów francuzkich (8); wzięto się przecież i do niemieckich (6), z których kilka bardzo szczęśliwie wy-

brano. Tak np. wspomnieć należy głęboko pomyślane i poetycznie przeprowadzone temata przez jednego z najznakomitszych dzisiejszych powieściopisarzy niemieckich *Fryderyka Spielhagena*, który i w r. 1869 miał swoich tłumaczy. Dwa utwory w roku zeszłym językowi naszemu przyswojone *(Dziewczyna z dworu*, a właściwie *Röschen am Hofe i Młot i kowadło*), są głębokiemi studyami nad charakterem ludzkim z zastosowaniem ich do praktycznego życia, chociaż z tego ostatniego powodu wiele w nich jest rzeczy miejscowo-niemieckich, nie tracą pomimo to na swojéj wartości i do nas zastosowane, bo odsłaniają naturę ludzką z tą drobiazgową sumiennością i genialną trafnością, która im nadaje wielkie znaczenie w praktyce życiowéj każdego narodu. Tak np. w *Dziewczynie z dworu*, wystawia dwa stronnictwa silnie się obecnie ścierające we wszystkich krajach ucywilizowanych: stronnictwo zastałości dawnych przesądów i przywilejów i drugie młode, silne, energiczno dążące ku postępowi przez drogę światła i prawdy. Kolizya dramatyczna w powieści wywiązuje się ze wzajemnego stanowiska obojga bohaterów, z których kobieta związana jest z pierwszém przez ojca, a mężczyzna z drugiem mocą swego niezmiennego przekonania. Naturalnie stary przesąd zamilknąć musi w obec prawdy żywotnéj, jednakże nie bez ciężkiéj walki, która stanowi właśnie najbardziéj zajmującą część powieści. Obok takiéj idei przeprowadza jeszcze Spielhagen, tak jak i w najznakomitszym utworze swoim *Problematische Naturen*, ów chaotyczny stan umysłowości bardzo wielu młodych ludzi, którzy wśród wstrząśnień religijnych, politycznych i społecznych tracą jasne zrozumienie celów swego życia i oddają się smutkowi, apatyi, owemu przeobrażonemu w nową fazę bajronizmowi, który się już oburzać nawet nie umie, a obojętnie całkiem patrzy na zawikłane sprawy tego świata, nie znajdując żadnego interesu w życiu, kładąc się do łóżka dlatego tylko, że przecież wiecznie czytać nie można pod karą utraty wzroku, a wstając z niego tylko dlatego, że ciągle spoczywając mógłby się wreszcie choroby nabawić. Nie pozostawia jednakże Spielhagen bohaterów swoich w takim rozpaczliwie bolesnym stanie, jako najwalniejszy środek dla wydobycia się z niego podaje: czyn, pracę nieustanną dla dobra swego kraju. *W problematycznych naturach* bohater zwątpienia ginie w czasie berlińskiej rewolucyi 1848; w *Dziewczynie z dworu*, zdolności swoje w apatyi do nicości się wolnym krokiem zbliżające, zużytkowywa na walkę przeciwko przesądom, na przeprowadzenie liberalnych zasad na zgromadzeniach ludowych.

Kwestyę wybitnych dążeń społczesnéj epoki pojął rossyjski pisarz *Jan Turgieniew* z innéj strony, i w zastosowaniu do miejscowych objawów swojéj ojczyzny przedstawił w walce *Ojców i Dzieci*. Starzy ojcowie żyją ot! sobie jak Bóg przykazał, i jak przodkowie od wieku robili, nie wiele się zastanawiając nad zasadami swoich myśli, uczuć i postępków. Moralności wielkiéj tam nie szukać, pozory i słowa szumne, pełne szlachetności zastępują dodatnią stronę; w czynie, jak się zdarzy; można być moralnym, ale przeciwnie postępować nie zawadzi. Czułość w nich na widok pięknego majowego wieczoru, albo

piosnki tęsknéj, serdecznéj objawia się w słowach, w mimowolnéj zadumie i łzie w oku zamgloném. A młodzież? młodzież naukami przyrodzonemi cała przejęta, dobadująca się wszystkiego na drodze doświadczenia, za nic ma tkliwe uczucia, rozczulenia się niepotrzebne; nie zważa na pozory i zewnętrzną powłokę rzeczy, dochodząc w téj mierze niekiedy do ostateczności. Zadaniem jéj wszystkiemu zaprzeczać, nie dając natomiast formułek gotowych, obrobionych, zamkniętych, któreby miejsce dawnych zastąpiły. Dlaczego? Bo zasady, formułki, to teorya, a teorya, to głupstwo. Fakt jest wszystkiém. Na takiéj kanwie osnował Turgieniew zajmującą swą powieść, narysowaną z całą prawdą rzeczywistości, z całym talentem iście powieścio-pisarskim. Nie wygląda to więc jak zbiór rozpraw mniéj więcéj zasadnych, ale wcielone w życie jest najdoskonalszem odbiciem rzeczywistości. Żałować tylko wypada, że autor wstrzymał się z wypowiedzeniem własnego swego zdania, że nie stanął po stronie którejkolwiek partyi. Nie daje to *mot de fin* powieści. Nie zważając na ten niedostatek, widzimy tam artystyczny obraz ruchu, jaki się w Rossyi od dwóch dziesiątków lat przejawił, a którego analogii doszukaćby się można i w naszém społeczeństwie.

W ogóle Turgieniew w roku zeszłym był na porządku dziennym. Przełożono mianowicie wiele jego drobnych powiastek, o których spis nasz milczy, tak np. *Dziwna historya* (dwa tłumaczenia w Gaz. Pols. i Tyg. Rom.), *Lekarz powiatowy* (w Bluszczu), *Hamlet Szczygrowskiego powiatu* (wyjątek z *Notatek myśliwca*, tamże) i inne. Obecnie *Przegląd Tygodniowy* ogłasza przekład bardzo głośnéj, i rzeczywiście nadzwyczaj ważnéj pod względem charakterystyki Rossyi powieści: *Dym*, zajmującéj się głownie losami młodego pokolenia, jego przeróżnemi kierunkami i ujemnemi rezultatami dotychczasowego prądu cywilizacyi w Rossyi.

Ujemną również stronę w historycznem życiu narodu rossyjskiego przedstawia dobrze napisana i dobrze przetłumaczona powieść hr. *Tołstoja: Książę srebrny*, któréj treść powiększéj części ściśle związana z historycznemi wypadkami, rozwija się na tle panowania Iwana Groźnego, malując te czasy z całą prawdą rzeczywistości, z całym smutkiem rozdzierających skrzywień ludzkiéj natury. Jestto malowidło wierne bez czczych omówień fałszywego patryotyzmu, bez bałwochwalczéj czci dla przeszłości nienawistnéj, malowidło wsparte znajomością faktów i charakterów, choć bez większéj siły plastycznéj. Tegoż autora wyszły w Krakowie dwie prace dramatyczne: *Śmierć Iwana Groźnego* i *Car Fiodor Iwanowicz*, obrazujące tęż samą epokę za pomocą czynników dramatycznych. Wedle większości krytyków rossyjskich, *Śmierć Iwana Groźnego*, jakkolwiek nosząca na sobie widoczne ślady naśladowania dramatów Szekspira, jest przecież najznakomitszym utworem dramatycznym z całéj nowszéj literatury rossyjskiéj, zaczynając od *Borysa Godunowa* i Puszkina.

Trzecim autorem rossyjskim, którego dano nam poznać w naszéj literaturze jest *P. Furmann;* z żalem jednak wyznać potrzeba, że ogłaszając jego *Natalię Dołgorukową*, przetłumaczono przestarzałą

mierność, suchą kronikę, bez żywotności szczegółów, bez zdolności powieściopisarskiéj; słowem odświeżono w umysłach naszych sposób pisania, którego używano przed laty czterdziestu, maskując brak talentu, chronologią i głośnemi nazwiskami. Zarzut to ciężki, głównie dla tłumacza, który się podjął przeszczepienia drzewa uschłego, bez soków żywotnych.

Z pisarzów francuzkich Gaboriau ma w naszéj literaturze spółczesnéj widoczną nad innemi przewagę. Jakoż pojawiły się w roku zeszłym dwa jego romanse: *Sprawa Prospera Berthomy* w oryginale: *(Le dossier N. 113)* i *Życie piekielne* (La vie infernale); prócz tego zaczęto w Tygodniku Romansów, *Pana Lewy*, z którego w r. 1869 *Opiekun Domowy* podał już znaczne wyjątki; a we *Lwowie* zjawił się: *Gdzież Winowajca* (w oryginale *L'affaire Lerouge*). W ten sposób w przeciągu lat dwóch przyswojono nam wszystkie głośniejsze utwory tego romansowego patologa Francyi, w którym dar powieściopisarski, zastąpiony został nadzwyczaj wydoskonalonym zmysłem badawczym, w najwyższym stopniu zaciekawiającym czytelnika. Nie są to tyle dzieła sztuki, ile sumienne studya nad najbrzydszemi moralnie objawami społeczeństwa francuzkiego. Jednostronność ta jednak nie jest zbyt rażącą, bo autor umie zręcznie przeciwstawić cnotę występkowi jasną, ciemnéj stronie życia. Jeżeli zważymy, że romans w ogóle nie powinien wchodzić w skład biblioteki pedagogicznéj, to trudno się zżymać na to, co się nazywa niemoralnością w powieści, a czego w utworach Gaboriau jest podostatkiem. Nie należy tylko przeceniać zbytecznie, ani znaczenia, ani talentu autora, nie należy zbyt skwapliwie brać się do ich tłumaczenia, a szkodliwość ich, na którą wielu głośno woła, okaże się nie nieznaczącą, tak jak okrzyczane w czasie swojego wychodzenia, a następnie do zbytku wynoszone romanse Dumasa.

Tem bardziéj na to nastaję, że i poetyczna, idealna strona powieści nie jest u nas zaniedbywana. Dosyć tu wskazać na tłumaczone w zeszłym roku powieści *Jerzego Sanda: Mont-Revêche i Malgrétout.* Mont-Revêche jest zbiorem jak najszlachetniejszych idei, jak najczystszych charakterów i najwznioślejszych postępków; co więcéj nawet artystycznie konieczna ujemna strona życia ludzkiego: pycha, próżność, tutaj przechodzi w sposób najprawdziwszy, bez najmniejszego naciągania, na ubóstwienie piękna i dobra. Treść prosta nadzwyczaj: przedstawienie szlachetnéj rodziny *(Dutertre)*, w któréj nieporozumienie i skrzywiony charakter dwóch z jéj członków stają się przyczyną zawikłań, stanowiących właśnie grunt powieści, zawikłań, które nie obchodzą się wprawdzie bez ofiary, ale przecież wykazują całą szlachetność serca ludzkiego. Tłem całości jest idealizm wysoki, nie nadziemski jednakże, charaktery niezwykłe (sam p. Dutertre, jego żona Olimpia, Thierray i Flawian) nie nieprawdopodobne przecież. Jestto jedno z tych przeczystych malowideł Sanda, któremu podobnego szukać należy, chyba w *Margrabim de Villemer:* ludzie-ziemianie, wyżsi atoli nad wszelkie małostki, cienie i brudy ziemskie.

Jest jeszcze jeden utwór literatury francuzkiéj (dawniejszéj), którego przekład zaznaczyć musimy. Są to *Pamiętniki Szatana*

(Les Mémoires du diable) Fryderyka Soulié. Autor ten należy do owéj świetnéj epoki w historyi francuzkiego powieściopisarstwa (1830—1850), w któréj wiele talentów utorowało sobie drogę do umysłu i wyobraźni nie tylko swego, ale i wielu innych narodów. Świetna inwencya, styl żywy i giętki, bujność imaginacyi, dramatyczny sposób traktowania przedmiotu, oto były przymioty spólne tym wszystkim pisarzom, które naturalnie i *Soulié*, jako jeden z najznakomitszych w wysokim stopniu posiadał. Pisał on wiele, u nas jednakże w tłumaczeniu znano tylko *Bakałarza*, *Lwicę*, *Ośm dni w zamku*. Najznakomitszym jednak jego utworem, zdaniem wszystkich krytyków są Pamiętniki Szatana, znane z wyjątków, z komedyi z nich przerobionéj, ale w całości dziś dopiero podane. Jest tam przedmowa wyjaśniająca w jakim nastroju ducha pisana ta praca. Powiada, że obojętność i szyderstwo z jego marzeń idealnych, które przyniósł ze sobą z prowincyi do nowego Babilonu — stworzyła te pamiętniki skreślone krwią i żółcią. Pomimo scen wysoce drastycznych, i występków, w których opinia lubować się zdaje, jest tam na dnie głęboka zaduma myśliciela i tęskny żal poety. Była to epoka *Pamiętników Antony*, *Tour de Nesle* i *Lukrecyi Borgii;* namiętności rysowane śmiało, zuchwale nawet; w namiętnościach upatrywano główny żywioł poezyi, poświęcając dla nich charakterystykę i spokój artystyczny. Cokolwiekby o tém powiedzieć się dało, trudno nie przyznać, że cecha ta w skutkach swoich wydaje wielką siłę obrazowania, gorący koloryt, wzbudza zapał lub oburzenie, i w ten sposób najdzielniéj się przykłada do wzbudzenia w czytelniku jak najróżnorodniejszych wrażeń — przymiot jeżeli nie najwyższy, to przynajmniéj bardzo ważny — wszystkich utworów sztuki. Dzisiaj czasy się zmieniły: namiętność nawet niema tego ognistego, palącego wyrazu, tych extrawagancyj myśli i wyobraźni, jakie były cechą całéj ówczesnéj literatury. Ztąd też dzisiaj utwór taki jak *Pamiętniki Szatana* dla wychłodłéj imaginacyi wydaje się przesadzonym, za jaskrawym, nieprawdopodobnym. W każdym razie jest on wybitném zjawiskiem w obec bladości kolorytu dzisiejszych płodów wyobraźni.

Inne literatury bardzo słabo są u nas reprezentowane: z angielskiéj przetłumaczono 3, z czeskiéj 2, z włoskiéj i szwedzkiéj po jednéj powieści; o hiszpańskiéj, węgierskiéj i greckiéj nie mamy nawet wiadomości. Tłumaczenia po większéj części są niezłe, widocznie starają się wszyscy o poprawną, chociażby nie wykwintną polszczyznę. Grubych krzyczących błędów, o ile poznaliśmy tłumaczenia, nie było można dostrzedz; małe usterki, nierówności stylu i wyrażeń są rzeczami ludzkiemi i łatwo przebaczyć się dają. W przekładzie *Ojców i dzieci*, zauważyliśmy tylko niewłaściwe wyrażenie *urągać* zamiast *zaprzeczać (otricat)*, co sprawia niejasność w zasadach bohatera, o co tu głównie chodziło.

Przejdźmy do utworów oryginalnych.

Z prawdziwą radością i chlubą zaznaczyć mi tu przychodzi jednę z owych powieści, co prześcigając zwyczajną bladość i nikłość dzisiejszych produkcyj literackich, dochodzi miary arcydzieła. Na

utwory podobne lata czekać potrzeba, czego najlepszym dowodem jest ta okoliczność, że od czasu wyjścia *Krwawych dziejów* (r. 1862 w Gaz. Warsz.) aż po rok ostatni, nie pojawiła się żadna powieść, któraby takie dla siebie zyskała zajęcie, taki wzbudziła zapał, takie zajęła miejsce w literaturze— jak *Uskoki.* Oba te utwory są dziełem jednego i tego samego autora, a tym autorem jest *Teodor Tomasz Jeż,* znany w literaturze naszéj i czynnie się w niéj krzątający od czasu wyjścia na widok publiczny *Andzi Zahornickiéj* 1859 r. Od owéj chwili napisał on kilkanaście powieści przeróżnéj treści i wartości tak dalece nawet, że o przedostatniéj jego pracy *(Urocza)* musieliśmy surowe ogłosić zdanie. W każdym razie jestto pierwszorzędny talent powieściowy, mający odrębną manierę swoją pisarską, odrębny styl i zdrowy sąd o rzeczach. W *Uskokach* dosięgnął on szczytu swojéj dotychczasowéj działalności.

Chcąc całą artystyczną wartość utworu tego wykazać, potrzebaby przedstawić treść jego w kilku obrazach wybitniejszych chwil w nim przedstawionych i to z takim talentem, z jakim napisane zostały. Szczupłość ram, w których trzymać się muszę, ogranicza mię do prostego przedstawienia treści, z któréj poznać można tylko ideę utworu, ale nie jéj uzewnętrznienie. Wyższość atoli téj powieści od innych jéj siostrzyc w tém się okaże, iż i sama treść ta pełną będzie żywotności i znaczenia. Jestto przywiléj wielkich tylko utworów.

W XVI wieku narodowość słowiańska od Dunaju do morza się rozciągająca, skutkiem światowładnych podbojów potomków Osmana, była pod groźném jarzmem tureckiém. Powoli odbierano jéj samodzielność państwową, urządzenia polityczne, indywidualność narodową, posunięto się wreszcie do odebrania i indywidualności duchowéj— zmuszano do wyrzeczenia się wiary swojej a przyjęcia mahometanizmu. Porywano po prostu dzieci obyczajem dzikich od rodziców i oddawano na poturczenie. Naturalnie znaleźli się tacy, co pędzeni nienasyconą dumą i chęcią odznaczenia się, dobrowolnie szli do Turków żebrząc u nich zaszczytów i złota. Synem właśnie takiego ojca jest bohater powieści *Dżordżi Miłoszewicz* Bośniak. Dzieckiem jeszcze małém był wtedy, gdy mu matka pokazała z oddali (musiała się ukrywać) straszny widok ojca jego na pal wbitego i napominała go, żeby tego widoku nie zapomniał; téj twarzy męczennika, tych włosów srebrnych, wiatrem rozwianych. Wychowywany potajemnie na dworze beja Sokolicza, jednego z owych nikczemników, co zapomnieli swego narodu, pokochał tam jego córkę i był świadkiem jak ojciec sam ją zabił w niego celując. Była to pierwsza próba nieszczęścia co go na przyszłość trudną i niebezpieczną zahartowała. Zmuszony uciec z ojczyzny, udał się wśród tych ludzi, co między obcemi szukali nadziei przynajmniéj poratowania chrześcijaństwa. Ludzi tych żyjących przemysłem wojennym zwano *Uskokami.* Ćwiczenia jednak ciała nie wystarczały mu, duch domagał się także pokarmu—oświaty. W swoich wędrówkach naukowych poznał on i pokochał piękną wenecką dziewicę arystokratycznego rodu *Anuncyjatę.* Ale tułacz mógłże się szczęścia spodziewać?.. To też pożegnał się już z nadzieją, gdy nagle energiczna Wene-

cyanka wbrew woli rodziców, co ją do nienawistnego chcieli zmusić związku, oddaje mu swą rękę. To nagłe, niemarzone nigdy szczęście ogłuszyło go, zaślepiło nawet. Wyprawa przeciwko Turkom na której czele miał stanąć, odbyła się nieszczęśliwie pod wodzą krzykacza, co na szczudłach i w wicinowych krynolinach kazał wojownikom iść do szturmu. A Dżordżi tymczasem przy boku Anuncyjaty słodkie ale bezczynne dni przepędzał... Nadeszła jednakże chwila, w której gromowy głos obowiązku musiał zakłócić te piękne marzenia. Dżordżi się ocknął. Poszedł na czele nowéj wyprawy, która szczęśliwie się powiodła głównie poświęceniem jednego człowieka *Andrzeja Kosmacza*, co zginął wśród tortur okropnych.

Tutaj po raz ostatni spotkał się Dżordżi oko w oko z ojcem swojéj wiośnianéj miłości— Sokoliczem,— tutaj zaczęła się jego prawdziwa działalność, która już należy do historyi, a nie do powieści.

Z tego szkicu widzimy dwie rzeczy: ideę przewodnią utworu i charakter bohatera. O pierwszéj się nie rozpisuję, dosyć ją poczuć, ażeby zrozumieć całe jéj potężne znaczenie we wszystkich czasach i miejscach, ażeby ocenić doniosłość utworu, którą ją rozwija. Druga stała się powodem do zarzutu autorowi niegodnéj słabości w charakterze jego bohatera, przez którą zginęło marnie paręset ludzi przy Klissie, którą zdobywszy możnaby było mieć ważną podstawę do dalszego działania. Zarzut to całkiem niesłuszny, jeżeli zważymy, że powieściopisarz nie może przedstawiać wyników teoryi, ale musi malować ludzi rzeczywistych ze wszystkiemi ich słabościami i wadami. Widzę w tém owszem wielki fakt powieściowy i głęboką znajomość ludzkich pobudek działania, że p. Jeż nie wykroił swego bohatera z kartonu wielkich maksym, ale wziął go z pomiędzy drgającéj życiem ludzkości. Zapewne Dżordżi, zapominający w objęciach swéj żony o nadziejach kraju w nim pokładanych, nie jest wzorem; ale też najfałszywszém byłoby zapatrywanie się na bohaterów powieści jako na wzory, kiedy wola autora nie wskazuje na to dobitnie. Z tego to fałszywego źródła płyną te bezduszne i bezcielesne kreacye całéj prawie nowszéj belletrystyki, bo każdy nieznajdując pierwowzoru w życiu, ubiera swego bohatera w suche bezżyciowe szaty reguł i formułek, nie mogąc tchnąć w nie istotnéj duszy żyjącéj, nie mogąc nadać ich postępkom téj jasności i dobitności, jaka się tylko w rzeczywistości odnaleźć daje. Dżordżi przeciwnie jest jedną z tych postaci szlachetnych, sympatycznych, co wytknąwszy sobie cel wielki, dążą do niego niezachwianie, z przekonaniem silném, ale nie wyrzekają się innych uczuć szlachetnych, nie depcą ich, bo nie są w możności ludzkiéj natury przemienić. Dadzą się oni nawet na chwilę uwieść prawdziwemu popędowi serca,— ale tylko na chwilę. Później powstają z tém większą siłą, z tém gorętszém pragnieniem naprawienia skutków swojéj słabości. Zdarzyć się może i niestety! zdarza się bardzo często, że owe nieszczęsne skutki niczém już naprawionemi być nie mogą — wówczas natury podobne umierają, śmiercią przypłacając swój błąd chwilowy. Dżordżi był szczęśliwszy od wielu innych, jemu walka narodowa z bisurmanem dała obszerne pole do zrehabilito-

wania się, do oczyszczenia krwią ofiarną, zmazy zapomnienia się. Dżordżi nie jest cyfrą, ale osobą.

Inne charaktery téj powieści, o których nie mogę mówić szczegółowo jak na to ze wszech miar zasługują, są narysowane śmiało, energicznie, z całą znajomością środków uwydatnienia ich, z całym zasobem wiedzy ówczesnych stosunków politycznych i towarzyskich, a zwłaszcza tyczących się Turków. Co do tego dał nam p. Jeż niemałe dowody w swoich dawniejszych powieściach, korrespondencyach i opisach, jest pod tym względem powagą naocznego świadka. Umiejętność scenowania, unaoczniania działań osób do powieści wchodzących, rozwinięta tutaj do wysokiego stopnia doskonałości, tak, że w niektórych ustępach na równi postawić ją można z niezrównaną pod tym względem zdolnością Dumasa. Zwięzłość i brak niepotrzebnych i nudnych powtarzań, a obok tego pełność obrazów, jest tu wielkiéj wagi zaletą, gdy się przypatrzymy niektórym znakomitym nawet utworom naszych zwłaszcza pisarzów, którzy jednę i tę samą scenę lubią częstokroć po dziesięćkroć przedstawiać w coraz to innéj tylko formie. Styl jest żywy, giętki, oryginalny, co bardzo dobrze zastępuje brak poetyczności; dyalogowanie zręczne, pełne treści, a nie próżna gadanina przedłużająca tylko akcyę.

Uskoki dorastają miary arcydzieła — ale arcydziełem nie są. Czegóż im brakuje? Równomiernego rozwinięcia części. Wytłumaczę się. Powieść pomyślaną jest na szeroką skalę: zaczyna się rozwinięciem obrazu tureckiego ucisku, szczegółowém (mistrzowskiém nawiasem mówiąc) przedstawieniem losu ojca nowonarodzonego dziecięcia; ciągnie się daléj zawiązaniem walki podbitych ze swojemi srogiemi władcami— i tu na jednéj bitwie dobrze ale krótko skreślonéj, w któréj bohater czynnie występuje,— kończy się powieść; kiedy się właśnie oczekiwało szerszego obrazu przedstawiającego nam główną osobę w nowém świetle, w jasnościach czynu... Tymczasem zamiast burzy działalności, ujrzeliśmy tylko błyskawicę — świetną ale krótkotrwałą błyskawicę. Zbyt długo czekaliśmy na Dżordża, zbyt długo scena była zajęta przez innych, ażeby jego minutowe ukazanie się w przelocie mogło zharmonizować się z całością jego postaci w wyobraźni czytelnika. To jest brak główny. Powtóre nie zużytkował autor całego swego materyału, zostawiając na uboczu niektóre postaci jak np. *Franczeskę*, którąby w rozwinięciu była najlepiéj uzupełniła pewne luki, jakie w budowie powieści czuć się dają. Tymczasem wszystko co do téj osobistości pozostawiano domysłowi czytelnika, rysując tylko jéj sylwetkę. Potrzecie widzę nieodpowiedniość czynów w stosunku do słów w postaci pewnego krzykacza *Bertuczego*, co to kazał się żołnierzom ubrać w wicinowe krynoliny i iść do walki na szczudłach. Nie— to należy do farsy— a nie do powieści, chociażby dla odmalowania takiego zera krzyczącego głośno, jakim był Bertuczi, bo to ubliżałoby rozumowi i tych ludzi poświęcających się, co nie mogli odrazu się poznać na głupocie podobnego rozkazu. Na nic tu się nie zdadzą tłumaczenia autora, o wpływie tego pustego dzwonu, jaki swoją tajemniczą nieprzystępnością i psem z czerwonemi oczyma zy-

skał nad podwładnemi; dobre to było w wojsku, gdzie karność milcząca jest zaletą główną, ale nie w ochotnikach, co nieraz sami byli przewódzcami wypraw. Obudza to niesłychanie znaczenie całego rysunku dość obszernego, który się kończy zdobyciem i utratą Klissy, t. j. jednego z nader ważnych ustępów powieści.

Możnaby jeszcze powiedzieć o braku dowcipu autora, ale tego nie czuć dotkliwie w téj powieści, która bardziéj ważnością wypadków, aniżeli walką słowną zajmuje, tembardziéj, że p. *Jeż* umie stwarzać sytuacye komiczne takie, że słowa byłyby już zbyteczne. Możnaby również, używając brzmiących słów powiedzieć, że Uskoki dla tego nie są arcydziełem, iż wyszły z rozmysłu a nie z natchnienia; — ale czytając w liście Mickiewicza, że on *kropnął* kilkadziesiąt wierszy *Pana Tadeusza*, odchodzi chęć popisywania się górnolotnemi frazesami, kiedy się nie jest wtajemniczonym dokładnie na pewnych podstawach, w tę pracę ducha, którą natchnieniem ochrzczono. Wolę więc analizować, choćby to napozór było drobną rzeczą, bo to w każdym jest lepiéj i zrozumialéj, niż mówić frazesa, z którychbym sprawy sam sobie *dokładnie* zdać nie mógł.

Żadnéj innéj powieści na równi z powyższą postawić nie można: jednym brakuje wyższéj myśli, drugim siły do wykonania artystycznego, innym jasnego pojęcia tego, co przedstawić zamierzają, innym nareszcie brak najzupełniéj powieściopisarskiego talentu. Dążności wszędzie są poczciwe, szlachetne, pojęcie obowiązków wysokie, wyobrażenie o miłości wzniosłe, punkt zapatrywania się prawie u wszystkich bliźnio-podobny. Rzutności myśli, dobitnéj różnicy w pojęciach dobadać się trudno, kreślonie postaci mniéj więcéj znane i na znany sposób. Słowem, oryginalność w tych tu utworach jest wyrazem bez znaczenia. Oto krótki zarys ich treści:

Wielkiém, ogromném nieszczęściem naszéj epoki jest niczem nienasycona chęć używania, odwodząca ludzi od obowiązków, czci i cnoty, pożerająca majątki i zdolności, wyżerająca serce i mózg. Niezliczone w tym przedmiocie napisano powieści dawniéj u nas i zagranicą, a w roku zeszłym wyszły dwie powieści *(Pan Graba, Stracen)*, co ten sam temat w dwojaki przedstawili sposób: poważny i lekki. Autorką *Pana Graby* jest pani *Eliza Orzeszkowa*, bardzo czynna od lat czterech na literackiém polu, o któréj już w zeszłorocznym naszym przeglądzie mówiliśmy. Aż do napisania Pana Graby siły zawodziły jéj chęci; miewała dobre czasami pomysły, ale była najnieszczęśliwszą w ich wykonaniu. Brak dowcipu, dekłamatorstwo, rozwlekłość i wodnistość— oto były przyczyny jéj niepowodzenia. Słuszność każe wyznać, że i w Panu Grabie wszystkie powyżéj wymienione wady napotkać można i to niebardzo szukając; ale przybył tu jeden przymiot, t. j. siła i dobitność w wykonaniu, co po części zneutralizowało wpływ wad powyższych. W pierwszéj zwłaszcza części (całość z 3ch się składa) widzimy tę siłę i tę dobitność, która czyni powieść interesującą; późniéj słabnie a raczéj niknie w powodzi deklamacyi (bardzo dobrej i rozumnéj zresztą) powtarzań jednakowego rodzaju scen i t. p. Pan Graba jestto człowiek zdolny, ukształcony, ale

żądzą użycia i marnotrawstwem przyprowadzony do szulerstwa, apostołuje w pewném większém mieście ten przemysł, ciągnąc do siebie młodzież lekkomyślną i słabą, choć dobrą w gruncie, jaką jest po większéj części, i zaszczepia w nich powoli tę gryzącą truciznę, która jednym życie odbiera, a drugich nad przepaścią ruiny honoru i pożycia rodzinnego stawia. Są to po większéj części obywatele ziemscy, częścią kawalerowie, częścią młodzi małżonkowie, co olśnieni blaskiem złota i ponętą nieokiełznanéj swobody, rzucają się w objęcia koła fortuny, toczonego przez pana Grabę uśmiechniętego, szyderczego, ze spokojném sumieniem obdzierającego nietylko z tego co najpotrzebniejsze, ale i co najdroższe i najświętsze. Téj młodzieży niepamiętnéj na jutro, nie myślącéj o sobie, bezzasadnéj i nikczemnéj w nieszczęściu — przeciwstawia autorka żyda lichwiarza Wigdera, co życie swoje w błędny wprawdzie ale rzeczywiście myślący sposób oddał na usługi ludowi swemu spodlonemu: „Pytasz mię, powiada do Graby, jak przyszła do mnie miłość dla narodu mego? . Oto, jakiem tylko oczy pojęcia na świat otworzył. widziałem ubóstwo jego, niedolę, poniżenie i litość mnie zdjęła ogromna. Im więcéj widziałem braci moich ubogich, ciemnych i poniżonych, tém więcéj kochałem ich. Widziałem ich ciemnotę, ich wady i grzechy, i za ciemnotę, za wady i grzechy kochałem ich, tylko że wtedy miłość moja stawała się bezbrzeżną litością. Uczyłem się, wczytywałem się w wasze księgi, uczyłem się wybornie waszego języka, bo wiedziałem, że im mędrszy będę, tém łatwiéj celów mych dopnę.... i zostałem potęgą, przed którą kłaniali się panowie... a ja potęgi téj, opartéj na złocie używałem na to, aby coraz więcéj tego złota zebrać, bo przez *nie miałem wzbogacić ubóstwo, rozświecić ciemnotę, osłonić niedolę ludu mojego*... Dla mnie złoto... czém ono dla mnie samego? — pyłem... nie potrzebuję go...“ Takie słowa w ustach pogardzonego lichwiarza, przypominające jednę ze ślicznych kreacyj Korzeniowskiego (w *Żydach*), podziałały na Grabę, ale podziałały podług natury słuchacza, doprowadziły go do rozpaczy, zakończonéj pistoletowym wystrzałem.

Obok postaci Graby narysowanéj dobrze ale bez odcieniów stopniowania, co nadaje barwę niemiłéj jednostajności, jest tu parę udatnych rysunków odznaczających się prawdą życiową i istotném powieściowém i społeczném znaczeniem. Tylko bohatorka chybiona. Guwernantka rozumna, energiczna, nie dająca się uwieść żadnym sofizmatom Graby, zostaje jego żoną, dowiaduje się od niego samego istotnéj prawdy jego charakteru, nie zrywa z nim z początku dla tego, żeby nie zabić matki, która wydając ją za mąż, sądziła, że raj jéj gotuje, a po jéj śmierci dla tego, że nie dostaje rozwodu. Żyje więc z nim, dopomaga mu biernie we wszystkich jego szachrajstwach, ubiera się w aksamity oblane łzami tysiąca i chce uchodzić (za wstawieniem się autorki) za ofiarę nieszczęśliwego położenia swego, za duszę złamaną w najdroższych swoich nadziejach, a przy tém wszystkiém za kobietę rozumną, silną, radzącą innym bardzo dobrze, a sobie nie zdolnéj nakazać tak prostego poruszenia ręki ku twarzy czcigodnego

małżonka, w obec towarzystwa przekonanego o jego nikczemności, coby ją już na zawsze od niego uwolniło. Rozumiemy różne charaktery i świętości po bohaterach nie wymaganéj, ale nie lubimy ażeby nam kazano kłaniać się bogom fałszywym, ażeby krzywiono pojęcie ofiary, kiedy ta jest tylko prostym nierozsądkiem albo nikczemném tchórzostwem. Może autorka, gorąca zwolenniczka rozwodu, chciała w ten sposób wystawić konieczność wprowadzenia go; w tym atoli względzie pomyliła się; społeczeństwo w razach podobnych, kiedy nie potrzeba powtórnego związku, ma separacyą, która takie trudności, w jakich się bohaterka znajdowała, w zupełnie zadawalniający sposób rozstrzyga. Widzim tu brak logiki.

W *Straconych* (przez *Wołodego Skibę* i *Arkadyusza Kleta*) rozprowadzony ten sam temat w tonie lekko ironicznym, bez żadnéj uwagi moralnéj, bez żadnych rozpraw i deklamacyj. Bieg powieści ma tu przemawiać za siebie. Wygrana na loteryi przypada pięciu osobom; cztery z nich źle jéj używają: jeden zapomina pracy i ubogiéj kochanki, szukając uciech i wrażeń nowych, drugi zakłada szulernię, trzeci reparuje swe podszarzane stanowisko w salonie, czwarty waryuje ze skąpstwa. Jeden tylko biédny dorożkaż szlachetnie zużytkowuje ten kaprys losu, wywdzięczając się delikatném odstąpieniem ćwiartki swojéj niegdyś dobrodziejce i pani. Główną rolę gra tu młodzieniec niezepsuty w gruncie, którego oszołomił widok banknotów i zasmakowało życie próżniacze. Oddaje się więc bezbronnie na łup przebiegłych mężczyzn i kobiét, ale opuszczony w ostatku przez wszystkich, drogą pracy zyskuje sobie nowo stanowisko w świecie, traci atoli miłość téj, którą lekkomyślnie w dzień szału porzucił. Obok niego wiele jeszcze innych przesuwa się osób: jakiś starosta utrzymujący ruletę i... Karolcię, kobietę do wszystkiego, jakaś Oktawia, dziewica z demi-mondu, po raz podobno drugi dopiero (Wolskiego *La Kaczucza*) w naszéj belletrystyce wprowadzona i t. d. Wogóle mówiąc, jeżeli w panu Grabie widzieliśmy młodzież wiejską, do miasta czasowo tylko przybyłą dla zmarnotrawienia ostatniego nawet grosza, to w *Straconych* mamy przed sobą przeważnie miejskich mieszkańców, próżniaków, wyzyskujących od mniéj wprawnych złoto i papiery, ażeby ich użyć dla zaspokojenia nienasyconych chuci swoich we wszystkich kierunkach. Znajomość warszawskiego życia jest tu bardzo dobrze wystudyowaną, pełno żywych scen i rysów prawdziwych. Całość napisana z niezmierną żywością pióra, zwarta dosyć kunsztownie, ale pobieżnie; nie opracowana, nie rozwinięta; nie znać tu zaiste wyzyskiwania tematu na tomy, bo przy takim pomyśle, jaki mieli autorowie, możnaby nawet z korzyścią dla ogółu rozwinąć obszerny obraz naszego społeczeństwa. Pokazałyby się tam nawet postacie i sceny całkiem nowe w naszéj belletrystyce. Ale tak, jakim ten utwór jest obecnie, nie możemy mu nadać większego moralnego i społecznego znaczenia; brakuje mu przedewszystkiem gruntowności, to jest głębszego wniknięcia w przyczyny przytaczanych faktów, rzeczy najbardziéj nas w podobnych zarysach interesującéj. Pani *Orzeszkowa* w swojéj powieści, starała się ją określić i znalazła

w braku dobrego, istotnego wychowania młodzieży naszéj, w niedbalstwie, próżności i lekkomyślności rodziców, co zapominając o obowiązkach swoich względem dzieci, zamiast nauki i zbawiennego przykładu, rzucają je na wolę przypadku lub złego towarzystwa. Bezwątpienia jest to jedna z najważniejszych przyczyn tego smutnego objawu, chociaż są jeszcze i inne, których autorka dotykać nie mogła. Autorowie *Straconych* nie chcieli się nawet zastanawiać nad tém, i dla tego powieść ich jest bezbarwną i bezwpływową, należąc do dalszego ciągu tych tysiącznych utworów, co malują znane powszechnie życie światowéj złotéj młodzieży. Parę scen nowszych—oto wszystko, co dla przyszłości z powieści téj pozostanie.

Jeżeli w *Panu Grabie* i w *Straconych* mieliśmy jakoby galeryą kilku postaci połączonych z sobą jednością usposobień, wynikających z jednego powierzchownego lub wadliwego wychowania, to w *Historyi o kapitalném głupstwie kandydata filozofii*, autor wyjął jednę z pomiędzy wielu podobnych postaci, uosabiającą wychowaniem całe generacye; ale przedstawił zarazem jego naprawę przez miłość szczerą, serdeczną. Oto krótka historya: W średnio-zamożnym domu urodzony, pieszczony przez matkę, wychowany na pensyi, gdzie się dostawało promocyę za parę korcy pszenicy, wyrósł młodzieniec z głową pustą, z sercem do najęcia. Pierwszy ogień miłosny spalił u stóp mężatki, która chciała ukształcić i ogładzić młodzieniaszka, poduczyć lepszéj francuzczyzny i lepszych manier, a obrażona gorącem wyznaniem, przywołała swego męża litewskiego niedźwiedzia, co wytargawszy za uszy chłopca, dał mu spokojnie odejść z zasobem dotykalnych dowodów. Odtąd prowadził życie bałagulsko-miasteczkowe, sprzedając i kupując konie, polując i zapijając szampana, a przytem dobrze podskubując majątek. Tutaj się kończy obraz rodzajowy oryginalnego wychowania, pospolitego przed laty dwudziestu, urabiającego co najwyżéj berajterów a nie obywateli, a zaczyna się już indywidualny rozwój szczególnego przypadku. Oto młodzieniec ów pokochał dziwacznie wychowaną sylfidę arystokratycznego pochodzenia, co czytała romanse Sanda, Suego, Dumasa i t. d., zapijała wino i ponczyk, a przy tém wszystkiem pozostała niewinną jak gołąbek, a raczéj jak bezświadome dziecię. Opowiedzenie losów téj miłości tajonéj, sielankowej i romantycznéj, powabnéj w szczegółach i nieprawdopodobnéj w głównéj zasadzie, zajmuje większą część powieści. Cel ironiczny w pierwszéj części, bardzo jasny i jakkolwiek w szczegółach swoich dobrze wszystkim znany, wywołał przecież parę scen (zwłaszcza zakochania w mężatce) dosyć żywych i z prawdą życia zgodnych; ale na téj też ironii kończy się wszystko, bo autor podając dziwaczne wychowanie panienki, jako wywołujące jak najlepsze skutki, sam zironizował siebie, nic dodatniego w powieści téj nie znaleźć. Uważając ją z czysto-artystycznego stanowiska widzimy tu dosyć żywości w opowiadaniu, które jest właśnie główną jéj charakterystyką, ale brak dramatyczności i dyalogu, którego nic zastąpić nie zdoła. Autor p. *Wacław Poncet de Sandon* zaledwie tę drugą pracę swoją ogłasza, pierwsza: *Strach*

ma wielkie oczy była to nie więcéj jak rozszerzona nad miarę anegdota, która przez tę samę szerokość straciła cały swój dowcip, jaki krótko opowiedziana miećby mogła. W każdym razie jak na drugą z kolei pracę w *Historyi* widzimy dosyć powieściopisarskiego talentu, który z czasem może się wyrobić i wydawać utwory pożyteczne dla kraju, jeżeli zwłaszcza do tego talentu przyłączy się większe i głębsze zastanowienie się nad jego potrzebami, jeżeli nie poprzestanie na ujemném tylko malowaniu jednéj strony obyczajów, ale je rozszerzy do zbadania przyczyn, powodujących te ujemności i wskazania zaradczego na nie lekarstwa.

Równie ujemną stroną tylko odznacza się powieść *p. Mieczysława Dzikowskiego* p. n. *Dziewczyna*. Jeżeliby kto chciał pisać powieść tendencyjną na jedném z najbardziéj wołających o naprawę zboczeniu społeczném, bardzo zbliska kraju naszego dotyczącém, nie mógłby lepszéj obrać do niéj osnowy nad tę, jaką w *Dziewczynie* by znalazł. Mówię tu o losie szwaczek, tym losie nieszczęśliwym zarówno pod względem fizycznym, materyalnym jak i moralnym i duchowym. Biedne te dziewczęta zarabiające zaledwie tyle, ile do zaspokojenia najgwałtowniejszych, najniezbędniejszych potrzeb wystarcza a częstokroć tych nawet pozbawione, wystawione są jeszcze na takie pokusy ze strony próżniaczych i nikczemnych mężczyzn, że im prawie mimowoli ulegać muszą. Bieda, ciemnota, brak czujnego rodzicielskiego oka, brak szczeréj i światłéj rady, niczém nie zastąpiona potrzeba miłości, oto czynniki składające się na wytworzenie bardzo smutnego stanu moralności szwaczek naszych. Jeżeli jeszcze przyłączymy do tego uważanie się za stosunkowo wyższe od sług i panien młodszych, a przez to stronienie od namulonych rąk rzemieślników a lgnięcie do wyższego towarzyskiego poloru, to bardzo łatwo wytłumaczymy sobie tę chwiejność zasad, najbliższą drogą do upadku prowadzącą. Czy tak pojął rzecz tę p. Dzikowski, to zupełnie inne pytanie. Niestety! p. Dzikowski wziąwszy za bohaterkę prostą szwaczkę, poszedł za tém naiwnem natchnieniem szkolnéj młodzieży, co temat swój wszelkiemi sposobami ku niebiosom wynieść usiłują, odkrywając w nim także częstokroć zalety, których tam nigdy nie było. Pan Dzikowski zrobił szwaczkę ideałem, co był zdolnym podnieść z kału zepsucia złotego młodzieńca i natchnąć go najczystszą miłością, najwznioślejszém uczuciem, dla którego poświęcenie jest chlebem powszednim. Gdybyśmy jak najidealniejszém patrzyli okiem na nasze szwaczki, tobyśmy jeszcze nie mogli w nich znaleźć tych warunków, któreby były w możności przemienić moralnie człowieka światowego z pewném choćby nawet powierzchownem wykształceniem. Brakuje im do tego podniosłości duchowéj i uprawy umysłowéj, koniecznych czynników wszelkiéj reformy. Pojęcie więc o téj stronie położenia szwaczek było najzupełniéj fałszywe; nie mogło zatem dać obrazu rzeczywistego, jedynie wpływowego w tym razie. Chęć więc, pierwszy pomysł wprowadzenia na scenę nowego elementu powieściowego był dobrym; ale dalsze jego rozwinięcie

wykazało albo fałszywość punktu zapatrywania się, albo też nieznajomość przedmiotu. Tém bardziéj utwór ten za zupełnie chybiony uważać należy, że i artystyczne obrobienie nie dopisało treści. Pan Dzikowski nie ma powieściopisarskiego talentu; zamiast obrazów i scen, mamy sprawozdania o nich, zamiast ludzi przejętych pełnią uczucia lub namiętności, otrzymujemy szkielety ich myśli i działań, zamiast rysunku, napotykamy kréskowanie. Jedyną zaletą jakiéj się dopatrzéć można w *Dziewczynie*, jest szybki stosunkowo pochód akcyi a raczéj kalejdoskopowa zmiana obrazów. Zaleta ta jednakże jest względną, t. j. jest zaletą o tyle, że gdyby były rozprzestrzenione zarysy scen, powstałaby wodnistość: taki jest brak wyższych myśli i prawdziwego uczucia. Jestto pierwsza powieść p. Dzikowskiego, który dotąd pisywał tylko zręczne dosyć sceniczne drobiazgi; początek ten jednakże nie daje nadziei wielkiego wyrobienia się na przyszłość; kto się nie umie głębiéj wpatrywać w życie, ten nigdy nie stworzy dzieła szerszego znaczenia. Mogą mu się udawać lekkie urywki, w których dyalog mniéj więcéj zręczny, sytucya mniéj więcéj komiczna stanowi o wartości utworu. ale nie szerokie pomysły.

O takie właśnie szerokie pomysły starał się *Karol Pieńkowski* w swoim *Garbusku*. W krótkiéj téj powieści przemierzył on życie całe od dołu do góry, we wszystkich kierunkach umysłowości i towarzyskich położeń, we wszystkich fazach umysłu i serca. Garbusek, dziecię uczuciowe, niepraktyczne, prześladowane od losu, który mu odebrał matkę i na jéj miejsce wtrącił macochę, kucharkę jego ojca, dziecię prześladowane przez swoich rówieników na podwórzu domowém i w szkole, znajduje wreszcie praktycznego przyjaciela, kochającego się idealnie w szwaczce, która następnie ze łzą w oku i czułem wspomnieniem za innego idzie, przyjaciela i towarzysza całego żywota. Z nim odbywa studya uniwersyteckie, przechodzi od najzupełniejszego zwątpienia we wszystko do szczeréj wiary, pobożnéj, kornéj i milczącéj, od rozglądania się w życiu i miłostkach arystokratycznie znudzonej piękności do widoku miłości czystéj, dziewiczéj, niewinnéj, co po za garbem odkryła serce pełne miłości i umysł pełen rozumu. Wszystkie to wypadki i bardzo wiele innych jeszcze przesuwają się przed czytelnikiem lotem błyskawicy, rozstrzygając najzawilsze kwestye, chodząc po rozumach i sercach ludzkich z lampą Aladyna rozświecającą najtajniejsze ich zakątki, przedstawiając najprzeróżniejsze momenta w życiu pojedyńczych jednostek i niezmiernego ogółu, szydząc z praw rozwoju i dociekań ludzkich. Kto chce znajdzie tam naprędce kurs wszystkiego, co tylko interesuje: kurs dziecinnéj psychologii, kurs przeróżnych rodzajów miłości, kurs filozofii świata i życia; tak, że po przeczytaniu całości, dziwimy się, że się tyle słyszało a niczego się nie wié. Rozbierać to wszystko, byłoby próżną stratą czasu; lotność fantazyi autora jest tak nieścigniona, że wolimy mu to przyznać bez rozbioru, aniżeli w ślad za nim podążać. Zresztą zalet słowa i wyrażeń jest tam dosyć, dowcipu w miarę, ztąd powieść przeczytać można i to bardzo szybko, ale po raz drugi do niéj zajrzéć niepodobna. Pan *Pieńkowski* znanym był do-

tąd jako dramatyk i korrespondent; o ile wiemy, karyerę swą literacką rozpoczął przeróbką dla sceny powieści J. I. Kraszewskiego *Dziwadła*, którą wydał w 1857 roku p. n. *Odrodzony*; odtąd napisał: *Idealni*, dramat w trzech aktach; *Poezye dramatyczne* gdzie się znajdują: *Wybranka*, poemat dramatyczny w dwóch obrazach i *O zmroku*, dramat w trzech aktach, wreszcie *Scena za scenę*, szkic dramatyczny w czterech aktach z dalszym ciągiem: *Po latach dziesięciu*. W tych utworach jest dużo fantazyi, dużo idealizmu i nieurzeczywistnionych mrzonek, wiele zręczności scenowania i gładki dyalog. Nawracanie do uczuć rzewnych, tęsknych i prawdziwych stanowi główną ich stronę dodatnią. Powieść odbija od siebie prąd dramatyczny, szkicuje dosyć dobrze charaktery z ich strony duchowéj, plastyczności, to jest żywego wizerunku osób: rzeczywistych brak jéj zupełnie. Upojenie wiecznéj jakiéjś młodości, idealizowanie po za światowe i nieobecność prostego zdrowego rozsądku, oto jéj cechy główne.

Powieści psychologiczne. Ostatnia ta powieść stanowi jakby pomost, po którym przechodzimy do przyjrzenia się innemu oddziałowi powieści, psychologicznemi powszechnie nazywanych. Jeżeli badanie objawów duszy ludzkiéj przeniesiono z właściwego mu pola psychologii do belletrystycznych utworów, to stało się to skutkiem ogólnego prądu dzisiejszych nauk i sztuk, którego hasłem stała się praktyczność, to jest, zastosowanie ich do potrzeb, warunków i wymagań społecznego życia. Przysypanych odwiecznym pyłem traktatów psychologicznych, napisanych przez ludzi, których granice poglądu w czterech ścianach ich uczonego gabinetu się zawierały, mało kto się dotyka; powieść za to każdemu do ręki się dostanie. Przy takiéj więc massie powieści, jaką wiek nasz wyprodukował, zdawałoby się, że już wszystkie strony, wszystkie nawet odcienia umysłu, uczucia i woli ludzkiéj dostatecznie rozpatrzone zostały i że ci, którzy nową powieść wyłącznie na tym temacie osnuwają, z saméj natury rzeczy, muszą na znanych już powszechnie ogólnikach poprzestać, nie mogąc stworzyć nic oryginalnego. Zapatrywanie podobne jest błędem, jeżeli się przypatrzymy z bliska powieściom, dajmy na to, Jerzego Sanda, albo w naszéj literaturze utworom Gabryeli Żmichowskiéj, Jana Zacharyasiewicza, lub Waleryi Morzkowskiéj; ale jest najzupełniejszą prawdą, jeżeli będziem mieli na uwadze tylko płody roku ubiegłego, jak np. pani *Teressy Prażmowskiéj* lub autora *Bronisi*, lub *Tarłowéj Góry*. W pierwszych łatwo nam odkryć przyjdzie tę prawdę, że nowe stosunki towarzyskie, nowe fazy rozwoju umysłowego ludzkości lub odrębny punkt widzenia rzeczy dostarczają autorom całéj massy prawd nowych, świetnych, spostrzeżeń subtelnych, rysunków świeżych oryginalnych. W drugich przeciwnie, brak zdolności powieściopisarskiéj, lub też brak wgłębiania się w naturę istoty ludzkiej, podsuwa pisarzom same tylko wyblakłe obrazy, same błahe uwagi, same naśladowania i przeróbki! Kiedy się więc czyta jaką psychologiczną powieść bezbarwną, mdłą, nudną, nie należy

obwiniać samego ich przedmiotu, ale tych, co go tak nieumiejętnie przedstawili, co patrząc na wschód słońca, nie mogą się zdobyć na żadne inne spostrzeżenie nad to beztreściwe: ach! jak to cudowne! co wglądając w serce ludzkie, umieją powtórzyć tysiąc razy wypowiedziane: serce to przepaść; co rozważając zdobycze rozumu ludzkiego, nie umieją ich ukazać w zajmujących szczegółach, ale ze ślepém uwielbieniem powiadają: umysł to potęga!

Taką autorką w dotychczasowych swoich próbach okazała się p. *Teressa Prażmowska.* Wystąpiła ona przed laty czterema z powiastką w listach p. n. *Anna*, gdzie już spoczywały w zarodku wszystkie jéj myśli i poglądy późniejsze. *Tajemnice życia*, *Rozsądna panna*, i *Nie w porę* dopełniają całości jéj utworów. Ogólnym ich charakterem jest unikanie malowania rzeczywistości całkowitéj, miejscowéj i czasowéj, a uciekanie w sfery czysto-umysłowe a raczéj czysto-uczuciowe, bo oprócz uczucia w całéj fizycznéj i duchowéj naturze jéj bohaterów i bohaterek nic więcej niéma. Ztąd naturalnie wynika jednostronność poglądu, bo chcąc jakąkolwiek prawdę rzetelnéj wartości powiedzieć, potrzeba brać życie w jego całości, potrzeba rozważyć zarówno charaktery osób, jak i okoliczności, w których działać i mówić muszą, i to okoliczności nie tylko najbliższe, natychmiastowe, ale także i ogólne, społeczne, krajowe. Pani Prażmowska zajmuje się tylko dwoma a najwyżej trzema sercami, nie zważając wcale na to że przestrzeń dzieląca te serca, zamieszkaną jest przez mnóstwo ludzi żyjących, rozumujących i czujących, którzy na nie wpływać koniecznie muszą; słowem pani Prażmowska nie maluje ludzi w społeczeństwie, ale jakby odciętych od niego, ztąd też nie maluje ludzi rzeczywistych. Tak np. w *Rozsądnéj Pannie* chciała przedstawić kobietę, która dopęcze najczulsze swe uczucia w imię jakiegoś dziwnego rozsądku, nakazującego jéj odrzucić rękę pewnego doktora, dla tego, że jéj nie mógł zapewnić wygód wygórowanych. Najprzód widzimy tu ów ciasny sposób traktowania obranego przedmiotu, usuwając go z naturalnéj widowni jego rozwoju, t. j. z całego obszaru społeczeństwa. Kobieta ta rozsądku w niczém inném nie dowodzi, tylko w owém odrzuceniu ręki człowieka, którego kocha wedle zapewnienia autorki; nie ma tu nawet wskazanych jéj stosunków z innémi ludźmi, co przecież w życiu rzeczywistém koniecznie istnieć musi i jest prawdziwym kamieniem próbierczym charakteru i umysłowości każdego człowieka. Powtóre łatwo tu dostrzedz niejasność pojęcia głównego autorki, co rozsądkiem nazywa. Doktor mający zapewnione stanowisko w społeczeństwie może przecież każdéj rozsądnéj kobiécie dać niezależność, jeżeli tylko jest rzeczywiście rozsądną, jeżeli nie pragnie zbytkownych strojów i wymarzonych wygód. Jeżeli więc się znajduje kobieta, co podobnego męża odrzuca, kochając go—to ją prędzéj szaloną niż rozsądną nazwać-by wypadało. Przy takiém prostém zastanowieniu się upada cała budowa powieści, cała jéj wartość pomysłowa; co do artystycznéj zaś to naturalnie z ciasnego, zasklepionego widoku żaden zajmujący obraz dokonanym być nie może. Szary koloryt oklepanek i nużący szereg cierpień przez czytelnika

niepodzielanych, złożyć się może tylko na utwór suchy, mały i nudny. Takim jest Rozsądna Panna.

Powieść *Nie w porę*, znana jest czytelnikom *Biblioteki*. Jest ona w każdym razie postępem na drodze prac p. Prażmowskiéj, obranéj przez rozszerzenie zakresu powieściopisarskiej widowni, a więc i poglądów na życie. Ideą główną utworu jest spostrzeżenie, że wiele kłopotów i cierpień wynika nie z jakichś przyczyn wyższych, moralnych, ale po prostu z takiego lub innego zbiegu okoliczności, z takiego lub innego słowa wypowiedzianego nie na czasie, z takiego lub innego uczucia, które powstało i rozwinęło się *nie w porę*. Przykłady ze zwykłego ludzkiego doświadczenia czerpane, popierają myśl tę bardzo często; to téż trafności jéj nie zaprzeczam bynajmniéj; ale jestem zdania, że na téj zasadzie można napisać bardzo ciekawy i zajmujący *romans awanturniczy*; powieści atoli czysto *psychologicznéj* zbudować nie można. Czémżeby była powieść psychologiczna, gdyby jéj ludzie od prostego trafu, lub od złego czy dobrego humoru swego zależeć mieli? Zbiorem mniéj więcéj zabawnych scen i wypadków, które wielce zainteresować mogą, ale niczego nauczyć. Powieść taka przeciwnie starać się powinna o jak najjaśniejsze sformułowanie takich objawów zewnętrznych, w którychby umysł i serce działając wedle praw przez powieściopisarza zaobserwowanych, były najbardziéj wpływowemi czynnikami, regulującemi wszystkie stosunki zewnętrzne. Pani Prażmowska przedstawia nam taką historyą: Pewien człowiek szlachetny i do pewnego stopnia energiczny, pokochał kobietę, która nie mogła się od razu poznać na prawdziwém znaczeniu swego uczucia dla niego i przez to sprowadziła nieszczęście trojga osób: swoje, owego człowieka i innéj kobiety, która głęboko go pokochała. Jestto wypadek nie powiem częsty, ale zdarzyć się mogący. Na zanotowaniu tego wypadku możnaby skończyć całe zapatrywanie się swoje. Kto chce szukać przyczyn jego, ten powinien się pilnie obejrzeć w otoczeniu owych ludzi, zbadać warunki, w których żyli, określić ludzi, którzy na nich wpływali;—jak nie mniéj rozebrać psychologicznie wnętrze każdéj z występujących postaci. P. Prażmowska uczynić tego nie mogła, bo pisała w listach, musiała się więc trzymać jednostronnego poglądu osób, które te listy pisały. A jeżeli zauważymy, że autorka nie umie odtwarzać charakterystycznego stylu, tylko wszystkim swoim osobom każe się w jednakowy sposób wyrażać, to będziemy mieli przykład krajobrazu, gdzie i drzewa i niebo i ludzie jednakowym oddane są kolorem. Zaletą téj książki jest podniosłość uczuciowa, będąca cechą wszystkich prawie osób tu występujących, co im nadaje charakter bez zarzutu wprawdzie, ale téż i bez zasługi. Styl jasny, wykończony, w porównania trafny i dowcip nieobfity, z pewnym odcieniem siły gdzie niegdzie, manijerowany jednak w rodzaju napuszystym — wszędzie jednakowo naprężonym, jak jest charakterystyką wszystkich młodszych powieściopisarek i poetek naszych, tak odnajduje się również

i w książkach pani Prażmowskiéj. Przyszłość dopiero ma okazać, czy styl ten ma być szatą większych a zwłaszcza głębszych utworów.

Prawie słowo w słowo da się to zastosować do trzech powieści, które zdaje się jednéj są ręki, a mianowicie: *Bronisia, Tarłowa Góra* i *Nierozstrzygnięte pytanie*. W roku zeszłym zajął nas wielce obrazek p. n. *Pan profesor*, którego styl i charakter ogólny jest w wielkiéj harmonii z powyżéj wymienionemi utworami. Zauważyliśmy już wtedy brak siły w wykonaniu, ale naiwność i poetyczność całości, brak ten wynagradzały. Gdy jednakże przeczytaliśmy *Bronisię* i *Tarłową Górę*, trudno było nie spostrzedz, że owa naiwność i poetyczność była sztucznem tylko naśladowaniem, nie zaś istotnym wypływem talentu autora czy autorki. Kiedy poraz pierwszy ją przedstawiono, podobała się, kiedy się w większych pojawiła dozach, wyszła ich sztuczność na wierzch, sprawiając przykre wrażenie cukrzanych lalek, któreby nam za ludzi rzeczywistych podano. Istotnie w żyłach bohaterów i bohaterek, zamiast krwi płynie tu jakiś roztwór klejowaty, zamiast serc bijących odgłosem uczuć prawdziwych, są torebki wypchane karmelkami a czasami lukrecyą. Marzenie nawet, które jest najpoetyczniejszą stroną tych obrazków, nie jest owym wypoczynkiem duszy, potrzebnym po trudach życia rzeczywistego i poważniejszego myślenia, ale wytworem chorobliwéj imaginacyi, nie mogącéj znaleźć zadowolenia w nikim i w niczém; nie jest ową mgłą parnego czerwcowego dnia, ale ową jesienną mglistą, przykrą atmosferą, będącą skutkiem zaraźliwych miazmatów w powietrzu. To też nie rozgrywają się tu walki namiętności prawdziwych, ale jakieś wyłamywania się maryonetkowe, na które czytelnik z obojętném a niekiedy przykrém patrzy uczuciem. Przeciwko takiemu traktowaniu artystycznemu kwestyi życiowych, zaprotestować musimy ze stanowiska zdrowego rozsądku, prawdziwego uczucia i silnego charakteru, których nam więcéj bezwątpienia potrzeba, aniżeli próżnych mrzonek.

W *Bronisi* mamy wzór pisania powieści o lalkowych figurach. Nie robimy już nawet zarzutu z braku wszelkiego działania, jakichkolwiek wypadków, gdzieby charakter osób się objawił; ale zwracamy uwagę na główny punkt oparcia téj historyi, t. j. na ową wątpliwość czy bohaterka kocha bohatera bezinteresownie, czy dla jego pieniędzy. Wątpliwość ta powstaje w sercu zakochanego kawalera bez żadnego powodu, ot, tak, pomyślał sobie i zamiast starać się przekonać, dręczy siebie i swoję lubą jakiemiś męczarniami, których podstawy ani celu zrozumieć nie można. Brakuje mu jednéj ważnéj rzeczy: zastanowienia się prostego nad charakterem Bronisi, coby go odrazu z wszelkich wątpliwości uleczyło. Ale inaczéj nie byłoby powieści. Autor wolał zdrowie umysłowe bohatera swego podać w wątpliwość, niż się wyrzec napisania lichéj powiastki.

W *Tarłowéj Górze* cokolwiek więcéj jest rozmaitości, bo wprowadzono dwa pierwiastki, zwalczające się wzajem i przez to ożywiono całość. Walka tu arystokratycznych przesądów z postępo-

wym przemysłem czasów nowszych, który wreszcie otrzymuje zwycięstwo. Taka treść koniecznieby pociągnąć za sobą powinna odmalowanie istotnego stanu społeczeństwa, wprowadzenie silnych pierwiastków jednéj i drugiéj strony i na tém tle rozwinięcie idei społecznéj. Ktoby jednakże podług tego programu chciał sądzić Tarłową Górę, doznałby takiego samego zawodu jak podróżnik, co zamiast do kipiącego życiem miasta trafił do cichéj jakiejś, spokojnéj wiosczyny poleskiéj. Ani ruchu, ani ludzi tam nie ma, rozmowa i rozprawianie, o ile nudne, o tyle bez treści, zastępują tam żywe postacie. Pewna dama, co dla utrzymania rodowego imienia porzuciła miłość swoję dziewiczą pod nogi nieubłaganych rodziców, z biegiem czasu stała się sama gorącą zwolenniczką rodowości i ku podobnemu czynowi córkę swoję zmusić się stara i w tym celu powołuje do domu swego dalekiego krewnego, by skojarzyć związek, któregoby najważniejszym czynnikiem było imię i nic więcéj jak imię. Ale ten krewny rozmarzony i rozanielony jak wszystkie zresztą kreacye tego autora, nie nadaje się do téj kombinacyi, tak że po wielu dyskusyach dama owa przekonywa się o bezowocności swojéj ofiary, na którą nie chcąc skazywać swéj córki, oddaje jéj rękę okolicznemu przemysłowcowi. Skreśliwszy powyżéj charakterystykę autora *Bronisi* nie potrzebuję dodawać, że treść ta sucha, żadnym nie jest uwydatniona obrazem, żadnym śmielszym rysunkiem, — jest gadaniną i więcéj niczém. Artyzm dostrzega się tylko w dyalogach. *Nierozstrzygnięte pytanie*, którego autorką jest znana poetka p. *Marya Ilnicka* nie jest właściwie powieścią, ale małą kominkową rozprawką o tém, czy duszom młodocianym a w ogóle ludzkim, należy zdzierać idealną zasłonę, z którą im dobrze, a ukazać im bolesną rzeczywistość, czy téż pozostawić im miłe złudzenia. Młoda dziewczyna naiwna, miła, poetyczna i czuła, pokochaną została przez młodzieńca z takiemi samemi przymiotami. Została jego narzeczoną. Tymczasem zjawiła się pośród nich także młoda dziewczyna, ale nie naiwna, niepoetyczna i szydercza; czy miała czucie czy nie, o tém autorka dowiedzieć się nie mogła. Młodzieniec chociaż pełen zalet, nie miał jednéj t. j. stałości, pokochał tę drugą i w trakcie tego podczas powodzi... utonął. A owa naiwna o téj jego niewierności nic nie wiedziała. Pytanie: czy trzeba jéj to odkryć, ażeby nanowo pokochać mogła, czy téż zostawić ją w smutném zamyśleniu i marzeniach niepowrotnéj miłości?—Oto jest kwestya, którą p. Ilnicka postawiła, nierozstrzygając. Sprowadzona do tego szczególnego przypadku, który powieść utworzył, zrobiła się owym pustym tematem, który się o szaréj godzinie w gronie kobiet przerabia, nie mając ani konsekwencyi żadnych, ani większego znaczenia. Za to ogólna myśl wyrażona przezemnie na początku, mogłaby być istotnie przedmiotem obszerniejszéj powieści, pełnéj interesu dla wychowania młodzieży. Pani Ilnicka nie miała zamiaru jéj podnosić, chociaż była tak blizką i wolała przerobić artystycznie ową pogadankę, o któréj wspomniałem. W takich granicach nie mógł się rozwinąć żaden charakter, ani uwydatnić żadna scena; ztąd szkico-

wa natura całości. Ani siły i energii słowa, ani plastyczności rysunku tu nie znajdujemy; w myślach i w ich wyrażeniu wielkie jest podobieństwo do *Bronisi* i *Tarłowéj Góry*. Tego co stanowi istotną powieść i charakterów i sytuacyj, a w wykonaniu obrazowości nie ma tu i śladu.

Daleko lepiéj pod tym ostatnim względem przedstawia się *Tajemnica Ondyny*, pośmiertny utwór *Gabryeli z Güntherów Puzyniny*. Znać tu talent prawdziwy zarówno w rysach charakterystycznych ludzi branych z rzeczywistości, jak i w sytuacyach z życia uchwyconych. Temat bardzo dobrze znany: Miłość kobiety dla człowieka niegodnego tego uczucia z zaniedbaniem prawdziwie i głęboko jéj oddanego, na czém jak najnieszczęśliwiéj wychodzi. Ze wszystkich pośmiertnych prac Gabryeli Puzyniny, ta ostatnia jest najlepiéj opracowaną i chociaż nie jest żadnym wyższego znaczenia utworem, artystycznie ma swoje zalety, dla których godną jest czytania. Bliższe uwagi uważam za zbyteczne; podam więc tylko wyjaśnienie tytułu. *Ondyna*, było-to pismo zbiorowe wychodzące w *Druskienikach* od 1844—1846, dla zdrowych i chorych w czasie cztero-miesięcznego u wód mineralnych pobytu. Otóż przeglądając to pismo opowiadająca, przypomniała sobie historyą trojga osób tam wymienionych i tę swéj wnuczce przedstawia.

Powieści rodzajowe. Jeżeli *Tajemnicę Ondyny* umieściliśmy na ostatniém miejscu, to nie dla téj względnéj niższości, ale dla tego, że mając w sobie pierwiastek malowniczy i plastyczny, łączy poprzedni rodzaj powieści z obecnym. Tu idzie i dobre, zgodne z prawdą zobrazowanie pewnych warstw społeczeństwa, ich sposobu życia, ich zwyczajów, przesądów, kierunku ich myśli, uczuć i słów, a to jedynie w celu jak najdokładniejszego, jak najplastyczniejszego odwzorowania. Znajdujemy tu wiele punktów podobieństwa z malarstwem rodzajowém i dlatego też nazwę tę podobnym utworom literackim nadaliśmy. Jestto cechą i główną zaletą całego szeregu dawniejszych powieściopisarzy, na których czele stał i stoi dotąd niezmordowany w pracy p. J. I. Kraszewski. Cała młodsza generacya romansistów zaniechała prawie zupełnie rodzajowych utworów, nie czując w sobie do tego zdolności i talentu wdzierania się w zewnętrzną ludzi naturę, zagłębiając się tém żwawiéj w moralną ich stronę. Ztąd też zamiast postaci typowych, tak niegdyś powszechnych w belletrystyce naszéj, obecnie mamy już tylko w lepszych pisarzach indywidualne charaktery, a u mniéj utalentowanych takie figury, którym brak zupełny istotnych życia warunków. W ogóle jak w dziedzinie nauki, tak też i na błoniach sztuki nie uogólniać, nie starać się o wprowadzenie jak najpowszechniejszych typów; — ale indywidualizować, rozbijać na pojedyńcze szczegóły, — stało się hasłem dzisiejszéj epoki. O ile na téj zamianie zyskała doniosłość pomysłowa dzisiejszych utworów, o tyle straciła ich istotnie, ściśle artystyczna wartość. Zadaniem przyszłości będzie połączenie głębokości myśli, szczegółowego rozbioru uczuć i usposobień ludzkich z obrazowością, plastycznością i dobi-

tnością artystyczną, słowem połączenie myśli wielkich z formą nadobną. Dzisiaj dwie te rzeczy chodzą oddzielnemi drogami — albo myśl, albo forma przeważa, lub co jest najczęściéj i jedno i drugie jest w kolebce. I tak utwory *J. I. Kraszewskiego* zeszłoroczne: *Pamiętnik Mroczka* i *Przygody Pana Marka Hińczy*, są jak zawsze w utworach tego autora, wzorem formalnego piękna: żywe ludzkie postacie, jakby wyrzeźbione, dyalog charakterystyczny jakby zestenografowany z ust rzeczywistych postaci, sytuacye pełne malowniczości, świeżości i prawdy, znajdują się na każdéj stronnicy. Ale inaczéj rzecz się ma ze stroną pomysłową.

W *Pamiętniku Mroczka* mamy epizod z dziejów szlacheckich czasu potrzeby wiedeńskiéj. Zagonowy szlachcic kocha dziewicę z arystokratycznych progów i pomimo niechęci rodziny, zyskawszy sobie łaskę króla Jana, odznaczywszy się na wojnie, dostępuje wreszcie urzeczywistnienia swoich pragnień. Zamiast romansu historycznego, do którego wszystkie czynniki były na zawołanie, otrzymać kroniczkę z opisem zwykłych zatargów szlacheckich,—to wielki zawód, chociażby nawet ta kroniczka z takim była napisana talentem, jaki p. Kraszewski posiada. Nie można, co prawda, żadnemu artyście narzucać tematu; ale można mieć słuszną urazę, że wziąwszy pod rozbiór ważny przedmiot, zbył go ogólnikami.

W *Przygodach pana Marka Hińczy*, powieści napisanéj z całym talentem lat młodych, z całą werwą dawniejszych opowiadań, przedstawił p. Kraszewski historyą szlachcica sieroty, co z dzwonnicy kościelnéj ściągnięty przez możnego a dziwacznego krewniaka, przeszedłszy mnóstwo przygód, w których zarówno butę szlachecką jak lekkość przyrodzoną serca okazał, dostępuje wreszcie ręki wojewodzianki—nie pięknéj prawda, ale—z imieniem. Chcąc wykazywać *artystyczną* piękność téj powieści, musielibyśmy każdą z wielkiéj liczby wchodzących tu postaci rozbierać osobno i wykazywać po szczególe, ile tam jest nowych rysów prawdziwych, charakterystycznych, ile nowości po tylu latach tworzenia, ile barwności w każdéj niemal scenie. Talent p. Kraszewskiego tak powszechnie jest znanym i cenionym, że nie potrzebuję tu wcale robić nacisku na tę stronę piękności jego utworów: byłoby to daremném sileniem się wykazywania piękności obrazu za pomocą suchych, analitycznych frazesów. Oddając więc całkowite uznanie artystycznéj piękności tych *Przygód*, zwrócę tylko uwagę na to, co pozostaje w umyśle czytelnika po przeczytaniu téj długiéj historyi awantur? Zajęcie chwilowe wyobraźni a zupełny spokój, niczém do działania nie poruszonéj myśli. Mojém zdaniem utwór artystyczny wtedy tylko na miano znakomitego, istotnie pożytecznego zasługiwać może, kiedy harmonijnie zaspokaja wymagania wszystkich władz ducha naszego. Samo rozbudzenie wyobraźni, dostateczném jest tylko dla tych, którzy są *dziećmi* umysłowo; dla dorosłych i myślących potrzeba koniecznie myśli i to w takiém znaczeniu, w jakiém od sztukmistrza domaga się artyzmu, t. j. nie tych konwencyonalnych, zna-

nych ogólników, będących z konieczności w każdéj wyrzeczonéj myśli,—ale prawd szczegółowych, z rozważania rozmaitych stron życia i to z różnych punktów powstających.

Jestto u nas nie łatwo urzeczywistniającém się dotąd wymaganiem, bo trudném istotnie. Kiedy najznakomitszy nasz powieściopisarz nie zawsze mu podołać zdolen, nic dziwnego że inni, mniéj od niego szczęśliwi, nie zbliżają się tam nawet. Mówię tu o *Fatalizmie* i *Opowiadaniu pana Erazma.* Autorem Fatalizmu jest p. *Michał Bałucki*, znany od kilku lat powieściopisarz i dramatyk, *(Heraklesowe drogi*, *Błyszczące nędze* (powieści); *Polowanie na męża*, *Radcy pana radcy* (farsy), i inne pod pseudonimem wydawane). Żywość myśli i odpowiadająca jéj żywość stylu, rzeczywisty talent powieściopisarski—oto są zalety utworów jego.

Fatalizm jest to obrazek z życia górali tatrzańskich, maluje ich wiarę zabobonną w konieczność kary za zbrodnię, nawet w odległych pokoleniach i przytacza właśnie historyą prześladowanéj w ten sposób od losu rodziny góralskiéj. Rysów kilka trafnych — oto cała zaleta téj powiastki.

Opowiadanie pana Erazma jest pierwszą powieściową próbą p. *Adama Rzążewskiego,* znanego czytelnikom Biblioteki z rozprawek o *Zmorskim*, *Gunduliczu* i *Epopei.* Jestto niepretensyonalna relacya miłości p. Erazma ku pewnéj wielkoświatowéj pani, miłości wyleczonéj spowiedzią i żalem za grzechy. Jestto treść czysto miejscowa, poleska i dlatego charakterystyczna, że dobrze maluje ludzi tamtejszych. Zdolności w malowaniu postaci, niepodobna ocenić, bo wszystko tu zastąpiło opowiadanie. Styl nie ma giętkości, ale ma prostotę i potoczystość.

Taki jest obraz powieściowej działalności roku zeszłego, zredukowany do szczupłych ram sprawozdania. Streszczamy rezultaty: nie możemy się skarżyć na zupełny upadek twórczości, kiedy czytamy taką powieść jak *Uskoki;* większość utworów, czy to tendencyą jakąś, czy téż szczególne badanie duszy mających na celu, odznaczają się przewagą myśli nad formą piękną; zamiast typowości rozpościera się coraz bardziéj w powieściarstwie indywidualizm; brak prawie powszechnie dowcipu; przy pewnéj dążności do głębszego myślenia, widoczne zarazem zacieśnienie horyzontu widzenia, objawiające się w nadzwyczaj małym zakresie działania wszystkich występujących w powieści postaci. Ostatni ten rys jest najbardziéj niepokojący, bo przecina wszelką możność dalszego postępu, bo dowodzi braku śmiałości lub głębokości myślenia w pisarzu. Prędka i radykalna reforma pod tym względem jest tu konieczną. „Jak pierwowzór tworu, powiada Libelt (System umnictwa, t. I, str. 271), tak prototyp charakteru, nie jest marą, martwością, ale najpełniejszém życiem. Charakter pokazuje się zatém w czynach, w postępowaniu i działaniach; w nich się jak w zwierciedle charakter odbić powinien. Wszystko a wszystko powinno z tego samego źródła płynąć i na odwrót doń się odnosić. *Na stosunkach ludzkich i społecznych, na walce ze światem urabia się charakter i tém*

jest potężniejszy i większy, im człowiek wyższego dopiął stanowiska, i im rozleglejszy zakres jego działania. Ale i w szczupłym obrębie domowego życia, urabiają się charaktery, a zdejmować ich prototypy jest i tu zadaniem sztuki. Zdejmować je zaś trzeba nie z jednego egzemplarza, ale ile być może, z największéj ich liczby; bo każdy da osobną charakteru modyfikacyą i dopiero z mnogości tych odmian, samego charakteru, jasny i zupełny wyrobi się obraz."

W tych słowach znakomitego estetyka zawiera się nasze potylekroć powtórzone wymaganie, ażeby powieściopisarz stawiał swoje postacie wśród rzeczywistego świata, w najprzeróżniejszych stosunkach życia, w przeciwstawieństwie do innych ludzi; bo takie dopiero postawienie ich przed umysłem czytelników, wykaże najdobitniéj, czém one są, co myślą, co czują, jak się znajdą w różnych położeniach, jak sobie postąpią w krytycznych razach; bo to dopiero da rzeczywistą miarę ich znaczenia i wartości moralnéj. Gołosłowne zapewnienia autora, tak jak w życiu puste frazesy, nie przekonają nikogo, nie dadzą jasnego wyobrażenia; — okażą tylko niską skalę talentu w piszącym. Ludzie stworzeni do czynu, niechże czynem udowodnią swe uzdolnienie, — inaczéj poczytywać ich będziemy, wbrew wołaniom autorów, za ludzi frazesu. *P. Ch.*

Archiwum Południowo-Zachodniéj Rossyi, wydawane przez Komissyę czasową do rozbioru akt dawnych. Czast piataja. Akty o gorodach (Kiew. 1869).

Istniejąca w Kijowie od lat dwudziestu kilku Komissya Archeologiczna, tak zwana: „*Komissya do rozbioru akt dawnych*" wydaje od 1848 roku zbiory aktów i dokumentów dotyczących historyi i dawnych urządzeń społecznych Wołynia, Podola i Ukrainy. Pierwszą publikacyą téj komissyi były *Pamiętniki* wydane w czterech tomach (1848—1859), a zawierające niezmiernie cenne materyały do dziejów tych prowincyi. O pierwszych trzech tomach tych Pamiętników, J. Bartoszewicz obszerne podał sprawozdanie w Bibliotece Warszawskiéj z 1855 r.—Druga serya tychże pamiętników wychodzi od 1859 r. pod tytułem: *Archiwum Południowo-Zachodniéj Rossyi.*

Część pierwsza, (Tomów 3, 1859—1864), obejmuje akta i dokumenta odnoszące się do dziejów Unii i kościoła prawosławnego na Rusi.

Część druga (1861), Postanowienia szlacheckich sejmików prowincyonalnych na Rusi (dalsze tomy wychodzić jeszcze będą).

Część trzecia (Tomów dwa, 1863—1868), Akta o kozakach.

Część czwarta (1867) Akta o pochodzeniu szlacheckich rodów na Rusi, i wreszcie

Część piąta (1869), Akta o miastach.

Wszystkie te materyały, zebrane z miejscowych archiwów, obejmują nader ważne i ciekawe szczegóły, wyjaśniające nie jeden fakt historyczny, lub prostujące błędne w niektórych przedmiotach pojęcia. Ostatni szczególniéj tom owéj publikacyi, a obejmujący akta o miastach, wprowadza nas na nowe, nie dość jeszcze zbadane pole poszukiwań historycznych. Miasta na Rusi, ich wzrost lub upadek, przywileje i prawa, obowiązki i powinności mieszczan względem rządu, szczegóły wreszcie ich urządzeń i bytu społecznego, jednem słowem wszystko co dotyczy miast i mieszczan, zupełnie niemal zaniedbaném u nas było, i nie mówiąc już o systematycznym opisie stanu miejskiego, przygotowawczych nawet prac w tym zakresie, zaledwie kilka zliczyćbyśmy mogli. To więc wydanie licznych dokumentów o miastach, niezmiernie ważném dla historyi kraju jest dziełem, tém bardziéj, że w skutek ciągłych najazdów, ciągłych walk i bojów, których teatrem była dawna Ruś, mnóstwo dawnych archiwów zginęło bezpowrotnie, to zatém co się odnajduje, podwójną dla nas wartość mieć powinno.

Publikacya o któréj mówimy, zawiera 229 dokumentów, dotyczących 156 miast na Rusi, i obejmuje peryod od 1432 do 1798 roku. Pierwszym dokumentem jest pismo Władysława Jagiełły do mieszczan ziemi łuckiéj w 1432 r., a przez które król ten porównywa prawa szlachty téj ziemi z prawami szlachty polskiéj, nadaje miastu prawo magdeburskie, oswobadza kmieciów od podatków i powinności na korzyść starostów i zabezpiecza prawa i swobody kościoła prawosławnego na Rusi. W ogóle z XIV-go wieku, znajdujemy tutaj 5 tylko dokumentów. Oprócz pisma Władysława Jagiełły, jest tu dyplom Swidrygiełły na prawo Magdeburgskie w Krzemieńcu (1438), Kazimierza III-go na takież prawo w Smotryczu (1448) (1), pismo W. Ks. Litewskiego Alexandra nadające różne przywileje z potwierdzeniem Magdeburgii dla mieszczan łuckich (1497), i wreszcie pismo króla Alexandra (1498), nadające różne przywileje tymże mieszczanom.

Są to więc pierwsze — o ile dotąd wiadomo — przywileje na prawo Magdeburgskie dla miast na Rusi, wyjąwszy Kamieńca, któremu Ks. Koryatowicze takież prawo nadali jeszcze w drugiéj połowie XIV wieku, a Władysław Jagiełło potwierdził w 1432 r. Daléj znajdują się tegoż rodzaju dokumenta dla innych miast; Magdeburgia najprzód w miastach podolskich, późniéj w wołyńskich, a najpóźniéj dopiéro w ukraińnych zaprowadzoną była, z wyjątkiem tylko kilku miast główniejszych. Nie mniéj ciekawe są także dokumenta wyjaśniające władzę starostów grodowych, i ciągłe spory jakie się toczyły między nimi a mieszczaństwem, jak również różne wyroki magistratów miejskich, skład onych i naturę władzy jaką posiadały.

(1) *Smotrycz* niegdyś siedziba Koryatowiczów, dziś licha mieścina w powiecie kamienieckim na Podolu.

Jako dzieło źródłowe, publikacya ta zawiera nieoszacowany materyał dla badacza dawnych urządzeń miejskich na Rusi.

Przedmowa do tego dzieła, napisana przez p. Włodzimierza Antonowicza, nie mniejsze przedstawia zajęcie. Rozbiera on tutaj kolejno pierwsze początki miast, dalszy ich rozwój lub upadek, prawa jakiemi się rządziły, znaczenie władzy magistratów miejskich, i t. d., jedném słowem całą historyę miast na Rusi. Przedmiot cokolwiek za obszerny dla rozprawy, obejmującéj zaledwie kart kilkadziesiąt. To też autor wyczerpać go nie mógł, a mimo gruntownéj znajomości traktowanego przedmiotu, są przecież błędy w historycznym wywodzie charakterystyki społecznego ustroju dawnych miast na Rusi.

Miasta te—powiada autor,—wytwarzały się w skutek trzech różnych przyczyn historycznych, i dlatego w ciągu swojego istnienia trojakie miały znaczenie:

1. Miasto przedstawiało w państwie oddzielną jurydyczną jednostkę, gmina miejska rządziła się osobnémi prawami, mieszkańcy miast, odrębne od innych mieszkańców kraju mając prawa, stanowili oddzielny *stan miejski.*

2. Miasto było siedliskiem handlowego i przemysłowego ruchu, i mieszkańcy jego różnili się od innych krajowców nie tylko prawami, ale rodzajem zajęcia i sferą swéj działalności.

3. Miasto przedstawiało miejscowość ufortyfikowaną, stanowiąc w ten sposób średnisko wojennéj organizacyi kraju.

Wskutek więc tego trojakiego znaczenia miast, autor zapatruje się kolejno na każdy z tych trzech objawów życia miejskiego.

I tutaj przedstawia się najprzód kwestya ziemskiéj własności, którą rozbierając pan A. usiłuje dowieść, że donacye ziem i różnych miejscowości ludziom rycerskim a zasłużonym u książąt, były „rozerwaniem gminnéj ogólnéj własności, ścieśnieniem i zdławieniem gminy przez stan rycerski“ jedném słowem uzurpacyą.

Na podstawie dawnych tradycyi i zwyczajów—powiada autor—gminy uważały za wyłączną swoją własność całe przestrzenie otaczające miejscowości dawnych zgromadzeń wiecowych w czasach przedhistorycznych, a które dały początek osadom miejskim. Gotowe wprawdzie były do wypełniania rozmaitych powinności dla książąt, ale uważały one takowe, jako wynagrodzenie tylko za trud podjęty w obronie ich przeciwko nieprzyjaciołom, nigdy zaś jako powinność w skutek posiadania ziemskiéj własności. Z drugiéj znów strony książęta uważali tę ziemię jako swoją wyłączną własność, należącą do nich z mocy powszechnego ich zwierzchnictwa, a jeśli kto ją posiadał, to tylko z mocy przywilejów, wydanych w zamian za zobowiązanie się wypełniania powinności wojennych. Ztąd więc wywiązuje się walka między zasadą gminnéj własności a wojskowo-feodalnym porządkiem. W jaki sposób książęta w praktykę wprowadzić mogli swoje roszczenia, dla braku źródeł wykazać nie możemy — powiada autor. Od końca dopiero XV wieku posiadamy dyplomy książąt i inne akta, okazują-

ce nam iż wówczas jeszcze walka ta rozstrzygniętą nie była. I na podstawie dokumentów wykazuje pan A. że na południu długo później nawet miasta posiadały jeszcze ogromne obszary ziem: „*jak z dawna bywało.*“ Te dokumenta któremi się składa, są wszystkie z XVI już wieku. W innéj znów stronie, na zachodzie Podola, na Wołyniu i północnéj Kijowszczyznie, wcześniéj już własność gminna jest rozerwana, w Żytomierskim i Owruckim powiatach już za Swidrygiełły rozpoczynają się donacye ziem ludziom zasłużonym, a w ziemi łuckiéj już w 1432 r. wyraźnie rozróżniają się stany: z jednéj strony „*duces, boiari, milites et nobiles*“ a z drugiéj „*homines seu Kmethones.*“

Własność osobistą w dawnéj Rusi, pan A. wywodzi po większéj części jako uzurpacyą własności gminnéj, ogólnéj. Tymczasem rzecz ta w innem cokolwiek świetle nam się przedstawia.

Za czasów gminowładztwa, będącego jedyną i ostateczną formą społecznego ustroju Słowian w czasach przedhistorycznych, własność gminna, ogólna była koniecznem dopełnieniem takowéj. Z upadkiem jednak gminowładztwa, wytworzeniem się władzy pojedyńczych naczelników i książąt, postać rzeczy zmienić się musiała. Chcąc zbadać pierwotne prawa téj władzy owych pierwszych naczelników, zadaleko musielibyśmy się zagłębiać i wyszukiwać jéj pochodzenie, czy dobrowolnie przyjętą była przez pojedyńcze plemiona, czy też narzuconą. Ale przyjąwszy jako fakt dokonany owe zwierzchnictwo książąt, czyż w obec ich władzy, ostać się mogły formy porządku społecznego, który innemu już wręcz przeciwnemu miejscu ustąpić musiał? Ta zmiana konieczną była jako dopełnienie dokonanego przewrotu.

Z drugiéj znów strony jakiéj natury była owa uzurpacya własności gminnéj? Pan A. dowodzi że miasta posiadały na własność obszerne terrytorya otaczające je, ta zaś własność rozerwaną została przez donacye książąt ludziom rycerskim. Tu więc należy rozpatrzeć pierwotne prawa owéj własności ziemskiéj miast.

Pierwotne osady miejskie zakładały się w epoce, w któréj obszerne jeszcze były przestrzenie niezaludnione, mogły więc zakreślać sobie granice posiadłości ziemskiéj zupełnie dowolnie, bo nikt im takowych zaprzeczyć nie mógł. Poźniéj dopiero, przy zakładaniu miast, królowie lub książęta ściśle ograniczali granice ziem wyznaczonych na osady miejskie. W pierwszym więc razie, ta własność była warunkową, bez podstawy i praw, w drugim zaś, jako usankcyonowana przez władzę niezaprzeczoną i legalną. Dla tego więc, w późniejszych czasach, miasta składają się przywilejami królów lub książąt, w razie zaprzeczeń lub przywłaszczeń. Wszelkie zaś donacye tychże zwierzchników nazwać nie można rozerwaniem własności gminnéj, gdyż własność ta nie miała jeszcze sankcyi nowego ustroju społecznego. Były wprawdzie nadużycia, ale w późniejszych dopiero czasach; miasta traciły czasem swe posiadłości w skutek bezprawnych przywłaszczeń, takowe je-

dnak nadużycia nigdy uważać nie można jako podstawę własności indywidualnéj.

Aby zaś gminy „ścieśnione i zdławione były“ przez rozwój własności osobistéj, na to także zgodzić się nie możemy. Sam nawet autor powiada, że gdzie więcéj rozwiniętym był stan rycerski, to jest w miejscowościach gdzie wcześniéj własność osobistą spotykamy, tam mniéj gmina ponosi ciężarów wojennych, zamieniając je na powinności rozmaitego rodzaju na korzyść księcia lub zamkowego urzędu. Jeśli p. A. uważa to za ścieśnienie, to także zgodzić się nie możemy, uważając to raczéj za „ulżenie“ i zapewnienie rychlejszego wzrostu miast. Owi: „*duces, boiari, milites et nobiles*“ są to ludzie zasłużeni książętom, ich zastępcy w wyprawach wojennych lub zarządach krajem. Ich godność jest wynikiem zasługi, ich posiadłość, nagrodą takowéj. Gdzie więc osiadają, do nich już należy obrona téj miejscowości, a gmina, zmieniając swe powinności wojenne na wypłat pieniężny, daniny lub robotę, składa w ich rękę obronę miejscową. A w ten sposób, swobodniéj już oddać się może uprawie roli lub przemysłowym i rzemieślniczym zajęciom, ciężary zaś jakie ponosi są słuszne i należne. W ten więc sposób zapatrujemy się na rozwój własności osobistéj, i zależność gmin względem stanu rycerskiego.

Skreśliwszy dość obszernie powinności miast i mieszczan, oraz zmiany jakim takowe ulegały, autor opisuje następnie naturę władzy magistratów, wójtów, starostów, i wpływ zamków na rozwój życia miejskiego, poczém mówi o prawie Magdeburgskiém, będącém obroną przywilejów miejskich w obec nadużyć starostów. Takowe bowiem w saméj rzeczy uciskały do najwyższego stopnia ludność miejską. Pan A. uważa że Magdeburgia niedostatecznie jeszcze gwarantowała prerogatywy miast; zdaje się jednak, iż silniejszéj rękojmi takowych, ówczesne prawodawstwo wytworzyć nie mogło, dając im samorząd w najzupełniejszém znaczeniu tego wyrazu. A jeśli z wyjątków, lub pojedyńczych przykładów, sądzićbyśmy chcieli o całéj instytucyi, popełnilibyśmy błąd tylko, bo jednostka lub wyjątek, zasady naruszać nie mogą.

Przechodząc w dalszym ciągu swéj rozprawy wszystkie przywileje i prawa miast z jednéj strony, z drugiéj znów ich powinności i należności, autor doprowadza swe opowiadanie aż do nowych ustaw o miastach 1791 r.

Rozprawa pana A., o powstaniu, wzroście i upadku miast na Rusi, przedstawia zajęcie w swych szczegółach, a niezmiernie pożądanémby było, aby publikacya dokumentów i akt miejskich daléj prowadzoną była. *K. P.*

SPRAWOZDANIE

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ

Z funduszu stypendyalnego ś. p. M. Konarskiego.

Michał Konarski, obywatel gubernii Podolskiéj, testamentem z dnia 9 kw. 1861 r., pomiędzy licznemi zapisami mającemi na celu dobro ludzkości, przeznaczył summę rs. 20,000 na wsparcie najbiedniejszéj młodzieży, w Zakładach naukowych Warszawskich znajdujących się, oraz dla osób cierpiących niedostatek, które już pokończyły kursa nauk; i postanowił aby summa ta wraz z narastającemi procentami wyczerpniętą była w ciągu lat dziesięciu od zgonu jego. Polecił zarazem złożenie tego funduszu w Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, dla zakupienia listów zastawnych i zapewnienia procentu z kuponów, a zarząd tym funduszem oddał Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Na exekutorów zaś téj woli swéj, wyznaczył testator pp. Romualda Wiernickiego i Wiktora Korejwę. Po śmierci testatora, na wezwanie exekutorów, Redakcya Biblioteki Warszawskiéj przyjęła włożony na nią przez ś. p. Konarskiego obowiązek. Exekutorowie zajęli się ściąganiem funduszów wskazanych testamentem i przy odezwie z dnia 26 kwietnia (8 maja) 1862 r. Nr. 95, nadesłali Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Kredytowego summę, wraz z narosłemi procentami, wynoszącą w gotowiźnie rs. 20,952. Poczém Dyrekcya Główna odezwą z dnia 18 lipca 1862, Nr. 10,703, zawiadomiła Redakcyą iż otrzymała powyższą summę rubli sr. 20,952, z téj zaraz zakupiła listy zastawne, płacąc według ówczesnego kursu za rs. 15 rubli 15 kop. 14½ i tym sposobem zatrzymała w swém zachowaniu do rozporządze-

nia Redakcyi, w listach zastawnych z właściwemi kuponami, summę rubli sreb. 20,945 kop. 53½ i resztę gotowizną rubli sr. 6 kop. 46½.

Zapis takowy zatwierdziła b. Rada Administracyjna Królestwa dnia 28 sierpnia (9 września) 1864 roku, jak o tém zawiadomiła Redakcyą b. Komissya Rządowa Oświecenia Publicznego, reskryptem z dnia 3 (15) lutego 1865 r. Nr. 11135/16755, a ogłoszenie zamieszczone było w Nr. 234, r. 1864 Dziennika Warszawskiego.

Po nadesłaniu funduszu Redakcya bezzwłocznie przystąpiła do wykonania woli ś. p. Michała Konarskiego. Przedewszystkiém postanowiła postępować jak najściśléj według rozporządzenia testamentowego, i w tym celu przyjęła za zasadę wspierać młodzież pobierającą nauki w zakładach warszawskich, taką, która przy moralném prowadzeniu się, przy zdolności i pracy, zostaje w dotkliwym niedostatku, a bez wsparcia i pomocy, nie byłaby w stanie ukończyć rozpoczęty zawód. Również wspierać tych, którzy ukończywszy kursa jużto do złożenia egzaminu, już do zapewnienia sobie utrzymania czasowéj potrzebują pomocy.

Redakcya uznała, iż należy stosownie do potrzeb i powołania młodzieży, oznaczać ilość, udzielać stypendya roczne, wsparcia jednorazowe, na wpisy szkolne; zakupować ważniejsze a kosztowniejsze dzieła dla dojrzalszéj młodzieży do pomocy w obranym zawodzie; zapewnić w wypadkach szczególnych pomoc lekarską, wody mineralne w kraju:—zgoła starała się postępować w tym względzie z rodzicielską troskliwością.

Obok składanych próśb i dowodów, oraz wyjaśnień zwierzchniczéj Władzy Szkolnéj, Redakcya przez swych członków osobiście przekonywała się o położeniu każdego z potrzebujących stypendyi i czuwała nad jego prowadzeniem się, i według takich wiadomości wybranym przyznawała stypendya.

Ś. p. Michał Konarski w testamencie położył warunek, aby fundusz przez niego wyznaczony w ciągu lat 10 od daty jego zejścia, wraz z procentami był wyczerpnięty. Konarski zakończył życie dnia 14 kwietnia 1861 roku. Z dniem więc 14 kwietnia roku bieżącego 1871, ukończył się przeciąg czasu na wsparcie młodzieży przez testatora oznaczo-

ny. Ponieważ rok jeden przeminął, nim fundusz mógł być podniesiony i przysłany, Redakcya więc przez lat 9 każdorocznie wydzielała z funduszu tego summę na przeciąg roku szkolnego potrzebną, takową podnosząc z Dyrekcyi Głównej w listach zastawnych, przenosiła po zamianie w gotowiźnie do kassy Wgo Leopolda Kronenberga, z któréj za assygnacyami z księgi sznurowéj wydawanemi, stypendyści przyznane im wypłaty odbierali. W takim porządku wyczerpnąwszy z dniem 14 kwietnia roku bieżącego całkowity fundusz, Redakcya uważa za obowiązek z czynności swych szczegółowe sprawozdanie ogłosić.

Cały fundusz ś. p. Michała Konarskiego pod zarząd Redakcyi w roku 1862 oddany, wynosił summę rubli sr. 20,945 k. 53½, zamienioną na listy zastawne i rubli sr. 6 kop 46⅓ w gotowiznie, złożoną w depozycie Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Od téj daty kurs listów zastawnych niejednokrotnie ulegał zmianom. W latach mianowicie 1865 do 1868 r. spadek ich był mocny. Spadanie takie zagrażało znaczną stratą funduszowi ś. p. Michała Konarskiego. Redakcya o ile było w jéj możności, wszelkich dokładała starań, aby fundusz od strat ochronić, dlatego zamianę konieczną dopełniała w chwilach podnoszenia się kursu, obracając na bieżący wydatek już gotowiznę z kuponów, już z wylosowanych listów, już z procentu przyznawanego przez kassę Wgo Kronenberga; tak, iż całkowita gotowizna funduszu ś. p. Michała Konarskiego w ciągu lat dziewięciu, wzrosła do rub. sr. 23,456 kop. 37, i taka téż całkowita summa stypendystom wypłaconą została. Wykazy tu zamieszczone, przedstawiają szczegółowo tak ilość summ częściami podnoszonych i zamienianych na gotowiznę, czyli dochód ogólny w gotowiźnie, utworzony z funduszu ś. p. Michała Konarskiego, jako téż częściowe wypłaty, stypendya lub wsparcia.

WYKAZ

Częściowych wypłat funduszu ś. p. M. Konarskiego z Dyr. Głównéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, tak listami zastawnemi ze zmianą na gotowiznę, jako też gotowizną.

	Rs.	kop.
Z odczw Dyr. z d. 1 paź. 1862 listami zastawnemi rs. 3,000, po zamianie .	3021	50
Z d. 26 września 1863 r. gotowizną .	716	26½
Z d. 26 wrz. 1863 r. Nr. 12110 listami zastawnemi rs. 2,100, po zamianie .	2036	40
Z d. 30 list. / 12 gru. 1863 r. Nr. 15,070 gotowizną.	312	90
Z d. 6 (18) czerw. 1864 r. Nr. 9,025 got. .	312	90
Z d. 26 wrz. / 8 paź. 1864 r. Nr. 15,190 list. zast. rs. 2,400, po zamianie	2232	—
Z d. 23 grud. / 4 stycz. 1864/5 Nr. 21,312 gotowizną.	294	90
Z d. 9 (21) czerw. 1865 r. Nr. 8,645 „ .	264	30
Z d. 28 wrz. / 9 paź. 1865 r. Nr. 14,872 „ .	3060	—
Z d. 20 stycz. / 1 lutego. 1866 r. Nr. 1186 „ .	204	30
Z d. 13 (25) czerw. 1866 Nr. 14,829 got. .	3354	30
Z d. 26 grud. / 1 stycz. 1866/7 Nr. 34,604 got. .	291	30
Z d. 10 (22) wrześ. 1868 Nr. 21,640 list. zast. rs. 2,100, po zamianie	1820	70
Z d. 10 (22) wrz. 1868 Nr. 21,640 got.	564	90
Z d. 20 wrz. / 9 paź. 1869 Nr. 18411 list. zastaw. rs. 2,400, po zamianie	2217	56
Z d. 20 wrz. / 9 paź. 1869 r. Nr. 18411 gotowizną.	186	60
Z d. 13 (25) paź. 1870 r. Nr. 23,899 list. zast. rs. 2,265, po zamianie	2105	46
Z d. 13 (25) paź. 1870 r. Nr. 23,899 got.	90	60
Rsr...	23086	88½
Doliczając przyznany procent przez kassę L. Kronenberga	344	58½
Dalszy procent	24	90
Cały fundusz ś. p. Konarskiego gotowizną wynosił	23456	37

Otrzymali stypendya roczne

lub wsparcia jednorazowe

	w r. 1862/3	Rs.	kop.
1	Sikorski Stanisław, ze Szk. Pol. w Karlsr.	225	—
2	Bahr Wiktor, ze Szkoły Politechniczn.	90	—
3	Morawski Zygmunt, ze Szk. Politechn.	90	—
4	Zabokrzycki Alexander, ze Szk. Polit.	120	—
5	Jabłonowski Mikołaj, ze Szk. Przygot.	120	—
6	Maszewski Adam, ze Szk. Przygotow.	120	—
7	Migurski Zygmunt, ze Szkoły Przygot.	120	—
8	Ryfiński Walery, ze Szk. Przygotowaw.	120	—
9	Zielowski Paweł, ze Szk. Przygotow.	120	—
10	Liebkind Arnold, z wydz. lekarskiego .	120	—
11	Wikarski Witold, z wydz. lek. . . .	120	—
12	Raćkiewicz Bolesław z wydz. lek. . .	120	—
13	Świetlicki Stanisław, z wydz. lek. . .	120	—
14	Jasiński Alexander, z Gimnazyum . .	90	—
15	Pohlens Alexander, z Gimn. . . .	90	—
16	Kamiński Ignacy, z Gimn.	90	—
17	Kucz Maryan, z Gimn.	90	—
18	Markowicz Maryan, z Gimn. . . .	90	—
19	Sieńkiewicz Wacław, z Gimn. . . .	90	—
20	Zabokrzycki Alfons, z Gimn. . . .	90	—
21	Zelawski Alfons, z Gimn.	90	—
22	Bekman Hippolit, z Gimn.	90	—
23	Kaczkowski Zygmunt, z Gimn. . . .	90	—
24	Rajski Włodzimierz, z Gimn. . . .	90	—
25	Sawicki Wojciech, z Gimn.	90	—
26	Swieżawski Ernest, z Gimn. . . .	90	—
		Rubli 2775	—

	w r. 1863/4	Rs.	kop.
1	Buchbinder Józef ze Szkoły Sztuk Pięknych w Monachium	225	—
2	Raćkiewicz Bolesław, z wydz. lek. . .	90	—
3	Liebkind Arnold, z wydz. lek. . . .	120	—
4	Wikarski Witold, z wydz. lek. . . .	120	—
5	Zielowski Paweł, z wydz. lek. . . .	120	—
6	Jabłonowski Mikołaj, z wydz. matemat.	120	—
7	Balukiewicz Teodor, z wydz. mat. . .	120	—
8	Bahr Wiktor, z wydz. mat.	90	—
9	Skrobański Stanisław, z wydz. mat. .	120	—
10	Maszewski Adam, z wydz. filologiczn.	120	—
11	Mieczyński Stanisław, z wydz. filolog.	120	—
12	Swieżawski Ernest, z wydz. filolog. .	90	—
13	Ryfiński Walery, z wydz. prawa . .	120	—
14	Sawicki Wojciech, z wydz. prawa . .	90	—
15	Bekman Hippolit, z Gimn.	90	—
16	Jasiński Alexander, z Gimn. . . .	90	—
17	Kaczkowski Zygmunt, z Gimn. . .	90	—
18	Pohlens Alexander, z Gimn. . . .	90	—
19	Markowicz Maryan, z Gimn. . . .	90	—
20	Kucz Maryan, z Gimn.	90	—
21	Rajski Włodzimierz, z Gimn. . . .	90	—
22	Zabokrzycki Alfons, z Gimn. . . .	90	—
23	Zelowski Alfons, z Gimn.	90	—
24	Bentkowski Felix, z Gimn.	90	—
25	Pleszczyński Adam, z Gimn. . . .	112	50
26	Pracki Stanisław, z Gimn.	90	—
27	Morawscy Alexander i Konrad na wpis szkolny— Wikarski Witold na wody mineralne— Bahr na reiszeich.	32	—
		Rubli 2799	50

	w r. 1864/5	Rs.	kop.
1	Buchbinder Józef, ze Szkoły Sztuk Pięknych w Monachium	225	—
2	Balukiewicz Teodor, z wydz. matem. .	120	—
3	Jabłonowski Mikołaj, z wydz. matem. .	120	—
4	Bahr Wiktor, z wydz. mat.	45	—
5	Skrobański Stanisław, z wydz. mat. .	120	—
6	Liebkind Arnold z wydz. lek. . . .	120	—
7	Wikarski Witold, z wydz. lek. . . .	120	—
8	Zielowski Paweł, z wydz. lek. . . .	120	—
9	Maszewski Adam, z wydz. filolog. . .	120	—
10	Mieczyński Stanisław, z wydz. filol. .	120	—
11	Swieżawski Ernest, z wydz. filol. . .	90	—
12	Sawicki Wojciech, z wydz. prawa . .	90	—
13	Ryfiński Walery, z wydz. prawa . .	120	—
14	Bekman Hippolit, z Gimn.	90	—
15	Brosch Karol, z Gimn.	90	—
16	Bentkowski Felix, z Gimn.	90	—
17	Jasiński Alexander, z Gimn. . . .	90	—
18	Kaczkowski Zygmunt, z Gimn. . .	90	—
19	Kucz Maryan, z Gimn.	90	—
20	Majewski Józef, z Gimn.	90	—
21	Markowicz Maryan, z Gimn. . . .	90	—
22	Pleszczyński Adam, z Gimn. . . .	90	—
23	Pohlens Alexander, z Gimn. . . .	90	—
24	Pracki Stanisław, z Gimn.	90	—
25	Reinschmidt Alexander, z Gimn. . .	90	—
26	Rajski Włodzimierz, z Gimn. . . .	90	—
27	Szteinbok Ludwik, z Gimn.	90	—
28	Zabokrzycki Alfons, z Gimn. . . .	90	—
29	Zelowski Alfons, z Gimn.	90	—
		Rubli 2970	—

	w r. 1865/6	Rs.	kop.
1	Balukiewicz Teodor, z wydz. mat. . .	120	—
2	Jabłonowski Mikołaj, z wydz. mat. .	135	—
3	Kaszubski Franciszek, z wydz. mat. .	90	—
4	Sawicki Wojciech, z wydz. mat. . .	90	—
5	Liebkind Arnold, z wydz. lek. . . .	120	—
6	Wikarski Witold, z wydz. lek. . . .	120	—
7	Zielowski Paweł, z wydz. lek. . . .	120	—
8	Pracki Stanisław, z wydz. lek. . . .	90	—
9	Kaczkowski Zygmunt, z wydz. lek. .	90	—
10	Swieżawski Ernest, z wydz. filol. . .	120	—
11	Maszewski Adam, z wydz. filol. . .	120	—
12	Mieczyński Stanisław, z wydz. filol. .	120	—
13	Sławiński Józef, z wydz. prawa . . .	90	—
14	Markowicz Maryan, z wydz. prawa. .	90	—
15	Brosch Karol, z Gimn.	90	—
16	Pleszczyński Adam, z Gimn. . . .	90	—
17	Majewski Józef, z Gimn.	67	50
18	Rajski Włodzimierz, z Gimn. . . .	90	—
19	Zabokrzycki Alfons, z Gimn. . . .	90	—
20	Kucz Maryan, z Gimn.	90	—
21	Pohlens Alexander, z Gimn.	90	—
22	Szteinbock Ludwik, z Gimn. . . .	90	—
23	Bentkowski Stanisław, z Gimn. . .	90	—
24	Jasiński Alexander, z Gimn.	90	—
25	Kossakowski Konst., z Gimn. w Bruxelli	112	50
26	Kaczkowskiemu i Sławińskiemu wsparcie do wód	45	—
27	Na zakup książek	46	75
		Rubli 2596	75

	w r. 1866/7	Rs.	kop.
1	Wikarski Witold, z wydz. lek. . . .	90	—
2	Zielowski Paweł, z wydz. lek. . . .	120	—
3	Grochowski Walery, z wydz. lek. . .	90	—
4	Kondratowicz Józef, z wydz. lek. . .	90	—
5	Wyganowski Antoni, z wydz. lek. . .	90	—
6	Jabłoński Henryk, z wydz. lek. . . .	90	—
7	Kaczkowski Zygmunt, z wydz. lek. .	90	—
8	Pracki Stanisław, z wydz. lek. . . .	90	—
9	Maszewski Adam, z wydz. filol. . .	120	—
10	Mieczyński Stanisław, z wydz. filol. .	120	—
11	Żukowski Antoni, z wydz. filol. . .	90	—
12	Krzywicki Józef, z wydz. filol. . . .	90	—
13	Kaszubski Franciszek, z wydz. mat. .	90	—
14	Sawicki Wojciech, z wydz. mat. . .	90	—
15	Sędzikowski Romuald. z wydz. mat. .	90	—
16	Dzieszuk Romuald, z wydz. prawa . .	90	—
17	Sławiński Józef, z wydz. prawa . .	112	50
18	Markowicz Maryan, z wydz. prawa .	90	—
19	Pleszczyński Adam, z wydz. prawa .	90	—
20	Brosch Karol, z Gimn.	90	—
21	Kaun Jan, z Gimn.	90	—
22	Rajski Włodzimierz, z Gimn. . . .	90	—
23	Zabokrzycki Alfons, z Gimn. . . .	90	—
24	Szteinbok Ludwik, z Gimn.	90	—
25	Poblens Alexander, z Gimn.	90	—
26	Jasiński Alexander z Gimn.	90	—
	Rubli	2452	50

	w r. 1867/8	Rs.	kop.
1	Kaczkowski Zygmunt, z wydz. lek. .	90	—
2	Wolff Alexander, z wydz. lek. . . .	90	—
3	Płodowski Tomasz, z wydz. lek. . .	90	—
4	Grochowski Walery, z wydz. lek. . .	90	—
5	Mikulski Ludwik, z wydz. lek. . . .	90	—
6	Humnicki Ignacy, z wydz. lek. . . .	30	—
7	Kramsztyk Zygmunt, z wydz. lek. . .	30	—
8	Szteinbok Ludwik, z wydz. matem. .	90	—
9	Kaun Jan, z wydz. mat.	90	—
10	Rajski Włodzimierz, z wydz. mat. . .	90	—
11	Konopczyński Ignacy, z wydz. mat. .	90	—
12	Kaszubski Franciszek, z wydz. mat. .	90	—
13	Sawicki Wojciech, z wydz. mat. . .	90	—
14	Sędzikowski Romuald, z wydz. mat. .	90	—
15	Miłkowski Władysław, z wydz. filol. .	120	—
16	Krzywicki Józef, z wydz. filol. . . .	90	—
17	Dziadulewicz Bonifacy, z wydz. filol. .	90	—
18	Żukowski Antoni, z wydz. filol. . . .	22	50
19	Maszewski Adam, z wydz. filol. . . .	30	—
20	Muraszka Franciszek, z wydz. prawa .	90	—
21	Pleszczyński Adam, z wydz. prawa .	90	—
22	Markowicz Maryan, z wydz. prawa .	90	—
23	Mieciński Cezary, z wydz. prawa . .	90	—
24	Gromadzki Henryk, z wydz. prawa .	45	—
25	Kamiński Władysław, z wydz. prawa .	45	—
26	Brosch Wiktor, z Gimn.	90	—
27	Jasiński Alexander, z Gimn.	90	—
28	Na kupno książek dla stypendystów .	39	
		Rubli 2161	50

	w r. 1868/9	Rs.	kop.
1	Kaczkowski Zygmunt, z wydz. lek. . .	90	—
2	Kramsztyk Zygmunt, z wydz. lek. . .	90	—
3	Nowak Józef, z wydz. lek.	90	—
4	Płodowski Tomasz, z wydz. lek. . .	30	—
5	Wolff Alexander, z wydz. lek. . . .	30	—
6	Mikulski Ludwik, z wydz. lek. . . .	30	—
7	Kaun Jan, z wydz. mat.	90	—
8	Rajski Włodzimierz, z wydz. mat. . .	90	—
9	Konopczyński Ignacy, z wydz. mat. .	90	—
10	Sobieszczański Stanisław, z wydz. mat.	90	—
11	Kaszubski Franciszek, z wydz. mat. .	60	—
12	Miłkowski Władysław, z wydz. filol. .	120	—
13	Krzywicki Józef, z wydz. filol. . . .	90	—
14	Żukowski Antoni, z wydz. filol. . . .	90	—
15	Witkowski Felix, z wydz. filol. . . .	90	—
16	Szteinbok Ludwik, z wydz. prawa . .	90	—
17	Muraszka Franciszek, z wydz. prawa .	90	—
18	Pleszczyński Adam, z wydz. prawa .	90	—
19	Markowicz Maryan, z wydz. prawa .	90	—
20	Kamiński Władysław, z wydz. prawa .	90	—
21	Gromadzki Henryk, z wydz. prawa .	90	—
22	Bartoszewicz Kazimierz, z Gimn. . .	90	—
23	Brosch Wiktor, z Gimn.	105	—
24	Jasiński Alexander, z Gimn.	90	—
25	Buchbinder Józef, artysta malarz . .	30	—
		Rubli 2025	—

	w r. 1869/70	Rs.	kop.
1	Kaun Jan, z wydz. matemat. . . .	90	—
2	Rajski Włodzimierz, z wydz. mat. . .	90	—
3	Jasiński Alexander, z wydz. mat. . .	90	—
4	Konopczyński Ignacy, z wydz. mat. .	90	—
5	Sobieszczański Stanisław, z wydz. mat.	90	—
6	Orłowski Stanisław, z wydz. mat. . .	90	—
7	Brosch Karol, z wydz. mat.	90	—
8	Lisowski Maxymilian, z wydz. mat. .	30	—
9	Kramsztyk Zygmunt, z wydz. lek. . .	90	—
10	Nowak Józef, z wydz. lek.	90	—
11	Majzel Wacław, z wydz lek. . . .	90	—
12	Vogdt Stanisław, z wydz. lek. . . .	90	—
13	Fagoński Tomasz, z wydz. lek. . . .	90	—
14	Siejanowski Władysław, z wydz. lek. .	90	—
15	Łowczynowski Jan, z wydz. lek. . .	90	—
16	Chełmiński Antoni, z wydz. lek. . .	90	—
17	Witkowski Felix, z wydz. filol. . . .	90	—
18	Chmielowski Piotr, z wydz. filol. . .	90	—
19	Brosch Wiktor, z wydz. filol. . . .	112	50
20	Rzązewski Adam, z wydz. filol. . . .	75	—
21	Dziadulewicz Bonifacy, z wydz. filol. .	45	—
22	Kasperowicz Józef, z wydz. filol. . .	90	—
23	Muraszka Franciszek, z wydz. prawa .	90	—
24	Pleszczyński Adam, z wydz. prawa .	90	—
25	Suligowski Mścisław, z wydz. prawa .	90	—
26	Bartoszewicz Kazimierz, z Gimn. . .	90	—
27	Mączyński Jan, z Konserw. muz. viol. .	90	—
28	Zagórski Szymon, rzeźb. ze Szk. Szt. P.	90	—
	Rubli	2422	50

	w r. 1870/1	Rs.	kop.
1	Kaun Jan, z wydz. mat.	90	—
2	Orłowski Stanisław, z wydz. mat. . .	90	—
3	Chełmiński Romuald, z wydz. mat. . .	90	—
4	Wędrowski Władysław, z wydz. mat. .	90	—
5	Rajski Włodzimierz, z wydz. mat. . .	90	—
6	Kwieciński Lucyan, z wydz. mat. . .	90	—
7	Konopczyński Ignacy z wydz. mat. .	30	—
8	Łowczynowski Jan, z wydz. lek. . .	90	—
9	Chełmiński Antoni, z wydz. lek. . .	90	—
10	Vogdt Stanisław z wydz. lek. . . .	90	—
11	Siejanowski Władysław, z wydz. lek. .	90	—
12	Kramsztyk Zygmunt, z wydz. lek. . .	90	—
13	Michalski Seweryn, z wydz. lek. . .	90	—
14	Kowalczewski Karol, z wydz. lek. . .	90	—
15	Majzel Wacław, z wydz. lek. . . .	45	—
16	Witkowski Felix, z wydz. filol. . . .	90	—
17	Brosch Wiktor, z wydz. filol. . . .	120	—
18	Radziukinas Józef, z wydz. filol. . .	90	—
19	Matulewicz Jan z wydz. filol. . . .	90	—
20	Suligowski Mścisław, z wydz. prawa .	90	—
21	Jeleński Roman, z wydz. prawa . .	90	—
22	Jagniątkowski Jan, z wydz. prawa .	90	—
23	Łempicki Teofil, z wydz. prawa . .	22	50
24	Sędzikowski Marcelli, z Gimn. . . .	90	—
25	Moderau Edward, z Gimn.	90	—
26	Leszczyński Stanisław, z Gimn. . .	120	—
27	Bartoszewicz Kazimierz, z Gimn. . .	240	—
28	Pułjanowski Bogdan, z Gimn. . . .	120	—
29	Pułjanowski Jerzy, z Gimn.	120	—
30	Chrzanowski Ludwik, z Gimn. . . .	90	—
31	Mrozowski Alexander, z Gimn. . . .	90	—
32	Gurak Gustaw, z Gimn.	60	—
33	Wieczorkowski Antoni, ze Szk. Rys. .	126	12
34	Nawojewski Wacław, ze Szk. Rysunk. .	90	—
35	Chełmoński Józef, artysta malarz . .	90	—
		Rubli 3253	62

Dochód jak wyżéj	23,456 k. 37	
Rozchód.		
w r. 1862/3	2775	
„ 1863/4	2799 k. 50	
„ 1864/5	2970	
„ 1865/6	2596 k. 75	
„ 1866/7	2452 k. 50	
„ 1867/8	2161 k. 50	
„ 1868/9	2025	
„ 1869/70	2422 k. 50	
„ 1870/1	3253 k. 62	
	23456 k. 37	— 23456 k. 37

Redakcya przypomnieć tu musi, iż zaraz po ogłoszeniu w gazetach wiadomości o zapisie ś. p. M. Konarskiego oddanym pod zarząd Redakcyi, zgłaszali się obywatele gotowi do pomocy w takim samym rodzaju; w pierwszym roku złożoną była Redakcyi przez Bezimiennego suma rs. 500, która rozdaną została młodzieży, jak o tém Redakcya zamieściła doniesienie w zeszycie październikowym Biblioteki Warszawskiéj za r. 1864.

Warszawa, dnia 20 kwietnia 1871 r.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1871 r. — Od znanego badacza i etnografa Kornela Kozłowskiego otrzymaliśmy list, opisujący ciekawe odkrycie archeologiczne. List ten datowany z *Kamiennéj Woli* powiatu Opoczyńskiego, w całości podajemy.

„O kilka wiorst od *Nowego Miasta*, w górę rzeki Pilicy, w powiecie Opoczyńskim, jest wieś *Łęgonice* małe, mające maleńki kościołek parafialny i osadę ze 40 gospodarzy się składającą. Położona wśród piasczystéj równiny tuż nad rzeką, wystawiona jest corocznie prawie na wiosenne wylewy tejże. Z wyjątkiem kościoła i plebanii, woda zalewa całą wieś, mieszkańcy pływają czółnami, ale prócz krótkiéj niewygody do któréj są przygotowani i nazwyczajeni, nie doznają z tego powodu zbyt wielkich szkód, gdyż wylew trwa bardzo krótko, a bogactwem mieszkańców i źródłem przemysłu ich, jest właśnie nadbrzeżne wsi położenie. Wylew wiosenny jest zwiastunem otwarcia spławu, do którego chłopi się najmują idąc, jak mówią na *orylkę*, tak, iż z opadnięciem wody, pozostają we wsi tylko starcy, kobiety i dzieci, a całą ludność męzką zdrową i silną, piliczny nurt unosi, dopóki z zarobkiem kilku rubli, oryle ci dla dopełnienia wiosennych siewów nie zawrócą.

„W roku bieżącym przybór wody nierównie większy jak zwykle, sięgnął daléj; nie tylko cała wieś leżąca jakby na kępie, gdyż oddzielona od lądu łachą, ale i dalsza nieco okolica uległa zalewowi, co stało się przyczyną ważnego odkrycia rzucającego niejakie światło na zamierzchłą przeszłość téj miejscowości, dziś jakby zapadłéj, i stanowiącéj ustroń, do jakiéj wśród piasków, borów, wód i mokradli, trudno byłoby dotrzéć dla kogoś dobrze nie obznajmionego z okolicą.

„W niewielkiéj odległości od wsi, na lądzie po za łachą, jest wzgórek, na środku którego stoi krzyż. Żadna tradycya, żadna opowieść do miejsca tego nie jest przywiązaną. Wzgórek u mieszkańców nazywa się po prostu *górką*, ale w roku bieżącym woda, która górkę na krótki czas oblała, wymyła z piasczystego podnóża parę urn, mnóstwo niedopalonych kości i popiołów. Blizko mieszkając, pośpieszyłem na pierwszą wieść na miejsce, i przekonałem się o wielkiém bogactwie archeologicznem, wykrytego w ten sposób grobowiska. Jest ono na płaszczyźnie usypane, bardzo widocznie ręką ludzką, w kierunku ze wschodu na zachód, długości mniéj więcéj łokci 45, szerokości 30 w kształcie owalnym, wysokość może wynosić łokci 8—10. Dosyć jest grzebnąć parę razy w piasczystym boku tego wzgórza a zaraz się trafia na urny z popio-

łami, niedopalone kości i żelaziwa rdzą przejęte, które po staranném i nader ostrożném oddzieleniu od rdzy i jakby jedną bryłę z nią stanowiącéj massy ciężkiéj i mocno farbującéj, która pochodzi ze zgliszczów spalonego ciała ludzkiego, okazują się być szczątkami różnéj broni, mieczów, ostrzow, dzid, nożów, i innych nieoznaczonego użytku i kształtu przedmiotów. Znalazł się np. między niémi jakby środek z puklerza żelaznego, okrągły, wielkości talerza z dziurami wkoło od nitów, i z ostrym szpicem na środku, ale tak kruchy, że się wnet połamał; przytém trochę drobnych przedmiotów miedzianych czy bronzowych.

„Co do mnóstwa skorup z rozbitych urn, te jakkolwiek potłuczone, bardzo jednak ciekawy materyał stanowią do studyów nad pogańską przeszłością naszych praojców; przedstawiają bowiem wielką rozmaitość form, rysunku, wyrobu i materyału w urnach z jednego grobowiska pochodzących. Są wytwornego kształtu, z szlaczkami z gliny sinéj, są polewane, są bez ozdób, są i z gliny czerwono wypalonéj: te należą do prostszych. Niektóre, co zdaje mi się jest rzadkością, są z uszami. Wielkość ich tak bardzo rozmaita, począwszy od objętości małego kwartowego garnuszka, do urn, dochodzących pięcio albo i sześcio kwartowéj donicy.

„Powziąłem zamiar rozkopania tego grobowiska, po uzyskaniu przyzwolenia właściciela téj miejscowości."

— Z drukarni Jana Jaworskiego wyszło w okazałéj edycyi dzieło: „*Akta podkanclerskie Fr. Krasińskiego 1569 — 1573.*" Wydał Wł. hr. Krasiński, objaśnił przypiskami Wł. Chomętowski. Część trzecia (zawierająca dokumenta od dnia 1 maja 1571 roku do 22 maja 1573 roku,) w 4-ce dużéj str. 503, spisu dokumentów XXV, spisu abecadłowego str. 33.

— W piśmie p. t. *Kaliszanin* na r. b. są następne artykuły historyczne: Wiadomości o dawnym zamku Sieradzkim przez Józefa Szaniawskiego, Synody kaliskie rzymsko-katolickie w dawnéj prowincyi Gnieznieńskiéj, opisał Cezar Biernacki. Po skreśleniu ogónych wiadomości podaje opis sześciu synodów prowincyonalnych, które się odbyły w Kaliszu w latach 1357, 1378, 1406, 1420, 1457 i 1462 i siódmego dyecezyalnego z roku 1602, — lecz artykuł dotąd nie skończony.

— Wspominaliśmy już w naszém piśmie przed dwoma laty, że August Bielowski przygotowywa tom drugi, pomnikowego wydawnictwa: „*Monumenta poloniae Historica*" którego pierwszy w przepysznéj edycyi ukazał się w roku 1864. Druk wówczas powstrzymany został z powodu braku odpowiednich pomocników, gdy dwóch wydawca stracił w osobach zmarłych Wagilewicza i Ksawerego Godebskiego. Na szczęście znaleźli się ich zastępcy, i do obecnéj chwili już czterdzieści arkuszy wyszło z pod prassy, w takim samym formacie i tym samym drukiem jak pierwszy. Oprócz innych pomników, o których już mówiliśmy w 1869 roku, drukuje się obecnie *Kronika Jana z Czarnkowa*, archi-dyakona gnieźnieńskiego i podkanclerza Królestwa, obejmująca zdarzenia

zaszłe w Polsce od roku 1333 do 1384. Opracował ją krytycznie i ze znajomością rzeczy Jan Szlachtowski, który się już dawniéj przysłużył Pertzowi, równie krytycznem opracowaniem, kroniki Galla, umieszczoném w *Monumenta Germaniae historica* XI tomie. Wszystkie, jakie się dotąd wynalazły kodeksy kroniki Jana z Czarnkowa, zostały należycie rozpoznane i ocenione, a ułożony z nich tekst z wykazem wszystkich znaczniejszych odmian, da poznać po raz pierwszy w prawdziwém świetle tego wielce zajmującego pisarza czasów Kazimierza Wielkiego i jednego z najznakomitszych między swoimi współczesnymi. W tymże tomie mieści się *Kronika Dzierżawy* opracowana przez Wacława Alexandra Maciejowskiego.

— W roku 1865, w Krakowie, ogłosił znany archeolog Dr. Teofil Żebrawski, wydawnictwo swoje pod ogólnym nadpisem *Nasze zabytki*, zeszyt pierwszy (w 4-ce), w którym dał na czele rozprawę wysokiéj wartości: „*O pieczęciach dawnéj Polski i Litwy.*“ Daléj wiadomość „*o kościołach ubyłych w Krakowie*“ i parę drobniejszych z bibliografii szczegółów. — Obecnie wydał zeszyt drugi. Zawiera dalszy ciąg sfragistyki polskiéj od Władysława Jagiełły do Stefana Batorego; rzecz o kościołach krakowskich zburzonych, o Zamku *Goleszu*, i o wydaniach obcych, w których są ryciny z wizerunkami Polaków. Jeden drzeworyt i 15 rycin litograficznych tekst objaśniają.

— Wyszło kilka nowości literackich, które jak krakowskie organa donoszą, zrobiły sobie rozgłos, co rzeczą jest nader rzadką w Galicyi. Do takich należą dwa szkice powieściowe: *Pół prawdy* i *Wioska na księżycu*. Autor ukrył się pod pseudonymem Felicyjana Gryfa.—*Fantazye* przez (Dzieduszyckiego). — *Album fotograficzne*, przez Kalasantego Kruka. — Część pierwsza wyszła w roku zeszłym, część druga teraz. *Po parafianszczyznie*, Leszka Borkowskiego, w któréj chłostał galicyjsko-austryackie wyższe towarzystwo około roku 1848; jest to dzieło jakby dalszym jéj ciągiem, malujące postacie obecnych nam czasów, tejże saméj społeczności.

— Legenda o Św. Stanisławie, którą p. Lucyan Siemieński napisał na żądanie Liszta, w formie liryczno dramatycznéj, gdyż słynny kompozytor pragnie ułożyć na jéj osnowie oratorium, wyszła w bardzo pięknem wydaniuw drukarni *Czasu* wraz z przedmową autora, wyrażającą powód powstania téj legendy. Kompozytor mając sobie udzielony przekład téj legendy p. Siemieńskiego, i dziękując mu powiada, że go niezmiernie nęci ten przedmiot, i że się zabierze do kompozycyi muzycznéj z całym zapałem, „błagając świętego męczennika o natchnienie w tym skromnym hołdzie dla chwały jego i jego ukochanéj ojczyzny ziemskiéj.“ Przekładem téj legendy na język niemiecki zajmuje się poeta Cornelius z Monachium, znany z przekładu sonetów Mickiewicza.

— Po pamiętnym pożarze Krakowa, który wielkie zniszczenie przyniósł miastu, i dotknął zarówno domy jak kościoły, czego

ślady dotąd widoczne, spłonął wówczas i gmach rezydencyi biskupa krakowskiego. Jan Woronicz niemało przyłożył się do jego ozdoby; ściany pozostałe po pogorzeli, 1851 roku, pokryto dachem, ale restauracyi nieprzedsiębrano dla braku funduszów: obecnie krakowskie *Towarzystwo sztuk pięknych*, uzyskało od rządu zezwolenie zajęcia na swój użytek sześciu salonów w tym pałacu. Professor Łuszczkiewicz zajmuje się energicznie przyprowadzeniem części gmachu do właściwego stanu, i jest nadzieja że przed zimą r. b. Towarzystwo pomienione, lokal ten obejmie, utrzymując w nim stałą wystawę obrazów.

W témże mieście, przy zamierzoném wzmocnieniu zrębu chylącego się do upadku ołtarza Św. Stanisława w kościele Panny Maryi, odsłonięto nieznaną dotąd rzeźbę pierwotnéj *mensy* stojącego tam niegdyś ołtarza. Zabytek to XIV wieku, a przedstawia w otoczeniu ostrołukowych linii dwa razy powtórzony ten sam herb. Układ herbów tych, nieznanych u heraldyków naszych, przypomina wielce herby sali hetmańskiéj (sklep w kamienicy p. Kopycińskiéj) we zwornikach umieszczone.

— *Encyklopedyi krajowéj Galicyi* Sznejdera, wyszedł we Lwowie zeszyt piąty i zawiera koniec głoski A. Obejmuje obszerny artykuł o Aryanach, tudzież o dawnych arsenałach lwowskich. — Bernard Kalicki wydał: „*Opowiadania z dziejów Polski*“ część pierwszą, zawierającą epokę Piastowską. Są to odczyty miane w zeszłym roku w jedném ze Lwowskich gimnazyów. — Aureli Urbański wydał tom poezyi lirycznych.—Pisemko illustrowane *Mrówka*, które przez lat kilka wychodziło, zakończyło życie w ogólności, nie budząc zajęcia.—Otwarta *Wystawa obrazów* we Lwowie, zajmuje utworami wyższéj wartości. Jest siedemdziesiąt kilka malowideł olejnych, około trzydziestu rysunków, rycin i akwarel, pomiędzy któremi świetnieją trzy przepyszne *Kossaka* i dwie *Tepy*. Z wielkich obrazów historycznych jest tu trzy tylko, i to dobrze już znanych światu artystycznemu: *Wandę przed rzuceniem się w Wisłę*, Piotrowskiego. — *Wydobycie zwłok jéj z wody*, Al. Lessera, i *Czarniecki broniący Krakowa przeciw Szwedom*.— Z działu rodzajowego, na czele postawić należy prześliczny obraz Piotrowskiego *Mularza* podsłuchującego z za gzymsu rozmowy pary zakochanéj na poddaszu—daléj małych rozmiarów Walerego *Eljasza, Zagrodę Tatrzańską*. Do najznakomitszych dzieł Wystawy, należy Izydora Jabłońskiego, *Głowa Piusa IX*, w stroju jakiego papieże używają raz na rok w *nocy pasterskiéj*. Do odznaczających się obrazów należą: *Groby na Wawelu* Bryniarskiego, *Pillatego* z Monachium *scena wiejska*: Krajobrazy Dembowskiego, Grabowskiego, i *widok Lanckrony* Schouppego. Tepa dał dwie pięk ne akwarelle: portret syna Zygmunta Krasińskiego pośmiertny, i *południenek* włościan podolskich, przedmiot cudnie pochwycony z natury.

— Bank galicyjski dla handlu i przemysłu złożył na zgromadzeniu akcyonaryuszów, odbytém w Krakowie w d. 31 maja r. b

sprawozdanie swoje i bilans za czas od chwili rozpoczęcia działań Banku w d. 10 czerwca 1869 r., do 31 grudnia 1870 r.

Zrealizowany dotąd kapitał Banku wynosi 1.090,160 zł. w. a. Z tego część najznaczniejsza zebraną została przez wypuszczenie akcyi zakładowych po 200 złr. sztuka, na co dotąd wpłacono 40 procentów, czyli 80 złr. na sztukę; część zaś mniejszą stanowią akcye pierwszeństwa po 100 złr. sztuka, całkowicie wpłacone, mające zapewnione sobie pierwszeństwo w poborze piątego procentu, umarzalne w miarę odnoszonych przez Bank zysków, biorące natomiast szczuplejszy od akcyi zakładowych udział w dywidendzie.

Po półtorarocznem istnieniu, Bank podniósł ogół swego stanu czynnego i biernego do 2.674,363 złr. 61 c. t. j. ma w obrocie summę półtrzecia raza większą niż jego kapitał zakładowy. Stosunek ten zakreślający dość jeszcze szczupłe rozmiary rozwinięcia się czynności Banku, wskazuje z jakiemi trudnościami Bank ma do walczenia w rozbudzeniu uśpionego w miejscu jego działalności życia przemysłowego i handlowego.

Wytwarzanie akcyjnych przedsiębierstw przemysłowych i udział w nich, byłoby najdogodniejszą dla Banku formą uczestniczenia w rozwoju galicyjskiego przemysłu; ale usiłowania Banku w tym kierunku nie przyniosły dotąd owocu. W braku przedsiębierstw przemysłowych na akcye, Bank wziął udział w dwóch przedsiębierstwach prywatnych, nie tając przed sobą, że w ten sposób unieruchomia na pewien czas część swego kapitału. Ten sposób użycia kapitału bankowego nie powinien przejść pewnych ściśle zakreślonych granic; czują to dobrze dyrektorowie Banku i Rada jego nadzorcza. Przezorność ich usuwa powód do obawy w tym względzie, ale zarazem nakazuje szukać innych sposobów umieszczenia kapitału bankowego.

Nastręcza się tu przedewszystkiem skup wexli, który lubo wciągu półtora roku istnienia Banku, doszedł cyfry stosunkowo dość znacznéj około 6½ mill. złr., sam jednak nie daje dostatecznego zatrudnienia kapitałowi bankowemu. Większe bo prawie 40 mill. obroty były w rachunkach bieżących. Trudnił się jeszcze Bank handlem zbożowym przeważnie w sposób komissowy, obrót około 30,000 korcy, i otworzył trzy filje czyli pomocnicze kantory, w Tarnowie, Jarosławiu i Stanisławowie, z których pierwszy znacznie się rozwinął, dwa drugie jako położone za obrębem izby handlowéj siedliska Banku, natrafiły na trudności w przepisach Banku austryackiego i z tego względu zwinięte lub raczéj zastąpione przez ajentury być mają.

Wśród dość niepomyślnych z powodu postronnéj wojny okoliczności, Bank był jednak w stanie dać od akcyi zakładowych za rok 1870 8¼%. Przy większym rozwoju a równéj jak dotąd ostrożności w działaniach, Bank galicyjski dla handlu i przemysłu odda, mamy nadzieję rzetelne usługi przemysłowi i handlowi swéj okolicy i zarazem zapewni akcyonaryuszom swoim zysk odpowiedni;

— Znakomity rossyjski pisarz *Pipin*, ogłosił w zeszycie majowym *Wiest. Ewr.* charakterystykę *wyznań* literackich od 1820 do 1850 roku, która jak wszystkie prace tego autora, odznacza się znajomością przedmiotu i wdziękiem pióra.

— W stolicy cesarstwa Rossyjskiego, teatrów jest dwa narodowych, a pięć cudzoziemskich.

Podług ustawy sztuki dzielą się na pięć rzędów: do 1 należą sztuki oryginalne wierszem w 4 i 5 aktach, do 2 naprzód sztuki oryginalne wierszem w 3 aktach i sztuki oryginalne prozą w 4 i 5 aktach; do 3 sztuki oryginalne wierszem w 2 i 1 akcie, oryginalne prozą trzy aktowe, i wierszowane przekłady trzy aktowych sztuk, a prozą pięcio i cztero-aktowe; do 4 oryginalne sztuki prozą dwa lub jedno aktowe, tłumaczenia wierszem dwa lub jedno-aktowych sztuk, a prozą trzy lub dwu aktowych; do 5 przekłady jedno-aktowych napisanych prozą sztuk i wodewillów.

Prawo własności literackiéj służy nie tylko autorowi ale i sukcesorom do lat 50 po jego śmierci, pisarzowi zaś dramatycznemu służy tylko do śmierci.

Teatr płaci za utwór albo jednorazowo pewną summę (za pierwszorzędny 4,000 rs. asyg.; za drugorzędny 2,500; trzeciorzędny 2,000; i nakoniec 1,000 i 500 rs. asygnacyami), albo też daje tak nazwane *po-teatralne*:

za sztukę pierwszego rzędu $^1/_{10}$
„ 2 „ $^1/_{15}$
„ 3 „ $^1/_{20}$
„ 4 „ $^1/_{39}$ dwóch trzecich dochodu.

Sztuki 5éj kategoryi nie mogą się ubiegać o *po-teatralne*. Te dwie trzecie dochodu całego w teatrze Alexandryjskim przynoszą 690 r., w Maryjskim 800. Dzieląc więc tę summę podług powyższego rozkładu, przypadnie:

Na scenie Alexandryjskiéj		Na scenie Maryjskiéj
dla autora sztuki 1 rzędu rs.	69	„ 80
„ „ 2 „	46	„ 53
„ „ 3 „	34	„ 40
„ „ 4 „	58	„ 26

Wynagrodzenie takie ma się rozumiéć otrzymuje autor tylko wtedy, kiedy teatr pełny; im puściéj w teatrze, tém i w jego kieszeni.

Co do oper postanowiono jeszcze prościéj: podzielono je na wielkie, średnie i małe.

— Czesi krzątają się żywo co do przekładów utworów literatury naszéj. Niedawno w Pradze Czeskiéj, wyszło tłumaczenie *Zamku Kaniowskiego* Seweryna Goszczyńskiego przez O. Berkę; teraz w czasopiśmie literackiém „Kvety,“ wydrukowano przekład dwóch poematów Alexandra Kraushaara: *Arion z Koryntu i Tytan.*

— Na Szlązku pruskim w r. b. zacznie wychodzić pismo rolnicze p. n. „*Poradnik gospodarczy*,“ w języku polskim i niemieckim po połowie na jednym arkuszu. Za konieczny warunek położyło

to redakcyi Towarzystwo Rolnicze miejscowe, dające temu pismu poparcie pieniężne.

— W jednym z ostatnich numerów Tygodnika illustrowanego czeskiego „*Swiatozor*," umieszczonym został portret Juliana Bartoszewicza, wraz z życiorysem jego.

— W roczniku Towarzystwa Szlązkiego oświaty krajowéj na rok 1870 (Schlesische Gesellschaft für vaterländische Kultur) zamieszczoną została korrespondencya z lat 1800 do 1803, trzech prusaków w kraju tutejszym podówczas urzędujących: pp. Zerboni, Held i Nieter, z szambelanem Henning z Ploën. Zawiera szczegóły rzucające światło na ówczesną administracyę pruską.

— W czasopiśmie etnologicznem (Zeitschrift für Ethnologie 1 zeszyt 1871) pomieszczony jest wykaz bibliograficzny dzieł i rozpraw odnoszących się do teoryi Darwina. Najpilniéj jest zestawioną literatura niemiecka, która przyswoiła sobie w kilku przekładach pisma angielskiego naturalisty. Samodzielnych prac roztrząsających i i rozwijających teoryę Darwina wyszło po niemiecku 44. Prócz tego w 40 blisko dziełach pomieszczone są mniéj lub więcéj obszerne rozprawy téjże teoryi. Szczegółowe wzmianki o niéj były po kilkakroć umieszczone w 40 czasopismach. W téjże literaturze dotychczas ukazało się dzieł i rozpraw o pochodzeniu człowieka, z górą 30. Wykaz ten obejmuje także literaturę angielską, francuzką, hollenderską i włoską. Najniekorzystniéj przedstawiłoby się polskie piśmiennictwo, które się ograniczyło na kilku pobieżnych wmiankach. Obszerniejsze nieco sprawozdania dawała Gazeta Polska, Biblioteka Warszawska w artykule Urbańskiego, i Tygodnik Illustrowany w dwóch ostatnich numerach za miesiąc kwiecień r. b.

— W Nancy w szpitalu wojskowym zakończył życie w młodym wieku, bo w 34 roku życia Dr. Anastazy Mizerski lekarz poznański. Doktoryzował się w Berlinie 1861 r.; w r. 1866 odbył kampanię przeciw Austryi; w r. 1870, powołany do armii jako lekarz, pełnił te obowiązki w Alzacyi, Lotaryngii i Szampanii, następnie pod Paryżem i w Orleanie. Trudy obozowego życia, pozbawiły go zdrowia, a cierpienia śmierć skróciła. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Kilka szacownych prac w swoim zawodzie wydał tak oryginalnych jak tłumaczonych, i pozostawił w rękopiśmie.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.
Wydawca *Józef Berger.*

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

IV.

Niefortunne poselstwo.

Kilka dni trwał ten szczególny stosunek między Stefanem a ostatnim z Fichtenauów.

Stefan miał sposobność poznać większą część miasta, którego jeszcze nie znał. Wejrzał także głębiéj w niektóre dziwactwa swego towarzysza, które go mocno intrygowały.

Hrabia Fichtenau był rzeczywiście w bliskich stosunkach ze znakomitemi domami stolicy. Podczas kiedy tenże z fantazyą gentelmana na karyklu siedział, biegał Stefan z wizytową kartą po pierwszych piętrach to do książąt, to do hrabiów lub baronów.

Dowcipnie jednak urządził się Fichtenau co do rewizyt. W hotelu pod „węgierską koroną“ miał umowę z odźwiernym, który każdemu oświadczał, że hrabia na piérwszém piętrze pod numerem piątym mieszka, ale że *go w domu niema!*

Fichtenau w przejazdkach swoich pysznym ekwipażem zatrzymywał się zazwyczaj codziennie przed hotelem i odbierał od odźwiernego karty wizytowe i listy.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

Tym sposobem utrzymywał hr. Fichtenau świetność rodu swego w należytym porządku. Był on święcie przekonany, że żaden przechodzień na ulicy, żaden chłopiec szewski nie byłby mu darował tego śmiertelnego grzechu, gdyby go ujrzano na ulicy idącego piechotą jak każdy inny śmiertelnik chodzi.

Po kilku dniach, gdy krewny cesarzów zajęty był na poddaszu czyszczeniem chomontów, poruszył tę sprawę Stefan, w braku innego lepszego zajęcia.

— Chciéj mi pan powiedzieć— ozwał się do niego, — jaką przyjemność znajdujesz pan w podobném życiu?... Gdyby takie życie było środkiem do dopięcia jakichś ukrytych zamiarów, tobym się nie dziwił, ale odmawiać sobie wszystkiego, nie jeść i nie spać wygodnie, aby tylko godzinę na dzień pomiędzy gapiącą się publicznością, która może pana i nie zna, powozem przejeżdżać: tego nie pojmuję.

Krewny cesarzów chuchnął kilka razy na posrebrzane blachy chomontów, aby potém przez tarcie tém większy połysk z nich wydobyć i odpowiedział:

— Już od pierwszego dnia, kiedyś tak prędko bez żadnego namysłu wlazł w liberyą, poznałem, że mego życia i moich zasad wcale nie zrozumiesz, i zaraz powiedziałem ci, że się obawiam o twoją przyszłość. Z poetą, twoim poprzednikiem, miałem wiele kłopotów nim go okiełznałem. Na widok liberyi stawał dęba jak folblut i bił kopytami; powoli dopiero przyzwyczajał się do téj myśli, że jest lokajem!.... Z malarzem także mi nie lepiéj poszło. Forkał i pluł jak kot gdy nieprzyjaciela obaczy, a gdy już raz wziął tę liberyę to tak smutno wyglądał, aż mi samemu żal się zrobiło. Bankier nawet, co zazwyczaj nie bardzo przebiera, zapierał się rękami i nogami, i z trudnością przyszło mi przyzwyczaić go, aby kapelusza liberyjnego na bakier nie zakładał. A ty mój przyjacielu tak gładko wlazłeś w ten długi surdut, jakby był dla ciebie zrobiony!...

Jakkolwiek Stefuś przyzwyczajony był do dziwacznych słów swego oryginała, jednak te słowa które w téj chwili mówił do niego, sprawiły na nim głębsze wrażenie.

W innych okolicznościach byłby może poturbował krewnego Hohenstauffów za taką mowę, ale w téj chwili, w któréj właśnie zbliżał się obiadek, chociaż nader skromny, ale

zawsze dla głodnego jego żołądka bardzo upragniony, wszelka opozycya byłaby nie na miejscu. Wytłumaczył sobie, że odgrywa rolę komiczną, że zresztą dziwak taki, jakim był Fichtenau nie zasłużył wcale na to, aby słowa jego brać na szalę. Połknął więc pigułkę i pomagał daléj swemu dobrodziejowi smarować szory jakąś czarną, lśniącą farbą.

— Ze swego małego stanowiska patrząc na świat, — mówił daléj krewny cesarzów, wycierając całą siłą rzemienie, — tobie się zdaje, że jeśli na ciebie nikt nie zważa, to również i na mnie ludzie się nie patrzą. Ręczę ci, gdybym piechotą raz tylko przez „Kärnthnerring“ przeszedł, to wszyscy chłopcy szewscy biegliby za mną wołając: Oto Max Otto hr. Fichtenau idzie piechotą!....

Stefan nie mógł powstrzymać uśmiechu na te słowa krewnego Hohenstauffów.

— Nie wierzysz— mówił tenże daléj, — bo jak widać nie urodziłeś się tém, czém ja jestem. Są to rzeczy dla was niezrozumiałe. Doktryny wasze zaślepiają was, że nic widzieć nie możecie. Jeśli do tego już przyszło, że burmistrz prowincyonalnego miasta jest ministrem, a obok niego zasiada adwokat, to już widać jak strasznie musi być ciemno na świecie. Ale ciemność ta przejdzie, a wtedy będziesz się czuł szczęśliwym, żeś był lokajem Ottona, Maxa hrabiego Fichtenaua!...

Kiedy potomek Hohenstauffów te słowa wymawiał, słychać było za drzwiami jakieś nienormalne trzeszczenie schodów, ktoś nawet widocznie głową o dach uderzył i wcale nie wiedeńskim akcentem potężnie naklął nie tylko domowi, ale nawet i tym co w nim mieszkają.

Fichtenau przestał wycierać rzemienie i podniósł głowę do góry. W téj chwili otworzyły się drzwi izdebki a jakiś nieznajomy jegomość wcale nie naturalnym sposobem wpadł na sam środek.

— Hrabia masz mieszkanie przeciwne wszelkim przepisom policyjnym!— ozwał się nieznajomy i schylił się po olbrzymi swój kapelusz, który przed nim jeszcze wpadł do izdebki i pod okno się zatoczył.

Krewny Hohenstauffów zmarszczył brwi i srogo spojrzał na nieznajomego.

Był to człowiek niskiego wzrostu, dobréj tuszy i twarz miał okrągłą, gładko ogoloną. Na atłasowéj kamizelce wisiał gruby, złoty łańcuch z funtem rozmaitych dewizek. W szerokich ustach tkwiło grube, zupełnie rozmokłe hawańskie cygaro; na nogach miał buty ze skóry lakierowanéj.

— Mam panu najprzód honor powiedzieć— odpowiedział krewny cesarzów, — że tutaj jest pomieszkanie mego służącego, którego właśnie uczyłem szory czyścić, a ja mieszkam pod „węgierską koroną“ na pierwszém piętrze, jak to panu odźwierny hotelu powiedzieć może.

Nieznajomy złożył swoje brzydkie, szerokie usta do uśmiechu, powstrzymał się jednak i rzekł:

— Niech się pan hrabia o to nie gniewa! Byłem kilka razy w hotelu, ale że osobiście chciałem się rozmówić, więc ośmieliłem się szukać hrabiego w mieszkaniu służącego wiedząc o tém, że podlegając szlachetnéj i prawdziwie arystokratycznéj namiętności dla koni, najmiléj tutaj przybywasz!

Krewny Hohenstauffów rozjaśnił zasępione czoło, oddał szory Stefanowi, a sam usiadł na stołku.

— Któż pan jesteś—zapytał,— i jaki interes przyprowadza cię do mieszkania mego służącego.

— Jeśli to być może, prosiłbym o słowo na osobności w interesie pilnym,— odpowiedział nieznajomy!

— Służący jest zazwyczaj niczém u takich ludzi, z jakim obecnie rozmawiasz! Mów pan tak jakbyśmy byli sami! — zauważył Fichtenau i dał znak Stefanowi aby się do drugiéj izdebki oddalił.

Nieznajomy kontentował się tém ustępstwem, i rzekł po chwili do krewnego Hohenstauffów:

— Jestem plenipotentem znakomitego handlowego domu z Wrocławia, którego firma znaną jest całéj Europie.

— Jakże się ten dom nazywa? — zapytał Fichtenau podnosząc brwi do góry.

— *Pipkes et Trutkes!*— odpowiedział plenipotent i szeroko rozkraczył nogi.

— *Pipkes et Trutkes!*.... tam do kata!.... Rzeczywiście znakomite nazwiska!... Osobliwie pierwszy z nich przypomina coś cesarza Pipina!... I czegóż ta znakomita firma żąda odemnie?

— Ta znakomita firma chce rozszerzyć zakres swojéj działalności na exploatacyę pewnych produktów, które jesz-

cze nie dość należycie wyzyskane są w państwie austryackiém!...

— Jakaż jest dotychczasowa działalność téj szacownéj firmy, tych bliźniaków krewnych?

— Dotąd— odpowiedział z dowcipnym uśmiechem plenipotent— działalność nasza odbywała się wyłącznie w sferze brudów i ciemności!

Krewny Hohenstauffów z zadziwieniem spojrzał na mówiącego. Takiéj szczerości nie spodziewał się od plenipotenta „wielkiego domu“ według znaczenia dzisiejszego. I przyszło mu nagle do głowy, że stojący przed nim człowiek jest kandydatem do jego liberyi, gdyż lada dzień zastanie go na bezpłatnym noclegu w parku miejskim... Uśmiechnął się do téj trafnéj myśli swojéj i już chciał coś odpowiedzieć, gdy plenipotent go uprzedził i zadowolony z dowcipnego zwrotu swojéj mowy, dodał:

— To jest, firma trudniła się na wielką skalę fabrykacyą mydła i świec jako antydotów na wszelkie brudy i możliwe ciemności tego świata!

— Nieoceniona firma!— mruknął krewny Hohenstauffów,— ale po cóż ta firma do mnie przychodzi? Niechby udała się ze swoimi antydotami w sfery ministeryalne... ja dzięki Bogu nic nie mam do prania, a jeszcze mi dosyć świta w mojéj głowie!

Plenipotent uważał za rzecz stosowną rozśmiać się na całe szerokie gardło z dowcipu gospodarza. Za to chciał siebie zaraz wynagrodzić i usiadł na krawędzi krzesła. Krewny cesarzów nie zapraszał go pierwéj do siedzenia, a teraz nic nie miał przeciw temu, jeśli on sam wziął sobie to prawo.

— Firma nasza—mówił daléj plenipotent,—która wzięła sobie za cel tak zaszczytne zadanie jakiém jest pranie brudów i rozpraszanie ciemności, nie lękała się dotąd żadnéj konkurencyi ludzkiéj, ale nie liczyła nigdy na konkurencyę wszechwładnéj natury, w obec któréj czuje się upokorzoną!

— Znakomita firma zaczyna mnie intrygować!—zawołał śmiejąc się potomek cesarski.

— Dopókąd materyałów dostarczały nam woły i barany, dotąd byliśmy górą w całéj Europie; ale jak natura otworzyła wewnętrzne żyły swoje i bezpośrednio zaczęła oddawać haracz swój, to firma uznała za stosowne wejść z naturą w spółkę, z którą walka byłaby daremna!

— W imieniu znakomitéj firmy mów do mnie jaśniéj, szanowny panie!

— Mówię tutaj o nafcie czyli oleju skalnym, nazwanym także kamfiną.

— Aha! Więc ta konkurencya grozi waszym świecom Apollina Belwederskiego!

— Dotąd ona nie grozi, ale hasłem rozsądnéj polityki jest starać się o sojusz tego, który na przyszłość może być groźnym wrogiem naszym!

— Czy odemnie żąda firma tego sojuszu?

— Firma postanowiła zawiązać wielkie towarzystwo akcyjne, którego celem będzie exploatacya nafty na wielką skalę w górach styryjskich!

— W górach styryjskich?.. Dotąd o ile mi wiadomo pokazuje się ona tylko w Galicyi!

— Mniejsza o to. Przedłożymy akcyonaryuszom sprawozdanie pewnego amerykańskiego inżyniera, który w górach styryjskich znalazł takie same pokłady ziemi jakie są w Galicyi.

— Czegóż chcecie odemnie? Nie jestem ani inżynierem, ani geologiem!

— Chcielibyśmy abyś hrabia znane swoje powszechnie nazwisko dał za firmę tego przedsiębierstwa!

— Czyś pan oszalał? Ja mam być na czele exploatacyi nafty?

— Hrabia o niczém wiedzieć nie będziesz. Otrzymasz hrabia znaczną pensyę i część akcyj zakładowych.

— A po cóż wam próżniaka w takiém przedsiębierstwie? Ja nic téj rzeczy nie rozumiem!

— Nazwisko hrabiego jest już dla nas kapitałem!

— Wytłumacz mi pan to jaśniéj!

— Publika jest głupią. Ona nie wierzy ludziom pracowitym, ale wierzy w pewny dźwięk starożytnych nazwisk, które są niejako dla niéj gwarancyą!

Krewny Hohenstauffów uśmiechnął się złośliwie: twarz jego rozjaśniła się wewnętrznym tryumfem.

— A dlaczegóż wasi dzisiejsi ludzie — ozwał się po chwili,— owi pracowici „Pipkes et Trutkes“ nie dają publice téj gwarancyi, jakiéj od naszych nazwisk się spodziewacie?

— Jeśli przedsiębierstwo obliczone jest na większą skalę, jeżeli chce wciągnąć w swoją działalność ciemne mas-

sy, to musi czémś działać na te massy!... A przecież daleko więcéj gwarancyi dla tych mass mają nazwiska, o których one od kilku wieków słyszą, niżeli te, których właściciele dopiéro w pierwszéj generacyi dorobili się pracą i oszczędnością!

Potomek Hohenstauffów miał w téj chwili jakieś nie najlepsze zamiary względem plenipotenta tak zacnéj firmy, ale na razie powstrzymał je na czas niejaki. Przybrał nader spokojny wyraz twarzy, uśmiechnął się nawet łagodnie i rzekł do plenipotenta:

— Firma wasza czyni mi zaszczyt nie mały, jeśli uważa za stosowne dobijać się o moje nazwisko.

— Jest to interes obopólny! Na takim gruncie budują się wszystkie dzieła wieku!

— Jak pan pojmujesz ten wyraz, ‚obopólny?'

— To jest interes spółki do exploatowania nafty i interes pana jako prezesa!

— A czy niema w tém jeszcze trzeciéj strony?

— Hrabia zapewne masz na myśli odbiorców i kupców naszych akcyj?... To już rzecz nie nasza. Naszą rzeczą jest aby spółka wykazała pewnemi środkami swoją żywotność!

— A jakież byłyby te środki?

— Kurs papierów spółki na giełdzie! Do tego prowadzą znowu inne poboczne środki, które spółka bierze na siebie. Są to ludzie obeznani z całą maszyną takich operacyj!

Krewny Hohenstauffów myślał czas niejaki. Z pod oka patrzał od czasu do czasu na szeroką twarz plenipotenta, jakby sobie coś na wąsy motał, po chwili z wielkim spokojem ozwał się:

— Darujesz mi pan, ale ja w świetne interesa téj spółki wcale nie wierzę. Najprzód w styryjskich górach jak świat światem nikt o nafcie nie słyszał!

— Spółka postarała się o raporta znakomitych geologów amerykańskich, które tak są sformułowane, że każdy w nie uwierzyć musi! Zresztą niektóre próby okazały ślady...

— Wszystko to może być dobrém dla ściągnienia znacznego kapitału, ale czy ten kapitał da przyobiecany procent? Czy exploatacya okaże się możliwą i zyskowną?...

Plenipotent roześmiał się z widocznem politowaniem. Posunął się daléj na krzesło i rzekł:

— Darujesz hrabia, że tutaj ośmielę się istotę takiego przedsiębiorstwa nieco wyjaśnić. Każde przedsiębiorstwo przemysłowe zależne jest od wielu okoliczności, na które ani spółka ani nikt wpływać nie może. Najpewniejszą jedynie korzyść daje założycielom. Każdy bowiem z założycieli téj spółki otrzymuje na wstępie pewną ilość akcyi po bardzo niskiéj cenie, álbo za pewne usługi i poparcie przedsiębiorstwa. Gdy w pierwszéj chwili przedsiębiorstwo znaczny rozgłos otrzyma, i akcye w górę pójdą, posiadający je pozbywa się ich za gotówkę i pieniądze chowa do kieszeni! Taki jest proceder mniéj więcéj każdego przedsiębiorstwa.

— Ale jakimże sposobem mogą pójść akcye do góry, jeśli przedsiębiorstwo niema pewnych nadziei?

— Na to są różne środeczki,— odparł z dowcipnym uśmiechem plenipotent, — kupuje się pierwszy lepszy wpływowy dziennik, który trąbi na cały świat o kopalniach złota w nowéj Kalifornii!... Prócz tego są pewne operacye giełdowe, kontrminy i sztuczne haussy, których tu bliżéj wyjaśniać nie chcę. Dosyć że właściwie tak zwani założyciele zawsze dobrze wychodzą, a do takich tylko za użyczenie swego nazwiska i hrabia należeć będziesz!.. Interes czysty jak bursztyn!

Twarz krewnego Hohenstauffów przedłużyła się, brwi podniosły do góry... i zdaje się że groziła jéj jakaś rewolucya. Uśmierzył to jednak Fichtenau i spokojnie zapytał:

— A jeśli samo przedsiębiorstwo stratę w przyszłości przyniesie, kogóż trafia ta strata?

— Strata—mówił powoli plenipotent,—trafia tak zwanych konsumentów, wydanych przez spółkę akcyj. Jest to zazwyczaj strata nieznacznych, pojedyńczych sumek...

— Które są całym majątkiem biednych— zawołał głośniéj krewny Hohenstauffów.

Plenipotent spostrzegł, że się zadaleko posunął i myślał nad odwrotem.

— Hrabia mnie nie zrozumiałeś! — odrzekł z pewną indygnacyą.

— Aż nadto wyspowiadałeś się mości panie — przerwał mu oryginał podniesionym głosem, — nadto odsłoniłeś zbrodnicze wasze zamiary, któremi dzisiejsze społeczeństwo rozbijacie!... Piszecie tyrady na feodalne czasy, na zamki dawnych Raubgrafów, a czém wy dziś jesteście, wy, sławne fir-

my *Pipkes i Trutkes?*... Dawniejszy Raubgraf występował śmiało ze swymi pachołkami, a wy pod maską cywilizacyi, exploatacyi i przemysłu wysyłacie bandy rozbójnicze w formie waszych akcyj, aby łupić biédny gmin społeczeństwa i wydzierać mu ostatnie mienie jego!... Kapitał w waszych rękach, to broń wasza zbrodnicza, to wasze sokoły, które wy puszczacie w świat, aby wam zwierzynę łowiły!...

— Panie hrabio! — przerwał mu z indygnacyą plenipotent.

— Tysiące biédnych ofiar padają pod waszym mieczem, których durzycie zyskiem, a tymczasem okradacie ich jak prości złodzieje i rabusie!... Czyś nie słyszał o bankructwach waszych „wielkich domów“ na które płaczą tysiące pobitych ofiar, które tym domom zawierzyły!... Jeżeli który z „naszych domów“ upada, to płaczą także tysiące, ale płaczą dla tego, że ten dom ich żywił i nimi się opiekował!... Nasze „domy“ tą walące się zamki w gruzach! Gdy upadną nie zabiją nikogo prócz myszy i szczurów. Wasze „domy“ to zgrabnie wyklejone kamienice czteropiętrowe, które waląc się zabijają tysiące lokatorów!...

— Przecież przyznasz panie hrabio — odparł z ironicznym uśmiechem plenipotent, — że nasze domy przemysłowe tylu książętom, hrabiom i baronom państwa dają chléb!

— Niestety, mówisz prawdę — smutno rzekł Fichtenau, — to upadek rodu, to choroba wieku, która i najtwardszéj stali się czepia!... To jednak nie przeszkadza, abym was wszystkich w czambuł nie nazwał po prostu rozbójnikami!

— Jeżeli hrabia w ten sposób się zapominasz — rzekł wstając z krzesła plenipotent, — to nie pozostaje nic innego, jak z wielkim żalem opuścić progi, w które wstąpiłem z jak najlepszemi zamiarami! Bóg świadkiem, że interes był czysty i pewny! Spółka nasza ma wyobrażać kapitał pięciu milionów złotych reńskich!...

Krewny Hohenstauffów stał przed plenipotentem i cierpliwie czekał końca jego mowy. Wymówiwszy ostatnie słowa, które nader przyjemną cyfrę wyrażały, spojrzał plenipotent z pod oka na hrabiego, jakie wrażenie one na nim sprawią.

Krewny Hohenstauffów miał twarz surową, lecz nadzwyczaj spokojną. Bez oznaki najmniejszéj namiętności,

z posągową spokojnością wyciągnął rękę nad karkiem plenipotenta, ujął go żylastemi palcami za kołnierz i rzekł ze spokojną powagą:

— Imieniem obrażonéj ludzkości mam sobie za obowiązek wymierzyć nad tobą karę według wyszydzonego przez was kodexu średnich wieków, to jest „prawa pięści“ i jednym onego paragrafem wypchnąć cię z progów moich!

Plenipotent protestował przeciw dowolności wyroku, mówił coś o policyi i sędziach, ale tymczasem dosyć szybko zbiegł po schodach i zniknął bez wieści.

Stefan wyszedł teraz z drugiéj izdebki, a na twarzy jego malowało się jakieś wzruszenie.

— A co?— rzekł do niego ostatni z krewnych Hohenstauffow— czy słyszałeś wszystko? Czy słyszałeś jak mężnie walczyłem przeciw złemu wieku i jego kusicielowi?

— Odwaga była prawdziwie rycerska — odpowiedział Stefan,— tylko argumenta...

— Czy myślisz o tym ostatnim argumencie?— zapytał rycerz i pokazał kułakiem ku progu.

— Ten argument był dla mnie obojętny... myślałem tylko o tém, że hrabia niewłaściwie potępiłeś wszystkie spółki przemysłowe, z których bardzo wiele jest korzystnych dla społeczeństwa, jak również niewłaściwie wykląłeś wszystkich książąt i hrabiów, którzy w nich udział biorą!

— Przyjacielu, ty walki nie rozumiesz. Jeżeli walka prowadzi cię przeciw idei wieku, to już tam wyjątków być nie może! A ja taką walkę prowadzę i przyznam ci się, że z dzisiejszéj kontent jestem!

— Tak, ale jest to zawsze system herodowy!— z uśmiechem zauważył Stefan.

— Być może, ale bądź pewny że i ja tym systemem nie zabiję Chrystusa!

V

Na tropie.

Od téj sceny stał się Stefan mocno zamyślonym. Wesołe rozmowy towarzysza wcale go nie bawiły. Biegała mu ustawicznie ta dziwna rozmowa z plenipotentem firmy wro-

cławskiéj po głowie i ani na chwilę nie mógł się od niéj oderwać.

Szczęściem dla niego krewny Hohenstauffów dostał jeszcze tego samego wieczoru zwykłego ataku podagry, która go najprzód do futrzanego buta, a w konsekwencyi do domu przykuła.

Stefan miał teraz kilka dni wolnych i nie potrzebował odgrywać roli lokaja, która mu się już sprzykrzyła i nic już nowego mu nie obiecywała. Żywot bowiem krewnego Hohenstauffa był bardzo jednostajny. Jedne i te same przejażdki, wizyty, które kończyły się oddaniem karty i nic więcéj. Do tego zdawało się Stefanowi, że niektórzy ludzie już na niego patrzą i że dalsza rola lokajska mogłaby mu na seryo zaszkodzić.

Rad więc był mimo wszelkiego afektu dla swego dobroczyńcy, że tenże z futrzanego buta nie mógł nogi wyjąć, a tém samém uwalniał go od liberyi.

Wprawdzie musiał teraz całą służbę przy Barbarossie i Henryku Ptaszniku objąć, ale ta służba nie bardzo mu dokuczała, bo nikt go w takim razie nie widział.

Mając więc więcéj czasu wolnego, wymykał się często do miasta i tam wałęsał się po różnych ulicach, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Rozpatrywał się tylko po ludziach, patrzał w okna magazynów i pod kapelusze fertycznych niemek, które do niego uśmiechały się z przymileniem.

Rozmowa plenipotenta z oryginałem nie dała mu pokoju, ale przed nim stawała zawsze najbliższa myśl egzystencyi, któréj dotąd nie umiał w żaden sposób rozwiązać.

U starego dziwaka miał wprawdzie tapczan i garnuszek jakiéj takiéj strawy, ale za to groziła mu tam nieustannie wisząca na kołku liberya. Mógł ją jak mniemał, kilka dni dla kaprysu i ironii losu nosić, ale dalsza z nią zażyłość zagrażała mu niechybnie.

Mógł także w jakim handlu znaleźć dla siebie przyzwoitsze utrzymanie, ale droga taka nie była wcale w jego planie. Raz wszedłszy na tę drogę mógłby już zagrodzić sobie całą swoją niegdyś tak świetnie wymarzoną przyszłość. Najwięcéj mógłby zostać tak zwanym subjektem, w najlepszym razie ożenić się z córką jakiego ubogiego rzemieślnika i za pomo-

cą oszczędzonego fundusiku mógł sobie na bocznéj ulicy otworzyć mały magazynik.

Taki żywot zapewniłby mu wprawdzie rano kawę, na obiad kawałek mięsa a na wieczerzę kufelek piwa i krómkę chleba z masłem; Stefan jednak o tak spokojném i regularném spożywaniu kawy, piwa i chleba wcale nie myślał. Zamiast dążyć długą pracą do téj regularności, wolał pocierpiéć męczarni głodu i zimna, wolał liberyą miéć na sobie przez czas niejakiś, aby kiedyś przy zdarzonéj okazyi coś grubszego upolować.

Najtrudniéj jednak było w téj chwili o amunicyę. W kieszeni nie było ani grosza. Stary dziwak był goły jak swięty turecki. Nikt go w mieście nie znał!....

Sytuacya ta była smutną, nader smutną. Nerwy w głowie pękały mu aby coś wymyśléć, ale bez znajomości, bez ludzi trudno o ich exploatacyą.

Po kilku dniach takich przechadzek i medytacyj przyszedł Stefan wcześniéj do domu i zastał krewnego Hohenstauffów leżącego na tapczanie i palącego fajkę porcelanową. Był to znak, że podagra trochę zwolniała; malowało się to nawet na wypogodzonéj twarzy jego. Mimo to trzymał jeszcze jednę nogę w olbrzymim futrzanym bucie z daleka od siebie na stołku i z wielką troskliwością co chwila patrzył na nią, jak matka na chore dziecię swoje, które na chwilę zasnęło.

Stefan usiadł na stołku po drugiéj stronie i smutno patrzał przed siebie zamyślony.

— Nad czém tak myślisz przyjacielu?—zapytał potomek Hehenstauffów wydmuchując dym z fajki.

— Myślę nad ładnémi kobiétami, które po Grabenie chodzą!—odpowiedział Stefan z uśmiechem.

— Co ładne, to ładne!. Nieraz aż oko zaboli, gdy się uśmiechnie!.

— Dziwi mię to, że hrabia śród tylu ładnych kobiét zostałeś bezżennym!

Krewny Hohenstauffów musnął ręką po twarzy od czoła aż do brody, uśmiechnął się z wewnętrznem zadowoleniem i spojrzał na nogę z wielką troskliwością.

— Widzisz mój przyjacielu—odpowiedział z uśmiechem —nad tém myślałem już wiele, a nawet przed chwilą rozbierałem w głowie różne myśli, tyczące się tegoż przedmiotu!

W téj chwili stęknął nieznacznie, bo nieszczęsna podagra ozwała się w wielkim palcu.

— Dotąd o téj ważnéj kwestyi życia nic mi hrabia nie powiedziałeś!—zagadnął Stefan.

— Jakto?. To nie widziałeś jak na rogu *Kärntherstrasse* patrzała na mnie ta jejmość w fijołkowéj sukni z balkonu pierwszego piętra?.

— Tyle kobiét zazwyczaj patrzy się na nasz elegancki ekwipaż!

— Ekwipaż ekwipażem! Ramy złote są ładne, ale przeto nie podziwiamy ram, tylko obraz!

— Prawda... ale są kobiéty, które tylko na ramy patrzą i tylko ramy widzą!

— Jeśli ramy są cenniejsze od obrazu!

— Czy byłeś hrabio w sprawach serca nieszczęśliwy?

— Ja,... nieszczęśliwy?. Widzę że nie znasz ani świata ani ludzi!. Jakim sposobem mógłby być który z Fichtenauów nieszczęśliwym?

— Kobiéty mają czasem kaprysy!

— Już ci za to ręczę, że dla człowieka z takiém nazwiskiem jak moje, żadna kobiéta kaprysów miéć nie może. Jedynym jéj kaprysem wtedy jest—posiąść to nazwisko!

Krewny Hohenstauffów chciał tutaj z fantazyą wydmuchnąć dym aż na środek izdebki, gdy nagle znowu coś go w wielki palec ukłóło; poprzestał więc na puszczeniu dymu pod samym nosem.

— Gdybym się chciał tysiąc razy ożenić, byłbym się ożenił—mówił po chwili—i to jeszcze z kobiétami znakomitych rodów. Amorów z niższemi odemnie w to nie liczę.

— Czegóżeś hrabio tego choć raz nie uczynił!

— Nie wiele brakowało, ale zawsze na niczem się skończyło. Pamiętam, będzie temu.... księżniczka Iza kochała się szalenie we mnie. Miałem wtedy angielski karykiel ze stalowemi w tył wyginanemi skrzydłami. Dwa kare rumaki, z których jeden miał prawą pęcinę białą a drugi lewą. Odbijało to cudownie. Do tego na chomontach były królewskie lilie w kształcie arabesków z rzucanemi srebrnemi punktami! Mówię ci, księżniczka szalała jak mnie w tym ekwipażu ujrzała!

— Dlaczegóż do końca nie oszalała?

— Ona-by do końca oszalała, ale widzisz przyjacielu, ja nie chciałem oszaleć; księżniczka bowiem prócz starożytnego rodu i małéj nóżki nie miała—pieniędzy.

— Pieniędzy?.... Sądziłem że ten warunek życia tylko w niższych sferach ma wagę.

— Mylisz się! W naszych sferach to jest jedyny i główny warunek każdego małżeństwa. Wy macie miłość, a nam jest ona zbyteczną. U was miłość może cztery puste ściany uprzyjemnić, nam zaś do ścian domu potrzeba ekwipaży, ludzi w liberyi, makatów i gobelinów. Dla tego nasze małżeństwa są prostém rachunkiem, o czém cały świat wié!. Na nas bowiém ciąży święty obowiązek utrzymać lustr domu i należycie reprezentować go przed światem, bo to do naszego uroku należy. Weź najpierwszego bohatera świata, i cofnij go bez żadnéj przegrody między ludzi, to zapomną o tém, że jest bohaterem i wezmą go za równego sobie. Otóż tę przegrodę od innych ludzi mogą nam tylko dać pieniądze; tylko za pomocą pieniędzy możemy sobie stworzyć ten parawan!

— Czy po księżniczce nie było bogatszéj?

— Była contessa jedna, która także przepadała za mną. Miałem wtedy strzelca, młodego czecha w pierzatym kapeluszu na głowie i srebrnemi axelbantami. Na niepogody kazałem mu zrobić płaszcz oficerski z tyłu na dwa herbowe guziki zapinany. Konie miałem wtedy gniade z małą łysinką na czole. Jeden z nich miał pęcinę prawą białą... Contessa szalała, a nawet miałem z tego powodu małe nieprzyjemności.

— I znowu nie było dostatecznych pieniędzy?

— Znowu ich nie było!... Mówię ci, żebym i na wołowéj skórze nie spisał tego wszystkiego. I nic dziwnego: umiałem nosić moje nazwisko, co bardzo wiele znaczy!... Nazwisko to jak ubiór od dobrego krawca: nie dosyć mieć go, trzeba go umieć nosić!.

Nastąpiła długa przerwa. Krewny Hohenstauffa zamarzył słodko o minionych czasach a Stefan jak się zdaje poszedł za jego przykładem. Po chwili uśmiechnięty podagrzysta mówił daléj:

— I dzisiaj jeszcze napadają mnie kobiéty.... i dzisiaj niemam spokoju, ale także sprawa trudna!

— Prawda, przy braku młodości jest to sprawa nader trudna!

Podagrzysta spojrzał rozmiłowaném okiem na chorą nogę w bucie futrzanym i odparł:

— Mylisz się, jeśli mniemasz, że młodość w naszych małżeństwach gra rolę: nazwisko jest tu wszystkiém. Czy sądzisz, że kobiéta, którąby na kartach wizytowych miała wydrukowane: comtesse Fichtenau, wymagałaby więcéj do szczęścia swego?...

— Mówiłem już, że czasami mają kobiéty pewne kaprysy!.

— To tych kaprysow się nie widzi.

— W czémże ta dzisiejsza trudność zależy? Czy znowu w pieniądzach?

— Zgadłeś!... cóż mi z tego że każda pochłania mnie wzrokiem swoim, gdy memi cesarzami jadę przez Graben lub Karthnerring; cóż mi z tego że z okien, balkonów i z powozów posyłają mi łaskawe spojrzenia... jeśli jedne nic nie mają, o innych dowiedzieć się nie mogę! Naprzykład ta fijołkowa contessa z balkonu przejechać mi nie da koło swojéj kamienicy, ale cóż z tego, kiedy zaledwie na średnie życie jéj posag wystarczy!... Albo ta księsna wołoska, którą spotykamy zawsze w tym faetoniku z siwkami.... aż ledwie sama nie przemówi.... ale i tam niéma co robić. Ugania nawet po Praterze jedna wcale nie szpetna baronowa w ładnym koczyku, a nawet nie odgadnionym dotąd sposobem dostała mi się do rąk jéj fotografia... ale o téj nawet jeszcze nic nie wiém!

— Czy nie mógłbyś hrabio okazać mi téj fotografii?

Szczęśliwy potomek Hohenstauffów chciał się ruszyć, aby życzeniu swego towarzysza zadosyć uczynić, gdy nagle mu noga w bucie futrzanym zastrzykała. Oparł się napowrót o poduszki.

— Tam jest w książce—rzekł z westchnieniem—w poezyach hr. Hahn-Hahn!

Stefan rozłożył książkę i ujrzał fotografią!

Twarz jego przybrała szczególny wyraz.

— Widzisz! — zawołał szczęśliwy śmiertelnik — aż ci oczy białkiem zaszły!.. Ładna bardzo nie jest... podobna do kreolki... ale ma coś szatańskiego w tym uśmiechu koło ust!

Stefan nic nie słyszał tylko wpatrzył się w obraz kobiéty, jaką przedstawiała fotografia.

Była to postać nader malowniczo rzucona na axamitny fotel. Przed nią na małym stoliczku stały kwiaty. Jedną ręką sięgnęła po ledwo rozkwitłą różę, drugą przysłaniała prześliczny swój biust, z którego chusteczka koronkowa na dół upadała...

Twarz była silnych rysów, oczy duże, ciemne, gorzały nieukojoném pragnieniem, usta wydatne i ostro wycięte, były spalone gorączką..

Stefan patrzał i patrzał... zamyśliwał się i znowu patrzał... Jego twarz ożywiła się, po czole przebiegały jakieś dziwne myśli.... ręka jego drżała widocznie ze wzruszenia.

Była to... Paulina!

— Przeklęta podagra! Znowu mi dokucza! mruczał szczęśliwy adonis.

VI.

Dawni znajomi.

Jakkolwiek Stefan nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy z tego, o czém w téj chwili się dowiedział, głos jednak wewnętrzny mówił mu wyraźnie, że to może się stać dla niego bardzo ważném.

Przybrał więc o ile mógł, spokojny wyraz twarzy i z udaną obojętnością zaczął się bliżéj wypytywać rozmownego gospodarza o tak zwaną baronowę, która widocznie miłosne sidła na niego zarzuca.

Krewny Hohenstauffów, który widać miał potrzebę ulżenia sobie w ukrytych marzeniach swoich, opowiadał mu różne drobne oznaki niezaprzeczonego szczęścia swego, ale z nich nie mógł Sfefan w żaden sposób złożyć sobie jakiéj takiéj całości co do stanowiska Pauliny.

Dowiedział się tylko, że w pewnych przedobiednich godzinach przejeżdża się eleganckim ekwipażykiem po Praterze, że ma lokaja w granatowéj liberyi z szerokimi galonami a konie gniade, z których jeden ma gwiazdkę na czole a drugi białą pęcinę u lewéj nogi. Spotkanie się jéj z ekwipażem

Fichtenaua jest zawsze nader romantyczne, zawsze trzeba się wymijać na dosyć wązkiéj przestrzeni, przyczém posyła mu z pod zasłony koronkowéj długie, powłóczyste wejrzenie a czasem i uśmieszek nader wymowny... ale prócz tego nic więcéj. Fichtenau nie wiedział nawet gdzie mieszka, tylko jakiś znajomy powiedział mu, że to baronowa ***, a za dwa dni tajemniczym jakimś sposobem dostała się do rąk jego jéj fotografia, którą dotąd przechowuje w poezyach hr. Hahn-Hahn!....

Więcéj nie dowiedział się Stefan od szczęśliwego marzyciela. Uważał on za stosowne nic mu nie mówić, bo sam jeszcze nie był pewny, czy to jest Paulina, czy tylko nadzwyczaj podobna do niéj osoba.

Dla siebie jednak wierzył, że to Paulina. Takiego wyrazu oczu, tych ust pełnych, gorączką spalonych nie mogła mieć inna kobiéta. Samo serce które na jéj widok nagle żywo uderzyło, mówiło mu że to ona.

Kiedy już spostrzegł, że krewny Hohenstauffów nic więcéj o swojéj nieznajoméj królowéj nie wié, udał się pod pozorem znużenia do drugiéj izdebki, aby tam na tapczanie wszystko to dobrze w głowie uporządkować i możliwe z tego nici dla swego najbliższego jutra wysnuć.

Najprzód uroił sobie całe zdarzenie w nieco poetycznéj barwie; miał bowiem zawsze skłonność do pewnéj, bajrońskiéj poezyi. Jeżeli mu się w życiu nie wiodło, lubił narzekać na świat i oskarżać go o brak serca i poezyi. Uważał siebie za ofiarę i zasiadłszy sam na trybunale, wytaczał przed samym sobą skargi i żałoby na świat podły i nikczemny, który lepszych uczuć ocenić nie umié!

Otóż teraz wyobrażał sobie, że Paulina prawdopodobnie za jakiegoś barona poszła, do czego mogła jéj dopomódz wielka scheda, jakiéj zawsze w miasteczku dla Gewontów oczekiwano. Mogła rodzina Radziwiłłów przyznać się do niéj i wrócić jéj mitrę kiążęcą. Wszystko to było prawdopodobném.

W takim razie uczuł Stefan żal do świata, że jest tak podłym i zepsutym. Scena w altanie stanęła mu żywo przed oczyma. Wtedy Paulina wyraźnie szeptała mu do ucha

najsłodsze słówka miłości.... a kiedy została bogatą i mitrę w herbie odzyskała, to zapomniała o nim a poszła za jakiegoś barona!....

Gdy sobie to wszystko Stefan wyobrażał i żywo tém się przejął, uwierzył w to i zaczął w duchu skarżyć się na los swój okrutny, na nieszczęśliwą gwiazdę, która ustawicznie wisi nad nim!

I tak był pewny że jego żal i skarga są słuszne, że byłby z najspokojniejszém sumieniem na nie przysiągł. Puścił więc wodze rozżalonemu sercu i oskarżał cały świat przed Bogiem!

Kiedy już temu uczuciu, z którego zawsze białym jak śnieg wychodził, zadość uczynił, zaczął powoli przypuszczać inne kombinacye, mniéj poetyczniejszego uroku.

Nic łatwiejszego jak w wielkich stolicach odgrywać pewne role. Ludzie nie znają się i ograniczają się przy znajomościach na pewnych, powierzchownych formach. O formy zaś te jest bardzo łatwo. Potrzeba do tego trochę talentu i jakiego takiego gruntu materyalnego.

Czyż Paulina nie mogła wejść na tę drogę? Czyż nie mogła talentem swoim, który ją tak wielce wyróżniał w małém miasteczku, odegrać zgrabnie téj roli, w jakiéj poznał ją Fichtenau?

A na takiéj drodze kto wié czém mogłaby być dla niego?...

Do téj myśli nawiązywało się wiele, bardzo wiele marzeń!... Stefan zaparł oddech, aby tych marzeń nie płoszyć, bo były nader ponętne, dziwaczne, zuchwałe!...

W obec tych myśli upadła wszelka poezya liryczna, bo Stefan pani baronowéj w takim razie wszystkoby darował!... Nie była ona już wtedy dla niego celem ale środkiem tylko, środkiem obojętnym, jakim jest koniec kija, którym pomiędzy błotem szukamy zaginionéj złotówki!...

A gdy całe pole tych marzeń obiegł, wrócił znowu do pierwszéj myśli.

Gdyby Paulina była w saméj rzeczy baronową... gdyby była wdową po jakim baronie, który nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności został jéj mężem... a była wdową bogatą, jeśli w eleganckim ekwipażu przejeżdża się po Praterze... wtedy... wtedy... i znowu zbudziła się w nim strona poetyczna,

znowu wracał myślą do altanki, w któréj Paulina tyle pięknych rzeczy wyszeptała mu do ucha...

Tak na przemianę bawiąc się tém i owém uczuciem, zasnął Stefan na twardym tapczanie i prowadził daléj we śnie marzenia swoje... Widział bogate salony, widział Paulinę w atłasach i koronkach, klęczał u jéj nóg, przysięgał jéj miłość dozgonną, miłość gorejącą!...

Tymczasem na drugim tapczanie chrapał nader pospolicie krewny Hohenstauffów i przez dziwne pokrewieństwo myśli miał sny zupełnie podobne do snów Stefana z wyjątkiem tylko altanki. Zamiast altanki stał przed nim jakiś zamek średniowieczny z poszczerbionemi basztami, a na zamku powiewała czerwona chorągiew z trzema wilczemi zębami (herb Fichtenauów) na znak że pan zamku jest w domu. Przy bramie zamku był róg myśliwski zamiast dzwonka.

Gdy dzień rozświtał, stanął Stefan przed krewnym Hohenstauffów i rzekł mu, że prawdopodobnie za gościnność jego przyjdzie mu podziękować, gdyż dzisiaj właśnie oczekuje listów, które mogą go wyzwolić od roli służącego i przywrócić mu dawne jego stanowisko.

— Wielka szkoda—odparł poważnie krewny cesarzów—przyzwyczaiłem się do ciebie mój przyjacielu, a teraz tracę cię. Ale tak to zazwyczaj w świecie bywa. O czém nie myślimy, to nas prześladuje i odczepić się od nas nie chce, a jeśli choćby na chwilę tém się zajmiemy, to natychmiast ginie nam z przed oczu. Obawiam się, aby to samo nie stało się z moją baronową. Dotąd nie wiele o niéj myślałem, ale wczoraj rozgadaliśmy się i przez całą noc nie wyszła mi z głowy! Daję ci słowo, że może już ją więcéj nie ujrzę!. Taki jest los wszystkich naszych marzeń!...

— I ja nie odchodzę ztąd bez pewnego wzruszenia—wtrącił Stefan z ukrytym uśmiechem.

— Wierzę ci!—odparł biedny rycerz—feudalne czasy miały i tę zaletę, że sługę do pana a pana do sługi przywiązywały prawdziwą przyjaźnią. I ja coś czułem dla ciebie mój przyjacielu. A teraz znowu będę musiał nocą polować po ławkach parku, aby jaką ofiarę dzisiejszych doktryn upolować. Ale kogo upoluję, to nie wiem. Niektórzy dali mi się bardzo we znaki. Poeta wiele mi krwi napsuł, nim go w liberyę wpakowałem, a wysłużony tenor liryczny z opery

sztudtgardskiéj, trzy razy na dzień upijał się jak geniusz nieoceniony!... Ty przyjacielu zostawiasz mi bardzo miłe wspomnienie. Umiałeś nosić moją liberyę, jakby na twoją miarę była robioną!

Krewny Hohenstauffów mówił jeszcze wiele, dawał Stefanowi różne skuteczne rady na drogę żywota i przyrzekł mu zawsze gotowe schronienie pod dachem i nocleg na tapczanie, jeźli nieszczęsne „doktryny wieku" wypędzą go znowu pod gołe niebo!

Stefan przyjął z wdzięcznością wszystkie rady, rozczulił się nad dobrém sercem starego dziwaka, a wziąwszy swój węzełek pod pachę, pożegnał swego dobrodzieja i gościnne poddasze.

W drodze do miasta ułożył sobie plan najbliższych kroków swoich.

Zaraz w pierwszym handelku starych, używanych rzeczy sprzedał swój zegarek, ostatni fundusz jaki posiadał. Z uzyskanych pieniędzy kupił na Grabenie w pysznym magazynie „prawdziwie angielski zegarek ze złota *Talmi*" z łańcuszkiem i brelokami za trzy złote reńskie. Kupił sobie jasne rękawiczki, chustkę z chińskiego batystu i elegancką lornetkę. Resztę pieniędzy pozostałych, przeznaczył na pokoik w hotelu i kilka dni życia.

Gdy już wszystko sobie urządził i w pokoiku odległego hotelu swój węzełek umieścił, wyszedł na ulicę jak żołnierz, któremu na dni trzy dano amunicyi i prowiantu, aby się przedarł przez linie nieprzyjacielskie.

Pierwszy dzień ubiegł bez najmniejszéj korzyści a prowiantu ubyło.

Stefan chodził przez dziesięć godzin po Praterze, po Grabenie i Kärntherringu, a baronowéj i jéj ekwipażu nigdzie nie spotkał. Zaglądał we wszystkie angielskie karety i francuzkie faetony, ale Pauliny nigdzie nie obaczył.

Tak samo spełzł na niczém dzień drugi i prowiant tegoż dnia spożyty został bez żadnéj korzyści!

Wreszcie nadszedł dzień trzeci. Wychodząc z domu westchnął Stefan do Boga, bo zdawało mu się, że Pan Bóg powinien mu w nieszczęściu jego dopomódz... Ale Pan Bóg jakoś nie usłyszał westchnienia jego, Stefan chodził długo,

bardzo długo po najludniejszych ulicach i placach stolicy, a baronowéj nigdzie nie było!

Wreszcie już nad samym wieczorem, gdy z głową spuszczoną przerzynał tak zwany „*Opernring*," najechał na niego elegancki ekwipażyk tak, że ledwo z drogi mógł się ustąpić.

Stefan spojrzał z boku do powoziku i poznał—Paulinę!

Wszystka krew uderzyła mu do głowy... chciał coś powiedzieć... chciał wołać i krzyczeć... ale powozik pomknął już za daleko, a Paulina wcale go nie widziała!...

Skoczył w pierwszą lepszą dorożkę i kazał pędzić za powozikiem...

Przy rogu „Kärnthnerstrasse" zatrzymał się powozik. Z otworzonych drzwiczek wysunęła się drobna nóżka, dotknęła się lekko ziemi i zniknęła pod szeleszczącą suknią, która powoli wsunęła się do sieni.

Stefan zatrzymał się przed domem, przeczytał numer i kazał się daléj podwieźć: tam wysiadł i piechotą puścił się ku niezabudowanym placom dawnéj „bastei."

Zdaje się że czuł potrzebę świeżego powietrza. Chciał się ochłodzić, bo niespodzianka ta wzburzyła mu krew i przyśpieszyła mu oddech. Nogi drżały pod nim z jakiegoś dziwnego wzruszenia.

Wciągając w piersi chłodne powietrze wieczora, dziwił się wzruszeniu które go opanowało.

Po wielu latach, ujrzał dzisiaj kobietę, na którą dawniéj mało co zważał, któréj miłość odepchnął, a która dzisiaj wywołała w nim tak przyspieszone bicie serca?...

Cóż było tego powodem? Czy dlatego że ją ujrzał otoczoną dostatkiem i komfortem? Czy aureola bogactwa wywarła na nim taki wpływ magiczny?... Kobieta ta stała niegdyś przed nim w całym dziewiczym uroku, z oczami gorejącemi, z sercem kochającém, ale nie miała dla niego téj potęgi co teraz! Dzisiaj, po różnych kolejach losu, staje mu znowu w drodze ta kobieta, a jemu na jéj widok oddech zapiera się w piersiach!...

Była to może obawa niepewności, czy ją zastanie w takiéj sytuacyi, w jakiéj ją sobie życzył?... Dosyć, Stefanowi zdawało się, że bądź co bądź, będzie to zawsze ważny krok

w jego życiu, krok od którego może najbliższe jego jutro zawisło!... A jutro to było już bez amunicyi, bez prowiantu!..

Już dobrze zmierzchać się zaczęło, gdy Stefan na róg „Kärnthnerstrasse“ powrócił.

Spojrzał w okna pierwszega piętra: były ciemne, tylko w dwóch skrajnych się świeciło.

Stefan ucieszył się, bot o oznaczało, że Paulina jest tylko sama.

Z bijącém sercem wszedł do sieni. Zapytał się stróża o panią baronowę i o jéj męża.

Stróż powiedział mu, że pani baronowa wprawdzie tu mieszka, ale pana barona nigdy nie widział.

Słowa te rozweseliły Stefana, słuchał on stróża z zapartym oddechem.

Powoli, odmierzonym krokiem, po rozścielonym kobiercu wszedł na schody.

Pociągnął za dzwonek.

— Czy jest pani baronowa... i czy przyjmuje?—zapytał młodéj służącéj.

Wiedeńka złożyła usta do figlarnego uśmiechu, pokazała mu swoje piękne, co jest w Wiedniu wielką rzadkością, ząbki, obejrzała go od stóp do głowy i zażądała karty wizytowéj.

— Proszę powiedzieć że dobry, dawny znajomy!—rzekł Stefan z przymilającym uśmiechem.

Uśmiech Stefana podobał się niemce, obróciła się jak fryga na pięcie i pobiegła po rozkazy.

Stefan stał przy progu z bijącém sercem. I znowu przyszło mu na myśl, dlaczego mu teraz tak niespokojnie serce bije, gdy ma stanąć przed oczyma téj saméj kobiety, do któréj niegdyś, zbliżał się zupełnie obojętnie?... Czy ten dywan już w przedpokoju rozpostarty, czyż ta atmosfera salonu, przez pół otwarte drzwi działa na jego nerwy?...

— Proszę—zawołała niemka z intrygującym uśmiechem—ale niech pan tutaj chwilkę zaczeka.

I wprowadziła go do salonu.

Salon był nadzwyczaj elegancki. Stare obrazy w ciężkich, złotych ramach wisiały na ścianach, przedzielały je lustra olbrzymie ze szkła weneckiego; meble z drzewa palisandrowego były kryte błękitnym aksamitem; kosztowny

fortepian z otworzoną klawiaturą stał w kącie; adamaszkowe firanki przyćmiewały nader malowniczo cały salon: na etażerkach mnóstwo kosztownych fraszek a na parkietach olbrzymi dywan francuzki.

Stefan był oszołomiony. Atmosfera bogactwa i dostatków dziwnie wpłynęła na niego. Uczuł taką rozkosz, że za cenę téj atmosfery byłby ślepo oddał siebie na całe życie, bez względu na to komu!

I pozwolono mu dłuższy czas rozkoszować w téj atmosferze. Chodził po salonie, oglądał obrazy i rzeźby, przeglądał się w zwierciadłach weneckich i dziwném wydało mu się w téj chwili ubogie poddasze krewnego cesarzów i liberya wisząca na kołku...

Nagle zaszeleściała suknia... na progu zaczepiła się gdzieś... potrzeba ją było podnieść i okazać chiński pantofelek złotem haftowany... lecz wnet upadła suknia w naturalnych fałdach... a przed Stefanem stanęła—Paulina!

Czy to było skutkiem zmroku, czy nadzwyczajnego wzruszenia, Paulina stała chwilę w milczeniu.

Stefan także nic nie mówił. Po niejakiéj chwili dosyć spokojnie wyrzekła:

— Jeżeli się nie mylę... pan Stefan.

— Czekałem pierwszego słowa od pani—odpowiedział z widoczną boleścią Stefan—bo nie wiedziałem jak mnie pani po tylu latach powitać raczysz!

Paulina wyciągła drobną rączkę, która jednak była spokojna i zimna jak z alabastru.

— Witam pana serdecznie—rzekła powoli, jakby się namyślała co daléj powiedzieć.

Stefan wziął wyciągnioną rączkę i długi czas zatrzymał ją w swojéj dłoni.

Zdawało mu się, że ta rączka powoli rozgrzewa się i jak dawniéj... drzeć zaczyna.

— Dziękuję pani—odrzekł—rączka ta mała była dla mnie mówniejszą od ust!

Paulina w téj chwili ożywiła się, jakby dopiero z zadziwienia do siebie przyszła, a może być że miała inne powody do téj powściągliwości w słowach.

— Nie, panie Stefanie—zawołała z właściwą sobie żywością—nie bierz pan tego na karb mojéj niepamięci, bo ja

niestety, niczego w życiu nie zapomniałam? Możeby lepiéj było, gdybyśmy wiele rzeczy zapomnieć mogli.., ale nie tych, które się wiążą do naszych wspomnień dziecinnych!... Cóż pan tu porabiasz? Zkąd pan przybywasz? Co się z panem dzieje?... O będziesz mi pan wiele, bardzo wiele rzeczy miał do opowiadania! I bardzo pan dzisiaj dobrze trafił do mnie!... Proszę bliżéj.

Wyrzekłszy te słowa otworzyła drzwi i weszła do drugiego pokoju: za nią poszedł Stefan.

Był to mniejszy, ale z równą elegancyą urządzony salonik. Zdaje się, że w tym saloniku czyli raczéj buduarze najmiléj przebywała; widać po rozłożonych książkach i dziennikach, po zaczętych robotach kobiecych, że tutaj było miejsce jéj życia.

Stefan rozpatrzył się w tém niebie kobiecém, w którém ona tylko była królową. Całe urządzenie było zastosowane do tego: adamaszek na meblach był koloru płowego, aby nie przyćmiewał jéj wdzięków; tapety były także blade, aby korzystnie mogły służyć za tło; firanki u okien miały kolor czerwono-brunatny, aby ożywiały padające światło i cały koloryt czyniły ciepłym; kilka wazoników kwiatów napół rozkwitłych stały na małym stoliczku.

Paulina usiadła na sofie a Stefanowi wskazała najbliższy fotel.

Na stole świeciły się trzy świece w kandelabrze.

Teraz mógł Stefan dobrze przypatrzyć się Paulinie.

Twarz jéj nie zmieniła się wiele, były jednak na niéj ślady sztuki. Płeć stała się delikatniejsza, oczy były trochę podmalowane. Gęste, czarne brwi zostały te same i oczy piwne miały tę samą barwę i ten blask co dawniéj, tylko wyraz ich zmienił się trochę. Za to włosy uległy zupełnéj przemianie, tworzyły one arcydzieło sztuki fryzyerskiéj: nad czołem i nad skroniami rozsypywały się w drobne loczki jak puch przezroczysty, potém zbitym szeregiem pięły się mocno do góry, zkąd znowu w bezładnych kędziorkach z grubego węzła spadały jak kaskada na szyję. Ramiona były napół obnażone i jaśniały pełnością kształtów aż do rąbka żółtawego szarawanika, który okrągłą linią odcinał się od białego ciała.

Paulina również patrzała w téj chwili na Stefana. Zmienił on się znacznie przez te trzy lata: zmężniał i nabrał w twarzy jakiegoś energiczniejszego wyrazu; zawsze jednak był bardzo przystojnym mężczyzną, a nawet kilka fałdzików na roztropném czole, które te trzy lata tam zaznaczyły, dodawały mu pewnego uroku myślącego człowieka.

— Lękam się uczynić panu jakiekolwiek zapytanie — ozwała się po niejakiém milczeniu Paulina — bo nie zawsze radzibyśmy usłyszeć odpowiedzi, których się nie spodziewamy!

— Zdaje mi się — odrzekł Stefan — że właśnie doświadczenia życia powinny nas zahartować!

— Prawda,... ale dobrze zahartowane żelazo nazywa się... sztyletem!

— Przebóg! — przerwał z uśmiechem Stefan, — przecież pani nie zechcesz być nim w téj chwili!

— A ja właśnie obawiam się tego od pana! — z takim samym uśmiechem odparła Paulina.

Po tych słowach nastąpiło chwilowe zawieszenie broni. Paulina prawdopodobnie miała powody które kazały jéj unikać wszelkich zwierzeń. Dla tego może lękała się czynić Stefanowi zapytania, które pociągałyby za sobą obowiązek wzajemności; Stefan zaś z prostéj przyczyny lękał się pytać, bo odpowiedzi Pauliny mogłyby mu popsuć niejedno marzenie... Przeciągał więc chwilę niepewności, bo strach go zbierał, gdy mu się wszystko odsłoni!

Ale wszystko ma swoje granice, a tém bardziéj milczenie między dwojgiem młodych ludzi.

— Powiedz mi pan najprzód — ozwała się Paulina — czyś pan żonaty, czy wdowiec, czy narzeczony?...

— Ja żonaty... czy wdowiec?.. — odpowiedział z ironicznym uśmiechem Stefan — a jakżeby się to stać mogło? Czyż dzisiaj kobiety kochają?...

Paulina lekko westchnęła, uszczknęła z bukietu, który stał na stole mały listek i odrzekła:

— Kobiety bez miłości żyć nie mogą: albo kochają prawdziwie, albo wmówią w siebie że kochają! Mówię to panu z doświadczenia, bo byłam — mężatką!

— Pani *byłaś* mężatką? — z widoczną radością zapytał Stefan.

Paulina rozskubała listek w drobne strzępki i przypatrując się tym strzępkom odrzekła:

— Jakto? Czy pan nie wiedziałeś o tém?... Jakże bez zamążpójścia mógłeś mnie pan zastać w takiém położeniu?... Oto jest portret mego nieboszczyka męża!

Mówiąc to wskazała na medalionik na szyi.

Stefan spojrzał na medalionik i przypomniał sobie, że przed wielu laty na téj saméj szyi, podziwiał misterną broszkę z herbem Radziwiłłów... przypomniał sobie, jak różane paluszki Pauliny tę broszkę odejmowały z tego pięknego biustu...

Stefan rzucił pobieżnie okiem na jakąś pyzatą twarz mężczyzny i cofnął w tył głowę aż do poręczy fotelu; westchnął głęboko i załamał w końcu ręce.

— Są ludzie — rzekł patetycznie — którym już od kolebki gwiazda nieszczęścia świeci! Ci ludzie nadaremnie walczą z losem, nadaremnie odpierają od siebie fale nacierającego nieszczęścia; nadaremnie kryją się przed jego grotem: muszą popaść w jego paszczę! Ci ludzie tracą wiarę!

— Więc pan byłeś dotąd nieszczęśliwym w miłości! — zauważyła Paulina, a jéj spalone usta zadrgały skrytym uśmiechem zadowolenia.

— Powiedz pani raczéj, że nigdy jéj nie znalazłem!

— To być nie może! Mówią poeci, że każdemu człowiekowi bije raz w życiu godzina szczęścia! Czyż pan jéj nigdy nie słyszał? Czy nigdy nie doleciał pana jéj dźwięk do ucha?

Wymawiając te słowa pochyliła się naprzód, tak że mógł uczuć na twarzy, jéj gorący oddech.

— Zdawało mi się kilka razy — odpowiedział smutno Stefan — że słyszę dźwięk téj godziny... ale okazało się że biła, tylko nie dla mnie!

— Nie mówisz pan szczerze! — rzekła Paulina i uderzyła go urwaną gałązką heliotropu po ręce — nie jesteś pan szczerym, a przecież ja o tém mogę bardzo dobrze wiedzieć!

— Nie przeczę, że pani wiesz o tém! — odparł Stefan i zadumał się.

— Ależ pan inaczéj sobie miłość pojmował!

— Każdy człowiek rodzi się z pewną organizacyą serca, według któréj tak lub owak na świat się zapatruje!

— Serce jest jedno i to samo u wszystkich, podobne do igły magnetycznéj, która zawsze w jedno miejsce wskazuje; ale my fałszujemy kierunek tego magnesu, otaczając go kruszcem!...

Stefan uśmiechnął się z ironią Bajrona.

— Świętą prawdę pani wyrzekłaś — odpowiedział — tylko że ta prawda nie może być przeciw mnie skierowaną; przeciwnie, jabym mógł oskarżać innych o sfałszowanie tego świętego magnesu...

— Czyż tak wiele rzeczy z życia swego pan zapomniałeś?

— Wolałbym zapomnieć!... Ale bolesne zawody mają tę właściwość, że długo, bardzo długo nie mogą się zgoić! Tém trudniéj, im gorętsze uczucie je wywołało!...

— Pan umiesz sam siebie idealizować... Znałam malarza, który miał passyę malować swoje portrety *en beau*, przez co nigdy go poznać nie mogłam!

— Pani mnie także nie poznaje... nie gniewam się za to, nie znasz bowiem dziejów moich!

— Dzieje te były prawdopodobnie tylko w marzeniach!

— Kilka ostatnich rysów tylko rzucę pani... Żal po stracie mego ojca był tak wielki, że nie mogłem ani chwili dłużéj pozostać w mieście rodzinném, gdzie każdy kamień przypominał mi dziecinne, rozkoszne lata i opiekę kochających rodziców, którzy mi wszystkiém byli na świecie!

Paulina milczała i uszczknęła z bukietu mały, błękitny kwiatek.

— Chciałem się więc oderwać jak najprędzéj od tego miejsca — mówił daléj z boleścią Stefan — chciałem uniknąć nawet widoku tych ludzi, którzy mi szczęśliwe czasy przypominali, i z rozdartém sercem sprzedałem dom rodzinny i wyruszyłem w świat daleki, aby tam szukać choć w części tego, co tam utraciłem, szukać serca, które kochać jest zdolne!...

Błękitny kwiatek uległ temu samemu losowi co dawny: strzępki z niego spadły na ziemię.

— I tego serca nie znalazłeś pan nigdzie? — zapytała z lekkiém westchnieniem Paulina.

— Tego serca nie znalazłem nigdzie! — wygłosił z emfazą Stefan.

Lekki uśmiech zaigrał na spalonych ustach Pauliny.

— I gdzież pan go szukałeś—zapytała po chwili.

— Szukałem go wszędzie, gdzie tylko myślałem, że go znaleźć mogę. Szukałem go w salonach stolicy, szukałem w wiejskim domku, w romantycznych wycieczkach u wód... i wszędzie dowiedziałem się, że ten święty magnes, jak się pani wyrażasz, nic prócz kruszcu nie potrzebuje, nic innego przyciągnąć go nie może!...

— Ach ten kruszec!—westchnęła Paulina.

— Wtedy powiedziałem sobie, że muszę mieć ten kruszec. Najprzód spróbowałem drogi najkrótszéj, byłem czas niejaki w Homburgu: fortuna nie sprzyjała mi; potém wałęsałem się czas niejaki po większych stolicach Europy i szukałem tam różnorakich dróg do szczęścia, i znalazłem je wszędzie zamknięte!... Dzisiaj przybyłem tutaj, a jakaś szczęśliwsza gwiazda pozwoliła mi ujrzéć panią...

Paulina długie wejrzenie utopiła w jego twarzy. Jéj usta drżały jakąś myślą, którą jeszcze w głębi duszy ukrywać chciała; a myśl ta była słodka i rozkoszna, bo oczy jéj zapalały się coraz więcéj...

Stefan patrzał w te oczy piwne i gorejące. Twarz jego wyrażała boleść i żal, jaki miał w téj chwili do całego świata, a może i do siedzącéj naprzeciw niemu kobiety!

Piękny biust Pauliny podniósł się lekkiém westchnieniem, spuściła oczy do ziemi i długi czas milczała; Stefan milczał także, jakby wyczekiwał jakiéjś odpowiedzi na ostatnie słowa swoje.

Odpowiedź ta wkrótce nastąpiła.

— Więc pan to nazywasz szczęśliwą gwiazdą—rzekła powoli podnosząc na niego wzrok powłóczysty—żeś mnie znowu w życiu spotkał!.. Szkoda, że ta szczęśliwa gwiazda wtedy zeszła nad panem, gdy już w ludzi i w serce wierzyć przestałeś!

— Ludzie i ich serca stały się tego przyczyną!

— Ludzie i serca?... Wszak ja to samo mogłabym powiedzieć! Gdy mnie serce moje po raz pierwszy zawiodło, o czém pan prawdopodobnie nie zapomniałeś, to nie przeklęłam całego świata, jak to pan w téj chwili czynisz, ale sądziłam, że zawód mój był tylko pomyłką, a moje szczęście może jeszcze gdzieś być na szerokim świecie, które so-

bie samemu znaleźć potrzeba!... Wyszłam w świat szeroki... czy pan dowiedziałeś się o tém?

— Nic nie wiedziałem: byłem wtedy zagranicą odcięty od wszelkich stosunków dawnych!

Paulina zamyśliła się chwilkę: widoczne zadowolenie przemknęło po jéj twarzy.

— W świat szeroki—mówiła daléj—wzięłam z sobą wiarę w ludzi jako jedyny i najdroższy mój klejnot! Zdawało mi się, że kobiéta wstępnym bojem może sobie szczęście zdobyć. Dotychczasowe osamotnienie moje przypisywałam ciasnym granicom, jakie nam społeczeństwo nakreśliło. W tém pogwałceniu praw naszych widziałam źródło wszystkich nieszczęść, jakim obecnie kobiéta podlega. Obyczaj wiekowy, średniowieczny zagrodził jéj drogi do szczęścia, a szczęście samo najczęściéj do niéj przyjść nie chciało! Z oburzeniem na ten obyczaj, z żądzą walki przeciw ograniczeniu naszych praw, wyszłam w świat z najczystszém pragnieniem szczęścia, a jedynym posagiem moim było serce, serce pragnęło kochać i być kochaném!... Tyle bo naczytałam się, że kobieta jest ideałem życia... Chciałam komuś być tym ideałem i sądziłam, że na szerokim świecie pomiędzy tysiącami przecież znajdę kogoś, komubym tym ideałem być mogła!... Pracując w początkach krwawo na kawałek chleba poświęcałam całe bezsenne nocy, aby wykształceniem zbliżyć się do tych heroin, o których tyle czytałam! Przy ognistéj żądzy wyrównania im, przyswoiłam sobie w nader krótkim czasie tyle wiedzy i nauki, do któréj inni lat potrzebują!... Widzisz pan, czytam i mówię po francuzku, gram na fortepianie, a nawet mogę lepszą kopię z jakiego znakomitego obrazu zrobić, od niejednéj uczennicy Ouwerbecka!...

Paulina umilkła tutaj na chwilę i spojrzała z uwagą na Stefana; pótem ciągnęła daléj:

— I cóż tém wszystkiem osiągnęłam? Owe dumne marzenia zbuntowanéj kobiéty, która praw swoich od społeczeństwa domagać się chciała, rozbiły się o jéj nieudolność walczenia, gdyż ona do walki nie jest stworzoną!... Tysiące przeszkód znajduje ona na arenie życia, o których najmężniejsi szermierze ani wyobrażenia nie mają!... Walka i kobiéta to są rzeczy wprost sobie przeciwne... Ona wal-

czyć skutecznie może tylko swoją biernością, aureolą męczeństwa, łzami ofiary, to jest bronią, jaką walczą zazwyczaj i zwyciężają najświętsze idee! Wszystko inne jest mrzonką! Na tém bowiem tylko polu jest kobiéta niezwyciężoną, jest zwycięzcą; na tamtém prócz cierni nie kwitną dla niéj żadne róże! W nieszczęciu bywa czasem i złudzenie szczęściem, a śród rozczarowań nie masz go więcéj!

— Więc i pani byłaś nieszczęśliwą?— zapytał z lekkiém westchnieniem Stefan.

— Z wiarą w szczęście zbliżyłam się do świata— mówiła daléj Paulina—i wierzyłam ludziom. A ludzie mówili mi słodkie słówka, okazywali mi na dłoni serce swoje... ale przekonałam się, że to była tylko obłuda a nic więcéj!.. Byli to egoiści, którym nie chodziło wcale o szczęście moje, bo szczęście moje to było dla nich zbyt droga zapłata za ich szczęście!. I szły szeregiem rozczarowania za rozczarowaniami; *sercem* jedynie szczęścia zdobyć nie mogłam! Postanowiłam więc sobie zamiast rozkoszy miłości, zdobyć spokojny kawałek chleba. Człowiek już wiekowy, który również jak inni zrazu chciał mnie tylko pozorami łudzić, skłonił się wreszcie uklęknąć ze mną w obliczu Boga i dać mi nazwisko swoje i prawowitą opiekę. Dzisiaj już on nie żyje...

Paulina zamilkła przy tych słowach i długiemi rzęsami przykryła piwne oczy swoje; Stefan odetchnął pełną piersią: potoczył okiem po bogatych sprzętach salonu i zadumał się.

— Walka kobiéty ze światem—mówiła po chwili Paulina—jest dla jéj serca nader niebezpieczna. Są kobiety, które żądają dla siebie téj walki jako zrabowanego im prawa, jako wydartego im przywileju. Nierozsądne! W najlepszym razie już sam przebieg téj walki, choćby zwycięztwem uwieńczony, przynosi z sobą tyle rozczarowań bolesnych, że zwycięztwo to staje się w końcu istną przegraną! Do tego kobieta, odziana białą szatą kapłanki życia, gdy się raz tylko przez tłum przeciśnie, zbruka tę szatę, o któréj słusznie czy nie słusznie twierdzą, że się już wyprać nie da!..

— Więc owe rozczarowania śród walki były i dla pani tak okrutne?...

— Były one okrutne, ale wyznaję panu, że mimo to nie straciłam wiary w ludzi!

Stefan uśmiechnął się; po chwili odrzekł:

— Niekażdy ma to szęczęście być policzonym do wyjątków.

— Wiara moja w ludzi—mówiła Paulina — wraca najczęściéj, gdy wracam myślą do moich lat najmłodszych... do mojéj poczciwéj babki... do mego ogrodka... mojéj altanki...

Stefan posunął ręką po czole, jakby się niepokoił: twarz jego wyrażała wzruszenie.

— Te wspomnienia—ciągnęła daléj żywo Paulina— napawają mnie jakiémś nieokreśloném szczęściem, zdaje mi się wtedy, że całe od tego czasu życie moje odkroiło się odemnie jak tynk narzucony i odpadło, a ja znowu jestem tą samą, pragnącą lepszych uczuć Pauliną co dawniéj...

Pierś Stefana podniosła się głębokiém westchnieniem. W jego szafirowych oczach zamigotało światło ciche i spokojne jak światło wschodzącéj jutrzenki!

— Wierzaj mi pan—mówiła z namiętnością Paulina i chwyciła silnie Stefana za rękę—wierzaj mi pan, gdyby mi ktoś mógł wrócić owe szczęśliwe chwile moje, gdyby do tych chwil urwanych nawiązał dla mnie nowe życie, nowe szczęście, zapomniałabym o tém wszystkiém, co między owym czasem a dzisiejszym zaszło w duszy mojéj, zapomniałabym o wszystkich przebytych rozczarowaniach, darowałabym światu wszelkie nieprawości i widziałabym wszystko w dawnéj różanéj atmosferze!..

— Ach pani!—przerwał Stefan z żywością—jeżeli już dla pani powrót szczęścia ma tyle uroku, jakże wielkim byłby ten urok, gdyby z tém szczęściem łączyło się szczęście drugiego człowieka?..

Stefan mówił te słowa szczerze i wierzył w to co mówił. Widok możliwego szczęścia zarysował się przed nim, a to szczęście mogłoby mu służyć przynajmniéj za port wypoczynku po różnych przygodach...

— Szczęścia dla siebie saméj nie pojmuję—żywo odpowiedziała Paulina trzymając ciągle Stefana za rękę—a jeśli o niém mówię, to mam zawsze na myśli tego, z którymbym to szczęście podzielić mogła...

Stefan uczuł teraz lekkie drżenie ręki Pauliny a nawet niewyraźny uścisk. Niewyraźny uścisk odwzajemnił zbyt wyraźnym i właśnie chciał coś powiedzieć w dodatku do tego uścisku, gdy Paulina przerwała:

— Szczęście moje, które sobie wyobrażam, byłoby tak wielkie, że z wielką ochotą zrzekłabym się dla niego wszelkich dzisiejszych dostatków, które mnie otaczają!

Niejakie zadziwienie malowało się na twarzy Stefana.

— Dlaczegoż miałabyś pani zrzekać się dostatków?— zapytał powoli, jakby obawiał się odpowiedzi.

— Dlatego, że te dostatki w téj chwili nie są moje!— odpowiedziała spokojnie Paulina.

— Te dostatki nie są pani?—powtórzył dziwnym głosem Stefan i cofnął rękę swoją.

Uśmiech szyderczy zaigrał na spalonych ustach Pauliny. W piwnych oczach zabierało się coś na błyskawicę z gromami... ale skończyło się na nieszkodliwém błyskaniu.

— Te dostatki—odrzekła z pewnym spokojem wymuszonym, mogą być moje, a nawet mogą być i większe, jeżeli nie najdzie mnie ochota, wrócenia do moich dawniejszych marzeń!..

— Czémże są dawniejsze marzenia bez... bez...

— Bez dostatków! chcesz pan powiedzieć—dokończyła z ironicznym uśmiechem Paulina.

— Nazwałbym to potrzebami życia!—odparł Stefan i posunął swój fotel na środek pokoju.

— Potrzeby życia, to wyrażenie zbyt względne. Dla jednych dwa pokoiki na trzeciém piętrze pokrywają zupełnie potrzeby życia, dla innych trzeba salonów pierwszopiętrowych! Zdaje mi się że to od tego zależy, w czém się urodziliśmy!

— Nie zgodziłbym się na to; zależy to od tego, do czego dłuższém życiem przyzwyczailiśmy się!

— Są czasem przyzwyczajenia fałszywe!

— Być może, ale rzecz przeto pozostaje niezmienną. Przyznam się, że jakkolwiek urodzenie moje nie daje mi pretensyi do wyższych potrzeb życia, jednak przyzwyczajenie i kierunek wykształcenia mego, czyni mi te potrzeby niezbędnemi!..

— A mnie się zdaje, że im więcéj nauki i wiedzy nabywam, tém łatwiéj mogłabym znieść brak tego komfortu, który mnie dzisiaj otacza, byle w zamian zyskałam inne szczęście...

Stefan odsunął jeszcze daléj swój fotel tak, że go już więcéj Paulina za rękę ująć nie mogła.

— To są tylko marzenia sielankowe — odpowiedział z suchym uśmiechem — które nas wtedy tylko nachodzą, gdy nie jesteśmy głodni i spragnieni!.. Niegdyś sielanka tylko w salonach z zapałem uprawianą była, jak to nas uczy historya literatury! Poeci w perukach i jedwabnych pończochach po obiedzie z wykwintnemi bakaliami, czytali dla konkokcyi bukoliki i deklamowali czułe dyalogi między Daphną i Filis, garnirowane sérem i owczem mlékiem!..

Paulina podparła rączką piękną głowę i piwne oczy do połowy nakryła czarnemi rzęsami. Z pod tych rzęs jednak strzelał jasny promień i padał wprost na twarz Stefana, z któréj nagle ustąpiło dawniejsze wzruszenie, a natomiast osiadła zwyczajna, codzienna obojętność...

Trudno było poznać czy Paulina była z tego zadowolona, czy zasmucona. Miała ona w téj chwili twarz spokojną o pięknych marmurowych kształtach, a w oczach był więcéj wyraz badawczy, niżeli żalu lub zawodu...

— Może masz pan i słuszność, ozwała się po długiém milczeniu — my kobiety kierujemy się zazwyczaj wrażeniami chwili...

— Gdybym również wrażeniom chwili podlegał — odparł Stefan — usłyszałabyś pani odemnie w téj chwili wcale inne słowa...

— Ale mimo téj różnicy zdań naszych co do wrażeń chwilowych, pozostaniemy zawsze w przyjaźni!..

— Właśnie to samo powiedzieć chciałem...

— *Voila! Les beaux esprits se rencontrent!* — zawołała z czarującym uśmiechem Paulina — i z wdziękiem artystki podała mu drobną rączkę, którą Stefan szczerze, chociaż nie z tém co dawniéj uczuciem uścisnął.

Był to dziwny fakt jakiegoś obopólnego porozumienia, któremu nie dano słowem nazwiska, a do którego skrycie oboje dążyli po niektórych wzajemnych wyjaśnieniach.

W téj chwili przyszła Niemka z figlarnym swoim uśmiechem, trzymając w ręku kandelaber z dwiema świécami.

— *Der Herr Baron!* — rzekła do Pauliny — a resztę dopowiedziały oczy.

— Ach znowu przychodzi mnie nudzić! — gniewnie ozwała się Paulina — ale niech pan się zatrzyma kilka chwil. Barona pozbędę się prędko, tłumacząc się migreną, a potém wypijemy razem herbatę i zjemy wieczerzę, przyczem opowiem panu o tym baronie!

Stefan powstał szybko z fotelu. Wizyta zapowiedziana popsuła mu jakoś chwilową illuzyę. Ponieważ jednak dzień jutrzejszy zagrażał mu brakiem wszelkiéj amunicyi do walki życia, nie miał innego wyboru, jak zastosować się do życzeń Pauliny.

Niemka z figlarnym uśmiechem i kandelabrem stała już przed nim, aby być jego gwiazdą przewodnią. I poprowadziła go ta gwiazda przez dwa pokoiki do trzeciego i tam na stole świecznik postawiła. Wskazawszy na stolik, na którym leżały rozłożone dzienniki, życzyła mu przyjemnéj zabawy, i zostaiwła w dodatku swój figlarny uśmieszek.

VII.

Hieroglify.

Gwiazda Stefana weszła widocznie dzisiaj w inną konstellacyę. Takie przynajmniéj miał mniemanie, gdy się ujrzał w tym pokoiku odosobnionym.

Chwilowy wypoczynek, w którym mógł pozbierać i uporządkować nawał cisnących się mu do głowy myśli, był dla niego w téj chwili wielkiém dobrodziejstwem.

Najprzód więc chciał się rozpatrzyć w pokoju, w którym go teraz osadzono.

Był to mały pokoik, ale z równą co i tamte elegancyą urządzony. Kilka widoków w stylu Salwatora Rosy wisiało na ścianach. Olbrzymie zwierciadło z misterną rzeźbą przedzielało je w środku. Pod zwierciadłem była mała konsolka, na któréj stał złoty zegar pod szklaném nakryciem.

Przed małą sofką, wełnianym adamaszkiem obitą, stało zamiast stolika, wykwintne biórko palisandrowe z różnemi rzeźbami. Na biórku stał kałamarzyk z fijołkowym atramentem, obok niego leżały pióra i ołówki w różnych kolorach. Daléj pod bronzowym lwem był papier listowy i koperty. Na pułce leżał lak i opłatki różnokolorowe. Oprócz tego leżały książki na pół porozcinane, a na stoliku pod oknem były najświéższe dzienniki francuzkie.

Stefan z tych wszystkich rzeczy jakby z hieroglifów jakich chciał coś stworzyć, chciał coś odczytać. Mówią że urządzenie mieszkania charakteryzuje człowieka. Cóżby więc to wszystko oznaczać miało? Cóż naprzykład znaczy ten filigranowy kałamarzyk z atramentem fijołkowym, te dwie rączki do piór, misternie z kości słoniowéj rzeźbione? Do czegoż może służyć ten materyał, który lew z otwartą paszczą przyległ jakby tam strzegł Bóg wié jakich skarbów? Cóż za tajemnice zwykł pieczętować ten lak purpurowy?..

Stefan łamał sobie czas niejaki głowę nad temi hieroglifami, ale nic nie mógł ułożyć. Odkrywszy jednak za jakąś książką illustrowaną pudełko z cygarami, dał pokój hieroglifom, a tymczasem zapalił sobie cygaro, którego dymek był tak wonny, jak nigdy!

Z zapaloném cygarem usiadł swobodnie na sofie, aby zebrać sobie w głowie wszystkie główniejsze wrażenia i myśli dnia dzisiejszego.

Najprzód ogarnęła go rozkosz nieopisana, gdy sobie przypomniał, że przed kilkoma dniami miał tylko ubogi tapczan do spoczynku, a dzisiaj otoczony jest zbytkiem wybrednym, w którymby i sam krewny Hohenstauffów mógł z pewnością rozkoszować!..

Zbytkowne te rzeczy należą do osoby, któréj życie wprawdzie jest tajemnicze, jak to się nieraz w wielkich miastach wydarza, ale osoba ta jest dla niego dzisiaj ową nicią Aryadny, która go powoli z labiryntu dzisiejszego życia może wyprowadzić na polankę upragnionego szczęścia!..

Wprawdzie pierwsza, więcéj instynktowa niżeli rozsądna myśl nie udała mu się, bo dostatki téj osoby mają pewne warunki, ale mimo to, przecież nie jest już tak samotny w nieznanéj mu stolicy!..

Kiedy właśnie wpadł myślą na te warunki tajemnicze, wiążące się do dostatków Pauliny, zatrzymał się dłużéj nad tą myślą.

Jakież to mogły być te warunki? Czy jaki możny bankier otoczył ją tutaj temi dostatkami, aby miéć chwilę wytchnienia i poezyi, gdy się giełda zamyka? Czy może jaki marnotrawca, rozrzucając majątek ojcowski, hula sobie w ten sposób w tém mniemaniu, że to znaczy kochać i serca kobiece podbijać? A może jaki starzec, obarczony liczną rodziną, śród trosk rodzicielskich chce gwałtem wrócić do wspomnień swoich młodych i zdaje mu się, że te wspomnienia wrócą się i staną rzeczywistością, jeśli patrzyć będzie w piwne oczy młodéj kobiéty?

Różnorakie myśli przechodziły przez głowę Stefana, ale żadnéj nie zatrzymał na czas dłuższy. Wszystkie wydawały mu się nieprawdopodobne. On chciał wierzyć, że Paulina jest inną, bo tego potrzeba mu było dla siebie samego. Ona w téj chwili była dla niego jedyném ogniwem, o które nową fazę swego życia mógł zaczepić. Nie było mu więc obojętném, jakie było ogniwo, bo od tego zależało dalsze jego powodzenie na świecie, którego tak gorąco pragnął!

Tworzył więc sobie dla przepędzenia czasu najrozmaitsze tajemnicze historye. Być może, że syn jakiego znakomitego domu, ukochał ją i tymczasem otacza tutaj dostatkiem, zanim gniew okrutnego ojca, może znowu jakiego krewnego Hohenstaufów, przełamie!..

Tu znowu zarysowała mu się jeszcze dziwaczniejsza historya. Może jakaś wysoko w hierarchii społeczeństwa położona osoba połączyła się z Pauliną związkiem morganatycznym i tu w ukryciu tych grubych murów zgotowała sobie raj ziemski, aby w nim od czasu do czasu odetchnąć czyściejszą atmosferą dla serca, niżeli tą, jakie mają wysokie pałace?..

Takie i tym podobne myśli przechodziły mu przez głowę, podczas gdy wonny dym z amerykańskiego cygara unosił się w najrozmaitszych postaciach po całym pokoju.

Gdy właśnie pochylił się nad biórkiem, aby na popiół z cygara stosowne miejsce wynaleźć, spostrzegł że papierowa

podkładka była zapisana różnemi słowami, cyframi i figurami, jakby tutaj ktoś pióro, atrament lub ołówek probował.

Zwrócił na te niespostrzeżone dotąd hieroglify uwagę. Jeżeli to były proste próbki pióra i atramentu, to były zawsze ciekawe. W takich próbkach zdradza się często myśl piszącego pomimo jego woli. Z pióra wychodzą wtedy najczęściéj słowa, które objawiają myśli, jakie właśnie w téj chwili pracowały w głowie piszącego. Wychodzą wprawdzie w aforyzmach, ale z aforyzmów tych czegoś dowiedzieć się można, tak samo jak z pozostałych ułamków skulptury egipskiéj odczytują się dzieje.

A były to rzeczywiście hieroglify egipskie. Obok luźnych słów, stały rysunki koni, psów i kotów. Obok liczb były ludzkie głowy tak wybitnie naszkicowane, jakby były portretami!...

Stefan zaczął się bliżéj przypatrywać tym nowo odkrytym hieroglifom.

Widocznem było, że wiele rąk składało się na nie. Charaktery pisma i rysunków były odmienne. Również nie wszystkie w jednym czasie były wykonane.

Najprzód kilkakrotnie grubemi literami było wypisane: „Pauline“. Czasami do tego imienia dołączona była winieta składająca się z kwiatów i liści, lutni i nut. Widać było że wprawna w rysunku ręka rysowała te winiety... Potém następowały po francuzku i niemiecku różne aforyzma, które przetłumaczone na polskie znaczą: „Miłość bez serca czy serce bez miłości“, „Dusza kobiéty to cytra, na któréj grają struny metalowe“... odmiennem, nader drobném pismem, stało: „Wolna żegluga na Dunaju musi być uważaną jako kwestya europejska“, „Przymierza Napoleona prowadzą do wojny, a wojny z nim prowadzą do przymierzy“... Daléj uwieczniły się jakieś prywatne interesa piszącego: „Anna niesłusznie mnie ocenia, któż temu winien jeżeli nie on?“ „Szkoda mego afektu, z tych akcyj nie odetnę żadnego kuponu“... „Listy kredytowe spadły o dwa procent“... Za tą giełdową sprawą był odmiennem pismem jakiś rachunek jakby budżetu państwowego, bo złożony był z samych prawie milionów i zsumowany nadzwyczaj starannie.

Oddział artystyczny zajmował dosyć wiele miejsca. Wyróżniała się między innemi jedna nader wprawna ręka.

Były to szkice koni, drzew i głów ludzkich. Inni jak widać, naśladowali tylko te rękę, ale dosyć nieudolnie. Osobliwie jedna karykatura, jak się zdaje, osoby znanéj i publicznéj, znalazła bardzo wielu amatorów. Powtarzano ją w rozmaite sposoby, z rożnemi dodatkami, a w końcu nawet podpisano pod nią pewne litery, które tę osobę oznaczać miały.

Gdy Stefan to wszystko należycie przejrzał, zamyślił się głęboko.

— Cóż mogą te aforyzma tutaj oznaczać?—zapytał w duchu—czyja ręka nakreśliła je tutaj? Czy byli to ludzie podobni do mnie, którzy tutaj czekając z niecierpliwości kreślili różne zygzaki, pisali bezmyślnie słowa i aforyzmy, albo rysowali te zwierzęta i karykatury?.. Jacyż to ludzie mogliby być? Bankierzy, artyści, politycy a może... i ze sfer układających budżety?..

Stefan powstał i szerokim krokiem zaczął się przechadzać po pokoju.

Obraz Pauliny zaćmił się mocno w jego oczach...

Coś go wewnątrz drasnęło i zaniepokoiło. Był to zabłąkany instynkt naturalny... instynkt który bezmyślnym zwierzętom nie każe zbliżać się do ziół szkodliwych...

I być może, że tego instynktu usłuchałby Stefan, gdyby mu nie groziło srogie *jutro!*

Był bez jutra, nic nie uczynił czemby sobie to jutro mógł zabezpieczyć... jakiż miał wybór dzisiaj?.. Cóż miał jutro z sobą zrobić?

A w téj chwili przyszły mu złote słowa mistrza do pamięci, który wyraźnie mówił: że człowiek bez jutra tem jest wyższym od człowieka chowającego się do małéj skorupki, że nie podlega owym nieracyonalnym oscyllacyom sumienia, o co już Augustyn św. skarżył się! Człowiek walczący o swoje jutro, nie ma do wyboru pomiędzy środkami, jakiemi to jutro zdobywa. A w tém właśnie zależy sekret szczęścia, aby nie być wybrednym i tkliwym w wyborze tych środków!

Stefan przypomniał sobie to wszystko i uznał, że były to rady bardzo praktyczne!

Podgarnął włosy i stanął przed biórkiem, aby jeszcze raz te hieroglify przejrzéć!

— Hm! — rzekł do siebie—jak widać są to ludzie pewnego wpływu. Może to właśnie do mego szczęścia należy, że te wpływy za pomocą Pauliny uzyskam!.. Cóż na tém zależy, jakiemi drogami szczęście do nas przychodzi, jeżeli tylko przyjdzie?..

Po chwili rozjaśniła się twarz jego, skrupuły znikły, a przyszłość była przed nim różowa!

Przeszedł się kilka razy, a w krokach jego było widać pewną otuchę.

Teraz, mając już niejako prawdziwą sytuacyę Pauliny, jak mniemał, przed sobą, zaczął się nad tém zastanawiać, jak go ona przyjęła.

Zdawało mu się, że z razu zaniepokoiła się jego widokiem. Towarzysz taki lat jéj dziecinnych, jakim był Stefan, mógł być dla niéj niewygodnym w stolicy. Być może, że ona pewną tajemnicą pokryła tutaj przeszłość swoją, a on mógłby czasem wymówić się... Z tego wypływało, że potrzeba jej jego sojuszu, a z tego położenia przymusowego mógł dla siebie korzystać i jéj możliwe wpływy spożytkować.

Chwilową jéj sentymentalność wziął poprostu za oznakę niepokoju, jakim ją jego nagły widok napełnił. Chciała tym sposobem odnowić dawne wspomnienia, aby jéj w niczém roli dzisiejszéj nie psuł.

Tak sobie teraz to wszystko przedstawił i właśnie cały przegląd myśli dzisiejszych ukończył, gdy drzwi się otworzyły a do pokoju wsunęła się Niemka z tym samym figlarnym uśmieszkiem i oświadczyła mu, że pani prosi go na herbatę.

Gdy Stefan do saloniku przyszedł, zastał Paulinę siedzącą na fotelu z podpartą głową. Piękne jéj oczy były czerwone od płaczu.

— Cóż pani tak smutnego tak krótka chwila przyniosła?—zapytał Stefan.

— Być może—że pan właściwie winieneś żem płakała! — odpowiedziała gniewnie.

— Byłoby to dla mnie bardzo wielkiém zmartwieniem!

— Przeciwnie... powinieneś pan cieszyć się z tego!..

— Słowa pani są nader zagadkowe. Spodziewam się, że mi zechcesz choć niektóre rzeczy wyjaśnić!

— Sama czekam niecierpliwie téj sposobności... ale chodźmy do herbaty!

I podniosła się zgrabnie z fotelu, a Stefan z fantazyą podał jéj ramie.

Przeszli do jadalnego pokoju. I ten pokój był nader stosownie urządzony.

Na środku był stół nakryty na dwie osoby, ale na nim stało tyle dobrych rzeczy, jakby na jakiém weselu!

Stefan, który tydzień cały był na skromnéj strawie u krewnego Hohenstauffów, a przez trzy dni ostatnie żył tylko kawą i kawałkiem zimnego mięsa, uczuł nagle niewysłowione rozkosze gastronomiczne, gdy ujrzał najprzód kawał indyka z truflami, kompót z wyszukanych owoców, majonez z kapłona, sér francuzki i całe stosy najznakomitszych ciast i cukrów. Prócz tego widział kilka butelek ciemnego i jasnego wina najlepszych francuzkich gatunków, a jako korona tego wszystkiego stało w środku olbrzymie srebrne naczynie, z którego pomiędzy bryłami lodu wyglądała gruba szyja od flaszki z korkiem starannie umocowanym. Gdzieś z kąta słychać było syk samowaru.

Stefan zapomniał o wszystkich skrupułach, jakie przed chwilą go naszły i rozpromieniony szczęściem i przyszłą rozkoszą gastronomiczną usiadł do stołu, jakby klękał do ślubu.

— Czy majoneza, czy rulady? — zapytała Paulina z wdziękiem arystokratycznym.

Zaiste, Stefan nigdy nie spodziewał się, aby z wnuczki staréj Gewontowéj mogła się stać tak przyzwoita baronowa, która przy otoczeniu tak wykwintnéj zastawy, wyglądała rzeczywiście nie jak baronowa, ale jak księżna.

I uginając się pod tym urokiem, który u niego miał zawsze wielką wagę, wziął Paulinę za drobną rączkę i za zgotowanie dzisiejszego szczęścia, serdecznie ją ucałował.

Paulina odwzajemniła ten pocałunek uściśnieniem ręki, i rzekła:

— A teraz muszę panu powiedzieć, że ten baron, który w téj chwili do łez mnie namartwił,... to mój mąż przyszły!

— Przyszły mąż pani?—powtórzył Stefan połykając spory kawał indyka.

— Tak jest,... tylko widzisz pan... on ma jeszcze żonę!

— Ma jeszcze żonę!.. tam do kata!.. *Fräulein*, proszę mi podać komputu... albo nie, pierwéj sałaty!... Ma żonę ten baron!

— I to całe moje nieszczęście, które mnie bardzo wiele zmartwienia kosztuje!

— W saméj rzeczy, nie małe zmartwienie!... *Fräulein*, czyby nie można téj butelki otworzyć? Chateau la Fitte!

Niemka odkorkowała butelkę i nalała mu w kieliszek ciemno-wiśniowego płynu.

— Więc ten baron ma żonę?—rzekł Stefan popijając wino—tam do kata, jakim sposobem przyszedł on do téj żony?... *Fräulein*, proszę o majonez... octu i oliwy!

— Ożenił się z nią przed laty dwudziestu!

— Przed laty dwudziestu!. Do kata!.. I ta żona tak długo egzystuje!

— Od kilku lat lekarze przepowiadają jéj koniec, ale dotąd nie sprawdza się ta przepowiednia!

— Głupia kobiéta! Jakto? Czy nie wierzy w umiejętność medycyny?.. *Fräulein*, proszę o drugi kieliszek!.. Wino wyborne, ma bukiet!... Więc ta żona barona...

— Ta żona barona jest chorą na suchoty i wygląda już teraz jak nieboszka!

— Chora na suchoty!.. Wszak w marcu powinna była umrzéć! W tym miesiącu zazwyczaj wyprowadzają się z tego świata suchotnicy... Czyż ona o tém nie wié?

— Baron jest tak poczciwy, że otacza ją wszelkiemi wygodami!

— I zapewne nie każe jéj mówić kiedy jest miesiąc marzec!.. Proszę jeszcze kapłona!.. Więc ten baron jest taki zacny i poczciwy człowiek! Proszę, tegobym się nie spodziewał!

— Ach to dobroć i zacność chodząca!.. tylko czasem trochę nudny!

— Trochę nudny?.. to nic! Trafia się to najzacniejszym i najlepszym ludziom!

— Byłoby wszystko dobrze, gdyby tylko żona jego nie była taką zazdrosną!

— Zazdrosną?.. Czy oszalała? kobiéta, która w marcu już powinna była umrzéć, jest w sierpniu jeszcze zazdrosną!

To rzecz niesłychana! Biédny baron! Proszę teraz komputu.

— Baron kazał mi z magazynu przynieść fijołkowego aksamitu na kostium cieplejszy, a ona dowiedziała się o tém i aksamit dla siebie zabrała!

— Ach to już istna waryatka! Kobiéta, która według wyroku lekarzy od kilku lat już nie żyje, która w marcu zapomniała lokal ziemski opuścić... kobiéta ta bierze aksamit fijołkowy na kostium! Nie, to rzecz nie do uwierzenia!.. na honor, nie do uwierzenia!.. *Betty*, proszę jeszcze kieliszek!

— A baron to taki poczciwy! Wyobraź pan sobie, całą tę wieczerzę kazał z hotelu przynieść w téj nadziei, że razem będziemy to jedli, a gdym mu powiedziała, że dzisiaj mam migrenę i chciałabym sama pozostać, nie powiedział ani słowa, tylko zaraz się wyniósł!..

— Ach, to zacny, nieoceniony człowiek! Jestem mu wdzięczny aż do końca życia!..

— Pamiętaj pan, abyś mu kiedy jakiego zmartwienia nie sprawił!

Paulina wychyliła przy tych słowach pół kieliszka wina i pogroziła Stefanowi różowym paluszkiem.

Stefan uchwycił ten paluszek i ucałował; po chwili odrzekł ze śmiechem:

— Stosunki nasze będą nader przyjazne, jeśli z jego strony nic zajdzie jaka zmiana, to jest, jeżeli pozostanie takim jakim się dzisiaj na wstępie mi okazał!..

Po szóstym kieliszku otarł Stefan usta serwetą z cyfrą barona, wyciągnął nogi pod stół i odetchnął głęboko jak człowiek szczęśliwy. W téj chwili strzelił korek z butelki, i zawsze uśmiechnięta niemka nalała zgrabnie musującym płynem dwa wysokie kielichy.

Stefan i Paulina wzięli kielichy do ręki.

— Więc na zdrowie szanownego barona i przyszłéj małżonki jego — zawołał Stefan.

— Na zdrowie i powodzenie przyjaciela z lat młodych i szczęśliwych! — odpowiedziała Paulina i szybko zakryła oczy czarnemi rzęsami, bo coś w nich zamigotało jakby krople łez...

Wychylono kielichy. Gdy Stefan postawiwszy kielich na stole na Paulinę spojrzał, ujrzał ją dziwnie zmienioną.

Twarz jéj zarumieniła się, ciemne plamy wystąpiły na policzkach; oczy piwne były zmącone, jakby strumień łez przepłynął przez nie i osad jakiś tam zostawił.

Stefan był pewny, że to wino na wrażliwą kobiétę tak działało.

Paulina kazała sobie drugi kieliszek nalać: Stefan nie zostawił jéj saméj.

Wypito po drugim kieliszku, ale tym razem bez toastu.

Niemka podała Stefanowi cygara a Paulinie papierosy.

— Kiedy usta mamy nieco wolniejsze—ozwał się Stefan—chciej mi teraz pani bliżéj coś powiedzieć o tym nieoszacowanym baronie, rozumié się, jeśli na przyjaźń dawnego przyjaciela chcesz pani liczyć.

— Na przyjaźń pana liczę—odpowiedziała Paulina—i spodziewam się nawet, że mogą nadejść okoliczności, gdzie obopólnie będziemy od siebie żądać dowodów przyjaźni!..

— Zdaje się, że ja pierwszy zacznę dopominać się o to! —wtrącił Stefan z uśmiechem.

— Tém więcéj mnie pan zobowiążesz! – odpowiedziała Paulina i ścisnęła mu rękę.

Kilka chwil zapanowało milczenie. Zdaje się, że oboje myśleli nad temi dowodami przyjaźni.

— Otóż wracam do barona—przerwała milczenie Paulina—i muszę panu bliżéj nieco ten mój stosunek do niego określić, bo przy wieczerzy, mogliśmy tylko pół słowami rozmawiać... Jak widzisz pan, ten baron jest żonaty, a stosunek uczuciowy z podobnym człowiekiem uważa zwykły świat za pewne wykroczenie, albo przynajmniéj za lekkomyślność!

Stefan wyciągnął rękę i posunął nią kilka razy w powietrzu tam i nazad, co miało oznaczać, że z tém zdaniem zwykłego świata wcale się nie zgadza. Paulina mówiła dalej:

— Trzeba bliżéj wglądnąć w świat dzisiejszy kobiecy, aby należycie ocenić podobne postępowanie jak moje. Obyczaj srogi i średniowieczny nakazuje nam zamykać się w naszych więzieniach, czy one nazywają się domem rodzicielskim, czy inaczéj.... i czekać tam zmiłowania bożego, póki nie zapuka jaki mężczyzna i o pannę się nie oświadczy!.... Obyczaj ten powiada, że panna jest jak klejnot drogi, który każdy znajdzie, kto klejnotu szuka!.... Tymczasem jest to

obyczaj najzgubniejszy dla nas!.... Tysiące ludzi pomija nas, nie widzi, a nam nie wolno samym iść im w oczy!.... Gdybym była do dziś dnia u babki została, byłabym.... starą panną.. Wprawdzie miałabym reputacyę bardzo uczciwéj, bogobojnéj .....staréj panny!... Stara panna... to nie jest śmieszność, jak niektórzy z pismaków ją przedstawiają, to—tragedya!..... A do takiéj tragedyi nie miałam ani sił ani chęci!.... Zerwałam więc z tym starym, srogim obyczajem i wyszłam w świat, aby tutaj śród walki zdobyć sobie szczęście, do jakiego miałam prawo!..... Szczęście to, jak panu mówiłam, chciałam zdobyć sercem, ale przekonałam się, że to towar na dzisiejszéj giełdzie życia nie notowany!.... Doznałam różnorakich rozczarowań, po których nic innego nie pozostało, jak zmierzać do portu, jeśli nie szczęścia, to przynajmniéj spokoju, takiémi drogami, które tam prowadzą!..... Baron człowiek już nie młody—żona jego od kilku lat skazana przez lekarzy na śmierć—cóż jest w tém tak nadzwyczajnego, jeśli naprzód wyciągnęłam rękę po szczęście moje, aby mi potém nie uszło?. Życzę baronowéj jak najdłuższego życia—mogę czekać.

Stefan nalał nowe kieliszki i jeden z nich podał Paulinie.

— Byle tylko to czekanie nie było turbowane przez kobietę, która wedle wyroku lekarzy nie powinna już dawno nikogo turbować na świecie!—rzekł Stefan i uderzył w kieliszek Pauliny.

— Teraz znasz pan całą moją sytuacyę—ozwała się Paulina—i spodziewam się, że pozostanie między nami stosunek prawdziwéj przyjaźni, jeśli inaczéj się nie stało!

Stefan uścisnął podaną rączkę i odpowiedział:

— Sytuacya pani jest mi teraz znaną, chodzi obecnie o to abyś pani moją poznała. Da się ona streścić w kilku słowach: nie mam, na dzień jutrzejszy ani złamanego szeląga!

— Możesz pan do mnie przychodzić na obiady a czasem na wieczerzę: *Betty* powié kiedy pana nie będę mogła przyjąć u siebie.

— Obiady i herbata w towarzystwie pani są dla mnie prawdziwą rozkoszą, ale te jeszcze nie zaspokoją wszystkich moich potrzeb! Możeby pani miała jakie wpływy....

— Wpływy?.... możeby się znalazły.... trzeba się jednak najprzód porozumieć, w jakim zawodzie.....

— O zawodach tutaj myśléć nie można, bo ja właściwie do żadnego zawodu nie sposobiłem się.... ale tak.... możeby jakie wyższe znajomości.... ręczę pani że przy takich znajomościach łatwiéj jest czasem w jednéj minucie zrobić cały majątek, niżeli przy pracowitym jakim zawodzie w dziesiątkach lat!....

— Więc pracy jakiéj codziennéj nie chciałbyś pan się podjąć?

— Uchowaj Boże! Alboż ja wół, abym w pługu cały dzień orał?

Paulina zamyśliła się: uśmiech zadowolenia przebiegł po jéj zarumienionéj twarzy.

— Nie chciałbym— mówił daléj Stefan, wypiwszy świeży kieliszek szampana—nie chciałbym jak pracowity nurek spuszczać się na dno morza i tam brodzić w błocie za jaką perłą; ale chciałbym pohulać na wysokich falach życia, gdzie czasem wprawdzie tylko pianką się żyje, ale gdzie można także ułowić jaką zdobycz, która nam piankową strawę sowicie wynagrodzi!

Paulina uśmiechnęła się. Wypiła resztki z kieliszka i rzekła:

— Takie życie ma rzeczywistą ponętę, chociaż czasem trzeba być przygotowanym na niemiłe niespodzianki!

Stefan przypomniał sobie liberyą na kołku u Fichtenaua!

— Pojmuję to wszystko—odparł—ale lepiéj być zawsze sztabowym oficerem niż prostym żołnierzem. Gdy bitwa przegrana, to tak samo sztabowy oficer nogami zbiera jak prosty żołnierz; ale za niejaki czas sztabowy oficer będzie znowu oficerem, podczas gdy prosty żołnierz znowu prostym zostaje!

— Masz pan słuszność.... ale trzeba najpierwéj myśléć o wyekwipowaniu tego oficera!

— Do tego właśnie zdążam! Mówiłem pani że jestem bez szeląga!

— Na niejaki czas mogę panu dopomódz, ale trzeba na przyszłość o czémś pomyśleć.

Paulina po tych słowach wyjęła z kieszonki elegancki pugilaresik.

— Tymczasowo pożyczam panu tę bagatelkę—rzekła i wsunęła mu do ręki bilet bankowy.

Stefan nie wiedział jakim sposobem to się stało, ale—zarumienił się.

Zmiął bilet bankowy w ręku i rzucił go do kieszeni.

Kilka chwil panowało milczenie. Stefan stracił jakoś nagle wątek do rozmowy. Zamyślił się, a czoło jego pofałdowało się pod ciężarem jakiéjś myśli.

Potém przypomniał sobie, że tu przedewszystkiém nie chodzi o żadne myśli, ale o *jutro*, ktorego idąc tu nie miał wcale, a ten bilet bankowy może mu przynajmniéj kilka takich juter zapewnić.

Pierzchły więc przy téj ostatniéj myśli wszystkie skrupuły i uprzedzenia. Nalał nowe kieliszki, podał jeden Paulinie a drugi sam wziął do ręki i rzekł:

— Na wysokich falach życia używajmy szczęścia, gdy nas ta fala pod niebo wynosi, bo być może, że nas za chwilę w bezdenną przepaść strąci! Zdrowie pani!

— Jest na to sposób: aby nie upaść w przepaść, trzeba być lekkim! Zdrowie pana!

— Zycie na żart, to rozkosz—na seryo, to trud!

Po tych filozoficznych aforyzmach przy szampanie nastąpiła dłuższa pauza.

Oboje widocznie byli z siebie zadowoleni. Nastąpiło jakieś ostateczne porozumienie między niémi, które jednéj i drugiéj stronie obiecywało korzyści.

— A teraz dla najbliższéj przyszłości pana—ozwała się Paulina—mam naprędce mały planik. Nie jest to nic tak wielkiego, ale zawsze może być do niejakiego czasu punktem oparcia dla pana!

— Słucham z całą uwagą!

— Znam tutaj pewną damę, węgierkę z rodu, która jest nadzwyczaj bogatą.

Stefan zatarł ręce.

Dama ta nie jest młodą, ale jest sama i nudzi się. Lubi nadzwyczaj towarzystwo męzkie, i codziennie można u niéj zjeść dobry obiadek i wyśmienitą wieczerzę. Prócz tego znaleźć tam można liczne towarzystwo, co panu ułatwi różne

znajomości. Ja ją jutro uprzedzę i zapowiem wizytę pana. Tylko *il faut se faire beau*—dodała z uśmiechem—bo dama lubi bardzo przystojnych!

Stefan założył nogę za nogę, ręce wetknął pod ramionami do kamizelki i odparł:

— Znam ja już wybornie takie towarzystwa! To są nieocenione *restaurant-caffe*, gdzie można wybornie jeść, znakomite cygara palić i w dodatku za to nic nie płacić!

— Przeciwnie, dama ta jest tak dobroczynną, że czasem można zrobić znaczną pożyczkę!

— Ach to nieoceniona dama! Czy nie należy ona do towarzystwa dobroczynności?.... Ale żart na bok. Ostatni kieliszek!.... Dotąd miałem w sercu żal do kobiét, że nie kochają, że nie są zdolne wyższych uczuć; dzisiaj cofam to wszystko i powiadam, że są aniołami!

Uderzył w kieliszek Pauliny i oboje wychylili duszkiem na cześć tego toastu.

Ponieważ już była godzina późna, wstał Stefan, ucałował drobną rączkę Pauliny, a filuterna niemka już stała z gotową świecą, aby szczęśliwego człowieka z wyżyn szczęścia sprowadzić na ulicę.

— Przyjemnych snów!—rzekła przez szparę drzwi za nim Paulina i znikła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O PORACH ROKU

W NASZYM KLIMACIE I O WAŻNOŚCI NARODOWYCH PRZYSŁÓW METEOROLOGICZNYCH.

PRZEZ

Wł. Witkowskiego.

(Z rysunkiem).

Każda okolica ma sobie właściwy klimat, który zależy od temperatury, kierunku wiatrów panujących, gęstości i wilgoci powietrza otaczającego i innych okoliczności.

Od tychże rozmaitych okoliczności zależą zmiany w własnościach pór roku, tak że pod względem klimatycznym podział roku na pory, musi być różny dla każdéj miejscowości.

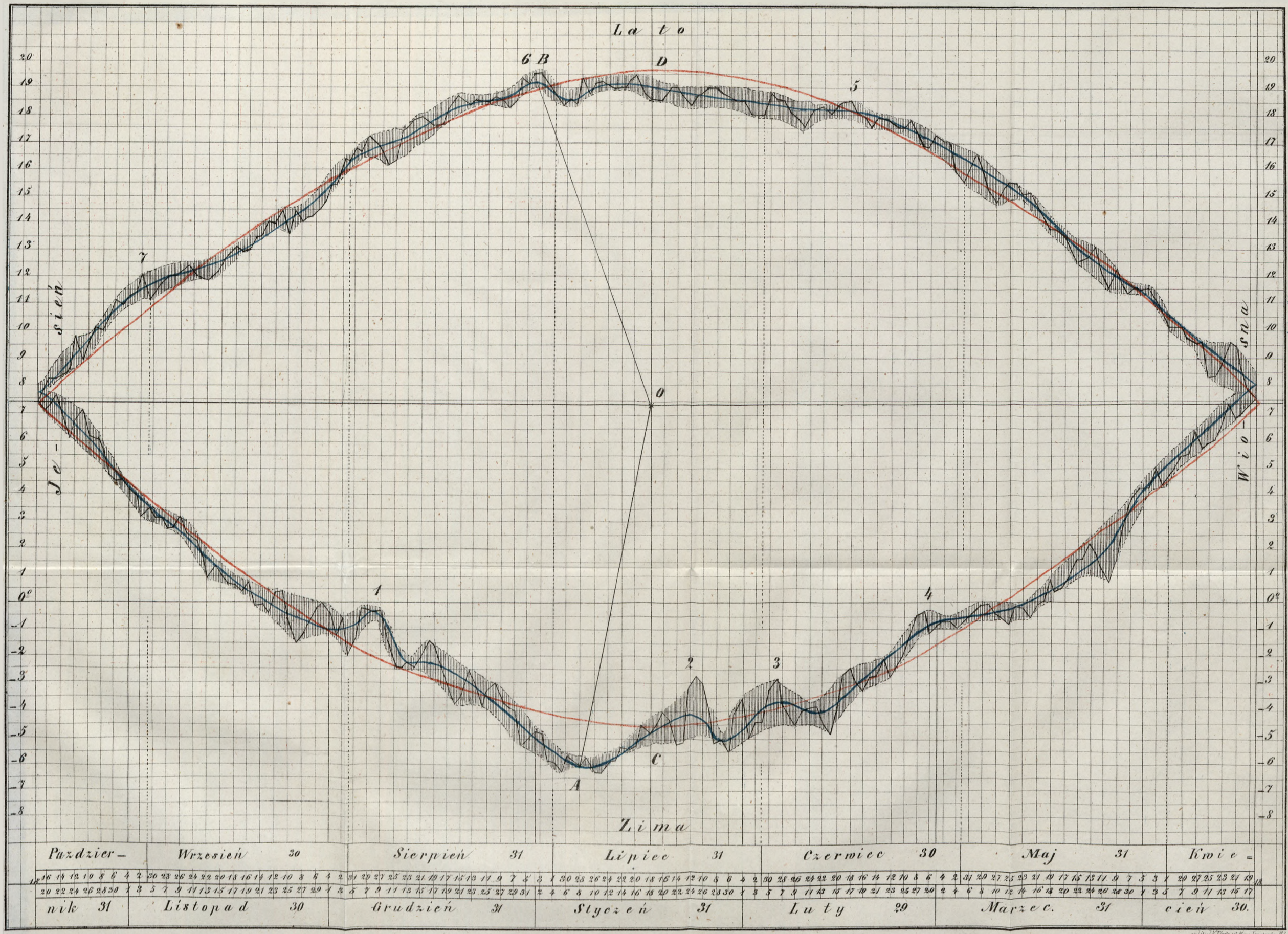
Bliżéj tém u nas zajmował się tylko jeden p. Jastrzębowski, i przedstawił swój podział w „Karcie klimatologicznéj Warszawy;“ zresztą przedmiot ten nie został dostatecznie przez niego rozpoznanym.

Dlatego w niniejszéj pracy podjęliśmy na nowo to zadanie, starając się oprzeć na stałych zasadach podział roku, zbadać ważność przysłów narodowych meteorologicznych, i wskazać o ile one zgodne są z rzeczywistemi zmianami naszego klimatu.

§ I.

Oznaczenie rachunkowe i graficzne średniego stanu temperatury Warszawy.

Postrzeżenia meteorologiczne prowadzą się w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém od czterdziestu czterech lat dokła-


Lato
Zima
Jesień
Wiosna
6 B
D
5
7
0
1
2
3
4
A
C
20 19 18 17 16 15 14 13 12 11 10 9 8 7 6 5 4 3 2 1 0° -1 -2 -3 -4 -5 -6 -7 -8
Październik 31
Wrzesień 30
Sierpień 31
Lipiec 31
Czerwiec 30
Maj 31
Kwiecień 30
Listopad 30
Grudzień 31
Styczeń 31
Luty 29
Marzec 31

dnie. Jakkolwiek mały to peryod lat, w porównaniu z zasiedleniem pewnéj okolicy, w porównaniu z przyczynami które działają na zmiany każdego fenomenu meteorologicznego, i chociaż średni stan dzienny z takiéj epoki przedstawia wiele nierówności, jednakże można już zawsze uchwycić pewne ogólne prawa pośrednie, między temi nierównościami, będące średnim wypadkiem, około którego wypadki w epoce obejmującéj lata obserwacyi będą krążyły czyli oscylowały.

Z postrzeżeń meteorologicznych, czynione nad temperaturą czyli zmianami ciepła w ciągu całego roku są najważniejszemi; od nich zależą pory roku, wszelkie czynności gospodarcze, prawa agronomiczne, wzrost roślin, przylot i odlot ptastwa wędrownego i tysiące innych fenomenów; one téż mogą tylko stanowić podstawę naszych badań w obranym tu przedmiocie.

Wypada więc znaleźć prawo pośrednie biorąc za podstawę postrzeżenia z lat 36, od roku 1826 do 1861 średnich wysokości dziennych termometru stu stopniowego Celsiusza, które to wysokości stanowią stan średni ciepła z 36 lat.

W tym celu wyobraźmy sobie walec prosty, na podstawie kołowéj, obwód któréj podzielony na 366 części równych, odpowiadających dniom roku przestępnego. Z każdego tego podziału wystawmy sobie wyprowadzone linie proste na powierzchni walca, prostopadłe do podstawy i na tych liniach odetnijmy według dowolnéj podziałki stopnie średniéj temperatury każdego dnia, a łącząc punkta odcięte liniami prostemi, utworzymy na powierzchni walca linię krzywą łamaną, która jest średnią między 36 krzywemi, jakiebyśmy otrzymali, kreśląc takież krzywe dla każdego roku w szczególe.

Następnie walec taki rozciągając na płaszczyznę, bez przecięcia go, czyli spłaszczając, przez dwa zgięcia na liniach odpowiednich 18 Kwietnia i 18 Października, otrzymamy płaszczyznę którą przedstawia rysunek tu dołączony.

Na linii poziomej u dołu są w kierunku powrotnym oznaczone dnie i miesiące roku; na liniach poziomych odcięte stopnie temperatury średniéj z lat 36 każdego dnia; a linia krzywa ztąd otrzymana, jak widzimy przedstawia wszystkie temperatury w ciągu roku średniego; jest zygzakowata, a między każdemi dwoma jéj punktami najwyższemi, leży jeden punkt najniższy i odwrotnie: najwyższe zowią się maxima, najniższe minima. Linia ta przedstawia więc równą liczbę maximów i minimów, które wszystkie zlewają się do dwóch głównych punktów na krzywéj: jednego maximum u góry, letniego, drugiego minimum u dołu, zimowego.

Z własności ruchu peryodycznego zastosowanego do temperatury, wypadają następujące prawa:

1. Im większą liczbę lat obejmują obserwacye, tém średnie z nich zbliżają się więcéj do stanu średniego i normalnego; a ztąd koniecznie nierówności w krzywéj muszą niknąć, czyli liczba maximów musi się zmniejszać.

2. Gdy krzywa w jakiémkolwiek maximum lub minimum doznaje znacznego podniesienia lub zniżenia, to koniecznie dla równowagi i utrzymania tejże saméj średniéj rocznéj temperatury, musi doświadczać przeciwnie zniżenia lub podniesienia w następném minimum lub maximum.

3. Gdy krzywa w jakiémkolwiek maximum lub minimum, doświadcza znacznego podniesienia lub zniżenia, to koniecznie dla równowagi i utrzymania tejże saméj temperatury średniéj rocznéj, jeżeli nie doświadcza zniżenia lub podniesienia w następném minimum lub maximum, musi przynajmniéj doświadczać zniżenia lub podwyższenia w dalszych maximach lub minimach, i tak następnie.

Opierając się na pierwszém prawie, połączmy maxima jedną linią łamaną, a minima drugą: otrzymamy nowe dwie linie, między któremi zawarte są zmiany temperatury.

Na rysunku te linie oznaczone są końcami kresek, stanowiących tło między temi liniami zawarte. Prowadząc krzywą ciągłą pośrednią między niemi, która jest oznaczona na rysunku linią grubszą czarną, dostrzeżemy, że linia ta obejmuje wszystkie główniejsze zmiany temperatury, i ona to będzie podstawą dalszych naszych badań. Dla tego opiszemy ją szczegółowo.

Linia ta dość jest regularną w swym biegu, szczególniéj w części letniéj, od połowy Marca aż do końca Września, a nawet do połowy Listopada; i tylko od połowy Listopada do połowy Marca w części zimowéj, przedstawia cztery wielkie nierówności oznaczone liczbami 1, 2, 3, 4, to jest: cztery gwałtowne zniżenia i podwyższenia temperatury. Krzywa ta przedstawia *stan średni temperatury*.

Nakoniec gdybyśmy wyobrazili sobie krzywą pośrednią tak poprowadzoną, aby wszystkie jéj punkta leżały na jednéj płaszczyznie, przecinającéj walec, i aby znikły wszystkie nierówności, — krzywa taka, otrzymana przez rachunek (patrz przypisek 1), wypadnie tak, jak jest oznaczona na rysunku kolorem czerwonym.

Krzywa ta ma jedno maximum letnie i minimum zimowe, i będzie przedstawiała temperaturę średnią: jak gdyby wszystkie nierówności linii złamanéj znikły. Ma ona téż tę własność, że średnia roczna temperatura jest na dwóch przeciwnych końcach linii poziomej, przechodzącéj przez środek O walca, a maximum i minimum leżą na końcach drugiéj linii C. D. do tejże prostopadłéj, przechodzącéj także przez tenże środek. Stan temperatury jaki ta krzywa przedstawia, nazwiemy dla różnicy od powyższego *stanem normalnym tempeartury*.

Linia ta, jako zupełnie foremna, będzie nam służyła do oznaczenia wszystkich nierówności linii niebieskiéj.

Jakoż z samego rysunku, uważając bieg tych linij: czarnéj i czerwonéj, otrzymamy główne punkta tych krzywych a mianowicie:

	Stopnie temperat.	Dnie na krzywéj czarnéj.	Dnie na krzywéj czerwonéj.
Minimum temperatury	—6,° 12	8 Stycznia	—
	—4, 80	—	18 Stycznia
Temperatura zero	0, 00	16 Marca	11 Marca
„ średnia . . .	7, 36	15 Kwietnia	18 Kwietnia
„ wyższa . . .	17, 00	5 Czerwca	10 Czerwca
Maximum temperatury	19, 12	4 Sierpnia	—
	19, 52	—	18 Lipca
Temperatura wyższa . . .	17, 00	27 Sierpnia	26 Sierpnia
„ średnia . . .	7, 36	20 Paździer.	18 Paździer.
„ zero	0, 00	21 Listop.	25 Listop.

Jeżeli poprowadzimy przez punkt O, jako środek rysunku, dwie linie: poziomą i pionową, pierwsza podzieli rok na dwie połowy: letnią i zimową; druga na jesienną i wiosenną.

Porównywając linię czarną z linią czerwoną, czyli stan średni z normalnym stanem temperatury, widzimy, że w ogóle pierwsza przedstawia minimum zimowe większe a maximum letnie mniejsze od normalnego stanu, i posunięte oba ku stronie jesieni; tak że połowa wiosenna jest o 26 dni większa od jesiennéj.

Te zniżenia w lecie i zimie są wynagrodzone podniesieniem temperatury z wiosną i jesienią.

W ogóle linia czarna przecina linię czerwoną, wznosi się nad nią 7 razy, i przedstawia 7 większych zmian oznaczonych liczbami 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, które względem stanu normalnego przedstawiają siedm maximów i tyleż minimów; z tych w półroczu letniém trzy maxima i dwa minima, w półroczu zimowém cztery maxima i pięć minima, tak że w półroczu zimowém krzywa przedstawia aż pięć gwałtownych zniżeń temperatury.

Te siedm wielkich zmian trzeba dobrze rozróżnić od pojedyńczych oscylacyjnych zmian; gdyż one należą do krzywéj termicznéj, i są własnością naszego klimatu, gdy drugie zmieniają się rok rocznie.

Do takich wypadków doprowadzają nas 36 letnie postrzeżenia, ściśle naukowo prowadzone; teraz przejdźmy do ich zastosowania.

§ II.

Pory roku.

Nim przystąpimy do oznaczeniu pór roku w naszym klimacie i średniéj ich temperatury, musimy zastanowić się jakim winien być pod względem temperatury podział roku.

Jakkolwiek temperatura miejsca zależy ściśle i głównie od pozornego ruchu słońca na około ziemi po ekliptyce, sprowadzającego dwie główne zmiany: maximum letnie i minimum zimowe, to jednakże ten ruch jako główna przyczyna, nie może być podstawą podziału roku, albowiem zmiany główne ciepła przypadają po zmianach głównych położeń ziemi na ekliptyce.

Dlatego podział roku astronomiczny nie może mieć żadnego znaczenia w meteorologii. Jakoż meteorologowie, bacząc iż największe zniżenie temperatury zimowe przypada około 15 Stycznia, biorąc więc ten dzień za środek zimy i dzieląc rok na 4 części równe, liczą początek roku od 1 Grudnia, i według tego porę zimową składają miesiące, Grudzień, Styczeń i Luty, wiosenną Marzec, Kwiecień i Maj; letnią Czerwiec, Lipiec i Sierpień, a jesienną Wrzesień, Październik i Listopad. I ten jednak podział nie przedstawia jeszcze dokładnie pór roku: albowiem nie jest prawdą aby w każdem miejscu najniższa temperatura przypadała 15 Stycznia. Jakoż widzimy, że w naszym klimacie najniższa temperatura przypada 8 Stycznia, a więc o 7 dni wcześniéj.

Podział roku pod względem temperatury może być dwojaki: albo na równe części długości roku, a wtedy każda część będzie przedstawiała różną temperaturę średnią i graniczną; lub też według pewnych stałych punktów temperatury. Pierwszy system nie daje nam pojęcia tego fenomenu i nie dozwala dokładnie porównywać z sobą fenomena różnych miejsc, z przyczyny że w miejscach bliżéj bieguna dział lata zajmować musi części należące do wiosny i jesieni, a nawet do zimy, gdy przeciwnie bliżéj równika dział zimy zajmie część lata.

Drugi podział roku, według pewnych stałych punktów temperatury, oznaczających granice zimy i lata, jest najodpowiedniejszym wszystkim wymaganiom nauki (patrz przypisek 3), pozwala z łatwością porównywać temperaturę różnych miejsc na kuli ziemskiéj, i może mieć zastosowanie pod względem klimatologicznym, botanicznym, gospodarskim i t. p.; jak to w dalszym ciągu wykażemy.

Termometra nasze podają jeden punkt, stały tym jest 0° temperatury; a linia poprowadzona przez ten punkt odcina nam na rysunku część zimową, tak że zima zaczyna się gdy temperatura zniża się do zera, i trwa dopóty, dopóki znowu się podniósłszy nie przyjdzie do zera. Drugi punkt nie jest tak łatwy do oznaczenia; jednakże uważając że średnia temperatura najwyższa dochodzi 34°, przeto połowę jéj 17° można wziąć za drugą granicę: tak że znowu prowadząc przez podział 17° linią poziomą, odetniemy część letnią, która zacznie się gdy ciepło dochodzi 17° i trwać będzie aż do czasu, gdy znowu temperatura zniży się do 17°. Dwie zaś części krzywéj, między temi liniami poziomemi 0° i 17° zawarte, będą należeć do pory jesiennéj i wiosennéj (1).

(1) Obszerniéj patrz przypisek Nr. 3.

Tym sposobem pory roku będą cechowane właściwym stopniem temperatury, i możemy nazwać podział ten dla różnicy od przyjętego przez meteorologów *podziałem klimatologicznym*, a pory roku *klimatologicznemi*.

Stosując to do naszego stanu temperatury, otrzymamy więc najprzód podziały na dwa półrocza: letnie i zimowe, podzielone linią średnich rocznych temperatur; które dla stanu normalnego są równe sobie, a dla stanu średniego z 36 lat przypadają:

Półrocze zimowe od 20 Października do 15 Kwietnia, dni 178. Półrocze letnie od 15 Kwietnia do 15 Października, dni 188, i zimowe krótsze od letniego o dni 10.

Prowadząc linię przez maximum i minimum temperatury, podzielimy rok na dwa nierówne półrocza: jesienne i wiosenne:

Półrocze wiosenne od 8 Stycznia do 4 Sierpnia, dni 210. Półrocze jesienne od 4 Sierpnia do 8 Stycznia, dni 156, i znowu wiosenne dłuższe od jesiennego o 46 dni.

Następnie przyjmując 0° za granicę zimy, a 17° za granicę lata, otrzymamy następny podział klimatologiczny roku.

Według stanu normalnego: (linii czerwonéj).

	GRANICE		TRWANIE	
	Początek	Koniec	Dni	Mies.
Zima.	25 Listop.	11 Marca	107	$3\frac{1}{2}$
Wiosna	11 Marca	10 Czerw.	91	3
Lato.	10 Czerw.	26 Sierp.	76	$2\frac{1}{2}$
Jesień	26 Sierp.	25 Listop.	92	3

Zatém według stanu normalnego temperatury, lato jest krótsze, a zima w naszym klimacie dłuższa o pół miesiąca.

Według zaś stanu średniego: (linii niebieskiéj).

	GRANICE		TRWANIE	
	Początek	Koniec	Dni	Mies.
Zima.	21 Listop.	16 Marca	116	$3\frac{3}{4}$
Wiosna	16 Marca	5 Czerw.	81	$2\frac{3}{4}$
Lato.	5 Czerw.	27 Sierp.	83	$2\frac{3}{4}$
Jesień	27 Sierp.	21 Listop.	86	$2\frac{3}{4}$

Zatém według stanu średniego, wiosna, lato, jesień, są prawie równe, a zima najdłuższa, i zajmuje $3^3/_4$ miesiąca; zima więc dłuższa u nas o cały miesiąc od innych pór roku.

Rok przeto klimatologiczny a nawet meteorologiczny powinien się u nas liczyć od 21 Listopada, lub 16 Marca.

Obliczając średnią temperaturę pór roku według stanu normalnego otrzymamy:

Temperatura	zimy	— 3°, 29*C*
„	wiosny	8°, 83
„	lata	18, 59
„	jesieni	8, 83

Według stanu średniego:

Temperatura	zimy	— 2, 92*C*
„	wiosny	9, 13
„	lata	18, 37
„	jesieni	8, 94

a przyjmując w ogóle za umiarkowany ten klimat, gdzie pory te roku dzielą i rok na cztery równe części (do jakich należy klimat Drezna); klimat nasz będzie należał do zimniejszych niż umiarkowane, albowiem ma znacznie dłuższą zimę jak lato.

P. Jastrzębowski w swéj karcie klimatologicznéj Warszawy, podał podział na cztery części równe, rozkładając:

Wiosnę od 5 Marca do 5 Czerwca:	średnia temper.	6°*R*
Lato od 5 Czerwca do 5 Września	„	14°
Jesień od 5 Września do 5 Grudnia	„	6°
Zima od 5 Grudnia do 5 Marca	„	2°

Podział ten jednakże ma tę wadę co i meteorologiczny, a nadto nie zgadza się z podziałem na równe części roku; albowiem punkt najniższy temperatury przypada 8 Stycznia. Uważając ten dzień za środek pory zimowéj, podział byłby następny:

Wiosna od 23 Lutego do 23 Maja,
Lato od 23 Maja do 23 Sierpnia,
Jesień od 23 Sierpnia do 23 Listopada,
Zima od 23 Listopada do 23 Lutego.

Rozpatrując się bliżéj w rysunku, spostrzeżemy w stanie średnim z 36 lat, trojaki rodzaj maximów:

1. Jedno główne maximum i jedno główne minimum, zależące od największego wzniesienia i największego zniżenia słońca nad poziom Warszawy, przypadające 4 Sierpnia i 8 Stycznia; pierwsze z nich wypada w 40 dni po przesileniu letniém, drugie w 15 dni po przesileniu zimowém; co się łatwo tłumaczy w pierwszym razie przez większy przyrost ciepła a w drugim przez słabszy przyrost ciepła nad jego utratę.

2. Sześć drugiego rzędu maximów i minimów względem stanu normalnego, t. j. cztery w półroczu zimowém, a dwa w półroczu letniém (albowiem oznaczone liczbą 6 jest głównem maximum), któ-

re w średnim stanie stale się utrzymują, i nadają szczególną postać linii krzywéj, będącą własnością temperatury Warszawy.

Te szczególne maxima należą do przyczyn drugiego rzędu, lecz stałych, zależących głównie od kierunku wiatrów panujących. — Zimowe maxima zależą od panujących wiatrów północno-wschodnich, sprowadzających prąd powietrza zimnego od bieguna północnego; letnie od panujących wiatrów południowo zachodnich, sprowadzających deszcze, a za niemi zniżenie temperatury, które następują po tych maximach (1).

3. Nakoniec około 76 maximów i tyleż minimów trzeciego rzędu, które już zależą od przyczyn podrzędnych, dających nie wielkie zmiany, nie przenoszące dwóch stopni w średnim stanie temperatury i ciągle zmienne. Że tak jest, to wypada z peryodyczności fenomenów: albowiem ponieważ średnia temperatura roczna zostaje ciągle taż sama, bez czego zmieniłby się stan całego naszego globu, przeto wszelkie zmiany w peryodzie wieków, muszą koniecznie niknąć przy zmianie zależącéj od głównéj przyczyny; tak że gdybyśmy wzięli nieskończony peryod lat, otrzymalibyśmy tylko jedno maximum i minimum, a zatém prawo ciągłości wymaga, aby w przechodzie do tego stanu niknęły częściowo maxima pośrednie.

Na tém prawie opierając się i wiedząc, że w roku zwyczajnym jest około 120 maximów, i w roku z 36 lat 81 maximów, otrzymamy przez łatwy rachunek następujące wypadki:

Że potrzeba przynajmniéj 60 lat, aby rok średni miał połowę maximów roku zwyczajnego.

Że potrzeba 300 lat aby miał tylko $^1/_6$ część maximów roku zwyczajnego.

Że nakoniec potrzeba 800 lat, aby otrzymać stan średni, zawierający tylko 7 maximów, to jest jedno główne i 6 drugiego rzędu (patrz przypisek 2).

Ztąd jeszcze można wyciągnąć ten wniosek, że daleko jeszcze jesteśmy od peryodu lat, który może nam pokazać stan średni miejscowości: to jest aby z nich można dojść do stałych praw meteorologicznych.

§ III.

Przysłowia narodowe meteorologiczne.

Rozwiązawszy w sposób powyższy pierwsze z postawionych zadań, możemy teraz przystąpić do ocenienią ważności przysłów meteorologicznych.

(1) Patrz Cours complet de météorologie de Kaemtz traduit par Martins, Paris 1858 pag. 151, gdzie autor dowodzi istnienia biegunów zimna czasowego, powstałych podczas wiatrów panujących; jeden z takich biegunów zimowych, jest właśnie w okolicach Warszawy.

W tym celu po przejrzeniu przysłów w zbiorze podanym w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1861, tom 3, pod tytułem: „Przysłowia ludu wielkopolskiego, zawierające spostrzeżenia na różne dni miesiąca i pory roku z ust ludu zebrał Tworzymir“ — i w mniejszym podanym przez p. Wojcickiego w Kalendarzu Ungra z r. 1863 pod tytułem: „Kalendarz ludowy,“ wybraliśmy odnoszące się do naszego przedmiotu i podaliśmy dla dogodności czytelnika w przypisku 4-tym.

Utworzenie tych przysłów zdaje się sięgać nie daléj jak wieku XV lub XVI, to jest czasu zaprowadzenia u nas kalendarza nowego, które przypadło za Grzegorza XIII 4 Października 1586 roku za panowania Stefana Batorego. Tego dowodzi nam kilka przysłów, a szczególniéj pod dniem 13 Grudnia podane: „Ś-ta Łuca dnia przyrzuca,“ które odnosi się do kalendarza starego, odpowiada dziś według nowego kalendarza 25 Grudnia i zdaje się być jedném z najdawniéj utworzonych.

Wiadomo że kalendarz dawny, Juliańskim zwany, zaprowadzony w r. 44 przed Chrystusem, przyjęty następnie przez chrześcian z tą zmianą, że za początek rachuby lat, wzięto rok narodzenia Chrystusa, w którym to czasie przesilenie zimowe przypadało 22 Grudnia, z przyczyny niedość ścisłego obliczenia długości roku, cofał się o jeden dzień na 133 lat, tak, że przesilenie zimowe przypadające w początku na dzień 22 Grudnia starego kalendarza, następnie przypadło na 21, 20 i tak daléj. W czasie zaprowadzenia u nas kalendarza, przypadło na 12 Grudnia v. s., a dziś przypada już na 10 Grudnia v. s.; tak więc przysłowie powyższe wskazuje, że kiedy ono zostało utworzone, dzień 13 Grudnia v. s. musiał przypadać na 22 Grudnia n. s.; jakoż dzień ten obecnie odpowiada 25 Grudnia, w XVIII wieku odpowiadał 24, w XVII wieku 23, a w XVI wieku 22 Grudnia n. s.; to jest w wieku zaprowadzenia u nas nowego kalendarza, odpowiadał ściśle przesileniu zimowemu, a zatém przysłowie to nie mogło powstać wcześniéj jak w końcu wieku XVI, po zaprowadzeniu u nas kalendarza nowego i widocznie musiało powstać w tych stronach, gdzie pozostał w użyciu kalendarz dawny dla oznaczenia dnia przesilenia zimowego.

Temu przysłowiu odpowiada inne także z tegoż samego czasu: „Na nowy rok przybywa dnia na zajęczy skok,“ które znowu nie stosuje się do kalendarza dawnego, gdzie nowy rok przypadał na 20 dni po przesileniu i gdzie już przybywało $^3/_4$ godziny, a stosuje się do kalendarza nowego, w którym to dniu przybywa 6 minut.

Oba więc te przysłowia utworzone zostały i to koniecznie po zaprowadzeniu u nas kalendarza nowego, a zatém najwcześniéj w końcu wieku XVI.

Podobnie z dwóch innych przysłów, jedno 18 Stycznia: „Na ś-to Pryski, przebijają lód pliszki;“ drugie 29-go Stycznia: „Na Ś-go Franciszka, przylatuje pliszka.“

Pierwsze stosuje się do kalendarza dawnego, a drugie do nowego; oba te dni odpowiadały sobie w wieku XVII: dziś pomiędzy nimi jest dzień różnicy. Widocznie więc drugie powstało po zaprowadzeniu nowego kalendarza, i jest przerobieniem pierwszego, oczyszczoném z błędu upowszechnionego u ludu, jakoby pliszki zimowały pod lodem.

Zresztą sama natura przysłów tego rodzaju wymaga długich obserwacyj, zanim takowe mogłyby być uchwycone i zamienione w przysłowia. Po zaprowadzeniu kalendarza nowego, musiano je przerobić, jak tego dowody przytoczyliśmy wyżéj, i jeżeli zostały z nich jakie z dawnéj epoki, to musi ich być bardzo mało, — gdyż przerobione wyrugowały naturalnie z użycia dawne, jako niezgodne z rzeczywistością.

Ztąd nastręcza się uwaga, że przy zbieraniu przysłów tego rodzaju, potrzeba notować okolice w których one są w użyciu, dla odniesienia ich do właściwego kalendarza.

W przysłowiach zamieszczonych w przypisku 4-m, trzeba rozróżnić przedewszystkiem kilka rodzajów, a mianowicie:

1. Wskazujące pory roku.
2. Wskazujące pewne zmiany temperatury.
3. Obejmujące zamarzanie i puszczanie lodów na rzekach.
4. Postrzeżenia gospodarcze.
5. Postrzeżenia co do czasu siewu, wzrostu i dojrzewania roślin.
6. Postrzeżenia przelotu i odlotu ptastwa.
7. Nakoniec tak zwane przepowiednie (prognostyki) zmian temperatury.

Przedewszystkiem zajmiemy się rozbiorem przysłów dotyczących pór roku i pewnych zmian temperatury; wskazują one:

Początek zimy 30 Listopada.
Połowę zimy 25 Stycznia.
Koniec zimy 19 Marca, 12 Marca.
Początek lata 10 Czerwca.
Koniec lata 24 Sierpnia (1).

Dzień 25 Stycznia jest ściśle połową między początkiem zimy 30 Listopada i końcem zimy 19 Marca.

Porównywając te dane z wypadkami otrzymanemi wyżéj z obserwacyj 36 letnich, i ustawiając je razem dla porównania, mamy:

(1) Patrz w przypisku Nr. 4 przysłowie pod temiż dniami wymienione.

	Dane otrzymane z przysłów	Wypadki otrzymane z obserwacyi		Stopnie ciepła
		Stanu normalnego	Stanu średniego	
Początek zimy...	30 Listop.	25 Listop.	21 Listop.	0, 00
Połowa zimy	25 Stycz.	18 Stycz.	18 Stycz.	0, 00
Koniec zimy	19, 12 Mar.	11 Marca	16 Marca	0, 00
Początek lata....	10 Czerw.	10 Czerw.	5 Czerw.	17, 00
Koniec lata.....	24 Sierp.	26 Sierp.	27 Sierp.	17, 00

Widzimy więc, że oznaczenie pór roku w przysłowiach jest bardzo zgodne z podziałami otrzymanemi z obserwacyi; a szczególniéj zwrócić powinna naszą uwagę zgodność końca zimy, początku i końca lata, czyli początek wiosny, lata i jesieni. — Początek zimy przysłowia wskazują późniejszy.

Ztąd widzimy, że przysłowia doskonale określają pory roku, i potwierdzają, że temperatura 0° i 17° jest także podstawą podziału, nie zaś równy podział roku, jak to dotychczas się przyjmuje.

Ta zgodność wypadków jeszcze bardziéj jest uderzającą, gdy porównamy przysłowia określające szczególne zmiany temperatury ze stanem średnim, wyrażonym na rysunku przez linię niebieską.

Jakoż przysłowia obejmują, oprócz wskazujących pory roku, sześć główniejszych podniesień i trzy zniżenia temperatury, odpowiadające doskonale punktom głównym, oznaczonym liczbami na krzywéj niebieskiéj; a mianowicie (1):

Podniesienie 26 Grudnia odpowiada Nr. 1.
„ 21 Stycznia „ Nr. 2.
„ 6 Lutego „ Nr. 3.
„ 24 Lutego „ Nr. 4.

Zniżenie 19 Marca, następujące po Nr. 4.
Podniesienie 19 Czerwca następujące po Nr. 5.
Zniżenie 24 Czerwca po tymże Nr. następujące.
Podniesienie 8 Października odpowiadające Nr. 7.
Zniżenie 11 Listopada po tymże Nr.

Brakuje w tych przysłowiach wskazówki podniesienia lub zniżenia temperatury w początku Sierpnia oznaczonego Nr 6, lecz i to podniesienie wyrażone jest pośrednio w przysłowiach nazwanych przez nas prognostykami, a mianowicie: pod dniem 24 Czerw.: *Jak się Ś-ty Jan rozezuli — to go dopiéro Najświętsza Panna ututi* (2 Sierpnia N. P. Maryi Anielskiéj); zresztą podniesienie to jako główne letnie, nie potrzebuje szczegółowego oznaczenia.

(1) Patrz w przypisku Nr. 4, przysłowia pod temi dniami.

Tak więc przysłowia pod temi dniami wyrażone doskonale przedstawiają wszystkie zmiany główne temperatury, i obejmują cały bieg krzywéj niebieskiéj, wyrażającéj stan średni temperatury.

Daléj jeszcze mamy kilka przysłów, wskazujących porę deszczów i puszczania lodów na rzekach: a mianowicie około 24 Czerwca, co jest przyczyną zniżenia temperatury w tym czasie, i głównych wezbrań rzek u nas; i 12-go Marca, puszczenie lodów na rzekach. Z obserwacyj czynionych na rz. Wiśle pod Warszawą od r. 1815 do 1860, wypada, że średnie epoki zamarzania i puszczania lodów są 20 Grudnia i 6 Marc a i zajmują $69^1/_2$ dni. — Pierwszéj z tych epok odpowiada temperatura — $3^0{}^1/_2$ *C.*, drugiéj — 1^0 *C.*; przeto zamarzanie wymaga wyższéj temperatury zimna jak puszczanie; co jest zresztą naturalném: albowiem w pierwszym razie ruch wody przeszkadza zamarznięciu zupełnemu odrazu; w drugim tenże ruch przyśpiesza puszczanie lodów, zwłaszcza że wtedy przypada zawsze z powodu topnienia śniegów wezbranie wiosenne wód. Wody te wielkie, w końcu Marca zdarzające się, zaraz po stopnieniu śniegów, nazywa u nas lud *oskolnicą*, na podobieństwo soku drzewnego, zwanego oskołą, który w tymże czasie drzewo każde obficie ciągnie z ziemi; jest to więc oskoła, którą ziemia wydaje po przebudzeniu się do życia. Podajemy tu tę nazwę, jako bardzo trafną i mogącą znaleźć swe uprawnienie w meteorologii.

§ IV.

Dalszy ciąg przysłów meteorologicznych.

Podział klimatologiczny roku wyżéj przez nas dowiedziony i podany ma wielkie i najwłaściwsze zastosowanie w gospodarstwie wiejskiém, albowiem do niego stosuje się podział czynności gospodarskich; dlatego to podstawą podziału gospodarczego roku, nie może być podział meteorologiczny lecz klimatologiczny.

P. Jastrzębowski, któremu należy się zasługa, że pierwszy zajmował się tym przedmiotem, pierwszy wprowadził i oznaczył podział gospodarczy roku. Przyjąwszy za podstawę podziału roku gospodarczego podział meteorologiczny, a dzieląc każdą porę roku na dwie połowy otrzymał on ztąd następujący rozkład:

Wiosna	Roztopy	dnia	5 Marca.
	Siewy jare	„	20 Kwietnia.
Lato	Przednówek	„	5 Czerwca.
	Żniwa	„	20 Lipca.
Jesień	Siewy ozime	„	5 Września.
	Późna jesień	„	20 Października.
Zima	Gody	„	5 Grudnia.
	Zapusty	„	20 Stycznia.

Tym sposobem zgodził podział meteorologiczny z przyjętemi nazwami; lecz wpadł w tę anomalią, że gody zajmują cały Grudzień i Styczeń; kiedy gody zaczynają się rzeczywiście dopiero od Bożego Narodzenia. Podobnie Zapusty obejmują Luty i część Marca, kiedy w istocie kończą się średnio w połowie Lutego i t. p.

Przyjmując zaś za podstawę roku gospodarczego podział klimatologiczny, wyżéj otrzymany według stanu normalnego temperatury, i dzieląc zimę jako dłuższą na trzy części, a inne na dwie, otrzymamy bardzo dokładny podział ludowy roku gospodarczego:

Zima	Adwent	od 25 Listopada	(Ś-éj Katarzyny).
	Zapusty	„ 24 Grudnia	(Boże Narodzenie).
	Post	„ 20 Lutego	(Popielec).
Wiosna	Roztopy	„ 12 Marca	(Ś-ty Grzegorz).
	Siewy jare	„ 18 Kwietnia	(Ś-ty Wojciech).
Lato	Przednówek	„ 10 Czerwca	(Ś-éj Małgorzaty Kr.)
	Żniwa	„ 13 Lipca	(Ś-éj Małgorzaty Panny)
Jesień	Siewy ozime	„ 24 Sierpnia	(Ś-ty Bartłomiéj).
	Późna jesień	„ 18 Październ.	(Ś-ty Łukasz).

Że ten podział jest odpowiedni, i używany przez lud, tego dowodzą następujące przysłowia:

25 Listopada: Ś-ta Katarzyna, Adwent zaczyna;
12 Marca: na Ś go Grzegorza, idą rzeki do morza;
10 Czerwca: ze Ś-tą Małgorzatą, zaczyna się lato;
13 Lipca: Ś-ta Małgorzata, pierwsza żnarka;
24 Sierpnia: na Ś-ty Bartłomiéj, śmiało żyto siéj;
18 Października: na Ś-go Łuka, schowaj pług i włóka;

a łącząc do tego średnie wysokości temperatury, otrzymamy jeszcze następujące wnioski agronomiczne:

Z wiosną rozpoczyna się orka; a zatém orka następuje przy stanie temperatury nieco niższéj od zera. Siewy ozime zaczynają się 24 Sierpnia przy temperaturze 17°, a kończą się 18 Października przy temperaturze 7° 36; siewy jare rozpoczynają się 18 Kwietnia przy temperaturze 7° 36, a zatém tak jare jak i ozime siewy wymagają koniecznie temperatury wyższéj nad średnią roczną 7°, 36; przeto jare po téj średniéj, a ozime przed tąż średnią przypadać muszą.

Między przysłowiami mamy wiele takich, które wskazują czas rozwijania się roślin; a porównywając je z temperaturą, otrzymamy następujące wnioski:

Ze zbiorów najważniejszym u nas jest żyto; jego siew przypada znacznie przed średnią roczną temperaturą i zaczyna się 24 Sierpnia na 17°; potrzebuje zaś to ziarno czasu 92 dni do wejścia i utrwalenia się na zimę, a zatém do 23 Listopada. Daléj od 12

Marca zaczyna znowu wypuszczać nowe pędy przy wyższéj nieco temperaturze nad 0°; a przy temperaturze 13° to jest 15 Maja, kłosi się; do wydania przeto kłosu potrzebuje dni 57; następnie 20 Czerwca kwitnie; zatém w temperaturze 18°½, i potrzebuje do tego dni 44; nakoniec 13 Lipca zupełnie dojrzewa, przy temperaturze 19° i od kwitnienia potrzebuje dni ciepłych 15.

Oto cały przebieg czasu i temperatury potrzebnéj do wzrostu żyta, wyciągnięty z przysłów. Summując go mamy:

Czas rozwijania się przed zimą	3	miesiące
„ po zimie	3½	„
Czaś dojrzewania po okwitnieniu	½	„ i temp. 19°,
Razem	7	miesięcy.

Czas siewu innych zbóż, pokazuje różnice ciepła jakiego potrzebują do swego rozwijania się i tak:

Siew grochu przy temperaturze		1½°
„ owsa	„	9°
„ tatarki	„	10½°
„ lnu	„	12°

Do dojrzenia winogron potrzebna jest temperatura lata wyższa nad 18°; taką jest nasza wprawdzie jako wynosząca 18°, 59; jednakże w ogóle lato nasze, nieprzyjazne jest winobraniu; przyczyną tego krótkie jego trwanie. Przyczyna ta niknie, gdy dzielimy rok na równe części; albowiem element długości pór roku mięsza się wtedy z wypadkami temperatury. Dla tego to Humboldt w dziele swojém „Kosmos" powiada: (1)

„Rzecz osobliwsza, że skazówki naszych termometrów nie wykrywają nam wyraźnéj różnicy między klimatami: z których jeden sprzyja uprawie wina, gdy drugi dochodzi granicy gdzie uprawa już ustaje,"—a to dlatego, że element wskazujący tę różnicę a będący długością właściwą pór roku nie został dotąd brany pod uwagę.

Między przysłowiami, mamy jeszcze kilka takich, które zawierają czas przylotu ptastwa wędrownego; a porównywając ten także z temperaturą otrzymamy następujące wnioski:

W ogóle ptastwo wędrowne zaczyna przybywać od 21 Styczcznia do 24 Maja; a zatém w temperaturze — 5°, do 15°. — Najwcześniéj przybywają: skowronek (21 Stycznia) i pliszka (29 Stycznia), i te znosić mogą temperaturę—5°, – żórawie, gęsi dzikie, znoszą temperaturę 0°. Bociany wymagają wyższéj temperatury, albowiem przybywają w temperaturze 2°½, a kraska najpóźniéj przybywa: 24 Maja, a więc potrzebuje temperatury 15°.

Odlot ptastwa nie jest odpowiedni co do temperatury przylotowi, lecz jest znacznie wcześniejszy.

(1) Patrz Kosmos Humboldta, tłumaczenie p. Baranowskiego i Zejsznera. Warszawa 1849 r. T. I. str. 349.

§ V.

Prognostyki meteorologiczne.

Nakoniec pozostaje nam jeszcze zbadać ostatni rodzaj przysłów, zwanych prognostykami, obejmujących przepowiednie meteorologiczne; do takich należą następne:

1.

11 Listopada do 25 Grudnia, przedział 40 dni:
Śty Marcin po lodzie— Boże Narodzenie po wodzie.

2.

4 Grudnia do 25 Grudnia, przedział dni 20:
Śta Barbara po wodzie— Boże Narodzenie po lodzie.

3.

25 Grudnia do 8 Kwietnia, dni 105 (1):
Boże Narodzenie po wodzie—Wielkanoc po lodzie it.d.

4.

23 Lutego do 8 Kwietnia, dni 40:
Jeżeli na Śty Piotr w Lutym ciepło służy,
Do Wielkiéj nocy zima czasy swe przedłuży.

5.

24 Lutego:
Gdy Śty Mąciéj lodu nie stopi,
Długo jeszcze w zimne ręce będą chuchać chłopi.

6.

10 Marca do 19 Kwietnia, dni 40:
Czterdziestu Męczenników jakich,
Czterdzieści dni takich.

7.

8 Czerwca do 18 Lipca, dni 40:
Jeżeli pada na Śgo Medarta — Czterdzieści dni szarga.

8.

24 Czerwca do 18 Lipca, dni 40:
Jak się Śty Jan rozczuli,
To go dopiéro Najświętsza Panna utuli.

Aby zrozumieć dokładnie znaczenie tych przysłów, potrzeba zwrócić się do rysunku i przypomnieć sobie dwa drugie prawa, objaśnione w § 1, wypadające z ruchu peryodycznego:

(1) Wielkanoc może przypadać najwcześniéj 22 Marca i najpóźniéj 25 Kwietnia, przeto średnio przypada 8 Kwietnia, a Popielec 22 Lutego. Godnym jest zastanowienia peryod 40-dniowy powtarzający się w tych przysłowiach.

1) Gdy krzywa w jakiémkolwiek maximum lub minimum doznaje znacznego podniesienia lub zniżenia, to koniecznie dla równowagi i utrzymania téjże saméj średniéj rocznéj temperatury musi doświadczać przeciwnie zniżenia lub podwyższenia w następném minimum lub maximum.

2) Gdy krzywa w jakiémkolwiek maximum lub minimum doświadcza znacznego podwyższenia lub zniżenia, to koniecznie dla równowagi i utrzymania téjże saméj średniéj temperatury, jeżeli nie doświadcza zniżenia lub podniesienia w następném minimum lub maximum, musi przynajmniéj doświadczać zniżenia lub podniesienia w następnych maximach lub minimach.

Prawa te bardzo łatwo tłumaczą powyższe przysłowia; jakoż zwracając się do rysunku widzimy, że odnoszą się one jeszcze do czterech maximów zimowych. Z praw powyższych nadto wynika, że gdy przy którémkolwiek z maximów następuje znaczniejsza zmiana temperatury stanu średniego, nastąpić musi dla równowagi zmiana w przeciwnym kierunku w następném minimum lub w następném maximum i odwrotnie,

I tak: w miesiącu Listopadzie, krzywa ma postać wklęsłą; temperatura zniża się widocznie około 11 Listopada, nie przestając być wyższą nad zero; gdy zaś raptownie zniży się i w tym dniu będą mrozy, drugie prawo równowagi wymaga, aby w następném minimum to raptowne zniżenie wynagrodzone zostało. A że to minimum następne jest około 25 Grudnia, przeto przysłowie pierwsze dokładnie ten stan równowagi przedstawia.

Podobnie 4 Grudnia w stanie średnim przedstawia zniżenie, po którém następuje minimum 25 Grudnia, i przysłowie drugie, odnoszące się do tegoż dnia, na mocy tegoż samego drugiego prawa, dobrze przedstawia zmiany temperatury zachodzić tu mające.

Dla téj saméj przyczyny, gdy Boże Narodzenie czyli koniec Grudnia jest ciepły, i temperatura podnosi się do zera, to musi ona zniżyć się w Lutym i Marcu, i mrozy do Wielkanocy się przeciągną.

Podobnież 23 i 24 Lutego, krzywa w stanie średnim przedstawia wzrost temperatury ku maximum przy liczbie 4; jeżeli więc następuje około tego dnia znaczne podwyższenie temperatury, musi nastąpić znaczne onéj zniżenie po tém maximum, i zima przedłużyć się do Wielkanocy, co przedstawiają dobrze czwarte i piąte przysłowia.

Daléj około 10 Marca, krzywa średniego położenia widocznie przedstawia powolne podniesienie temperatury, tak jakby się temperatura wysiliła przez ciąg zimy w swych zmianach gwałtownych, i następnie przychodziła do spoczynku, co zostało utrwalone w przysłowiu siódmém o 40 męczennikach.

Nakoniec peryod 40 dni między 5 i 6 maximum, który przedstawia znaczne zniżenie temperatury letniéj z przyczyny częstych deszczów, objęty i utrwalony został w pamięci w przysłowiach dwóch ostatnich.

A zatém ogólnie możemy wyrzec, że przysłowia nasze obejmują wszystkie główniejsze zmiany temperatury, i są doskonałym obrazem naszego klimatu; więc nie zbiorem przesądów, lecz głębokich prawd meteorologicznych, doskonale uchwyconych i utrwalonych dla pamięci ogółu. Zważając, że one tworzyły się bez pomocy instrumentów meteorologicznych i spisywania obserwacyj wiekowych, trzeba przyznać, że ludzie więcéj żyjąc z naturą umieli bystrzej wykrywać jéj tajniki, do których my dochodzimy po długich tylko obserwacyach i jeszcze zmudniejszych rachunkach.

PRZYPISEK I.

Równanie termiczne Warszawy.

Fenomena natury peryodyczne w ciągu roku najwłaściwiej można przedstawiać na walcu o podstawie kołowéj, dzieląc tę podstawę na 366 części. Każda z nich oznaczać będzie dzień jeden roku, a przyjmując którykolwiek podział za początek roku każdemu temu podziałowi odpowiada łuk na kole, lub w środku koła kąt, którego wielkość wyraża zmianę czasu; a odpowiednie im wielkości oznaczające fenomen, odcinając na tworzących walca według dowolnej podziałki, i łącząc liniami końce podziałów, otrzymamy linię łamaną zygzakowatą, przedstawiającą dany fenomen.

Tak przedstawiając zmiany średnie dzienne z 36 lat temperatury, oznaczmy kąt zmienny w środku koła, liczony od linii przechodzącéj przez początek roku przez φ; przez t temperaturę odpowiednią temu kątowi, przez a i b ilości dowolne, i przez γ kąt dowolny. Temperatura miejsca jakiegokolwiek może się wyrazić w pierwszém przybliżeniu przez wzór

$$t = a - b \cos(\varphi - \gamma) \quad . \quad . \quad . \quad . \quad . \quad . \quad . \quad . \quad (1)$$

gdzie zmieniając kąt φ w środku koła otrzymamy zmiany t temperatury, gdy będziemy znali ilości dowolne a b i γ, które mają szczególne wartości dla każdego miejsca na kuli ziemskiéj.

Do ich oznaczenia mamy 366 równań kładąc za φ i t liczby odpowiednie, dane z obserwacyi, przedstawiające średni stan dzienny temperatury z 36 lat; używając zaś do ich znalezienia metody najmniejszych kwadratów, otrzymamy te współczynniki, i równanie termiczne Warszawy będzie:

$$t = 7^{\circ},36 - 12,166 \cos(\varphi - 16^{\circ}50',5) \quad . \quad . \quad . \quad (2)$$

gdzie a=7°,36 jest średnia temperatura roczna z 36 lat, γ=16°50′5 kąt, jaki czyni linia łącząca maximum i minimum z linią przecho-

dzącą przez początek roku, a $b=12,166$ różnica maximum lub minimum temperatury rocznéj, od średniéj rocznéj.

Dla wykreślenia téj linii dosyć jest kłaść za φ wartość odpowiadającą różnym dniom roku, a otrzymamy średnią temperaturę tegoż dnia lub przeciwnie.

Tym sposobem otrzymamy:

1) Maximum i minimum:

maximum	$\varphi = 16^{0}15'$	minimum $\varphi = 196^{0}50'$
to jest	18 Stycznia	18 Lipca
	$-4^{0}, 80'$	$19^{0}, 52'$

2) Temperatura średnia:

$\varphi = 106^{0}\ 50'$	$\varphi = 206^{0}\ 50'$
18 Kwietnia	18 Października

temp. $= 7^{0}, 36'$

3) Temperatura zera:

$\varphi = 69^{0}\ 36'$	$\varphi = 324^{0}\ 4'$
11 Marca	25 Listopada

4) Temperatura 17^{0}

$\varphi = 159^{0}\ 13'$	$\varphi = 234^{0}\ 27'$
10 Czerwca	26 Sierpnia

co daje następujące wypadki:

Minimum temperatury . .	$-4^{0}, 80$	18 Stycznia.
Temperatura zero	0, 00	11 Marca.
„ średnia . . .	7, 36	18 Kwietnia.
„ wyższa . . .	17, 00	10 Czerwca.
Maximum temperatury . .	19, 52	19 Lipca.
Temperatura wyższa . . .	17, 00	26 Sierpnia.
„ średnia . . .	7, 36	18 Października.
„ zero	0, 00	25 Listopada.

Tym sposobem można zupełnie dokładnie nakréślić krzywą żądaną. Linia ta jest płaska, i wynikła z przecięcia z walcem płaszczyzny średniego położenia, około któréj waha się średnia temperatura każdego dnia.

Równanie (2) daje łatwo średnie temperatury pewnych części roku. Jakoż oznaczając φ_0 i φ_1 dwa kąty między któremi chcemy otrzymać średnią temperaturę, otrzymamy mnożąc to równanie

przez $d\varphi$, całkując w granicach od φ_0 do φ_1 i dzieląc przez $\varphi_1 - \varphi_0$; co wykonawszy i oznaczywszy średnią temperaturę przez t_{01} otrzymamy

$$t_{01} = 7{,}36 - \frac{4379{,}76}{\pi(\varphi_1 - \varphi_0)} \text{ wst } \frac{1}{2}(\varphi_1 - \varphi_0) \text{ dos } \frac{1}{2}(\varphi_1 + \varphi_0 - 2\gamma). \quad (3)$$

podług tego wzoru wypadnie średnia temperatura:

Zimy od 25 Listopada	do 11 Marca	= — 3°, 29 C
Wiosny od 11 Marca	„ 10 Czerw.	= 8, 65
Lata od 10 Czerwca	„ 26 Sierpn.	= 18,59
Jesieni od 26 Sierpnia	„ 25 Listop.	= 8, 65

W obserwatoryum liczy się rok meteorologiczny od 1 Grudnia i dzieli się na cztery równe części, a średnie temperatury wypadają dla:

Zimy	= — 3°, 65
Wiosny	= 7°, 03
Lata	= 18°, 23
Jesieni	= 7°, 68

Porównywajac te wypadki widzimy, że wszystkie pory roku według stanu normalnego są cieplejsze; ale za to lato znacznie krótsze a zima dłuższa, co właśnie sprawia w średnich temperaturach tę różnicę.

Nakoniec winniśmy dodać tu, że ważném byłoby oznaczenie dla każdego roku pojedyńczego tych stałych a, b i γ; gdyż one lepiéjby nas mogły objaśnić o peryodyczności i granicach w jakich zmiany temperatury się odbywają.

PRZYPISEK II.

W ogóle fenomena w naturze są peryodyczne, to jest powtarzające się w pewnych i tych samych czasach, lecz z nierównem natężeniem.

Ta peryodyczność wymaga koniecznie ruchu oscylacyjnego około pewnego stanu średniego niezmiennego, albowiem gdyby ten średni stan zmienił się, fenomen peryodyczności musiałby ustać lub zmienić się zupełnie; co jest przeciwném stałym prawom natury, które w ogóle nic takiego dotąd nie przedstawiają.

Gdy więc stan średni jest stałym, przeto stany roczne muszą koniecznie oscylować, to jest kręcić się koło tego stałego stanu, przedstawiając zmiany większe lub mniejsze stosownie do przyczyn podrzędnych miejscowych.

Stan więc średni musi przedstawiać zmiany główne, a nie może obejmować zmian pośrednich, czyli drugiego rzędu. A że te

zmiany główne objawiają się przez maxima i minima, przeto wypływa ztąd następne prawo:

W roku średnim z pewnego peryodu lat danego fenomenu, wypadki przedstawiać muszą mniejszą liczbę maximów lub minimów jak w każdym roku z osobna, i ta liczba musi być odwrotnie proporcyonalną do liczby lat zawartych w peryodzie.

Stosując to do temperatury, mamy w roku średnim z 36 lat, jak rysunek pokazuje, jedno maximum główne, sześć drugiego rzędu i 74 maximów trzeciego rzędu; razem 81. W roku średnim z 32 lat mamy takichże maximów 84, a w roku zwyczajnym jest ich około 120. Naturalną jest rzeczą, że w roku z nieskończonéj liczby lat te wszystkie maxima zniknęłyby i mielibyśmy jedno główne maximum.

Oznaczając więc przez x liczbę maximów w roku średnim z n lat, to x będzie pewną funkcyą z $\frac{1}{n}$ i będzie

$$x = t\left(\frac{1}{n}\right)$$

która ma tę własność, że gdy n staje się nieskończenie wielkie, x ma wartość stałą i skończoną a w obecnym przypadku równą jedności; przeto da się rozwinąć na szereg postaci

$$x = 1 + \frac{a}{n} + \frac{b}{n^2} + \frac{c}{n^3} + \quad . \quad . \quad . \quad . \quad (1)$$

gdy $n = 1$, to jest w każdym roku z osobna wziętym liczba maximów

$$x = 1 + a + b + c + \ldots.$$

jest summą takichże maximów w latach średnich, więcéj summą maximów przypadkowych.

Postać więc wzoru (1) zgadza się z prawem wyżéj podaném.

A z danych powyżéj możemy oznaczyć spółczynniki a, b.... jakoż mamy:

$$n = 1 \quad . \quad x = 120$$
$$n = 32 \quad . \quad x = 84$$
$$n = 36 \quad . \quad x = 81$$

ztąd zaś otrzymamy:

$$a = \quad 4727$$
$$b = -\ 68261$$
$$c = \quad 63653$$

i będzie:

$$x = 1 + \frac{4727}{n} - \frac{68261}{n^2} + \frac{63653}{n^3} - \ldots \quad (2)$$

Spółczynniki tego szeregu zacząwszy od trzeciego wyrazu zaczynają ubywać i mają znaki na przemiau; przeto szereg będzie

zbieżnym dla wszystkich wartości większych od jedności; a biorąc $n > 40$ można opuścić następne wyrazy jako mające wartości mniejsze od jedności, i będzie:

$$x = 1 + 117\left(\frac{40}{n}\right) - 42\left(\frac{40}{n}\right)^2 + \left(\frac{40}{n}\right)^3$$

i gdy $n = 60$ mamy $x = 60$, to jest w peryodzie 60 lat mamy jeszcze połowę maximów roku zwyczajnego.

Gdy bierzemy $n > 300$ można opuścić ostatnie dwa wyrazy i będzie $x = 1 + 16\left(\frac{300}{n}\right)$

Dla peryodu lat 300 mamy 17 maximów; aby zaś rok średni miał 7 maximów potrzeba peryodu 800 lat.

To nam dowodzi, jak dalecy jeszcze jesteśmy od otrzymania wypadków obserwacyi, mogących wskazać nam prawa stałe fenomenów natury.

PRZYPISEK III.

Pory roku astronomiczne mają ściśle oznaczone granice, położeniem ziemi na ekliptyce wskazane; cztery te punkta dla astronomii są ważne jako znaki drogowe, po których ziemia kroczy w przestworzu.

Że jednak astronomia nie zajmuje się zmianami zachodzącemi na różnych punktach globów niebieskich, lecz przedewszystkiem bada ich bieg i własności ogólne, przeto dla niéj obojętną jest rzeczą podział roku na pory.

Podział astronomiczny nawet dla oznaczenia długości dni i nocy nie jest odpowiednim: albowiem najdłuższe dni przypadają w początku lata astronomicznego (21 Czerwca) a najkrótsze w początku zimy astronomicznéj (22 Grudnia); ani więc lato nie obejmuje najdłuższych dni, ani zima najkrótszych.

Punkta te powinny przypadać w środku lata i zimy; a dzieląc rok na cztery części, mamy:

Najkrótsze dni	od	5 Listopada	do	5 Lutego.
Równoważne	„	5 Lutego	„	5 Maja.
Najdłuższe	„	5 Maja	„	5 Sierpnia.
Równoważne	„	5 Sierpnia	„	5 Listopada.

Lecz ten podział mało znaczący dla astronomii, jeszcze mniéj znaczy dla meteorologii.

Podział astronomiczny nie odpowiada zmianom temperatury; albowiem największe zimno przypada średnio około 15 Stycznia, lecz i ten podział pod względem temperatury jest obojętnym dla astronomii.

Inaczej ma się rzecz z meteorologią, nauką której właśnie celem jest badanie wszelkich zmian miejscowych zdarzających się na naszym globie. A jak najważniejszą z tych zmian i niemal podstawą wszelkich innych na głobie naszym, jest temperatura; przeto potrzeba zachodzi konieczna podziału roku odpowiednio do potrzeb nauki, i dla tego uważając, że najniższa temperatura jest około 15 Stycznia, oraz przyjmując punkt ten roku za środek zimy, podzielono rok na cztery równe części, i ztąd meteorologowie przyjęli następujący podział (1).

Zima	od	1 Grudnia	do	1	Marca.
Wiosna	„	1 Marca	„	1	Czerwca.
Lato	„	1 Czerwca	„	1	Września.
Jesień	„	1 Września	„	1	Grudnia.

Podział ten jest najwłaściwszy dla ogółu fenomenów tak różnorodnych, jakiemi się zajmuje meteorologia. Lecz nie jest właściwy dla temperatury uważanéj oddzielnie, albowiem:

1) Najniższa temperatura nie przypada zawsze 15 Stycznia, lecz jest zmienna i zależy od miejscowości; u nas przypada 8 Stycznia, a zatem o tydzień wcześniéj; w innych miejscach przypada w Grudniu, w innych w Lutym, i ta zmiana zajmuje około trzech miesięcy.

2) Według tego podziału średnia roczna temperatura zimy rozciąga się od -33°,do $+27^{o}$ dla różnych miejsc, i zajmuje prawie całą skalę termometryczną; zima więc tak jak inne pory roku meteorologiczne niema cechy właściwéj, i oznacza zarówno najsilniejsze mrozy jak i największe upały (na równiku).

Podział więc powyższy, jakkolwiek dobry dla ogółu fenomenów meteorologicznych, jest niewłaściwy dla badania ciepła, uważanego oddzielnie, i tu meteorologia winna przyjąć inny podział.

Będziemy więc mieli trzy podziały roku: astronomiczny, meteorologiczny i klimatologiczny; ten ostatni podział ściśle musi zależeć od miejscowości, czyli rozkładu ciepła na powierzchni ziemi. Zasadą jego nie może być równy podział roku na 4 części, lecz ogólny stan termometryczny ziemi.

Jakoż skala termometryczna przedstawia nam jeden punkt stały: tym jest zero ciepła, nie zależny od miejscowości, i wskazuje daléj maximum ciepła rocznie średniego na kuli ziemskiéj około 34°. Najwłaściwiéj więc zera brać za początek i koniec zimy, a połowę skali, czyli 17° za początek i koniec lata.

Tym więc sposobem każda pora roku będzie miała określone granice, i będzie zmiennéj długości i zmiennéj średnicy temperatury.

Przechodząc teraz do rozkładu ciepła na powierzchni ziemi, pierwszym elementem (parametrem) jest średnia roczna temperatura miejsca; ta daje na powierzchni ziemi linie zwane isotermami

(1) Patrz Cours complet de meteorologie de Kaemtz traduit par Martins. Paris 1858 page 24.

(isothermes), które odpowiadają równoleżnikom, nie będąc jednak od nich równoległe, i dają na naszéj półkuli dwa bieguny termiczne.

Przyjmując podział meteorologiczny, otrzymujemy daléj cztery elementa: są to średnie temperatury zimy, wiosny, lata i jesieni; lecz ponieważ średnia z tych czterech średnich jest właśnie średnią roczną; przeto gdy nakreślimy według tych średnich nowe linie, odpowiadające średnim zimy i lata, nazwane izochimenami i izoterami (isochimènes i isothères), te będą mogły być z pewnemi tylko zmianami równoległe od pierwszych, i nie dadzą nam dostatecznego pojęcia o temperaturze miejsca.

Potrzeba więc znaleźć nowe elementa dla przedstawienia dokładnego rozkładu ciepła na powierzchni ziemi. Jakoż równanie termiczne (1), które podaliśmy wyżéj, a które obejmuje pierwsze przybliżone prawo rozkładu termicznego na ziemi, uważając w nim ilości a, b i γ jako zmienne wraz z miejscowością wskazuje samo te elementa, któremi są trzy stałe zawarte w tém równaniu.

Pierwsza a jest *średnia roczna temperatura,* czyli temperatura średnia dni oddalonych o 90°, czyli o $^1/_4$ część roku od linii maximum i minimum.

Druga b jest przewyżką temperatury maximum lub minimum nad temperaturę średnią roczną; jest więc *natężeniem ciepła* w pewném miejscu (amplitudo termometryczne).

Trzecia γ jest to kąt oddalenia linii przechodzącej przez maximum i minimum temperatury od początku roku, i można ją nazwać *zboczeniem termometrycznem.*

Przyjąwszy więc za pierwszy element średnią roczną, i kreśląc isotermy na powierzchni kuli ziemskiéj, otrzymamy pierwszy system linii w jednym kierunku, odpowiedni równoleżnikom. Na każdéj takiéj linii dowolna a jest stała, lecz jeszcze zmienne b i γ. Stosownie do zmiany miejsca na każdéj isotermie, b zmienia się i ma swe maximum i minimum; temi ostatecznemi granicami są liczby 0 i 60. Lecz dla każdéj isotermy te granice są inne, i obie rosną od równika do bieguna, tak że gdy dla równika jest około 0 i 20, to w biegunie jest 20 i 60. Kreśląc zatem na karcie linie, na których element b jest stały, otrzymamy drugi system linii, mający najmniéj dwa bieguny na równiku, odwrotny powyższemu. Każda z takich linij przecinając się z isotermami, daje wszystkie punkta powierzchni kuli.

Nakoniec biorąc pod uwagę trzeci element kąt γ, czyli odległość linii maximum od początku roku, jego granice zmieniają się od 1 Grudnia do 1 Marca a nawet po za temi datami, jak to wskazują tablice najwyższych i najniższych temperatur, znajdujące się we wszystkich dziełach meteorologicznych. Połączywszy zaś punkta, których kąt γ ma tę samą wielkość, otrzymamy trzeci system linii, odpowiednich południkom ziemskim. Tym sposobem przez każdy punkt ziemi będą przechodziły trzy linie: jedna będzie wyznaczała średnią roczną temperaturę, druga maximum i minimum

téjże, a trzecia oddalenie tego maximum od początku roku; każde więc miejsce pod względem temperatury będzie zupełnie oznaczone.

Te trzy ilości a, b i γ można dla każdego miejsca otrzymać podobnie, jak otrzymaliśmy je dla Warszawy (przypisek 1szy); lecz ponieważ tablice meteorologiczne obejmują zwykle średnie temperatury pór roku, przeto unikając długich rachunków można otrzymać je wprost z tych danych.

W tym celu, przyjmując początek roku meteorologicznego (1 Grudnia) i oznaczając średnie temperatury zimy, wiosny, lata i jesieni przez

$$t_z,\ t_w,\ t_l,\ t_j;$$

wynajdziemy te ilości z wzoru (1), podobnie jak otrzymaliśmy tamże wzór (3); a czyniąc

$$\mu = \frac{\pi\sqrt{2}}{8},\quad \beta = 45^0 - \gamma$$

będziemy mieli cztery równania:

$$t_z = a - \frac{1}{2\mu} b \operatorname{dos} \beta$$

$$t_w = a + \frac{1}{2\mu} b \operatorname{wst} \beta$$

$$t_l = a + \frac{1}{2\mu} b \operatorname{dos} \beta$$

$$t_j = a - \frac{1}{2\mu} b \operatorname{wst} \beta$$

dla wyznaczenia dwóch ilości b i β; stosując więc metodę najmniejszych kwadratów, otrzymamy żądane wartości:

$$b = \mu \sqrt{(t_w - t_j)^2 + (t_l - t_z)^2}$$

$$\operatorname{sty}(45^0 - \gamma) = \frac{t_w - t_j}{t_l - t_z}$$

Za pomocą tych prostych bardzo wzorów, wynajdziemy mając tablice średnich pór roku, dla rozmaitych miejsc powierzchni ziemi, odpowiadające im wartości dla b i γ, i potrafimy wykreślić na karcie, na któréj już jest nakreślony system isoterm, dwa inne systemata równego natężenia i zboczenia temperatury.

PRZYPISEK IV.

Aby czytelnik nie potrzebował szukać rozrzuconych ważniejszych przysłowiów tyczących się meteorologii, zamieszczamy tu razem zebrane:

I. Miesiąc Styczeń.

1 — Nowy Rok:

Na nowy rok przybywa dnia na zajęczy skok.

6 — Trzech Króli:

Od Trzech Króli będą mrozy do Gertruli (Gertrudy 17 Marca).

18 — Praxedy:

Na Śto Pryski przebijają lód pliszki.

21 — Agnieszki:

Śta Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka.
Śta Agnieszka zagrzewa kamyszka.

25 — Nawrócenie Śgo Pawła:

Na nawrócenie Śgo Pawła połowa zimy przepadła.
Pawła nawrócenie— ptaszki do Polski, koszula do skóry.

29 — Franciszka Salezego:

Na Śgo Franciszka przylatuje pliszka.

II. Miesiąc Luty.

2 — Oczyszczenie N. P. M. Gromnicznej:

Na Gromnicę masz zimy połowicę.

6 — Doroty:

O Śtéj Dorocie pójdziesz po błocie.
Po Śtéj Dorocie wyschną chusty na płocie.

14 — Walentego:

Na Śty Walek nie masz pod lodem balek.

23 — Katedry Śgo Piotra:

Jeżeli w święto Piotra w Lutym ciepło służy,
Do Wielkiéj Nocy zima czasy swe przedłuży.

24 — Macieja:

Śty Maciéj zimę straci, albo ją zbogaci.
Śty Maciéj lód z rzek i stawów porusza i traci.
Gdy Śty Maciéj lodu nie stopi,
Długo jeszcze w zimne ręce będą chuchać chłopi.

III. Miesiąc Marzec.

4 — Kazimierza:

Na Śgo Kazimierza wyjdzie skowronek z pod pierza.
Na Śgo Kazimierza, czajka przybieża.
Na Śty Kazimierz już nie zmarzniesz.

10 — 40tu Męczenników:

Czterdziestu męczenników jakich,
Czterdzieści dni takich.

12 — Grzegorza:

Na Śgo Grzegorza idzie zima do morza.
Na Śgo Grzegorza idą rzeki do morza.
Na Śgo Grzegorza szuka kawka łoża.

19 — Józefa Oblubieńca:

Śty Józef kiwnie brodą, idzie zimno na dół z wodą.
Na Śgo Józwa przez pole brózda (pierwsza orka).
Na Śty Józef chłop wołami pochęka, a żóraw sobie pokrzęka
Na Śty Józek czasem śniegu wózek.

21 — Benedykta:

Benedykt w pole z grochem Wojciech z owsem jedzie, Stanisław ze lnem, a Filip z tatarką wywiedzie.

25 — Zwiastowanie N. M. P.

Na Zwiastowanie, zlatują się bocianie.

IV. Miesiąc Kwiecień.

23 — Wojciecha:

Kiedy grzmi na Śgo Wojciecha,
Rośnie Rolnikom pociecha.
Na Śgo Wojciecha rośnie rolnikom pociecha (zboże wschodzi).
Wojciech z owsem jedzie (21 Marca).

24 — Marka:

Śty Marek wyszedł za folwarek,
Zobaczyć żytko, czy weszło wszytko.

V. Miesiąc Maj

1 — Filipa:

Filip tatarkę wywiedzie (21 Marca).

3 — Znalezienie Śgo Krzyża:

Na Śty Krzyż, owce strzyż.

8 — Stanisława:

Jak się zasieje len w Śgo Stanisława,
To tak urośnie jak ława.

12, 13, 14 — Pankracego, Serwacego, Bonifacego:

W tych dniach przypada znaczne zniżenie temperatury, znane pod nazwą dni Pankracego, Serwacego i Bonifacego.

15 — Zofii:

Śta Zofija kłosy wywija.

VI. Miesiąc Czerwiec.

8 — Medarda:

Jeżeli pada na Śgo Medarda, to czterdzieści dni szarga.

10 — **Małgorzaty Król. Szwedzkiéj:**

Ze Śtą Małgorzatą rozpoczyna się lato.

15 — **Wita i Modesta:**

Na Śty Wit połowa ptastwa cyt.
Na Śty Wit słowik cyt.

19 — **Gerwazego i Protazego:**

Na Śgo Gerwazego jest w ogrodzie coś pięknego.
Na Śty Protazy każdy się poparzy.

24 — **Jana Chrzciciela:**

Jak się Śty Jan rozczuli, to go dopiero Najświętsza Panna utuli (2 Sierpnia N. M. P. Anielskiéj).

Przed Śtym Janem o deszcz prosić trzeba, a po Śtym Janie to i nieproszony pada.

VII. Miesiąc Lipiec.

13 — **Małgorzaty Panny:**

Sta Małgorzatka pierwsza żnarka.

20 — **Eliasza:**

Na Śgo Eliasza z nowego użątku kasza.

26 — **Anny Matki N. M. P:**

Od Śtéj Hanki, chłodne wieczory i ranki.

VIII. Miesiąc Sierpień.

10 — **Wawrzeńca:**

Na Śty Wawrzeniec przez pole gościniec (koniec żniwa),

24 — **Bartłomieja:**

Śty Bartłomiéj wszystko z pola utłumi (koniec lata).
Po Śtym Bartłomieju z kwarty deszczu miara błota.
Na Śty Bartłomiéj, śmiało żyto siéj;

IX. Miesiąc Wrzesień.

1—**Idziego:**

Idzi— siać wyjdzij (żyto).

X. Miesiąc Październik.

8 — **Brygidy:**

O Śtéj Brygidzie Babie lato przyjdzie.

18 — **Łukasza:**

Na Śgo Łuka schowaj pług i włóka.

21 — **Urszuli:**

Śta Urszula perły w polu rozsuła.

28 — **Szymona i Judy:**

Na Szymona i Judy spodziewaj się śniegu albo grudy.

XI. Miesiąc Listopad.

1 Wszystkich Świętych:

Wszyscy Święci przyniosą albo kobiałkę ciepła, lub kobiałkę zimna.

11 — Marcina:

Śty Marcin błoniem—jedzie białym koniem.
Śty Marcin po lodzie—Boże Narodzenie po wodzie.
Śty Marcin po wodzie—Boże Narodzenie po lodzie.

25 — Katarzyna:

Śta Katarzyna Adwent zaczyna.

30 — Andrzeja:

Na Śgo Andrzeja trza kożucha dobrodzieja (początek zimy).

XII. Miesiąc Grudzień.

4 — Barbary:

Kiedy w Śtą Barbarę mróz, to chłopie sanie na górę włóż;
lub— to szykuj chłopie dobry wóz.
Święto Barbary po wodzie—Boże Narodzenie po lodzie.

13 — Łucyi:

Śta Łuca dnia przyrzuca.

25 — Narodzenie Chrystusa Pana:

Boże Narodzenie po wodzie—Wielkanoc po lodzie.
Boże Narodzenie po lodzie—Wielkanoc po wodzie,
Boże Narodzenie białe—Wielkanoc zielona.
Boże Narodzenie zielone—Wielkanoc biała.

26 — Szczepana:

Na Śgo Szczepana bywa błoto po kolana.

O ŻEGLUDZE PAROWEJ,

jéj odkryciu, rozwoju, zastosowaniach, pożytkach i znaczeniu.

PRZEZ

Felixa Kucharzewskiego.

Wynalazki naukowe, czy to dziełem przypadku, czy owocem długich i mozolnych poszukiwań będące, nie mają wszystkie jednakowéj wartości. Jedne, z których zastosowań praktycznych ludzie wyciągnąć nie umieją albo nie mogą, pozostają jako nabyte dla nauki fakta; drugie, szczęśliwsze, przechodzą na pole przemysłu, tworząc, lub tylko ulepszając niektóre jego gałęzie. Mała wreszcie liczba wybranych z téj drugiéj kategoryi. odgrywa rolę większą jeszcze, bo wywiera wpływ głęboki na socyalny stan ludów; do téj godności podniosły się tylko wynalazki: prochu, drukarstwa, maszyn parowych i telegrafu.

Z pomiędzy nich, największą przysługę dla całéj ludzkości oddał bezwątpienia wynalazek maszyn parowych. Niema przesady w tych słowach; chcąc się przekonać o wartości jakiéj rzeczy, najlepiéj jest zbadać coby się stało, gdyby rzecz ta raptownie znikła; przypuściwszy wszystkie maszyny parowe zatrzymane w ich ruchu, zobaczmy skutki: exploatacya kopalni staje się niepodobną, człowiek pozbawiony jest węgla; wraz z węglem nikne cała produkcya metallurgiczna, gaz oświetlający, większość rzemiosł i cała industrya transportów; handel upada, a ogólna nędza wynikiem tego upadku się staje.

Industrya transportów można powiedzieć że powstała dopiéro z wynalazkiem maszyn parowych; a jeżeli zastosowanie ich do kolei żelaznych, pod postacią lokomotyw, największe ma znaczenie, to zaraz po niém postawić wypada żeglugę parową. Koleje żelazne dochodzić już zaczynają do najwyższego punktu rozwoju. W krajach, pod względem cywilizacyi palmę pierwszeństwa w Europie trzymających, sieć ich już prawie zupełna, na najdrobniejsze roz-

mnaża się odnogi. Żegluga parowa nie doszła jeszcze do takiego stopnia rozwinięcia; jakkolwiek wynalazkiem będąca dawniejszym, postępowała wolniéj, a pierwszy parowiec puszczony na morze, zbudowany był dopiéro w lat dziewięć po pierwszéj lokomotywie. Obecnie gdy na lądzie, lokomotywy zastąpiły już zupełnie dawne furgony i dyliżanse, parowiec rywalizuje na morzu z żaglem, a na rzekach i kanałach z ciągnieniem statków końmi, i transporty nie wymagające szybkości, taniéj nierównie uskuteczniają się przez te dwa rodzaje żeglugi.

Maszyna parowa jest wynalazkiem czysto nowożytnym i datuje się zaledwie od półtora wieku. Podobnie jak wszystkie wielkie wynalazki, nie jest ona dziełem jednéj chwili, ani jednego człowieka. Jeszcze na lat dwadzieścia przed narodzeniem Chrystusa, Heron fizyk z Alexandryi, powziął myśl spożytkowania siły pary na utworzenie ruchu; ale w maszynie jego zwanéj *eopilem*, para działa przez reakcyę, a niema mocy swéj siły elastycznéj. W roku 1605, Flurence Rivault, dworzanin Henryka IV, robi doświadczenie nad siłą pary; a maszyny mniéj lub więcej skomplikowane proponowane są: w 1615 przez Causa, a w 1663 przez markiza Worcester. W końcu XVII wieku, Papin pierwszy wpadł na pomysł posługiwania się parą dla nadania ruchu tłokowi; maszyna, którą zbudował i opisał nie jest niczém inném jak maszyną atmosferyczną, w któréj działaczem jest ciśnienie powietrza, a para użytą jest tylko na robienie próżni pod tłokiem, ażeby swobodnie mógł opaść. Ten sposób użytkowania pary, stanowiący wielkie odkrycie Papina, jest punktem wyjścia wszystkich ulepszeń, wprowadzanych stopniowo do maszyny parowéj.

W roku 1698, Anglik nazwiskiem Savery, używał do podnoszenia wody w ogrodach publicznych, maszynę podobną do projektowanéj przez Causa; a w 1705 dwaj inni Anglicy: Newkomen i Cowley, jeden ślusarz a drugi szklarz budują maszynę, podobną w tém do maszyny Papina, że się składała z tłoka, odbywającego swój ruch w cylindrze otwartym u góry, ale za to odmiennéj różnemi ulepszeniami. Te ulepszenia zdołały uczynić z wynalazku Papina, maszynę dość praktyczną i chętnie używaną, ale pochłaniającą taką ilość paliwa, że jéj zastosowanie możliwem było tylko przy exploatacyi kopalń węgla, gdzie ten prawie nic nie kosztował. Nadto maszyna ta do wyciągania wody z kopalń służyć jeszcze nie mogła.

Przeznaczeniem było Jana Watta uzupełnić i doprowadzić do tego stopnia doskonałości maszynę parową, że w przeciągu lat kilku jéj użytek stał się prawie powszechnym; jemu téż należy się sława prawdziwego twórcy industryi nowoczesnéj. Mając lat dwadzieścia jeden był on w Glasgowie konserwatorem gabinetu fizycznego, a reparując znajdujący się tam i zepsuty model maszyny

Newkomena, wpadł na pierwszą myśl wynalazku. Było to w roku 1764; w cztery lata potém zbudował pierwszą swą maszynę ulepszoną.

Wynalazek Watta zostałby był pewno bez zastosowania, gdyby nie zręczne zabiegi Bultona, właściciela zakładów mechanicznych koło Birmingham, z którym Watt, szczęśliwie natchniony, wszedł w spółkę. By zwyciężyć opór właścicieli kopalń, którzy znanéj im dobrze staréj maszyny Newkomena, zamienić nie chcieli na zachwalany lecz nieznany wynalazek Watta; Bulton postępuje w ten sposób: ofiaruje darmo maszyny Watta, zabiera za duże pieniądze stare maszyny Newkomena, a za całe wynagrodzenie wymaga, aby mu po każdym roku zwracano trzecią część oszczędzonego węgla. Dokonane poprzednio doświadczenia z maszynami obu systemów a tegoż samego rozmiaru, pozwoliło ocenić ekonomię węgla na 1000 oscyllacyj tłoka. Tym sposobem można było oznaczyć ekonomię przez miesiąc lub przez rok, licząc liczbę oscyllacyj podczas tych peryodów. W saméj jednéj kopalni w hrabstwie Kornwallis, gdzie trzy maszyny były ciągle w ruchu, właściciele uznali za stosowne odkupić prawo wynalazcy, bo ekonomia zrealizowana na węglu, przenosiła 60,000 franków rocznie na maszynę.

Wszystkie ulepszenia wprowadzone przez Watta do maszyny parowéj, odznaczają się ową prostotą, cechującą same tylko genialne wynalazki. Maszyna parowa taka jaką wyszła z rąk jego, istnieje dotychczas. Liczne próbowane były zmiany, ale dziś uważa się powszechnie jako postęp prawdziwy, powrót do dawnych prostych form maszyny Watta, a tylko wykonanych przy pomocy owych potężnych mechanicznych środków, które przemysł konstrukcyjny posiada teraz, a które za czasów Watta nie istniały jeszcze.

O saméj maszynie parowéj rozpisywać się tu nie będziemy. Każdy wie że para utworzona w kotle, przechodzi do cylindra, do którego wpuszczaną jest naprzemian, pod lub nad tłok. Tym sposobem tłok to się podnosi, to opada, a ten ruch peryodyczny zamienia się łatwo na obrotowy i ciągły przez pośrednictwo łaty korbowéj i korby. Opisywać szczegółowo wszystkich organów, do wpuszczania pary do cylindra, lub do przemiany ruchów służących, bez figur niepodobna. Łatwo zresztą rozpoznać użytek każdego z nich w szczególe, przyglądając się jakiéjkolwiek maszynie parowéj w ruchu.

Ten sam Papin, który pierwszy powziął myśl spożytkowania siły elastycznéj pary, na nadanie peryodycznego ruchu tłokowi w cylindrze, pierwszy także zastosował maszynę parową do żeglugi. W roku 1707 jeszcze, zbudował on mały statek i puścił go na Wezerę; ale zazdrośni żeglarze widząc niebezpieczną w tém konkurencyą, potłukli go w kawałki. Myślano wtedy powszechnie, że

maszyny wydają szkodliwe skutki dla pracy ludzkiéj, lecz dzięki postępowi cywilizacyi i rozwojowi przemysłu, przesąd ten upadł. W roku 1753, Akademia umiejętności w Paryżu, dała na temat konkursowy kwestyą dopełnienia działania wiatru w biegu okrętów. Uczony matematyk Bernoulli, dowiódł rachunkiem, że zastosowanie znanych wtedy maszyn Newkomena do żeglugi przyniesćby nie mogło żadnych korzyści. Ksiądz Gauthier napróżno stawał w obronie pary; Bernoulli odniósł nagrodę, a Akademia nietylko że obojętnie, ale nawet i nieprzyjaźnie patrzeć odtąd zaczęła na pierwsze próby żeglugi parowéj.

Po kilku, odbytych przez różne osoby i bez żadnego powodzenia doświadczeniach na Sekwannie pod Paryżem, Klaudyusz Jouffroy, szlachcic francuzki z Franche-Comté, zbudował u siebie na wsi przy pomocy miejscowego kowala, mały statek 13 metrów długości mający, a zaopatrzony w machinę Watta, która nadawała ruch pewnemu systemowi deszczułek, zbudowanemu w kształcie łap kaczych. Statek ten chodził po rzece Doubs przez dwa miesiące, a zachęcony tém właściciel, buduje w parę lat późniéj, w roku 1783, nowy okręcik, ale już nierównie większy i opatrzony w system kół z pudełkami. Tę nową budowę puszcza na Saonę i doświadcza publicznie pod Lyonem z wielkiém powodzeniem; ale dla otrzymania patentu wynalazku, trzeba było pozyskać uznanie Akademii paryzkiéj. Jeden zaś z członków kommissyi wydelegowanéj w tym celu, dał się słyszeć ze zdaniem: „że jako członek Akademii miał już sposobność examinowania wielu śmiesznych projektów, ale tak waryackiego jak ten, jeszcze nie widział.“ Oświadczenie to nie było dość pomyślną wróżbą dla markiza Jouffroy; jakoż rzeczywiście ministeryum wstrzymało danie patentu aż do nowych doświadczeń, jakie miały mieć miejsce w Paryżu. Tymczasem wybuchła rewolucya i Jouffroy zrujnowany przez swe pierwsze próby, nie mógł prowadzić daléj przedsięwzięcia.

Prawdziwe wprowadzenie w życie żeglugi parowéj jest dziełem Fultona, a miało miejsce nie w Europie, ale w Ameryce. W roku 1783 garstka kolonistów oswobodziła Amerykę północną z pod jarzma metropolii, po walce kilkoletniéj. Lecz Anglo-Amerykanie dążyli nietylko do pozyskania niepodległości; chcieli oni założyć państwo równie bogate w ludność, jak w rolnictwo i przemysł. Wspierać ich miał napływ z Europy emigrantów, lecz kolonizacya nie mogła się odbywać szybko bez ułatwionych komunikacyj, a z drugiéj strony do budowy dróg i kanałów ani kapitału, ani rąk podostatkiem nie było. Stare narody europejskie nie byłyby może wybrnęły z tego kółka błędnego; Amerykanie wyszli z niego zwycięzko, wspierani z jednéj strony właściwym im geniuszem narodowym, a z drugiéj wynalazkiem i pracami Fultona.

Fulton był złotnikiem; prosty rzemieślnik umiejący czytać i pisać, miał zamiłowanie do rysunku, a przedewszystkiem do mechaniki. W dwudziestu latach pracuje on w zakładach konstrukcyjnych w Birmingham, zajmując się przytem różnemi nowościami

w dziedzinie mechaniki, a między innemi, za poradą jednego ze swych przyjaciół i żeglugą parową. Nie widząc wkoło siebie dostatecznéj do tego zachęty, przenosi się do Francyi, przewożąc tam po raz pierwszy, wynalezione świeżo przez jednego malarza w Edymburgu, panoramy. Następnie przy pomocy rządu francuzkiego, pracuje nad budową statków podwodnych, mających wysadzać w powietrze okręty nieprzyjacielskie, i wynajduje owe torpille albo torpedy, o których tyle mówiono podczas ostatniéj wojny w Ameryce.

Statek podwodny Fultona próbowany jest w Rouen, Hawrze i Brescie. W Brescie doświadczenia miały miejsce w obecności admirała Villaret i licznych spektatorów. Fulton zanurza się ze swym statkiem pod wodę, pozostaje tam przez dwadzieścia minut i wypływa na powierzchnię wody na znacznéj odległości; potém zanurzywszy się na nowo wraca pod wodą do punktu wyjścia; pozostaje następnie zanurzony przez kilka godzin i wychodzi o trzy mile od punktu w którym dał nurka. Doświadczenia zakończyły się rzuceniem torpedy z odległości 200 metrów na stojącą w porcie na kotwicy szalupę. Po kwandransie szalupa wylata w powietrze, podnosząc trzydziesto-metrową przeszło kolumnę wody.

Ale Bonapartemu potrzeba było czego innego jak doświadczeń; chciał on widzieć wyskakujące w powietrze nie bezbronne szalupy, ale okręty angielskie. Fulton przysposabia się do ścigania okrętów nieprzyjacielskich, ale kilka miesięcy upłynęło, podczas gdy żadnego jeszcze nie spotkał. Zapomoga do jego prób niezbędna, odebraną mu została.

Dotychczas walczył Fulton z przeciwnościami, z energią właściwą jego narodowi; ale obecnie poczytał się już za zwalczonego. Wyzuty ze wszystkich środków utrzymania, bez nadziei odszukania nowych, postanowił wrócić do kraju. W tym celu udaje się po paszport do ambasady amerykańskiéj. Reprezentant ówczesny Stanów Zjednoczonych w Paryżu, Robert Livingston zajmował się wiele, jeszcze w Ameryce żeglugą parową, i wykonywał już nawet liczne próby, na które niemało poszło pieniędzy. Spotkanie Fultona obudziło w nim nowy zapał do dawnych idei, tak, że postanowił zrezykować jeszcze resztki swego majątku, na wspólnym ich celem będące przedsięwzięcie. W początku 1803 roku zbudowany został mały statek parowy i puszczony na Sekwannę. Ale rano w dzień właśnie stanowczéj próby, Fulton dowiaduje się od jednego z robotników, że statek zatonął. Budowa niedostatecznie silna nie mogła wytrzymać ciężaru maszyny. Ta niefortunna wiadomość pogrążyła go w rozpaczy, lecz nie na długo. Był on Amerykaninem i rozpoczął na nowo. W przeciągu sześciu miesięcy, zdołał wyciągnąć maszynę z głębi Sekwany i umocnić na nowo zbudowanym statku. Świadek jeden współczesny opowiada, że w roku 1803, widziano pod Paryżem koło Chaillot „statek dziwacznego kształtu, uzbrojony we dwa wielkie koła, osadzone na wspólnéj osi, tak jak u wozu; a po nad kołami ukazywał się wielki jakiś piec z wystającą rurą, którą brano za pompę ogniową, mającą poruszać koła

i statek.“ Statek ten chodził kilkakrotnie po Sekwanie, z jednego końca Paryża na drugi, w obec licznego zgromadzenia. Ale umysł ogółu publiczności paryzkiéj czém inném i to za zbyt zajęty był wtedy, aby na wynalazek Fultona baczniejsze zwracać oko. Pomimo więc, że Fulton chcąc by jego wynalazek był uznany przez Akademią, udawał się do pierwszego konsula, ofiarując swe odkrycie Francyi: odprawiony został z niczem, a pierwszeństwo wprowadzenia w życie żeglugi parowéj, ofiarowane Francyi przez cudzoziemca, wymknęło się jéj raz jeszcze i już na zawsze. Fulton i Livingston, powołując się już na odbyte w Paryżu próby, otrzymali w roku 1804 przywiléj żeglugi parowéj na wszystkich wodach Stanów Zjednoczonych, i to na lat dwadzieścia.

W trzy lata potém, w sierpniu 1807 r. statek 50 metrów długości mający, nazwany *Clermont*, spuszczony został w New-Yorku na rzekę Hudson. Na statku osadzoną była maszyna, zbudowana w Anglii na warsztatach Bultona i Watta, a wedle planów Fultona. Dzień 11 sierpnia naznaczony był na publiczną próbę, która miała polegać na podróży z New-Yorku do Albany i z powrotem. Fulton wchodzi na pokład, na nieszczęście nie w pośród powszechnéj ciszy, bo cisza miałaby jeszcze swoją wielkość, lecz w pośród ogólnego śmiechu, krzyku, gwizdań i mruczenia tłumu, równie nieświadomego jak i niewierzącego. To przyjęcie nie porusza go wcale; pozostaje on w spokoju, jak przystoi człowiekowi, pełnemu wiary i pewności. Na znak sławnego mechanika, *Clermont* rusza z miejsca; a zaledwie kilka razy obróciły się koła, wykrzyki niewiary i pośmiewiska ustają. Milczenie panować zaczyna, tak jakby ten tłum czuł potrzebę zebrania ducha, dla uzyskania przebaczenia za niesprawiedliwość jaką popełnił. W kilka chwil potém, kilka krzyków uwielbienia daje się słyszeć, potém oklaski, aż wreszcie wiwaty wybuchają ze stron wszystkich. Podróż próbna udała się wybornie, a w kilka dni potém Livingston i Fulton ogłosili w dziennikach, że statek ich przeznaczony do chodzenia między New-York a Albany, wyruszy nazajutrz.

Statek wyruszył rzeczywiście, lecz nieunosząc na pokładzie nikogo oprócz Fultona i ekwipażu. Żaden podróżny nie odważył puścić się na nim. Z powrotem przedstawił się wreszcie jeden: był to francuz nazwiskiem Andrieux. Znajduje on Fultona zajętego pisaniem w swéj kajucie i wręcza mu opłatę za przejazd. Fulton, zostaje przez kilka minut nieruchomy i milczący, wpatrując się w zamyśleniu na złożone w jego ręku pieniądze. Podróżny, myśląc że się zmylił w rachunku, pyta: „wszak taka jest cena przejazdu?“ Na te słowa Fulton wychodzi z zamyślenia, spogląda na cudzoziemca i dużą łzę urania. „Wybacz pan—powiada,— myślałem o tém, że te sześć dolarów są pierwszém wynagrodzeniem za me trudy, pierwszym owocem mojéj pracy. Gdybym był bogatszym — dodał biorąc za rękę francuza, — uświęciłbym tę chwilę dzieląc z panem butelkę wina, ale zbyt biedny jestem bym ją mógł ofiarować. Mam

nadzieję jednak, że skoro się spotkamy raz drugi, w lepszém znajdować się będę położeniu." I rzeczywiście spotkali się razem w cztery lata później, a Fulton nieomieszkał dotrzymać obietnicy.

Wynalazek Fultona miał dla Stanów Zjednoczonych doniosłość niezmierzoną. Zrozumieli to dobrze Amerykanie przy ich praktycznym umyśle, i śmierć Fultona w roku 1815 była sygnałem powszechnéj żałoby. Statki parowe przebiegały już wszystkie prawie wody Ameryki, a wkrótce pokazały się i na wodach europejskich. W Anglii Henryk Bell buduje statek do przewożenia podróżnych na rzece Clyde z Glazgowa do Greenock, a wkrótce potém urządzoną zostaje regularna żegluga między Anglią a Irlandyą i Anglią a Francyą. Pierwsza regularna żegluga parowa wewnątrz Francyi, zaprowadzoną była w roku 1818 na Garonnie między Bordeaux a Langon; ale dopiero między 1825 a 1830, ten nowy system nawigacyi, rozwinął się zupełnie na rzekach francuzkich.

Na kanałach i rzekach niezbyt szerokich, statki ładowne ciągnione były zwykle przez ludzi lub konie. Na wielkich rzekach a zwłaszcza posiadających szerokie koryto, przychodziło w pomoc zastosowanie żagla, stanowiąc system żeglugi nader niekompletny i od kaprysów wiatru zależny. O transporcie podróżnych témi dwoma sposobami ani marzyć nie było można: dyliżanse przenosiły ich daleko prędzéj i wygodniéj. Wprowadzenie pary do żeglugi rzecznéj, dozwoliło jéj zająć się transportem podróżnych; a dziś jakkolwiek ona konkurencyi z kolejami żelaznemi wytrzymać nie może, to jednak w wielu miejscach prawdziwe oddaje przysługi. Zacytować tu można jako przykład żeglugę parową na niższym Dunaju i na Wiśle, któréj to ostatniéj dogodności, Warszawianie dostatecznie ocenić już mogli.

Lecz jeżeli w transporcie podróżnych, chodzi prawie wyłącznie o szybkość, w przewozie towarów pierwszym warunkiem jest taniość. Żegluga parowa, zastosowana pod postacią statków na kołach, warunkowi temu zadość uczynić nie mogła. Deszczułki kół uderzając w wodę, nie doznają dostatecznego oporu, aby cała ilość siły wytworzonéj przez maszynę, na poruszanie statku zużytkowaną być mogła. Ma to miejsce z pewnym jéj tylko ułamkiem, który zależny od formy statku i wymiarów kół, przy najlepszych okolicznościach zostaje jeszcze dość małym. Z tego to powodu, podczas gdy lokomotywy przewyższyły i pod względem ekonomii dawne furgony i wozy; statek parowy na kołach, do przewożenia znacznéj ilości towarów zastosowany, nigdy opłacić się nie może i rzadko téż gdzie jest używany. Na kanałach przedstawia on jeszcze inną niedogodność. Fale ruchem kół utworzone, niszczą i degradują brzegi kanałów, a przez to powiększają koszta ich utrzymania i często stać się mogą przyczyną zupełnego upadku. Jakkolwiek zastąpienie kół przez śrubę, tę ostatnią niedogodność usu-

nęło, to jednak pierwsza za zbyt jest znaczącą, aby w tych warunkach żegluga parowa do przewożenia wielkich ilości towarów zastosowaną być mogła.

Zaczęto więc myśléć nad ekonomiczniejszymi sposobami użytkowania pary w żegludze wewnętrznéj. Dwa, dotychczas zaproponowane weszły w użycie we Francyi; a o każdym z nich rozpiszemy się tu trochę, mając na uwadze że to są rzeczy prawie nowe, mało znane i których tyczące się, rzadko gdzie można znaleźć szczegóły.

Pierwszym pod względem wartości jest ciągnienie na łańcuchu zanurzonym, czyli tak nazwane po francuzku *touage*. Na specyalnie zbudowanym statku, osadzoną jest maszyna parowa, która wprawia w ruch gruby walec, z kilka razy przewiniętym na nim łańcuchem. Łańcuch ten, dostatecznie silny aby na nim oznaczoną liczbę statków ciągnąć było można, przechodzi po nad pokładem z obu stron walca i zanużywszy się w wodę spoczywa na dnie rzeki lub kanału, rozciągając się zresztą między dwiema miejscowościami, które tą metodą żeglugi połączone być mają. Na tych dwóch punktach krańcowych, łańcuch umocowany jest za pomocą kotwic. Pojąć więc można łatwo, że gdy maszyna walec na statku wprawi w ruch obrotowy, łańcuch rozwijać z jednéj a nawijać z drugiéj strony się zacznie; a statek biorąc opór na łańcuchu, posuwać się będzie naprzód lub w tył, stosownie do kierunku ruchu obrotowego walca. Do tego specyalnego statku, który nazwiemy *ciągaczem*, przywiązują się statki ładowne, których liczba od ich ciężaru i mocy łańcucha zależy. Ponieważ ściąganie łańcucha z walca i nawijanie go na nowo, jest operacyą nader uciążliwą i długą, przeto minięcie się dwóch pociągów, idących w strony przeciwne na jednym łańcuchu, jest prawie niepodobném; w tym przeto przypadku, dwa ciągacze naprzeciw siebie idące, zamieniają statki które ciągną i wracają napowrót.

System ten zaprowadzony już został we Francyi w kilku miejscach. Na wysokiéj Sekwanie między Paryżem a Montereau, na długości 102 kil,, spoczywa na dnie rzeki łańcuch z ogniwami żelaznemi 22 mm. grubości. Metr łańcucha waży jedenaście kilogr.. Żegluga uskutecznia się przy pomocy siedmiu ciągaczy, z których jeden o sile 16 koni, dwa o sile 24 a pięć o sile 35—40 koni. Statki te zbudowane z blachy żelaznéj, dno mają płaskie, maszynę parową na środku i chodzą z prędkością dwóch kilometrów na godzinę pod wodę, a sześciu z wodą. Na niskiéj Sekwanie, cztery łańcuchy są zanurzone. Jeden w obrębie Paryża, drugi między Paryżem a ujściem rzeki Oise, trzeci od tego punktu do Rouen a czwarty od Rouen do Mailleraie. Maszyny są tu potężniejsze jak na wysokiéj Sekwanie, a wszędzie ten system żeglugi nader pomyślne pod względem ekonomicznym daje rezultaty. Na kanałach zastosowany już został w dwóch miejscach. Na kanale St. Martin w Paryżu, pokrytym w znacznéj swéj części sklepieniem, chodziło o to aby żegluga odbywała się z pewną szybkością, z przy-

czyny natłoku statków. Ciągacz z maszyną parową o sile 20 koni, palącą sam koks aby nie zadymiać części miasta przez które kanał przechodzi, czyni zadość obecnie temu warunkowi. Na kanale Burgunckim, w jego najwyższym przedziale, wprowadzono także ten system żeglugi, ale tam nie przyniósł on jeszcze zadawalniających pod względem ekonomicznym rezultatów.

Ciągnienie na łańcuchu zanurzonym, o którém mowimy, odbywa się przy pomocy specyalnego statku unoszącego maszynę. Pan Bouquié proponował ustawienie małéj lokomobili na samymże statku ładownym, opatrzonym z boku w krążek ruchomy, na który zawijałby się łańcuch. Robione w tym przedmiocie próby na kanałach St. Denis i St. Quentin dały zadawalniające rezultaty. Do zastosowań jednak na większą skalę dotychczas jeszcze nie przyszło.

Drugi system żeglugi rzecznéj, zastosowany obecnie a wyłącznie na Renie, polega na wielkiém kole zębatém, opuszczoném pod statek i zaczepiającém o dno rzeki. Koło to około pięciu metrów średnicy mające, a w zęby od 60 do 80 centymetrów długości opatrzone, osadzone jest na wale, którego czopy spoczywają w osadach, umocowanych na jednym końcu wielkiéj drewnianéj ramy. Rama ta jest ruchomą około osi, umieszczonéj na drugim jéj końcu, w ten sposób, że koło zębate, albo spuszczoném na dno rzeki albo podniesioném w górę z łatwością być może. Maszyna parowa wprawia w ruch wał koła zębatego, a jednocześnie i drugi wał, na którym osadzone są z dwóch stron zwykłe koła z paletkami. Skoro woda jest mała, koło zębate opuszczone na dół zaczepia o dno rzeki, a silny tam znajdując opór, nadaje ruch ciągaczowi i przywiązanym do niego innym statkom ładownym. Jak tylko cały pociąg spotyka części rzeki głębsze, tak że koło zębate dna rzeki dostać nie może, podnosi się wtedy w górę koło, statki ładowne przywiązują się z jednéj strony do obu brzegów, aby je woda nie uniosła i na brzeg nie wyrzuciła, a z drugiej do ciągacza, za pomocą żelaznego sznura rozwijającego się w miarę ruchu tego ostatniego. Statki więc ładowne stoją w miejscu, podczas gdy statek z kołem zębatém, czyli jak go tu nazwaliśmy arbitralnie ciągacz, przy pomocy swych kół z paletkami postępuje naprzód, aż póki nie dojdzie do miejsca, w którém woda nie jest tak głęboką, aby użycie koła zębatego było niepodobném. Wtedy maszynista gwizdże, koło zębate opuszczone jest na dół, statki ładowne odwiązane zostają od brzegu, sznur żelazny nawijając się na kołowrot umieszczony na tyle ciągacza, przyciąga doń statki ładowne, i pociąg cały w dalszą puszcza się drogę.

Ciągacze tego systemu noszą we Francyi nazwę *Grapins*. Trzy takie *Grappins* funkcyonują obecnie na Rhonie: *La Ville de Beaucaire* długości 124 metrów, *La Ville de Lyon* 115 metrów i *La Ville d'Avignon* 87 metrów. Każdy z nich zaopatrzony jest w sześć maszyn parowych, a mianowicie: dwie, o sile 15 koni każda, umieszczono na przodzie statku, a do podnoszenia i opuszczania koła

zębatego służące; dwie, umieszczone w środku, o sile 90 koni każda wprawiają w ruch wał koła zębatego i wał kół z paletkami; dwie nareszcie, tak jak i dwie pierwsze o sile 15 koni każda, poruszają kołowrot do rozwijania i nawijania żelaznego sznura służący. Wszystkie te maszyny zasilane są przez jeden wspólny kocioł; cylindry ich są poziome, koła z paletkami funkcyonują razem z kołem zębatém, a gdy to ostatnie zostaje podniesioném, kommunikacya między jego wałem a wałem poruszanym przez maszyny ustaje, przez zsunięcie łańcucha bez końca.

Podczas gdy koło zębate jest w ruchu, ciągacz postępuje z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Ciągnąć on może 600 beczek towarów (beczka znaczy 1000 kil.), nie licząc ciężaru samych statków. Pociągi złożone bywają zwykle z dwóch lub trzech statków ładownych, a ośmiu do dziesięciu próżnych. Czasem liczba statków ciągnionych dochodzi do dwudziestu. Ekwipaż złożony jest z 22 ludzi, z których 14 na ciągaczu, a reszta na statkach ciągnionych.

Ten system żeglugi zastosowany jest jak mówiliśmy na Rhonie między Arles, Beaumaire a Lyonem. Statki potrzebują 10 dni czasu, dla przebycia tam i na powrót drogi między Lyonem a Arles; zresztą czas ten zależy od kierunku wiatru i wysokości wody na rzece. Ciągacze tego systemu oddają zwłaszcza wielką przysługę, odprowadzając w górę rzeki statki próżne, które przewiozły towary do portów południowych.

Ale poświęciwszy te stron kilka żegludze wewnętrznéj, spuściliśmy z oka ogólny postęp żeglugi parowéj. Trzeba nam więc zwrócić się napowrót i powiedzieć coś o zastosowaniu pary do żeglugi morskiej.

Gdy przez prace Fultona, żegluga parowa wprowadzona na rzeki, jeziora, kanały i brzegi morskie, rozwijać się zaczęła coraz więcéj, pozostawało jéj uczynić jeszcze jeden krok naprzód i puścić się na ocean. W roku 1829, inżynier francuzki Marc Seguin wymyśla kocioł rurowy a Jerzy Stephenson ożywia ciąg lokomotyw przez wpuszczenie strumienia pary w ich komin. Lokomotywa szybkobieżna, tym sposobem odkryta, pojawia się po raz pierwszy na drodze żelaznéj z Liverpolu do Manchester. Jéj użytek ocenionym zostaje w krótkim czasie, a Anglicy biorą się do dzieła i stawiają swą siéć dróg żelaznych. Belgia idzie w ich ślady, potém Niemcy i Francya. Lat zaledwie kilka upłynęło, a już ludzie przywykli oszczędzać czas i podróżować szybko. Przyzwyczajenie staje się wkrótce potrzebą; potrzeba zaspokojoną jest na lądzie ale jeszcze nie na morzu. Podróżny chcący jechać do Ameryki, przeniesiony jest z szybkością 50 kilometrów na godzinę do Liverpolu, ale tam prędkość ta niknie. Opuszczając drogę żelazną, nie znajduje on do przebycia oceanu jak tylko okręty żaglowe potrzebujące ty-

godni i miesięcy na zrobienie téj drogi. Jeżeli dzień odjazdu oznaczony jest ściśle, dzień zbliżenia się do oddalonych brzegów pozostaje nie znanym i nie pewnym. Tę lukę zapełnić należało koniecznie. Dyskussye nad zastosowaniem pary do żeglugi morskiéj szerzyć się zaczęły między publicznością, lecz w ogóle zgadzano się na jéj potępienie. A jednak nie szło o nic innego, jak o zbudowanie okrętu wielkich rozmiarów, mogącego mieć maszynę parową potężną i ilość węgla potrzebną do zasilania jéj przez kilka tygodni. Statki parowe morskie jakie już istniały, nie odbywały jak tylko krótkie podróże i oprócz budowy samego statku i większéj potęgi maszyny, nie wiele się od rzecznych różniły. Powoli rozpowszechniły się one po wszystkich większych portach, służąc do wciągania okrętów żaglowych z przystani do portu. Te tak nazwane *remarkery*, które my tu po polsku nie zawahamy się mianować *wciągaczami*, oddały ogromną przysługę żegludze morskiéj. Dawniéj okręt czekał w przystani całe tygodnie, zanim wiatr przyjazny pozwolił mu wéjść do portu. Wały, wejście do portu graniczące, musiały być kierowane w stronę najczęściéj wiejącego wiatru, a budowa ich była jednem z najtrudniejszych zadań inżyniera. Wraz z wprowadzeniem pary, wszystkie te trudności zniknęły. Pozostawało tylko, od małych parowców morskich nadbrzeżnych i owych wciągaczy, przyjść do wielkich okrętów parowych, mogących bezpiecznie płynąć przez ocean. Kapitaliści i inżynierowie wzięli się do dzieła i rozpoczęli na warsztatach morskich w Bristolu, budowę statku na kołach olbrzymiego naówczas, bo mającego 70 metrów długości i mierzącego 1,300 beczek. W marcu 1838 roku statek był już ukończony; nazwano go Great-Western; a na murach téj saméj sali, w któréj parę tygodni przedtem, jeden professor londyński dowiódł przez a+b licznie zebranéj publiczności, że żegluga parowa transatlantycka pozostanie zawsze pięknem tylko marzeniem, czytano: „Great-Western, dowodzony przez kapitana Hosken, wyruszy z Bristolu do New-Yorku 4 kwietnia“. Nie wiemy czy uczony professor miał odwagę odpowiedzieć na to ogłoszenie nową prelekcyą. Za to przykład powyższy natychmiastowe i prawie jednoczesne znalazł zastosowanie. *Syriusz*, statek mierzący 700 beczek, a odbywający regularną służbę między Cork a Londynem, ogłasza także swój odjazd do New-Yorku. Jakoż w ośm dni po Great-Western wyrusza z Brystolu, unosząc siedmiu podróżnych, którzy mieli odwagę zaawanturować się w tę nieznaną przeprawę.

Przybycie tych dwóch okrętów do New-Yorku powitane było salwami artyleryi, dzwonami i okrzykami zachwyconéj ludności. Syrjusz uznany, jako za mały do żeglugi transatlantyckiéj, objął swą dawną służbę za powrotem do Anglii; Great-Western zaś przejeżdżać zaczął regularnie ocean i w roku 1844 uskutecznił już 35 przejazdów. Odległość między Anglią a Ameryką zredukowaną została do dni 15; 20 dni oszczędzono przez parę.

Jeżeli samo zadanie żeglugi transatlantyckiéj rozwiązaném zostało w sposób tak pomyślny, industrya regularnych transportów pozostawała jeszcze do stworzenia. Rząd angielski, widząc w tém potrzebę publiczną pierwszego rzędu, postanowił zużytkować ten raptowny sposób komunikacyj morskich na przesyłanie depesz, tak jak zużytkował już w tym samym celu na lądzie koleje żelazne i zaczął faworyzować usilnie tworzenie się wielkich kompanij żeglugi, nie szczędząc zapomogi. W roku 1840 zawarty został kontrakt z kompanią Cunarda w Liverpoolu, co do służby pocztowéj między Anglią a Ameryką północną; wkrótce potém takiż sam z kompanią Wschodnią co do przesyłek na morzu Śródziemném, oceanie Indyjskim i Spokojnym; nakoniec w 1846 roku, rząd angielski daje zapomogę kompanii Royal Mail, wymawiając sobie przesyłkę korrespondencyj do Antyllów, Mexyku i Ameryki Południowéj.

Francya weszła dość późno na tę drogę postępu, na któréj, widzimy Anglią od roku 1840. Pierwsza służba pocztowa na morzu urządzoną została dopiéro w roku 1852. Powierzono ją na morzu Śródziemnem, największéj i przez długi czas jedynéj kompanii transportów we Francyi, znanéj pod nazwą *Messageries Impériales*, zgodziwszy się płacić jéj za to, tytułem zapomogi 26 franków za każdą milę morską. Kierunki obsługiwane przez tę kompanią powoli pomnażać się zaczęły. Dziś przewozi ona korrespondencye na morzu Śródziemnem, oceanie Indyjskim, sięgając aż do Chin i na mniéj odległych częściach oceanu Atlantyckiego. W roku 1865 posiadała ona 63 okrętów parowych, wartujących razem 115 milionów franków.

Druga wielka kompania francuzka utworzyła się w r. 1861 za staraniem braci Pereirów i przybrała nazwę kompanii Transatlantyckiéj. Powierzono jéj służbę pocztową między Anglią a Ameryką północną, Antyllami, Mexykiem i międzymorzem Panama. Posiada ona 21 wielkich parowców, wartości 75 milionów franków.

Stany Zjednoczone wahały się długo, zanim przyjęły ten system przesyłania korrespondencyi; ale w ostatnich latach zmuszone zostały naśladować Francyą i Anglią i powierzyć służbę pocztową trzem kompaniom. Dziś te trzy państwa: Francya, Anglia i Stany Zjednoczone, używają dla zaspokojenia swych potrzeb pocztowych 190 parowców, przedstawiających razem wartość 416 milionów franków, a których usługi kosztują 46 milionów. Rozkład tych kosztów, stanowiących udzielane kompaniom przez rządy zapomogi, uskutecznia się w stosunku prostym do prędkości, a odwrotnym do ruchu podróżnych i towarów. Im w pewnym kierunku ten ruch jest większy, zapomoga dawana kompaniom przez rząd jest mniejsza, a wzrasta wraz z prędkością. W ogóle jednak powiększenie szybkości ponosi za sobą ogromne koszta; opór bowiem doznawany w ruchu przez okręt od wody, którego zwyciężenie jest właśnie zadaniem maszyny, jest prawie proporcyonalnym do sześcianu z prędkości. Tak więc, żeby przejść od szybkości 2, do szybkości

3, t. j. żeby ją zwiększyć o połowę, trzeba prawie potroić siłę maszyny. Tego zaś powiększenia otrzymać nie można innym sposobem, jak tylko zwiększając samą maszynę, a tém samém jéj ciężar i ciężar potrzebnego węgla, czyli innemi słowy zwiększając objętość okrętu. Widzimy ztąd, że wynikiem wzrostu szybkości, jest przedewszystkiem zwiększenie się rozmiarów okrętu, a jako przykład zacytować możemy wspomnianą już kompanię Cunarda. W 1840 roku rozpoczyna ona żeglugę morską z trzema parowcami, z których każdy o sile 400 koni, mierzy 1200 beczek i chodzi z szybkością średnią 16 kilometrów na godzinę. W miarę rozwoju trafiki, szybkość i rozmiary okrętów kompanii wzrastają równocześnie, tak że ostatni parowiec *Szkocya* zbudowany 1862 r., jest o sile 1000 koni, mierzy 4000 beczek, a jego prędkość dochodzi do 23 kilometrów. Tak więc w przeciągu lat dwudziestu, siła maszyn podwoiła się przeszło, a objętość okrętów potroiła. Jednocześnie konsumacya węgla w ciągu jednéj podróży wzrosła od 400 do 1600 beczek, t. j. w czwórnasób; ciężar zaś towarów, mogący być uniesionym, powiększył się zaledwie o połowę.

Niezależnie od parowców pocztowych, które mogą być uważane jakby pociągi spieszne na morzu, jest jeszcze w ruchu znaczna ilość okrętów parowych mniéj szybkich, a tém samém i mniéj potężnych. Na drodze do Stanów Zjednoczonych, służą one po większéj części wyłącznie do transportu emigrantów. Jedne z nich odchodzą regularnie; są to zwykle parowce średniéj wielkości, o sile 500 koni, 1800 beczek mierzące. One to uskuteczniają służbę pocztową Stanów Zjednoczonych. Inne mniejsze jeszcze, odchodzą stosownie do potrzeby, przewożąc rzadkich podróżnych a prawie wyłącznie emigrantów z Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Liczba parowców tranzatlantyckich, które opuściły Anglię do r. 1864 unosząc emigrantów doszła do 540, a każdy wiózł średnio 350 ludzi. Opłata za przewóz wraz z życiem na statku, zniżała się dla nich do 160, 150, a nawet 130 franków. Ciekawa jest statystyka téj niezliczonéj emigracyi dążącéj do Stanów Zjednoczonych. W roku 1815 emigrowało z Europy 1200 ludzi. Liczba ta szła corocznie wzrastając, a w 1851 doszła do ogromnéj cyfry 267000. Potém zaczęła się zmniejszać i w r. 1862, 65000 emigrantów opuściło Europę. Odtąd znów oni są liczniejsi, a w r. 1864 puściło ich się do Ameryki 150000. Ogół ludności przybyłéj z Europy do Stanów Zjednoczonych i Australii dochodzi do 6,000000, t. j. o milion więcéj jak ludność Królestwa Polskiego.

Wyższość pary nad żaglem w transporcie podróżnych, jest widoczna co do szybkości, ale mniéj znana z innych względów. Oprócz tego już że niebezpieczeństwo jest daleko mniejsze, czego dowodzi zmniejszająca się coraz bardziéj liczba ubezpieczeń, choroby epidemiczne mają tém mniéj szansy rozwinięcia się na okrętach, im po-

dróż trwa krócéj. W 1865 roku śmiertelność na parowcach angielskich, do przewozu emigrantów służących, była od 7 do 12 na 10,000 podróżnych; podczas gdy na okrętach żaglowych, dochodziła do 44, liczby sześć razy większéj. W ogóle przekonano się, że życie i zdrowie człowieka, więcéj są gwarantowane na okrętach parowych niż żaglowych, i to wbrew owym uprzedzeniom, jakie w pierwszych latach rozwoju żeglugi parowéj, tak znacznie były rozszerzone między publicznością. Koszta podróży zmniejszyły się przez zmniejszenie czasu jéj trwania, a nadto podróż może być odbytą obecnie w warunkach komfortu, dawniéj zupełnie nieznanych. Wreszcie dawna niepewność chwili odjazdu i dobicia do brzegu, zamieniła się w regularność prawie matematyczną. Wyjeżdżano dawniéj i wracano jak się zdarzyło, a czas trwania podróży z Europy do Ameryki i odwrotnie, zmienny był niesłychanie: to podwajając się raz, to znów zmniejszając o połowę. Dziś różnice rachują się na godziny, a raporty podróżne, tak jak na drogach żelaznych, zdają sprawę z najmniejszéj straty czasu. Kapitanowie parowców narażają często i bezpieczeństwo, aby tylko przybyć na oznaczoną godzinę. Ta regularność niema w sobie niestety nic poetycznego; człowiek nie puszcza się już na dobrą wolę morza i zabawką fal się nie staje. Za lat parę, a może i za parę miesięcy, dwóch przyjaciół będzie mogło opuścić Paryż i dać sobie *rendez-vous* w Chinach, na oznaczony dzień a nawet i godzinę. Pierwszy przepłynie ocean atlantycki w dni 10, przejedzie koleją żelazną z New-Yorku do San-Francisco w dni 8, wsiadłszy znów na parowiec w San-Francisco stanie w Yokohama po 21 dniach, a morzem chińskiém przepłynie z Yokohama do Hong-Kong za dni 11. Pięćdziesiąt dni potrzebować będzie na tę podróż. Drugi mniéj się spiesząc będzie mógł poczekać jeszcze dni 10 w Paryżu, potém udać się koleją do Marsylii, i tam wziąwszy parowiec, płynąć niezsiadając przez Suez do Hong Kong i spotkać swego przyjaciela po 40 dniach podróży. W podobnych warunkach, missya dana człowiekowi przebiegania i panowania nad ziemią się dopełnia, a przyszłe pokolenie będzie miało w ręku narzędzia pracy, których ojcowie nasi nie przypuszczali nawet istnienia.

W transporcie towarów, para konkuruje także z żaglem, ale już nie tyle na większych odległościach, ile w żegludze bliskobrzeżnéj. Na targach londyńskich sprzedaje się corocznie niezmierna ilość węgla, dowożonego prawie wyłącznie statkami parowemi. Chód tych statków uorganizowany jest z taką prawie regularnością, jak pociągów na drogach żelaznych. Mierzą one zwykle od 1000 do 1200 beczek, i mają trzy szerokie otwory w pokładzie, tak, że mogą być wyładowywane odrazu w trzech punktach. We wszystkich portach pobudowano basseny, w których okręty ładowane być mogą przy każdym stanie morza; a ładunek jednego statku dokonywa się w sześć godzin, przy pomocy najrozmaiciéj urządzonych wind parowych. Wagony wyrzucają wprost towary na okręt, a kilku

ludzi wystarcza do manewrowania dziennie tysiącami wagonów. W ciągu roku 1866, przez port w Newcastle, najpierwszy co prawda w całéj Anglii, wywieziono 4,500,000 beczek węgla. Ta olbrzymia summa exportacyi o niezmiernem rozwinięciu industryi transportów dowodnie świadczy.

Wreszcie wprowadzenie maszyny parowéj do marynarki wojennéj sprawiło w sztuce wojowania na morzu prawdziwą rewolucyę. Wcześnie już zaczęto przewidywać, jakie przysługi mogłaby oddać para, zastosowana na okrętach wojennych. Inżynier francuzki Marcatier, wysłany w tym przedmiocie przez rząd do Ameryki, sformułował pierwszy cały zbiór reguł praktycznych, które dotychczas jeszcze nie straciły swojéj wartości. Pierwszy okręt wojenny francuzki, posiadający maszynę parową był *Sphinx*, ukończony jeszcze przed r. 1840. Ale prawdziwy rozwój parowéj marynarki wojennéj, datuje się dopiero od wprowadzenia śruby; o niéj zaś rozszerzymy się na chwilę.

Dotychczas mówiliśmy o ogólnym rozwoju żeglugi parowéj, dawszy tylko kilka specyalnych szczegółów o żegludze rzecznéj. Pozostaje nam jeszcze powiedzieć co o samym okręcie poruszanym przez maszynę i o mechanizmie, który użytkując siłę pary, ten ruch właśnie wytwarza, czyli o tak nazwanym propulsorze.

Aż do r. 1840, pudło czyli skorupa okrętu budowaną była prawie wyłącznie z drzewa; ale w miarę, gdy z postępem czasu, drzewo stając się rzadszém, coraz bardziéj drożało; żelazo przeciwnie, dzięki rozwojowi fabrykacyi, mogącéj je dostarczać pod najrozmaitszemi formami, stawało się coraz tańszém. Anglicy spostrzegli wkrótce pożytki, jakieby mogły wyniknąć z zastosowania żelaza do budowy okrętów; a obecnie liczba okrętów z pudłem żelaznem coraz się powiększa. Drzewo metalowi miejsca ustępuje.

Zastąpienie drzewa przez zelazo w budowie okrętów, wydało rezultaty prawie równie świetne, jak zastąpienie żagla przez parę. A naprzód, trwałość okrętu zwiększyła się niezmiernie, wraz ze zmniejszeniem kosztów reparacyi. Podobne do kotła maszyny parowéj, a tylko zbudowane z blachy żelaznéj nierównie grubszéj pudło okrętu wytrzymać może najgwałtowniejsze uderzenia fal. Sztywność jego jest tak wielka, że może zostawać zawieszone na wierzchołku dwóch bałwanów, nie ugiąwszy się w środku; albo też spoczywać środkiem na wierzchu fali, bez opuszczenia się obu końców. Okręt *Great-Britain* chodzi ciągle od lat piętnastu, pomimo, że przedtem rzucony na skały, pozostawał tam przez całą zimę, wystawiony na zgubne działanie wiatru i fal. Powtóre, żaden okręt drewniany nie utrzymałby się przy nieustannym ruchu maszyny parowéj, o sile 3 do 4 tysięcy koni, ruchu trwającym całe tygodnie, i wytwarzającym szybkość 25 kilometrów na godzinę. Pod względem sztywności i niezmienności form, połączenia belek żelaznych przewyższają najmocniejsze układy drewniane; a przy równych wy-

miarach, wytrzymałość żelaza jest prawie 10 razy większą niż drzewa. Potrzecie, budowa żelazna, dając pudło podwójne i nieprzemakalne, zwiększyła bezpieczeństwo, dała całą łatwość dzielenia okrętu na przedziały i czyszczenia jego wnętrza, pozwalając przez to utrzymać porządek i polepszyć warunki hygieniczne osady i podróżnych. Nakoniec pudło żelazne, będąc lżejszém przy jednakowych rozmiarach, a jednocześnie dozwalając nieograniczenie prawie te rozmiary powiększać, przedstawia nierównie większy opór przeciw zanurzeniu się pod wodę. Parowiec transatlantycki, z pudłem na 10 metrów wysokiém, zajmuje powierzchnię 1100 metrów kwadratowych, a wypycha 5,000 metrów sześciennych wody, w której zanurza się na 6 metrów. Opór całkowity, jaki przedstawia przeciw zanurzeniu się zupełnemu, wynosi 4,400,000 kilogramów. Okręt podnosi się sam i to z siłą 4,000 kilogramów na metr przecięcia wedle powierzchni wody, gdy fala wznosi się około niego; a ciężar wody jaka może zalać pokład, małym jest tylko jéj ułamkiem. Zresztą, chcąc uzupełnić to wyliczenie pożytków, wynikłych z zastosowania żelaza do budowy okrętów, musimy napomknąć: że znalezienie potrzebnéj ilości drzewa, do zbudowania istniejących obecnie flot handlowych, byłoby niepodobném, a kompletne wyczerpanie lasów, postawiłoby wiele państw w położeniu opłakaném, tak pod względem handlowym, jak i politycznym.

Zbyt ścieśnione ramy tego pisma nie pozwalają mi tu mówić obszerniéj o saméj formie pudła okrętowego. Kontury tego pudła obliczone są ściśle, a ich związek z równowagą okrętu na wodzie, wykazany po raz pierwszy przez francuzkiego inżyniera Bouger, dokładnie już dziś jest znany. W okrętach wojennych, przy wyborze ich formy, wielu innym warunkom uczynić trzeba zadość. Kształty pancerników, czyli okrętów żelazną blachą obitych, ciągłym jeszcze ulegają zmianom. Wraz ze wzrostem kalibru dział, wzrasta grubość pancerza; a narody ucywilizowane wydały już setki milionów, niedowiedziawszy się jeszcze, czy dojdą do pancerzy niemogących być przebitymi, czy też do dział przebijających wszelkie pancerze.

Formy okrętu zależą także od systemu propulsora, o nim nam mówić wypada. Ze wszystkich mechanizmów proponowanych i próbowanych w różnych czasach, dwa się tylko utrzymały: koła i śruba.

Pierwszém znaném na świecie narzędziem do nadawania ruchu statkowi było wiosło. Działanie jego, nie trwając ciągle ale tylko z przerwami, sprawiło, że ludzie zaczęli myśleć aby owe przerwy uczynić jak najkrótszemi, i rozwiązali zadanie osadzając wkoło jednego wału pewną liczbę wioseł. System ten, siłą rąk obracany, pożytkował daleko lepiéj tę siłę, niż proste wiosło; a Witruwiusz wspomina, że używali go Rzymianie do poruszania tratew, na których ich wojska przewożone były do Sycylii, w czasie pierwszéj wojny punickiéj. W r. 1706, Papin zastosował go do swego małego statku, chodzącego na Wezerze. Inżynierowie późniejsi uprościli tylko ten system, osadzając na koronie wielkiego koła pewną liczbę deszczułek, odgrywających tęż samą rolę, co rozszerzone części osa-

dzonych na wale wioseł. Nadto znaleźli oni sposób prosty i praktyczny, w jaki ruch tłoka maszyny parowéj obraca wał, na którego dwóch końcach osadzone są koła. Wszystkie te szczegóły zanadto są znane, aby się tu o nich rozszerzać należało. Przejdziemy więc do drugiego używanego obecnie propulsora, to jest do śruby czyli helissy.

Każdy wié co jest śruba i wié także, że obracana w swéj mutrze, posuwa się ona równolegle do osi, jeżeli mutra umocowaną jest stale. Śruba składa się z walca, przedstawiającego na powierzchni nacięcie w kształcie wężykowatym, zwane gwichtem śruby. Zwykły grajcarek nie jest niczém inném, jak tylko śrubą o gwichcie szerokim, ale bez wewnętrznego walca. Otóż wyobraziwszy sobie jedną cząstkę, jeden zwój śruby, któréj gwicht będzie miał z łokieć naprzykład szerokości, mieć będziemy ów tyle wsławiony propulsor okrętów, znany pod nazwą helissy. Osadziwszy go z tyłu, zewnątrz okrętu, na wale umieszczonym na spodzie wzdłuż pudła, i nadając wałowi szybki ruch obrotowy, kawałek ten śruby pogrążony we wodzie obracać się będzie z szybkością. Woda wypełni tu rolę umocowanéj stale mutry, a śruba posuwać się zacznie naprzód, popychając przed sobą okręt, do którego jest przymocowaną.

Wynalazek helissy nie jest tak nowym jakby się to wydawać mogło. Oddawna już była ona proponowaną; niezależnie od motora, który jéj ruch miał nadawać. Zastosowana po raz pierwszy w r. 1839 przez Smitha w Anglii, okazała się nierównie lepszym propulsorem okrętów niż koła, a obecnie liczba parowców na kołach coraz bardziéj się zmniejsza.

Wyższość śruby nad kołami na wielu polega względach. Naprzód, przy równéj potędze ciężar jéj jest nierównie mniejszy. Wał śruby umieszczony na spodzie okrętu, mniéj zabiera miejsca i nie zawadza na pokładzie; a zarazem i środek ciężkości okrętu obniżonym zostaje i równowaga jego się powiększa. Chód parowca na kołach utrudniony jest: to zbytniém zanurzaniem się kół, gdy statek naładowany; to znów niedostateczném, gdy statek pusty. Śruba ma ruch regularny, bo bezprzestannie jest zanurzoną. Użytkuje ona lepiéj siłę maszyny, a doświadczenia okazały, że jest nierównie ekonomiczniejszą niż koła. Wreszcie w zastosowaniu do okrętów wojennych, przedstawia tę niezmierną wyższość nad kołami, że ciągle zanurzona w wodzie, nie jest wystawioną na kule nieprzyjaciela. Jedyną jéj wadą jest to, że wymaga głębszéj wody niż koła, i dla tego też są pewne przypadki, w których kół zastąpić zupełnie nie może.

Niepodobna nam zakończyć niniejszego pisma, niepowiedziawszy choć słów kilku o największym istniejącym okręcie parowym, który przez długi czas jeszcze, pozostanie najpiękniejszym okazem budowli morskich. Jest nim tak nazwany *Great-Eastern* albo *Leviatan*, zaprojektowany przez Brunnela syna. Przeznaczeniem jego

pierwotném miało być przewożenie podróżnych i towarów z Anglii do Australii, podczas gdy odkrycie min złotych w tamtéj części świata, przyciągnęło do niéj wielką liczbę emigrantów. Great-Eastern zbudowany został z żelaza, z pudłem podwójném; a doświadczenie późniejsze dowiodło pożytku téj budowy, skoro w przepływie do New-Yorku, okręt przy chmurném niebie wpadłszy na skały doznał gwałtownego wstrząśnienia, a mimo to mógł dalszą odbywać drogę. Po powrocie do Liverpola przekonano się, że powłoka zewnętrzna była rozdarta na 10 metrów przeszło długości, lecz pudło wewnętrzne było nienaruszone, i dla tego woda nie dostała się do wnętrza. Wymiary olbrzyma są następujące: długość 210 m., szerokość 25, wysokość 18, średnica kół 18. Oprócz kół umieszczono na tyle okrętu śrubę o czterech skrzydłach. Koła poruszane są przez cztery maszyny oscyllujące, a śruba przez cztery stałe poziome. Dwadzieścia kotłów zaopatrywa je w parę. Oprócz nich ustawiono jeszcze dwie maszyny do poruszania kołowrotu i innych manewrów, i dziesięć mniejszych, w różnych punktach okrętu, do zasilania w wodę kotłów i odbywania różnych innych robót. Okręt próżny zanurza się w wodzie na 6 metrów, a ładowny przeszło na 9. Cztery tysiące podróżnych może znaleźć na nim miejsce; oprócz nich on wieźć może 29,000 beczek towarów. W tę ostatnią cyfrę wchodzi już i potrzebny do ogrzewania kotła węgiel. Na odbycie całéj drogi z Anglii do Australii należałoby go zabrać 12,000 beczek, ale przystając na przylądku Dobréj Nadziei i znajdując tam stosowne zapasy paliwa, dość było wziąść 5,000 beczek opuszczając Anglię, a resztę miejsca zapełnić towarami.

Great-Eastern kosztował 25 milionów franków, a budujący go przedsiębiercy myśleli, że odbywając corocznie dwie całkowite podróże, przyniesie do dwóch milionów czystego dochodu. Na nieszczęście oczekiwania ich się zawiodły. Okręt jeszcze nie był ukończonym, gdy już przeszedł entuzyazm do Australii; zrobienie fortuny na minach złotych czystą okazało się illuzyą. Zmniejszyła się przeto znacznie liczba emigrantów, a skoro Great-Eastern gotów był do odjazdu, podróżnych mu zbrakło. Co do towarów, przekonano się wkrótce, że okręt potrzebował czekać wiele miesięcy w porcie, zanimby zebrał 6,000 beczek do przewiezienia. Spekulacya stała się niepodobną w tych warunkach; a nie mogąc być zużytkowanym na drodze do Australii, Great-Eastern przerzucony został na linię do Nowego Yorku. Po odbyciu 18 podróży między Liverpolem a Ameryką z prędkością 25 kilometrów na godzinę, zmuszony został pozostawać przez długi czas bezczynnym, z przyczyny reparacyi. Kapitał przezeń pochłonięty przez ten czas nie procentował, a przedsięwzięcie okazało się zupełnie nieszczęśliwém pod względem ekonomicznym. Dopiero w latach ostatnich Great-Eastern pojawił się na nowo, służąc i sam tylko służyć będąc zdolnym do zanurzania liny telegrafu transatlantyckiego. Jedno to zastosowanie usprawiedliwia samo przez się śmiałość pomysłu Brunnela.

Rozwijają się obecnie przed naszemi oczyma dziełem pary będące cuda. Olbrzymi postęp exploatacyi kopalń, fabryk tkanin i przędzarń, koleje żelazne i żegluga parowa; rozwój stosunków handlowych między ludami, przechodzi najśmielsze oczekiwania: wszystko to jest dziełem pary i dziełem człowieka, który tę nową potęgę ująć zdołał i na powszechny oddać użytek. W téj wielkiéj rewolucyi, któréj ostatecznym wynikiem będą, jak się spodziewać należy, pokój i zgoda powszechna, — żegluga parowa jednym jest z najważniejszych działaczy. Dawniéj morze Śródziemne było jedyną drogą cywilizacyi; a nad jego brzegami zamieszkiwały narody, jaśniejące tak żywym blaskiem w dziejach starożytności. Ludy te komunikowały nawzajem z trudnością przez ziemię; łatwiéj trochę morzem, po którém tylko brzegów się trzymając, pływano. Ocean, widziany ale co do rozległości tajemny, był polem przeróżnych domysłów aż do dnia, w którym Krzysztof Kolumb, genialną ideą popchnięty, dobił do Antyllów myśląc że przybywa do Azyi. Ameryka tak długo nazywana Indyami i przez dzikie ludy zamieszkana, zaludnia się wkrótce Europejczykami. Kolonie stają się niezależnemi państwami, a największa z nich północna, utworzywszy w połowie zeszłego wieku Zjednoczone Stany, szybkim swym rozwojem wszelkie przechodzi oczekiwania. Dzięki żegludze parowéj, to państwo młode a żywotne zbliżoném zostaje do staréj Europy; a ocean zamieniony na wielką arenę, w któréj narody ubiegają się dziś o zwycięztwo handlowe.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Odmęt we Francyi. — Reakcya. — Zwrot do historyi. — Szkoła metryk państwa. — Muzeum archiwów francuzkich. — Ocalone pomniki przeszłości. — Papyrusy i pargaminy. — Akta konwencyi. — Blankiet na 37 ofiar.— Pismo Napoleona I. — Prace Akademii Nauk.— Aerostacya.— Balon z kierownikiem.— Słowa Gambetty.— Członkowie akademii ofiary ostatnich nieszczęść: Dr. Longuet, Payen, generał Niobert.— „Trzeba nam się odrodzić".— List Dumasa syna.— Przegląd nowych publikacyj.— „Siedmdziesiąt trzy dni komuny".—„Drugie oblężenie Paryża" L. Hansa.—„Paryż pod komuną" pana Boriac.—„Pernetta" poemat Laprada.— Ballada Forezka.— Zapomniany obchód urodzin Kornela.— Juliusz Janin.— Ocenienie Pompejusza.— Krytyk i Poeta.—Kornel w przekładach polskich i na scenie warszawskiéj.

Paryż utonął w odmęcie. Zimni dyplomaci całego świata, patrzeli na zjawisko nieznane w dziejach. Ta Francya przed rokiem jeszcze tak potężna, tak świetna, dziś powalona jako państwo, rozprzęgła się nawet w swych żywiołach społecznych. Paryż w płomieniach! Nie obcy najezdcy, ale własne dzieci Francyi, szarpią wnętrzności matki szukając złota, a zarazem puszczają z dymem drogocenne nabytki wieków, aby zerwać z przeszłością!

„Co nam sięgać wzrokiem za siebie, po co mozolić się nad łataniem starego gmachu? Puśćmy z perzyną wszystko co zbudowała ludzkość, a dźwignijmy wzrąb nowy, odpowiedni potrzebom przyszłości!" Tak przed kilku laty wołali w Bermie krańcowi reformatorowie socyalni, tak zawołali zdobywszy w Paryżu chwilową władzę i niestety, zrealizowali te słowa!

Nie ma zatem Francyi! państwo runęło pod Sedanem, ogniwa społeczne pękły z pożarem Tuilleries, Palais-Royal, Ratusza, Luwru, pałaców sprawiedliwości, rady stanu, Legii honorowéj, kolumny Vendôme, łuku tryumfalnego i innych pomników przeszłości.

A oto patrzmy jak Francya pełną garścią sypie miliardy na opłacenie szalonéj bezmyślności swych przewódzców, na okupienie

pychy własnéj; patrzmy jak szlachetnie przyznaje się do grzechu, jak ofiarą wydobywa z siebie nowe siły, jak chwyta za kielnię aby zakryć własne szczerby, przed oczyma urągających jéj tłumów.

„Chcesz-li widzieć gruzy Paryża? przybywaj spiesznie, tylko patrzeć a nie będzie ich śladu.“ Te słowa odebraliśmy sami w kilka dni po najstraszniejszéj katastrofie, jaka kiedykolwiek dotknęła miasto. Zapisujemy te wyrazy, bo charakteryzują stan umysłów we Francyi, bo wskazują szybki prąd odradzającego się ducha.

Te niesłychane bogactwa materyalne, które pozwoliły Paryżowi zbombardowanemu, spalonemu, rok blizko oddzielonemu od świata, złożyć w przeciągu czterech godzin, nie sto, nie dwieście, ale dwa tysiące pięćset milionów złotem, te bogactwa wprawiły w zdumienie najzaciętszych nawet przeciwników Francyi, nie z powodu saméj wartości ich materyalnéj, ale ze względu że te skarby wymownie świadczą o wielkiéj oszczędności jaka panowała w domach i na poddaszach tak okrzyczanego Paryża. Oszczędność! a małaż to cnota? a czyż ona nie protestuje przeciwko tym, którzy w Paryżu widzieli tylko swawolę, zbytek i bezrząd! Ażaliż oszczędność idzie w parze z temi brzydkiemi wadami? Ale nad tę cnotę oszczędności, tak zaszczytną dla Paryża, nad tę gotowość do ofiar jakiéj dał dowody, więcéj nas jeszcze uderza owa młodzieńcza, pełna przyszłości energia, owa pochopność do pracy umysłowéj w rozmaitym kierunku, jaką okazuje dziś cała Francya, a mianowicie ten Paryż, który tylko co przebył najstraszniejszą próbę ogniową.

Jakże ciekawy, jak budujący widok tego życia w pierwszych chwilach nowego peryodu, w jaki Francya dziś wstępuje. Przeglądy i dzienniki, zapisują skwapliwie te wszechstronne objawy życia. My trzymając się obrębu naszéj kroniki, pragniemy tylko wskazać znamiona tego ruchu w wydziale naukowym i literackim.

Kiedy część społeczeństwa porwana jakoby wściekłym szałem, aby zerwać z przeszłością, burzy kościoły, powala kolumny, puszcza z dymem skarby pamiątek, świadectwo narodowéj chwały, druga część postanawia tém usilniéj szukać w historyi praw wiecznych, wytykających drogę na przyszłość. Dziennik urzędowy ogłasza, iż kursa w szkole metryk państwa (Ecole des chartes) otwierają się właśnie, i aby powetować czas stracony, mają trwać tu bez przerwy cały rok. To znaczy że setki młodych ludzi zagrzebie się w stosach wyschłych i pożółkłych pargaminów, aby z tych hieroglificznych zgłosek, odgadnąć tajemnicę przeszłości. Prace takich to niezmordowanych badaczów, ułatwiają prawdziwym i sumiennym reformatorom odkrycie dróg właściwych dla społeczeństwa.

Szczęściem dla historyi, wielkie muzeum archiwów francuzkich, ocalało od płomieni, które pochłonęły tyle drogocennych zabytków. Francya zawdzięcza to wielkiéj odwadze i gorliwości głównego archiwisty, uczonego Alfreda Maury, który w najnie-

bezpieczniejszych chwilach, dotrwał na stanowisku, i potrafił odwrócić klęskę.

Francuzi utraciwszy dziś tyle skarbów, z miłością zwracają się ku tym, jakie im jeszcze pozostały. Gdy jedni opisują bezpowrotne straty, drudzy obliczają pilnie ocalone bogactwa, jak one pyszne galerye Luwru, obejmujące w arcydziełach pędzla i dłuta całą historyą sztuki; ową nieporównaną Bibliotekę Richelieu, gdzie w milionach tomów, zapisana historya wiedzy ludzkiej; te drogocenne archiwa, wymowne dowody dwódziesto-wiekowéj cywilizacyi. Serdeczna radość z jaką spisują ocalone skarby swoje, przypomniała nam śliczny obraz Loeffflera, tę chwilę po najeździe tatarskim, kiedy biedna rodzina nad kupą rumowisk, szuka w nich niedopalonych szczątków swéj dawnéj zamożności.

Jakiegoż to znaczenia nabiera dziś w oczach Francuza każdy pozostały zabytek. Owe naprzykład archiwa, o których przed rokiem wiedziało zaledwie szczupłe grono specyalistów, na które rzucali niekiedy okiem sumienniejsi turyści, aby powiedzieć sobie, że w Paryżu wszystko o czém pisze przewodnik Joanna; te archiwa stały się dziś dopiéro prawdziwą, bo duchową własnością Paryża i Francyi; każdy Francuz widzieć je pragnie, każdy się niemi chlubi.

Bogate to w rzeczy saméj archiwa. Ukazują nam Francyą w kolebce za Merowingów, w szkole za Karlomana, z krzyżem a mieczem za Ludwika św., w szrankach rycerskich za Walezyuszów, w zapasach religijnych za Ligi, w tryumfie za Henryka z Bearnu, w całéj pompie królewskości za Ludwika XIV, w konwulsyjném szamotaniu się za wielkiéj rewolucyi; w promieniach chwały wojskowéj za Napoleona I, a zawsze czynną, zawsze gotową do ofiary, zawsze trzymającą w krzepkiéj dłoni sztandar postępu, w drugiéj pochodnią cywilizacyi.

Najstarszy akt przechowany w archiwach, donacya Klotaryusza II, *Rex francorum*, na rzecz opactwa Ś-go Dyonizego, nosi datę 625 roku. Barbarzyńska łacina tego aktu, jest szczątkiem harmonijnego języka Wirgilich i Cyceronów. Dokument spisany na papyrusie, tak samo jak Eneida i satyry Horacego. Około 640 roku papyrus znika. Muzułmanie podbili Egipt i zabronili wywozu drogocennego drzewa, którego miazga odbijała promienie myśli ludzkiéj. Geniusz europejski nie wstrzymał się przecież w polocie. Kiedy zabrakło miazgi drzewa, zaczęto kreślić zgłoski na skórze zwierząt, mianowicie baranów i osłów. Pargamin występuje po papyrusie. Widzimy tu pierwszy dokument pargaminowy z podpisem Ś-go Eloina, opatrzony wielką pieczęcią Merowingów.

Od wieku VIII do XIII, nie znaleziono żadnego autografu: królowie nie umieją pisać. Pepin znaczy krzyż, Karol Wielki toż samo. Pod krzyżem skręt nakreśla monogram tych monarchów.

Pierwszy dokument po francuzku, przechowany w archiwach, nosi datę 1223 roku.

Znajdujemy tu listy a w braku tych, własnoręczne podpisy wszystkich prawie imion, które odgrywają rolę w historyi nowożytnéj. Jest tu między innemi akt Ligi, oryginał edyktu nantejskiego, i oryginał odwołania tegoż edyktu.

Z czasów wielkiéj rewolucyi, przechowano tu miliony dokumentów: wszystkie wywody słowne Trybunału rewolucyjnego, cały proces Ludwika XVI z głosem wymotywowanym każdego członka konwencyi; proces żyrondystów i t. d. Między smutnemi pomnikami terroryzmu, zachowano blankiet z podpisem, dający prawo zamordowania, trzydziestu siedmiu, dowolnie wybranych ofiar *Bon pour 37 victimes!*

Osobna sala poświęcona Napoleonowi I. Przechowany w niéj oryginał testamentu jeńca świętéj Heleny, oraz mnóstwo listów, notat, rozkazów nakreślonych różnemi czasy, ręką wielkiego wojownika. Uderza tu szczególna zmiana w samém piśmie. Porucznik artyleryi pisze starannie, prawie kalligraficznie; generał armii włoskiéj kreśli rozkazy jako tako: można je odrazu wyczytać. Pierwszy konsul zaniedbuje się już widocznie: od dnia koronacyi cesarz bazgrze jak kura; od roku 1811, rzuca na papier najdziwaczniejsze hieroglify, znać gorączkową kreślone ręką! Te stopniowe przemiany wiele dają do myślenia tym, którzy z charakteru pisma chcą sądzić o charakterze duszy.

Szczęściem dla historyi, powtarzamy, ocalało to wspaniałe archiwum, wzbogacone zbiorami cierpliwie gromadzonemi przez wieki po opactwach i zamkach feudalnych panów. Nie jeden zwiedzający owe muzeum, patrząc z oburzeniem na ohydny blankiet konwencyi dający okazicielowi prawo życia i śmierci, powiedział sobie w duchu: szczęściem, podobne czasy już nigdy nie powrócą. A jednak powróciły i to jeszcze straszniejsze. Poświadczy o nich w tychże samych archiwach wyrok śmierci arcybiskupa Darbois, zgrzybiałego kapłana Daguerry, czcigodnego senatora Bonjeau i tylu innych; poświadczy inny wyrok, niesłychany w dziejach ucywilizowanéj Europy, a przejęty szalonym prądem nihilizmu, skazujący na płomień wszystko co zbudowała przeszłość.

Za największe szczęście dla Francyi uważamy to, że ilekroć nadmiar życia, popchnie część jéj dziatwy na bezdroża, druga część tymczasem, i to w przeważnéj większości, mozolną i uczciwą pracą równoważy złe i zwycięża je w końcu. W liczbie tych spokojnych pracowników znakomite miejsce zajmują ludzie nauki.

Przez cały ciąg ubiegłego roku, tak pod pociskami bomb nieprzyjacielskich, jak pod terroryzmem komuny, wszystkie wydziały Akademii, odbywały najregularniéj swoje tygodniowe po-

siedzenia. Akademia nauk szczególniéj zasłużyła się dobrze Francyi, w czasach jéj klęsk, kiedy teorye naukowe wielu specyalistów odpowiadały gwałtownym potrzebom chwili. Mamy właśnie przed oczyma sprawozdanie z czynności téj akademii, z czasów pruskiego oblężenia. Nie wdając się w szczegóły, wyliczymy w krótkości te prace tak zaszczytne i pożyteczne.

Trzy działy badań, zajmowały głównie naukowe grono: jedne tyczące się uzbrojenia, drugie żywności, trzecie środków komunikacyi.

Członek Akademii Móge-Mouriers, wskazał oszczędny sposób wypiekania chleba, nie odrzucając z ziarna nic oprócz plewy. Chleb pieczony tą metodą, smaczniejszy, zdrowszy i posilniejszy od zwyczajnego, przyjęty już od ośmiu lat w jednéj z wielkich fabryk paryzkich, pod zarządem tegoż uczonego, wydał jak najlepsze rezultata. Dyrekcya oszczędza na nim rocznie do 100,000 franków. Rzecz dziwna że go dotąd nie upowszechniono w całym Paryżu.

Wielu uczonych zwróciło baczną uwagę na wynalezienie sposobu zachowania mięsa, które zastąpićby mogło wędliny, szkodliwe zdrowiu jeśli nie przeplatane roślinnym pokarmem. Probowano rozmaitych środków, to suszenia na wolném powietrzu, to znów konserwowania w hermetycznie zamkniętych puszkach. PP. Soubeiran i Payen przedstawili Akademii najpraktyczniejszy sposób, oparty na długiém doświadczeniu, używany powszechnie przez starożytne ludy.

Chińczycy i Mongołowie, wybierając się w podróż albo na dalekie polowania, krają mięso wołowe lub baranie na cienkie płatki, suszą je w piecu, a potém trą na miałki proszek. Ten pomięszany z mąką kukurydzową, stanowi pokarm zdrowy i posilny. Przemawia za nim i to, że można go długo przechowywać, a w podróżach mało zajmuje miejsca.

Pan Fremy nakoniec zwrócił uwagę uczonych na substancyą organiczną, wydobytą z kości zwierząt, zwaną *osseina*.

Do przedmiotów najusilniéj badanych przez Akademią należy *aerostacya*, która mimo całéj niedokładności swojéj, tak ważne oddała posługi Francyi, podczas pruskiego oblężenia. Panowie Dupuis de Lome, Sorel, Deroide, Bouvet, le Hir, przedstawili rozmaite pomysły; te przecież nie okazały stanowczych rezultatów. Jedyny balon przyrządu p. Labrousse, opatrzony kierownikiem, opuścił Paryż 9 stycznia 1871 roku. Duquesne—tak zwał się balon—puszczony z dworca kolei orleańskiéj, rzucił się z wiatrem ku wschodowi i spadł w bliskości miasta Reims. Nie rozwiązał on ostatecznie zagadki, czy kierownictwo żeglugą nadpowietrzną jest lub nie jest w mocy człowieka. Zdaje się jednak, że małe tylko niedokładności stanęły tym razem na przeszkodzie. Uczeni nie wątpią, iż wielkie wysilenia podjęte w tym kierunku, doprowadzą w końcu do zwycięztwa. Pamiętajmy iż aerostacya jest jeszcze w niemowlęctwie, ledwie że poczęła stąpać o własnych

siłach. Trudno powątpiewać o jéj przyszłości, gdy pomyślimy, ile to wieków składało się na udoskonalenie cudownych wynalazków, które są dziś chlubą geniuszu ludzkiego.

Owe to niezmordowane prace uczonych podczas wielkich prób przez jakie przechodziła Francya, wyrwały niedawno z ust Gambetty słowo gorącego uwielbienia: „Z dumą wyznaję—zawołał w Bordeaux sławny trybun—że na gruncie nauki, Francya wytrzyma współzawodnictwo z całym światem, a pomimo rozprzężenia z którém trzeba nam walczyć, pozostał dzięki Bogu w kraju naszym wybór mężów, którzy co dnia rozszerzają koło wiedzy ludzkiéj. Przez nich to Francya bądź co bądź, mimo klęsk jakie chwilowo ją przygniotły, jest i być musi przewodniczką świata"!

Wspomnieliśmy pobieżnie prace Akademii Nauk, podczas tych smutnych czasów: obliczmy jeszcze straty jakie poniosło uczone grono w najzdolniejszych pracownikach. Doktor Loguet z sekcyi fizyologicznéj, któremu nauka winna genialne spostrzeżenia, nad znaczeniem szpiku pacierzowego w organizmie ludzkim, umarł w Bordeaux podczas pierwszéj blokady Paryża. Klęski i upokorzenia Francyi wtrąciły go przedwcześnie do grobu.

Też same przyczyny spowodowały śmierć p. Peyen w Paryżu. Patrząc ze zgrozą na niesłychane gwałty komuny, padł uderzony apoplexyą. Pogrzeb jego odbył się na dwa dni przed wnijściem wojsk wersalskich. Paryż ze czcią wspomina niezmordowane prace tego uczonego podjęte w celu obmyślenia żywności dla zgłodniałego ludu, za pomocą chemii transcendentalnéj. Historya narodowéj obrony poświęci mu kiedyś jednę z najpiękniejszych kart swoich.

Dotkliwym też ciosem dla nauki jest śmierć jenerała artyleryi Piobert, uczonego inżyniera i mechanika. Głos powszechny utrzymuje, że gdyby rząd cesarski wziął był na uwagę jego genialne pomysły, broń francuzka przewyższyłaby pruską. Piobert nie mógł przeżyć nieszczęść i hańby swego kraju.

O ile przez ciąg wojny pruskiéj i oblężenia Paryża, publikacye literackie należały do osobliwości, o tyle dziś sypią się jakby gradem. Francya wypuściwszy z rąk oręż, pochwyca skwapliwie za pióro, i wyrzuca z piersi słowo niby gorącą lawę. *Trzeba się nam odrodzić!* oto dzisiejsze hasło.

Patrzmy tylko na ten zwrot nadzwyczajny. Też same głosy które niegdyś podsycały bezrząd i swawolę, dziś przeistoczyły się jakby cudem. Ów naprzykład syn Dumas, niedawno jeszcze apologista bezecnych zakulisowych intryg, przemawia dziś z całą powagą dojrzałego męża, z całym zapałem reformatora. Godzi w serca słowem jak mieczem; przebaczmy mu jeśli uderzając w lewo i w prawo, zadrażni miłość własną jakiéjś osoby a nawet jakiegoś narodu.

„Nie czas dziś—woła on—na próżne gadaniny! nie czas nam rozprawiać i filozofować, zwalać winy na drugich i wyglądać człowieka-anioła. Idzie o to, bo próba stanowcza, bośmy wszyscy dotknięci do głębi; idzie o to, aby raz otrząsnąć się z naszych nałogów, z lenistwa, z bezmyślności, z konwencyonalizmów wczorajszych, aby sięgnąć do pierwszych podwalin społeczeństwa ludzkiego, i po prostu ale stanowczo postawić to pytanie.

„Potrzebaż—tak czy nie—aby był Bóg, moralność, społeczeństwo, rodzina, solidarność ludzka? Mąż winienże pracować, zdobywać wiedzę, iść drogą postępu? Kobieta powinnaż być szanowaną, przypuszczaną do podziału trudów życia? Prawda jest-li celem? sprawiedliwość środkiem? dobro jest-li bezwzględném?

„Tak! stokroć powtarzamy tak!

„Państwa, społeczeństwa, rządy, rodziny, mogąż istnieć bez tych żywiołów?

„Nie mogą! stokroć powtarzamy nie mogą!

„A więc niechaj przepadną ci wszyscy którzy chcą obalić stary ład, choćby to byli bracia, choćby to byli synowie nasi.

„Jak uczciwy kupiec, który zbankrutował z winy nikczemnego wspólnika, niechaj Francya trwa w oszczędności, odmawiając sobie wszystkiego, niech nie trawi nocy na tańcach i biesiadach, niech żyje skupiona w duchu, skromna, poważna i cierpliwa. Niech pracuje ojciec rodziny, niechaj pracuje matka, niechaj pracują dzieci, niechaj pracuje czeladź; aby czemprędzéj dźwignąć potyraną cześć domu. A kiedy rozbrzmi po świecie jednostajny łoskot onéj powszechnéj pracy, kiedy zapyta kto: zkąd dobiega ten łoskot? niechże mu odpowiedzą: „To Francya wyzwala się i przeistacza!“

Słowa te nakreślił Alexander Dumas w sławnym liście do przyjaciela, przy niezgasłych jeszcze łunach pożaru wiszących nad Paryżem. List Dumasa powtórzyły wszystkie niemal pisma i dzienniki.

Większość publikacyj dzisiejszych nacechowana tymże duchem.

„Bodajbyśmy—woła jeden z publicystów (Drumont)—mogli wydrzeć z kroniki narodu ohydne obrazy dni ostatnich! Bodajbyśmy zabronić mogli, jak zabroniły starożytne Delfy, wspominać imiona tych nowych Herostratów, co puścili z dymem świątynie narodowych pamiątek naszych. Ale skoro muszą pozostać w dziejach te karty starzane we krwi i błocie, więc spieszmy się co żywo! Zobaczmy w całéj ohydzie tego człowieka zwierza, rozprzężonego z więzów moralnych, wylęgłego w cuchnącéj kałuży pod stokiem brudów i śmieci wielkiego miasta!“

Na to wezwanie odpowiada mnóstwo dzieł i dziełek, opisujących dwómiesięczne bezprawia, zakończone niesłychaną katastrofą. Przebiegnijmy je tu pobieżnie:

Pod tytułem: *Siedmdziesiąt trzy dni komuny*, Catulle Mendes znany pisarz i poeta, zebrał wrażenia kreślone dorywczo z dnia na

dzień: „Nie jest to wykończone dzieło—zapowiada w przedmowie—jest to raczéj dziennik naszych nędz, obraz Paryża podczas komuny, dopełniany co godzina, co chwila". Dziennik to jednak zajmujący, pełen życia i prawdy. Kto nie był naocznym widzem tych okropnych wypadków, poweźmie o nich z zapisków Catulla Mendes bardzo dokładne wyobrażenie.

Równie pośpiesznie pisana książka Ludowika Hans: *Drugie oblężenie Paryża*, przedstawia niemniéj wierny obraz téj epoki. Przesuwa się tu przed okiem czytelnika, w całéj ohydzie, ów krwawy dwumiesięczny dramat, przeplatany uliczną farsą, zakończony w krwi i płomieniach.

Paryż pod komuną, p. Moriac, należy do tego samego rodzaju publikacyi. Autor kilku rzutami pióra, kreśli postacie głównych promotorów, onéj piekielnéj sprawy. Zasługuje na szczególną uwagę przedmowa p. Péne, redaktora *Paris-Journal*, który ciężką odniósł ranę na placu Vendome w dniu 18 marca. Jakaż to dziwna przemiana i w tym pisarzu, niedawno tak lekkim i wytwornym! Jakże umysł jego dojrzał pod młotem wypadków. Péne, który ostrém a delikatném piórem, ledwie rok temu, tak zabawiał Jockéj-Cluby i buduary, spoważniał nagle, uczuł że czasy żartów i próżnego dowcipkowania przeminęły już bez powrotu. W owéj przedmowie pod tytułem: *komentarze rannego*, przemawia z wymowną prostotą, godną dojrzałego myśliciela.

Z téj duszącéj atmosfery płonącego Paryża, przejdźmy teraz na niwę poezyi, wiecznie świeżą, bujną i kwitnącą. Uszczknijmy jeden z najczęstszych jéj kwiatów: przypatrzmy się Pernetce Wiktora Laprade. W roku zeszłym wspominaliśmy już pobieżnie o tym poemacie z życia ludu; zasługuje on przecież na bliższe poznanie i ocenienie, i dlatego do niego powracamy.

Po Wiktorze Hugo, który z wyżyn poetycznych zstąpił w ostatnich latach na pole powieści, a niestety nawet i pamfletu, najgłośniejsze dziś stanowisko jako poeta, zajmuje Wiktor Laprade. Jego harmonijne *Ody i Symfonie*, otworzyły mu bramy Akademii i wskazały miejsce w gronie czterdziestu nieśmiertelnych.

Zostawiamy na boku to młodzieńcze utwory Laprada, równie jak ostatnią jego tragedyę: *Harmodyusz*, napisaną z chórami na wzór starożytnych tragedyj greckich, zostawiamy niemniéj znakomite dzieło prozą, treści filozoficzno-estetycznéj: *Uczucie piękna przyrody w czasach przedchrześciańskich i nowożytnych*, a przedstawiamy czytelnikom naszym poemat wiejski, wydany przed trzema laty po raz pierwszy, a rozpowszechniony odtąd w różnych illustrowanych publikacyach.

Poemat ten, lubo obszerniejszy rozmiarem, liczy bowiem do 3,000 wierszy, dziwnie nam w wielu miejscach przypomina Wiesława, z tą jednak różnicą, że Laprade nie dorównał prostotą

naszemu Kazimierzowi Brodzińskiemu, że w wytwornym i harmonijnym wierszu akademika francuzkiego, nie dosłyszeć tego tętna pieśni ludowéj, co tak cudnie dźwięczy w sielskim utworze naszego poety.

Piękny to jednak kwiat owa Pernetka Laprada, nie polny to bławatek, kołyszący się wśród krakowskiéj pszenicy, jak nasz Wiesław, ale też nie należy do kategoryi owych sztucznych kwiatów, bez ruchu i życia, wyciętych z papieru lub batystu, według konwencyonalnéj maniery, jakich mnóstwo widzimy w literaturach wszystkich krajów: Pernetka to kwiat wyhodowany w ogrodzie, pełen barwy, wdzięku i woni. Wiele zawdzięcza ten kwiat pieczołowitéj dłoni ogrodnika, który z taką miłością zasłaniał go od słoty, obierał z mszyc i liszek, ale czuć niemniéj, że przeszło nad nim Boże słonko, że karmiony rosą niebieską; to jest mówiąc po prostu, czuć że mistrz jeśli nadał utworowi swemu uczoną formę, czerpał jednak natchnienie z młodzieńczych wspomnień, z głębi serca wykarmionego domową tradycyą.

Autor kreśli w dopisku krótką genezę poematu swego, ciekawą jak wszystkie genezy. Myśl do niego, dała mu pieśń, a raczéj ballada ludowa, znana powszechnie w okolicach Forezu, rodzinném miejscu autora. „Pierwsze moje wspomnienia poetyczne — mówi on — wiążą się ściśle z miłością Pernetki i Piotra. Słodka melodya téj ballady, kołysała mnie przy ognisku babki mojéj. Pomnę nieraz podczas wakacyi, które tu zwykle przepędzałem, czy to w ranek letni, kiedy skowronek zawieszony w powietrzu, witał wschodzący dzień piosenką, czy to nad wieczorem, gdy słońce zapadało za las jodłowy, pomnę jak nieraz zatrzymywałem się nad bruzdą tylko co zaoraną, i wsłuchiwałem w dźwięki téj pieśni, gdy kmiecie idąc za pługami, powtarzali ją zgodnym chórem.“

Przytaczamy w przekładzie ową balladę, któréj proste słowa podniesione rzewną melodyą, utkwiły w sercu młodziana, jak ziarno w żyznéj roli. Czytelnik porównywając przekład nasz z oryginałem, znajdzie w nim maleńkie licencye, lecz zechce je może wyrozumieć, przez wzgląd że ballada Forezka według Laprada, sięga w głąb średnich wieków. Zupełnie wierny przekład jest więc niepodobieństwem, bo jakże tu tłumaczyć archaizmy? jak przepolszczyć wyrażenia czysto miejscowe? Szło nam głównie o wierne oddanie ducha owéj pieśni ludowéj.

BALLADA FOREZKA.

Jeszcze przez okienko,
Dzionek się nie bieli,
Już młoda Pernetka
Siadła do kądzieli.

Ilekroć w jéj ręku
Zafurcze wrzeciono,
Żałośnie poduma,
W łzach oczki utoną.

A matka zapyta:
— Czemu łzy twe płyną?
Czy cię boli główka?
Czy serce dziewczyno?

— Nie boli mnie główka,
Rzecze dziewcze z cicha,
Ale me serduszko
Z tęsknoty usycha.

— Nie płacz-że Pernetko,
Wyprawię ci gody,
Przed ołtarzem z tobą
Stanie panicz młody.

— Nie chcę ja panicza,
Matko dzięki za to,
Milszyć Piotr co siedzi
W więzieniu za kratą.

— Napróżno do Piotra
Twe serduszko bije,
Kat mu postroneczek
Już kręci na szyję.

— Jak powieszą Piotra
Mnie umrzeć niebodze,
Pogrzebcież nas w ziemi
Pod krzyżem przy drodze.

Wiosną na mogile
Róże się rozwiną,
Zobaczy je pielgrzym
Gdy pójdzie drożyną.

Przyklęknie pod krzyżem,
Pomodli się w ciszy,
I Pan Bóg modlitwę
W niebiosach posłyszy.

Laprade mówi, że tę pieśń którą uważał z razu jako ściśle miejscową, słyszał później w rozmaitych stronach Francyi, i nad Rodanem i w Delfinacie, i u podnóży Jura, i w Bretońskiéj Armoryce, téj odwiecznéj strażnicy pieśni i tradycyj galskich. Ależ nie ma w tém dziwu, to co powiedziano o słowiańskich pieśniach, że przelatują jak gołębie od jednego plemienia do drugiego, da się zastósować do pieśni wszystkich ludów. Dodamy tylko iż skrzydła tych gołębi, nierównie daléj sięgają, niż się to zdawało dawniejszym etnografom. Nie zatrzymają ich w locie, te granice jakie miecz zakreślił pomiędzy państwami, co więcéj nie zatrzyma-

ją ich ani szerokie łożyska Renu i Dunaju, ani granitowe ściany Alp i Pirenejów. Lecą białe gołębie przez góry, przez rzeki i morza, dopóki powiew obcéj cywilizacyi nie zwróci ich w stecz, lub nie przenarodowi, nie zjastrzębi, że się tak wyrazimy.

Gdzie się zrodziła ballada o Pernetce?... niewiadomo, to jednak wiemy, że nie jedna pieśń zbójecka naszych Podhalan i Huculów jest jakby jéj waryantem.

Ballada Forezka nie mówi dlaczego Piotr siedzi za więzienną kratą, dlaczego kat kręci mu *postroneczek na szyję*. Poeta szerokie miał pole domysłów, zresztą nie potrzebował on iść trop w trop za piosenką ludową. Dość mu było, że znalazł w niéj pobudkę. Wątek snuł z własnéj wyobraźni.

Za tło poetycznéj powieści wziął autor ostatnie lata rządów Napoleona I-go. Długoletnie wojny wyniszczyły kraj, co raz to nowe branki wysysały najżywotniéjszą krew ludu. Upadek pogromcy świata już był w przeczuciu wszystkich. Francuzi syci chwały wojennéj, nie pragnęli już nowych wieńców, ale pragnęli spokojności. Piotr powołany po trzykroć pod chorągwie, sprzedaje po kawałku rolę którą uprawiał ojciec i dziad, i wykupuje się od wojska. Za czwartym razem, gdy nie starczyło mienia na wykup, pomimo napomnień plebana ucieka w niedostępne góry Forezu.

Autor nieprzebłagany wróg Napoleona, też same uczucia wlewa w serce bohatera swojego.

Rzecz rozpoczyna się od zaręczyn hożéj Parnetki z Piotrem.

Stary Jakób ojciec dzieweczki, zamożny kmieć, prowadzi do domu swego plebana i wdowę Magdalenę, matkę narzeczonego. Idąc przez ogród ukazuje grusze i jabłonie, naginające się pod owocem, i pola za ogrodem zasłane kopami tylko co użętéj pszenicy.

Rozpromieniona szczęściem Magdalena, ściga wzrokiem młodą parę, co w pląsach bieży opodal za starszemi; ukazując ich słodko wyrzecze do Jakóba:

Tak, żyzna wasza rola, i pięknie się płoni,
W zielonym waszym sadzie, owoc na jabłoni,
Cudnie wietrzyk na polu złote kłosy zgina,
Lecz wasza nad to wszystko, cudniejsza dziewczyna.
Wysmukła jak topola co rośnie nad wodą,
Króluje nad innemi wzrostem i urodą,
Wciąż śpiewa i szczebiocze, niby w gniazdku ptasze;
Nie kryją tyle miodu mnogie barcie wasze,
Ile ona słodyczy w cichem sercu mieści;
Taka żona, to istny klejnocik niewieści,
Ład w domu, wszystko u niéj wije się jak z płatka,
Pod okiem jéj wesoło pracuje czeladka,

Przez dzień cały ni chwili nie uroni czasu,
Na wyścigi ze słonkiem staje do zapasu,
Ledwie pierwszy się promień przez okienko wkradnie,
Już wymiotła izdebkę czyściutko i ładnie;
A wieczorem z czeladką przy ognisku razem,
Nim klęknie do modlitwy przed Maryi obrazem,
Zostawić pod jéj okiem prządkaż się ośmieli
Do nitki niedosnutą garść lnu na kądzieli?
W oka mgnieniu na grządkach wschodzą jéj posiewy,
Pełne drobiu podwórko, pełne trzody chlewy,
Pełno ziarna w komorze, pełno płótna w skrzyni,
Bóg mnoży jakby cudem, pracę gospodyni.

Pochwałę Magdaleny Jakób odpłaca szczodrze, wysławiając jéj syna:

Nie znaleść w okolicy równego mu zucha,
Z jego serca przez oczy żar słoneczny bucha,
A oracz zawołany, niechno z pługiem stanie,
Prostą skibę jak strzelił zaorze na łanie.
Grzbietu jego do ziemi nie przygną ciężary,
Dziesięć korcy on żyta zarzuci na bary,
I bieży z nićm, a oczy jak węgle mu świécą;
Lubię patrzeć gdy zręcznie kieruje płużycą.
Kiedy źrebca za grzywę schwyci junak skory,
Skoczy na grzbiet, i siłą przywiedzie do sfory,
Kiedy twardym toporem pień sosny powali,
A wszakże on na drugich nie patrzy zuchwaléj!
Olbrzym siłą i wzrostem, nie pyszni się przecie,
Przy starych zawsze cichy, potulny jak dziecię;
Nie zadziera z młodymi, i tylko gdy trzeba
Umie jak Bóg przykazał użyć daru nieba.

Pomnę ja pożar we wsi, drudzy mrą z przestrachu,
On biega z wiadrem wody po płonącym dachu,
I oto, znikł nam z oczu owian w dymu kłęby,
Już dogorzałe chaty zapadły się wzręby;
Nagle przy trzasku krokwi, przy niewieścim jęku,
Widzę go znów—o nieba! cóż on trzyma w ręku?
Dwie maleńkie kołyski! wśród blasku płomieni
Twarz jego krwią nabiegła straszno się czerwieni,
Długie płowe kędziory wiatr rozwiał mu z czoła,
Jam mniemał że Michała widzę archanioła,
Gdy na progu otchłani, Pański szermierz dzielny
Nogą na łeb nastąpił potworze piekielnéj.

Gospodarz i goście wchodzą do domu, Pernetka nadbiegła téż z Piotrem. Magdalena okiem doświadczonéj gospodyni, poglą-da na połyskujące sprzęty, na stół zastawiony obficie, pokryty

swieżuchną bielizną. Zarumieniona Pernetka słucha z radością pochwał przyszłéj świekry. Od dziecka sierota po matce, własną pracą utrzymuje wzorowy ład w domu starego ojca.

Pleban siwy jak gołąbek, bierze udział w powszechnéj radości, postać to prawdziwie idealna: przyjaciel, ojciec i przewodnik ludu, wierny pasterz owczarni swojéj. Poeta określił go w dwóch wierszach:

Na ustach jego uśmiech wciąż igra dziecięcy,
Siła w życiu przebolał—umiłował więcéj.

Rad starzec z pochwał Magdaleny, bo Pernetka to dziecię jego serca. On to mądrą radą nauczał sierotę jak ma zdobić i miłemi czynić ściany własnego domu. W dniu zaręczyn powtarza uroczyście tę radę.

Dobra żona ogniska niechaj święcie strzeże,
Niech ściany swego domu zdobi w kwiaty świeże;
Nowe siły w nim czerpnie mąż pracą znużony,
Gdy go w progu łagodny powita wzrok żony;
Gdy zawsze do uśmiechu jéj usta ochocze,
Gdy mile z nim pogwarzy, słodko poszczebiocze,
Spojrzyj tylko na pola, na łąki, na lasy,
Rozradują ci oczy kwiaty cudnéj krasy,
Ty siałeś tylko ziarno, a oto wśród zboża,
Makówki i bławatki siała ręka Boża,
A plony twojéj pracy czyż co cierpią na tém?
Dość mu słońca i rosy: ten co rządzi światem,
I kwiatki On i kłosy jednako obdziela,
Chleb człeku nie wystarczy—trzebaż mu wesela.

W zebraném gronie brak jeszcze doktora, dawnego przyjaciela rodziny. Doktor stary bywalec, który z nie jednego pieca chleb jadał, przypomina nieco postać mądrego Jana co go Stanisław wyprawia na zwiady o Halinę, z tą jednak różnicą że doktor z samego już powołania swego, wyższy zajmuje szczebel w społeczeństwie niżli Jan prosty wiarus.

Mrok zapadł, wszyscy niespokojni; wreszcie przybywa doktor. I cóż mu jest? smutny, roztargniony, siedzi jak mruk, nie bierze wcale udziału w powszechnéj radości.

Dobra kawa rozwinęła mu usta.

— Ha, drodzy moi!—rzecze nakoniec—przynoszę wam wielką wiadomość. Cesarz odniósł nowe zwycięztwo, zabrał tysiące jeńców, niesłychaną moc armat i broni. Trzebaż bić żelazo póki gorące! Żąda nowego zaciągu, stu tysięcy młodego żołnierza. Okup dziś nie na dobie: kto dźwignie karabin musi iść do szeregu!

Osłupieli wszyscy na te słowa, jakby grom uderzył w ściany chaty. Poeta przyrównywa cichą rodzinę kmiecia do gromady spłoszonych owiec.

Widziałeś może kiedy w jesienną pogodę
Pasącą się na rżysku białą owiec trzodę,
Na kupki się rozpierzchły jagnięta i matki,
Smaczno skubią różowe koniczyny kwiatki;
Nagle wiatr od zachodu zaszeleści głucho,
W lot pędzi czarna chmura parta zawieruchą,
I żałobne całuny nad ziemią roztoczy,
Że tchu w pierś nie pochwycisz i tylko ci w oczy
Piorun ognistą w oku wstęgą zamigocze.
Patrz na biedne owieczki, przed chwilą ochocze,
Jak się zbiegły do kupy, nie zobaczysz głowy,
Bo je pod wełnistémi pokryły tułowy.

Sprawdziły się słowa doktora. Piotr otrzymuje rozkaz niezwłocznego pochodu. Sielanka przemienia się w dramat.

W chacie Jakóba widzim znów rodzinę zgromadzoną, już nie na gody, ale na ważną naradę. Piotr oświadcza że postanowił iść w góry zarosłe ciernistą jedliną, gdzie zbiegło już wielu jego towarzyszów. Tam przeczeka ostatnie burze, dopóki nowy porządek nie nastąpi we Francyi.

Pleban napomina słodko młodzieńca, budzi w nim uczucie powinności, uczy że jednostce nie wolno wyłamywać się z pod powszechnego prawa.

Inaczéj pojmuje powinność stary doktor, zacięty nieprzyjaciel napoleońskich rządów.

— Zachowaj—rzecze—krzepkie ramie do pługa i do brony; zbyt wiele i tak kości naszych bieleje po dalekich polach, zbyt wiele krwi naszéj zżyzniło cudze ziemie. Jeszcze chwila a ścichnie ten uragan, co pół świata zawalił już gruzami.

Słowa doktora utwierdziły Piotra w zamiarze. Stary Jakob żołnierz z czasów Rzeczypospolitéj, który pod generałem Morcau odpierał dzielnie za Ren obcą powódź, dopóki niebezpieczeństwo zagrażało bezpośrednio ojczyźnie, dziś sądząc rzecz prostym chłopskim rozumem, nie pojmuje już celu nowych wojen: loika doktora trafia do jego myśli. Dla Pernetki Piotr jest wyrocznią, co on postanowi będzie zacném i dobrém. Kochająca dzieweczka woli zresztą widzieć go w leśnych parowach, niż wystawionym na grad kul i pociski bagnetów.

A Magdalena? biedna Magdalena widzi przed sobą dwa kielichy jednaką napełnione goryczą, godziż się jéj wybierać? poleca wszystko Bogu. Gdy drudzy objawiają zdanie swoje, ona odpowiada im tylko cichém łkaniem.

Piotr chroni się w parowy gór Forezu, obrosłe gęstwiną leśną. Zastaje tam młodych druchów, których tenże sam powód wy-

parł z pod ojcowskiego dachu. Młodzi Forezanie, pociągnięci tym czarem, co płynął z dzielnéj woli, umie panować tłumom, pochylają przed Piotrem głowę, i uznają w nim jakby wodza.

Wieś cała wié o téj niesfornéj drużynie, przecież nikt nie śmié obrócić ku niéj kroków, aby nie dać poszlaki. Sam tylko doktor chodzi nibyto zbiérać zioła na pochyłości góry, a po każdéj wycieczce starca, Piotr w wypróchniałym pniu wierzby, znachodzi to butelkę wina, to kołacz upieczony ręką Pernetki. Czasem doktór zapuści kroki swoje głębiéj w te jary, spotka się z Piotrem oko w oko, poszepnie mu słówko do ucha, ukołysze młode serce nadzieją.

Stara Magdalena tymczasem, wyparta z własnéj chaty, przeniosła się do domu Jakóba. Pernetka pielęgnuje ją troskliwie, jakby rodzoną matkę.

Ale chmury gromadzą się, zapowiadając rychłą burzę. Wielka moc wojska naszła wieś, posuwa się już do stóp góry. Doktor nawet zaniechał swych wycieczek. A przecież potrzeba ostrzedz biednych o grożącém niebezpieczeństwie. W chacie Jakóba toczy się długa narada; pleban bierze w niéj udział.

— Ja pójdę ostrzedz Piotra — rzecze Pernetka z silném postanowieniem.

Matka zadrżała, ojciec Jakób wacha się chwilę, wszyscy patrzą w oczy plebana.

— Niech idzie—rzecze kapłan—to święta jéj powinność.

I tejże nocy, zaczém brzask ranny zarumienił niebo, dzieweczka opatrzona błogosławieństwem ojca, Magdaleny, kapłana Bożego i doktora, wziąwszy w rękę pełen żywności koszyk, w towarzystwie wiernego psa puściła się w góry ciemnym lasem.

Słońce wybłysnęło z po za mgły, i powtórzyło się w milionach kropel zawieszonych na igłach jodeł, i na szklniących listkach buczyny, kiedy Piotr wsparty o krawędź najwyższéj skały, zkąd ścigał okiem dym unoszący się w kłębach po nad rodzinną wioską, usłyszał nagle szczekanie starego Brysia. Obrócił głowę i oto mignęła mu w pośród buków jasna sukienka. Poznał ją... to sukienka Pernetki!

Uszczęśliwiony zrywa się lotem ptaka, bieży do ukochanéj, serce bije mu na gwałt. Szczęśliwy po dwakroć: raz że ją widzi, a potém że przewiduje w niéj gońca pomyślnéj wieści. Smutne słowa Pernetki rozwiały zbyt rychło tę ułudę. Dziewczę wynurza łzawo:

Nim błyśnie nasza dola, siła zbieży wody,
Idę tu nie jak tęcza zwiastunka pogody,
Ale jak błyskawica poprzedniczka burzy,
Wam w tych leśnych jarugach nie ostać się dłużéj;
Naszły wieś wojska chmary, obława las ściska:
Wnet was ztąd jakby wilków wyprą z legowiska!

A potém dziewczę mówi mu o zburzonéj chacie starych ojców. Piotr słucha jéj z głową pochyloną, z okiem wlepioném w ziemię. Wkrótce jednak podnosi w górę czoło. Brak-że siły jego ramieniu? Alboż nie odbuduje chaty?

I otucha wstępuje w pierś młodziana, oko jego błyszczy zapałem; w uniesieniu zawoła:

Nikczemnik godzien kary kto patrzy bez sromu
Na walące się belki starych ojców domu,
Kto podjętéj puścizny przysporzyć nie może,
Jedną w sadzie jabłonką, lub ciołkiem w oborze;
Kto miedzy nie wytrzebi w krwawym czoła pocie,
Nie doda krokwi w dachu ani kołka w płocie.
Zmarniała mi chudoba, zburzon próg domowy,
Sprzedałem żyzne pola w okup własnéj głowy;
Lecz podźwignę ja z czasem te zwalone belki,
Na zgliszczach pobuduję dom nowy a wielki,
Przysposobię kęs chleba pracą dla rodziny,
I poczczą mnie w przysłości moich synów syny!

Słońce tymczasem wzbija się coraz wyżéj, i osusza krople rosy na zielonéj murawie. Z cicha wietrzyk kołysze konary starych jodeł. Najdrobniejsza chmurka nie ćmi przeczystego błękitu.

Był to dzień tak pogodny, tak jasny, bez chmury,
Zda się wzrokiem do Boga sięgniesz przez lazury,
Z powietrzem chwytasz wiarę i nadzieję w łono,
Tyś pan ziemi królewską uwieńczon koroną;
Wiatr żywiczne balsamy na skrzydłach ci niesie,
Dla ciebie kwili ptastwo, szumią dęby w lesie,
A daleko, na wschodzie wśród ciszy uroczéj,
Mignie ci nieskończoność błyskawicą w oczy,
I w téj dźwięków powodzi, w barw przejrzystéj fali,
Nad ciasne życia koło rwiesz się myślą daléj;
Czego serce zapragnie, to wola dokona,
Radbyś niebios błękity pochwycił w ramiona;
Twa pierś wezbrana szczęściem, uczuciem bogata,
W swém ognisku zestrzelić chce życie wszechświata.

Pernetka zastawia śniadanie, dobywa z kosza kołacz własną upieczony ręką. Po uczcie Piotr istny król gór oprowadza ją po swém tajemniczém państwie. Wiedzie ją na stromy wierzchołek skały; to ona sławna

Karmicielka potoków, krynic i strumieni,
W których kmiecie Forezu chłodzą pierś spragnieni,
Zkąd ledwie wzrok dosięże Galskich ziem ogromu
Od śnieżnych skał Montblanku, po szczyty Montdomu;

Góra ta wywołuje z serca poety roje uroczych wspomnień; przerywając na chwilkę wątek powieści, sięga myślą w dziecięce lata.

Orzeł w locie ku słońcu pomija tę skałę,
Zna ją tylko skowronek, i ja chłopię małe;
Za podźwiękiem ligawki w skwarne niegdyś lato,
Biegłem tam aby schwycić piosenkę skrzydlatą.

Pieśń ta jawi się przed okiem poety w postaci wiejskiéj dziewoi zwieńczonéj w polne kwiecie. Natchnione słowa Laprada, nasunęły niewątpliwie Herbertowi myśl do prześlicznego obrazu, który podziwialiśmy na zeszłorocznéj wystawie Paryzkiéj. Mistrz pędzla uosobił pieśń ludu, w krzepkiéj dziewczynie, z licem ogorzałém od słońca, w bogatym wieńcu nad czołem, z uśmiechem niewinności i prostoty.

Zobaczmy jak poeta pojmuje pieśń ludową:

Pieśni święta co zbierasz słodki miód z tych wrzosów,
Córo mego narodu i córo niebiosów,
Zwieńczona macierzanką i wonną bylicą
Zbiegnij do boku mego urocza dziewico.
Rozprósz tę mgłę ponurą co mi oczy ślepi,
Widnokrąg ziemi mojéj niech ogarną lepiéj,
Dodaj mi tchu, do bark mych wszczep pióro sokole,
Niech spojrzę z pod obłoków na ojczyste pole;
Rozszerz mi pierś ożywczém tchnieniem swego łona,
Przynieś mi z gór Forezu—o ty nieskażona!
Żywiczny balsam jodeł dla serca tak zdrowy,
Co leczy pierś a czarem nie odurza głowy.
Niech drudzy, gdy w natchnieniu myśl ich się szamoce
Rwą w sadach Hesperydy zatrute owoce,
Gdzie żmija w pośród kwiatów lęże się, i z cicha
Palące wsącza jady na dno ich kielicha.
Mnie swoje krzemieniste uprawiać zagony,
Uboższe będą żniwa, ale zdrowsze plony,
Ogrzane jasném słonkiem, wykąpane rosą,
Me kwiaty acz bezbarwne czystą woń rozniosą,
I ubłogosławione me słowo przez ciebie
Powie ludziom o prawdzie, o Bogu, o niebie!

Wróćmy do Piotra i Pernety. W mgnieniu oka minął dla nich ten dzień uroczy, jak wszystko przemija na świecie. Słońce chyli się powoli do zachodu, czas dziewczęciu powrócić do wioski. Idzie.... pomrok zapada... wkoło niéj ciemno, ale słódkie wspomnienia ulatują po nad jéj głową niby rój świętojańskich robaczków i przedłużają ubiegłą chwilkę szczęścia, chwilkę co powtórzy się jeszcze, ale tylko w sennóm marzeniu.

Dzieweczka za powrotem do chaty, zaspakaja rodzinę. Piotr bezpieczny pod osłoną starych buków, cień trwogi nie postał w jego sercu. Wiara Piotra przeszła w serce Pernetki.

Znużona zasnęła wieczorem po całodziennych trudach i słodki sen kołysze uśpioną. Marzy o Piotrze, o dniu kiedy druchny przypną jéj nad czołem ślubny wianek, kiedy orszak weselny powiedzie ją z Piotrem do kościoła. Splątany obraz snuje się przed oczyma jéj duszy. Oto senne marzenie:

Lud w pląsach do kościoła młodą parę wiedzie,
Grajkowie na skrzypeczkach rzępolą po przedzie,
Furkoczą z wiatrem wstęgi, dziewojom u czoła,
Rzędem ławy drużyna zasiadła wesoła;
Rozległy się organy, dzwon bije radośno,
Wśród światła, dźwięku woni, w górę serca rosną.
Do ołtarza z powagą zbliża się pan młody,
Cóż to? przybran do boju? czy na ślubne gody?
Na ramieniu ma strzelbę, z boku kwiaty białe:
Wtém kościół w las się zmienił, ołtarz niby w skałę.
Oni klękli oboje śród kwitnących wrzosów,
Ptastwo hymn zaświegocze, a z jasnych niebiosów
Spływa bieluchny obłok i na tym obłoku,
Pleban w złocistéj kapie stoi ze łzą w oku.
Błogosławiące dłonie kładzie im nad głową,
Coś mówi... huk potoków głuszy święte słowo,
A słońce się pochyla i krwawo rumieni
Las i ziemię odblaskiem ostatnich promieni.
I oto mrok zapada coraz smętniéj, ciszéj,
Nic oko nie dopatrzy, ucho nie posłyszy;
I rozwiał się pomału złoty urok cały:
Sen mara, wszystko pierzchło... tylko łzy zostały.

Sen to był proroczy, wielkie wypadki wstrząsnęły wówczas światem, i wpłynęły na losy cichych wieśniaków Forezu. Niezwyciężona dotąd armia Napoleona, po klęsce na polach niemieckich, powraca w bezładzie do kraju. Zwycięzcy pędzą w jéj tropy, obca powódź zalewa Francyą.

Wieść o tém dobiega rychło w wąwozy gór Forezkich, gdzie Piotr ukrywał się z towarzyszami: zaniósł tę wieść poczciwy doktor.

— Chłopcy! powracajcie do pługa!—woła na dziarską młodzież—rola zarosła chwastem. Małoż dziś rąk pozostało do pracy. Kości naszych rozsiane po obcych pobojowiskach. Idźcież orać ziemię w imię Boże!

I opowiedział wszystko co zaszło. Piotr słucha go w milczeniu, z głową ku ziemi pochyloną.

— Tak jest, powrócim do wsi—zawoła po chwili cały drżący, — ale zagon poczeka jeszcze nim go zaorzem pługiem. Inna dziś woła nas powinność.

Druchy otaczają Piotra, obwołują go wodzem. Doktor umilkł, loika starca rozbiła się o zapał serc młodych.

Przyszło do starcia. Młódź Forezu wyparła ze wsi nieprzyjacielski oddział. Piotr wraca w tryumfie do chaty, matka oblewa łzami głowę syna. Pernetka z bijącém sercem wita narzeczonego; oto słowa dumnéj dziewczyny:

Gdym wybrała cię Piotrze wśród młodzieży grona,
Znałam już dzielność twoją! szczęśliwa ta żona
Co w czcigodnym małżonku widzi umysł prawy,
I na drogiém się sercu wesprze bez obawy;
Bo to serce jak granit, że go wiatr nie skruszy:
Uznałam cię mym panem, i chlubię się w duszy.
Szanuję cię jak ojca, miłuję jak brata:
Wolę być sługą twoją, niż królową świata!

Niestety! krótki tryumf! Odparty nieprzyjaciel przywiódł trzykroć liczniejsze siły. Na widok przystępujących groźno hufców, wszystko co żyje chroni się w cieniste parowy Forezu. Zbrojna młódź pod przewództwem Piotra, trzyma ostatnie straże.

Zbrojny oddział mija wieś, pośpiesza w cwał za ludem ubiegającym w góry. Rozpoczyna się walka, straszna... krwawa... morderczal Piotr walczy jak dzik naciśnięty obławą. Zapał jego oddziaływa na druchów. Pod przewodnictwem Piotra walczy wśród młodzieży stary Jakób, doświadczony wiarus rzeczypospolitej! Magdalena z Pernetką osłonięte cieniem jodeł, przyglądają się bitwie, pierwsza jak troskliwa gołąbka, druga jak młoda orlica gotowa do zapasu.

Żadne z nich uczuć własnych nie kryje w téj dobie:
Ta z modlitwą ku niebu wzniosła ręce obie;
Ściska w dłoni różaniec i w duchu się korzy,
Matka, pod płaszcz się tuli Rodzicielki Bożéj.
A Perneta? żar nagle zapala jéj lice,
Ściska pięść jakby topór schwyciła w prawicę,
Podniosła w górę czoło, z jéj źrenic wybucha
Ten płomień, co podżegał starych ojców ducha,
Gdy kapłanka Druidów w proroczym zapale,
Do krwawéj pomsty bitne pobudzała Gale;
Bystro wlepia w walczących płomieniste oczy,
Drzy cała, tylko patrzeć jak w ogień poskoczy.
Czeka, rychło-li oręż bratnia dłoń jéj poda,
W jéj pjersi bohaterskiéj kipi krew nie woda:
Gotowa obok mężnych rzucić się w zapasy.
O! dzielne córy Gallów! Bóg po wszystkie czasy
Tchnął w głąb waszego ducha siłę tajemniczą,
I spełniał wielkie czyny prawicą dziewiczą!

Słowa te nie są przechwałką. Cały szereg dziejów Francyi świadczy o niesłychanéj dzielności niewiast. Dość tu wspomnieć owe matrony starożytnéj Galii, co kładły oręż w dłoń mężów i synów, owe Druidki uwieńczone w werweny, co własną ręką zapalały stos i wiodły nań dobrowolną ofiarę. Daléj na widnokręgu dziejowym, przyświeca nieśmiertelnym blaskiem bohaterska Joanna d'Arc, któréj zapał rozniecił iskrę wygasłą w piersi mężów; a daléj jeszcze dzielna Joanna Hachette, co obroniła Beauvais. Mężne były one matrony i dziewice które z modlitwą na ustach, z pokojem na obliczu, niosły głowę pod gilotynę; dzielność ich acz bierna, niemniéj była przecież bohaterską. A któż przepomni téj nowéj Judyty, Karoliny Korday, fanatycznéj mścicielki tylu niewinnych ofiar. I dziś oto małoż mamy dowodów męztwa kobiet francuzkich? podczas najazdu niemieckiego i oblężenia Paryża, ileż ich wystąpiło do czynu w zakresie odpowiednim ich działalności. Starożytna tradycya stworzyła Welledę idealny myt galskiéj Druidki; czas obecny wydał *Siostrę Francyi*, ową zbiorową bohaterkę w któréj znikły jednostki, jak pojedyncze gwiazdy nikną w tym promienistym szlaku przezwanym mleczną drogą!

Ale wróćmy w góry Forezu. Krew zczerwieniła skały, trupy zasłały ziemię. Dwaj siwi starce doktor i pleban krążą wpośród krwawego pola, istne opiekuńcze anioły.

Magdalena modli się gorąco; Pernetka postąpiła naprzód kilka kroków: odłam skały dzieli ją tylko od Piotra. Wlepia wzrok w to oblicze poczerniałe od prochu, w te żyły rozdęte na czole. Oczy jego świecą błyskawicą, głos rozlega się grzmotem, a w takt bojowego okrzyku, pioruny strzałów biją w nieprzyjaciela.

Już, już mięszają się szeregi, już trąba dzwoni hasło odwrotu.—Górą nasi!—wołają chórem starce i niewiasty, przyglądający się walce z pomiędzy jodeł. Piotr w uniesieniu radości wychyla głowę z po za skały. Ale cóż to! chwieje się... drży jak liść... struga krwi wytryska mu z piersi.

Pernetka przybiega jak strzała, podpiera go krzepkiém ramieniem, składa omdlałego na garści mchu. Matka w milczącéj boleści bieży do syna, klęka przy wezgłowiu, doktor ogląda ranę; niestety rana głęboka — śmiertelna! Blady jak trup starzec nie śmie wyrzec słowa nadziei.

Przystępuje pleban: ranny otwiera oczy. W skupieniu ducha, po chrześciańsku gotuje się na tę drogę nieznaną, któréj wrota otworzą się wnet przed nim. Kapłan umacnia go słowem pełném słodyczy i namaszczenia:

Podnieś oczy do Boga, oddaj Mu radośnie
Kwiat ziemski, co na ścieszkach twego życia rośnie,
W ogniu wielkiéj boleści, spal serce na próchno,
Niech wonie czystéj myrry z twéj piersi wybuchną.

Synu! krwawéj ofiary godzina się zbliża:
Oddaj się Bogu cały—tak jak Chrystus z krzyża!

Piotr z głęboką wiarą poddaje głowę pod wyrok Boży, wznosi oczy ku niebu, z serca jego milcząca wydziera się modlitwa.

Krew wybucha mu z rany, wzrok słabo już płonie,
Oparł bezsilną głowę, na matczynem łonie;
Klęcząca u wezgłowia piastuje nieboga
To dziecko co z jéj objęć wnet pójdzie do Boga.
Pod płomieniem modlitwy w źrenicy niewieściéj
Łzy wyschły. Oh! bo wiara silniéj od boleści
Rwie do góry jéj serce, i lica tak mieni,
I czoło w blask słonecznych spowija promieni,
I ducha jéj kołysze już w tym jasnym świecie,
Dokąd na skrzydłach śmierci podąża jéj dziecię.

Jedyne jeszcze konającemu pozostało życzenie. Pragnie umrzeć złączony z Pernetką wiecznemi śluby, których sama śmierć skruszyć nie może. Pernetka półmartwa od boleści, budzi się jakby ze snu, chwyta gorączkowo rękę ukochaną. Pleban woła świadków, dopełnia obrzędu, błogosławi młodéj parze, już nie na życie ale na wieczność.

Słaba iskierka połyska w oku Piotra, lecz śmierć nie wypuści ofiary.... już rozpościera ohydne skrzydła po nad wezgłowiem:

Śmierć trzyma go w uścisku: wié pleban że może
Cudowną krzyża siłą zetrzeć łeb potworze,
Wié, jak wielka potęga z niebiosów mu dana;
Na czole jego błysnął majestat kapłana,
Spojrzał bystro w skurczone śmiertelnemi męki,
Lica konającego, i skinieniem ręki
Ukazał jasny błękit, i zawołał śmiało:
Idź duszo chrześciańska! rzuć to nędzne ciało
Co ciągnie cię do ziemi; precz smutek i trwoga,
Leć wolna!... leć szczęśliwa! do ojca... do Boga!..

I dusza zadzwoniła po raz ostatni w pęta, i wolna uleciała do niebieskiéj ojczyzny.

Do lasu na spoczynek leci ptak skrzydlaty,
W przelocie muska trawy i kołysze kwiaty;
Rozpierzchłe po winnicach za strawą dzień cały,
Ptaszyny do gniazdeczek lecą pędem strzały,
I dusza wyzwolona mknie ku niebu z cicha,
Jak ulata ku słońcu woń z kwiatów kielicha.

A Pernetka... biedna Pernetka? zobaczmy jaką poeta zakreśla jéj ścieszkę na ziemi, zaczem pozwoli jej spocząć obok małżonka.

Na grobie męża zgasła już gwiazda jéj doli,
Ale głos powinności umrzeć nie pozwoli;
Na twardą życia drogę wzywa ją surowo,
Jéj być duszą rodziny, jéj być domu głową,
U ogniska na straży dotrwać do ostatka.
Poszedł do Boga ojciec, poszła stara matka,
Poszli dwaj przyjaciele; każdy pocisk nowy
Wplata nową gałązkę w jéj wieniec cierniowy;
Lecz na wielkie boleści starczy serce dzielne,
Patrząc w krzyż mężnie szyła całuny śmiertelne.
Zmarł pleban, trumnę jego oblały łzy ludu,
Lecz duch starca w Pernetce odżył siłą cudu;
Młoda w lata, a przecież jak siwa matrona
Żyje w wiosce tysiącem ust błogosławiona:
Odgłos jéj cichych kroków znany w każdym progu,
Gdzie nędza ściele gniazdo na garści barłogu,
Na wezwanie biednego jéj serce nie czeka,
Ona ludzką niedolę odgadnie zdaleka.
Wielki ogień miłości co w duszy jéj płonie,
Wciąż otwiera jéj serce i otwiera dłonie;
Na rany których zimne nie uleczy złoto,
Drogi balsam pociechy leje ze szczodrotą;
Gdzie nie śmie nieść jałmużny tam pracę podzieli.
Modlitwę do śmiertelnéj przynosi pościeli,
Garść ziemi niesie zmarłym, żywym radę zdrową,
A wszystkim słodki uśmiech i miłości słowo.

Ów poemat Laprada czysty, idealny, wolny od najdrobniejszéj plamki, niechaj będzie odpowiedzią dla tych, którzy z literatury francuzkiéj wywłóczą dziś z urąganiem brudne śmiecie, i roztrząsając je u wezgłowia schorzałéj Francyi, postępują istnie jak to bydlątko w bajce, które widząc lwa szamocącego się w boleści, uderza go w piersi kopytem!

Dzień 6 czerwca ważnym jest dla całéj literackiéj Francyi; świat dramatyczny zwłaszcza przywykł obchodzić go uroczyście, od lat około dwustu. Zwyczaj zamienił się w tradycyą. Jakiekolwiek też bywały rządy we Francyi, tak za trzech ostatnich Ludwików, jak pod komuną Robespiera, jak wśród tryumfów armii Napoleońskich, Francya literacka czciła wiernie tryumf geniuszu, któremu zawdzięcza najczęstsze promienie chwały swojéj. W dniu 6 czerwca artyści na deskach teatrów, przedstawiali przez

lat dwieście: Horacego, Radegundę, Cyda, Pompejusza lub Cynnę w hołdzie dla wielkiego Kornela, zrodzonego w tym dniu w r. 1606.

Po wszystkie czasy, bez względu na panującą modę, Kornel jak Tytan górował na literackim widnokręgu Francyi. Naprożno Akademia francuzka, jak wszystkie na świecie akademie, nie śmiejąc przekroczyć ciasnego koła rutyny, zamiast radować się blaskiem wschodzącego słońca, wolała raczéj dopatrywać na niém drobnych plamek, i wyliczać je w wielotomowych krytykach, naprożno komentowała każdy wiersz, każde słówko Kornela. Foliały czterdziestu nieśmiertelnych, butwieją dziś w bibliotece pałacu Mazaryniego, a Kornel, z usterkami przeciwko szkolnéj retoryce, z wyrażeniami które brał z potocznéj mowy, a niekiedy i tworzył w potrzebie, a Kornel powtarzamy, porusza dotąd serca, zapala wyobraźnię, żyje w sercach i pamięci wszystkich; każdy uczeń umié na pamięć słowa Cezara do Cynny, i pyszne sceny z Horacyuszów. Naprożno zwolennicy Rasyna usiłowali strącić z piedestału tego, który mu był mistrzem i wzorem, a postawić na nim nowe bożyszcze. Krytycy wahali się już w sądach. Wytworny język Rasyna tak poprawny, tak akademicki, baczność z jaką pilnował troistéj jedności Aleksandryjskiéj, przeważały już szalę opinii. I oto w chwilach wahania wystąpili dwaj geniusze i pomścili krzywdę znieważonego olbrzyma. Byli nimi Talma i Napoleon. Pierwszy w roli Polieuksa i Cyda, pokazał światu czém był Kornel; drugi okazywaną czcią dla wielkiego poety, pociągnął za sobą opinię powszechną. I wytworny Rasyn nie przestał świecić pierwszorzędną gwiazdą na widnokręgu literatury francuzkiéj; ale słońcem jéj pozostał Kornel, sam nieśmiertelny Kornel.

Wybiła godzina odrodzenia. Zapaśnicy romantyzmu wystąpili do walki pod sztandarem Wiktora Hugo. Szał ogarnął umysły; taż sama Akademia która tak uporczywie walczyła niegdyś przeciw nowatorstwom Kornelowskim, teraz zasłaniała się tarczą Horacego, jakoby świętém palladium od powodzi zrywającéj odwieczne groble i tamy. Zwolennicy nowéj szkoły w młodzieńczéj zarozumiałości, ruszali pogardliwie ramionami, kiedy na afiszu teatru wyczytali Cyda albo Cynnę.

Alexander Dumas (ojciec) w pamiętnikach uderza się w pierś ze skruchą, i powtarza pokornie *mea culpa*. „Marion Delorme— mówi on, — spoczywała w repertuarze teatru francuzkiego: Wiktor Hugo odczytał ją w gronie artystów, przy poklasku powszechnym; nowy świat roztworzył się przed nami! Czekamy gorączkowo przedstawienia, już dzień naznaczony, aż tu na afiszu, pojawia się Polieukt! Struchlałem na ten widok. —Takież to rzeczy wywłóczyć im z repertuaru— rzekłem do przyjaciela,—kiedy mają arcydzieło Wiktora Hugo!“

„Dziś— dodaje Dumas— oddałbym chętnie dziesięć lat życia mego, gdyby takie bluźnierstwo nie postało nigdy na mych ustach.“

To *mea culpa* Dumasa, wyrzeczone przed trzydziestu blisko laty, powtórzyła cała Francya. Powódź romantyzmu przeszła po niwie literatury, użyzniwszy ją nowym żywiołem, wyżłobiwszy koryta nowych rzek i strumieni. Nowe gwiazdy błysły na widnokręgu, wiele z nich zgasło jak jednodniowe meteory, inne przyświecają stałym blaskiem; do ostatnich należy Wiktor Hugo: żadna przecież z tych gwiazd nie przyćmiła chwały Kornela. Hernani nie zabił Cynny! Geniusz musi być nieśmiertelnym!

Po raz pierwszy w tym roku Francya przepomniała o narodowém święcie. Rocznica urodzin Kornela przebrzmiała bez wieści, przyćmiona czarnym dymem pożarów. Jeden przecież francuz przykuty do krzesła niemocą nie zapomniał uroczystości tak drogiéj narodowi. Tym francuzem był Juliusz Janin, wielki krytyk, jak Kornel był wielkim poetą. Otóż Janin w imieniu Paryża i całéj Francyi uczcił po swojemu Kornela, a uczcił go tak godnie, że hołd jego stanął za tysiące hołdów, że nić tradycyi którą naród snuł od dwóch wieków, nie została przerwaną.

Posłuchajmy co Janin mówi o tym dniu uroczystym:

„Cóż robił Paryż w dniu 6 czerwca strasznéj pamięci r. 1871; po siedmdziesięciu trzech dniach najsroższego terroryzmu przypominającego czasy Kalliguli i Nerona, Paryż nagle zbudzony z osłupienia, oglądał z podziwem własne rany, i opatrywał je drżącą ręką. Odważniejsi wychodzili z domów, powyszczerbianych pociskami bomb, i z głową smutno pochyloną szli przyglądać się zgliszczom pogorzałych pałaców, zburzonym pomnikom, zbezczeszczonym świątyniom Bożym. Patrzeli na zgliszcza Tuileries, na rumowiska Ratusza, na sterczące złomy Palais Royal, na tyle pysznych gmachów, obróconych w popiół i perzynę ręką wściekłych antropofagów komuny.

„Tak się zajmował Paryż 6 czerwca 1871 roku, i w tém powszechném przerażeniu, ani pomyślał o chlubnéj rocznicy urodzin Wielkiego Kornela.“

Janin samotny, przykuty podagrą, sam jeden powtarzamy uczcił z miłością poetę tak drogiego sercu francuzkiemu. Odczytał Pompejusza, rzucił na papier kilka uwag o tém nieśmiertelném arcydziele, uwag, które są w swoim rodzaju arcydziełem krytyki.

Kornel jak wiadomo nie wyprowadza tu na scenę głównego bohatera. Pompejusz pokonany przez Cezara w Farsalii, wsiada na okręt, ubiega do Egiptu pod opiekę króla Ptolomeusza, którego utrzymał był na chwiejącym się tronie. Ale Ptolomeusz odpłaca mu czarną niewdzięcznością i zdradą. Aby przypodobać się zwycięzkiemu Cezarowi, rozkazuje zamordować Pompejusza u brzegów morskich i pochwycić małżonkę jego Kornelię. Przybywa Cezar. Król Egiptu przyjmuje go wspaniale: ofiaruje mu zatkniętą na włóczni głowę nieprzebłaganego zapaśnika. Cezar korzysta ze zdrady, ale odtrąca zdrajcę. Zdziera koronę z głowy Ptolomeusza; Egipt czyni rzymską prowincyą.

Wielki Kornel rozwinął w tém arcydziele cały swój potężny geniusz. To co mu zarzucała nieoględna krytyka, pozostawienie bohatera w cieniu, stanowi właśnie najwyższą zaletę: Pompejusz acz nieobecny panuje przecież w tragedyi, napełnia ją całą, jest jéj duszą, ożywia każdą scenę.

Janin w ślad za Kornelem tak kréśli postać bohatera rzymskiego:

„Ledwie że Pompejusz przywdział togę dobiegłszy lat męzkich, kiedy grom ugodził w głowę ojca jego Strabona, zostaje ulubieńcem ludu. Rzym cały podziwia w nim wstrzemięźliwość, i niesłychaną zręczność w gimnastycznych ćwiczeniach ciała. Porywa on serca wymową, słowa płyną mu z ust niby przeczysty potok; na obliczu jego, odbija wdzięk młodości połączony z powagą męża. Wzrostem i uśmiechem podobien do Alexandra Wielkiego; młode dziewice rzymskie łaskawém też poglądają nań okiem, a senat widzi w nim przyszłego obrońcę. Kiedy chory, całe miasto się smuci; kiedy zwycięża, całe miasto brzmi od poklasków; ilekroć wystąpi na forum, sprawa jego klientów górą! Niemniéj on biegły i w wojennych zapasach. Żołnierze okrzyknęli go wielkim, gdy zaledwie miał lat dwadzieścia.

„Rzym położył w nim ufność bez granic. Kto pokona groźnego Sartoryusza?—pyta strwożone miasto. Pompejusz— odpowiada chórem głos powszechny. Kto nam zdobędzie Hiszpanią?— Pompejusz— wołają Rzymianie. Kto przywiedzie do sfory zbuntowane tłuszcze Spartakusa?— Kto pokona piratów morskich?— Pompejusz i sam tylko Pompejusz!—Kto zaopatrzy miasto w zboże? Kto nam dostarczy chleba?— Pompejusz— woła lud wyciągając ręce wychudłe z głodu. Kto wystąpi do zapasu z pogromcą Galii?— Koń Cezara pławi się w Rubikonie.— Pompejusz!— woła struchlały senat!

„Czyż inaczéj— dodaje dowcipnie Janin,— mówi dziś Francya o Thiersie?“

Nakreśliwszy postać bohatera, krytyk wnika głęboko w myśl poety; postępuje trop w trop za Kornelem, szpera z nim razem w zbutwiałych pargaminach, czepia się potężnych skrzydeł nowego Prometeusza, wzbija się z nim razem w podsłoneczne wyżyny, przeziera na wskróś Kornela, tak samo jak Kornel na wskróś przejrzał bohatera swojego.

Jakże wysoko Janin podnosi stanowisko krytyka! Orłom tylko ścigać orłów poloty!

Mimo woli staje nam tu w myśli jeden z pyłków naszego ulubionego Bogdana:

Krytyk, — żeby on wiedział to wszystko co plecie,
Byłby poetą, zamiast wybredzać poecie;
Kto sam bitw nie wygrywał, temu jeszcze wara
Nicować strategiczne pomysły Cezara.

Otóż mimo pozornéj prawdy zawartéj w tych słowach, mimo słusznéj chłosty jaką dotykają zarozumiałą młodzież, która częstokroć od krytyki zaczyna literacki swój zawód, widzimy w nich raczéj wybryk wesołego humoru, niżeli niezbitą sentencyę. Dowodem na to sam Janin. Nie wygrał on żadnéj bitwy, nigdy nawet nie występował do niéj na polu poezyi, a przecież nikt trafniéj od niego, nie kreślił strategicznych dróg literackim Cezarom. Jeżeli jednak znaczenie poezyi oderwiemy od prostego wierszowania, a postawimy po za obrębem rymów i form szkolnych, wtedy przeprosimy czcigodnego ojca Bogdana żeśmy go na chwilę nie pojęli, a nazwiemy poetami wielkich krytyków, choćby jak Janin, nie skreślili nigdy dwóch wierszy.

Z okiem wlepionem w Kornela, zdaje nam się jakby Janin posłyszał głos jego zagrobowy.

„By mnie poznać, nie ze mną trzeba być lecz we mnie."

I Janin wnika sercem w serce poety, myślą wdziera się w tajniki jego myśli. Zobaczmy jak bada i ocenia wielki utwór:

„Nim Kornel zaczął tragedyą— mówi krytyk, — naszkicował sam w sobie postać wielkiego męża. W pierwszym i drugim akcie, Pompejusz jawi się tak samo jak w historyi. Potém zamyka poeta księgę, przepomina Plutarcha, rozwija skrzydła, buja po świecie ideału. Z historyi bierze tylko bohaterski jéj odblysk; szczegóły rażące oko i zamącające ogólną harmonię, pozostawia opodal. Teraz idzie o własnych siłach, zdążajmy trop w trop za nim, skłońmy ucho na każde jego słowo, a opowie nam jak patrzał własnemi oczyma na tę krwawą przygodę: opowie nam morderstwo Pompejusza. On sam, Kornel był świadkiem, jedynym świadkiem zbrodni. Widział jak wielki mąż wzrokiem pogardy odpierał zniewagi motłochu, jak głowa jego potoczyła się po zlaném krwią wybrzeżu egipskiém. On widział wszystko, zgadł wszystko, przeczuł wszystko. Kłamca kto mówi, że Kornelia nie spotkała Cezara w Egipcie. Kornel odpowie, że on druh Kornelii, widział ją tam na własne oczy, on tam był, on stał przy jéj boku w pobliżu Pompejusza, on słyszał jak wyrzekła do Cezara prorocze słowo: *Strzeż się!* Wierniéj od Plutarcha obliczył on morderców. Był świadkiem ich narady. Rzuca imiona ich na klątwę wieków, na pogardę ludzkości, wzywa nad nimi pomsty Bożéj.

„Bohater przed śmiercią bierze w rękę tabliczkę, kreśli na niéj kilka słów do Ptolomeusza niegdyś jeńca, dziś mordercy swego, a potém powtarza wiersze Sofoklesa. Kornelia tymczasem z przeciwnego brzegu patrzy rozpaczliwym wzrokiem, który przebiłby niebo, na śmierć bohaterskiego męża. Nie w mocy jéj zasłonić go od ciosu. Septimus przebił go mieczem. Salwiusz zadał mu pocisk ostatni, Agnitas odrąbał mu głowę. Pompejusz jak prawdziwy Ateńczyk umié skonać z godnością; aby skurczone bólem rysy jego, nie zaprzeczyły uczuciom wielkiéj duszy, pociąga oburącz połę szaty i zasłania oblicze; z milczących ust nie zbiegło słowo skargi, westchnął tylko pod ostatnim pociskiem.

„Oburącz połą szaty zasłania oblicze,
Idzie oślep, gdzie sprzeczne prowadzą go losy;
Nie raczy spojrzeć nawet w zdradzieckie niebiosy,
By świat go nie posądził, że tym rzutem oka
Chce ratunek i pomstę wyżebrać z wysoka!“

Tak umierali bohaterowie pogańskiéj Romy, tak umarł Pompejusz, tak samo skonał Cezar.

Obraz tego starożytnego świata, w którym męztwo jedyną było cnotą, jak świadczą same wyrazy *vir* i *virtus*, obraz ten nasuwa krytykowi smutne spostrzeżenia w związku z obecną chwilą we Francyi.

„Na widok Pompejusza i Cezara — mówi on, — tych dwóch zapaśników niesytych chwały, którzy w bratobójczéj wojnie marnotrawią siły Rzeczypospolitéj rzymskiéj, poeta i historyk gubią się w straszliwym odmęcie zdarzeń, i zapytują siebie, ażali był kiedy na ziemi podobny temu dramat? Tu Pompejusz! tam Cezar! obaj zarówno wielcy! Wojna domowa jednym zamachem ścina kwiat najwaleczniejszych obywateli tegoż samego, ojczystego ich grodu. Równa siła, równa wściekłość rozwinięta z obu stron służy tylko za dowód, o ile natura człowieka ślepą jest, szaloną i występną!“

Oceniwszy Kornela jako nieśmiertelny geniusz, co ma przyświecać wiekom, Janin patrzy nań z miłością jako na prostego człowieka. Posłuchajmy co mówi o nim:

„Czcijcie poetów, ale drżyjcie przed nimi — mówili starożytni. Kornel nie był z tych co rozsiewają postrach; kochał on chwałę i wielkość, nie wiele dbał o resztę, a jeśli kiedykolwiek spotkała go zniewaga, kopnął ją nogą, obutą w dziurawy trzewik, zdarty w mozolnym pochodzie po tylu gościńcach zbudowanych przez Rzymian, na szerokich przestrzeniach ziemi. Praca była jedyną życia jego osłodą, własny geniusz jedyném był mu wsparciem, teatr jedynym przedmiotem zamiłowania. Walczył z ubóstwem zawsze poważny i spokojny; potomność uczciła to ubóstwo tak pracowite, pełne godności i odwagi; przeświadczenie że spełnia powinność, było mu najwyższą nagrodą za trudy i bóle żywota.

Promienie chwały Kornelowéj jasno świeciły w téj aureoli co uderzała na świat od tronu Ludwika XIV. Kornel był jednym z tych synów Francyi, przez których naród francuzki podbił niejako całą Europę w sposób godny, bo nie mieczem ale siłą wyższości intelektualnéj. Szwecya, Dania, Norwegia, Niemcy nawet Włochy i Hiszpania, zarówno były pod wpływem literatury francuzkiéj jak dawna Polska i Węgry. Wszystkie te ludy przeszły przez fazę życia; która w historyi nosi nazwę *okresu francuzczyzny*. We wszystkich téż literaturach europejskich błyszczy imię Kornela, jako jednego z głównych reprezentantów Francyi XVII wieku. Arcydzieła jego tłumaczone były na wszystkie języki, przedstawiane po wszystkich teatrach.

Kornel obsypany tryumfami, wśród tylu innych pociech miał i tę, że słowo jego znajdowało oddźwięk w sercach dalekich nawet Słowian. Na dwadzieścia lat przed śmiercią Kornela. jeden z pierwszorzędnych jego utworów Cyd, przedstawiony był na zamku warszawskim w r. 1661 w obec króla Jana Kazimierza, Maryi Ludwiki Gonzagi i całego dworu królewskiego. Tłumacz Cyda Andrzéj Morsztyn, przełożył tragedyą ściśle z oryginału, wierszem tak udatnym, że późniejszy tłumaoz w sto kilkadziesiąt lat po nim, brał całe ustępy z pierwotnego przekładu, a to wtenczas, kiedy już język polski przeszedł przez szkołę Krasickich i Trembeckich!

Owo przedstawienie Cyda na zamku warszawskim w r. 1661 wraz z oryginalnym prologiem Morsztyna na cześć króla i królowéj (1), ważną stanowi chwilę w dziejach naszéj literatury. Pierwszy to a wielce znaczący objaw tego wpływu francuzczyzny, który w następnym wieku, tak potężnie miał się rozwinąć szczególniéj za pośrednictwem wychowańców szkoły Lunewilskiéj Stanisława Leszczyńskiego, do których należał i Konarski.

Krytycy literatury różnych krajów, a między temi i niektórzy z pomiędzy naszych, niechętném okiem poglądają na ten stóletni okres, w którym myśl francuzka zabijała według nich twórczość narodowego ducha i tamowała rozwój samodzielnej myśli. Sąd to podług nas zbyt pośpieszny i jednostronny. Prąd który ogarnął wszystkie narody europejskie, musiał mieć przyczynę bytu, skoro jednocześnie rozpostarł się po wielkiéj przestrzeni, od jezior i fiordów Skandynawskich, po Wisłę i Dunaj z jednéj strony, z drugiéj po skały Kalabryi i Gibraltaru. Pamiętajmy że literatura była tu jakoby wiosenną jaskółką, zwiastującą nowy porządek w społeczeństwie.

Ci którzy utyskują na ten wpływ francuzczyzny, nie dosyć odróżniają zasadę od nadużyć jakie z niéj wypłynęły. I my ubolewamy niemniéj nad nieszczęśliwą manią cudzoziemszczyzną, naganiamy wychowywanie młodzieży w obcych szkołach, tak pod kierunkiem cudzoziemskich przybyszów, nie obznajmionych z potrzebami ducha naszego; naganiamy zbytnią pochopność do przyjmowania obcych obyczajów, do karmienia się wyłącznie obcą myślą: ale potępiając surowo nadużycia, wolnoż nam przepominać wielkich zdobyczy intelektualnych, jakie zawdzięczamy stóletniemu panowaniu francuzczyzny?

Nie było ani w mocy, ani w woli naszéj, wyłączać się z pod ogólnego wpływu, jaki działał na wszystkie ludy, od końca XVIIgo stólecia. Byłoż w mocy naszéj nie uledz w XVII-tym wpływowi geniuszu francuzkiego, który ogarnął i opromienił całą Europę?.

Wpływ francuzki nie zabił w nas twórczego geniuszu, rozszerzył tylko nasz widnokrąg i dostroił nas do harmonii, z ogólnym

(1) Ob. Teatr starożytny w Polsce K. Wł. Wójcickiego, 1841 dwa tomy.

ruchem cywilizacyi europejskiéj. Uczcijmy też Andrzeja Morsztyna, że odgadł nowy kierunek i użął pierwszy snop na tém polu, które duch czasu wskazywał do uprawy zastępom nowych pracowników.

Imię Kornela zajaśniało u nas nowym. silniejszym jeszcze blaskiem, kiedy Ludwik Osiński, nowy tłumacz Cyda jak niemniéj Horacyuszów i Cynny, profesor literatury porównawczéj w b. Uniwersytecie warszawskim, podnosił z katedry zalety wielkiego tragika i czarował audytoryum cudną deklamacyą. Liczba słuchaczy tak bywała wielką, że sala akademicka zaledwie ich mogła pomieścić; słowem Warszawa cała karmiła się Kornelem.

Z równym zapałem Warszawa sypała oklaski, ilekroć arcydzieła Kornelowe, Cyd, Horacyusze albo Cynna pojawiały się na deskach teatru na placu Krasińskich, przedstawiano je przez lat dwadzieścia pięć, od roku 1800 do r. 1825. W ostatnich czasach zwłaszcza, publiczność przygotowana wykładem Osińskiego, do zrozumienia całéj piękności Kornela, słuchała z rozkoszą tych arcydzieł, podniesionych jeszcze grą wielkich artystów: Bogusławskiego, Werowskiego. Piaseckiego i Leduchowskiéj.

Starsi z pomiędzy Warszawian pamiętają dotąd te pyszne dyalogi Cyda z Xymeną, kiedy Cydem był Werowski, Xymeną Ledóchowska! słyszeliśmy o nich wielokrotnie z ust poważnych nestorów naszéj literatury.

Horacyuszów wydał Osiński w Warszawie jeszcze w 1802 r. Inne przekłady jego *Cyd* i *Cynna*, tłumaczone zarówno pomiędzy 1801—1804 rokiem, przez lat sześćdziesiąt spoczywały w tece, aż nakoniec w roku 1861, czcigodny i wysoko zasłużony w literaturze Franciszek Salezy Dmochowski, wydał je w Warszawie wraz z innemi pracami Osińskiego, nakładem wdowy po tym znakomitym krytyku i professorze, który był w swoim czasie dla nas tém, czém jest dziś Janin dla Francyi.

Dlaczego te prace tyle lat spoczywały w ukryciu? Łatwo to pojąć, gdy przypomnimy sobie owe zacięte zapasy dwóch obozów, których Warszawa pamiętną była areną, po roku 1825. W nie jednéj z kronik naszych potrąciliśmy mimochodem te czasy; pamięć ich drogą dla nas, bo cóż więcéj świadczyć może o wielkiéj żywotności ducha w dziedzinie literatury, jak zacięta walka o idee?

Dziś kiedy przebrzmiały te zapasy, kiedy umysły ochłodły z gorączkowego szału, dziś przebiegając okiem wielkie pobojowisko, możemy dopiero z całą bezstronnością, uczcić odwagę szermierzy, bez względu na chorągiew. Nikt od nas nie ocenia żywiéj tego wielkiego prądu, co rozkruszył odwieczne tamy, i w nowe szlaki pchnął bryłę świata, odartą z jéj pleśni wiekowéj; nikt od nas więcéj nie uznaje zasług nowéj szkoły, która zdemokratyzowała literaturę i tak ściśle zespoliła ją z życiem narodu. Ale z drugiéj strony składamy szczery hołd owym czcicielom klassycznego piękna, którzy w imię literackich tradycyj, usiłowali

całą potęgą utrzymać rozhukany prąd nowatorstwa, którzy aczkolwiek umieli uczcić geniusz Adama i innych pierwszorzędnych koryfeuszów nowéj szkoły, z dreszczem trwogi patrzeli na tę powódź niedołężnych a zagorzałych naśladowców Mickiewicza, na tę zwłaszcza powódź chorobliwego bajronizmu, grożący zalewem krzepkiéj myśli domowéj, wykarmionéj wzorami wielkich mistrzów.

I cóż dziwnego że w tych zażartych zapasach, trudno było utrzymać się w równowadze, naszym zacnym szermierzom? Cóż dziwnego że Mickiewicz, pełen młodzieńczego ognia, tyle wylał żółci na krytyków warszawskich, w znanéj przedmowie swojéj? W lat kilkanaście po tém, genialny professor Kollegium francuzkiego, który tak umiał uczcić bezwzględne piękno w sztuce, byłby niewątpliwie pohamował pióro i okazał się wyrozumialszym. Zdrugiéj znów strony, cóż dziwnego że generał Morawski tyle wyszafował dowcipu, w nielitościwych chłostach na romantyzm. W kilkanaście lat potém sam poeta puścił się w nowe drogi, uniesiony prądem ogólnym. Świadczy o tém *Dworzec mego dziadka*?

Dziś jeżeli w literaturze naszéj zabrakło wielkich poetów, sąd krytyczny dojrzewa za to, postępując wolną, ale niemylną drogą. Ogół patrzy dziś okiem wolném od uprzedzenia, na wyroby wielkich geniuszów i ocenia je tu bez względu na szkoły. Każdy mniéj więcéj czuje to, co wyraził sławny Grillparzer: „Romantyzm i klassycyzm puste to dla mnie słowa, znam tylko dwa rodzaje literatury: jeden zły, drugi dobry".

Prace literackie Osińskiego doczekały się tego zwrotu wyobrażeń i wyszły w samą porę z sześćdziesięcioletniego ukrycia, dzięki troskliwości zacnéj wdowy i staraniom zasłużonego ich wydawcy.

Warszawa wytrzeźwiona z szału jaki miotał nią przed czterdziestą laty, rozumie dziś, że prawdziwe piękno jest nieśmiertelném, że geniusz jak słońce przyświeca wszystkim wiekom i ogarnia blaskiem wszystkie narody. Nie lękamy się więc aby Warszawa powtórzyła do nas to, co Dumas rzekł niegdyś do przyjaciela, patrząc na afisz z Polieuktem: „Godziż się wywłóczyć z reportoaru takie rzeczy, kiedy mamy tyle nowych arcydzieł?"

Śmiało więc przypominamy tu zasługi i chwałę Kornela. Niech to krótkie wspomnienie, stanie się hołdem dla wielkiego mistrza, którego geniusz czcili już pradziadowie nasi, którego słowo poruszało do głębi serca ojców, a którego chwała nie przebrzmi, dopóki ideał piękna przyświecać będzie światu.

W jednéj z przyszłych kronik, pragniemy dać poznać czytelnikom naszym Herakliusza. Ta tragedya Kornela nie była nigdy tłumaczoną na polski język, a przecież sama postać głównego bohatera, nie może być dla nas obojętną; imię bowiem cesarza Herakliusza, ściśle się łączy z wypadkami, jakie w VII wieku zaszły na ziemi naszéj.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

O dobrach koronnych byłéj Rzeczypospolitéj Polskiéj, według źródeł wiarogodnych skreślił Kornel Czemeryński Koncypista przy c. k. krajowéj dyrekcyi skarbu. W dwóch działach. Lwów. Nakładem autora, 1870. 8-a str. 290 i 104.

Dzieło p. Czemeryńskiego podaje wiadomość na podstawie źródeł urzędowych skreśloną, o dobrach rządowych w Galicyi, z dodatkiem w dziale drugim, wykazu szczegółowego dóbr dawnéj Korony po za granicami Galicyi położonych, według wykazu kwarty do skarbu opłacanéj w roku 1770.

Rząd austryacki zajął w roku 1773 w administracyą skarbową dobra, stanowiące uposażenie skasowanych dygnitarstw, lub znajdujące się w obrębie ekonomii stołowych królewskich, lub wreszcie zawierające warzelnie soli, któréj monopoliczną sprzedaż rząd sobie zachował. Innych posiadaczy dóbr koronnych pozostawiono przy dożywotniém używaniu nadanych im majętności, pod obowiązkiem wnoszenia do skarbu połowy, trzeciéj lub czwartéj części wykazanego lustracyą dochodu, a to w miarę ważności dóbr.

Massę dóbr rządowych powiększyły dobra duchowne w najznaczniejszéj części na skarb zabrane.

Rozmaite okoliczności wpłynęły z biegiem czasu na uszczuplenie tego ogromu majętności, z których już tylko mała cząstka obecnie w posiadaniu rządowém zostaje.

Nasamprzód w zamiarze zaprowadzenia monopolium soli, przystąpiono do wywłaszczenia licznych właścicieli prywatnych warzelni. Wywłaszczenie doszło do skutku głównie za pośrednictwem zamian dóbr posiadających warzelnie na dobra rządowe, z małą zwykle dopłatą w gotowiźnie z funduszów skarbowych. Autor podaje treść 21 układów w tym przedmiocie zawartych. Gdy jednak nie przy wszystkich wskazana jest wartość tak dóbr wywłaszczeniu ulegających, jak dóbr w zamian oddanych, nie można oznaczyć ogólnéj summy za

jaką dobra skarbowe posiadaczom warzelni odstąpione zostały. To przecież zdaje się być pewne, że skarb austryacki, nie szczególnie na téj zamianie wyszedł. Według przytoczonych przez autora przykładów, niektóre dobra oddane prywatnym, w krótkim już czasie po zamianie miały daleko znaczniejszą wartość, niż w jakiéj przy zamianie policzone zostały; wątpić zaś można czyli to samo dałoby się wyrzec o ustąpionych warzelniach. Niektóre znaczniejsze majątki w Galicyi powstały, lub przynajmniéj wzrosły w następstwie korzystnych zamian ze skarbem.

Drugą okolicznością wpływającą na uszczuplenie dóbr rządowych w Galicyi, było osiedlanie w tych dobrach obco-krajowych osadników. Według wykazu administracyi z d. 30 czerwca 1815 r., powstało w ten sposób w obrębie dóbr rządowych 2864 gospodarstw. Lecz i tu nie mamy wskazanéj ani rozległości, jaką osady zajmują, ani ich wartości.

Do tych dwóch sposobów uszczuplenia majątku skarbowego, niekorzystnych zamian i ułatwionych osiedlań, przybył jeszcze inny, ważniejszy nawet od poprzednich, sprzedaż dóbr skarbowych. Rząd z początku chciał sam gospodarować dobrami w jego zarządzie zostającemi, a dla ułatwienia zarządu, postanowił pozbyć się tych części dóbr, któremi w skutek oddalenia od siedziby urzędów gospodarczych, odpowiednio zarządzać nie było można. W tych widokach następowały sprzedaże z początku pomniejszych tylko realności skarbowych, co trwało do roku 1789. W roku 1789 rząd zmienił systemat. Własna administracya nie przyniosła jak widać dość korzystnych rezultatów; przynajmniéj uważano że przyczyni się do podniesienia dobrobytu, jeśli dobra rządowe sprzedane, albo też w dziedziczną lub długoletnią dzierżawę wypuszczone zostaną. Zaczęto sprzedawać dobra z wolnéj ręki, czyniąc ułatwienia nabywcom, zwłaszcza też posiadaczom dóbr pod dożywociem zostających, którym za cenę lustracyi nabywać je dozwolono. W roku 1794 postanowiono nie sprzedawać dóbr bez licytacyi. Według wykazu urzędowego z roku 1802, sprzedano do końca września t. r.:

za cenę lustracyjną dóbr		82
przez publiczną licytacyę dóbr	koronnych	51
„ „ „ „	funduszowych	85
przez zamianę ustąpiono dóbr	koronnych	68
„ „ „ „	funduszowych	34

Ogółem pozbyto się w owym czasie dóbr . . 320, których jednak cena jest nieoznaczona.

W dalszym czasie występują przeważnie względy finansowe. Sprzedawano dobra dla opędzenia bieżących potrzeb skarbowych; patentem z dnia 16 czerwca 1811 r., postanowiono nawet sprzedaż wszystkich dóbr rządowych, nie wyłączając dóbr będących w posiadaniu dożywotników. Pozostawiono jednak tych ostatnich przy używaniu dochodów do chwili sprzedaży, a po nastąpieniu sprzedaży zapewniono im tak zwany ekwiwalent t. j. summę równającą się téj,

jaka według lustracyi po strąceniu części dochodu do skarbu uiszczonéj dla nich przypadała.

Autor sprawę sprzedaży dóbr rządowych od roku 1811 dzieli na cztery okresy. W pierwszym od r. 1811 do końca 1817 r. sprzedawane były dobra za cenę kupna w bankocetlach; sprzedano dóbr i realności 71. Cena wywołania była złr. 1.929,177 k. 50; cena postąpiona 2.560,383 w. w. — W drugim okresie od r. 1818 do 1848 sprzedano dóbr i realności 174 za 6.881,000 złr. 59½ kr. m. k. — Cena wywołania była złr. 5.347,545 kr. 43½. Od r. 1848 do 1855, wyprzedaż dóbr została wstrzymaną. Wszakże już wówczas rząd posiadał tylko 25 dóbr koronnych i 9 funduszowych.

W roku 1855, rząd oddał bankowi wiedeńskiemu, różne dobra na spłatę zaciągniętego długu z upoważnieniem do ich przedaży. Bank sprzedał tych dóbr w Galicyi do roku 1862 za siedmkroć kilkanaście tysięcy złr., reszty, jak widać, sprzedać nie mógł i zwrócił je ostatecznie rządowi w roku 1866.

W roku 1868 rząd zawarł układ ze spółką Simundt et Kirchmajer, o przedaż dóbr za przeszło 12 mil. złr. w. a. Lecz dobra przedane, nie wszystkie leżały w Galicyi. Ceny tych ostatnich autor nie podaje. Obok tego trwała nieprzerwanie przedaż pomniejszych realności.

Wynikiem ostatecznym przedstawionego przebiegu administracyi austryackiéj dóbr rządowych galicyjskich jest, że rząd posiada obecnie tylko 8 dóbr koronnych i 6 dóbr funduszu religijnego oprócz pojedyńczych realności.

Dzieło p. Czemeryńskiego jakkolwiek pracowicie zebrane ze źródeł urzędowych, z powodu niepełności tych źródeł nie stanowi wykończonego obrazu. Autor nie postarał się o ujęcie w jakąś całość nagromadzonych przez siebie szczegółów. W przybliżeniu nawet nie oznacza summy jaka do skarbu wpłynęła ze sprzedaży dóbr galicyjskich. Nigdzie też autor nie wynurza zdania swojego o faktach jakie przytacza; ze wzmianki tylko na str. 75 wnosić, by można że nie jest zwolennikiem sprzedaży dóbr rządowych. Przynajmniéj przywodzi bez uwagi z swojéj strony, że opinia w Galicyi nie była téj przedaży przychylną, a nawet że wydział krajowy przeciw niéj protestował.

Atoli rzut oka na większą część krajów europejskich, powinienby zrodzić przeświadczenie, że zatrzymanie w własności i administracyi skarbowéj wielkich obszarów ziemi, coraz więcej do wyjątków należy. Do takiego stanu rzeczy przyczyniły się zapewne potrzeby skarbowe, ale niewątpliwie wpłynęło nań i przekonanie, że korzystniejszem jest dla bogactwa krajowego oddać ziemię w posiadanie prywatnych niż administrować nią na skarb, który ma inne właściwsze źródła dochodu.

Zdanie to jest przez pisarzy finansowych powszechnie przyjęte. Tylko co do lasów różnią się poglądy, czy lepiéj zatrzymać je w administracyi rządowéj, czy też oddać na własność prywatną? Nie należy zapewne szafować własnością skarbową bez pomiarkowania i na cele dobru publicznemu obce, ale nie ma też powodu w przedaży

dóbr albo kopalni skarbowych, upatrywać taki cios dla kraju, jak to np. czyni Przewodnik ekonomiczny krakowski co do zamierzonéj przez rząd tameczny przedaży kopalni węgla w Jaworzniku. Nie zapominajmy że rząd pruski sprzedając niedawno różne zakłady górnicze na Szlązku, nie odebrał poczynionych nakładów. Jeżeli się to przytrafiło administracyi powszechnie za wzór stawianéj, możnaż robić sobie nadzieję że się lepsze osięgnie rezultaty? Wynurzona przytém obawa monopolu jest zupełnie płonna.

Nie jedno z naszych pism czasowych, a nawet niektórzy ekonomiści, zamiast rozpowszechniać zdrowe poglądy ekonomiczne, z tak mylnego stanowiska zapatrują się na stosunki, że nie wahamy się wyrzec, przyczyniają się raczéj do zamącenia niż do wyjaśnienia pojęć w tym przedmiocie. Chcą pomagać do rozszerzenia dobrobytu, a potępiają drogi wiodące do tego celu. Zalecając nowe jakie przedsięwzięcie, naiwnie oświadczają nieraz, że przedsięwzięcie nie ma na celu *spekulacyi*, lecz jest wynikiem czystych widoków dobra ogólnego. Obawa i wstręt od spekulacyi nie są uzasadnione. Spekulacya nie jest grzechem ani ekonomicznym ani moralnym; zamknięta w właściwych granicach przyczynia się owszem do zamożności ogólnéj w sposób dla wszystkich korzystny. Spekulant szuka zysku na cenie; nabywa kiedy tanio, sprzedaje kiedy drogo; działaniem swojém przyczynia się, częstokroć wbrew swoim własnym zamiarom, w pierwszym razie do podniesienia cen, w drugim do ich zniżenia; w obu razach wpływa na ich wyrównanie. Ale ceny od spekulacyi wyłącznie nie zależą; ulegają wyższym prawom ekonomicznym, pod których wpływem zostaje tak dobrze spekulacya jak produkcya. Spekulacya która chce sama ceny stanowić, albo téż sztucznemi kombinacyami pragnie nagiąć na swoją korzyść działanie praw ekonomicznych rządzących ceną przedmiotów t. j. spekulacya dążąca do monopolu, albo stająca się ażjoterstwem, jest w zasadzie naganną, zwykle téż kończy się upadkiem zbyt śmiałych zamysłów (1).

(1) W historyi naszego handlu znam tylko jeden przykład spekulacyi na większą skalę osnowanéj, a dążącéj do monopolu pewnego artykułu; przykładem tym jest usiłowanie owładnięcia handlu cynkiem na targach europejskich, przez Piotra Steinkellera.

W r. 1836, Piotr Steinkeller bankier warszawski, znakomity i zasłużony przedsiębierca, wspólnie z domem francuzkim Darlincourt, Ladame et comp., zamierzył owładnąć handlem cynku w Europie. W tym celu oba domy handlowe poczyniły ogromne zakupy na wszystkich targach. Atoli spekulacya chybiła. Dom francuzki zawiesił wypłaty; upadłość jego ogłoszoną została jeszcze w r. 1836. Steinkeller uniknął grożącéj mu katastrofy wsparty pomocą Banku Polskiego. Odtąd przecież Steinkeller stracił swoje samoistne stanowisko i stał się zupełnie od Banku zależnym. Gdy Bank Polski na skutek decyzyi Rady Administracyjnéj zapadłéj w końcu 1851 r., rozwiązał swoje stosunki ze Steinkellerem, w likwidacyi Steinkeller odstąpił Bankowi cały swój majątek w Królestwie Polskiem położo-

Czytając niektóre z naszych pism czasowych, możnaby mniemać że u nas ceny zostają pod wpływem jednego tylko czynnika: zmowy spekulantów. Dla ludzi obeznanych z prawami ekonomicznemi i biegiem interesów, takie twierdzenia nie mają podstawy: dowodzą tylko niewiadomości albo zaprzątnięcia się własnym interesem tych co je wygłaszają. Niepowinny przecież pozostać bez zaprzeczenia, bez publicznego wypowiedzenia, że takie zdania nie są u nas powszechne, nie są podzielane przez ludzi rozpatrujących stosunki ekonomiczne kraju ze stanowiska nauki. *F. Z.*

Przekłady Horacego.

Nie ma żadnego poety starożytnego klasycyzmu, którymby tak pilnie w literaturze naszéj się zajmowano, jak wieszcz Wenuzyjski, przyjaciel Mecenasa i ulubieniec Augusta. Zajmowanie się to nie doprowadziło wprawdzie do żadnych wyczerpujących studyów, do krytycznéj oceny pisarza i tworów jego; ale wyraziło się natomiast znaczną liczbą przekładów i licznemi stosunkowo wydaniami w oryginale. Rzeczywiście wedle spisu podanego w 1-m tomie *Biblioteki autorów klasycznych*, wydania *Edwarda Raczyńskiego* w 1836 r., do tego czasu wyszło 23 różnych tłumaczeń, z których nie jedno miało po kilka wydań. Tamże podana jest cyfra edycyj łacińskich w liczbie 12, poczynając od roku 1505, kiedy po raz pierwszy publikowano u nas *Sztukę rymotwórczą*, z dodatkiem *Stuletniego Pienia (Carmen saeculare)*. Gdybyśmy te cyfry porównali z setkami wydań i tłumaczeń w uczonéj Germanii, okazałyby się nic nieznaczącemi; ale u nas, gdzie o wielu pisarzach nawet ze słuchu niewiedziano a najgłośniejszych zaledwie kilkakroć tłumaczono lub przedrukowywano, musimy je poczytać za wyraz niezwykłego w literaturze naszéj zjawiska, niepomiernéj sympatyi, jaką Horacy w kraju naszym uzyskać sobie potrafił. Nie ograniczano się tu przekładem jednego lub drugiego utworu, ale przełożono je wszystkie i to po razy kilka. Przy małéj znajomości literatury greckiéj, nie widząc wznioślejszych wzorów i czystszych natchnień, rzucono się z zapałem do czytania, rozpamiętywania i naśladowania lekkiéj filozofii epikureizmu, zdrowych i trzeźwych rad o złotéj mierności, nie głębokich ale miłych uczuć i gładko utoczonych wierszy, wyrażonych najpiękniejszą łaciną. Jak dalece to jest prawdą, łatwo przekonać się można, rozważając

ny, zwinął swoje interesa w Warszawie i wyniósł się do Krakowa, gdzie życie zakończył.

Przywiedzione tu okoliczności czerpałem ze źródła; podaję je głównie według obszernego opisu stosunków Steinkellera z Bankiem, ułożonego przez samego Steinkellera, który miałem sposobność czytać w rękopiśmie.

dwa bardzo ważne zjawiska w piśmiennictwie naszém. Najprzód, że pierwszy nasz, istotnie znakomity, poeta *Jan Kochanowski* był zarazem najpierwszym tłumaczem i naśladowcą piewcy rzymskiego; a powtóre, że jeden z niepoślednich talentów poetyckich, *Maciéj Sarbiewski* całe swoje staranie w to włożył, ażeby dykcyą i formą poezyi swoich jak najbliżéj stanąć swojego wzoru Horacyusza.

Rozpatrując *Pieśni* Kochanowskiego, podzielone na tyleż ksiąg, ile ich napisał Horacy, t. j. cztery, znajdujemy tam kilka ód dosłownie przełożonych, kilka innych z nadzwyczaj błahemi zmianami, a we wszystkich niemal dopatrzeć się można wyrażeń, porównań, myśli wziętych wprost z ód Horacyuszowych. „Kochanowski, powiada Lucyan Siemieński, w przedmowie do swego przekładu Horacego, wzorem prawie tak się przejął, tak napełnił, że mało u niego znajdziesz takich myśli i obrazów, któreby nie zostawały w bliższém lub dalszém powinowactwie z rzymskim poetą.. Kochanowski jeden ze wszystkich czuł i pojmował go najlepiéj; prawie się w nim rozpieścił, tak mu trafiał do serca, smaku, rozumu; tak jego okiem patrzył, jakby mu był pradziadem w prostéj linii.“ Słowem możnaby powiedzieć, że Pismo Święte, Horacy i Anakreont, byli głównemi nauczycielami Czarnoleskiego wieszcza, dostarczając mu myśli i ich formy. Z téj strony mało jeszcze rozpatrywano naszego poetę, nie pomnąc, że to jest jedyna droga do prawdziwego określenia stopnia oryginalności każdego pisarza. Przekłady i naśladowania Kochanowskiego, nie są pracą niewolniczą; owszem noszą na sobie piętno właściwego talentu: wiersz dźwięczny, harmonijny, w obrazach i ich wyrażeniu nie widać krępujących więzów tłumacza, ale raczéj swobodę oryginalnego tworzenia.

W ślad za Kochanowskim poszli pisarze wieku XVII, zwłaszcza pierwszéj jego połowy: *Sebastyan Petrycy*, *Jan Libicki*, *Stanisław Łochowski*, *Franciszek Cezary*, *Samuel Twardowski*, *Wespazyan Kochowski*. Bardzo różnéj a po większéj części małéj wartości są te tłumaczenia, dokonane przez ludzi jużto żadnego prawie talentu poetyckiego, już to (jak Twardowski i Kochowski) przez reprezentantów chylącego się do upadku smaku estetycznego, gdzie szumność i grzmiącość liczyła się do największych zalet, będących prostém zaprzeczeniem wdzięku, elegancyi i prostoty poety wieku Augustowego. Tém też świetniéj wydaje się w tym wieku postać najzdolniejszego w Europie całéj łacińskiego naśladowcy jego: *Macieja Sarbiewskiego*. W poecie tym widzimy uosobienie téj czci bałwochwalczéj i tego poszanowania, jakiém ówczesna literatura nasza przejęta była dla rzymskiego liryka: wyrzekł się on siebie, swojéj oryginalności, swojego talentu, jaki rzeczywiście posiadał, ażeby być służką pokornym obcego mistrza, ażeby mu wyraz po wyrazie, frazes po frazesie, jedną formą poetyczną po drugiéj odpowiadał. Napisał cztery księgi liryków i księgę Epodów tak jak Horacy; czcił muzy i bogi starożytne; szukał porównań i poetycznych obrazów w tém samém źródle, z którego czerpał wzór jego, bał się uchybić najbłahszemu metrycznemu prawidłu, jeżeli je tylko Horacyusz zachował; odzywał się przeciwko zbytkom i rozmiękczeniu

polskiéj młodzieży, bo Horacy robił toż samo, choć mimochodem. Nie daleko bylibyśmy od prawdy, gdybyśmy powiedzieli, że w razie zatraty ód Horacyuszowych, dosyćby było podstawić rzymskie imiona z czasów Augusta, zamiast odpowiednich polskich, a mielibyśmy nanowo pieśni śpiewane w Tyburze. To też Sarbiewski zyskał sobie sławę w Europie całéj i zaszczytny na owe czasy przydomek *Horacyusza polskiego*. Jestto jedno z tych ubóstwień formy, którego przykładów wiele znaleźć można w niezbyt od nas odległéj epoce.

Czas upadku smaku estetycznego w Polsce, zwany okresem makaronicznym, nie wydał również i osobnych przekładów Horacego, o którym zapomniano, jak w ogóle o wszystkich lepszych pisarzach, tłumacząc natomiast wiele napuszonych i retorycznie brzmiących wierszydeł i niby — poematów. Charakter poezyi Horacyusza, nie odpowiadał ówczesnemu nastrojowi ducha naszéj literatury, która na nieszczęście opuściła drogę naturalności i prawdy, wspinając się z trudem na stromo i karkołomne wyżyny mniemanéj szczytności, będącéj oczywiście tylko wyrazem bezsilnego i śmiesznego naprężenia.

Dopiero z odrodzeniem się nauk i piśmiennictwa w kierunku tak zwanego pseudo-klasycyzmu francuzkiego wrócił na swe stanowisko w nauce szkolnéj i w literaturze Horacy, czczony przez Boilaux i całą szkołę poetyczną we Francyi. Wyrazem tego nowego kierunku w XVIII wieku były tłumaczenia sztuki rymotwórczéj przez *Onufrego Korytyńskiego*, *Jacka Przybylskiego*, naśladowanie jéj przez *Franciszka Ksawerego Dmochowskiego*, który wydał także tłumaczenie *Listów* Horacego, dalój przekład satyr przez *Marcina Matusiewicza*, oraz pieśni jego, wydane pod redakcyą i z przedmową *Adama Naruszewicza* 1773 (przedrukowane 1819), gdzie oprócz tłumaczeń redaktora, znajdujemy po kilka innych każdéj pieśni pióra *Antoniego Wiśniewskiego*, *Józefa Epifaniego Minasowicza*, *Józefa Kobłańskiego*, *Onufrego Korytyńskiego*, *Franciszka Kniaźnina*, *Franciszka Karpińskiego*, *Franciszka Zabłockiego* i wielu innych. *Ignacy Krasicki*, o ile wiem, jednę tylko odę przełożył do *Mecenasa*. Tłumaczenia te nie mogą zadowolnić dzisiejszego smaku, bo są niepoetyczne i rozwlekłe. Siemieński powiada o nich, że ich niepodobna prawie czytać, tak ciężko niesmaczne i niewierne płaską prozą lub przesadną wybujałością. Jaki panował wtedy jeszcze brak poczucia piękna i sprawiedliwego a głębszego ocenienia wartości i zalet Horacyusza, widzimy z tego, co o nim dwie największe bezwątpienia znakomitości literackie wieku XVIII wypowiedziały. Krasicki w dziele o *Rymotwórstwie i Rymotwórcach* nic więcéj o rzymskim poecie powiedzieć nie umie, jak tylko to, *że się jego czytaniem nasycić nie można*, a w *Historyi* opisawszy jego powierzchowność, dworskie życie i skreśliwszy z grubszego charakter (bardzo pochlebnie zresztą), nie może się zdobyć ani na jedno słowo oceny. Adam Naruszewicz zaś te słowa o Horacym napisał: „Wszędy w nim widzieć *czystość języka*, *wybór słów*, *przyjemność osobliwszą*, *myśli delikatne*, *wiele zdań poważnych*, a co największéj godna w każdym pisarzu zalety, *bez wystawy i przymusu do materyi przystosowanych*.“ Pomijając ostatnie

to zdanie, które w Horacyuszu nie zawsze znajduje sprawdzenie, powyższy sąd jest tak ogólnikowy, tak nic nie mówiący, tak nawet dziecinny, że trudno zrobić sobie pojęcie, jak on mógł wyjść z ust ukształconego człowieka. Forma jeszcze i wówczas zwracała przedewszystkiem uwagę na siebie; pomijano więc zupełnie treść i mało się troszczono o wniknięcie w całość utworu.

Początek wieku XIX był dalszym ciągiem tego literackiego kierunku, który się w środku zeszłego stulecia ustalił. Główni jego przedstawiciele ówcześni jak: *Ludwik Osiński*, *Kajetan Koźmian*, *Julian Ursyn Niemcewicz* nie zaniedbywali Horacyusza, który coraz większych, coraz wyraźniejszych hołdów doznawał. Każdy starał się choćbby jednę odę, choćby jeden list przełożyć, bo to dawało prawo do nazywania się poetą. *Kantorbery Tymowski* który pierwszy w roku 1816 dał przykład bezrymowego przekładu *pieśni* Horacyuszowych, których przetłumaczył 12 (z rymem i bez rymu), *Julian Korsak*, *Ignacy Szydłowski*, *Kikiewicz*, przełamywali trudności niepowtarzania tych rymów, których pełno już było z dawniejszych tłumaczeń. Professor *Marcin Fijałkowski* przełożył wszystkie dzieła Horacego prozą (1818): jestto praca szkolna, pożyteczna przy gimnazyalnych przekładach, ale daleka od oddania poetycznych obrazów.

Horacyusz naówczas był alfą i omegą lirycznéj poezyi, był niedoścignionym nigdy wzorem, w który się należało wpatrywać z bogobojném uszanowaniem, nie kusząc się nawet prześcignąć. Nie są to paradoksy; twierdzenia te można poprzeć wielu świadectwami spółczesnemi. Już Naruszewicz podzielał zdanie *Lipsiusza*, filologa z XVII wieku, że nad Horacyusza nic nie *może* być wyższego (ut in ea parte et arte nihil *possit supra eum* (Horatium). Toż samo wyobrażenie przedstawia nam *Franciszek Morawski* w liście do Kajetana Koźmiana, jako powszechnie wśród literatów panujące: „Już od tylu wieków, powiada, czekaliśmy napróżno od klasyków nowych piękności, a oni zawsze nam odpowiadali, aby się już niczego po nich niespodziewać, lecz w *Horacego tylko wiecznie wlepiać oczy*, *bo on jest całym światem*, *granicą natury*, *imaginacyi*. i że zbrodnią jest śmieć przechodzić za okładki dzieł jego.“ (Siemieński. Portrety literackie, tom II str. 46). Odliczywszy na stronę satyrycznego humoru Morawskiego zbyt dobitne wyrażenia, odnajdziemy tu wizerunek ówczesnego zapatrywania się na autora, który był podstawą wykształcenia literackiego i pierwowzorem lirycznego natchnienia. Francuzka liryka, jedyna znana wtedy u nas, która się aż do Wiktora Hugo nie wzniosła wyżéj nad ton Horacyuszowskich pieśni, była niejako potwierdzeniem powyższego mniemania, któremu nikt publicznie zaprzeczyć jeszcze nie śmiał. Niepodobnaby prawie zaślepieniu takiemu uwierzyć, gdybyśmy i w nowszych czasach nie mieli analogicznego przykładu. W istocie jeżeli zważymy, że przecenianie poetycznéj wartości utworów Horacego, bardzo mało się różni od niezmordowanego uwielbienia Szekspiromanów, tak dzisiaj rozpowszechnionego; to zaiste przyznać musimy, że są chwile takie, w których wyczerpanie się i brak pomysłów własnych, uolbrzymia w oczach naszych to, co wśród in-

nych warunków nie tak uniżenie — słodkiéj poddalibyśmy krytyce. Potrzeba przecież mieć swoje bożyszcze, jak mówią Francuzi.

Tymczasem zbliżała się chwila, w któréj nowe pojęcia i nowe utwory miały na długo w niepamięć podać, jak całą niemal starożytną literaturę, tak też i Horacego w szczególności. Zapewne dawno już zbierały się w cichości ducha gromy mające zdruzgotać dawne bożyszcza a na ich miejsce nowe wprowadzić; ale tym, którzy u nas po raz pierwszy powagę literatury łacińskiéj osłabił, był reformator poezyi, twórca nowéj epoki — Adam Mickiewicz. W przedmowie do wydania pierwszych swoich utworów w r. 1822, czytamy zdania następne, które były herezyą w oczach klasyków naszych, a ewangelią dla stronników nowego kierunku: „Zjawiły się wkrótce liczne talenta poetyckie w Rzymie, lecz które tłumaczyły tylko lub naśladowały wzory greckie, zachowując całkiem duch i nawet formy poezyi greckiéj! Same wyobrażenia mitologiczne całkiem były przenoszone albo mięszane tylko z mitami krajowemi. Czytano więc poezyę po łacinie, ale poezyę grecką w słowa łacińskie przybraną. Tym sposobem w narodzie rzymskim *nie było właściwie poezyi, bo nie było poezyi narodowéj*, któraby wpływając na charakter i kulturę całego narodu, dopełniać mogła była właściwego jéj przeznaczenia."

Myśl tę pochwycili wszyscy zwolennicy poezyi nowszéj, która wkrótce cały sobie naród zjednała, i w duchu tym na literaturę łacińską z pogardą patrzeli. Kiedy w roku 1830 znakomity nasz krytyk *Maurycy Mochnacki* przedsięwziął obejrzeć bogactwa téj nowéj kopalni estetycznych wrażeń, znalazł tam więcéj prawdziwego złota niż w uwielbionych niegdyś płodach Augustowego wieku. W dziele swojém: *O literaturze polskiéj w wieku XIX*, zaznaczywszy brak elementu narodowego w poezyi łacińskiéj, zgodnie z myślą Mickiewicza, czemu zresztą dzisiaj nikt już nie przeczy, chyba w kółku zapalonych i jednostronnych filologów klasycznych, takie słowa o Wenuzyjskim wierszopisie zanotował: „Horacemu po smacznych obiadach u Augusta stawały niekiedy w pamięci czasy rzetelnéj wielkości i chwały rzymskiéj. Wtedy najpiękniejszym unosi się zapałom! W tych tylko przemijających natchnieniach, w tych wylotnych błyskach swego ducha, jest prawdziwie rzymskim poetą. Nie wtedy, kiedy oschłe prawidła sztuki gładkim wykłada rymem, ani kiedy przywary, które się zkądinąd wśliznęły do Rzymu, dowcipną satyrą nicuje; ani wreszcie *kiedy układnością dworaka i talentem przedpokojowego wierszopisa kadzi wonnemi podchlebstwy uzurpatorowi i swoim popleczníkom.*" (str. 217 wyd. 2-ie).

Jeżeli takie było zdanie znakomitości umysłowych, to nie można się dziwić, że cała drobna moneta literacka przylgnęła do zdań tych z zapałem, który ją uwalniał od zmudnych studyów a stawiał natomiast na równi z gieniuszami, dając im patent na wieszczów, na mocy świadectw natchnienia. To też przekład nowy *Sztuki Rymotwórczéj* przez księdza *Antoniego Moszyńskiego* w r. 1835 jest zupełnie odosobnionem zjawiskiem, będącém ostatnim promykiem zachodzącego już słońca. Odtąd aż do roku 1853, w którym ukazały się *Satyry*

w bardzo staranném tłumaczeniu *Marcellego Mottego*, nie mamy śladu wskazującego jakiekolwiek zajęcie się Horacym. Urywkowe zdania *Beatus qui procul negotiis*, *Justum ac tenacem*, *Impavidum ferient ruinae*, przytaczane przez powieściopisarzy — oto jest spójnia łącząca czasy dawniejsze z nowszemi. Ale wychowanie gimnazyalne, zwłaszcza w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, szło swoim torem, uwieczniało pamięć rzymskich czasów w kilku odach lub satyrach, które uczniowie w wyższych tłumaczyli klasach. Zarówno wymagania szkolne jak głębokie przekonanie o potrzebie studyów klasycznych w ogólném wychowaniu, prowadziło umysły do obznajmiania publiczności z zapomnianemi już tworami. Napróżno Michał Wiszniewski z uniwersyteckiéj katedry w Krakowie wołał, że starożytność już przebrzmiała, że zamiast autorów łacińskich, którzy w Rzymie pisali, lepiéj studyować krajowych, tymże językiem się wyrażających. Pan Antoni Małecki objąwszy na tymże uniwersytecie katedrę filologii klasycznéj wymownie bronił przedmiotu swojego wykładu i zwrócił uwagę słuchaczów na niestosowność wykrzykników swego kolegi, rozbierając i zbijając po szczególe wszystkie jego zarzuty. Potrzeba zaznajomienia się ze starożytną literaturą, choćby nawet w interesie naszéj własnéj, która niegdyś z tamtéj żywotne swe soki czerpała, stawała się coraz bardziéj widoczną. Dawne przekłady jużto z powodu przestarzałych wyrażeń i rymów, źle odpowiadających dzisiejszemu smakowi, który zaznał lepszą wersyfikacyę i dykcyę; jużto z powodu nieumiejętnéj formy tłumaczenia, niedającéj najmniejszego baczenia na estetyczną zewnętrzną budowę starożytnéj poezyi, tak różnéj od wszystkich nowszych: przekłady te już nie wystarczały. Professor gimnazyum poznańskiego *Marcelli Motty* wytłumaczył więc nanowo *Satyry* i *Listy* Horacego według rytmicznéj miary oryginału t. j. bezrymowemi heksametrami. Jestto najlepszy ze wszystkich dotychczasowych przekładów tych tworów, doskonale utrzymuje rytmiczną miarę, wiersz płynie gładko, dźwięcznie, bez naciągań, bez wstawek niepotrzebnych; tak, że w żaden sposób prozą na wiersze rozbitą nazwać go nie można. Doskonale on reprodukuje wrażenie wierszy łacińskich, nie modernizując ich, nic nie dodając i nic nie odejmując; —a to jest najwyższą pochwałą, jaką tłumaczowi starożytnych pisarzy oddać można. Odwzorować wiernie myśli starożytnego autora, nie jestto dokonać wszystkiego; potrzeba jeszcze zbliżyć się do niego formą, która w owoczesnych poezyach nadzwyczaj ważną grała rolę, podnosząc częstokroć treść błahą i małoznaczącą. Zadanie to łatwém było stosunkowo w satyrach i listach, mających wszędzie jednę miarę, jeżeli je porównamy z tém, czego podjąćby się musiał tłumacz pieśni lirycznych. A właśnie z dzieł Horacego pozostawały jeszcze dla nowego, estetyczniejszego niż dawniéj przekładu jego ody i epody. Wszystkich tych małych utworów lirycznych, wliczywszy i tak zwany *hymn stuletni* (*carmen saeculare*) jest razem liczba 121, a miar rytmicznych, w nich używanych, 19. Jeżeli porównamy bogactwo form rytmicznych w języku łacińskim z naszém ubóstwem (w łacinie jest 12 form niezłożonych, a u nas tylko 4 t. j. daktyl, trochej, amfibrach i jamb,

ten ostatni ukształcony na dobre dopiero w niedawnych czasach staraniem *Krystyana Ostrowskiego* i *Ludwika Jenikego*); łatwo zrozumiemy, że niepodobna nam prawie mieć dokładnego tłumaczenia liryków Horacyusza. Pomiędzy 19 rodzajami strof przez niego używanych, jest wprawdzie kilka takich (jak np. *strofy archilochowe*, *alkmańskie* i inne), które łatwo w języku naszym naśladować; ale tych właśnie bardzo rzadko Horacy używał, uprawiając głównie *strofę alcejską* (37 razy) i *safficką* (28 razy), które wchodzą do większéj połowy jego utworów. Otóż teto strofy są niepodobne do odtworzenia całkowitego naszym wierszowym układem.

To też p. *Aleksander Krajewski*, pierwszy z nowszych tłumaczy naszych pieśni Horacyusza, drukowanych w 1858 r. w *Bibliotece Warszawskiéj* (zeszyt kwietniowy), nie usiłował nawet próbować dokonania tego niesłychanie trudnego zadania, twierdząc, że nie widzi żadnéj prawie analogii między polskiemi i lacińskiemi wierszami i że dlatego stara się tylko „o reprodukowanie za pomocą polskiego języka i wersyfikacyi tego samego wrażenia, jakie na nim oryginał uczynił.“ W takim zawarłszy starania swoje zakresie, wywiązał się z nich bardzo dobrze, chociaż nie możemy tego ukryć przed sobą, że praca ta dokonaną została nie przez poetę z natchnienia, ale z mozolnego trudu. Wskazują na to pracowicie dobierane rymy i niemiłe dla ucha przemiany rytmu. Oprócz tych wad, które od osobistości tłumacza niezawisłe były, nie można nic więcéj zarzucić temu sumiennemu przekładowi, który wybrał najdoborowsze utwory rzymskiego poety, właśnie z rodzaju tych, o których Mochnacki powiedział, że w nich najpiękniejszym unosi się zapałem. Główny nacisk zrobił tu p. Krajewski na tak zwane *ody patryotyczne*, które uważa za najbardziéj charakterystyczne w całym lirycznym zbiorze Horacyusza. „Świadek i współuczestnik wielkiéj wojny domowéj, powiada, która zniweczyła ostatecznie polityczną władzę senatu, a w ciągu swoim okropne tak w Italii jak i w państwie całém sprawiła zniszczenie; świadek przywróconego następnie pod Augustem pokoju i pomyślności, jaką się znękane tylu klęskami imperyum cieszyło; doznawał on boleści i obawy, gniewu i oburzenia na widok grożącego rzymskiéj potędze upadku, na widok politycznego i obyczajowego rozprzężenia, przewrotom społecznym zwykle towarzyszącego; doznawał następnie głębokiego zadowolnienia i radości, gdy niebezpieczeństwa minęły i z bezprzykładną patryotyczną dumą zachwycał się jakby odrodzoną Rzymu ukochanego wielkością, wywołując najszczytniejsze starego heroizmu wzory.“ I daléj: „Śmiem z tego powodu utrzymywać, że jeżeli w historyi powszechnéj literatury napotykamy niejednego poetę z głębszém i rzowniejszém uczuciem, z imaginacyą barwniejszą i gorętszą i z twórczością mianowicie większych wymiarów: to żaden zapewne nie przewyższa Horacyusza (mówię o jego odach patryotycznych) pod względem podniosłości natchnienia i górności polotu lirycznego.“

Z całém téż przeświadczeniem stara się p. Krajewski obronić Horacego od zarzutu pochlebstwa, dworactwa i epikureizmu, który

temu poecie powszechnie robiono i robią Uznanie nowego porządku rzeczy pod egidą krwią zbroczonego Augusta, chwalenie go i równanie z bogami, uznaje za całkiem naturalne w ówczesném rzeczy położeniu, za jedyny punkt wyjścia, jaki rozumnemu człowiekowi, kochającemu swoję ojczyznę, pozostawał. Wszystkie zaś ślady epikureizmu, lekkiego rzeczy traktowania, zwala na powszechny u poetów błąd niepoznania się na tém, co ich właściwą wartość stanowi.

Oddając całkowite uznanie osobistemu sądowi p. Krajewskiego, który widocznie wyrobił sobie z samoistnego zastanawiania się nad biegiem historyi literatury i dzieł Horacego; musimy zauważyć, że pogląd ten jest jednostronny, nie oparty na rzeczywistych i widocznych faktach. Ze 121 lirycznych utworów zaledwie 10 do 12 znaleść można takich, w których zapał patryotyczny, wielbienie dawnych cnót rzymskich lub też powstawanie na zniewieściałość młodzieży — jest przedmiotem poetycznego natchnienia. Jestto więc zaledwie dziesiąta część tego, co poeta utworzył. Czyż tak drobny ułamek może nadawać charakter całości? Odpowiedź nie może być inna jak przecząca, jeżeli tylko patrzeć będziem na charakterystykę poety ze strony pozytywnéj, faktycznéj, nie zaś urojonéj, czysto-podmiotowéj. Można uznać, że jakiś poeta miał niekiedy szczęśliwsze chwile, w których więcéj go zajmowało dobro kraju, aniżeli płoche miłostki jego z coraz innemi Chloami, Leukonojami, Lalagami i t. d, i t. d.; ale nie można go przeto nazywać patryotycznym, narodowym poetą. Z drugiéj zaś strony mówić, że Horacy ulegał okolicznościom chwili; że nie mógł inaczéj patrzeć na uzurpacyę Augusta jak cała czerń spółczesna:—w takim tylko razie jest rzeczywistą wymówką i usprawiedliwieniem, jeżeli poeta ma być zwykłym śmiertelnikiem, umiejącym tylko składać wdzięczne rytmy, nie zaś wyższego natchnienia człowiekiem, co uczuciami narodu kieruje. Ale takie właśnie zapatrywanie się na Horacego, odejmuje mu nazawsze miano patryotycznego poety, bo mu odbiera najważniejszy jego przywiléj — być wyższym nad pospolite ludzi gawędy i rozumowania chwili najbliższéj.

Jeżeli więc ten pogląd p. Krajewskiego, na znaczenie Horacyusza nie może się utrzymać przy ściślejszém zastanowieniu się nad faktami życia i pism, to przyznać jednakże potrzeba na jego wielką pochwałę, że on pierwszy samodzielne u nas zdanie rozwinął, nie idąc w niczém ani za szkolną tradycyą, ani za oklepankami w modzie będącemi u ludzi pewnéj sfery. Nadto wyróżnienie i wytłumaczenie najlepszych podług sądu swojego utworów (i sąd ten w ogóle był bardzo zdrowy), dowodzi odwagi własnego zdania i wysokiego estetycznego wykształcenia.

Od tego czasu ukazały się jeszcze w druku trzy tłumaczenia, nie licząc drobnych urywków drukowanych w pismach czasowych, przekładu młodego poety p. *Adama Maszewskiego*. Są to: 1) *Horacyusza ody, satyry, listy; przekłady i naśladowania J. U. Niemcewicza*. Lipsk 1867, 2) *Ody Horacyusza (wybrane) przetłumaczył Lucyan Siemieński*. Kraków, 1869; 3) *Klin. Miłosne pieśni Horacego*. Warszawa 1871.

Przekłady i naśladowania J. U. Niemcewicza, po raz pierwszy z rękopismu ogłoszone tak samo jak i pisarz, należą do dawniejszéj epoki naszéj literatury, kiedy Horacy był jeszcze wzorem do naśladowania. To téż w zbiorku tym nie ma właściwie istotnego przekładu utworów rzymskiego poety, ale raczéj rozmaite kombinacye poetyczne na tle ich oparte. Nawet tam, gdzie niczém nie nadtaczał fantazyi autora, tłumacz, czyli raczéj naśladowca, nie mógł uniknąć *węgrzyna*, *dwunastu wojewodów*, od których pyszałek ród swój wyprowadza, *kałmuków* i t. p. anachronizmów, dziwnie brzmiących w ustach poety Augustowego wieku. Jest tu siedm mniéj lub więcéj wiernie przełożonych pieśni i dwie naśladowane. Wybór niczém nie jest usprawiedliwiony, chyba przypadkowém zamiłowaniem tłumacza. Łatwość wersyfikacyi, która jest przymiotem właściwym i oryginalnym również utworom autora *Śpiewów Historycznych*, czyni przekłady te możliwemi do przeczytania, tém bardziéj, że jak najwięcéj unikać się starał wszystkich porównań i cytacyi mitologicznych lub historycznych, któreby nie łatwo czytelnikowi dzisiejszemu zrozumieć przyszło. Naturalnie nie może to być zaletą tłumaczenia starożytnego poety, bo mu odbiera wielką część rysów charakterystycznych. Oprócz ód są jeszcze dwa listy, takim samym sposobem przełożone. Trzeci zaś list i dwie satyry są już najzupełniejszém naśladowaniem, zastosowaném do naszych obyczajów, aczkolwiek w bardzo ogólnikowych tylko zarysach. Tłumaczone urywki z Wirgilego i Lukrecyusza (bardzo krótkie) kończą ten zbiorek, z którego nie widząc potrzeby robić żadnych innych wyciągów, pozwalam sobie przytoczyć zdanie o Horacym tak poważnego pisarza. Pocieszając przyjaciela w troskach, torem Horacego, za pomocą falernu i łatwych dziewcząt, czyni nagle zwrot następny:

.... łatwo było temu jegomości,
Dawać nam takie prawidła mądrości,
Nie znając co wygnanie, co przygody twarde,
Wynosić złotą mierność i bogactw pogardę;
Kiedy mu nigdy nie brakło na niczém:
Łatwo on szczęściem pogardzał zwodniczém...

Dobrze to charakteryzuje Wenuzyjskiego poetę, który wystawiał przestawanie na małém, wino i płoche zalecanki, siedząc w pięknéj willi Tyburu lub z wieńcem kwiecistym na głowie za stołem potężnego władcy. Nie znał on troski i nędzy życia ludzkiego, nie znał upokorzenia i smutku,—bo nie czuł głęboko. Wszystkie nieszczęścia ojczyzny prześlizgnęły się po gładkim jego umyśle jak woda po szkle, bez śladu, bez skazy. Kiedy jemu było dobrze pod względem materyalnym, sądził że i reszcie na niczem nie zbywało, że bóg-August otarł łzę każdą... Śpiewał więc swobodnie Bachusa i Wenerę, a kiedy mu czasem przyszła myśl o pożyteczniejszém użyciu sił umysłowych, odzywał się odami przeciwko zbytkom i zniewieściałości, którym najenergiczniéj zaprzecza następna zaraz oda, nalegająca z całą siłą przekonania, żeby korzystać z dnia dzisiejszego, bo jutro niepewne, żeby spełniać puhary, bo

to jest panaceum na wszystkie cierpienia, mówiąca, że uśmiech Lidyi rozproszy chmurne myśli, które trzeźwym Bóg zsyła za karę. Najdowcipniejsza nawet obrona nie zdoła podnieść w oczach tego Epikurejczyka, co na miękkiéj murawie igrając z Pirrą lub Lalagą zapomniał, że naród rzymski wolność postradał. Ztąd usiłowania p. Siemieńskiego w pięknéj jego przedmowie do nie mniéj pięknego przekładu wyrażone, tak jak i silne przekonanie p. Krajewskiego, w oczach naszych pozostaną bezskuteczne. Horacy pozostanie już na zawsze, tém, czém sam siebie mianował:

Jam śpiewak biesiad i wojny dziewczęcéj
Na tępy pazur, co się krwią nie broczy,—
I czy się kocham, czy nie kocham więcéj,
Zawszem do pustot ochoczy. (I, 6).

Uczucie patryotyczne było zapewne w téj duszy, ale zbyt ono powierzchowne, aby mogło objąć całą istotę poety i na wieszcza narodowego wykierować; dostateczne, aby pogromcę rzymskiéj wolności w oczach ludu do wysokości bóstwa wynieść.

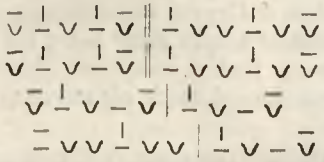
P. Siemieński przełożył wszystkich pieśni 63, t. j. jak wiemy większą połowę. Całkowitego zbioru nie chciał tłumaczyć jużto dlatego, że wiele ód nie miało dla niego powabu, już téż że wiele znajdowało się sobie podobnych, jeżeli nie z wyrażenia, to z myśli, dość więc było wybrać z nich tę, która miała większy zasób świeżości i ciepła. Nie potrzebuję dodawać, że tak światły krytyk, sam zresztą poeta, zrobił wybór doskonały z tém tylko zastrzeżeniem, że ód patryotycznych nie tłumaczył wszystkich jako dobrze już przełożonych przez p. Krajewskiego. W r. 1867 Bibl. War. wiele z tych ód tłumaczenia p. Siemieńskiego już pomieściła, ztąd nie mam potrzeby długo się rozszerzać nad charakterem tego przekładu, dokonanego z talentem, łatwością i wdziękiem słowa i z możliwą przy wierszu rymowym wiernością. Formy nie kusił się naśladować, uważając to zapewne za rzecz niemożliwą. Jestto najlepszy, najbardziéj artystyczny przekład, jaki dotąd literatura nasza posiada. Połączywszy tłumaczenia pp. *Mottego, Krajewskiego* i *Siemieńskiego*, możnaby ułożyć doskonałą całość utworów poety, który jeżeli wielkim wieszczem nie jest, to jest przynajmniéj talentem wielkiego artystycznego i historycznego znaczenia, malując nam i zasadami i treścią swych dzieł, ówczesne rzymskie stosunki, a malując z wdziękiem i zdrowym rozsądkiem.

Drobna próbka tłumaczenia p. Klina (6 pieśni) jest objawem usiłowania mającego na celu miarę wiersza jak najwięcéj do oryginału się zbliżyć. Praca ta ma jednę doskonałą, jakkolwiek ujemną tylko stronę; okazała bowiem, że usiłowanie powyższe niepodobném jest do wykonania. Chcąc się o tém przekonać, zastanówmy się trochę nad tą odą, któréj przekład miarowy najlepiéj, zdaniem tłumacza, oddaje formę pierwotworu. Jestto oda do Wenery; brzmi jak następuje:

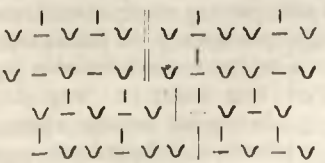
Dziewczętom zdatny ja żyłem niedawno
I nie bez chwały częstokroć walczyłem;

Dziś zbroję i rozbitą w walce
Lirę, na ścianie zawieszę, *która*
Świątyni morskiéj Wenery na lewo
Pilnuje. Tutaj przynieście *płonące*
Pochodnie, drągi, tutaj łuki
Tak niebezpieczne zawartym wrotom.
O ty! w szczęśliwym *co* Cyprze panujesz,
I w Memfis, śniegu *gdzie* braknie Północy,
Królowo, *kaźnią* dotknij *srogą*
Choćby raz jeden zbyt dumną Chloę.

Pomijając to, że dla ułożenia tych wierszy musiano robić przestawki z językiem naszym niezgodne, że zakończono wiersz takim wyrazem jak *która;* pomijając, że nie rozumiemy co to za ściana, która *pilnuje* i to jeszcze *na lewo* (?!) świątyni Wenery, kiedy w oryginale jest mowa o *paries, laevum marinae qui Veneris latus custodit* (t. j. o ścianie, osłaniającéj lewy bok posągu bogini w domu poety, co jest zręcznem zestawieniem zbroi miłosnéj z sercem téj, co ognie te zapaliła); pomijając że trudno wiedzieć jak *płonące* pochodnie mogły wisieć na ścianie, co jest bardzo nieszczęśliwém tłumaczeniem łacińskiego *lucida* (jak tutaj: mogące być zapalone) funalia; pomijając, mówię to wszystko, co jest skutkiem niezrozumienia lub złego oddania: miara w żaden sposób nie może odpowiadać formie łacińskiego wiersza, którą tu jest *Zwrotka Alcejska.* Oto jéj szemat:



Przyjmując nasze akcentowane zgłoski za długie, a nie akcentowane za krótkie, będziemy mieli taką postać zwrotki, za pomocą któréj p. Klin powyższą naśladować się starał.



Ostatnie tylko dwa wiersze zwrotki odpowiadają dość dokładnie wierszom łacińskiego, zwłaszcza wedle dziś przyjętego sposobu czytania, ale dwa pierwsze mają zupełnie inną drugą połowę t. j. zakończenie, które najzupełniéj ton całości zmienia. Zamiast *daktyla* (– ∪ ∪) użyto *amfibrahu* (∪ – ∪), które całkiem są różne od siebie, ponieważ pierwszy nigdy nie zamienia drugiego ani nawzajem.

Jeżeli to najwierniejsze odbicie nie jest jeszcze wiernem, to cóż mówić o innych, w których miary są całkiem dowolnie dobierane, przenoszone z końca na początek, zamieniane w taki sposób, że amfimacer odpowiada daktylowi bez względu na to, że pierwszy jest miarą pięcioczasową (– ∨ – t. j. ∨ ∨ ∨ ∨ ∨) a drugi czteroczasową (– ∨ ∨ t. j. ∨ ∨ ∨ ∨) i t. p. Ocenić jednakże należy mozół, jaki tłumacz zadać sobie musiał, ażeby i tak jakokolwiek przyjść do ładu z niepokonalnemi trudnościami, które powiększył jeszcze dobieraniem rymu w pierwszych pięciu odach swojego przekładu. A przecież trudno nie przyznać, że tyle trudu nie przyniosło oczekiwanego rezultatu; estetyczność wierszy nie podniosła się nawet o piędź jedną; że daleko miléj przeczyta się np. nie tak wierny, ale za to piękniejszy przekład (L. Siemieńskiego), chociaż nie najlepszy z całego zbioru:

Niegdysiem gracko zwodził panienki,
Z pod miłosnego ja rycerz znaku;
Lecz dziś grać nie chcą struny lirenki:
Więc ją z orężem wieszam na haku.

Tu, tu zawieście, tu, po lewicy
Morskiéj bogini: jasne pochodnie,
Kusze i drągi—drzwi do świetlicy
Nieraz łamałem niemi *wygodnie*.

Bóstwo! co w Cyprze masz chramy swoje,
W Memfis, sytoński *gdzie* śnieg nie pruszy;
Błagam cię, boskim biczykiem Chloję
Zatnij—a dumna *może się wzruszy*.

Miejsca podkreślone uważam za uchybienia przeciwko estetyczności, a przecież pomimo nich lepiéj się wydaje piosenka Horacego w tym zmodernizowanym, łatwym przekładzie, niż w pracowitém oddaniu p. Klina.

Na tém kończę. Przedstawiłem króciutki obraz rozwoju tłumaczeń Horacego u nas, jak nie mniéj stopniowo kształcenie się pojęcia o nim literackiego, począwszy od bezświadomego uwielbienia aż do wyrozumowanego i krytycznego ocenienia jego artystycznéj i społecznéj wartości. Pod tym ostatnim względem nie mamy jeszcze prac wyczerpujących; ale są już pewne starania, pewne przebłyski samodzielniejszego myślenia o starożytnym poecie rzymskim, czego o tylu innych powiedzieć nie można.

Pozostaje mi tylko dać wzór stylu przekładów od najdawniejszych czasów aż do dziś dnia, a czytelnik sam sobie z tego praktycznego przeglądu wnioski wyciągnie. Wybieram króciutką piosenkę 23 księgi I Vitas hinnuleo me similis, Chloe, bo się znajduje we wszystkich główniejszych przekładach.

Jan Kochanowski (wiek XVI), zmienił *Chloe* na *Neto*.

Stronisz przedemną Neto *nietykana*,
By więc sarneczka, kiedy *obłąkana*
Macierze szuka po górach ustronnych,
Nie bez bojaźni i przestrachów płonnych.

Bo, by się namniéj na drzewie zjeżyły
Powiewne listki, by namniéj ruszyły
Jaszczurki krzakiem, ta się *dusza* zlęknie,
Aż od bojaźni na ziemi przyklęknie.

Lecz ja nie jako *niedźwiedź* albo *mściwa*
Myślę cię drapać lwica *popędliwa;*
Przestań też kiedy za macierzą chodzić,
Już się ty możesz mężowi przygodzić.

Adam Naruszewicz (wiek XVIII).

Stronisz odemnie Chloe urodziwa
Jako sarneczka, gdy matkę pierzchliwa
Ściga po kniejach, a na wietrzyk lada
Ucha nakłada.

Bo czyto lekką *dmą* zaigra chmurka
Z liściem powiewnym, czy we krzu jaszczurka
Ruszy gałązką; *sama nie wie w lesie,*
Gdzie ją strach niesie.

Wszakże ja nie lew, ni tygrys *szalony*,
By na cię ostrzyć miał *okrutne szpony*;
Porzuć już matkę, a dla męża zdolna,
Bądź mu powolna.

Lucyan Siemieński (wiek XIX).

Pierzchasz odemnie Chloe jak sarneczka,
Co bylo zadrżał *listek*, *gałązeczka*,
Zaraz się spłoszy i do kniei bieży
Szukać macierzy.

Jak jéj drżą nogi, jak serce kołata,
Gdy krzaczkiem ruszy jaszczurka *pstrokata*,
Lub kiedy wietrzyk narobi hałasu,
Wpadłszy do lasu!

Jam nie gietulski lew, nie tygrys *przecie*,
Żebym cię pożarł; *wszakżeś* ty nie dziecię,
Ślad w ślad za matką, *jużbyś nie biegała*
Kiedyś dojrzała.

P. Klin (przekład miarowo-rymowy).

Unikasz mnie Chloe, jelonek *by* żwawy,
W bezdrożach lękliwej *co* szuka macierzy
Nie bez próżnéj obawy,
Wiatr *gdy* po lesie przebieży.

Gdy ciernia zaszumi listkami krzewina,
Gałązki jeżyny wąż trąci powiewne,
Drżeć już sercem zaczyna,
Kroki już stawia niepewne.

Jak tygrys okrutny nie ścigam cię *przecie*,
Albo lew *drapieżny* z pod Libii nieba;
Przestań gonić *jak dziecię*
Matkę—kochanka ci trzeba.

Najwierniejszym przekładem jest tłumaczenie p. Klina; a nawet pod względem harmonii wierszy, z powodu utrzymania we wszystkich trzech strofach raz przyjętego rytmu, jest lepszy od innych; nie można jednakże powiedzieć tego o wrażeniu z całości, która powstaje z przekładań i nawet dopełnień własnych. Gdyby takich zdolności poeta jak p. Siemieński chciał zachowywać miarę rytmiczną nie wyszukaną koniecznie; ale właściwą językowi polskiemu: — tobyśmy mieli najlepszy przekład możliwy. Bo z tego przeglądu tłumaczeń to wynieść powinniśmy przekonanie, że pieśni liryczne starożytnych poetów niepodobna przekładać ani prozą ani wierszem nierymowym, ani męczyć się z podłożeniem łacińskiej miary pod polskie wyrazy; lecz należy przekładać zwykłemi u nas zwrotkami lirycznemi z zachowaniem atoli rytmiczności. W Bibliotece Warszawskiéj z r. 1865 była pod tym względem bardzo piękna rozprawa p. Ludwika Jenikego, tłumacza wielu dramatów wierszem jambicznym; po bliższe więc szczegóły, jak należy rozumieć rytmiczność w języku naszym, do téj rozprawy czytelnika odsyłam. Tym jedynie sposobem będziemy mieli o ile można najdokładniejszy wizerunek starożytnéj poezyi: dosyć ścisły, ażeby w nim dowolność rozszerzyć się nie mogła; dosyć wolny, ażeby nie być niewolniczém podleganiom odmiennym i nieodpowiednim mowie naszéj formułkom. Do tego potrzeba koniecznie poetycznego talentu; inaczéj przekład będzie wiernym ale suchym, bezbarwnym, i wygodnym dla szkoły, ale niezdatnym dla publiczności. W każdym atoli razie należałoby się zwrócić przedewszystkiem do wzorów, na których kształcili się, uczyli i które naśladowali Rzymianie, t. j. do Greków, mających tę bardzo rzadko napotykającą się zaletę, że byli zupełnie oryginalni zarówno w pomysłach jak i w przenajróżniejszych formach—zewnętrznéj szacie pomysłów. Antologia grecka dostarczyćby mogła bardzo uroczych kawałków lirycznych, świeżych i pięknych pięknością nigdy nie więdniejącą: bo naturalną, nie sztuczną, wypływającą z serca i wyobraźni, nie z zi-

mnego i niepłodnego w rzeczach fantazyi rozsądku. Nie będą one naturalnie wzorem dla nas — podrośliśmy duchowo od owego czasu natychmiastowych wrażeń—ale będą przykładem samorodnéj poezyi, wskazówką samodzielnego rozwoju ducha, będą miarą usiłowań oryginalnych, wykazujących do jakiego stopnia twórczym może być naród żyjący życiem własném; będą historyczną pamiątką tyle potrzebną, jeżeli postęp estetycznych wyobrażeń i wymagań w ich całości rozważać zechcemy. *P. Chmielowski.*

Aktorka, powieść Edwarda Lubowskiego. 1871. Warszawa. Nakładem Autora.

Niełatwe nam wypadło zadanie. Mamy tu rzec o powieści autora, którego i zdatność pióra i sąd estetyczny cenimy, z którym jednak różni jesteśmy o trochę w zdaniach psychologicznych, a powieść o któréj rzec mamy jest właśnie psychologiczną. Treść powieści „Aktorka“ z pozoru wprawdzie niema żadnego związku z idealnością, od pierwszéj do ostatniéj karty jest tu owszem czytelnik śród atmosfery erotyczności która nie oddycha bynajmniéj tym pierwiastkiem, a jednak jak już sam autor objaśnia, celem téj powieści jest morał; celem tym mianowicie jest (to jest zdaje się być) skreślenie istoty, która czarując ciałem, sama jednak była więcéj czcicielką ducha jak ciała, skreślenie z barwą idealności bohaterki zawodu, który praktycznie za jak najdalszy od téj barwy jest uważany.

Nim powiemy o owéj różnicy śród naszych zdań, przytoczymy tu najprzód w wyrazach ile być może najogólniejszych ramy powieści.

Młoda Anna sierota czy półsierota, oddaną była przez wyrodną matkę dla chleba do trupy wędrownéj artystów. Piękna ciałem obudziła wnet w jednych uwielbienie, w drugich zazdrość, lecz była ona piękną (jak nieraz o tém natrąca autor) nietylko ciałem ale i duszą, znieść nie mogła poziomego towarzystwa swojego, i z pierwszym który jéj wdziękami olśniony zaproponował ucieczkę, uciekła chętnie.

W miasteczku X. pp. W. (uwodzicielem Anny był niejaki goniący ostatkami p. *Wiktor*) prowadzili dom otwarty i świetny. Świat miasteczka był ze czcią dla domu, a mianowicie dla pięknéj gospodyni domu Anny, która tu była w roli żony. Anna miała tu już nietylko chleb ale i cześć, wyłącznie cześć,— „piękna duszą“ znieść nie mogła jednak obłudy— jéj rolą być tu musiała miłość, a miłości nie czuła ona wcale dla Wiktora. Uczucie to i uczucie w całéj jego sile obudził w niéj dopiéro jakiś młodzieniec postrzeżony z ławki kościelnéj. Ten młodzieniec byłto artysta Jan. Wrażenie

było wzajemne; Jan w zapędzie ośmielił się przesłać kartkę żonie Wiktora, kartkę z gorącém wyznaniem, nawet z aluzyą porwania; Anna z zachwyceniem przyjęła i odczytała tę kartkę, pochopnie dała odpis, i wkrótce artysta Jan i piękna żona Wiktora znikli z miasteczka X.

Jan i Anna znaleźli się w Wiedniu. Jan oddany miłości zaniedbał swój talent ale miał sławę dawną, Anna słynęła z piękności, dom ich ściągał hrabiów i książąt; Jan był zazdrośny, przy byle podejrzeniu unosił się, mówił do towarzyszki niegrzecznie, obrażał—lecz Anna była piękną nietylko ciałem, — znieść nie mogła obrazy, niegrzecznych słów, cierpiała ale nie ucierpiała, i któregoś poranku znikła, a jeden z gości domu ks. Jerzy, który za nią pogonił, dla ujęcia wyjednał jéj rolę (już nie podrzędną jak niegdyś) ale: *primadonny* w pierwszéj lepszéj trupie wędrównéj. Wypadek ten stał się epoką w życiu Anny, w wystąpieniach jéj okazał się talent, powodzenie jéj było rozgłośne, było zupełne. Do kassy przedsiębiercy sypało się złoto, na głowę Anny wieńce; przedmiotem miłości Anny stała się odtąd sztuka i nic jak sztuka. Raz doniesiono jéj, że głos powszechny poczytuje ją za kryjomą kochankę księcia, „Anna rzuciła się jak pantera“ na taką potwarz. Książe Jerzy męczył ją jednak nie tylko hołdami ale i milionami, szło mu tu głównie o swoją „dobrą sławę,“ o tryumf pośród rywali, i Anna musiała się w końcu zgodzić, że wolno mu będzie po którejś reprezentacyi odprowadzić ją jawnie do jéj mieszkania. Los chciał iż kiedy dochodzili już do mieszkania spotkał ich oko w oko przybyły z Wiednia i szukający wszędzie zniknionéj Anny Jan. Spotkawszy idących pod rękę, zelżył księcia, odtrącił i porwał Annę i do domu ją odprowadził czy odwiózł. Kochanka po niewidzeniu się długiém również była w uniesieniu jak szukający. Kochankowie przebaczyli sobie wzajemnie, oddali się sobie, w zachwyceniu nie obejrzeli się jak im płynęły godziny, jak nadszedł dzień. Chwile te były to jednak już ostatnie chwile ich szczęścia; wieczorem tego dnia przyniesiono już tylko do domu Anny zwłoki Jana wyzwanego i zabitego w pojedynku przez księcia. Anna była w rozpaczy, w rozpaczy antreprener. Na trzeci wszakże dzień kiedy ogłosił afisz sztukę Szyllera *Intryga i miłość*, ze zdumieniem ujrzano na afiszu i imię Anny w roli *Luizy*. Teatr był natłoczony, Anna grała przecudnie: kiedy w ostatnim akcie zazdrosny Fernando podał jéj do wypicia zatruty napój, Anna wypiwszy, ze szczególném uczuciem wymówiła ostatnie słowa, i jak wymagała rola upadła; kiedy jednak na ostatnie wołania Fernanda wypadło jéj jeszcze odpowiedzieć słów kilka, publiczność już nie posłyszała tych słów; na scenie stał się szmer, szelest i zasłona przed czasem spadła: Anna wypiła była istotną przyrządzoną przez siebie skrycie truciznę.

Takie są ramy powieści p. Lubowskiego. Obraz w tych ramach zawarty, zdolnie jest nakreślony; akcya rozwija się jasno i harmonijnie, charaktery są wyraziste, sytuacye wykończone w odcieniach, sceny zwłaszcza z koczującego życia teatralnego są dobi-

tnéj i trafnéj charakterystyki; dyalog (a expozycya powieści wyłącznie prawie jest w dyalogach) wszędzie jest bez wyjątku lekki, naturalny, dowcipny. Przytoczyliśmy treść, dla zupełniejszego objaśnienia produkcyi wypada téż nam przytoczyć i próbkę dyalogu. Dla przykładu owej naturalności, lekkości, weźmy np. losem ten, który się nam otwiera na str. 183. Jestto zaczęcie rozdziału z czasów pobytu Jana i Anny w Wiedniu, a który ma napis: *Maleńka chmurka na horyzoncie miłosnym.* (Przedmiotem dyalogu właściwie jest kłótnia o nic):

„W kilka dni potém siedzieli w Altanie: Jan rysował na białéj kartce jéj portret, Anna bawiła się maleńkim pudelkiem (Phebus), to go wołając, to drażniąc.

— Anulu, siedź spokojnie.

— Kiedy Febus nie pozwala.

— Nie możesz go puścić na chwilkę?

— Ba, to mój pieszczoszek, ja go tak *kocham.*

— Kochasz? zapytał ironicznie.

— Dlaczego nie? to takie ładne, maleńkie stworzenie.

— Przywdziałabyś żałobę gdyby zdechł?

— Oh? nie mów tego, *bardzobym cierpiała!*

— Cierpiała! Anno! po piesku? kochasz pieska i kochasz mnie, cierpiałabyś po jego stracie i zapewne po mojéj; jakaż więc różnica między nami?

— Fe, wstydź się Janie, tyś zazdrosny.

— O pieska?... nie,— ale mi przykro, że dobierasz wyrażeń jednakich na oznaczenie *uczucia* i *upodobania.*

— Muszę ostrożnie słówka cedzić, bo mój pan waży je skrupulatnie.

— Niedawno jeszcze nie zarzucałaś mi tego.

— Boś niedawno był inny, cieszyłeś się wszystkiém co mnie cieszyło.

— A teraz?

— Lubisz krytykować, moralizować.

— Anno!— rzucił kartkę z niechęcią i powstał.

— Znów się gniewasz?

— Nie, tylko się lękam wyrzutu, że moralizuję. Po takim wyrzucie następuje znudzenie i...

— I co?— Febus siedź spokojnie, pan się gniewa,— i co?

— I *chęć niewidzenia się* tak często.

Treść więc powieści obecnéj p. Lubowskiego jest kształtna, jéj szata piękna (samo wydanie, wtrąćmy, od druku do okładki jest estetyczne), i cało to dziełko sztuki powinnoby nazwać się pięknem. A jednak, czyliż niém jest? Dzieło sztuki jak ten człowiek którego jest dzieckiem (więc podobieństwem), mieścić musi i mieści nietylko pierwiastek *ciała*, pierwiastek *myśli*, ale téż *ducha*. Duch ten poznaje się z *celu* (punktu związku z ogółem), a ten cel w powieści „Aktorka“ czyliż ma piękność?

W epilogu którym autor zakończa powieść, a w którym z góry wyrzuca krytykom iż obwiniać go będą o niemoralność, sam też oczywiście za warunek piękna uznaje ów cel, gdy tu ostrzega: iż w dziele sztuki zważać głównie należy na „myśl *przewodnią*.“ na *wysoki owoc*, który się wznosi w pejzażach nad *brudną* smugą.“ Śród tych scen materyalnych, a materyalnych prawie wyłącznie które składają powieść, spotykają też nas od czasu do czasu i uwagi, rozumowania psychiczne; słowa czysto duchowéj treści jak Bóg, nieśmiertelność, cnota, zacność, szlachetność i t. p. są tu nieraz w kole tych rozumowań; ile zaś w powieści t. j. w utworze którego sferą: obraz obyczajowy, potoczny, łączą się one wszystkie i wyrażają w tém wyobrażeniu *moralność*; lecz oto właśnie jest to wyobrażenie, słowo, w pojmowaniu którego rozróżnić się o trochę musimy z autorem powieści.

Któryś z pozytywistów nowszych, nie przypominamy istotnie *Draper* czy *Buckle* przystępując do kreślenia w swém dziele dziejów *postępu* umysłowości ludzkiéj, ostrzega iż w dziele tém nic wcale mówić nie będzie o religii chrześciańskiéj, gdyż mówi: „moralność w religiach wszystkich ludów i wszystkich czasów jest jedna.“ Jeżeli ta uwaga jest prawdą (a zdaniem naszém jest nader blizką prawdy), tedy autor „Aktorki“ nie jest oczywiście powołanym na założyciela religii, moralność jego różni się jawnie od tego co uważa za moralność ogół ludzkości. Owa „myśl przewodnia“ ów „owoc“ na które się powołuje epilog, spoczywać oczywiście muszą w powieści „Aktorka“ w jéj *ideałach* t. j. w jéj bohaterach, a więc w postaciach Jana i Anny, a nadewszystko *Anny*, od któréj i nazwisko ma powieść. Czémże tu jest jednak ta Anna w swojéj istocie? jak pojmuje ją autor? Całym zawodem Anny skreślonym w powieści są tylko właściwie, jak to widzieliśmy: przechodzenie jéj z rąk do rąk, figurowanie w kłamliwych rolach, ucieczki; na chwilę przeniosła była ona wprawdzie nad swoję nieprawą miłość sztukę, lecz było to tylko na chwilę, aby wkrótce z tym większym zapałem wrócić do pierwszéj i następnie niewrócić już nigdy do sztuki. I bohaterka taka według autora, była to istota *„wysoce zacna“* str. 355; *„wysoce szlachetna“* 381, a jeżeli sama niekiedy o tém wątpiła, tedy ją uspokajał (drugi ideał) Jan, tak nauczając: „Byłaś zbłąkaną ale *niewinną*, upadłą według porządku świata, *ale czystą i szlachetną w obec sprawiedliwości Bożéj*“ 360.

Moralność autora jest więc już najprzód różną od moralności powszechnéj; i moralność ta nadto, dodać trzeba, wspiera się na jakichś zasadach, które się pochwycić nawet nie dają, dla braku jedności. Dajemy przykład. W ostatniéj scenie widzenia się Jana z Anną, Jan między innemi powodami wyszukiwania i przybycia do swéj towarzyszki przytaczał, iż pośpieszył tu do niéj aby naprawić przeszłość, i aby się z nią połączyć „ślubem dozgonnym“ i „związkiem świętym“ 380; więc według samego autora związki poprzednie w Wiedniu Jana i Anny nie były święte; co nie jest świętém

jakże być mogło „szlachetném i czystém w obec sprawiedliwości Bożéj.“

Na obronę i dla postawienia w idealném świetle swéj bohaterki, przytaczał jak widzieliśmy autor, iż całe jéj prowadzenie się kiedy występowała jako *primadonna* było „bez skazy,“ iż kiedy się dowiedziała, że głos powszechny uważa ją za kochankę księcia „rzuciła się jak pantera.“ Dlaczegoż jednak była ona i szlachetną i zacną będąc (i przedtém i potém) kochanką Jana? Według autora, dlatego że książe Jerzy było to „zero chodzące,“ Jan zaś był artystą i znakomitym. Jestto zapewne morał, lecz zdaniem naszém jest to morał który nie jest wyższy od tego, jaki wyrażało owe przysłowie rzymskie że *quod licet Jovi non licet bovi.*

Usprawiedliwiając główny kolor scen swéj powieści autor w owym swym epilogu czyni nadto uwagę, iż gdyby niemoralność w obrazach miała być wadą, tedy za winowajców w sztuce poczytani byćby powinni i *Michał Anioł* za swój sąd ostateczny i *Szekspir* za swe dramata. Jestto prawda; sceny ludzkie są różnostronne, i rzeczywistość kreślona, jeśli rzeczywistością ma być, może dopuszczać w obrazach największą różność. Lecz zarzutem który się zrobić może i zrobić musi kolorowi „Aktorki“ jest nie to, że się w niéj napotyka *rodzaj* scen z barwą ujemną, lecz że się w niéj spotykają (od *orgii* artystycznéj na pierwszéj karcie, do rozdziału *ostatnia noc*) *same* prawie sceny tego rodzaju. Cień w obrazie nie szkodzi zapewne obrazowi, i owszem przyczyniać się może, jeżeli nie jest w przesadzie, do jego piękna, nie idzie jednak z tego, iżby obraz któryby był złożony wyłącznie z cieniów mógł się uważać za piękny.

Najogólniejsza więc charakterystyka powieści „Aktorka“ taka: styl piękny ale cele chybione.—Uwaga wszakże:

Otrzymaliśmy w tych ostatnich czasach kilka czy kilkanaście powieści oryginalnych.—Nie jedna z nich więcéj ma rozmaitości widoków, różności charakterów, poezyi lub spekulacyi niż powieść obecna, ale większa ich część ma zarazem barwę dopiero ćwiczenia; powieść obecna przeciwnie niema już téj barwy. Sceny i charaktery ma ona nie liczne wprawdzie i jednorodne, lecz te które ma,opowiedziane są piórem wprawném i myślą wprawną. Ramy, szczegóły scen, dyalog, cała słowem strona zewnętrzna utworu (powtórzmy to raz jeszcze) nie są tu *męty*. Chcemy też, i ile się nam wydaje, mamy prawo tuszyć, że autor „Aktorki“ da jeszcze literaturze naszéj nie jedną następnie powieść, i że w tych obie strony zarówno znajdą się w zgodzie. *X.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Lipiec. 1871 roku.— *Ekonomista*, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi, liczy już rok szósty swego istnienia. Obecnie wyszło téj publikacyi trzy zeszyty razem, t. j. IV, V i VI za miesiące: kwiecień, maj, czerwiec i lipiec r. b. Pomiędzy wielu zajmującemi rozprawami wymienić musimy „Statystykę gubernii lubelskiéj“ i „Obraz produkcyi Galicyi w zarysie“.

— *Oskar Kolberg* znany etnograf, posuwa swe prace bez przerwy. Obecnie we dwóch tomach wydaje w Krakowie, dalszy ciąg Etnografii słowiańskiéj i w nich obejmuje wyłącznie lud Krakowski. Wyjątek z téj szacownéj pracy, podały *Kłosy* w dwóch ostatnich numerach z miesiąca lipca z ośmią drzeworytami rysowanemi z natury, a przedstawiającemi lud ten we właściwych sobie kostiumach.

— W Illustrowanéj Petersburskiéj Gazecie w Nr. 22 z r. b. znajdujemy w drzeworycie wizerunek Karola Libelta i żywot jego, napisany z nader pochlebnym sądem o estetyce wydanéj tego znakomitego myśliciela.

— Gazeta Polska podaje wiadomość (w Nr. 160), że rząd pruski zezwolił na budowę teatru polskiego w Poznaniu, która prawdopodobnie jeszcze w r. b. rozpoczętą zostanie. Od dnia 1 września r. b. we Lwowie teatr niemiecki utraca dawny swój przywiléj i wyłącznie scena polska pozostanie.

— Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, po Józefie Kremerze, obranym został na rok 1871/2, ksiądz kanonik katedralny krakowski Dr. i professor Karol Teliga. Uczony ten mąż już po raz trzeci wybieranym jest na tę godność.

— Zakład Ossolińskich we Lwowie otrzymał bardzo piękny prezent od rządu angielskiego. Poseł austryacki w Londynie, hr. Apponyi, uwiadomił Kuratoryą tego Zakładu, że według oświadczenia lorda Romilly (który jest *Master of the Rolls*) rząd angielski darował Bibliotece Ossolińskich swe publikacye, wartości kilkuset funtów szterlingów. Między darowanemi dziełami znajdują się tak ważne jak *Memoires of geological Survey of Great Britain*, i *Reports of the Record Comission*, a oprócz tego wielka ilość publikacyj archiwalnych. Na życzenie lorda Romilly, Zakład wysyła w zamian po dwa egzemplarze wszystkich swych uczonych publikacyj, wśród których Słownik Lindego, Monumenta A. Bielowskiego, Biblię królowéj Zofii, wydaną przez A. Małeckiego i t. d. I ministerstwo hr. Hohenwarta stale zapewniło Bibliotece Ossolińskich wszystkie publikacye rządowe, a Cesarz nadesłać jéj kazał wiele

dubletów z swéj biblioteki, i najważniejsze nakłady drukarni nadwornéj.

— W pobliżu Grudziądza w Prusiech, zamieszkały p. Zygmunt Działowski, posiadacz znacznéj zbrojowni, mianowicie polskiéj broni, pracuje nad dziełem o uzbrojeniu w dawnéj Polsce. Gdy samych zabytków z czasów przed-Zygmuntowskich mało się dochowało, zatem w wielu przypadkach, wierny rsyunek musi zastąpić oryginał. Nagrobki, ówczesne witraże w oknach kościelnych i różne tego rodzaju zabytki, dostarczają tu bogatego materyału. Pan Działowski zniósł się w tym przedmiocie ze znamienitym a sumiennym malarzem archeologicznym Ludwikiem Łepkowskim z Krakowa, znanym z prac tego rodzaju z *Zabytków sztuki średniowiecznéj* (Aleksandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego) który wie gdzie czego szukać, i gromadzi bardzo ciekawe, a nawet i mniéj znane rysunki. Przypominamy, że ś. p. Klemensowski b. G. W. P. pracował od lat wielu nad starożytną strategią i zebrał najbogatsze w téj rzeczy zasoby. Sam dobry rysownik, i znający się na obranym przedmiocie jako specyalista, znaczną część przedsięwziętego zadania spełnił. Żałować potrzeba, że zacny ten pracownik nie ukończył w zupełności swego dzieła. Rękopisma i rysunki, musi posiadać syn jego i jego jest obowiązkiem, najpiękniejszą spuściznę po swym ojcu przechować, i ogłosić dla pożytku literatury naszéj.

— Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie, ogłosiło obecnie *Bibliotekę teatralną*. Jako pierwszy utwór dramatyczny, podało szkic dramatyczny w dwóch aktach: *Klaudya*, Władysława hr. Koziebradzkiego. Jestto od lat wielu pisarz znany w téj gałęzi literatury, poprzednio bowiem ogłosił drukiem: *Po ślizkiéj drodze* dramat w czterech aktach, *Hrabia Maryan* komedyę w czterech aktach i jedno aktowe komedye *Zawiercucha*, *Pokusa*, *Balowe rękawiczki* i *Po ślubie*.

— Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk odbyło w dniu 1 lipca posiedzenie, na którém p. Władysław Łebiński odczytał rzecz o życiu, pracach i ideach ś. p. Karola Marcinkowskiego. Już lat pięć dobiega, jak ś. p. Hipolit Cegielski przy obchodzie 25-let. rocznicy Towarzystwa Pomocy naukowéj imienia Karola Marcinkowskiego zaprojektował, aby dla uczczenia zasług tego męża osadzono tablicę marmurową z imieniem, nazwiskiem i datą jego urodzenia na domu, w którym się urodził. Projekt ten do téj chwili nie przyszedł do skutku. Pan Łebiński podnosi tę myśl i projektuje przyprowadzenie jéj do skutku, powiadając, iż rocznica śmierci Marcinkowskiego, 7-go listopada. byłaby do tego dniem najodpowiedniejszym, zwłaszcza że w roku bieżącym dobiega lat 25 jak ś. p. Marcinkowski życie zakończył. Sprawozdanie z ubiegłego półrocza donosi między innemi: że tom VI *Roczników Towarzystwa*, obejmujących prace jego literackie i naukowe, zawiera 23 arkusze druku.—Rozeszła się wiadomośc, że z poręki władz gminnych wniesiona być ma petycya do rządu o założenie uniwersytetu w Pozna-

niu. Dotąd odbyło się tylko porozumienie z adwokatem Mützelem, radcą miejskim, który tę sprawę pierwszy poruszył; zwołanie interesantów obu narodowości ma dopiero później nastąpić, iżby wyznaczyć komitet do ułożenia petycyi i popierania jéj u rządu.—Wydział nauk historyczno-moralnych, odbywał regularnie posiedzenia. Z powodu wojny wydział nauk przyrodniczo-lekarskich dotąd się nie zorganizował. Zarządowi udało się doprowadzić do skutku trzeci wydział nauk ekonomiczno-statystycznych; wydział ten zbiera się co dwa miesiące i odbył już trzy posiedzenia. Biblioteka, zbiory artystystyczne i archeologiczne powiększają się znacznie. Szkoda tylko, że te skarby nie mają ani pomieszczenia stosownego, ani mogą być z tego powodu obrócone na użytek publiczny. Ostatnie walne zebranie zdało na zarząd obmyślenie środków, któremiby potrzebie stosowniejszego lokalu zaradzić się dało. Zarząd znalazł w jednym z gorliwych obywateli znakomitego i bardzo dobroczynnego opiekuna instytucyi naukowo-artystycznéj, gotowego dać każdéj chwili 6,000 talarów, czy to na zakupienie, czy na budowę nowego domu. Ale gdy własne zasoby Towarzystwa tylko 4,000 talarów wynoszą, gdy nie posiada krom rocznych składek żadnego funduszu, z któregoby częściowo raty kupna spłacać było można, zarząd z summą 10,000 talarów nie mógł się odważyć ani na kupno, ani na budowę domu i liczyć musi na pomoc zamożnych. Co do pracy konkursowéj o historycznym rozwoju stosunków włościan polskich, na które hr. August Cieszkowski przeznaczył tysiąc talarów nagrody, przysłano zarządowi trzy dość obszerne rękopisma. Sprawozdania sędziów nadeszły i zarząd zajmie się niezwłocznie przeznaczeniem nagrody. Wreszcie co do sprawy legatu Norberta Bredkraycza, legat składa się z dwoch summ: jednéj 3.883 tal. 19 srg. 6 fen., drugiéj 1,145 tal. 29 srg. 3 fen., umieszczonych na dobrach ziemskich. Kapitał ten zapisany został jednemu z obywateli, z obowiązkiem, aby procenta były obracane na nagrody za najlepsze dzieła dramatyczne, historyczne i inne literackie. Procenta składały się na ręce egzekutora testamentu; lecz ten ani procentów, ani rachunków nie złożył. O zniewolenie go do tego toczy się obecnie proces; od obrotu zaś procesu zawisło odebranie przez Towarzystwo zaległych od powyższego legatu już za lat 13 procentów.

— W Pradze Czeskiéj jest pod prassą tłumaczenie *Barbary Radziwiłłównéj* A. E. Odyńca. Przełożył ten dramat kanonik Sztultz, wybornie znający język i literaturę polską. Czesi mają już teraz tłumaczenia *Zamku Kaniowskiego*, Seweryna Goszczyńskiego, *Wallenroda* Mickiewicza i *Irydyona* Zygmunta Krasińskiego.

— W Bolonii zbiera się kongres archeologiczny, a poprzedziły go zgromadzenia w tymże celu w Bononii, Antwerpii i w Kopenhadze. Towarzystwo Naukowe Krakowskie dało mandat Al. hr. Przezdzieckiemu, do przedstawienia swego oddziału archeologicznego na tym zjeździe. Nie powątpiewamy, że uczony ten badacz, da nam szczegółowe sprawozdanie o tak zajmującym zjeździe.

— Sejm prowincyonalny Wielkiego Księztwa Poznańskiego, postanowił kroki odpowiednie u rządu pruskiego, ażeby w Pozna-

niu założoną została prowincyonalna szkoła przemysłowa. Sam zaś uchwalił, dla szkoły poznańskiéj rzemieślniczéj po 500 talarów rocznie, aż do przyszłego zwołania sejmu, nadto ustanowił komissyę z trzech członków, którzy mają czuwać nad postępowaniem uczniów.

— Otwarta składka w roku 1860 na pomnik dla sławnego poety rossyjskiego Puszkina, przyniosła w krótkim czasie summę rsr. 17,114; ale niedługo składki ucichły, jakby zaniechano tego zamiaru. Dopiéro obecnie myśl tę na nowo podjęto i niemasz wątpliwości, że potrzebny potemu fundusz w całości zebranym zostanie. Pomnik ma stanąć w Moskwie, jako w mieście rodzinném Puszkina.

— *Wiest. Europ.* za miesiąc maj r. b. pisze o najnowszéj literaturze rossyjskiéj, a szczególniéj o belletrystyce dążności dodatnich. „Od czasu ukazania się *Ojców i dzieci* Turgeniewa, odbiły się w literaturze nadobnéj dwa kierunki: jeden wystąpił z obroną *ojców*, a potępieniem *dzieci*; drugi z poniżeniem *ojców*, a podniesieniem do ideału *dzieci* (1). Turgeniew, tym wybornym utworem powieściowym, dał popęd do wytworzenia dwóch tych kierunków, które istnieją już od lat dziesięciu, a żadna ze stron przeciwnych, nie wydała żadnego dzieła, któreby mogło stanąć na równi z *Ojcami* i *Dziećmi*. Belletryści dawnéj daty, stojąc po stronie *ojców*, z całą mocą swoich sympatyj, stawali na gruncie trwałym; *ojcowie* bowiem byli im doskonale znani, tak z dobréj jak i ujemnéj strony, ale młodsze pokolenie było im obce. Pomimo to, utwory ich miały wartość i u czytelników i u krytyków, bo do swych obrazów brali zasoby z życia, i to z niemałym talentem. Ten kierunek odbił się głównie w dziełach *Pisemskiego*. Powieściopisarze przeciwnego kierunku, brak talentu i znajomości życia społecznego, zaczęli łatać uczciwemi dążnościami. *Ludzie nowi* zaczęli występować w zbitych zastępach, a wszystko byli to ludzie zadziwiający: zkąd wyrośli tak wysoko—tajemnica pokrywa. Kiedy nowy bohater występuje na scenę i spotyka dziewicę, nieośmielił się jéj pocałować, jak to robi bohatér Turgeniewa, ale oświadcza że to uczyni lub nie uczyni, ale po niejakimś czasie, w przeciągu którego dziewica przeczyta *dobre książki*, jakie jéj sam dostarczy. Dziewczyna przeczytała *dobre* książeczki i zaraz przeistoczyła się w *nową* kobietę, pochwyciła nieujęte ideały wraz ze swym mentorem i razem z nim wybierała nowe drogi. Była to stereotypowa intryga wszystkich romansów i powieści, jakiemi rozwodniali literaturę rossyjską pisarze stojący na stronie *dzieci*. Nie były to utwory bez poważnego wpływu na ogół społeczeństwa. Przy braku talentu i nieumiejętności władania formą artystyczną, wypełniali swoje romanse rozprawami pedagogicznemi, hygienicznemi, fizyologicznemi i socyalnemi i t. p. Korzyść rzeczywista z tych utworów była bardzo względną, ale oznajamiały licznych swoich

(1) Znakomitą tę powieść mamy przełożoną na język polski.

czytelników z niektóremi okruchami i pojęciami z dziedziny nauki, podobnie jak romanse Dumasa ojca, oznajamiały samych Francuzów z dziejami Francyi".

— Rossya straciła w roku bieżącym jednego ze znakomitszych swoich powieściopisarzy *Rieszetnikowa*, który w młodym wieku zakończył życie. Był to samorodny talent wyższy. Pismo *Sowremiennik* wydrukowało pierwszą jego powieść p. n.: *Podlipowscy*, który uwagę całéj intelligencyi zwrócił na młodego autora. Rieszetnikow po Turgieniewie umiał artystycznie malować obrazy nietylko narodowego życia, ale i typy narodowe. Czasopisma petersburskie, przez lat kilka umieszczały wiele opowieści jego pióra, które w żywych barwach dają nam wyobrażenie o niektórych stronach bytu społecznego w Rossyi. Ostatnie powieści które drukował p. n. *Gdzie lepiéj* i *Swój chleb*, postawiły go pomiędzy najpierwszymi powieściopisarzami rossyjskimi.

---

† Dnia 23 lipca r. b. zakończył życie Julian Błeszczyński, znany pisarz głównie w gałęzi heraldyki, któréj też niemałe usługi oddał, badając ją naukowo i krytycznie. Urodził się 1825 r. w powiecie konińskim; ukończył nauki w Gimnazyum Piotrkowskiém, wykształcenie literackie zawdzięczał własnéj pracy. Najgłówniejsze studya odbył w *Archiwum głównem*. Był współpracownikiem naszego pisma i drukowaliśmy jego rozbiór krytyczny *Herbarza Wilczyńskiego* 1859 roku. Należał także do współpracownictwa *Encyklopedyi powszechnéj*, w któréj rozprawy J. Błeszczyńskiego p. n. *Heraldyka* i *Herby polskie*, dają wyobrażenie jak gruntownie traktował swój przedmiot. W dziele: *Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich S. K. Kossakowskiego*, zawdzięczają wartość swoją głównie krytycznem obrobieniem zmarłego badacza. Dnia 26 lipca r. b. odbył się pogrzeb: liczny orszak inteligencyi krajowéj odprowadził zwłoki zgasłego heraldyka na cmentarz Powązkowski.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.
Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 17 Іюля 1871 г.

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy)

VIII.

Sierota.

Nazajutrz rano cała ludna ulica „Kärnthnerstrasse" miała bezpłatne widowisko.

Głównym aktorem tego widowiska był człowiek około sześćdziesiąt lat mający. Strój jego był tak w obec strojów stolicy niezwykły i oryginalny, że ściągnął na siebie uwagę wszystkich przechodzących; a jak tylko pierwsi się zatrzymali, zatrzymała się cała cyrkulacya i w oka mgnieniu urosła w ogromną massę ludzi, która połowę wielkiéj ulicy napełniła.

Człowiek ten miał na sobie jakąś szaraczkową kapotkę, na piersiach czarnemi pętlicami zapinaną. Z pod téj kapotki wyglądały buty kozłowe, na fałdach mocno kurzem okryte. Na głowie zwieszała się czapka z czarnym barankiem. Twarz tego człowieka była chuda i koścista, ręce duże, w różnych kierunkuch grubemi żyłami poprzerzynane. W jednym ręku trzymał chustkę kraciastą i od czasu do czasu pot kroplisty z wysokiego czoła ocierał.

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

Przy nim stała z wystraszoném wejrzeniem młoda panienka mająca nie więcéj jak lat siedmnaście. Była nadzwyczajnéj urody! Twarz miała bladą z melancholijnym wyrazem, oczy czarne rozmarzone, włos ciemny jak odarta kora z drzewa cedrowego.

Ubiór jéj był nader prosty: ciemna bluzka spięta paskiem lakierowanym uwydatniała prześliczną jéj figurę; kształty piękne, zaledwie rozwinięte, uderzały rafaelowskim rysunkiem. Mały, słomkowy kapelusik nadawał jéj podobieństwo do jednéj z tych sielankowych prostaczek, za któremi w końcu zeszłego wieku szalała poezya i przepadały salony.

Kilka więc rzeczy zebrało się razem, aby przechodzącą publiczność tutaj zatrzymać.

Zdaje się, że pierwszy powód do tego dała uroda nadzwyczajna młodéj dziewczyny. Prawdopodobnie zatrzymał się jeden i drugi aby podziwiać piękną wnuczkę Belizaryusza, na którego oryginalny człowiek zakrawał. Tymczasem mniemany Belizaryusz wziął to za rodzaj wyzwania i podniósł na natrętnych adonisów swój kij sękaty, jakiego ziemia niemiecka tak świetnie wyprodukować nie mogła. Kij ten bowiem nie tylko że był z natury hojnie w sęki obdarzony, ale przyłączyła się i sztuka, aby go uczynić ze wszech miar wspaniałym okazem w swoim rodzaju! Był on u góry tak misternie wygięty i pyskiem węża zakończony, że musiał mimowoli, oprócz grozy wzbudzić także nadzwyczajną ciekawość u amatorów. Zgięcie bowiem było dokonane w niemowlęcym jego wieku, a potrzeba było długich lat, aby do dzisiejszéj grubości doszedł. Charakteryzował on już tém samém pewny systematyczny upór posiadacza, który przedsięwziął pracę, na któréj skutki długie lata musiał czekać.

Oprócz niezwyczajnego ubioru, kunsztownie zgiętego kija i nadzwyczajnéj piękności dziewczyny, przyczyniły się jeszcze do zatrzymania mass, słowa tego oryginalnego człowieka, wymawiane sumiennie w dwóch językach dla uszanowania ustawy o równouprawnieniu narodowości.

— *Was ist du zu schauen!* Co tu jest do gapienia!—wołał machając misternym kijem po przed oczy wiedeńczyków a kapelusikiem swojéj towarzyszki.

Niemcy śmiali się na widok téj taktyki chronienia pięknéj twarzy od złych oczu.

— *Ich bitte*, proszę; *es schickt sich nicht*, to przecież nie uchodzi!... Anusiu chodź na tę stronę, bo tamten sowizdrzał z szkiełkiem w oku uwziął się na ciebie!

Anusia poszła z jednéj strony Belizaryusza na drugą. W szeregach publiczności śmiech.

Was ist du zu lachen! Z czego się tu śmiać!—wołał Belizaryusz odganiając kijem falę. Anusia, wróć nazad na tę stronę, bo tamten świstak nosem cię przebije.

Anusia zmieniła znowu stanowisko.

— *Das ist nicht artig*, to nie jest grzecznie!—*Meine herren ich bitte Platz*, moi panowie, proszę się ustąpić!... Anusia stań za mną!

Zdaje się, że Belizaryusz stracił już cierpliwość i gotował się do zaczepnych kroków; rzemyczek bowiem od kija owinął o rękę a samym kijem takiego młyńca puścił nad głową, że nagle otworzyła się przed nim luka, dosyć przestrona.

— Anusiu, chodź za mną! — krzyknął bohaterski przewodnik pięknéj dziewczyny, ale luka zamknęła się nagle przed nimi.

Belizaryusz wziął się teraz do wojennego podstępu. Widząc po prawéj stronie ogromną sień, wpadł do téj sieni i pociągnął śród śmiechu całéj massy zagrożony skarb swój za sobą i nie obejrzał się aż na pierwszém piętrze, mając trzy grube mury za sobą.

Tam zatrzymał się, otarł pot z czoła, poprawił kapelusik na głowie swojéj towarzyszki i rzekł:

— Otóż widziałaś niewdzięcznych! Tacy to są ludzie téj ziemi! Parę wieków temu, to tam z tej wysokiéj wieży, patrzano dzień i noc z upragnieniem, kiedy się nasze wojska pojawią, a gdy się pojawiły, to nie było końca radości, a dzisiaj patrzą na nas jakby na jakie widowisko!.... Dobrze to też łaciński poeta powiedział: *Donec eris felix, multas numerabis amicos, tempora si fuerint nubilla, solus eris!*.... Czy rozumiesz Anusiu te słowa?

— Rozumiem! — odpowiedziała dziwnie dźwięcznym głosem melancholijna dziewczyna.

— Tak to na świecie!.... Czy ci ten sowizdrzał z szkiełkiem w oku co zrobił?

— Nic mi nie zrobił.... Możebyśmy już daléj iść mogli?

— Czekaj, niech się troszkę przerzedzi na ulicy!... Ależ miałem ochotę, machnąć jednego i drugiego po tych pudłach okrągłych! Dobrze że mię Bóg ustrzegł!

W téj chwili otworzyły się drzwi do nich, a jakaś wystrojona dama ukazała się na progu.

Była to Paulina. Widziała ona przez okno to całe pocieszne widowisko i widziała Belizaryusza wchodzącego do jéj sieni. Wyszedłszy do przedpokoju słyszała całą ich rozmowę.

— Czy pan przybywasz z Galicyi?—zapytała nieznajomego.

Usłyszawszy język polski osłupiał Belizaryusz, wytrzeszczył oczy, i stał tak czas długi. Usta jego ruszały się, ale żadnego słowa nie mógł z nich wydobyć.

— Przybyliśmy od Krakowa—odpowiedziała z przytomnością melancholijna Anusia.

Teraz przyszedł dopiero Belizaryusz do siebie. Rzucił kij sękaty i zawołał zdejmując czapkę:

— O świat i korona! O któżby się spodziewał, że człowiek tak nagle swój język usłyszy!.... O stokroć dzięki za tych słów kilka, dzięki jaśnie wielmożnéj pani!...

Rzekłszy to, posunął naprzód, pochwycił Paulinę za rękę i zaczął całować.

— W jakimże interesie pan tutaj przybywasz?—zapytała zdziwiona Paulina.

— O to wielmożna pani długa historya, długa!...

— To proszę do pokoju—rzekła Paulina, bo zachowanie się Belizaryusza zaczęło ją intrygować, a twarz młodéj dziewczyny wydała się jéj nader sympatyczną.

Belizaryusz ze swoją towarzyszką weszli do pysznego salonu.

Widać było po starym człowieku że przepych salonu sprawił na nim wielkie wrażenie. Towarzyszka jego żywém okiem obiegła wszystkie kąty, a twarz jéj ożywiła się.

— Proszę spocząć—rzekła Paulina i usiadła na fotelu—i opowiedzieć mi coś z téj długiéj historyi, jeśli można!

— O można, można wielmożna pani!.... można... można —powtarzał Belizaryusz niemogąc sobie dać rady z swoim

misternym kijem, który mu ustawicznie po ślizkiéj posadzce umykał—można, wielmożna pani, można... tam do kata.

Schwytawszy zbiega przed samą nóżką Pauliny, położył go na krześle i przysiadł.

— Widzi wielmożna pani—zaczął mówić—jak człowiek jest biédny to biédny!... Jestem nieprzymierzając bakałarzem małéj szkółki, małego miasteczka. Biada to, biada być bakałarzem, bo nie tylko głodno i chłodno, a tu krzycz na malców cały dzień boży z rana do wieczora.... ale nawet ludzie potém nie umieją ocenić tego mości panie!... Wyuczyłem naprzykład abecadła pewnego ucznia, który teraz jest kanonikiem.... czy sądzi wielmożna pani, że pamięta?...

— Ludzie zazwyczaj są niewdzięczni! — zauważyła Paulina z ukrytym uśmiechem.

— Tak, niewdzięczni! to złota prawda!... Miałem w szkole jednego chłopca ... lampart był co się zowie, łamał ławki, pisał po murze a nawet na mnie gałkami rzucał... prawda że mu czasem dobrze wytatarowałem... bo to widzi wielmożna pani ja nie zgadzam się z dzisiejszym systemem, który bić nie każe! Bić, bić, dobrze bić to dobra metoda.... Otóż ten lampart... Ale o czém to miałem mówić?.... Przepraszam, tak mnie ci niemcy zalterowali, że w głowie myśli nie mogę dobrze uporządkować... oraz i ta radość...

— Obiecałeś mi pan coś o swoim interesie w Wiedniu opowiedzieć!

— O interesie?... Djabelny interes! nie życzyłbym nikomu takiego interesu!

— Czy to jest córka pana?

— Kto taki? Anusia?.... Nie, wielmożna pani, to jest sierota, a ja jéj opiekunem!

— Czy pani w jakim celu tutaj przybyła?—zapytała Paulina Anusię.

Anna zarumieniła się i spojrzała na opiekuna.

— W celu, nie w celu—odpowiedział bakałarz—bo to widzi wielmożna pani, historya długa! Najprzód wielmożnéj pani muszę się przyznać że mam dziewięcioro dzieci. Dzięki Bogu zdrowe wszystkie i dobrze się prowadzą. Mimo głodu i chłodu dobrze nawet wyglądają. Dwóch już jest na swoim chlebie, trzeci w seminaryum i niezadługo będzie

księdzem, a czwarty, Michaś, mówię to wielmożnéj pani, dziecko jak rajskie jabłko!... Nawet mam jednego...

— Chciałabym słyszéć coś o przybyciu pana do stolicy.

— Zaraz, zaraz, wielmożna pani, wszystko będzie, ale w porządku. Otóż jak powiedziałem, Bóg udarował mnie dziewięciorgiem dzieci, a prócz tego umarła moja krewna, po któréj została się Anusia, dwóletnie dziecię. Ej, myślę sobie, trzeba sobie czémś na łaskę Pana Boga zasłużyć... pójdź sieroto do nas! Gdzie jest dziewięć, tam pomieści się i dziesiąta!... Wprawdzie z nieboszką żoną, chociaż to była bardzo zacna kobiéta, świeć jéj Panie! miałem trochę, jak to mówią perepałki, ale jakoś w końcu to się załatwiło i Anusia chowała się w domu.

— Więc panna Anna jest tylko krewną pana!

— Tak jest wielmożna pani, jest sierotą!... Ściągałem się jak mogłem, myliśmy i czesali jak swoje, potém ksienia klasztoru Benedyktynek pozwoliła jéj nauki tam pobiérać... i jakoś przy pomocy Pana Boga udało się nam tak ją wyedukować, że nawet teraz może miéć kawałek chleba, bo nie tylko że wszystkie nauki expedyte umié, ale nawet coś francuzczyzny i klawikortu zarwała!

— Więc pani sposobiłaś się na nauczycielkę?

— Tak jest pani!—już z większym spokojem odpowiedziała Anna.

— To wielmożna pani, było naszém marzeniem!—mówił daléj bakałarz—i byłoby może do tego przyszło, gdyby Bóg nie dopuścił na nas wielkiego nieszczęścia!... Co to znaczy jechać z panienką biednemu bakałarzowi do Wiednia!

— Cóż to za nieszczęście?

— Oto żyję z pocztmistrzem w przyjaźni i czasami chodzę do niego na gazety. Razu jednego wyczytałem inserat w okazałych ramkach, że pewien jegomość, który w Wiedniu mieszka potrzebuje dla ciemnéj matki swojéj lektorki i towarzyszki!... Myślę sobie dobra rzecz! Dziewczyna w takiém mieście może się jeszcze czegoś poduczyć. Piszę listy, odpisują mi i żądają fotografii. Posyłam fotografię i interes był skończony. Przysłano pieniądze na drogę. Ale pomyślałem sobie: hola, choć to sierota, ale przecież nie można jéj tak samopas w świat puszczać. Napisałem do

dwóch synów; synowie złożyli się i przysłali mi na drogę fundusik. Pojechałem z nią więc do Wiednia i podług adresu zaraz udałem się do mieszkania owéj ciemnéj niewiasty!... Ba, ale zeszedłem całą kamienicę, a ciemnéj niewiasty nigdzie nie znalazłem!... Jegomość, który zemną korrespondował, mieszka tam w wytwornych pokojach, jest starym kawalerem i nie wiem nawet czy kiedykolwiek miał jaką matkę!.... Zwąchałem pismo nosem, zatrzasnąłem drzwi i otóż cała historya!...

— Więc to był podstęp jakiś!

— Podstęp czy żart głupi, wielmożna pani, to tego nie wiem, bo ludzie bogaci to mają takie koncepty, jakich biédni nawet nie rozumieją!

Paulina spojrzała z uwagą na Annę. Przypomniała sobie, że już nieraz myślała o jakiéj towarzyszce dla siebie. Ta myśl wydała jéj się dzisiaj jeszcze ponętniejszą, że w domu i na przejażdżkach będzie mogła rozmawiać się rodzinnym językiem i mieć kogoś koło siebie, ktoby jéj rodzinne strony mógł przypominać. To pragnienie odzywało się w niéj często.

— Dziwne jest to wprawdzie—rzekła po chwili—ale właśnie chciałam się starać o towarzyszkę dla siebie. Jestem wdową i samą. Jeżeli pan nic przeciw temu mieć nie będzie, a panna Anna na to się zgodzi, to możemy umówić się o warunki.

Bakałarz obejrzał się jeszcze raz wkoło po bogatym salonie. Do buduaru były także drzwi otwarte. I tam błyszczało wszystko od złota i bogatych mebli.

Biédny bakałarz miał zawsze wielką cześć dla bogactwa.

— Wielki Boże!—zawołał—wszak to widoczny palec Opatrzności dla nas! Bo przyznam się wielmożna pani, żebym nie miał czém powrócić z biédną sierotą!

I otarł łzy biédny człowiek i Anna sięgnęła do oczu...

Jeszcze tego samego dnia ulokowała się Anna u Pauliny, a stary bakałarz został jeszcze dwa dni w Wiedniu i płakał z radości, gdy ekwipaż Pauliny obwiózł go kilka razy po stolicy, a rozmowny stangret okazywał mu i objaśniał niektóre osobliwości. Bakałarz za to odwdzięczył mu się dosyć szczegółowém opowiadaniem tego, co tu się działo

przed kilkoma wiekami, poczém obaj wychylili w narożnym szynczku po kieliszku anyżówki i serdecznie się uściskali.

Tym sposobem załagodził bakałarz nieporozumienie swoje z mieszkańcami Wiednia i zdawało mu się, że stosunek międzynarodowy sprowadził napowrót do stanu normalnego.

IX.

Nowa suknia.

Kiedy ten mały epizodzik odbywał się na „Kärnthnerstrasse", przechadzał się Stefan z dobrą fantazyą po Grabenie i rozpatrywał się w nowém swojém położeniu.

Położenie to było dziwne. Kobiéta, która razem z nim w ubogiém mieście wzrosła, na którą on wtedy nie wiele uwagi zwracał, stała się tutaj jedyną nadzieją dla niego jakiejkolwiek przyszłości.

Wprawdzie mimowoli rumienił się zawsze gdy o tém myślał, bo w głębi duszy tliła tam jeszcze iskierka lepszych marzeń młodzieńczych, jakich żadne przygody życia do szczętu nie utłumią. Wzgląd jednak na niepewność jutra bez téj kotwicy, brak wszelkich środków zarobienia sobie na to jutro, trzymał go przykutym do téj kotwicy, a tak zwany rozum praktyczny wynajdywał najrozmaitsze sofistyczne argumenta, jakiemi uspokajał wszelkie jego skrupuły. Wyobrażał sobie, że Paulina co najwięcéj może mu tylko posłużyć za środek do utorowania sobie niezależnéj drogi, na któréj potém i bez niéj będzie się mógł obejść. Tym sposobem straci wszystko z siebie, co go dzisiaj walać mogło.

Takie były myśli Stefana w lepszych jego momentach, jakich nigdy nie brak w życiu każdego upadłego człowieka. Te myśli pozwalały mu spokojnie używać obecnéj chwili i marzyć o lepszém jutrze.

Chodził więc swobodnie po Grabenie i po parku, z dobrą fantazyą palił cygaro, a krok taki miał pewny i przyzwoity, jakby był najpoczciwszym człowiekiem w świecie!

Niemki oglądały się za przystojnym mężczyzną, który swobodnemi ruchami i wyższemi manierami odbijał od zbyt naturalnych, lub nienaturalnie wystrojonych Wiedeńczyków.

Za pieniądze otrzymane od Pauliny, trochę się oporządził. Nie było to wiele, ale zawsze najniezbędniejsze potrzeby jakotako pokrył. Inne, kosztowniejsze sprawunki odłożył do lepszych czasów, a tymczasem kontentował się surrogatami, jak np. papierowym kołnierzykiem i t. p.

Gdy już się dostatecznie z nowém położeniem oswoił, postanowił skorzystać z rady Pauliny i zrobić znajomość z ową nieocenioną damą, która miała wielką przyjemność otaczać się liczném męzkiém towarzystwem i karmić je przyzwoicie.

Z rana na drugi dzień, przejrzawszy się należycie w zwierciedle, a na ulicy w pierwszych kryształowych drzwiach magazynu który napotkał, zaprawiony wonią paczulową, zadzwonił do przedpokoju owéj damy węgierskiéj.

Służący otworzył drzwi, a ujrzawszy wystrojonego eleganta, nie zapytał się nawet o jego nazwisko, tylko zaraz otworzył drzwi do salonu i prosił go czekać, aż hrabina ukończy swoją toaletę.

Stefan rozpatrywał się tymczasem w salonie. Był to salon nadzwyczaj wytworny. Bogactwo kapało ze ścian, zalegało całą przestrzeń. Dywany francuzkie, marmurowe kolumny, wazy etruzkie, odlewy z bronzu podług oryginałów najznakomitszych mistrzów, zbiór rycin na palisandrowym stole i mnóstwo różnych fraszek zapełniało jakby w jakim sklepie galanteryjnym całą przestrzeń.

Oprócz tych widomych rzeczy cała atmosfera salonu napełniona była jakiemiś narkotycznemi woniami, które dziwnie drażniły błony oddechowe. Stefan musiał kilka razy odkrząknąć nim się do téj atmosfery mógł przyzwyczaić, która mu mimowolnie przypominała aptekę miasta rodzinnego.

Po niejakim czasie zaszeleściał jedwab', otworzyły się drzwi boczne, a do salonu wtoczyczyła się niska jak karykatura ubrana babulka mająca lat sporo po sześćdziesiątce.

Byłaby z niéj wcale nieszpetna, sędziwa kobieta, gdyby w całéj jéj postaci nie przebijała wszędzie śmieszna pretensya młodości. Już sam ubiór czynił ją śmieszną. Był to tak zwany kostium używany przez młode panienki z obcisłą spódnicą i stanem wysoko podniesionym. Charaktery-

styką tego kostiumu było, że był nader krótki i mógł dostatecznie odsłonić wdzięk młodéj okrągłéj nóżki. Również i co do figury, był on obliczony wyłącznie na wdzięki młodości.

Ubiór taki z każdéj wiekowéj a nawet często średniego wieku kobiéty musi zrobić karykaturę.

Trudno opisać, jak w takim ubiorze wyglądała sędziwa córa Arpadów! Zamiast okrągłych elastycznych kształtów napełniała ten ubiór jakaś massa bezkształtna, która prócz chudych i kościstych nóg żadnego innego ruchu nie miała. Na rękach skóra była pomarszczona jak na okazach anatomicznych, a włosy z natury już siwe przypruszone były białym pudrem i rozrzucone w tak niemiłym bezładzie po całéj głowie, że mogły być oznaką prawdziwéj waryatki.

Babulka ta obaczywszy Stefana, złożyła do słodkiego uśmiechu swoją twarz cery kominiarskiéj i dygnęła wstydliwie jak pensyonarka, niepytając się nawet o nazwisko gościa.

Stefan miał wielką ochotę roześmiać się na całe gardło, ale przypomniał sobie, że praktyczny rozum nie każe się śmiać z śmieszności ludzkiéj, ale z niéj korzystać.

Ukłonił się więc jak mógł z największą powagą, wygłosił swoje nazwisko i wspomniał coś o Paulinie, która się mieniła być jéj przyjaciołką.

Dama pomyślała chwilkę, przypomniała sobie że Paulina istotnie o nim mówiła i prosiła go spuszczając oczy, aby usiadł i jéj coś opowiedział o stronach z których przybywa.

Stefan plótł różne rzeczy, które mu tylko na myśl przyszły, opowiadał o Kabylach i Hottentotach, z którymi grywał w tarroka i unosił się szeroko o koronie św. Szczepana, którą osobiście widział i zgięty jéj krzyżyk na wierzchu, własnemi oczyma podziwiał.

Dama dziękowała mu za grzeczność, z jaką składał hołd jéj krajowi rodzinnemu, zapytała mimochodem jak mu się czarnookie Węgierki podobają i czy się w któréj kochał. A gdy Stefan z ubolewaniem temu zaprzeczył, opisała mu w krótkich rysach rozkosze miłości węgierskiéj, która jest zupełnie inną od miłości innych, pośledniejszych cór Ewy!..

W tym tonie trwała rozmowa i skończyła się na zaproszeniu Stefana, aby codziennie o każdéj godzinie, „jeżeli

się bardzo nudzi“ do niéj przychodził, czy to na obiadek czy na wieczerzę z tokajskiém winem.

Stefan przyrzekł posłuszeństwo, a nawet dawnym polskim obyczajem damę w rękę chciał pocałować, czemu ona jednak się oparła, utrzymując że narodowo-węgierski zwyczaj każe nie rękę, ale twarz całować.

Tym razem różnica narodowości skończyła się na słowach a Stefan wyszedł z salonu zadowolony, że na wszelki wypadek ma już drugi asyl, do którego w razie losów przeciwnych będzie się mógł schronić. Na ulicy dopiéro wybuchnął śmiechem z pretensyonalnéj babulki i tak się śmiał nieoględnie, że kilkunastu Niemców nagle przed nim stanęło podziwiając jego donośne gardło.

Kilka dni upłynęło Stefanowi nader przyjemnie. Sytuacya była dla niego nową, a po tapczanie krewnego Hohenstauffów, była nawet bardzo wygodna. Wprawdzie było to coś jeszcze gorszego niżeli liberya kołkowa, ale przynajmniej były inne pozory, a pozory te były daleko na oko przyzwoitsze. Do tego jeszcze i strawa była smaczniejsza niżeli z garnuszka krewnego cesarzów, co w realnie pojętém życiu bardzo wiele znaczy. Ileżto ludzi dla smacznéj strawy niepoświęca wszystkiego, co Pan Bóg dał im przy urodzeniu?

A zresztą jakaż była dla niego inna droga? Cóż miał począć aby w najbliższém jutrze z głodu nie umarł? Do tego stolica miała tyle rozrywek, które wprawdzie kosztują wiele pieniędzy, ale za to pozwalają człowiekowi uśpić w sobie to wszystko, co się tam w nim gdzieś z głębi czasem odzywa!..

Stefan przepędził te dni dosyć szczęśliwie. Obiadki i wieczerze u Pauliny były smaczne i zabawne, u babulki zaś prawdziwie królewskie. Towarzystwo liczne, które się tam zbierało, pozwalało zawiązać co dzień nowe znajomości, z których w czasie coś się skorzystać dało. Również i u Pauliny zapoznał się z ludźmi, którzy przy zdarzonéj sposobności mogli mu być w jego zamiarach pomocni. Byli to po większéj części młodzi ludzie z bogatych domów, a niektórzy nawet z dawnych rodów.

Stosunki jednak z takiemi ludźmi wymagały znaczniejszych wydatków. Przedewszystkiem potrzeba było posta-

wić się z nimi na równi, bo podrzędniejsze stanowisko byłoby go zniżyło w ich oczach do roli nader podrzędnéj.

Fundusik od Pauliny już się wyczerpał. O drugi trudno się było upominać, bo Paulina sama wskazała mu drogę, gdzie go ma szukać.

Droga ta jednak miała ciernie. Było w niéj coś upakarzającego.

Wydarzenia jednak z ostatnich dni były tego rodzaju, że zmuszały go do większych wydatków. Poznał się z kilkoma hrabiami węgierskimi, jednym wołoskim księciem i trzema włoskimi młodzieńcami z bogatych domów, którzy obiecali go za kilka dni odwiedzić, uważając go za równego sobie.

Stefan mieszkał dotąd w małym pokoiku bardzo podrzędnego hotelu; wypadało, jak mniemał, zaprezentować się inaczéj, bo od tego zależały dalsze jego plany.

Przed sobą nie miał żadnéj innéj drogi, jak tylko próbować szczęścia u babulki.

Myśl ta sprawiła mu wielką przykrość. Jakaś nieokreślona obawa ostrzegała go przed tym krokiem. Czy to było proste przeczucie smutnych następstw podobnego kroku, czy zabłąkana iskra jakiegoś lepszego uczucia, która protestowała przeciw podobnym egzystencyom niektórych ludzi?.. Stefan nie śmiał sobie z tego zdać sprawy, czuł jednak, że podobna droga była mu wstrętna.

Kiedy właśnie bijąc się z temi myślami po Grabenie się przechadzał, spotkał go jeden z hrabiów węgierskich, przywitał się z nim jak z przyjacielem i rzekł do niego:

— No, *baratom*, nie gniewajcie się, żeśmy jeszcze u ciebie nie byli, ale *Istvan* mówił mi właśnie że z księciem Mirzą wybiera się do ciebie pojutrze na partyjkę z herbatą, do czego i ja się przyłączę. Dziś albo jutro niezawodnie uwiadomię cię o tém.

Stefan syknął jakby mu kto na bolącą nogę nadeptał, ale usta jego powiedziały Węgrom tyle słów słodkich i uprzejmych, ile potrzeba było do podtrzymania tak znakomitéj znajomości.

Teraz wobec niebezpieczeństwa tak znakomitéj wizyty upadły resztki skrupułów. Nie było już innego sposobu. Stefan najbliższą drogą poszedł do babulki.

Babulka właśnie otrzymała od krawca nową suknię z grubéj jedwabnéj materyi i na próbę w nią się ubrała.

Suknia była wytworna. Pozawieszane były na niéj różne kosztowne dodatki w koronkach i falbanach. Rzeczywista figurka babulki znikła pod draperyami kosztownéj materyi, a oczom prezentowało się tylko arcydzieło sztuki krawieckiéj. Wprawdzie twarz i włosy siwe pozostały te same, ale babulka przeglądając się w dużém zwierciedle, widziała tylko pyszną suknię i oszołomiona jéj urokiem uwierzyła, że gdyby w téj chwili kto ją zobaczył, mógłby się w niéj szalenie zakochać! Zresztą, marzyła sobie, serce się nie starzeje, a suknia za dwieście złotych reńskich znaczy także coś we wdziękach kobiety!

Nieszczęśliwe te marzenia podnieciła jeszcze poufna jéj służąca, przebiegła Niemka.

— *Frau Gräfinn*—mówiła do niéj wyekspensowawszy przy jéj ubieraniu dziesięć tuzinów szpilek—*frau Gräfinn* zrobi dzisiaj w téj sukni wielką konkietę!... Graf *Lajas* będzie zazdrosny, jeżeli przyjdzie *der schöne Stefan!* Ja już przedwczoraj to spostrzegłam!

Hrabia *Lajas* miał lat sześćdziesiąt i był codziennym gościem hrabiny.

— Co téż ty mówisz!—odpowiedziała z radośnym uśmiechem babulka wykręcając się do zwierciadła—co téż ty mówisz! Gdzie mi tam do miłości!

— Cóż to! Przecież hrabina nie jesteś wcale starą! *Eine Fünfzigerinn* może przecież jeszcze serca zdobywać! Księżna *Monnachehini*, u któréj służyłam, odbierała liściki miłosne, gdy miała już lat siedmdziesiąt!

— Ja siedmdziesiąt lat nie mam, ani sześćdziesiąt, ani... —mówiła babulka kręcąc się jak manekin przed zwierciadłem—ale... zawsze aby ich kochać... a zresztą widzisz *Marie* dawniéj to można było. Ja sama znałam wypadki takie, ale dzisiaj jest młodzież tak popsuta...

— Jest popsuta to prawda, ale przecież hrabina tego powiedzieć nie możesz, abyś była bez adoracyi!

— No... widzisz... to prawda... znajdą się ludzie, którzy mi jeszcze kadzą podchlebstwem...

I znowu wykręciła się przed zwierciadłem, aby festony sukni należycie admirować.

— Nie jest proste pochlebstwo... ja sama przecież wiem, że hrabia *Ivanyi*...

— Et, pleciesz! — odpowiedziała uradowana babulka i uderzyła Niemkę po ramieniu... — tobie wiele rzeczy tylko tak się wydaje! Gdzieżby hrabia Ivanyi kochał się we mnie!

Tym trybem szła daléj rozmowa. Babulka przeczyła słowom Niemki, ale dla tego tylko, aby Niemka coraz więcéj dowodów wydobywała, że w niéj ten lub ów się kocha, że jest jeszcze do zakochania się.

Słowa te sprawiały jéj wielką przyjemność. Przeglądając się w zwierciedle, widziała się po każdém słowie Niemki młodszą i ładniejszą. Wynajdywała najlepsze pozycye oświetlenia i widocznie chciała sama siebie z wielką ochotą oszukać. W tym celu pod pozorem, że światło ją razi, kazała nawet niżéj firanki spuścić.

Do tego dobrowolnego złudzenia nie mało przyczyniła się nowa suknia. Misterne jéj draperye kunsztownem światłem oświetlone tworzyły bardzo piękny widok.

— Widzisz Marie—rzekła w końcu szczęśliwa babulka —ze wszystkich tych o których mówisz że kochają się we mnie, lub mogą się zakochać, najlepiéj mi się podobał pan Tarło!

— Prawda, bardzo przystojny mężczyzna! *Ein echter polnischer Graf!*

— Ja byłam brunetką i dlatego lubię blondynów!

— Jakto? Hrabina jeszcze dotąd jesteś brunetką!... Przecież aby być brunetką, to nie tyle od włosów zależy, ile od cery twarzy. A hrabina masz cerę twarzy prawdziwéj brunetki! Hrabina jesteś brunetką jakiéj drugiéj nie łatwo znaleźć w całém mieście!...

Babulka uśmiechnęła się do zwierciadła, które w téj chwili odbiło jéj twarz w nader korzystném rembrandowskiém oświetleniu, przy którém wszystkie zmarszczki nagle zniknęły!...

W przedpokoju ozwał się dzwonek.

— *Herr von Tarło!*—zawołał z salonu służący.

— Widzisz hrabina!—rzekła Niemka—czyż nie jestem dobrą wróżką?...

Babulka była w téj chwili najszczęśliwszą kobiétą pod słońcem.

Z uśmiechem szczęścia, o dziesięć lat młodsza nadzieją zwycięstwa wyszła do salonu.

Dziwna rzecz! Nigdy jeszcze nie wydała się Stefanowi tak brzydką jak w téj chwili!

Dlaczegóż wydała mu się tak brzydką? Czy usposobienie jego dzisiejsze temu winne?...

Zdaje się, że sama babulka była temu winna. Starość bowiem w szatach pretensyonalnych, starość z nadzieją zwycięstwa na twarzy jest brzydką, strasznie brzydką!... I taką rzeczywiście była w téj chwili babulka.

— Zapewne jakieś psotne duszki powiedziały panu abyś przyszedł w téj chwili! — rzekła do niego z słodkim uśmiechem. Usiadła na kanapie i obok siebie zrobiła miejsce Stefanowi.

— Czy ta chwila jest tak dobrze obrana?—zapytał z pogardliwym uśmiechem Stefan.

— W duchowym świecie kobiety są pewne chwile, które sę dla niéj nader niebezpieczne!

Stefan ugryzł się w usta, aby bólem fizycznym przytłumić jakiś ból wewnętrzny, który w téj chwili uczuł.

— Wiele zależy—odpowiedział—od usposobienia mężczyzn, właśnie w takich chwilach!

— Pan zaczynasz być niegrzecznym! — odparła uderzając go pieszczotliwie po ramieniu — mężczyzna gdy mówi z kobietą, powinien wszystkie swoje usposobienia za drzwiami zostawić!

Stefan westchnął i podparł ręką głowę. Spojrzał melancholijnym wzrokiem przed siebie.

Poza ta miała wyrażać wyższy, poetyczny smutek i zmusić hrabinę do wypytywania się o powody tego smutku; w istocie zaś była ona dla Stefana prawdziwém łożem madejowém! Nie spodziewał on się tak nagłego zwrotu i inny ułożył sobie plan; ale suknia nowa i Niemka wszystko popsuły.

— I czegoż moje *bobo* jest takie smutne? — zapytała z czułością i posunęła mu zmarszczoną, zimną ręką po twarzy, zacząwszy od czoła a skończywszy na brodzie.

Stefan wzdrygnął się. Zdawało mu się, że jakiś zimny płaz przepełzał mu przez nos i czoło.

— Czy zbudziła tam rączka moja jakie marzenia miłosne?—zapytała pieszczotliwie babulka.

Wielką ochotę miał Stefan odpowiedzieć, że rączka jéj nie zbudzić, ale zamrozić mogłaby najgorętsze marzenia, ale powstrzymał się. Przetarł ręką po czole, aby zetrzeć ztamtąd wszelki ślad téj zimnéj rączki.

— Marzenia moje—odpowiedział smutno—są podobne do rozpierzchłych gołębi, na które jastrząb z wysokich obłoków uderzył!.. Trudno, bardzo trudno je pozbierać!

— To nie trzeba latać pod wysokie obłoki!—rzekła babulka biorąc go za rękę — gdzie takie ptaszki latają co mają młodziutkie, lekkie skrzydełka!.. Za takiemi ptaszkami nie jeden karku nakręcił!..

Lepiéj szukać bliżéj ziemi i wybierać między temi, które nie tak wysoko latają!..

Stefan siedział zamyślony i nic na to nie odpowiedział.

— Widzisz? Nic nie odpowiadasz mój *Istvanku*?— szczebiotała znowu babulka—sam uznajesz, że mam słuszność! Boć to święta prawda co mówię! Tylko starzy uganiają za bardzo młodemi! A ty moje *kuku* jesteś przecież tak młodym!

— Chciałbym być bardzo starym!—odpowiedział zgryźliwie Stefan,

— A na co ci tego? To przyjdzie samo z siebie! Ja zawsze ze strachem myślę o starości!... Chociaż w téj chwili czuję się jeszcze młodą, to jest, nie starą, ale zawsze jest to okropnie gdy ta starość przyjdzie!... Prawda!... Dzisiaj jeszcze mam tyle gości ile chcę, a potém to i pies nie przyjdzie!..

Stefan nie mógł powstrzymać uśmiechu mimo zmartwienia jakie miał w téj chwili. Ułożony bowiem plan na nic się nieprzydał, a trudno mu jakoś było do zmienionéj sytuacyi naprędce porwane nitki tego planu nawiązać. Westchnął jednak po chwili i rzekł:

— *Madame!* Przepraszam, że moje odpowiedzi nie zawsze stosują się do słów wyrzeczonych. Jak powiedziałem myśli moje są rozpierzchłe, są przygnębione wielkim smutkiem!

— Wielkim smutkiem!... O mój mały *fru-fru!* czemuż mi o tém nie mówisz? Czy nie wiész że masz we mnie szczerze kochającą siostrę?

Rzekłszy to, przysunęła się do niego i obie ręce oparła na jego ramieniu.

— To być w żaden sposób nie może!— odpowiedział z tragicznem westchnieniem Stefan.

— Powiedz tylko mój *pli-pli*, powiédz; proszę cię, powiedz!

— Nigdy w podobném położeniu nie byłem, nie odważę się!

— Mów otwarcie, jak przed siostrą! Mów *baratom!*

— Zlituj się pani nademną... nie pytaj tak natarczywie, bo gotowym uledz!

— Nie, nie przestanę, póki mi wszystkiego nie powiész!.. Może ci potrzeba pieniędzy?

Stefan zarumienił się. Są pewne rzeczy, które w myślach nie sprawiają takiego wrażenia jak w słowach; wymówione po nazwisku mimowoli pędzą krew do twarzy.

— Mów mój *gris-gris*, czy chcesz pieniędzy—pytała natrętnie babulka.

Nieznośna! — pomyślał sobie Stefan — czego ona tak dziwnie stylizuje! Czy nie możnaby to jakoś inaczéj ubrać? Pocóż zaraz rzeczy tak obcesowo po nazwisku nazywać?

Była chwila, ale bardzo krótka chwila, że Stefan chciał wstać i za wszelką pomoc babulki podziękować. Chciał nawet zaprzeczyć, jakoby pieniędzy potrzebował. Było coś nader rozkosznego w téj przelotnéj myśli. Uczuł przelotną rozkosz dumy szlachetnéj... ale to uczucie wnet przeminęło!

Jak zmora złowroga wysunęło się mu przed oczy pojutrze... nowe stosunki jego kazały mu przyjąć wspaniale pojutrzejszych gości, z tego przyjęcia mógłby potem niejedną może korzyść wyciągnąć... jest to chwila dla niego stanowcza! Jeżeli z niéj nie skorzysta, jakież mogą być następstwa? Najsmutniejsze! Nowi znajomi ujrzeliby na nim tylko sztuczny blichtr, w słowach jego widzieliby prostą blagę... odwróciliby się z uśmiechem od niego!...

Nie, tak lekceważyć swego jutra nie można, pomyślał sobie Stefan i westchnął ciężko.

— Zgadłaś hrabina!.. Potrzeba mi pieniędzy—wystękał nie bez bólu.

— Widzisz ptaszku!.. Ja zaraz to po tobie poznałam! —odpowiedziała z kokieteryą babulka.

— Pieniędzy!.. Oj wam tylko pieniędzy zawsze potrzeba! Ale pamiętaj *Istvanku!* Jak mi się przeniewierzysz i nie będziesz tutaj codziennie bywał... to... raz tylko uda się sztuka! A zresztą muszę ci powiedzieć, że jestem mściwa, jestem Węgierka! Gdybyś na to zasłużył, to bądź pewny że moja zemsta wszędzie cię dosięgnie!..

Mówiąc to, podniosła zmarszczone ręce do góry, z których wysuwały się ostre, prawdziwie kocie pazurki.

Stefan się wzdrygnął na widok tych pazurków staréj kotki... ale za chwilę te same pazurki wyjęły z pugilaresiku kilka znakomitych biletów bankowych i wsunęły mu w zanadrze.

Poczuwszy na piersiach tuż przy sercu gruby zwitek banknotów, zapomniał Stefan o pazurkach i przebytych torturach, a rozkoszne pojutrze stanęło przed nim w całym blasku.

Szczęśliwy jeszcze wypadek dopomógł mu w jego nie nader przyjemnéj roli. Ozwał się dzwonek, i nowych gości zapowiedział służący. Stefan miał tylko tyle czasu, że babulkę mocno za rękę ścisnął i szybko ku drzwiom odskoczył.

X.

Tajemniczy człowiek.

W życiu Stefana nastąpiła teraz znaczna zmiana. Z wdzięczności dla Węgierki wziął sobie w hotelu *zur ungrischen Krane* dwa piękne saloniki na pierwszém piętrze, a w księdze podróżnych zapisał się „Graf Tarło“. Z podobnym tytułem kazał sobie wydrukować karty wizytowe.

Odźwierny i numerowy nic nie mieli przeciw temu tytułowi, bo wiedzieli, że wszyscy mieszkańcy z nad Wisły lubią po hotelach ten tytuł, za który sowicie płacą. Przeciwnie, dla hotelu było to nawet pewną dumą, jeśli wiele tytułów mógł na tablicy numerowy wykazać. Opowiadają, że pewnego razu gospodarz hotelu, gdy wstawszy od dobrego śniadanka na tablicę spojrzał i tylko jednego księcia i dwóch hrabiów znalazł, zagniewany odezwał się do odźwiernego:

— *Was ist das? Nur ein Fürzt und zwei dumme Grafen?* Zrób ich przynajmniéj dziesięciu. Żaden się za to gniewać nie będzie i każdy jeszcze więcej zapłaci!... Jutro niedziela, ludzie zazwyczaj przychodzą do hotelu szukać na tablicy dłużników, niechże przynajmniéj mają co czytać!...

I od tego czasu z wielką rozkoszą zapisywał odźwierny każdego hrabiego, a nawet sam dodawał te tytuły, mianowicie jeśli poznał, że lokator po polsku albo po francuzku mówi.

Stefan rzeczywiście, według zdania odźwiernego zasłużył na tytuł hrabiego. Najprzód najpierwszy, to jest najdroższy krawiec Gunkl przysłał mu całą pakę nowych ubiorów. Stefan codzień ubierał się w inne kurtki i żakiety, a trzeba przyznać, że umiał je nosić.

Herbata i partyjka z hrabiami węgierskimi i jednym księciem niemieckim, wypadła świetnie: Stefan nie tylko wygraną pokrył znaczne koszta wieczerzy, ale nawet coś mu się zostało.

Po téj wieczerzy otrzymał obywatelstwo tego kółka, w którém żyli jego goście.

Stefan pozwolił teraz sobie nawet przejażdżki w ekwipażyku, wprawdzie najętym, ale mającym pozory prywatnego; nawet lokaja posadził za sobą.

U Pauliny bywał bardzo często. Osobliwie herbatki *en famille* z nią razem i Anną bardzo lubił. Annę znalazł bardzo ładną i lubił jéj naiwność, którą starannie podtrzymywała Paulina, utrzymując ją względem swego położenia w pewnych złudzeniach.

U babulki zaś bywał rzadko i tak zawsze wizyty swoje urządzał, że zawsze zastawał tam liczne towarzystwo i nigdy ostatni nie wychodził. Babulka nie mogła się z nim wprost rozmówić i tylko przez różne alluzye dawała mu do zrozumienia, że nie jest z niego kontentą, a Stefan był w takim razie tak niedomyślnym, że takich alluzyj wcale nie rozumiał!

Tym sposobem przez kilka tygodni nader przyjemnie upływało mu życie. Prócz tego jeszcze zdarzył się wypadek, że Stefan przez pewnego znajomego Pauliny zażądał protekcyi w wyższych sferach rządowych. Znajomy Pauliny w roztargnieniu zażądał biletu Stefana i na nim kilka słów

napisał do referenta, którego znał dobrze. Referent opierając się na powadze protektora użył bez namysłu w urzędowéj odpowiedzi tytułu hrabiego.

Urzędowe pismo z podpisem wysokiego urzędnika zostało hrabiemu *dem hochwohlgeborem Hernn Grafen* przez woźnego doręczone na ręce gospodarza hotelu.

Pismo to leżało teraz zawsze u Stefana na stole. Spraszał nawet umyślnie gości, aby mogli obaczyć leżącą na stole urzędową korrespondencyę, w któréj nazwano go: *Graf!*

Trudno było odgadnąć, co właściwie Stefan z tym tytułem zamierzał. Tytuł sam przez się nie był złą rzeczą, ale tytuł dla człowieka biédnego jest wielkim zbytkiem! Kosztuje on w hotelach bardzo wiele!

Stefan jednak nie zważał na to, zdawało się, że wraz z tytułem wszedł w niego duch jakiegoś rzeczywistego hrabiego rozrzutnika: zaczął żyć na wielką, to jest, kosztowną stopę.

Paulina wiedziała, że to pieniądze babulki tak w świat umykają, ale często nad tém myślała, jaki właściwie koniec to wziąć może. I przyszła do tego przekonania, że Stefan rozrzutném życiem chce sobie poprostu kredyt wyrobić, jak to się w wielkich miastach zdarza, aby potém z tego kredytu dziesięć razy więcéj korzystać, niżeli rzeczywiście się straciło! Nie miała nic przeciw temu, bo zwątpiwszy raz o moralnych zasadach ludzkości, nie widziała więcéj w niczém powodów niemoralnych.

Podobało się jéj nawet, że Stefan otoczył się pewną arystokratyczną aureolą, co niemało wpływało na zbierające się u niéj czasem towarzystwo.

Kilka tygodni upłynęło w ten sposób. Stefan był oszołomiony swojém powodzeniem w stosunkach towarzyskich. Co dzień rozszerzało się koło znajomych, a znajomi ci należeli po większéj części do sfer wyższych tak pod względem urodzenia jako i majątku.

Pewnego dnia spostrzegł Stefan, że coś się koło niego dzieje, o czém nic nie wié.

Ile razy szedł do Pauliny na herbatę lub obiadek, widział zawsze stojącego przed kamienicą nieznajomego człowieka, który pilnie mu się przypatrywał i za nim patrzył, gdzie pójdzie.

Był to człowiek wysoki i chudy. Ubiór miał na sobie przyzwoity, gruby złoty łańcuch przy zegarku i funt bryloków z których kilka błyszczały drogiemi kamieniami.

Człowiek ten czasami stał w sieni przeciwległéj kamienicy i pilnie go obserwował.

Nawet przy mieszkaniu babulki spotykał często tego człowieka. Widział go nawet po hotelach i jadał z nim przy *tâble d'hôtes*, ale nie mógł się dowiedzieć, ktoby on był!

Człowiek ten widocznie śledził każdy krok jego.

Cóżby to była za przyczyna? Czy grozi mu jakie niebezpieczeństwo? Czy tajemna jaka intryga owija go niewidzialném pasmem, aby go potém nagle w przepaść jaką wtrącić? Czy może zazdrosna babulka najęła płatnego szpiega, który jéj ma donosić o wszystkich jego krokach?...

Zaczął się nad tém zastanawiać. Przechodził najrozmaitsze prawdopodobieństwa, ale po chwili namysłu żadnego z nich nie uznał prawdopodobném. Z władzą bezpieczeństwa nie był dotąd w żadnéj kollizyi. Nie przekroczył żadnego, choćby najnędzniejszego paragrafu kodeksu w znaczeniu litery.

Było to dla niego coś niepojętego, chociaż na ślad już kilka razy myślą wpadał.

Z krewnym Hohenstauffów nie wchodził w bliższe stosunki, raz że był to dziwak, a powtóre że był ubogi. Był jednak u niego i zostawił mu swoją kartę. Krewny Hohenstauffów dowiedziawszy się z karty, że w swojéj liberyi miał hrabiego, pośpieszył prędko z wizytą, a nie zastawszy go w domu zostawił mu nawzajem także kartę swoją.

Pewnego dnia przypomniał sobie Stefan krewnego cesarzów i poszedł do niego. Miał w tém pewny planik, który chciał dla swojéj satysfakcyi przeprowadzić.

Krewnego Hohenstauffów zastał jak zazwyczaj przy czyszczeniu szorów. Właśnie nie miał w téj chwili nikogo do swojéj liberyi i musiał za to wysłużonemu żołnierzowi kilkanaście centów płacić!

— Hrabio — rzekł do Stefana krewny Hohenstauffów — oszukałeś mnie. Wlazłeś tak gładko w liberyą jakbyś był plebejuszem. Tak nie godziło się ze mnie żartować!

— Widzisz hrabio — odpowiedział Stefan z uśmiechem —wszystkiemu temu winny doktryny wieku!

— Ale człowiek wysoko urodzony, powinien mieć wrodzony wstręt do liberyi!

— Zaciera to się czasem hrabio!

— Masz słuszność.. przez mieszanie krwi! Te doktryny wieku wszystkiemu winne!.., Czy wiesz hrabio, jakiego następcę miałeś w liberyi?... Był to dyrektor teatru, któremu przyszło do głowy, dawać w swoim teatrze same sztuki klassyczne! Zbankrutował biedak, bo pnbliczność chciała głupich fars i karczemnych operetek!... Wyobraź sobie hrabio, znalazłem go na téj saméj ławce co ciebie. Był to człowiek nader wyrozumiały. Od razu wlazł w liberyą, co było bardzo naturalném, bo aktor uczy się wszystkiem być... Biédny dyrektor. Powodzenie Schupego i Offenbacha tak go martwiło, że musiałem go zaprowadzić do domu obłąkanych.... Oto dzisiejsze doktryny!

Stefan zmarszczył czoło, zapalił cygaro i ozwał się po chwili milczenia:

— Ale wracając do liberyi... winieneś mi hrabio satysfakcyę.

— Myślałem o tém—odparł z największym spokojem krewny Hohenstauffów chuchając na posrebrzaną blachę.

— I jakże tę rzecz załatwimy?.... Wsadziłeś mnie w liberyę?

— Prawda i jakkolwiek z niewiadomości to popełniłem, jednak masz hrabio zupełny regres do mnie.

— Przychodzi mi dobry koncept do głowy. Byłem hrabio twoim lokajem, gdy ty jechałeś w swoim ekwipażu... teraz ja w nim pojadę, a ty hrabio będziesz lokajem!

— Nic słuszniejszego nad to żądanie—spokojnie odpowiedział krewny Hohenstauffów— rozumie się, jeśli sprawa jest między równemi. Dowiadywałem się już o rodzie Tarłów i wiem że są godni Fichtenauów!... A więc kiedy hrabia chce téj satysfakcyi?

— Może zaraz?

— Dobrze!

Za godzinę darli dwaj cesarzowie, Barbarossa i Henryk Ptasznik przez „Karnthnerring“ a za nimi toczył się elegancki powozik z herbem na drzwiczkach.....

Stefan powodził końmi nadwyczaj wprawną ręką i z elegancyą prawdziwie arystokratyczną. Za nim, złożywszy wkrzyż ręce siedział krewny Hohenstauffów z taką powagą i uroczystością, jakby odbywał pokutę za popełniony grzech śmiertelny, poczém miało nastąpić rozgrzeszenie.

Niedaleko swego mieszkania spotkał Stefan znowu tego tajemniczego człowieka, który wszystkie kroki jego śledził. Spotkanie to, jak się zdawało, uradowało Stefana. Nadzwyczaj powoli przejechał koło niego i spostrzegł, że tenże z uwagą przypatrywał się herbom.

Za kilka chwil powiedział krewnemu cesarzów, że już ma teraz wszelką satysfakcyę i że teraz zostaną przyjaciołmi od serca: Fichtenau podał mu rękę i obaj rozeszli się.

Zaledwie do swego mieszkania przyszedł, zapukał ktoś lekko do drzwi.

Do pokoju wsunął się powoli ów człowiek tajemniczy. Stefan przypatrzył mu się teraz bliżéj!

Był on chudy i wysoki, podobny do illustracyi Don-Kiszota. Osobliwie uderzyło Stefana, że człowiek ten jakby ustawicznie coś połykał: węzeł krtani chodził mu to na dół, to do gory.

— *Herr Graf*—ozwał się tajemniczy człowiek—jestem Jonas Schmilles, jeden z braci znanego tutejszego wekslarskiego kantoru, który prowadzi interesa bankierskie!

Stefan uśmiechnął się, prosił wekslarza aby usiadł i podał mu drogie cygaro.

— Cóż za interes sprowadza tak szanowną spółkę do mnie? – zapytał.

— Interes bardzo dobry i zyskowny, Herr Graf! – odpowiedział Jonas i połknął.

— Czy mogę coś bliżéj o nim wiedzieć?

— Najprzód chcielibyśmy wiedzieć, czy pan graf chce w jaki przedsiębiorczy interes wchodzić?

— Hm... to zależy od interesu! Wprawdzie dawniéj interesa podobne zostawialiśmy innym ludziom, ale dzisiaj zmieniły się idee, a jak pierwéj obowiązkiem naszym było iść na czele hufców wojennych, tak dzisiaj obowiązkiem naszym jest pomagać ludzkości do walki o lepszy byt materyalny!... Są to zawsze obowiązki względem społeczeństwa!

— Pan Graf mówisz bardzo rozsądnie! Tak być powinno, chociaż inni ludzie inaczéj mówią! Dzisiaj „spółka“ to więcéj niżeli największy pan! Co dawniéj sto panów nie zrobiło, to dzisiaj zrobi „spółka“.

— Z jakimże interesem przychodzisz do mnie panie *Jonas Schmilles*?.

— Interes jest teraz u nas jeden i ten sam. Zawiązujemy spółki dla banków, kolei żelaznych i innych przedsiębiorstw! Są to interesa najlepsze i przynoszą miliony!

— Jakto, czy wszystkie tak się dobrze udają?

— Udają czy nie udają, to do nas nie należy... my zakładamy! W tém jedném słowie jest nasz zysk, jest nasza spekulacya!... Jeżeli kto kamienicę buduje na to, aby ją sprzedał, gdy się skończą wszystkie roboty, cóż go to obchodzi, czy ta kamienica będzie stała sto lat, czy dwieście!

Stefan uśmiechnął się; znał on się już trochę na takich interesach.

— I jakiż przedmiot do téj spółki obieracie panowie? Tyle jest już banków!

— Banków mamy bez liku! Nasze przedsiębiorstwo będzie czysto przemysłowe. Ogólna nasza nazwa będzie: „Spółki eksploatacyi“. Weźmiemy w nasz zakres wszystko co tylko da się w jakikolwiek sposób eksploatować. Zniżymy się do najmniejszych napozór artykułów, które jednak w massie miliony przynoszą. Nie wzgardzimy zapałkami ani sztyftami do butów! Drobne bowiem rzeczy zostawione są dotąd fabrykantom ubogim, którzy bez kapitału je produkują: my z kapitałem zabijemy wszystkich i cały zysk zagarniemy!..!

— Chciéj mi pan coś bliższego o tém powiedzieć!

— Całego planu użyczę panu Grafowi późniéj, dzisiaj tylko w kilku słowach zamysły nasze skreślę, w których główną rolę gra zakupno lasów karpackich i większych tamże obszarów ornych, aby je potém z korzyścią parcelować. Na wytrzebionych lasach założymy kopalnię asfaltu, ałunu, potażu, soli, nafty i srebra, którego są już ślady. Słowem „spółka exploatacyi“ narobi hałasu na całą Europę, a miliony cisnąć się będą do nas!

Przy słowie „miliony“ wyprostował Stefan nogi i wydmuchnął całą chmarę dymu na Jonasa Schmillesa, chcąc go

za to słowo otoczyć obłokami! Schmilles Jonas połknął kilka tych obłoków.

— Zależeć to jednak będzie od pierwszego wrażenia!— zauważył Stefan.

— Pierwsze wrażenie już mamy zabezpieczone. Za pewną liczbę akcyj zakładowych pozyskaliśmy kilka znakomitych dzienników, które natychmiast sprawę tę podniosą do znaczenia europejskiego.

— Nie wiem jednakże, czego właściwie spółka odemnie żądaćby mogła!... Na razie nie jestem przy gotowym kapitale.....

Jonas Schmilles połknął, uśmiechnął się nieznacznie i odpowiedział:

— Pan graf nie potrzebujesz dać ani centa! Kto ma takie nazwisko i stosunki, ten już ma kapitał, a o ten kapitał właśnie prosimy hrabiego, abyś go włożył do naszego przedsiębiorstwa.

— Moje stosunki.... moje stosunki nie wiem czy byłyby w tym względzie tak znakomitym kapitałem!

— Pan graf przecież w dobrych stosunkach z panią baronową.... a to wiele znaczy!

Stefan uśmiechnął się jak człowiek nadzwyczaj zadowolony. Uśmiech ten miał być odpowiedzią.

Teraz dopiero przypomniał sobie owe cyfry wysokie, wyczytane z podkładki papierowéj w owym pokoiku Pauliny, które jakaś nieznana tam ręka nakreśliła...

— A nazwisko pana grafa jest nam bardzo potrzebne— prawił daléj wekslarz—bo my przedwszystkiem chcemy przez ustanowienie tanich akcyj działać na sfery uboższe. Jakkolwiek firma nasza „*Gebrüder Schmilles*" znaną jest powszechnie całemu światu finansowemu, ale lud na prowincyi i uboższa klassa po miastach i miasteczkach więcéj lgnie do dawnych rodów i tytułów!

— Więc spekulacya ta obliczona jest przedewszystkiem na sfery uboższe!

Jonas przełknął raz i drugi i odparł:— Tak jest!

Stefan zamyślił się na chwillę. Była to operacya znaczna, mająca głównie na celu ludzi ubogich, łatwowiernych. Spółka namacalnych korzyści na przyszłość nie miała, ale

mogła zawsze przez małe akcye zgromadzić znaczne miliony. Coby się stało potém z temi milionami?...

Dziwny jakiś prąd elektryczny przebiegł po całém ciele Stefana. Było to jakieś dziwne, nieokreślone uczucie. Trwoga wewnętrzna opanowała go.

Cóżby to mogło być za uczucie? Czy to jest obawa, że w razie niepowodzenia spółki, tysiące biednych ludzi stracą krwawą pracą uskładane małe kapitaliki i zejdą do nędzy i rozpaczy. Czy to jest proste przeczucie że cała ta operacya jest z góry obliczona na wydarcie tym biednym uskładanego grosza?.... A może ten dreszcz dziwny jest tylko skutkiem tego czarodziejskiego słowa: miliony?...

Była znowu krótka chwilka, ale nader krótka, że Stefan chciał się cofnąć od téj propozycyi. Ale zaraz po niéj przyszła mu smutna myśl, że pieniądze babulki i inne, które za pomocą znajomości swoich uzbierał, już są na schyłku, a powtórny szturm do babulki nie przedstawiał wiele szans wygranéj!....

Gdy się obliczył, był prawie bez jutra, a całe jego dzisiejsze państwo mogło za kilka dni runąć jak domek z kart i rzucić go napowrót tam, gdzieby już drugi raz w życiu wrócić nie chciał!...

Nie było żadnéj innéj drogi.... potrzeba było iść tą, którą mu los wskazywał!

A zresztą czyż on jeden tą drogą pójdzie? Czyż nią nie idą inni? A do tego!, czyż każde podobne przedsiębierstwo ma być szalbierstwem? Może wprawdzie zbankrutować, akcyonaryusze stracą swoje akcye.... ależ czyż to pierwsze przedsiębiorstwo w ten sposób bankrutuje i jeszcze przecież nikogo do kryminału nie wsadzili?....

— Zachodziłyby tu jeszcze niektóre trudności—ozwał się po chwili Stefan—jakież na przykład byłoby moje stanowisko?

— Byłbyś pan najprzód jednym z założycieli—odpowiedział Jonas—na prezesa wybralibyśmy jednego ze znakomitych mówców państwa, który należy do skrajnéj opozycyi przeciw ministrowi!

— Ze skrajnéj opozycyi? Co to znaczy? Spółka potrzebuje figur rządowych?

Jonas przełknął, rozśmiał się z pewną zarozumiałością i odpowiedział:

— Mamy w tém jeszcze pewne obliczenie. Minister nie potrzebuje figur, które już są z przekonania i pozycyi rządowemi, ale potrzebuje kaptować oponentów. Im krzykliwszy jest oponent, tém większe może miéć względy, bo chodzi o to głównie, aby mu gębę czém zatkać. Już takich gąbek pozatykało się wiele i ledwie jeszcze jedna z lepszych dla nas została!

— Spółka dobrze umié rachować!

— Idźmy daléj. Gdybyś pan graf był tylko założycielem, to między niémi znikłoby nazwisko grafa, tak samo jak kiedy człowiek między dwódziestoma znika. Otóż spółka aby należycie spożytkować nazwisko grafa, zamianuje go swoim sekretarzem generalnym w ten sposób, że to nazwisko dwa razy figurować będzie na wszystkich odezwach naszych: raz jako założyciel, a drugi raz jako sekretarz generalny!

— Hm, hm, to myśl nie zła!—zauważył Stefan i wydmuchnął znowu chmary dymu.

— Rozumié się—wtrącił prędko Jonas—że sekretarz pobiérać będzie pensyę dziesięć tysięcy złotych reńskich.

Stefan rozłożył szeroko nogi, zatknął obie ręce do kamizelki pod ramionami i zaczął jedną chmarą dymu po drugiéj puszczać to przez nos, to po pod wąsy aż do drzwi pokoju.

— Oprócz tego pewną ilość akcyj, jaką każdy założyciel bierze sobie za risico interesu i kapitału zakładowego na pierwszy moment!

Stefan podwoił chmary dymu. Chciał jeszcze daléj nogi wysunąć, ale już stawy nie pozwalały!

— Interes jest do przyjęcia—odpowiedział po chwili namysłu z udanym spokojem—chodzi tylko o to, aby przedsiębiorstwo miało dobrą przyszłość.

— Jakabądź jego przyszłość będzie—odparł z ukrytym uśmiechem Jonas—staraniem spółki i jéj kierowników będzie aby pierwsi założyciele i sekretarz generalny dobrze na tém wyszli!

Stefan powstał, bo potrzebował odetchnąć pełną piersią. Na znak zgody podał rękę Jonasowi.

— Więc interes skończony Herr Graf— rzekł Jonas— resztę na posiedzeniu poufném!

I obaj rozstali się jak dawni zażyli przyjaciele.

XI.

U szczytu!

Stefan stanął teraz prawie u szczytu szczęścia swego. Co tylko kiedykolwiek zamarzył, wszystko to było dzisiaj rzeczywistością, a nawet przewyższało wszelkie jego dawniejsze marzenia!

Najprzód oddał hołd swemu mistrzowi z Frankfurtu, który kazał mu pozbyć się swego małego jutra aby zakroić na wielkie i zdobyć je! Poznał teraz, że tylko brak tego małego, wygodnego jutra, pozwolił mu pozbyć się wielkich tkliwszych skrupułów, które zazwyczaj spokojnego człowieka napastują, a o których nic nie wié człowiek, który głodny walczy o swoje jutro!

Gdyby Stefan był mająteczek ojcowski zatrzymał, lub jaką nauką pożyteczną na jutro mógł sobie zarobić, byłby dzisiaj malutkim człowieczkiem o tysiącu najwięcéj złotych dochodu! Byłby chodził po bożym świecie głodny i skulony i żółciowém okiem patrzałby na wszystko coby go otaczało! Rachować-by się musiał z każdym kęsem chleba, z każdą drobną przyjemnością i zdala patrzałby z upragnieniem na ludzi bogatszych, ktorzy swobodnie bożych darów używają!

On zaś dzisiaj stanął w pierwszym szeregu szczęśliwych śmiertelników! On nie potrzebuje na nic się oglądać, potrzebuje tylko zamażyć i chciéć, a wszystko staje się podług jego woli!....

Czy jednak na tém zyskał człowiek moralny?.... Oto w téj chwili nie pytał się Stefan.

Dostatki mają tę właściwość, że mogą zapełnić wszystkie chwile życia. Nieszczęściem byłoby tylko, gdyby nastąpiła jaka pauza! Pauza ta jest tém okropniejszą, że śród niéj odzywa się ów człowiek moralny, który pod natłokiem różnorakiego użycia zapada w letarg i zdaje się być umarłym!

Takiéj pauzy jednak nie było teraz w życiu Stefana.

Operacye nowej spółki rozpoczęły się. Gromadzono ogromne kapitały. Zewsząd małemi strumykami ściekały do głównego koryta małe fundusze ubogich i tworzyły razem miliony.

Ci, co zarządzali tymczasowo temi milionami, brali sobie z nich za trudy swoje pełnémi garściami!....

Bracia Schmilles uwijali się w angielskich karetach po ulicach i rzucali tymczasowo te miliony na giełdę. Generalny sekretarz założył sobie dom wspaniały, bo życzeniem spółki było, aby na massy działać ostentacyą niezmierzonych dostatków!... Dwóch ludzi w liberyi stało w przedpokoju i otwierało na oścież każdemu biédnemu wspaniałe podwoje, który wnosił swój grosz długoletnią pracą złożony! Trzy dzienniki stołeczne i dwa zagraniczne umieszczały codziennie długie artykuły o nowéj spółce, prorokując jéj powodzenie niesłychane!.....

Przez zajęte teraz stanowisko wszedł Stefan w stosunki z najbogatszemi domami stolicy. Wielu było między niémi, którzy w krótkim czasie na giełdzie dorobili się znakomitych majątków.

Ci rycerze giełdy byli to ludzie dziwnego rodzaju. Najczęściéj bez żadnego humanitarnego wykształcenia przyszli nagle, bez pracy, bez stopniowego powodzenia, do milionów. Z milionami przyszła im chęć użycia świata i tego wszystkiego, co życie daje. Życie jednak znali tylko z powierzchownéj skorupy i zdawało im się, że koncha nie dla swojéj ukrytéj perły, ale dla skorupy jest tak drogą!

I tak widząc z przeczytanéj pobieżnie poezyi i ze słuchu, że istnieje miłość na świecie, chcieli użyć obok pasztetów sztrasburskich i ostryg, także i tego specyału, o którym im powiedzieli poeci że jest rodem z nieba i daje wyobrażenie o rozkoszach niebieskich!

Oni mieli miliony, dlaczegóżby przy milionach nie mieć także miłości?

Spędzano więc stada najpiękniejszych kobiét, na które najczęściéj składały się szare ogony taatrów i instytutów choreograficznych i wyprawiano im uczty lukullusowe! Wino lało się potokami, najdroższe przysmaki połykano jak chléb codzienny, sadzono się na ohydne dowcipy, robiono najformalniejsze kontrakty o posiadanie serca na pewny przeciąg czasu, i to nazywano miłością!

Bachanalia takie wzięto za synonim najszlachetniejszego z uczuć ludzkich!

Nie ma szpetniejszéj poczwary nad człowieka, który oślepł na rzeczy szlachetne i wyższe! Jestto gąsienica, która nie tylko objada zielone listki drzewa, ale oślinia oraz miejsca, po których brzydkiém cielskiem swojém przeprzełznie!...

Śród takich po większéj części ludzi wpadł teraz Stefan. Usposobienie jego kwadrowało wprawdzie do nich, ale przecież prześcignęli go oni w niejednym względzie. Stefan przywiązywał przynajmniéj pewną wagę do pozorów, tamtych atmosfera cuchnęła najgrubszym cynizmem!.. Stefan uważał życie podobne prawie za środek do uzyskania wielkich bogactw, o których zawsze marzył, dla tamtych życie takie było już celem, bo bogactw mieli podostatkiem!

Stefan był teraz w ustawicznym szale. Po kilkogodzinnéj pracy w biórze następowały gromadne zabawy. Urządzano wytworne obiady, potém dla strawienia, szli wszyscy do lóż pierwszopiętrowych, aby pannę Galmejer podziwiać w „Pięknéj Helenie“ a około północy w zamkniętych szczelnie lokalach zjadano kosztowne wieczerze w towarzystwie wygorsowanych i wyróżowanych bajaderek!

W ten sposób wyobrażano sobie ideał kobiecy!

Przy téj sposobności rozmawiano wiele o różnych odniesionych zwycięztwach. Każdy chełpił się jakąś awanturką niby miłosną i szeroko o niéj swoim towarzyszom opowiadał! Ten znowu odkrył to, drugi owo i zawiązywały się sojusze, aby rzeczy daléj prowadzić.

Stefan powoli oswajał się z tém życiem. Często nawet dla interesu spółki potrzeba było utrzymywać stosunki z takiemi ludźmi. Czasem nawet sami bracia Schmilles dawali pieniądze na takie zabawki. W początkach zawiązku mianowicie i w pierwszych tak zwanych przedwstępnych operacyach, potrzeba było niektórych ludzi, którzy do takiego grona należeli.

Było to więc dla Stefana nieustanne delirium. Tysiące przemykały się mu przez palce. Własny ekwipaż obwoził go po ulicach stolicy. Każdy dzień powiększał koło jego znajomości.

Śród tego nieustannego ruchu, śród téj zmiany ludzi i obrazów, prawdziwym wypoczynkiem dla niego była... herbata u Pauliny.

Paulina miewała także towarzystwo u siebie, ale było to kółko wybrane, które musiało zachowywać pewne pozory towarzyskie. Być może, że takich pozorów sama pragnęła, a być może, że czyniła to dla swojéj towarzyszki, którą się mocno cieszyła. Mimo wszystkich swoich stosunków towarzyskich, czuła się jednak zawsze osamotnioną. Wielką więc dla niéj przyjemnością było, jeśli wkoło siebie miała towarzyszkę, któréj inne mogła wpoić o sobie wyobrażenia, niżeli mieli zwykli jéj goście. Dla téj więc przyczyny nie pozwalała u siebie na żadną głośniejszą zabawę, a wolniejsza rozmowa była z jéj salonu zupełnie wykluczoną!

Być może, że to było potrzebą dla niéj, być może, że było tylko umiejętne wyrachowanie.

Stefan był zawsze u niéj mile widziany. Najprzód przypominał on jéj młode chwile życia, a powtórnie był jéj prawdziwym przyjacielem, jeśli między takiemi ludźmi jakakolwiek przyjaźń istnieć może. Unikał on u niéj tłumnego zebrania i najczęściéj przychodził wtedy, gdy prócz Anny nikogo nie było.

Była to dla niego prawdziwa chwila wytchnienia. Paulina umiała rozmawiać jak kobieta wysoko wykształcona w granicach najwyższéj przyzwoitości, a Anna czyniła to samo, tylko z odmiennego powodu, to jest, że u niéj nie było to ani nauką, ale wrodzoną naturą.

Horyzont Anny nie był zbyt rozległy, ale umiała zawsze i wiedziała tyle, ile dobrze wykształconéj kobiecie potrzeba. Najwięcéj dodawał jéj uroku pewien praktyczny pogląd na świat i ludzi. Mimo melancholijnego uśmiechu, który sieroctwo wycisnęło jéj na twarzy, widziała cały świat i ludzi w różowém świetle. Usposobienie to nadawało jéj cechę naiwności młodego dziecka.

Stosownie do tego usposobienia przekształciła Paulina całą jéj dotychczasową powierzchowność: kazała jéj długą sukienkę zrzucić, splecione warkocze bujnych włosów rozpleść; natomiast włożyła na nią krótki fijołkowego koloru kostium ze stanem wysoko podniesionym. Kostium ten odsłonił prześliczną jéj nóżkę, która nietylko była zgrabną, ale umiała także zgrabnie stąpać. Włosy spadły w naturalnéj fali na barki i długością swoją zachwycały nie jednego Wiedeńczyka.

Postęp ten odbywał się w oczach Stefana, a czasem nawet i za jego radą. Stefan widział, jak to dziecko natury przybierało zwolna skrzydełka motyle, a skrzydełka te, były z każdym dniem piękniejsze, z każdym dniem miały więcéj bogactwa barw i światła!...

Herbatka więc u Pauliny była dla niego jakby małą oazą śród przesytu życia.

Z Anną lubił rozmawiać długiemi godzinami. Budziła się wtedy w nim jakaś struna, która mu pierwsze jego marzenia przypominała. Śmiejąc się opowiedział jéj nawet przygodę swoją ze starym pedagogiem tyczącą się kominów i ideałów.

Paulinę nastroiła ta rozmowa melancholijnie, a Anna śmiała się z pedagoga, który w wielkim był kłopocie z powodu bliższych wypytywań Stefana o ideały!

Wieczorki te, jakkolwiek dla Stefana nader przyjemne, nie miały jednak z jego strony żadnéj myśli ukrytéj. Paulinę uważał jako dobrą znajomę, któréj stosunki pozwalały mu o kilka godzin pierwéj wiedzieć o różnych telegramach giełdowych, z czego także i dla niéj niejaka korzyść się okroiła; Anna zaś była dla niego bardzo piękną i nader miłą dziewczyną, któréj widok i rozmowa po bachanaliach choreograficznych były bardzo przyjemne. Nadto nic więcéj.

Paulina pod względem swojéj osoby była z nim w dobrém porozumieniu. Po tém co było, i co ich teraz od siebie przedzielało, wiedziała dobrze, że na jakieś lepsze uczucia ze strony Stefana liczyć nie może; wiedziała również, że zupełnie odmienne cele w życiu sobie zakreślili, z czém się przed nią bynajmniéj nie taił; niebyła ona zresztą dzisiaj tak pochopną do jakichś złudzeń.

Z Anną była inna sprawa. Młoda naiwna dziewczyna patrzała na świat sercem niewinném; nie wiedziała co złoto, a co moneta zdawkowa.

Być może, że rozmowy z Stefanem wywarły jaki wpływ na jéj serce sieroce. Stefan mógł się podobać na pierwsze wejrzenie, a w chwilach, w których go widywała, był on zawsze lepszym człowiekiem, niżeli zwyczajnie; przynajmniéj mówił tak, jak tylko zacny i poczciwy człowiek mówić może.

W saméj rzeczy Stefan, usiadłszy sobie wygodnie na wysokości swego powodzenia, miał nawet może ochotę zostać lepszym człowiekiem i użyć swoich dostatków lepiéj, niżeli inni to czynili. Główną gorączką jego było przerzucenie się ze sfery biédniejszéj w bogatszą. Nie czynił on złego dla złego, ale czynił to w tém mniemaniu, że ono może go do celu doprowadzić!

Instynkta więc Anny nie byłyby może tak złe, jakby się napozór wydawały.

Widać było po jéj twarzy, że lubiła Stefana słuchać, gdy rozmawiał, widać było w jéj oczach pięknych niezwykłą radość gdy wszedł do pokoju; a z drugiéj znowu strony były różne dolegliwości moralne i fizyczne, gdy długo u Pauliny go nie było.

Razu jednego, zbiegiem nadzwyczajnych okoliczności, rozwinął się ten starannie ukrywany pączek, w okazały kwiat róży.

Było to jakoś w kilka miesięcy po rozpoczęciu przedwstępnych operacyj spółki, gdy Stefan zmęczony interesami i niewyspany z wczorajszych bachanaliów, zamierzył pójść do Pauliny.

Niemka otworzyła mu drzwi jak dobrzemu znajomemu, ale z boleścią oświadczyła że *madame la baronne* właśnie gdzieś wyszła za jakimś sprawunkiem.

Mimo téj odpowiedzi Niemki, otworzyły się cicho drzwi salonu, a blada twarzyczka Anny uśmiechnęła się do Stefana. Stefan zawahał się na chwilę, czy ma iść do salonu, czy tylko kilku słowy ją powitać.

— Może pan na chwilę wejdzie?—przerwała to wahanie Anna i szybko cofnęła się od drzwi.—Już w samym głosie Anny spostrzegło wprawne ucho Stefana coś niezwykłego. Był on tak drżący, jak struna metalowa i ostro wrzynał się w nerwy słuchowe.

Stefan otworzył drzwi do salonu.

Teraz przedstawił mu się widok tak dziwny, jaki tylko mógł widzieć na scenie w dramacie.

Na środku salonu stała Anna cała drżąca. Długie jéj włosy spadały bezładnie na ramiona. Czoło miała więcéj odsłonione niżeli zwykle. Było ono dzisiaj nader charakterystyczne. Sine pręgi przebiegały w różnych kierunkach.

Wyraźnie widać było na niém ruch myśli niespokojnych. Bladość twarzy była nadzwyczajna: z taką bladością mają tylko duchy chodzić po świecie...

— Ach panie!—zawołała tym samym dojmującym głosem, który wnikał do głębi duszy—ach panie Stefanie, ratuj mnie!.. Ratuj mnie pan, bo tutaj nikogo nie mam więcéj!...

Załamała drobne rączki, spuściła oczy, a twarz jéj oblała się szkarłatnym rumieńcem.

Stefan nie spodziewał się tak nagłego zwrotu: postąpił szybko ku niéj i wziął ją za rękę.

— Cóż pani takiego?—zapytał szybko—czy pani grozi jakie niebezpieczeństwo?

Anna patrzała ciągle w ziemię. Rumieniec na twarzy rozszerzał się coraz więcéj.

— Ja nie mogę tutaj dłużéj zostać! — wyszepnęła z cicha, a dwie łzy staczały się z jéj oczu.

Stefan na chwilę zmieszał się. Jeżeli bowiem atmosfera tego domu wydała się Annie nieczystą, spadała poniekąd wina i na niego, bo i on przebywał czasem w téj atmosferze!

— Do pana mam zaufanie—mówiła daléj Anna—bo pan zupełnie innym jesteś od tych, których tutaj poznałam. Pan do nich nie należysz, bo nawet baronowa jest w obec pana inną!

Stefan odetchnął. Spadł mu kamień z serca. Anna policzyła go do wyjątków; mógł więc śmiało teraz zapytać się jéj, jakie właściwie niebezpieczeństwo zagrażało jéj w tym domu.

— Może kto był niegrzecznym dla pani?—zapytał z postawą mściciela.

— Nie, panie. Mnie tutaj nikt nic złego nie uczynił—odpowiedziała Anna—ale... ale ja nie mogę tutaj dłużéj zostać! Muszę ztąd pójść, muszę pójść jak najprędzéj, bo umrę!

Anna mówiła to śród tak widomych cierpień, tak dziwnie drżał jéj głos, a na twarzy tak różnorakie grały kolory, że Stefan był zmuszony wziąć ją za rękę i powoli na fotelu posadzić.

Głowa Anny z rozwianemi włosami upadła teraz na poręcz fotelu.

Wyglądała w téj pozie czarująco!

Stefan patrzał czas niejaki na ten piękny obraz. Wiedział on już dobrze, o co Annie chodziło; nie chciał więc zbytniem pytaniem drażnić jéj.

— W jakiż sposób chcesz pani opuścić ten dom?—zapytał po chwili—czy masz pani jakie zamysły?

— Nic nie mam, żadnych planów ani zamysłów—odpowiedziała—prócz téj myśli aby jak najprędzéj ztąd pójść!

— Gdzież chcesz się pani udać?

— Nie mam nikogo tutaj; nic nie mam prócz zaufania do pana, prócz...

Anna umilkła nagle, a Stefan zamyślił się.

— Chciałbym jakim sposobem dopomódz pani—rzekł po chwili—ale nic mi nieprzychodzi do głowy!

— Spuszczam się zupełnie na pana, bo mam do pana zaufanie!

— Możeby się znalazło jakie pomieszczenie u moich znajomych?...

— Rozporządzaj pan mną! Będę sługą, będę piastunką do dzieci, tylko tutaj nie będę!

Anna drżała cała jakby była w konwulsyach; wzrok jéj był niespokojny, jakby się ciągle obawiała.

Stefan tymczasem myślał nad jakim sposobem, aby jéj życzeniu zadość uczynić.

Naprędce jednak trudno było coś wynaleźć. Nigdy o podobnych interesach nie myślał, a większa część jego znajomych była tego rodzaju, że nigdyby im ubogiéj dziewczyny nie chciał powierzyć.

— Na razie nic nie mogę wymyślić—odpowiedział—trzeba się dopiero za tém obejrzéć. Jeżeli, jak pani mówisz nikt tutaj pani żadnéj niegrzeczności nie powiedział, to bądź pani cierpliwą i zostań tutaj jeszcze czas niejaki, choćby tylko kilka dni, a ja tymczasem coś obmyślę i panią o tém zawiadomię.

Anna wyciągnęła skwapliwie rączkę, którą Stefan serdecznie uścisnął.

— Ach, tylko zlituj się pan, nie przeciągaj chwili ratunku, bo każda sekunda będzie mi wiekiem tutaj!...

Stefan musiał się spieszyć, bo z każdego względu nie chciałby, aby Paulina zastała go w téj chwili u siebie; przy-

obiecał więc Annie, że jaknajprędzéj przyjdzie tutaj i pożegnał ją.

Zdarzenie to wydało mu się tak dziwne, że zaniechał już dalszych swoich wizyt i prostą drogą do domu powrócił. W domu nakazał służącemu nie wpuszczać do siebie choćby najlepszych znajomych.

Pod dziwném wrażeniem usiadł na krześle i zaczął o tém zdarzeniu myśléć.

Widok Anny sprawił dzisiaj na nim szczególne wrażenie. Słaba kobieta, bez nikogo na świecie oddaje mu się w opiekę i wierzy mocno, że nadzieja téj opieki nie zawiedzie jéj!... Miała jakiś nadzwyczajny urok, gdy go o tę opiekę błagała... była tak piękną i zachwycającą...

Stefan zamyślał się głęboko. Myślał długo. Wstał i zamyślony chodził po pokoju i znowu usiadł aby myśléć!..... O czémże tak myślał?. Czy szukał między znajomémi miejsca dla niéj?

Wreszcie sen przemógł wszelkie myśli uporczywe. Rano ubrał się szybko, aby wejść między znajomych; ci zaś czekali go już od dawna. Był projekt wspólnego obiadku na większą skalę. Miano także zaprosić kobiéty. Stefan nie mógł się wymówić, bo właśnie na tym obiadku chciał się zejść z niektórymi znajomymi, których potrzebował w swoich interesach.

Obiadek był wesoły i wyśmienity. Szampan strzelał całemi bateryami i rozwiązał język biesiadników, którzy teraz zaczęli przechwalać się z różnych zwycięztw swoich i skarbów.

— Pani Weronika prześliczna osoba!—rzekł jakiś opasły wexlarz i wychylił kielich.

— Kosztuje mnie drogie pieniądze!—odparł sąsiad— Cały jéj sklep z *hautes nouveaute's* za moje obligi pierwszeństwa kolei północnéj!.... Naléj kieliszek!

— To pan urządziłeś jéj ten nieszpetny sklepik?

W ten sposób rozmawiano daléj i o innych pięknościach, które przez szklanne drzwi wyglądają tak pięknie i wspaniale w pysznych magazynach!

Stefan pił dzisiaj więcéj niżeli zwykle, przyjaciele żartowali sobie z jego dzisiejszego usposobienia i wyliczali po

tuzinie najpiękniejszych statystek teatralnych, która z nich sprawi na nim najlepsze wrażenie!

Odgryzał się jak mógł i żartował z innych nawzajem używając ich języka. Tym sposobem powoli wciągnął się w ich sposób mówienia, w ich wyobrażenia i zasady. Naśladował z powodzeniem to wszystko, a nawet ku powszechnemu zadowoleniu opowiadał różne wesołe anegdotki i facecyjki. Późno w noc rozeszło się towarzystwo. Stefan musiał nawet kilka choreograficznych artystek do domu odprowadzać.

Nazajutrz wstał wesoły i uśmiechnięty. Ubrał się prędko i zaczął sobie pogwizdywać niektore aryjki z „pięknéj Heleny“, która mu zawsze niezrównaną *Gallmejer* przypominała....

Potém kazał zaprządz i pojechał na przedmieście „Wienervordstad.“

Tam kazał powoli jechać. Oglądał każdy sklep z wielką uwagą.

Przy jednym z nich kazał stanąć. Był to mały sklepik pachnideł. Na szklannych drzwiach była kartka z napisem: „z wolnéj ręki do sprzedania“.

Stefan wstąpił do tego magazynu i tam niejakiś czas z właścicielką rozmawiał.

Potém kazał zawrócić na „Kernthnerstrasse”, a wiedząc dobrze, że Paulina w tym czasie wyjeżdza po sprawunki, wszedł szybko na schody.

Anna już go czekała przy drzwiach salonu. Była tak pewną jego przybycia, że odmówiła Paulinie towarzystwa pod pozorem, że cierpi ból głowy.

Z żywém wzruszeniem, z ożywioną twarzą podała mu rączkę na przywitanie.

— Czy pani trwasz jeszcze w swojém postanowieniu?— zapytał Stefan zaraz na wstępie.

— Z mojéj twarzy możesz pan wyczytać odpowiedź, panie Stefanie!—odpowiedziała patrząc na niego.

Stefan patrzał także chwilę, uśmiech radosny igrał koło jego ust ładnym wąsem ocienionych.

— Jeżeli to jest niezłomną wolą pani—ozwał się—to miałbym pewną propozycyę.

— Najprzód na wszystko się zgadzam—żywo odparła Anna—bo już raz powiedziałam, że mam do pana zaufanie nieograniczone!

Przy ostatnich słowach głos jéj drżał widocznie, a oczy spadły nagle na ziemię.

— Niechaj pani wolnéj woli swojéj niczém nie krępuje! —mówił zwolna Stefan—bo propozycya moja może się pani nie podobać. Ja przynajmniéj mam dla pani chęci najlepsze!

— Słucham pana, ale tylko dlatego, że pan każesz mi wprzód słuchać!

— Rozważyłem dobrze położenie pani. Jesteś tutaj obcą. Możesz pani przyjąć obowiązek w jakim domu do dzieci. Obowiązek taki ma pewne niedogodności. Najprzód trudno znaleźć tak wyrozumiałych ludzi, którzyby podobną osobę w domu swoim otaczali pewną czcią i miłością. Osoby takie zazwyczaj uważają się za proste sługi, tylko lepiéj płatne i znosić muszą wszelkie upokorzenia, nie tylko od starszych, ale i od tych którym są nauczycielkami!.....

Anna westchnęła. Zwiesiła smutno główkę i zadumała się. Stefan mówił daléj:

— Zdaje mi się, że najlepiéjby było, gdybyś pani od razu dążyła do stanowiska niezawisłego!

— To być w żaden sposób nie może! — odszepnęła— jestem uboga!

I duże jéj piękne oczy zwróciły się na Stefana.

— Znalazłby się na to sposób—mówił daléj Stefan— gdybyś tylko chciała pani zdecydować się....

— Wszak już panu powiedziałam, że wszystko uczynię co pan każesz.

— Ale o rozkazach pani Anno mowy tu być nie może!... Ja tylko jako przyjaciel, dla którego pani masz zaufanie, mogę pani radzić, a pani wolno przystać albo nie.

Anna zamiast odpowiedzi zwróciła tylko swe duże, czarne oczy na niego.

— Niezależność jest najdroższym skarbem w życiu— mówił Stefan—a dla téj niezależności trzeba czasem poświęcić coś ze swoich dawnych urojeń!.... Widzisz pani i ja niegdyś marzyłem o innem stanowisku, a dzisiaj muszę się wysługiwać spółkom przemysłowym, a kto wié czy nie skończę na jakim magazynie z herbatą lub rumem!

Anna chwyciła go szybko za rękę i odpowiedziała:

— Ach! nie myśl pan, żebym była tak przesądną! Praca żadna w oczach moich nikogo ani mnie saméj nie poniża! Przy pracy byłabym może dumniejszą niżeli w tym salonie....

— Ponieważ widzę, że pani posiadasz moc duszy, otóż opowiem mój plan. Jest tutaj na przedmieściu bardzo eleganckiém mały magazynik z perfumami, który natychmiast objąć można. Gdybyś się pani na to zgodziła.... rozumie się pod opieką przybranéj starszéj osoby, mogłabyś pani być właścicielką tymczasową tego handlu, zanim inaczéj rzeczy urządzićby się dały!....

Anna mimo wszelkiego poddania się zadziwiła się nieco tą propozycyą.

— Niezawisłość położenia jest najdroższym skarbem!— mówił daléj Stefan.

Anna myślała czas niejaki. A myślała właśnie nad kilkoma słowami, które Stefan wtrącił do mowy swojéj. A słowa te miały dla niéj tyle interesu, mogły tyle a tyle oznaczać!..

— Ależ to być nie może—rzekła po chwili—jestem ubogą!

— Dałby się na to sposób wynaleźć. Mam różne z tutejszymi kupcami stosunki. Magazynik ten możnaby wziąźć po prostu na kredyt, a miesięcznym zarobkiem spłacać powoli raty...

Anna westchnęła, podała drobną rączkę Stefanowi, która mocno drżała i rzekła:

— Słowa mego nie cofam! Powiedziałam, że mam nieograniczone zaufanie do pana!

Stefan był tak widocznie takim zwrotem rzeczy ucieszony, że chwycił tę małą rączkę i gorąco ucałował.

Anna nie broniła mu tego, spojrzała tylko na niego oczyma, które były łez pełne!.....

(Dokończenie nastąpi).

JAN CZARNKOWSKI I JEGO KRONIKA.

PRZEZ

Ludwika Kubale.

Anonymi Archidiaconi Gnesnensis brevior Cronica Cracoviae. Sommersberg: Silesiarum Rerum Scriptores II, 95—155.

W drugiéj połowie XIV wieku, żył w Gnieźnie ksiądz, który pisał pamiętniki swego czasu. Za życia nie pokazywał je nikomu, bo to co napisał, nie było z chlubą nawet jego najbliższych, po śmierci zaś jego pojawiły się one bez nazwiska autora w połączeniu z innemi rocznikami, jakby kontynuacya tychże.

Nie jest to prosta ciekawość, zajmować się życiem człowieka, który chciał na wieki pozostać anonimem; osoba kronikarza jest poniekąd kluczem do zrozumienia kroniki. Stanowisko, jakie zajmował na świecie, podnosi nieraz wartość jego opowiadania, charakter, jaki odsłania jego życie, jest niekiedy jedyną rękojmią prawdy, słowem, drobna nieraz okoliczność jego życia, każe nam wierzyć lub wątpić w to co napisał, choćbyśmy o jego dobrych intencyach jak najmocniéj byli przekonani. Stanowisko bowiem bezstronnego widza jest dla kronikarza nie możebném; wszak często dwóch ludzi patrzy na jeden i ten sam przedmiot, a każdy widzi go inaczéj; co się jednemu podoba, drugiemu wydaje się nieznośném, a któż nie wié, jak patrzy stronniczość, jak sądzi namiętność, jak pisze podchlebstwo, żal do ludzi, zemsta i zawiść, która się unieśmiertelnić pragnie, co opuszcza i pomija bojaźń i względy ludzkie? Z tych powodów osoba kronikarza ma nie mało znaczenie, tém więcéj, jeśli— jak tutaj właśnie— kronika jest jedyném źródłem do swoich czasów, jeśli nie ma prócz niéj nikogo, coby jéj zaprzeczył, lub potwierdził to co ona zawiera.

Że anonim nasz zwał się Janem Czarnkowskim, tego doszedł już Albertrandy; istnieją także współczesne akta, które stwierdzają tożsamość jego osoby: w saméj kronice zaś, znajdują się ustępy w których kronikarz mówi o sobie.

Czy na podstawie tych danych można odgadnąć życie człowieka żyjącego przed 5ma wiekami? na to pytanie pracą moją odpowia-

dać nie myślę. Przedstawię życie i osobę Czarnkowskiego, o ile to jest możliwém w ten sposób, aby praca moja w połączeniu z kroniką, którą w tłumaczeniu podam, dała dokładny i pełny obraz Polski za panowania Ludwika i bezkrólewia po nim, a zatém czasów, które stworzyły Rzeczpospolitę; jestem zaś przekonany, że żaden historyk nie jest w stanie przedstawić tak wszechstronny obraz ówczesnego społeczeństwa, jak tenże naoczny świadek.

Kronikarz nasz nie był takim artystą, jak niektórzy z jego współcześników: nie maluje jak Froissard, nie dramatyzuje jak wielki Ayala. Jeśli porywająca prostota i pojedyńczość opowiadania zapewniła pierwszemu z nich kronikarską nieśmiertelność, jeśli głęboka energia ukrywająca się za spokojem opowiadania Ayali; jeśli potęga jego sądu, który upada jak ciężar i wydaje się nieodwołalnym, robi na każdym wrażenie: to Czarnkowski ma za to inne nie mniéj ważne zalety. Stary i doświadczony minister Kazimierza W. znał dokładnie stosunki w których się obracał i ludzi z którymi żył, umie on dokładnie rozróżnić co jest złém a co dobrém, wie co kosztuje sława, jak względną wartość ma rozum, jaką racyą władza ludzka; wie co przynosi prawdziwą korzyść społeczeństwu, zna prawdziwe motywa czynów ludzkich, a nadewszystko jest naturalnym; pisze wszystko, nie tai nic i niema względów dla nikogo; zalety z któremi historya przyniosłaby więcéj niż dotąd korzyści — pokazałoby się bowiem, że wiele czynów oświeconych całym blaskiem jéj podania, wyniesionych przez nią do wielkości i chwały, która budzi młodą wyobraźnię i prze do naśladowania, nie do historyi ludzkości, ale do naturalnéj historyi należą.

Nie zapuszczając się w rozprawę metafizyczną, wiem to z doświadczenia i inni mi to przyznać muszą, że ludzie czują od lat dziecięcych pewien pociąg do przedmiotu i zawodu, któremu się w późniejszém życiu oddają. Troski i kłopoty nie zmuszą ich do zapomnienia, a lada okoliczność zawróci ich pomimo wszelkich przeszkód na znaną drogę. To też burzliwe czasy po śmierci króla Ludwika pobudziły Czarnkowskiego do pochwycenia za pióro i dalszego prowadzenia kroniki. Tym sposobem został się nam najpiękniejszy obraz, jaki historya nasza posiada, naszkicowany ręką wielkiego historyka.

Kiedy mowa o wielkim historyku, nikt zapewne nie będzie zwracał swojéj uwagi na artystyczną wartość tego dzieła, pisanego w Polsce w XIV wieku. Byłoby to równie niestosownie jak zastanawiać się nad brakiem dwornego obejścia, piękności twarzy, gustu w ubiorze, lub trafności tłumaczenia swoich myśli u wielkiego człowieka, wtedy, kiedy o ważnych czynach jego mówić wypada. Sztuka dziejopisarska, kompozycya, harmonia całości i szczegółów, dobór faktów, pragmatyczność i metoda, czystość języka, styl i t. p. nie mają nic wspólnego z wielkiemi zasadami ludzkości, sprawiedliwości, wolności; z wielkiém sercem i zdrowym rozumem, jaki w dziełach prawdziwie wielkich ludzi prześwieca. Ci znają zazwyczaj nadto dobrze

rzecz, o której piszą, aby się jasno, choć bez sztuki, tłumaczyć nie potrafili, a jeśli odczytywanie klasycznych autorów i cała teorya historyografii i metody historycznéj stawianéj przez Bodina, Bilinbroka, Gibbona, Lukianosa, Vossiusza, de Mably i t. p., może się komu na co przydać, co wątpię, to z podobnemi wymogami nie można się zbliżać do ludzi takich jak Czarnkowski, którym nieraz trzeba być wdzięcznym, jeśli odstępując od należytéj formy zechcą tu i owdzie więcéj napisać niż harmonia i melodya pozwala. A jednak urok jaki forma na ogół czytających wywiera, jest tak wielkim, że nawet prawdziwéj wartości treści ocenić im nie pozwala, za czém idzie pomijanie wszystkiego, co się pięknością lub oryginalnością formy nie odznacza, a ponieważ mało kto zwraca swoją uwagę na to, że kwiatki im się bardziéj na zewnętrzną piękność i okazałość wysilą, tém gorsze owoce przynoszą, dla tego też ludzie mało pożytku a wiele straty za to upodobanie ponoszą. Można pisać jak Tacyt, jak Liwiusz, a być gorzej, niż złym historykiem, jeśli się z całym urokiem sztuki uwiecznia szaleństwo i nierozum ludzki, jeśli się entuzyazmują ambitne serca do takiéj sławy która mąci porządek Świata, tamuje postęp i walczy z rozsądkiem, lub jeśli się uczy swoich współobywateli rezygnacyi w obec zuchwałych i szalonych awanturników. Ten jest wielki historyk, co wśród wrzących namiętności swego czasu, potrafi w ręku utrzymać zwierciadło prawdy leżące na dnie każdego ludzkiego serca. Ale tego nauczyć się z książek niepodobna. Na to potrzeba znać dobrze świat a nie żądać nic od niego; nie mieć przyjaciół ani wrogów, a kochać wszystkich ludzi tylko o tyle, aby czuć cierpienia większości.

Nasz archidiakon posiadał te wymogi w całéj pełni. Patrzał twarz w twarz w pogardę ludzką i doświadczył wszystkiego, co oburza duszę, co rani nieśmiertelnie w serce. Dumę jego powalono, nadzieje złamano, stał bez wszelkiéj pretensyi do świata, nic nie żądał, niczego się nie spodziewał, a po śmierci swoich wrogów nie miał do ludzi ani żalu, ani zbytniego współczucia. Została mu siła przekonań, znajomość spraw państwa, i usposobienie starego człowieka i ministra wielkiego króla, które tak silnie zespoliło się z uczuciem sprawiedliwości a przedewszystkiem porządku, że gdyby wolność sama i najmilsze dla niego widoki stanęły im naprzeciw, on zostałby po ich stronie.

Z takiém usposobieniem opisał Czarnkowski dwa lata bezkrólewia i wojny domowéj po śmierci Ludwika. Czasy burzliwe a tak ruchliwe, że szlachcic wielkopolski, który brał udział we wszystkich zjazdach i naradach mógł być tylko gościem w swoim domu. Były to czasy, w których szlachta pierwszy raz musiała myśleć o sobie, czasy pierwszych sejmików, zjazdów, pierwszéj konfederacyi, czasy narodzin życia publicznego w Polsce. Kronikarz, którego ród i szczyt stanowił wówczas jedno potężne i najruchliwsze stronnictwo w Królestwie, opowiada to wszystko z taką pełnią szczegółów, że mało nie każdy możniejszy szlachcic wielkopolski występuje w jego kronice; możnaby spisać wszystkie wsie jakie do kogo należały. Opisuje zjazdy, narady, poselstwa, walki stronnictw, wojnę domową i rabunki

szlachty z sprawiedliwością, która nie ma względu ani na interesa swego rodu ani na własne chęci; że kronikę jego stanowi niby mały żywy świat, a czytelnik patrzy z przejęciem na ten pilny pochód wypadków, mając przy sobie sprawiedliwego sędziego, który palcem wskazuje złych, i szydzi z niedołężnych i bezrozumnych, choćby oni byli najbliżsi jego sercu. Przypatrzmy się choć w części téj wielkiéj zalecie, która tak naturalną i tak łatwą się być wydaje, że nawet uwagi nie zwraca, a która pomimo tego jest tak trudną i rzadką, że ją mało gdzie napotkać można.

Widzimy najprzód jak potężny starosta wielkopolski Domarat z Pierzchna, Grzymalita, wiedzie na czele wszystkich starostów Królestwa na 14letniego męża królowéj Maryi Zygmunta, z Węgier do Polski i żąda od narodu hołdu dla swego młodego pana. Wszyscy prefekci i urzędnicy wielkopolscy są Grzymalici jego krewni lub jego kreatury; kilka słów z jego ust wystarczyło, aby wbrew woli duchowieństwa i szlachty, pomimo prawnego kanonicznego obioru dwóch kapituł odsadzić od arcybiskupstwa gnieznieńskiego i biskupstwa poznańskiego, dwóch obranych Nałęczów. Miasta ugięły się pod jego wolą i złożyły hołd w Poznaniu, ale szlachta niechętna Grzymalitom wychodzi tłumnie z miasta do katedry i tam po odbytej naradzie żąda od Zygmunta odsunięcia znienawidzonego Domarata. Trzy razy przychodzą posłańce szlachty: twardy chłopiec trzy razy odmawia i grozi. Wówczas odstępuje szlachta Zygmunta, gromadzi się do Miłosławia i zwołuje cały naród na zjazd do Radomska. Tam wiąże konfederacyę przeciw Grzymalitom i uznaje tylko tę z córek królewskich za królowę, która wraz z mężem swoim w Polsce zamieszka. Domarat wraz z nowym arcybiskupem Bodzantą protestuje i obiecuje wydać zamki Zygmuntowi. Szlachta zobowiązuje się nie uznawać Domarata za starostę. Tymczasem Węgrzy koronują 13letnią żonę Zygmunta. Ambitny starosta trzymając młodego chłopca jako narzędzie swojéj przyszłéj władzy, chce mu pomimo tego obie korony zapewnić. Królowa wdowa wysyła posłów na walny zjazd w Wiślicy i żąda aby nikomu ani nawet Zygmuntowi hołdu nie składano. Na to wszyscy stronnicy odstępują Zygmunta; Domarat chce się usprawiedliwić, nie pozwalają mu, dopóki urzędu swego nie złoży. Duma nie pozwala mu na to i daje się słyszeć publicznie z pogróżką, że zawezwie na pomoc saskich i brandeburgskich baronów, nieposłuszną szlachtę powrozami z domów wyciągać każe, a ziemie ich tak spustoszy, że za 200 lat nieprzyjdzie do siebie. Na wieść o téj groźbie szlachta porywa się do broni. Z jednéj strony Nałęcze, z drugiéj strony Grzymalici rej wiodą, palą, mordują, rabują i pustoszą się nawzajem. Nikt— mówi Czarnkowski— od zniszczenia i rabunku uchronić się nie mógł: kto przystąpił do ziemian, zrabowali go Grzymalici, kto poszedł za Domaratem Nałęcze go zniszczyli.

Gdy domowa wojna groźne rozmiary przybierać zaczęła wysłali panowie małopolscy do królowéj wdowy poselstwo z prośbą, aby im córkę swą Maryę któréj wierność przysięgli wraz z Zygmuntem do Polski wysłała, bo inaczéj sami o króla starać się będą musieli. Kró-

lowa wysłała posłów na zjazd do Sieradza obiecując, że około Wielkanocy przyśle młodszą córkę Jadwigę do Polski. Zjazd wysłuchał poselstwa, obiecał za miesiąc odpowiedź i obrał kommisarzy dla uspokojenia Wielkopolski. Stanął rozejm w marcu 1383 r. między Domaratem a konfederatami aż do Śgo Jana Chrzciciela; Domarat zatrzymał zamki i pozostał nadal starostą.

Groźno szyderstwo na cały ród swój wydobywa się z pod pióra Czarnkowskiego po zawarciu tego rozejmu. Widzi przed sobą spustoszoną Wielkopolskę i woła: „Niechże się teraz cieszy nieszczęsna zawiść, co chciała uderzyć w Domarata, a obyczajem pioruna kraj spustoszyła. Nic dziwnego, że w łapkę którą drugim przygotowywali, sami wpadli (1). Jaka zaś przyczyna téj wojny była, w któréj wszyscy jednego pana (Maryą) uznawali i w jego imieniu walczyli, to prawdę mówiąc, zdaje mi się że nic innego, jak z dawna obustronnie chowana zawiść. Wielu ze szlachty nie chciało Domarata, gdyż mieli przekonanie, jakoby on przez zawiść, obiór Dobrogosta na arcybiskupa a Mikołaja na biskupa poznańskiego (obaj Nałęcze) w niwecz obrócił i z tego powodu raczéj, jak że dla ciężkich krzywd które mu wyrzucano, za starostę uznawać go nie chcieli; a ponieważ Domarat woli ziemian poddać się wstydził, dla tego nic więcéj tylko całą ziemię wielkopolską, żal się Boże! w perzynę obróconą ujrzano“ (2).

Kiedy się w Polsce rozeszła wieść, że królowa wdowa zwolniła szlachtę od wszelkich przysiąg dla Maryi, i Jadwigę przysłać obiecuje, aby ją znów na 3 lata do Węgier po koronacyi odebrać; małe stronnictwo, które sobie życzyło Ziemowita mazowieckiego na króla, a którego głową był potężny Nałęcz Bartosz z Odolanowa, zaczęło nabierać przewagi. Przystąpili doń wszyscy Nałęcze, sam arcybiskup, cała młódź szlachecka i wszyscy ci, którzy dla spokoju w kraju króla jak najprędzéj chcieli, jak i ci, którzy zobowiązania względem domu Anjou z pretensyami mazowieckiego Piasta, małżeństwem Jadwigi z Ziemowitem, pogodzić umyślili. Gdy się więc szlachta w Sieradzu zebrała, aby dać odpowiedź posłom królowéj, ułożono było wszystko aby na tym zjeździe wybór Ziemowita przeprowadzić. Kiedy mężne i spokojne wystąpienie Jana z Tęczyna na zjeździe sieradzkim rozbiło całe to przedsięwzięcie, postanowiono czekać do Zielonych Świątek na Jadwigę, a w razie nieprzybycia królewny, przystąpić do obioru nowego pana. W Zielone święta wyjechali jéj panowie królestwa do Sącza naprzeciw, do których królowa wdowa poselstwo wysłała, aby do niéj na Węgry przyjechali. Zwabieni obietnicami przybyli do Koszyc: Spytek z Melsztyna woj. kr., Sędziwoj ze Szubina, woj. kalis., Wincenty z Kępy woj. poz. i naczelnik konfederacyi radom., Dobiesław z Kurozwęk kaszt. krak., Jan z Tarnowa kaszt. sand., Domarat kaszt. pozn., i tam pomimo woli i zakazu znajdującéj się wraz z nimi szlachty, zawarli z królową nowy układ w imieniu całego narodu, mocą którego obom królewnom i ich potomstwu zawarowano wzaje-

(1) Kron. nr. 72, Sommersb. 143.
(2) Kron. nr. 70.

mne następstwo w Węgrzech i w Polsce wrazie śmierci lub bezpłodności jednéj; królewnie Jadwidze przedłużono termin przyjazdu do Polski do listopada, podejrzanych starostów usunięto, Domarat ze starostwa rezygnował, a przeciw Ziemowitowi energiczne działanie ułożono. Książe ten znajdował się wtedy w Krakowie, przebrany w zbrojnym orszaku arcybiskupa i czekał właśnie na przybycie Jadwigi, aby ją porwać i jako żonę uprowadzić. Skoro się teraz o układach w Koszycach dowiedział, ruszył z wojskiem do Kujaw i Wielkopolski, począł zajmować zamki królewskie, które mu starostowie niepomni przysięgi jaką złożyli, wydawali, i zwoławszy stronników swoich do Sieradza, tamże królem został okrzyknięty. Wojna rozpoczęła się na nowo a z nią zaciekłość Nałęczów i Grzymalitów. Panowie małopolscy, którzy Ziemowita nie lubili użyli teraz podstępu: wysłali posłów do księcia i do arcybiskupa posyłając zakładników i prosząc aby na zjazd do Krakowa przybyli, a drugich posłów do królowéj, aby im wojska węgierskie na pomoc przysłała. Ziemowit który wraz z Konradem szlązkim Kalisza dobywał, przybył do Krakowa i zawarł tam zawieszenie broni, aż do Śgo Michała i rozpuścił wojsko właśnie wtedy, kiedy 12,000 Węgrów pod dowództwem młodego Zygmunta weszło w granice Polski i całe Mazowsze, Kujawy i część Wielkopolski w któréj się ciągle walki i rabunki odbywały, okrutnie spustoszyli.

Zdawałoby się że w obec tych wypadków znajdziemy Czarnkowskiego po téj stronie gdzie stał cały ród i rodzina jego bez wyjątku, i gdzie go serce ciągnęło: po stronie Piasta. A jednak pomimo, że niecierpiał Węgrów, że usposobieniu jego i pojęciom sprzeciwiało się panowanie kobiety, że całą odrazę czuł do rządów panów małopolskich na jaki się zanosiło, wyraźnie stoi po stronie córek Ludwika, które większość narodu kilkakrotnie, a niewątpliwie z wielkiém jego niezadowoleniem, za swoje panie uznała. Jakaż wielka sprawiedliwość dla innych stronnictw występuje w kronice. Układy w Koszycach wbrew woli kraju przeprowadzone, uważa za powód do wojny domowéj, jaka się w tym roku toczyła (1); starostów którzy zamki Ziemowitowi wydali nazywa zdrajcami (2); podnosi kilkakrotnie, że stronnictwo Ziemowita składało się po największéj części z młodych ludzi (3); nie tai niechęci swojéj do nielojalnego postępowania panów krakowskich względem niego (4), ale całe brzemię oburzenia i przekleństwa rzuca w twarz tym stronnikom Węgrów.

Skoro w ten sposób całe stronnictwo mazowieckie wraz z Ziemowitem osłabione zostało, postanowiła królowa oddać całe królestwo w zarząd Zygmuntowi. Dowiedział się o tém postanowieniu Sędziwój ze Szubina, starosta krakowski, wyjechał za królową do Dalmacyi zabrawszy z sobą zakładników z najprzedniejszych domów Królestwa z prośbą aby coprędzéj Jadwigę do Polski wysłała. Królo-

(1) Kr. nr. 75.
(2) Kron. nr. 79, 80, 81.
(3) Kr. nr. 82.
(4) Kr. nr. 89.

wa zamiast posłuchać prośby starego i wiernego sługi, chciała korzystać z jego nieobecności w Krakowie, zakładników przytrzymała a jego samego uwięzić kazała, wysławszy pośpiesznie Jana z Tarnowa do Polski z rozkazem aby zamek krakowski zajął i Węgrom wydał. Sędziwoj uciekł z więzienia i w jednym dniu i nocy jednéj przeleciawszy 60 mil, stanął pierwéj niż Tarnowski w Krakowie i zamku wydać nie pozwolił. Cały naród tym czynem oburzony przypomniał sobie zaraz wszystkie poniżenia jakie od Węgrów znosić musiał. Zabroniono Zygmuntowi wstępu do Polski i zwołano zjazd do Radomska, naznaczając ostateczny termin przybycia Jadwigi na Zielone Świątki.

Był to już ostateczny czas, aby coś stałego postanowić. W Wielkopolsce nieporządek doszedł do najwyższego stopnia: szlachta zamieniła się w prostych rabusiów i złodziei, a nikczemny mord jaki popełnił naczelnik Nałęczów Sędziwoj Suidwa kasztelan Nakielski „takie poruszenie wywołał pomiędzy szlachtą jakiego nikt nie zapamiętał“ (2). Kiedy więc królewna w oznaczonym terminie nie przyjechała, rozpisano zjazd do Sieradza na obiór nowego pana. Między walczącymi w Wielkopolsce stanął rozejm „którego jednak Suidwa uznać nie chciał“ i walka pomiędzy nim a Domaratem (pomiędzy Nałęczami i Grzymalitami) toczyła się daléj. Domarat pali Kaźmierz, Szamotuły i wszystkie wsie stronników Suidwy, podczas gdy tenże najspokojniej w zamku swoim siedzi i biesiadując z nowym starostą wielkopolskim przypatruje się łunie na niebie i srogą zemstę układa.— Tu, kronika niespodzianie się urywa i następuje krótkie doniesienie o koronacyi Jadwigi, o ślubie i chrzcie Jagiełły; niema mowy o dalszym przebiegu walki w Wielkopolsce, ani o ukończeniu jéj przez Jagiełłę; znać obce pióro, kronikarz przeniósł się w roku 1384 do wieczności.

Szczupła ilość dat nie dozwala ujrzéć w całéj pełni życia tego człowieka, którego głęboka energia, gorąca miłość sprawiedliwości i niewzruszona siła przekonań, mimowolne obudzają współczucie. Jednak i te jakie są razem zebrane, wystarczą, aby kronice jego ustalić bezwzględną wiarę, a pamięci kronikarza wieczną cześć jaka mu się należy.

I.

Jan Czarnkowski pochodził ze znakomitego rodu Nałęczów. Szczyt ten tyle liczył stryjców i braci herbowych, tyle posiadał majątków, przywilejów i do takiéj urosł potęgi, że przez półtora wieku rej wodził w Wielkopolsce, wprowadzał i wypędzał książąt i robił co mu się podobało. Bogumił z Czarnkowa wypędził Bolesława Łysego i osadził synów Piwacza, Przemysław I walczył z rokoszem Nałęczów; Przemysław II zginął pod ich ciosami, Dobrogest ze Szamotuł

(1) Kr. nr. 102.
(2) Kr. nr. 111.

rozgromił potęgę Głogowczyka, Wincenty sprowadził na Polskę i Łokietka, Krzyżaków, a wojna domowa podczas bezkrólewia po Ludwiku węgierskim dopełnia dziejów potęgi tego rodu. Od czasów zdrady Wincentego ze Szamotuł potęga Nałęczów niknąć zaczęła, wysokie urzędy i dostojeństwa, które przedtém koleją prawie w ich rodzie chodziły, zaczęły ich omijać, i zdaje się jakby na zamku krakowskim zaczęto zwracać baczną uwagę, aby niczém nie obrazić ani zbytnie nie wynosić tych zuchwałych ludzi, którzy ciągłymi buntami tak rozkiełzali wolę swoją, że ani słuchać ani rozkazywać nie umieli. Mimo to szczyt ten, siedząc prawie razem na obu brzegach Noteci i Warty dużo ważył w Polsce. W czasach przedkazimierzowskich, kiedy rody pod swemi godłami stawały do boju, chorągwie Nałęczów były najliczniejsze; później z nastaniem ziemstwa, zostało się Nałęczom w całéj pełni uczucie solidarności rodu i wspólnych interesów tak, że obraza jednego, była obrazą wszystkich, wyniesienie jednego, było korzyścią całego rodu, a ponieważ przy obsadzeniu urzędu w powiatach, w których znajdowały się ich majątki pominąć ich nie było można, przeto niektóre godności jak np. kasztelania Nakielska i większa część urzędów ziemskich na województwie poznańskiém, zawsze prawie zostawały w ich ręku.

Zamek Czarnków był gniazdem Nałęczów. Hrabiowie z Czarnkowa *regia stirps*, jak ich zwano jeszcze w XVII wieku, wiedli swój ród od Popiela i przewodzili całemu szczytowi. Zuchwałość, duma, bunt i swawola przeszła w ich naturę. W obszernych dobrach swoich używali praw książęcych t. j. takich samych jakie miał Mieczysław Stary, kiedy im nadał ten przywilej, a po porażce pod Płoniną, kiedy tytuł hrabiowski zniesiono, stanęli w szeregach panów polskich *(proceres)*. Dobra ich dziedziczne obejmowały: Pałuki, Wieleń, Tuczno, Słabonów, Szłopanowa, Wedlska, Czarnków, Szłopa i liczne posiadłości w margrabstwie brandenburskiém (1).

Jan Czarnkowski i jego brat Szymon byli synami Bogumiła z Czarnkowa (2); obaj bracia obrali sobie stan duchowny. Nie wątpić że potomek tak potężnego rodu nie długo czekał na beneficya, go-

(1) Podział dóbr przez Sędziwoja kaszt. nakiel, uczyniony a potwierdzony przez Kazimierza Wielkiego 1362 i Zygmunta Augusta 1552.— Niesiecki. Rzyszcz. et Mucz. Cod. Dipl. pol. Tom II Supl. DXIX. W tym podziale kładzie się Szłopa, Pałuki (Pałuki, zachodnia część powiatu nakielskiego na lewym brzegu Noteci), Velene (Wieleń, niem. Filehne) Tuczna (Tuczno, Tütz), Stebegnowe (Stabenów obok Stargard), Slopanowa (Słopanowo obok Szamotuł), Vedilske (Neuvedel, jak się zdaje obejmowało wszystkie posiadłości rodziny Wedel od Tuczna do Szczecina).

(2) Że Bogumił był ich ojcem, jest to mój domysł, na którym wprawdzie nie wiele zależy, który jednak następującémi datami popieram: Łokietek zamienił się z Sędziwojem hr. z Czarnkowa kaszt. międzyrzeckim biorąc Czarnków a dając zań Rogoźno r. 1325, Kazimierz Wielki powrócił r. 1343 Czarnków Sędziwojowi, a w nadaniu niéma wzmianki aby tenże

dności i urzędy. Jako kanonik włocławski był już w roku 1364 wicekanclerzem Kazimierza W., w roku 1369 został prócz tego kanonikiem i archidiakonem gnieznieńskim, był też i kanonikiem poznańskim; prócz dóbr dziedzicznych i kościelnych (1), od kapituły poznańskiéj trzymał dwie wsie: Jankowo i Miłochowo (2), miał niewątpliwie i nadania królewskie. Kazimierz bogacił kanclerzy, iżby ludzie mieli u nich łaskawą odprawę i nie byli za nadto wyciągani ani przez nich ani przez pisarzy. Prócz tego starał się o to, aby każdy miał jakąś

był kasztelanem nakielskim. Sędziwój kasztelan nakielski robi z dóbr swoich dział między dwóch swoich synów Janem i Wincentym, który dział Kazimierz Wielki 1362 r. potwierdza. W dziale tym nie znajduje się Czarnków a w kronice występują obaj bracia jako dziedzice Szłopy. W r. 1364 tenże Sędziwoj Nakielski oskarżony zostaje przez Wincentego Słopanowskiego krewnego swego, że zabił Benjamina wuja swego i zaraz zamek Czarnków zajął. Z aktu oskarżenia widać wyraźnie że Czarnków był w posiadaniu Benjamina, a ponieważ w owych czasach pisano się tylko z tych posiadłości, które albo posiadano, albo do których miano prawo, przeto prawdopodobne jest, że Jan z Czarnkowa był synem Benjamina.

(1) R. 1364 $^{18}/_{7}$ w Baranowie. Datum per manui dom. Jankonis Viceeancellarii aulae nostrae. Akta grodzkie i ziem. Tom drugi. Lwów 1870.

R. 1364, Decanus templi Madislaniensis (zapewne Vladislaviensis) viceeanc. Cod. Dipl. Brandenb. III. 266.

R. 1367 $^{19}/_{11}$. Datum per manus Johanni de Czarnków Cantoris Wladislaviensis viceeancellarii nostri. Akta grodz. i ziem. Tom II.

R. 1367 $^{27}/_{12}$ w Płocku, Actum per manus Johannis de Czarnków viceeanc. curiae nostrae. Cod. Dipl. Pol. Rzyszcz. et Muczk, Tom II. 2. CXXIII.

R. 1368 w Krakowie. Dat. per manus Janussii doctoris decretorum Canc. Crac., et Johannis de Czarnków viceeanc. nostrorum. Idem. Tom III CL.

R. 1368. Item Janko frater Simkonis viceeancellarius. Symko notarius Dn. Regis. Przyłuski Stal. fol. 395.

R. 1369 $^{9}/_{5}$ w Krakowie, Datum per manus Dom. Johannis viceeancellarii Cracoviensis. Cod. Dipl. Pol. Rzyszcz. et Muczk. Tom III. CLIII.

R. 1370 $^{14}/_{1}$ w Poznaniu. Datum per manus Johannis de Czarnkowo Archidiacone Gnesnensi nostri viceeancellarii. Scriptum vero per Swientoslaum scribam ejusdem viceeanc. Idem T. I. CXXXI.

To jest wszystko co znaleźć mogłem o Janie Czarnkowskim i co prócz jego kroniki po nim zostało. Wszystkie te dyplomata w których jego imię przychodzi, świadczą o tożsamości Anonima archidyakona gniez. z Janem z Czarnkowa vice-kanclerzem królewskim, na co pierwszy Albertrandi przyszedł.

(2) Kronika nr. 68 tłum. Inter quas etiam duas meas quas a Capitulo possidebam Jankowo videlicet et Miłochowo intumaniter devertant. Sommersb. 140.

godność kościelną w samym Krakowie, któraby go zmuszała do mieszkania przy dworze i w miejscu swego urzędowania, jak również o to, aby każdy był kanonikiem w kilku kapitułach naraz, w celu przeprowadzenia jego wyboru wrazie opróżnienia stolicy biskupiéj. Był bowiem dawny zwyczaj, że kanclerze przed wszystkiemi innemi na arcybiskupstwo i biskupstwa pierwszeństwo mieli, co za króla Alexandra prawem ustalone zostało.

II.

Kancelarya Królestwa składała się za czasów Kazimierza W. z sześciu kanclerzy, jednego wice-kanclerza, z podkanclerzych jako zastępców kanclerzy, i z niemałéj liczby sekretarzy, notaryuszów i pisarzy królewskich. Kolegami Czarnkowskiego byli: Janusz ze Strzelec, Suchywilk kanclerz krakowski, Otto de Lissowicz kanclerz wielkopolski, Herman kanclerz kujawski, Florian łęczycki, Maszko dobrzyński i ruski, niewiadomego nazwiska (1). Należeli oni do wielkiéj rady samego króla (2), pieczętowali nadania i przywileja królewskie, tranzakcye i układy prywatne, które potwierdzenia królewskiego wymagały; do nich należało przestrzeganie praw trzeciego w obec nowych nadań i przywilejów, rozpoznawanie własności, relacya o sporach ruszonych przed sąd królewski, podawanie próśb i przedstawień osób prywatnych, a z tém relacya i komisya (3), względem posunięcia

(1) Zmuszony jestem dowodzić istnienia tych sześciu kanclerzy. Ponieważ pisarze prawa publicznego nic o sześciu kanclerzach nie wiedzą i owszem przeciwnie twierdzą jak np. Longnich, że Władysław Łokietek dwóch kanclerzy postanowił, a za czasów Kazimierza W. tylko kanclerz i vice-kanclerz są wspomnieni zastawiając się statutem Łaskiego. W samym Cod. Dipl. Pol. Rzyszcz. i Muczk. występują wszyscy często razem po kilka razy; i tak Janusz albo Jan ze Strzelec herbu Grzymała, także Suchym wilkiem albo Wilkiem zwany, doktor dekretów, proboszcz krakowski, kanonik gnieźnieński i wrocławski, następnie vice-kanclerz jak świadczy Dipl. z r. 1346, potém posunięty na kanclerstwo kujawskie (dipl. z r. 1351), następnie kanclerz ruski (dipl. z r. 1356) a w końcu po śmierci Zbyszka w r. 1357 kanclerz krakowski i jako Canc. Cracoviensis, Canc. noster, Canc. curie regalis stoi w dipl. z r. 1362, 1363, 1368, 1369, aż do 1374 w którym zajął stolicę arcybiskupią, na któréj umarł. Otto de Lisowicz proboszcz gnieźnieński i kanclerz polski, co wówczas znaczyło Wielko.polski, stoi na dipl. z r. 1358, 1361, 1366. Herman kustosz ś. Floryana, prokurator generalny, kanclerz kujawski na dipl. z r. 1346, 1356. Floryan na dipl. z r. 1346, 1357, 1362, 1364. 1367; wreszcie Maszko kanclerz dobrzyński po śmierci Alberta dziekana wrocławskiego i proboszcza bocheńskiego na dipl. z roku 1367.

(2) —et de supremo consilio ipsius Regi existens. Archidiakon mowiąc o kanclerze Januszu. Kron. nr. 58.

(3) Nieraz zdarzy się czytać przy końcu dipl. formułkę: relatio domini N. N.... Commissio propria dn. Regis.... referente N. N. i podpi-

na wyższe urzędy i nadania dóbr i przywilejów, o ile im to ostatnie sam król poruczył. Nie potrzeba dodawać, że to wszystko działo się w sprawach téj ziemi któréj kanclerzami byli. Kanclerz krakowski miał prócz tego sprawy tyczące się całego państwa i dworu królewskiego, prowadził sprawy zagraniczne, miał w ręku wielką pieczęć, nadzór nad głównóm archiwum królestwa, do niego należały transumpcye aktów publicznych (1). W ogóle kancelarya Kazimierza wyszczególnia się tém, że kanclerze są tylko kanonikami i mieszkają przy boku króla, a kanclerstwo jest urzędem nie godnością jak w Czechach lub Węgrzech, gdzie urząd ten piastowali arcybiskup Granu i biskup wrocławski.

Urząd Czarnkowskiego *(vicecancellarius* (2) *aulae i curiae reg.* także *cracoviensis)* rangą niższy od kanclerstwa, zastępował kanclerza krakowskiego w sprawach tyczących się całego państwa lub dworu królewskiego (3). Piastował w ręku swoim małą pieczęć Królestwa, którą pieczętował instrukcye, mandaty, edykta, listy i rozkazy królewskie do starostów, rządców, prefektów, poborców i dowódzców wojskowych. Przez jego ręce szła cała maszyna rządowa a będąc

sanych na referacie ludzi którzy żadnego urzędu w kancelaryi kr. nie mieli. Wyjaśnia to cokolwiek Pray de Sigillis Hun. III. 14. „Vetus suos obtinebat, ut si quis donationem aliquam a rege impetrare cuperet, per aliquem ex magnatum vel palatinalium ordine, merita sua coram eo exponi curaret, aut si rex sponte aliquam remunerari vellet aliis committebat, qui de illius preclare factis ad se referrent. Hinc formularum apud nos origo: Commissio propria dn. Regis: aut referentis ut exempli gratia Relatio Francisci prepositi....

(1) Były to protokularnie legalizowane kopie aktów publicznych, których oryginały w skarbcu królewskim chowano. Dwie takie transumpcye z czasów Kazimierza W. znajdują się w Dogielu Cod. Dipl. T. I, Hung.

(2) Trzebaby mieć przed sobą bardzo dużo aktów wyszłych z pod pieczęci vice-kanclerza, aby módz dokładnie atrybucye jego oznaczyć: rzecz trudna a prawie niepodobna, bo największa część takich aktów składała się z rozkazów, edyktów albo listów otwartych, których po archiwach nie chowano.

(3) Vicecancellarius a Subcancellarius było zupełnie co innego. Lengnich pisząc że w Ludevigii Rel. manuscript. Subcancellarius et Vicecancellarius aulae są wspomniani, robi takie przypuszczenia: forsan illud sub Cancellario per errorem ab illo est praepositum qui diploma descripsit. Tymczasem takich subcancellarii znajdujemy w dipl. z czasów Kazimierza i przedtem bardzo dużo, jak np. Zbigniew prepositus nr. 5 Michała subcancellarjus z r. 1340. Tom III akt grodz. i ziem. Mszang. subcanc. cracoviensis r. 1369. Jaśko subcanc. siradiensis z r. 1292. Szymon subcanc. Poloniae, zapewnie brat Czarnkowskiego w kron. arch. nr. 45. To byli zastępcy kanclerzy a późniejsi podkanclerze nazywali się nie Subcanc. ale Procancellarii.

zawsze przy boku królewskim, mógł zwracać jego uwagę na każdy gwałt i nadużycie, i mieć niepospolite znaczenie, jeśli posiadał jego zaufanie. Będzie to wprawdzie tylko domysłem jeśli powiemy, że Kazimierz, dostawszy przy końcu swego życia od zagniewanéj szlachty tytuł króla chłopów, mógł za ten wielki przydomek swemu wicekanclerzowi dziękować, czytając jednak uważnie kronikę, mając wzgląd na stosunki wicekanclerstwa z osobą królewską i na osobistość kanclerza krakowskiego, który przez całe życie szlachcic przypodobać się starał, nie będzie to rzuconém słowem.

Pracowitość i sumienność jaką się Czarnkowski na tym urzędzie odznaczał, zjednała mu później uznanie całego kraju, surowość zrodziła dlań zaciekłych wrogów, a wierność i przywiązanie jakie dla króla i rodziny jego okazywał, powinny były w Kazimierzu obudzić uczucia wzajemne tém więcéj, jeżeli widział w nim przyszłego swego historyka.

Nikt zapewne nie zechce twierdzić, że archidiakon początek swojéj kroniki z pamięci pisał, témbardziéj gdy ją, jak się to późniéj okaże, dopiéro w kilka lat po śmierci Kazimierza opracowywał. Notował zatém co widział, a zbierając materyał do swéj późniejszéj pracy, nie miał powodu kryć się z tém, co mu tylko łaskę i zaufanie królewskie zjednać mogło. Znajdują się nawet w kronice miejsca, które mogłyby służyć za dowód wywnętrzania się króla (1) przed kronikarzem. Wreszcie nie byłoby nic dziwnego, gdyby sam Kazimierz starał się o podobnego człowieka jakimi byli: Jan z Kikellö, pisarz na dworze Ludwika i Neplach Osorów, lub Przybysław Putkawa na dworze Karola IV, który sam swoje pamiętniki pisał. Z dwoma królami żył Kazimierz w zanadto bliskich stosunkach, aby nie wiedział o tém, co ich czyny do potomności przenieść miało.

Tak więc wszystko składało się na wpływ i znaczenie Czarnkowskiego, ambicyi jego jeśli ją miał, stało wszystko otworem, a życie tego sprawiedliwego księdza zaczęło być dlań palmową niedzielą, gdy niespodzianie śmierć Kazimierza strąciła go ze stanowiska i urzędu, a świat postarał się o to, aby mu za dni szczęśliwie przeżyte, równe brzemię złego wrzucić na barki.

Śmierć Kazimierza była dla niego wielkim wypadkiem stanowiącym przełom w jego życiu, nic dziwnego, że opisem śmierci królewskiéj rozpoczyna właściwie swoją kronikę, przy któréj poprzednie wypadki jakby na wstęp wyglądają. Ztąd dopiéro czuć naocznego świadka, tak, że kronika zmienia się w pamiętniki.

„Było to— pisze— w roku 1370, 8 sierpnia w sam dzień Narodzenia Maryi P. Najjaś. król Kazimierz bawiąc w onczas w Przedborzu, wybierał się na polowanie (miał wówczas lat 60). Powóz zajechał i król miał wsiadać, kiedy niektórzy z wiernych poczęli go na-

(1) Kronika nr. 7 tłum. Rex Kasimirus, ut credebat, suorum fidelium consilio circum, ventus.. Sommerb. 101. Podaje tylko jeden przykład ale najważniejszy.

mawiać aby w święto polowania zaniechał. Już się był zgodził i w domu pozostać obiecał, kiedy niecnota jakiś zbliżył się i podszepnął,— jak słusznie twierdzą,— o jakiéjś przygodzie miłosnéj, a król nie pomnąc na rozsądne rady, wsiadł na wóz i prosto do lasu odjechał. Tam goniąc nazajutrz za jeleniem, spadł z konia, zranił lewą goleń"... a w dwa miesiące potém, leżał już pochowany po lewéj stronie wielkiego ołtarza w katedrze krakowskiéj.

Przez cały przeciąg choroby, był Czarnkowski przy boku króla. Z przejmującą prostotą opisuje ostatnie chwile króla, który mając wnuka i rodzone córki obok siebie, obcego monarchę zrobił swoim dziedzicem. Ktokolwiek czyta ten ustęp, czuje mimowoli jak w miarę zbliżającéj się śmierci chory tracił na wartości u swoich dworzan, jak wszystko zwraca się do nowego słońca, tak, że panowie polscy po pogrzebie swego wielkiego króla nie wyrządzili rodzinie jego nawet téj uczciwości jakiéj zwyczaj ówczesny wymagał; ale tego samego dnia wszyscy naprzeciw Ludwika wyjechali. Z całego orszaku dworzan i wielkich urzędników Królestwa, pozostał tylko jeden wierny sługa na zamku krakowskim.

III.

Pogrzeb Kazimierza odbył się 7 listopada, a 13 król Ludwik był już w Krakowie. Pierwszym czynem jego było unieważnienie testamentu zmarłego, do czego mu panowie polscy dopomogli. Odprawiwszy koronacyę i zabrawszy koronę powrócił zaraz do domu, a Polskę oddał matce swojéj Elżbiecie. Miała ona zapewnić mu posiadanie nowo nabytego państwa, a osobą swoją, jako córka Łokietka a siostra Kazimierza, oswoić naród z rządami obcego monarchy.

Przy przedstawianiu się na zamku krakowskim, królowéj Elżbiecie, został Czarnkowski łaskawie przyjęty. Powodów nie podaje w kronice, ale nie trudno się ich domyślić. Jako przeciwnik stronnictwa węgierskiego, które Ludwik pieniędzmi i nadziejami na dworze wuja swego utrzymywał, a do którego wszyscy magnaci i pierwsi radcy Kazimierza należeli (1), stał się samo przez się, po śmierci króla osobą podejrzaną. A gdy stronnictwo to z przybyciem Elżbiety stanęło przy sterze rządu, stanowisko jego urzędowe zostało zupełnie zachwianém, a on sam w pośród nowego dworu mógł być uważany jako intruz, którego jak najprędzéj pozbyć się należało. Królowa wiedziała niewątpliwie o tém, że ma przed sobą największego wroga sukcessyi swego syna. Czarnkowski widział w tém nieszczęście dla Polski „które chyba sam Bóg odwrócić zdoła," a obawy jakie z tego powodu kładzie w usta szlachcie na exekwiach króla Kazimierza były zapewne jego najgłębszém przekonaniom. Testamentu króle-

(1) Kronika nr. 8. Nam quidam magnates et quasi primi in consilio Regis mortui pavti Ungarorum multum faventes... Sommersb. 102.

wskiego broni, postępowanie Ludwika w téj sprawie nazywa nieszlachetném, żali się z goryczą na panów i biskupów polskich, unieważnione i przecięte przywileja chowa u siebie, a kiedy pisze, że stronnictwo węgierskie obawiało się aby Kazimierz szczeciński, wnuk zmarłego, z pomocą szwagra swego cesarza Karola i ojca swego księcia szczecińskiego Bogusława, nie zajął kiedyś tronu polskiego, jako dziedzic i prawowity następca (1), to z tych słów ostatnich widać, za co Czarnkowski króla Ludwika uważał.

Do tego wszystkiego był wicekanclerz człowiekiem szorstkim i surowym, naginać się nie umiał; śmiały w obec monarchy, prawdę mówił w oczy; gardził gadatliwemi ludźmi, kobiety sobie mało ważył, dowcip u niego znaczenia nie miał, a uciechy światowe brał za światową lekkomyślność; tak więc sama osobistość jego zdolna była odstręczyć królowę regentkę, która jako kobieta podobnych zalet ocenić nie potrafiła.

Starsza królowa węgierska, jak Elżbietę nazywano, była wówczas siedemdziesiąt pięcioletnią staruszką, ale mimo to bardzo żywą, prędką i gwałtowną tak, że nawet z synem swoim nie wiele robiła ceremonii (2). Prawéj ręki nie miała, za co ją Węgry kikutaną nazwali, ale i lewą rozkazywać i hojnie nadgradzać umiała. Miała ona wszystkie zalety i wady wielkich kobiét, które siedziały na tronie a przedewszystkiém, że przeciwienia ani rady zwykłym sposobem podanéj znieść nie mogła. Zła reputacya, jakiéj po świecie używała, należy zapewne do jéj młodości; ówczesny jéj wiek nie dopuszcza podobnéj obmowy, a nawet zarzuty, jakie jéj w Polsce czyniono za jéj wesołość, za jéj wielki strojny dwór, huczne zabawy, muzyki i tańce na zamku krakowskim, mogłyby właśnie tylko służyć za dowód, że jéj młodość nie była tak złą. Osoba tego wieku i z tak religijnym nastrojem, która jeszcze dba o swoją powierzchowność (3) i lubi patrzeć kiedy się koło niej młodość bawi i weseli: pokazuje to, że się światem nie przesyciła. Co ją zaś stawia wysoko i po nad wszelkie obmowy, to miłość i cześć dwóch wielkich królów, brata i syna, którzy za jedno słowo hańbiące, wyrzeczone na nią przez cesarza Karola (1363). stworzyli ligę książąt i wielką wojnę gotowali. Aż do śmierci swéj pisała się i była współregentką swego syna; widziała wiele; miała dużo doświadczenia i prowadziła interesa swego domu w trzech królestwach za nadto szczęśliwie, aby ci którzy przy tém tracili, nie mieli jéj nienawidzieć. Postępowanie jéj w Polsce było niewątpliwie dla Polski niekorzystném, nie należy jednak zapominać

(1) Kronika nr. 8 tłum. ...estimabant ducem Kasimirum... ad Regni Poloniae gubernacula tamquam heres et successor legitimus avi sui olim Kasimiri Regis Poloniae posse pervenisse. Sommersb. 102.

(2) Kronika nr. 31 tłum.

(3) Do późnego wieku zachowała czerstwość swoję, którą przypisywano wódce rozmarynowéj, przez nią wynalezionéj, od niéj nazwanéj Larendogra (La Reine de Hongrie) znanéj po całéj Europie.

że to była kobieta, której bardziéj interes domu leżał na sercu, niż interes narodu, i że działanie jéj miało tylko jeden cel t. j. zapewnienie królestwa swemu synowi, a wówczas rządy jéj będą bardziéj zrozumiałe.

Otóż pani ta, jak wspomniano, wcale odrazy swojéj do Czarnkowskiego nie kryła, a odprawiwszy wraz z nim starych radców, przyjęła do swego boku dwóch młodych prałatów z kancellaryi swego brata, którzy mimo swego wielkiego rodu i niewątpliwych zdolności, z powodu złego prowadzenia się najniższe stanowisko w kancelaryi zmarłego króla zajmowali (1). Ci przyszedłszy teraz do pierwszorzędnego wpływu i znaczenia w Polsce, zaczęli rządzić krajem, nie piastując żadnego wyższego urzędu. Jeden z nich, Mikołaj Łodzia z Kurnika był proboszczem przy kościele Panny Maryi w Krakowie, drugi Piotr Zawisza Róża z Kurozwęk był archidiakonem krakowskim. Któż ich nie zna? Księża ci byli twórcami przywileju koszyckiego, podstawy wszystkich wolności szlachty.

Kiedy r. 1382 panowie małopolscy chowali wicekróla Zawiszę do grobu z przepychem, jakiego żaden książe, żaden król. żaden cesarz nie doświadczył, robili słusznie, bo ten człowiek porobił ich wszystkich królami. W nocy po jego pogrzebie zdarzyło się, że przerażeni świątnicy słyszeli tentent rozhukanych koni, które rozbiegłszy się po kamiennéj posadzce katedry wołały ludzkim głosem: „pojedziem na osp (rozpusta).“ Głos zamarł w piersiach tych biednych ludzi i jakby gromem rażeni popadli w długą chorobę i dotychczas niewiadomo czy przyjdą do siebie.“

Obaj młodzi prałaci byli największémi wrogami Czarnkowskiego, obaj dobrali się jak w korcu maku, gdy uganiając za względami królowéj i rozkoszami świata, egoiści na wskroś swojéj duszy, nigdy sobie w drodze nie stanęli, ale szli ze sobą zawsze ręka w rękę dopełniając się w ten sposób, że obaj razem tworzyli człowieka, który wszystko sam i obmyśleć i wykonać potrafi.

Zawisza miał za sobą cały potężny ród Różyców z ojcem swym wojewodą krakowskim Dobiesławem na czele. Popierali go całémi siłami, tak że każde wyniesienie Zawiszy było ze strony królowéj oznaką łaski dla magnatów małopolskich, szczerze domowi węgierskiemu oddanych. Młody prałat, niewątpliwie wielkich zdolności, należał do rzędu ludzi, którzy niewiele mówią, ale z najpoważniejszém obliczém, gdziekolwiek się znajdują, jakąś awanturę zrobić gotowi a czego się dotkną, ślady gwałtu po nich zostaną. Dumny, przytomny i zuchwały, lubiał przepychem olśniewać i podbijać a zbytek jego, tentent i halas każdego poruszenia tego księdza miał w sobie coś demonicznego. Był wybrednym w swoich zachceniach, cnota i czystość drażniła go, im była dlań niedostępniejsza. Nie miał żadnego uczucia sprawiedliwości a mniemając, że mu wszystko wolno, niczego się nie wstydził.

(1) Kronika nr. 57.

Proboszcz przy Pannie Maryi, nie miał takiego bogactwa, ani tak potężnych krewnych za sobą, ale miał głowę na karku, co właśnie tyle ważyło, co majątek, zdolności i wszyscy krewni Zawiszy. Wielka nauka, bystrość, chytra przemyślność, wymowa, którą z prawdy fałsz a z fałszu prawdę zrobić potrafił, dokładna znajomość prawa a nadewszystko znajomość serca ludzkiego z którém zawcześnie igrać się przyuczył, to stanowisko jest potęgą. Gdziekolwiek stanął, poróżniał ludzi, prawował się z całym światem, drwił, obmawiał i intrygował, a przyjemność jaką mu to sprawiało była daleko większą od rozmaitych nieprzyjemności jakie z tego powodu ponosił, bo do ostatniéj chwili życia pieniać się nie poprzestał, tém się rozweselał w czasie okropnéj swojéj choroby i mawiał, że bez tego żyćby nie mógł na świecie. Jeśli Zawisza był rozpustny, on był zmysłowy: jadł i pił dużo i przestawał z nierządnicami, gadał wiele a drwił z wszystkich ludzi, bo znał ich słabości a cnót ich poznać nie potrafił.

Obaj byli podobni do siebie: jeden z wszelkiego poczucia cnoty wyzuty, drugiemu żadnéj wady nie brakowało; przewrotne serca bez sumienia i bez wstydu mało się troszczyły o tego, w którego imieniu występowali, a kiedy jeden z nich przy śmierci grzechy swoje na świecie zostawił a drugiego same grzechy opuszczały, pierwszy mógł żałować tylko tego, czego jeszcze nie użył, a drugi tego, co się użyć nie dało.

Obaj ci prałaci żywili głęboką nienawiść do Czarnkowskiego a wiedząc w jak wyraźny sposób królowa mu swą niełaskę okazała, postanowili obrać go ze wszystkich godności i urzędów. Na pomocnikach im nie brakło, bo na każdym dworze znajdują się ludzie, w obec których człowiek, który wypadł z łaski, znajduje się w położeniu poszczutego.

Wice-kanclerz musiał doświadczyć, że każdy krok jego był podejrzany, każda rada, którą z urzędu swego z respektem podawał, została po za plecami jego wyśmianą a ponieważ królowa chętnie słuchała, co na niego mówiono, dworzanie poczuwali się do obowiązku, sprawiać jéj najczęściej taką przyjemność. Zapomniano, co dobrego uczynił, doniesienia, obmowy i oszczerstwa zrobiły całe jego życie jednym karygodnym uczynkiem.

Podobne położenie musi zostawić niezatarte ślady na usposobieniu każdego ambitnego człowieka. Kogo otoczy cała atmosfera z tój opinii, kto czuje na każdém miejscu mnóstwo niewidzialnych wrogów koło siebie, którzy mu szkodzą a których on pochwycić nie może, dostrzeże, że go rówiennicy zaczynają lekceważyć, że podrzędni stają się zuchwałymi, że dawnym przyjaciołom swoim staje się natrętnym, że słowa jego słuchane są z niedowierzaniem, każdy krok podejrzany: zdolności wątpliwe a on sam na swojém stanowisku niepotrzebny, wtedy w człowieku nawet najspokojniejszym rozjątrzy się serce i zawrze zemstą na całe społeczeństwo a w każdym razie wyrodzi się w nim głęboki żal do całego świata, który w oczach jego wygląda jakby się bawił z nim w oszczerstwo, podstęp i obłudę.

Wreszcie Zawisza i Mikołaj z Kurnika widząc że stanowisko Czarnkowskiego dostatecznie zostało zachwiane, umyślili mu zadać cios ostateczny i wystąpili z oskarżeniem, ułożywszy nań, jak powiada, najbezczelniejsze kłamstwa. Królowa jakkolwiek chętnie skargi słuchała, nie miała wcale chęci być narzędziem ich nienawiści; wezwała Czarnkowskiego przed siebie i wysłuchawszy jego obrony, uwolniła od wszelkich zarzutów. Cała ta sprawa nie musiała być publicznéj natury, bo kronikarz nie wspomina o co był oskarżony.

Oskarżyciele widząc że się im sprawa nie udała, zbierają natychmiast swoich krewnych i ośmielają tychże do podjęcia roli któréj sami, potém co się stało, prowadzić nie mogli. Ci nauczeni jak mają postępować, zaczęli sobie najprzód torować drogę do łaski krolowéj takiemi podchlebstwami, które nigdy celu nie chybiają; zaczęli ją prosić o to, czego sama najbardziéj pragnęła i wystąpili z zadaniami, które jéj właśnie były na rękę; następnie zaczęli źle mówić o Czarnkowskim, podnosili swoje zasługi około jéj domu, a wreszcie ofiarowali się bezwarunkowo na rozkazy królowéj, prosząc przytem, aby odebrała vice-kanclerstwo Czarnkowskiemu, a Zawiszy ten urząd oddała.

Królowa nie miała dosyć siły aby się oprzeć tak natarczywéj i potężnéj prośbie, która była raczéj kategoryczném zadaniem postawioném z największém uszanowaniem przez Różyców. Zresztą jeśli ten ród obiecywał sobie dużo korzyści stawiając swego krewniaka obok regentki nieznającéj stosunków i osobistości w Polsce, to ona pozbywała się tym sposobem urzędnika nieprzyjaznego dla jéj dworu, człowieka, którego nie lubiła i który był największą przeszkodą w tém co przeprowadzić zamierzała. Oddała więc pieczęć swoją Zawiszy i powierzyła mu losy swojéj kancelaryi.

Cały kraj jednak był z tego bardzo niezadowolnionym. A gdy w obecności królowéj chlubnie o jego działaniu wspominano z tym dodatkiem że człowiek ten sprawiedliwy, bez winy, z urzędu odsuniętym został, królowa odrzekła, że ona mu urzędu wcale nie odebrała, albowiem Zawiszy tylko swoją własną pieczęć oddała.

Postępowanie Elżbiety było niesprawiedliwe i despotyczne, bo prawo publiczne gwałciła.

Gwarancyą wszelkich nadań i przywilejów, które król Ludwik w Budzie 1355 roku szlachcie w całości zachować obiecał, były przedewszystkiém trzy rzeczy z dawna już w Polsce istniejące: Najprzód przysięga kanclerzy, następnie zachowanie w całości ich urzędów bez zmniejszenia atrybucyi tychże lub tworzenia nowych, które to prawo do przywileju Koszyckiego 1374 r. się dostało (być może nawet że z powodu Czarnkowskiego) a na ostatek dożywotność urzędów takich jak kanclerskie lub vice-kanclerski, okrom gdy na wyższe godności a temi były tylko biskupstwa, posunięci zostali. Tym sposobem każdy pieczętarz mógł odmówić pieczęci na akt, który mu się nieprawym wydawał, nie obawiając się że po jego usunięciu drugi to uczyni; niełaska królewska nie wiele go

obchodziła, bo jeśli monarsze był niedogodnym, mógł się spodziewać, że na stolicę biskupią ostateczny cel jego życzeń, posuniętym zostanie.

Pieczęć vice-kanclerska była pieczęć publiczna państwa, a akta które z pod niéj wychodziły pieczęci prywatnéj nosić nie mogły; z tego powodu odsunienie od funkcyi Czarnkowskiego, było czynem bezprawia i straszne także poruszenie w kraju zdziałało.

Nie można się było jednak prawować o to z królową; Czarnkowski widząc, że nie ma co dłużéj robić w Krakowie, pocieszając się ogólną sympatyą, wyjechał na swój archidiakonat do Gniezna na dwór arcybiskupa, który miał dostateczną powagę, aby go od dalszych prześladowań dworu ochronić.

(Dokończenie nastąpi).

LITERATURA ANGIELSKA.

Z H. Taina.

przez Ed. L. ....

Słowo wstępne autora.—Jaka jest jego metoda pisania.—Zachowanie się najeźdźców względem krajowców—język stary i nowy, dwie cywilizacye—znakomici pisarze téj epoki. — Teatr—najznakomitsi dramaturgowie.—Komedya—Ben Johnson.—Wpływ reformy na Anglią—wpływ ówczesnego usposobienia religijnego na literaturę.—Jan Milton jako człowiek i pisarz.

I

Dzieło pod powyższym tytułem pojawiło się już w roku 1863. Przełożono je na obce języki, my tylko nie postaraliśmy się o przekład, ani nie uwzględniliśmy go zwróceniem bacznéj i sumiennéj uwagi. A przecież literatura angielska, to niwa bujna, z któréj zbierały obficie inne literatury, którą nie pogardzali i nasi najpierwsi poeci, literatura mogąca się poszczycić nie już takimi mistrzami stwarzającymi szkołę jak Szekspir i Bayron, nie już takim Miltonem, nie Walter-Scotem wskazującym powieści nowe drogi, ale Popem, Swiftem, Drydenem, Ben Johnsonem, Backonem i tyloma innymi genialnymi pracownikami, w równolegle idących ze sobą pisarskich kierunkach, zasługiwała na szersze i szczersze zajęcie się nią naszych czytelników: zwłaszcza gdy się wydarzyła tak wyborna sposobność jak dzieło Taina. Pełne ono głębokiéj a pysznie oddanéj erudycyi, świetne kolorytem opowiadania, malowniczością prawdziwych z dziejów wewnętrznych narodu wyrwanych obrazów, uderzające dosadnością charakterystyki i stylem żywym, poetycznym, i dramatycznym gdy trzeba, a zawsze zajmującym.

Dla tego bezwłocznie przystępujemy do rzeczy, zaczynając od streszczenia wstępu autora, dającego wyobrażenie o nim samym więcéj jeszcze aniżeli o saméj pracy, bo H. Taine odznacza się tą właściwością, że buduje system ściśle pozytywny, często chłodny i nagi, ale wnet uniesiony przedmiotem, sprzeciwia się swemu systemowi i staje się poetą tam, gdzie chciał być tylko klassyfikatorem logicznym, filozofem tam, gdzie chciał być kronikarzem tylko, lub zimnym analitykiem. Rozpatrzmy się w tym wstępie.

Autor powiada że pogląd na historyą zmienił się od stu lat w Niemczech, od sześćdziesięciu we Francyi, a to przez studya literackie. Przekonano się, że dzieło literackie nie jest prostą igraszką imaginacyi, ale kopią obyczajów i oznaką stanu umysłów. Zawnioskowano, że z pomników literackich można odgadnąć normę myślenia i czucia, ludzi z przed kilku wieków. Normie téj naznaczono miejsce w historyi, która się odtąd zmieniła. Zmianę tę, tak objaśniamy:

Kiedy studyujem księgę *in folio* o kartkach pożółkłych, studyujemy dokument dla poznania człowieka, bo dokument jest tylko szczątkiem mającym być wskazówką poznania istoty żyjącéj. Ludzie to układali dokument według potrzeb ich ówczesnego umysłu. Dogmat sam przez się jest niczém, lecz przypatrz się człowiekowi, który go stworzył. Zestawieniem dogmatów, klasyfikacyą poematów, konstytucyi lub dyalektów, uprzątnęło się tylko grunt, a prawdziwa historya zaczyna się tam, gdzie historyk umié po przez mgłę wieków odróżnić człowieka żyjącego, działającego, pełnego namiętności, człowieka zupełnego, takiego jakiego zwykliśmy spotykać na ulicy. Starajmy się więc przeskoczyć odległość czasu i patrzéć *własnemi oczyma*.

Czytając tragedyę grecką, wyobrażamy sobie natychmiast Greków, to jest ludzi napół nagich, w gimnazyach lub na placach publicznych, lub pod świetném niebem, ćwiczących się w sile, rozprawiających, głosujących lub znoszących do domu skromną żywność, obsługiwanych przez niewolników, ułatwiających im możność ćwiczenia ciała, kształcenia umysłu, pojenia się widokiem najpiękniejszego miasta i najpiękniejszych ludzi. Dodać do tego posąg Tezeusza Partenońskiego, albo widok morza Śródziemnego, niebieskiego, jak tunika jedwabna, nadto kilka wyrażeń Arystofana lub Platona, a wszystko to nauczy więcéj, aniżeli tysiąc komentarzy.

Starajcie się ujrzéć człowieka żywego, gdy jé, chodzi, bije się i pracuje, porzućcie teoryą konstytucyi, religii i systematów, patrzcie na ludzi gdy są w pracowni, w polu, pod swém niebem, przy zagonie, w domu, przy uczcie, i w ten sposób uobecnijcie sobie przeszłość. Prawda że takie odbudowanie będzie zawsze niezupełném, wyda wnioski nie najpewniejsze, ale lepsze nabycie takiéj połowicznéj wiadomości, aniżeli fałszywéj; chcąc zaś poznać czyny przeszłości, niéma innego środka, jak patrzéć na ludzi przeszłości. Jest to pierwszy krok w historyi, odmłodził on wyobraźnię z pomocą Lessynga i Walter Scota, Micheleta i Thierrego. Teraz krok drugi.

Kiedy się patrzymy na człowieka żywego, czego w nim szukamy? Człowieka. Słowa jego, ruchy, ubiór, czyny i postępki są tylko wyrazem duszy. Człowiek wewnętrzny chowa się pod człowiekiem zewnętrznym, a ten drugi objawia pierwszego. Summa zdolności jego i uczuć, objawionych zewnętrznie w czynie i ruchach, stanowi człowieka prawdziwego. Każdy czyn, każdy krok jego pociąga za sobą cały świat marzeń, uczuć, rozumowań. Świat to pod-

ziemny, będący właśnie przedmiotem obserwacyi historyka. Z ornamentu architektonicznego, ze szkicu obrazu, z frazesu, zdoła on odczytać uczucie szczególne, które spowodowało ornament, szkic i frazes; patrzy on na dramat wewnętrzny, który się odbył w artyście i pisarzu, przechodzi jego *psychologię*. Krytyka współczesna krok ten drugi uczyniła.

Kiedy już zanotowałeś w człowieku zbiór kilku uczuć, idziesz daléj; po nagromadzeniu faktów, wyszukujesz przyczyny. Fakta fizyczne czy moralne mają swoją przyczynę, tak samo ma ją ambicya, odwaga, prawdomówność, trawienie, drganie muszkułów, jako i cieplik zwierzęcy. Występek i cnota są tak samo wyrobami jak witryol i cukier, i każda z przyczyn skomplikowanych wyradza się z innych bardziéj prostych, a od których zależy. Potrzeba więc szukać przyczyn. Weź fakt pierwszy lepszy, naprzykład muzykę religijną kościoła protestanckiego. Wewnętrzna przyczyna zwróciła umysły wiernych ku tym poważnym melodyom. Była nią idea prawdziwéj czci zewnętrznéj, jaka się należy Bogu od człowieka; ona to umodelowała architekturę świątyni, obaliła posągi, zamknęła wiernych w wysokich ławkach zasłaniających widok. Ta znowu wypływem jest przyczyny jeszcze ogólniejszéj, to jest idei postępowania człowieka wewnętrznego i zewnętrznego, modlitwy, aktów usposobienia w jakiém się człowiek znajduje względem Boga; ona wprowadziła doktrynę łaski, zmniejszyła liczbę duchowieństwa. A ta znów idea zawisła od innéj ogólniejszéj, od idei doskonałości moralnéj i t. d. Tutaj dotykamy głębi człowieka, lecz ażeby ją wytłumaczyć, potrzeba się zastanowić nad rasą, nad Germanem i człowiekiem Północy, nad jego charakterem i umysłem, jego sposobem myślenia i czucia, żywością i ospałością wrażeń, nad przyczynami, które rozwinęły u niego sumienie. Tu poszukiwanie ustaje. Odnalazło się jakiś rys pierwotny właściwie charakteryzujący wszystkie pomysły i wrażenia wieku całego lub rasy. Istnieje przeto pewien system pomiędzy uczuciami i ideami ludzkiemi, a systemu tego pierwszą pobudką są pewne rysy ogólne, pewien charakter umysłu i serc, wspólny ludziom jednéj rasy, jednego wieku lub kraju. Cywilizacye choćby najrozmaitsze, wynikiem bywają pewnych prostych form duchowych. Chcąc zrozumieć ogół różnic historycznych, dość przyjrzéć się duszy ludzkiéj w ogóle i jéj właściwościom zasadniczym, a takie uproszczenie da wyobrażenie form głównych. Trzy siły pierwotne ustanawiają stan moralny: *rasa, otoczenie i chwila*. Rasa nie jest niczém innem, tylko skłonnością wewnętrzną i dziedziczną, którą człowiek przynosi ze sobą na świat, a z którą łączy się zazwyczaj różnica temperamentu i budowy ciała. Wszakże są różnice między ludźmi i między wołmi i końmi; jedni dzielni i rozumni, drudzy bojaźliwi i ograniczeni; jedni zdolni do najwyższych pomysłów, drudzy do najzwyczajniejszych: inni nareszcie usposobieni szczególniéj do pewnych robót i obdarzeni szczególnemi instynktami. Tkwi tu odrębna siła, a tak wyraźna, że ją zaraz poznać łatwo i że jedna rasa, naprzykład starożytny lud aryj-

ski, rozproszony od Gangesu aż do Hebrydów, osiedlony pod wszelkiemi klimatami, w różnych stopniach cywilizacyi, przemieniony trzystoma wiekami przeobrażeń, objawia przecież w swym języku, w religiach, w literaturach swych i filozofiach, wspólność krwi i umysłu, wiążącą dziś jeszcze wszystkich jednego wspólnego pochodzenia. Mimo ich rozmaitości, pokrewieństwo nie zostało zniszczone; dzikość i oświata, różnice ziemi i nieba, przypadkowości działały, a mimoto główne rysy oryginalne pozostały. Jakkolwiek niezmierna odległość czasu, pozwala nam zaledwie w niepewném świetle przyjrzéć się pochodzeniom gatunków, to jednak wypadki dziejowe oświecają o tyle epoki przedhistoryczne, że można sobie wytłumaczyć solidarność prawie nienaruszoną charakterów pierwotnych. Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści wieków przed naszą erą, Aryjczyk, Egipcyanin, Chińczyk, byli już może przedstawicielami liczby wieków jeszcze większéj. Skoro bowiem zwierzę żyć poczyna, zaraz potrzebuje zastosować się do swego otoczenia, oddycha inaczéj, odradza się inaczéj, stosownie do odmienego powietrza, pożywienia i temperatury. Klimat i sytuacya odmienna, zmuszają go do potrzeb odmiennych, a więc i do czynów odmiennych i do zwyczajów odmiennych, zdolności i instynktów innych. Człowiek zmuszony trzymać się w równowadze z okolicznościami, przyswaja sobie odpowiedni temperament i charakter, a temperament ten i charakter tém bardziéj się ustalają, im wrażenia zewnętrzne były liczniejsze i udzieliły się potomkom mocą dziedzictwa. Dlatego to w każdéj chwili uważać można charakter ludu jako zbiór wszystkich jego czynów i wrażeń poprzednich, czyli jako ilość i wagę nieskończoną; bo każda rzecz w naturze jest ograniczoną, ale niezmierną i niezmierzoną, ponieważ każda minuta przeszłości prawie nieskończonéj, przyczyniła się do przeciążenia, i ponieważ dla równowagi, potrzebaby na drugiéj szali zebrać liczbę czynów i wrażeń jeszcze większą. Oto jest pierwsze i najobfitsze źródło własności zasadniczych, z których wypływają wypadki historyczne.

Gdy się już zbadało budowę wewnętrzną rasy, potrzeba się zastanowić nad otoczeniem, w którém ona żyje. Człowiek albowiem nie żyje sam na świecie, ale go otacza natura i inni ludzie. Na zgięciu pierwotném i ustaloném, układają się zgięcia przypadkowe i potworne, a okoliczności fizyczne i społeczne burzą, lub uzupełniają ich podstawę. Najprzód klimat oddziałał. Można twierdzić z dość wielką pewnością, że głęboka różnica okazująca się między rasami germańskiemi z jednéj, a helleńskiemi i latyńskiemi z drugiéj strony, zależną jest głównie od różnicy okolic, w któréj się osiedliły. Jedne w krajach zimnych i wilgotnych, w głębi lasów bagnistych albo nad brzegiem huczącego oceanu, poddane wrażeniom melancholijnym lub gwałtownym, skłaniające się do pijaństwa i grubego pożywienia, przechodzące życie wojownicze; drugie w pośrodku najpiękniejszych krajobrazów, nad brzegami morza płynącego spokojnie i jasno, a więc zachęcone

do żeglugi i przemysłu, skłaniające się do obyczajów życia społecznego odrazu, do organizacyi politycznéj, do uczuć i zdolności rozwijających sztukę krasomówczą, talent, gry, wynalazki, nauki i sztuki. W instynktach regulujących i w zdolnościach wszczepianych w krew jakiéj rasy, słowem w usposobieniu umysłu, podług którego dzisiaj działa i myśli, odkryć łatwo dzieło okoliczności wpływowych, nacisku potężnego z roku na rok, z pokolenia na pokolenie. W Hiszpanii krzyżową wojnę ośmiu wieków przeciw muzułmanom, przedłużają aż do wypędzenia Maurów, Żydów, do ustanowienia inkwizycyi, do wojen katolickich; w Anglii instytucyę polityczną ośmiu wieków, trzymającą jednostkę w niepodległości i posłuszeństwie, umiejącą walczyć gromadnie przeciw nadużyciom prawa; we Francyi organizacyą łatyńską, narzuconą zrazu potulnym barbarzyńcom, późniéj złamaną, odróżniającą się w sprzysiężeniu jasném poczuciem instynktu narodowego,rozwijającą się pod królami dziedzicznymi, dopóki nie doszła do pewnego rodzaju republiki scentralizowanéj, pod dynastyami narażonemi na ciągłe rewolucye. Wszystko to są przyczyny dające się zauważyć, a według których modelował się człowiek pierwotny; są one dla narodu tém, czém wychowanie, rzemiosło dla jednostki, obejmują zaś wszystkie potęgi zewnętrzne urabiające ludzką naturę. Zachodzi jeszcze trzeci rzęd przyczyn. Prócz danego impulsu i otoczenia, istnieje jeszcze szybkość nabyta. Kiedy charakter narodowy i okoliczności zaczynają działać, działają nie na *tabulą rasa* ale na miejsce, w którém już ślady były zaznaczone. Stosownie do tego, gdy się na to miejsce zapatrujemy z jednéj *chwili* lub drugiéj, różnica tych śladów odmiennie się kształtuje, a to już wystarcza, ażeby i wynik całości był odmienny. Weźmy naprzykład tragedyą francuzką z czasów Kornela i z czasów Woltera, lud grecki Eschylesa lub Eurypidesa, malarstwo włoskie Leonarda da Vinci, lub Guido-Reniego. Niezawodnie, że wychodząc z każdego z tych punktów krańcowych, pomysł ogólny nie zmienił się wcale, bo zawsze chodzi tu o jeden i ten sam typ ludzkości, czy w poezyi, czy w malarstwie. Lecz pomiędzy innemi różnicami zachodzi i ta jeszcze, że jeden z artystów jest poprzednikiem, drugi następcą, jeden nie ma wzoru, drugi go ma, jeden idzie z dziełem w zapasy sam na sam, drugi ma już pośrednika; że wiele szczegółów sztuki już się udoskonaliło, że prostota i wielkość wrażenia już się zmniejszała, a zastąpiła je doskonałość i obrachowanie formy, krótko mówiąc, że dzieło pierwsze sprowadziło drugie. Z ludem ma się rzecz tak samo jak z rośliną. Toż samo nasienie pod tą samą temperaturą i na tym samym gruncie, wydaje pod różnym stopniem rozradzania się, kształty różne i to wtakim sposobie, że kształt następny warunkuje się poprzednim, i rodzi się ze śmiercią tamtego. Jeżeli teraz przypatrzycie się krótką chwilę rozwojowi jednego lub kilku wieków, naprzykład wiekom średnim lub francuzkiéj ostatniéj epoce klasycznéj, to wniosek wypadnie tenże sam. Pewien pomysł ogólny zapanował, ludzie przez 200 czy 500 lat utworzyli sobie pewien wzór idealny człowie-

ka; w średnich wiekach rycerza i mnicha, w wieku klasycznym dworaka i krasomówcę. Ta idea ogólna i twórcza objawiała się w czynach i w myśli, tak, że pokrywszy świat dziełami swemi mimowoli systematycznemi, znużyła się wreszcie i zgasła dając miejsce idei nowéj, przeznaczonéj również do panowania i wydawania czynów odpowiednich. Druga zależną jest od pierwszéj, przeważa zaś stosując się do geniuszu narodowego i okoliczności, wyciśnie na nowéj swe piętno i kierunek. Według to takiego prawa, tworzą się wielkie epoki historyczne, które są niczém inném, tylko długiém istnieniem pewnéj formy umysłowéj lub idei zasadniczéj, jak naprzykład epoka Odrodzenia albo wiek klasyczny, albo epoka Alexandryjska. Tutaj jak i wszędzie istnieje zagadka mechaniczna; wynik całości oznaczony jest zupełnie wielkością i kierunkiem sił, które ją powołały do życia, które ją wyprodukowały. Jedyna różnica rozdzielająca zagadki moralne od fizycznych, polega na tém, że kierunki i wielkość pierwszych, nie dadzą się z taką ścisłością oznaczyć jak drugich. Jeżeli potrzeba, zdolność jest ilością poddaną stopniom tak jak ciężar, mimoto ilość ta, nie da się tak jak on zmierzyć i zważyć. Nie możemy jéj zamknąć w formułce dokładnéj, możemy tylko z jéj powodu odnieść wrażenie literackie; ograniczeni jesteśmy do zanotowania wypadków, przez które się objawia. Lecz jakkolwiek środki notowania obserwacyi w umiejętnościach moralnych, nie są te same co w fizycznych, przecież gdy w obydwóch materya jest ta sama, i składa się tak samo z sił, kierunków i wielkości, powiedzieć można że w jednych i drugich, wynik ostateczny układa się według téj saméj reguły. Jest wielkim lub małym stosownie do tego, czy siły zasadnicze wielkie są czy małe. W ten tylko sposób dadzą się wytłumaczyć długie niemoce i zaszłe świetne powodzenia, okazujące się bez widocznéj przyczyny, w życiu ludów. Mają one jako przyczynę zgodność lub niezgodność wewnętrzną. Zgodności tych sił twórczych dowodem, gdy charakter towarzyski Francuzów natrafił w XVII wieku na chwilę analizy krasomówczéj i na obyczaj salonu, gdy giętki i głęboki geniusz angielski zetknął się w XIX wieku ze syntezą filozoficzną i z krytyką kosmopolityczną. Przeciwieństwa, niezgodności tych sił twórczych dowodem, komedya skandaliczna za Drydena, fabrykacye literackie za Ronsarda i Plejady.

Moglibyśmy zaręczyć, że kreacye nieznane ku którym duch wieków nas pociąga, uregulują się według tych trzech sił pierwotnych i że gdyby te siły mogły być przemierzone i ocyfrowane, wyciągnęłoby się z nich formułę właściwości cywilizacyi przyszłéj. Chodzi teraz o zbadanie w jaki sposób przyczyny te zastosowane do narodu jakiego, lub wieku, rozdzielają wpływ swój.

Ktoby układał kartę psychologiczną wypadków i poczuć cywilizacyi ludzkiéj, znalazłby najsamprzód kilka prowincyj ostro odznaczonych w religii, sztuce, filozofii, państwie, rodzinie, przemyśle; później w każdéj z tych prowincyj, departamenta naturalne, a w każdym departamencie jeszcze mniejsze terytorya; ażby do-

szedł do wypadków niezliczonych życia, obserwowanego przez nas codziennie i naokoło nas. Zbadawszy następnie i porównawszy ze sobą te rozmaite grupy faktów, spostrzeże się, że są złożone z części, i że wszystkie znowu mają części wspólne. Weźmy naprzykład trzy najgłowniejsze dzieła ludzkiego umysłu: religią, sztukę i filozofią. Cóż to jest filozofia, jeżeli nie wyobrażenie o naturze i jéj przyczynach pierwotnych, pod formą abstrakcyi? Co religia i sztuka ostatecznie, jeżeli nie wyobrażeniem o téj saméj naturze i tych samych przyczynach pierwotnych, pod formą symboli wyraźnych lub mniéj wyraźnych, i osób mniéj lub więcéj oznaczonych, z tą jedynie różnicą, że w pierwszym wypadku wierzy się że istnieją, w drugim zaś nie istnieją wcale. W Indyach, w Skandynawii, w Persyi, Rzymie, w Grecyi, wszędzie sztuka jest pewnym rodzajem filozofii namacalnéj, religia pewnym rodzajem poematu uważanego za prawdziwy, filozofia pewnym rodzajem sztuki i religii zredukowanéj do pojęć czystych. A zatem w pośrodku tych trzech grup znajduje się żywioł wspólny, pojęcie świata i jego zasady, a jeśli się różnią między sobą, to dlatego, że każdy łączy z żywiołem wspólnym żywioł odrębny.

Tutaj potęga abstrakcyi, tam zdolność uosobistniania i wierzenia, ówdzie nareszcie talent usobistniania samego. Weźmy znów za przykład dwa główne dzieła stowarzyszenia ludzkości: rodzinę i państwo. Co się składa na państwo, jeżeli nie uczucie posłuszeństwa, mocą którego gromada ludzi staje pod władzą naczelnika? a co na rodzinę, jeśli nie uczucie posłuszeństwa, mocą którego żona i dzieci działają z woli ojca i męża? Rodzina jest państwem naturalném, pierwotném i ograniczoném, tak jak państwo jest rodziną sztuczną, późniejszą i rozszerzoną, a pod różnicami wprowadzonemi liczbą, pochodzeniem i stanem jednostek, dostrzedz można zarówno w małém, jak w większém gronie, jedno i to samo usposobienie umysłu zasadnicze, podstawowe, które ich zbliża i łączy. Przypuściwszy teraz że żywiołowi temu wspólnemu nadaje otoczenie, chwila lub rasa, charakter właściwy, pokaże się zaraz, że wszystkie grupy odpowiednio się zmienią. I tak jeżeli uczucie posłuszeństwa było tylko strachem (Montesquieu: Esprit des lois) uderzy zaraz tak jak we wszystkich państwach wschodnich brutalność despotyczna, dotkliwe kary, wyzyskiwanie poddanego, serwilizm w obyczajach, ubóstwo produkcyi, niewolniczość kobiety i zwyczaje haremowe. Jeżeli podstawą uczucia posłuszeństwa była karność, towarzyskość i uczucie honoru, wytworzy się z tego doskonała organizacya militarna, hierarchia administracyjna, brak opinii publicznéj obok porywów patryotyzmu, posłuszeństwo bierne obok niecierpliwości burzyciela, wypływającéj z przymusu prawa. Jeżeli nareszcie uczucie posłuszeństwa jest podporządkowaniem się pod ideę obowiązku, dostrzeże się jak u narodów germańskich, szczęście małżeńskie, życie domowe rozwinięte, uszanowanie naturalne i nałogowe dla prawa. Człowiek skłonnym będąc z natury do przyjęcia najszerszych pomysłów,

a zarazem do burzenia ich przez swoją organizacyą nerwową, ukaże widowisko jak w Indyach ogromnego bogactwa, olbrzymich myśli religijnych, epopei, pomięszania filozofii subtelnéj z imaginacyjną, a tak ściśle ze sobą złączonych a zarazem wspólnym zarodkiem przeniknionych, że po kolorycie i nieładzie poznać je będzie można natychmiast, jako produkcye jednego i tego samego klimatu i jednego ducha. Gdy znowu przeciwnie, człowiek zdrowy i trzymający się w równowadze, ogranicza z własnéj woli rozległość pomysłów, nadając im uosobioną formę przedstawi widowisko jak w Grecyi, teologii artystów i bajarzy, bogów groźnych, odłączonych od rzeczy, stanowiących osobistości odrębne zatraconego uczucia jedności powszechnéj, filozofii ograniczonéj raczéj niż wspaniałéj, ograniczonéj w metafizyce, ale silnéj w logice i w sofistyce moralnéj, a nareszcie poezyi odznaczającéj się jasnością, prawdą i pięknością. Daléj gdy człowiek ograniczony jest pomysłami nierozległemi a zarazem całkiem zatopiony w zatrudnieniach praktycznych, przedstawi widowisko, jak w Rzymie, bogów umyślnie wymyślonych, będących niczém innem, tylko etykietami różnych zatrudnień poezyi i filozofii nijakiéj lub pożyczanéj. Tutaj jak i wszędzie, stosuje się *prawo wzajemnéj zawisłości*. Cywilizacya stanowi ciało, gdy pojedyńcze jéj części trzymają się razem tak jak w ciele organicznem. Tak jak w zwierzęciu, instynkta, zęby, członki i muszkuły ściśle są ze sobą spojone, tak iż zmiana jednego wywołuje zmianę w innych; tak samo w cywilizacyi religia, filozofia, rodzina, literatura i sztuki stanowią system, w którym zaszła zmiana miejscowa, sprowadza zmianę ogólną. W téj zawisłości nic ma nic niepewnego, nic narzuconego. W cywilizacyi reguluje tę zawisłość istnienie żywiołu produkcyjnego, znajdującego się zarówno we wszystkich kreacyach; pod tym zaś żywiołem rozumiemy jakąś zdolność, czy dyspozycyą z charakterem wybitnym i właściwym, wprowadzającą zmianę we wszystkich dziełach, których się dotknie.

Doszedłszy do tych wniosków, moglibyśmy dojrzéć główne rysy przemian ludzkości i wyszukać prawa ogólne, rządzące nie już wypadkami, ale całemi gruppami wypadków, nie już jedną religią i literaturą, ale całą grupą literatur i religii. Jeżeli naprzykład przypuścimy, że religia jaka jest poematem metafizycznym połączonym z wiarą, że są pewne chwile, otoczenia i rasy, w których wiara, zdolność poetyczna i zdolności metafizyczne rozwijają się razem dzielnie; jeżeli rozważymy, że chrystyjanizm i buddyzm wyłoniły się w epoce wspaniałéj syntezy i pośród nieszczęść, a zarazem z drugiéj strony że religie pierwotne powstały z obudzeniem się świadomości ludzkiéj, podczas najbujniejszego polotu imaginacyi, najpiękniejszéj naiwności i wiary; jeżeli jeszcze rozważymy że mahometanizm ukazał się z powstaniem prozy poetycznéj i pomysłu jedności narodowéj, u ludu pozbawionego nauki a z równoczesnym rozwojem gdzieindziéj umysłu: to możnaby zawnioskować że religia powstaje, słabnie, odznacza się i zmienia stosownie do tego, czy

okoliczności rozmnażają mniéj lub więcéj jéj trzy czynniki twórcze, i wtedy rozumianoby dlaczego jest endemiczną w Indyach, pośród umysłów pełnych wyobraźni i egzaltacyi, dlaczego rozwinęła się tak cudnie i wspaniale w średnich wiekach, pośród języków i literatur nowych; dlaczego podniosła się na nowo w XVI wieku z entuzyazmem bohaterskim i to w chwili powszechnego odrodzenia, dlaczego wyrodziła się w dziwaczne sekty w demokracyi amerykańskiéj, i dlaczego nareszcie rozszerzyła się po Europie w rozmiarach i szczegółach tak rozmaitych, a tak zależnych od różnicy rass i cywilizacyi! Tak samo rzecz się ma z wielkim rodzajem produkcyi ludzkiéj, z literaturą, muzyką, rysunkiem, filozofią, naukami, państwem, przemysłem i resztą. Każda z nich ma za przyczynę bezpośrednią, pewne usposobienie moralne, albo zbieg usposobień moralnych: słabość lub siła téj przyczyny, daje miarę jéj własnej siły lub niemocy.

Historya stanęła dzisiaj na progu tych poszukiwań. Kwestya obecna jest taką: mając daną jaką filzofię, literaturę, społeczeństwo, sztukę, jaki jest stan moralny wywołujący je? i jakie są warunki rasy, chwili i otoczenia, najwłaściwsze do wywołania takiego a takiego stanu moralnego? Istnieje stan moralny, wyraźny dla każdego z tych form i dla każdéj z ich odnóg, istnieje on dla sztuki w ogólności i dla każdego rodzaju sztuki, dla architektury, malarstwa, rzeźby, muzyki, poezyi. Każda z nich ma swe ziarno specyalne w szerokiém polu psychologii ludzkiéj, każda ma swe prawo na mocy którego sama powstaje z pośród zboczeń innych, jak naprzykład malarstwo flamandzkie w XVII wieku, poezya w Anglii w XVI wieku, muzyka w Niemczech w XVIII wieku. *W danéj chwili* i w tych krajach znalazły się warunki gotowe dla sztuki, ale nie dla innych sztuk, tak, że tylko ta jedna sztuka wyrosła w górę. Te więc reguły wegetacyi ludzkiéj powinna historya wyszukiwać, tę specyalną psychologię każdéj formacyi specyalnéj trzeba stworzyć; ten obraz zupełny tych warunków właściwych, potrzeba dziś wykończyć. Nic nad to trudniejszego. Montesquieu usiłował to uczynić, ale za jego czasów historya była nauką zbyt świeżą aby mu się udać mogła; podówczas nie popierano jeszcze dróg jakiemiby chodzić trzeba, a i dziś zaledwo je spostrzegamy. Podobnie jak astronomia jest zagadką mechaniki, a fizyologia zagadką chemii, tak samo historya jest w gruncie rzeczy *zagadką psychologii*.

System szczególny złożony z wrażeń i przeobrażeń wewnętrznych, składa się na to, by z kogoś zrobić artystę wierzącego, muzyka, malarza. Dla każdego z nich zawisłość idei i wzruszeń przedstawia się różnie, każdy z nich ma własną historyą moralną i własną budowę, z pewnym odcieniem głównym i wspólnym. Chcąc wytłumaczyć każdego po kolei, potrzebaby napisać tomy analizy wewnętrznéj.

Niektórzy znakomici krytycy z dokumentu tłumaczyć umieją psychologią duszy całego wieku a czasem całéj rasy. Z tego powodu wielki poemat, piękny romans, pamiętniki znakomitego

czł owieka stać się mogą bardziej pouczającemi, aniżeli zbiór historyi. Dość tu przytoczyć jako przykład pamiętniki Celliniego, listy ś-go Pawła, rozmowy Lutra i komedye Arystofanesa. I na tém właśnie polega wartość dzieł literackich, że pożyteczność ich rośnie w miarę doskonałości, a gdy podają dokumenta, służyć one mogą za pomniki. Im książka jaka bardziéj uwidocznia uczucia, tém jest prawdziwiéj literacką, ponieważ do obowiązków literatury należy notować uczucia. Im te uczucia są wznioślejsze, tém większéj wartości nabiéra książka, przedstawieniem albowiem uczuć całego narodu lub całego wieku, zyskuje pisarz sympatyę całego narodu i całego stulecia. Dla tego z pomiędzy dokumentów wskazujących nam przed oczy uczucia przeszłych pokoleń, literatura nazwać się może dokumentem najprzydatniejszym. Konstytucye, religie, kodeksa i katechizmy malują ducha w ogólnych tylko zarysach bez delikatnych odcieni, gdy tymczasem dokumenta w których dogmat i polityka lśnią żywemi barwami, jako: kazania, mowy z trybuny, pamiętniki, zeznania poufne, należą do działu literatury. A zatem przez studyowanie literatur można się nauczyć historyi moralnéj, i zbliżyć się do poznania praw psychologicznych, od których zawisły wypadki.

Co się mnie tyczy (mówi Taine), zamierzam w historyi literatury wynaleźć psychologię ludu, a wybrałem ten lud dla tego, że ma on wielką literaturę kompletną, co należy do rzadkości i że mało jest narodów, któreby zawsze prawdziwie myślały i prawdziwie pisały. Z dawnych literatur, łacińska jest z początku nijaką, późniéj pożyczaną. Z nowszych, niemiecka przez dwa wieki czczą jest i pustą (od 1550 do 1750), włoska i hiszpańska skończyły swój żywot w połowie XVII wieku. Jedna Grecya starożytna, Francya i Anglia wieków nowych, przedstawiają ciąg wielkich pomników i wyraźnych. Nadto cywilizacya angielska odznacza się tą jeszcze właściwością, że trzy dane, z których powstała jako: rasa, klimat, najazd normandzki, dadzą się doskonale badać w pomnikach, tak że można poznać wybornie dwa najpotężniejsze czynniki przemian ludzkich, to jest naturę i przymus, w szeregu nieprzerwalnych autentycznych pomników.

Dając w streszczeniu wstęp autora, chcieliśmy przez to udzielić możność zapoznania się z jego procederem pisarskim, który wyłącznością z góry obmyśloną, mogąc często zrazić, samodzielnością wszakże zastanawia i do myślenia pobudza. H. Taine grzeszy może tém, że dzieło swe zbyt naciąga do systematów i metody. Posiadając całą szczerość filozofa, nie szuka omówień ani miarkuje określenia. Zmierza wprost do rzeczy, ale systemata jego idąc raz wzorem Spinozy, to znowu wzorem Arystotelesa i Hegla, nie mają na celu malowania człowieka i pisarza, lecz tłumaczenia go psychologicznie. Człowiek, jest podług Taina maszyną, któréj główna sprężyna nadaje dopiero ruch ogólny. Wskazawszy tę sprężynę, wytłumaczy się całą tajemnicę maszyny. Naród więc w jakiéjś danéj chwili nie jest niczém innem, tylko maszyną zbiorową, którą analiza łatwo objaśnić zdoła. Gruppa faktów podporządkowana pod jeden fakt

główny, definicya jedna stanowcza, formuła twórcza „ogólna“ oto owoce powyższéj metody. Widząc właściwość jakąś przeważną czy kierunek główny pewnego wieku, ludu lub rasy, zna się już człowieka, wiek i lud cały według Taina. Taka teorya właściwości przeważającéj, którą jak widzieliśmy, autor szeroko we wstępie rozwija, ma odświeżyć krytykę, dać jéj nowe podstawy, i przemienić ją z literackiéj jaką była, w umiejętną, naukową. Zdawałoby się że autor zamykając się w dobrowolnie samemu sobie narzuconym systemie, będzie postępował naprzód, najeżony formułami, stąpający z teoryi w teoryę, że nie okaże ani iskry życia, sztuki lub akcyi, że się wyrzeknie poezyi, stylu pięknego, zastępując go suchym i chłodnym. Tymczasem tak nie jest wcale na szczęście. Talent Taina, jak się ktoś słusznie o nim wyraził, wart więcéj niż jego systemata. Porusza się albowiem swobodnie w dziedzinie fantazyi i sztuki. Styl ozdobny, żywy, pełen kolorytu świetnego, a myśl jego wytwarza poetyczne i pełne uroku obrazy. Ma zapał i wyobraźnię, a ta jego niekonsekwencya pozwalająca mu się unosić wbrew ułożonéj z góry metodzie, przypomina boskiego Platona, wielkiego poetę, który poetów wypędził ze swéj republiki. Taine usiłujący wszystko zamknąć w ścisłéj analizie, staje się przecież pełnym życia i sztuki w swéj krytyce, boć czuje doskonale że suche formułki nie wytłumaczą wyraziście gry namiętności i walki idei. Będąc artystą i filozofem, ożywia naturę uczuciem i życiem, a mając zmysł malowniczy, rysuje obraz w dwóch pociągach poetyckiego swego pędzla. Miejsca które przebiega ubarwione historycznym poglądem, a wieki odległe nakreślone z taką prawdą, z taką potęgą i takim kolorytem, że czytelnikowi zdaje się iż własnémi oczyma przygląda się przeszłości. Taine w tém jeszcze dziwne robi wrażenie, że będąc filozofem i poetą nie może się często ze sobą pogodzić, i gdy raz filozof drwi z poety, gdzieindziéj poeta szydzi z filozofa. Sprzeczności te wszakże nic a nic nie uszczuplają zasługi jego i talentu, jako niepospolitego pisarza.

II.

Nie mogąc szczegółowo iść krok w krok za autorem, przechodzić tylko będziemy te ustępy, które charakteryzując ogólny obraz ludu angielskiego, jego historyi intelektualnéj, pozwolą zarazem uwydatnić świetniejsze wypadki i osobistości. Tak więc autor na pierwszych kartach tomu 1-go opisawszy Saksonów, jako pierwotnych mieszkańców Anglii, charakter człowieka feudalnego, najazd i charakter Normandów, ich tryb życia, tyranią, literaturę i język którą usiłują narzucić; opowiada jak zwolna zapominają swéj rodowitéj mowy i uczą się języka angielskiego. Potrzeba było ażeby Normand nauczył się angielskiego języka, gdyż musiał rozkazywać swym dzierżawcom, żona jego saksonka mówi z nim tym językiem, syn jego uczy się go od mamki. Obawa przejęcia się angielszczyz-

ną zapewne była silną, skoro dla uchronienia synów, posyłać ich musi do Francyi, kraju rodzinnego.

Z pokolenia w pokolenie, zaraza się rozszerza, wciągają ją powietrzem, na łowach z gajowymi, na polach z wieśniakami, na okrętach z majtkami. Trudno bowiem żeby ci ludzie prości, zatopieni w potrzebach doczesnych uczyć się mieli obcego języka; samą już swą niezdarnością narzucają swój język. Uczone wywody, nauka prawna, wyrażenia filozoficzne, słowem wszystko co się odnosi do myślenia i do ukształcenia może pozostać francuzkiém (normandzkiém); idee te i język ten stojąc po nad tłumem nie może być przezeń zmieniony, lecz to, co należy do czynów codziennych i przedmiotów widocznych chrzci nazwami swémi Saksończyk. Zanadto on przejęty nimi, ażeby się ich pozbył. Normand więc zwolna i przymuszenie zaczyna mówić i rozumiéć w angielskim języku, przekształconym wprawdzie i zepsutym francuzczyzną, ale angielskim co do źródła. Potrzebował na to lat dwustu, bo dopiéro pod Henrykiem VIII urobił się nowy język, równo z nową konstytucyą, tak samo wytworzoną przez połączenie. Mieszczuch zasiada w parlamencie z szlachcicem, tak jak wyrazy saksońskie zasiadają obok francuzkich.

W ten sposób tworzył się język angielski nowoczesny, przez ugodę dobrowolną i obowiązek wzajemnego zrozumienia się. Atoli szlachta, mówiąc nowym językiem, zachowała serce pełne idei i smaku francuzkiego, tak że zaczynająca się teraz literatura nie jest niczém inném, tylko przekładem, tłumaczeniem. Kopiści, tłumacze, naśladowcy: oto pisarze. Anglia jest (w tym czasie) dla Francyi tém, czém były trzydzieści lat tému Stany Zjednoczone Ameryki dla Europy. Wywozi bawełnę a wprowadza idee.

Literatura przeto polegająca na samych importowanych przekładach jest bardzo lichą i ubogą. Zostaje ona długo w tym stanie mimo starć politycznych, przyspasabiających wolność polityczną i walk religijnych przygotowujących reformę religijną. A jak stały obyczaje? posłuchajmy: „Brutalne i złe namiętności ludzkie, rozpasane skutkiem nienawiści religijnéj, późniéj pozostawione samym sobie, ale pod pozorem zewnętrznéj ogłady, niemniéj haniebne. Oto król popularny Ryszard Lwie Serce, ileż nie spełnia rzezi i mordów!. Król Ryszard, jak mówi poemat współczesny, najlepszym jest z królów na świecie.

Pewnego dnia (słowa poematu) powstając z łoża choroby pod murami Saint Jean-d'Acre, chciał koniecznie jeść mięso prosięcia. Lecz prosięcia nie ma. Zabijają młodego i delikatnego Saracena, gotują go, solą; król jé i znajduje go bardzo smacznym, poczém chce ujrzéć łeb zabitego prosiaka. Kucharz przynosi łeb drżąc cały. Król się rozśmiał, mówiąc, że armia nie potrzebuje bać się głodu, bo ma prowizyi podostatkiem. Zdobywa miasto, a posłowie Saladyna przychodzą natychmiast błagać go o łaskę dla więźniów. Ryszard każe ściąć głowy 30-stu magnatom, kucharzowi poleca gło-

wy te ugotować i podać każdemu z posłów z załączeniem napisu nazwiska zabitego. Sam zaś w ich obecności, zjada głowę podaną mu ze smakiem, i prosi posłów ażeby opowiedzieli Saladynowi w jaki sposób chrześcianie prowadzą wojnę i czy prawdą jest że się jego boją. Potém wyprowadzić kazał 60,000 więźniów na płaszczyznę. Słyszał głosy aniołów mówiące: Zabijacie, zabijacie?—nie oszczędzając ich, głowy im zetnijcie! Król Ryszard usłuchał głosu aniołów, podziękował Bogu i kazał ściąć wszystkich, a gdy zdobywa miasta, ma już we zwyczaju wyduszać kobiety i dzieci.“ Taka była pobożność średnich wieków, i to nie tylko w romansach i poematach ale i w historyi; przy wzięciu Jerozolimy wymordowano przecież 70,000 ludzi. Instynkta dzikie i krwiożercze, odbiły się nawet w opowiastkach rycerskich. A obok tego zdarzenia rzeczywiste. Wszakże Henryk II rozgniewany na swego pazia, wyłupia mu oczy. Jan Bez Ziemi, zagładza w więzieniu 23 zakładników, Edward II każe rozpruć brzuchy 28 magnatom. Wojna „dwóch róż“ rozszerzyła wojnę domową. Grzeczność rycerska nazwać się może zaledwie chwilową draperyą. W téj cywilizacyi i w téj literaturze, jakiż człowiek uczynił postęp? Oto wymyślił ceremoniał elegancki, ażeby gładziéj rozmawiać z damami i królami, wynalazł kodeks galanteryi, ale prawdziwego wychowania ani śladu. Literatura żadna, nikt nie myśli; ani moralność publiczna, ani nauka nie zyskały nic w tych trzech wiekach. Kultura francuzka, naśladowana w całéj Europie bez skutku, dała tylko pozorną ogładę. W Anglii jeszcze gorzéj rzeczy poszły, dlatego cała pierwsza epoka feodalna zamykająca okres literatury normandzkiéj, jest czczą i pustą. Spytaćby się można, co się stało z ludem podbitym? Czy go ściął ze szczętem topór normandzki? Nie, wegetował on jeszcze. Rasa podbita stanowi massę przywiązaną do ziemi, i jest ciągle w dalszym posiewie. Cierpi wprawdzie, ale rany zabliźnia. Odtąd chociaż w zamkniętym obrębie, podbity będzie działał i rozwijał się. Solidarność i walka, takie dwa następstwa wynikły. Z jednéj strony arystokracya zdobywcza, z drugiéj naród podbity. Ztąd się poczyna narodowy zwyczaj działania masą, z uszanowaniem prawa pisanego, ze współczuciem energii tryumfującéj i cierpiącéj.

Zwolna po przez bolesne skargi kronikarskie, dostrzedz można jak człowiek nowy działa. Wielu ze Saksonów kreowano baronami normandzkimi, wielu wazalami baronów najezdczych, większa część zostaje właścicielami wolnymi, obciążonymi podatkiem i ograniczeniami.

Z ustaleniem się jednak stosunków, dających dość rozległą swobodę dawnym mieszkańcom, charakteryzuje ich dzielność, odwaga, chęć bojów i napadów, energia, umysł zdecydowany i przyzwyczajenia niezawisłości. Tak przysposobieni, rychło umaczają rękę w sprawach kościoła i państwa. Nadużycia ówczesnego duchowieństwa, nastręczały ku temu szerokie pole. Już w pierwszych latach panowania Henryka III liczono do 100 zabójstw, popełnionych przez księży, a w XIV wieku dochód duchowieństwa był 12 razy

większy od cywilnego, połowa gruntu znajdowała się w jego rękach, taksy płacone kościołowi, były pięć razy większe od taksy koronnéj. Idea reformy zaczyna świtać. Wiclef wyprzedza Lutra. Zdawałoby się że w XV wieku, z budzącą się wolnością myśli nastąpi przeobrażenie społeczne i nowa literatura. Lecz nadaremnie! Król, panowie wraz z kościołem wydają srogie statuta, niszczą książki, palą heretyków. Wszelkie wspanialsze dzieło poetyczne lub religijne przytłumione. Kilka ballad przerobionych i poematów miernych, oto co pozostało z téj epoki.

W dalszym ciągu autor skreślając szeroko działalność *Chancera*, zaznaczając upadek średnich wieków, zgubny wpływ filozofii scholastycznéj, zbliża się potężnym krokiem do epoki *Odrodzenia* (Renaissance).

We wstępném słowie tak mniéj więcéj skreśla ważną tę chwilę w dziejach cywilizacyi europejskiéj.

„Od IV wieku martwa reguła wyrugowała żywą wiarę. Ludy chrześciańskie powierzyły się kościołowi a przekonania swoje teologom. Chrystyanizm zaczyna się ograniczać na spełnianiu obrządków. Religia żywa i gorąca w pierwszych wiekach, chłodnie zwolna, teokracya i inkwizycya budują sobie gmachy, i stało się że w miejsce wolności wiary, powstała ortodoksya narzucona, w miejsce prawdziwéj moralności praktyki religijne, w miejsce czynów płynących z serca, ślepe trzymanie się obrządków. Średnie wieki tak się przedstawiają, a pod tym przymusem społeczeństwo przestało myśléć, filozofia i poezya przeszły w gawędziarstwo. Lecz nagle świat się odświeża, Ameryka i Indye odkryte, filologii prawa oznaczone, nauki experymentalne poznawane, sztuki i literatura uprawiane. Usiłowanie nagłe tak jest wielkiém, że zdolne jest postawić katolicyzm naprzeciw protestantyzmu. Wzrok myśliciela ogarnia idee powszechne, szerokie, ciepło duszy wzmaga się, wyobraźnia bujuieje stwarzając artystów, wynalazców, *twórców*.

W obec tych przemian wzór ideału się zmienia, ciągnąc w orszaku za sobą cześć pogańską piękności i siły najprzód we Włoszech, potém we Francyi, Hiszpanii, Flandryi, Niemczech a nareszcie w Anglii. Nowy ideał jest wyrazem stanowiska rzeczywistego, a kreacye umysłu i wyobraźni przedstawiają społeczeństwo i stopień dobrobytu. System feodalny zastępuje życie dworskie. Z wojny „dwóch róż“ powstał inny człowiek w Anglii. Nie potrzebuje on już teraz łączyć się z potężnym magnatem dla podtrzymywania bytu i życia; monarchia w Anglii jak i wszędzie przyniosła pokój, a z pokojem równocześnie zakwitły sztuki pożyteczne; bezpieczeństwo publiczne wzrasta, człowiek przywiązuje się do swych zatrudnień. Z końcem XV wieku, przemysł w Anglii nagle się rozwinął, od tego to już czasu kraj ten pokryty łąkami, uprawném polem, fabryczny i marynarski, zaczyna się wzbogacać.

U spodu i na wierzchu społeczeństwa, we wszystkich stanach, dobrobyt ten coraz widoczniejszy. Budują domy wspaniałe, teatra, mieszkańcy zaczynają smakować w wygodach; właściciele ziemscy

porzucają niewygodne mieszkania, przenosząc się do pałaców i zamków pół-gotyckich i pół-włoskich, znamionujących smak dobry. Ubierają się w złoto, szkarłaty i jedwabie, napływają na dwór królewski. Turnieje, maskarady, wspaniałe uczty są na porządku dziennym."

Zadowolnić oczy, serce, instynkta i zachcenia: oto nowy kierunek w obyczajach. Anglia nie jest jeszcze purytańską, owszem nazywa się „wesołą Anglią" (merry England). Rozwija się swobodnie, rzeźko i cieszy się tą swobodą i tym rozwojem. Wyobraźnia szuka sobie dróg. Wszystkich zajmuje teatr. Gra go dwór, miasteczka, wsie nawet, po których jeżdżą koczujące towarzystwa aktorów. Szekspir widział namiestników grających Piramusa i Thisbe, przebierających się za zwierzęta. Zaczęto się rozczytywać w klassycznych dziełach. Elżbieta i pierwsze damy dworu, rozumieją doskonale Platona, Cycerona i Xenofonta. Szlachta, mężowie stanu, kształcą swe pojęcia na tych wzorach. Bladą legendę średniowieczną zatarł promień olympijskiéj Grecyi, bogowie, bohatérowie starożytni, przemawiają do współczesnych językiem namiętności, pełnym obrazów i wzruszeń. Obok tego nowy poganizm włoski przypływa do Anglii. Więcéj się zachwycają Petrarką, Boccaciem aniżeli Biblią. Geniusz Anglii, we Włoszech poszukuje swych pierwowzorów. Włosi przed innymi rozgrzebali zagubione zabytki starożytności, wydobywając z nich najpiękniejsze ozdoby, łubo zarazem podżegając przez to zmysłowość, cześć piękna wyłączną, daleką od zasad Chrystyanizmu. Nowy ruch myśli pobudzający całą cywilizacyą streszcza się w tém życzeniu, iżby człowiek stał się silnym i szczęśliwym i był w stanie zadowolnić swe pragnienia. Ruch ten najwybitniéj odbił się w sztukach. Madonny Rafaella, to dziewice ziemskie pokrewne Fornariny; figury w *Sądzie ostatecznym* Michała Anioła, to atleci dzielni do boju. Wszyscy zdają się kosztować życie w najbujniejszéj pełni; na żadnym nie znać śladu skruchy, łez, chwili tak straszliwie smutnéj. Poganizm ten nabiera charakteru właściwego, w każdym klimacie i w każdéj rasie. Staje się w Anglii czysto angielskim. Odrodzenie angielskie, jest odrodzeniem geniuszu saksońskiego.

W poezyi, Surrey zapowiada jutrznią, ściele drogę Szekspirowi i jego druchom. Styl jego stanowi oznakę przemiany ducha. Z nim rodzi się sztuka pisania, pisarze angielscy znajdują gotowe przyrządy wyrażenia myśli, jako: wiersz heroiczny, peryod, język szlachetny. Surrey nie jest jeszcze przeniknionym wysokością nowéj ery, nie reprezentuje swego stulecia, ale przygotowuje bliską, świetną przyszłość.

Z tém wszystkiém literatura epoki Odrodzenia skażoną jest przeładowaniem i chaosem, mimo jéj twórczości i siły w pomysłach. Najznakomitsze miejsce między poetami zajmuje Sir Filip, Sidney, Spenser, Greene, Lodge i inni. Autor trafnie powiada o nich i wszystkich pisarzach owego wieku, że kiedy dzisiejszymi poetami wybuchy imaginacyi wstrząsają, niby wszystko-niszczące

burze, nie dając dosyć siły ażeby się im oprzéć, ci surowiéj wychowani, do burz przywykli, w ćwiczeniach ciała zahartowani, z niebezpieczeństwem w ciągłych zapasach, żyją i trzymają się; inaczéj jak wytłumaczyć wytrzymałość Szekspira, który przebył tyle namiętności i tyle wizyi?

Sydney jest tylko jednym z żołnierzy licznéj armii, za nim ciągnie tłum poetów. W pięćdziesięciu dwoch latach naliczono ich, prócz dziedziny dramatu, dwustu trzydziestu trzech, z tych czterdziestu obdarzonych geniuszem lub talentem, jako: Breton, Doune, Drayton, Lodge, Greene, dwaj Flechterowie, Beaumont, Spenser, Shakespeare, Ben Jonsone, Marlowe, Wither, Werner, Davison, Carew, Suckling, Herrick i inni. Wszyscy ci, po których zgaśnięciu poezya leżeć będzie odłogiem, mimo niezręczności, pedanteryi, dziwactwa, odznaczają się obrazowaniem świetném i prawdą w kreśleniu uczuć, oryginalnością twórczą, daleką od teoryj smętnych i od pospolitości. Chcą używać z pomocą wyobraźni, oczu, rozkoszują się słońcem, widokiem pięknych kobiét, krajobrazem. Na wzór współczesnych malarzy włoskich, szukają kolorytu świetnego, olśniewającego blaskiem, pięknéj, nagiéj i zdrowéj natury. Kiedy już potęga upiększania staje się tak wielką, nic dziwnego że poeci zaczynają malować uczucie ziszczające marzenia i nadzieje, czyli miłość idealną, a przedewszystkiém niewinną i zmysłową. Uczucie to jest najsłodszém, najnaturalniejszém; najtragiczniejsi i najpoważniejsi z tych poetów nie pogardzają niém, ale idą naprzeciw niego. Szekspir, Jonson, Marlowe, ten sławny malarz konania Edwarda II, autor *Fausta* i *Tamerlana* odrywa się od tych krwawych dramatów i opiewa słodko miłość.

Zobaczmy teraz co się dzieje z prozą. Zawsze tak bywa że na zgliszczu sztuki wyrasta nauka, na zgliszczu poezyi, filozofia. Co z początku wydaje wyobraźnia, tego dokonywa rozumowanie, uczucie piękności zastąpione uczuciem prawdy, oczy zwrócone na naturę, nie żeby ją uwielbiać, lecz żeby ją zrozumiéć. Ztąd z malarstwa przejście do anatomii, z dramatu do filozofii moralnéj, z natchnień poetycznych do poglądów umiejętnych. Proces ten jest tylko ciągiem dalszym. Artyści i uczeni opanowani są jedną i tą samą ideą główną i wszechpotężną, z któréj się ukształtuje cywilizacya nowoczesna a z któréj naówczas powstały szkoły matematyków, naturalistów poprzedzające Galileusza, i szkoła myślicieli dająca Bakona i Herweya. Za czasów Elżbiety, poganizm jest możnowładnym w literaturze i doktrynach, w niektórych doszedł on do zatarcia chrystyanizmu, w innych jak u Marlowa posunął się do ateuszostwa, u Szekspira zaledwie widoczna idea Boga. Wszyscy ci twórcy uważają życie człowieka za senne marzenie, po nad którém wisi wielki sen zagrobowy; śmierć jest dla nich końcem istnienia, albo ponurą przepaścią w któréj człowiek przepada, niepowny wyjścia. Gdy rzucą okiem poza siebie, nic dostrzegają bynajmniéj duszy nieśmiertelnéj, przyjętéj w świecie daleko czystszym, ale trupa porzuconego w wilgotnéj ziemi lub cień błądzący po cmentarzach.

Mówią językiem niedowiarków lub zabobonnych. Bohatérowie ich obdarzeni cnotami ludzkiemi nie religijnemi, przeciw zbrodni przywołują honor i uczucie piękna, a nie litość i obawę Boga. Bóg według nich, nie ciąży nad życiem ludzkiém. Nawet Bakon rygorysta chrześciański, ogranicza Chrystyanizm do znaczenia poezyi moralnéj, pozwalając naturalizmowi wzrość się z religią. To téż spekulacya filozoficzna znajduje bujny posiew. Herbert wykłada deizm systematyczny, Milton religią filozoficzną. Nagły zbieg wypadków, odkrycie Ameryki, starożytność odgrzebana, filologia odnowiona, przemysł rozwinięty, dostarczyły przedmiotu prozie. Sydnej i Wilson poszukali reguł stylu, innych szereg liczny zbiera dokumenta, składa biblioteki, utopiści zaś, moraliści i malarze obyczajów jak Tomasz Morus, Burton opisują życie i charaktery ludzkie. Hooker, Taylor, Harrington studyują państwo, religię i kościół. Z tego fermentu mało wyszło pięknych książek. Autorowie ci nie trzymają się porządku idei, i wyrażają się szorstko, brutalnie. Traktują przedmiot pedantycznie, napuszenie, uczono a więc nudno; lecz myślą poważnie i samodzielnie.

Z pośród tego orszaku erudytów, myślicieli i badaczy, wyłania się jeden, największy nowator swego wieku, najzrozumialszy: Franciszek Bakon. Myśli swe umié ubrać w świetne szaty w obrazach skończonych, nie przez analizę ale symbolicznie; objaśniając je w najlżejszych szczegółach, zamykając je we wspaniałym okresie lub w wyrazistéj sentencyi. Dlatego styl jego odznacza się bogactwem, siłą, kolorytem. Proza angielska nie ma nic wyższego nad jego dykcyą. Nie jest on dyalektykiem jak Kartezyusz, ale twierdzi energicznie i jakby z natchnienia, twórczo, intuicyjnie, a nie przez argumentacyą. Kiedy nazbiera summę faktów nad obranym przedmiotem, rzuca na to pogląd całości, stwarza ideę ogólną, zamyka tę ideę w maksymę i poddaje ją czytelnikowi, mówiąc: „Sprawdź i korzystaj“. Bakon posiada dar dążenia ku prawdzie w najwyższym stopniu. Umysł praktyczny zwrócony ku ziemi, nie ku rzeczom pustym i abstrakcyjnym, pragnie udoskonalić los człowieka, wzbogacić go nowymi wynalazkami i nowymi sposobami działania. Filozofia jego jest także narzędziem, *organum* ku temu. Według niego każda nauka powinna być narzędziem, dlatego i naturalistom nakazuje badać namiętności i nałogi dla poprawienia obyczajów.

Metoda jego zadawalniała się pół-dowodami. Nie chodziło mu o ustalenie prawdy, ale o zdobycie przekonania, a broń jego *syllogizm* dobrą była do odparcia, lecz nie do czynienia odkryć. Prawa ogólne brał nie za punkt dójścia do celu, ale za punkt wyjścia, przypuszczał że już są odkryte. Umysł genialny, do którego w wielu przedmiotach dziś jeszcze zwracać się trzeba.

III.

Teatr należy do najoryginalniejszych obyczajów epoki Odrodzenia, onto ukaże nam najwyraźniéj ludzi ówczesnych.

Już za czasów Szekspira siedm istniało teatrów, tak dalece pragnienie widowisk było żywe i ogólne. Gmachy niezgrabne, barbarzyńsko umeblowane i udekorowane, ale gorąca imaginacya dopełniała braki. Na gruncie bagnistym, nad brzegiem Tamizy, wznosił się teatr główny *Globe*, rodzaj wieży otoczonéj fossą. Mógł się tam gromadzić ubogi i bogaty za małą opłatą, a gdy deszcz padał, stojący w parterze znosili go z flegmą. Oczekując sztuki, pili piwo, gryźli orzechy, hałasili, a czasem bili się na pięście, czasem znowu rzucali się na aktorów i przerywali widowisko. Często także obłożyli kijem poetę. Po nad tymi na scenie znajdują się widzowie, będący w stanie zapłacić szyllinga dostawali stołek. Gdy brakło stołków, panowie kładli się na podłodze bez ceremonii i grali w karty, palili fajki, kłócili się z parterem, który im oddawał piękne za nadobne.

Z takimi widzami łatwo o zbudzenie illuzyi, nie potrzeba na to przygotowań, perspektywy, dekoracyi ruchomych, zastępuje je wyobraźnia ruchliwa. Wywieszona karta oznajmia publiczności, że się rzecz dzieje w Konstantynopolu lub w Londynie: to jéj wystarcza. Nikt się nie troszczy o prawdopodobieństwo. „Tutaj macie Afrykę z jednéj strony, a z drugiéj Azyą z taką massą podrzędnych państw—powiada Sydney—że aktor wchodzący na scenę, musi najsamprzód powiedzieć gdzie się znajduje, inaczéj nie rozumianoby jego przygód. Później przechadzają się trzy damy i zbierają kwiatki, a więc zdaje się że są w ogrodzie, a potém na tém samém miejscu mówią o rozbiciu okrętu, więc obowiązkiem widza jest uznać scenę w téj chwili za skałę.. później zjawiają się dwie armie, reprezentowane przez cztery szpady i jednę tarczę, a jakiż umysł byłby tak hardy, nie przyznając że to formalna batalia? Co się tyczy czasu, hojność jeszcze większa. Zazwyczaj zakochuje się książe w księżniczce, po kilku zmianach księżniczka zostaje matką pięknego chłopca, chłopiec przepada potém, niedługo staje się mężczyzną i ojcem równie ładnego chłopca. Wszystko w dwóch godzinach.“ Szczegóły tu przytoczone zmieniły się cokolwiek za Szekspira, za niego bowiem dopomagano imaginacyi kilkoma dekoracyami, zwierzętami, wieżą i lasem, ale i wtedy jeszcze wyobraźnia publiczności odgrywała rolę maszynisty. Ta wyobraźnia znosi w jednym akcie dziesięć przemian miejsca, przeskakuje lat 20 i 500 mil, i pozwala że jeden dobosz reprezentuje wojny Cezara, Henryka V, Koriolana i Ryszarda III. Wyobraźni téj publiki z łatwością to przychodzi, bo jest jeszcze świeżą i spragnioną.

Taką jest strona zewnętrzna teatru, przypatrzmy się namiętnościom, umysłom, wnętrzu człowieka. Przedewszystkiém jakie-

mi są ci mieszczuchy, dworacy i ta publiczność według smaku której rozwija się teatr? jakiém jest usposobienie ich umysłów? Musi być ono szczególne, skoro nagle i przez 60 lat dalszych, dramat tak bujnie wykwitnął, a potém nagle zwiędł bezpowrotnie; musi być szczególne, skoro ze wszystkich teatrów starożytności i nowszych czasów, ten jedynie odznacza się wybitną formą, stylem, akcyą, ideą życia, o jaką trudno w innym wieku i w innym kraju. Otóż tym rysem szczególnym, jest swobodny i zupełny rozwój *natury*. Nazywamy naturą w człowieku to, co w nim tkwi, zanim cywilizacya przerobić mogła. Tysiące węzłów, jako: religia, moralność, umiejętność życia, prawodawstwo, tworzą pęk łańcuchów, regulujących uczucie, obyczaje i maniery, hamujących zwierzę namiętne i instynktowe, które w nas targa się zuchwale. Tymczasem w epoce odrodzenia tych okoliczności wcale nie ma, wędzidło przeszłości nie hamuje teraźniejszości. Katolicyzm który zeszedł na praktyki religijne zagasał, protestantyzm jeszcze się nie rozbujał, religia moralna jeszcze nie została stworzoną; człowiek przestał być posłusznym kościołowi, a nie umiał jeszcze sylabizować nawet praw sumienia. Świątynia stała się miejscem schadzki elegantów, którzy za pobrzęk ostrogi opłacają się kanonikom; pełno dziwactwa i oszustów w kościele, oblegających schody podczas nabożeństwa, surowość zaś purytańską obracano w śmieszność. Wiek dziecinny pogrzebany, a teraz wolno wybierać w swobodnych zasadach płynących ze starożytności, z Włoch, Francyi i Hiszpanii. Nie ma pierwowzorów narzuconych tak jak dzisiaj, ale przeciwnie każdy sili się być oryginalnym, samym sobą, mieć swój odrębny humor i przyzwyczajenia. Kodeksów towarzyskich jeszcze nie ma, każdemu wolno mówić i działać jak mu się podoba; instynktów naturalnych nic nie hamuje, nic nie ogranicza. Wychowanie fizyczne i wojskowe podnieca jeszcze te instynkta, nie umiarkowane tradycyą zwyczajów towarzyskich. Dlatego człowiek jest jeszcze i teraz zwierzęciem prawie dzikiém, z silnemi nerwami, z całą energią swych namiętności. Dworacy owych czasów podobni do dzisiejszych dzieci ludu, gotowi za lada okazyą pięść pokazać. Zahartowani cieleśnie, nie wstydzą się zmysłowości. Dwór Henryka VIII swą hałaśliwą szczerością, podobny do wioski, w której się odbywa wesele. Sam król tak lubi bójkę, turnieje i łowy, że przy pierwszém przywitaniu z Franciszkiem I, podnosi go w górę i powala na ziemię. W każdym zamożnym domu, znajduje się błazen bawiący gospodarza i gości, piosnką i żartem gryzącym. Ludzi owych bawi rodzaj rozmowy, któryby nas oburzył. Żadnego uszanowania, konwenanse zaczynają się, dopiéro z Ludwikiem XIV, lecz aż dotąd każdy się wyraża po prostu, czyli grubijańsko. W *Peryklesie* Szekspira, jest scena pełna brudu i błota. Wielcy panowie i damy rozmawiają tym samym językiem. Żadnéj przyzwoitości, żadnéj ludzkości. Krew, cierpienia, nie sprawiają wzruszenia. Dwór patrzy na igrzyska niedźwiedzi, gdzie krew płynie, jak na „najprzyjemniejszą rozrywkę“. Królowa Elżbieta policzko-

wała swe damy honorowe i Essexa kochanka, albo pluła. Damy owego czasu biły dzieci swe i służących. Wszyscy robią sobie sami sprawiedliwość obelgą, pięścią, mieczem: „We czwartek, pisze Talbot—niejaki Wyndhans zastrzelił milorda Rynthe, gdy jechał konno przez ulicę, a p. Grewell uderzył Conwaya w głowę szpadą z tyłu... Jestem zmuszony zawiadomić panów o tych *drobnostkach* nie mając donieść nic ważniejszego.“ Straszne tylko kary powstrzymują gwałtowników.

Czyż ludzie podobni, nie są materyałem dla teatru? Namiętność posunięta do stopnia szału, nieokrzesana, burzliwa, pieniąca się, nieuznająca rozumu ani prawa. Wszelkiego rodzaju namiętności, zapas tu obfity. Człowiek cały, ze sercem, duszą, zmysłami, instynktami, służy za model. Dobrobyt, przemysł obudzony, bogactwa krajów odkrytych, olśniły skarbami, bogactwem i dziwami. Wszyscy chcą używać, myśléć i marzyć, a z marzeniami rosną pragnienia. Fantazya podźwignięta, wszystkie zachcenia, grube i szlachetne ocknione, miłość zmysłowa i ideal na, chciwość i szlachetność. Typami owych czasów byli tacy: Raleigh, Essex, Elżbieta i Henryk VIII, skorzy do poświęceń i do zbrodni, gwałtowni w złem i dobrem, zdolni płakać jak dzieci i umrzéć jak ludzie mężni, często rycerscy. Dlatego zarówno popierają szlachetność jak i krwawe zbrodnie, grubą i podłą hulaszczość jak i boską niewinność miłości, dlatego mogą przechodzić nagle z trywialnego błazeństwa do wzniosłości lirycznéj, słuchać kalamburów Clowna i Ód miłosnych. Dlatego dramat, ażeby uwidocznić płodność i różnostronność ich natury, przybiera rozmaitą formę wiersza napuszystego, lub pełnego obrazowań i prozy pospolitéj, śpiewów i wybuchów poetycznych w środku mowy dworskiéj, dlatego przybiera do pomocy gnomów, nimfy, bogów zeszłych z nieba lub z piekła. Żaden teatr nie był tak skomplikowany, dlatego właśnie że nigdy człowiek nie był tak zupełnym. Namiętności wszakże są tu czysto angielskie. Energia wrodzona wszędzie i zawsze się przebija. Rasa saxońska uchodziła w XVI wieku, za najbardziéj wojowniczą i nieustraszoną. Instytucye téż nie mało ku temu pomagają. Naród wychowany żołniersko, uzbrojony, mający obowiązek odbywania ćwiczeń rzemiosła wojennego. W obec takich warunków i często się odnawiającéj wojny domowéj, gdzie śmierć i tortury tak hojnie udzielano jako kary, pojmowano życie z tragicznéj strony. Książęta i biskupi poddają głowę pod topór katowski. Anna Bolejna, książe Buckingham, lady Joanna Grey, Marya Stuart, Essex i wiele innych. Wieszania, ćwiertowania, piętnowania za małe przestępstwa, są na porządku dziennym. Swobodny rozwój czystéj natury, który w Grecyi i we Włoszech doprowadził do malowania piękności, siły i szczęścia, wyrodził się tutaj w obraz energii dzikiéj, konania i śmierci.

Teatr więc był żywém odbiciem tego świata młodego, naturalnego, rozpasanego i tragicznego. Kiedy powstaje teatr orygi-

nalny i narodowy, poeci umieją trafniéj od innych wydać z siebie to, co tkwi w massach ducha ogółu. Poeci drammatyczni téj epoki, wszyscy mniéj więcéj żyjący na sposób Musseta i Murgera, zarabiający krwawo różném rzemiosłem na kawałek chleba, poniewierani i na równi z lokajami uważani przez lordów i bogatych, byli jednakże świetnym wyrazem geniuszu dramatycznego. Najpotężniejszy z nich, prawdziwy dramatu założyciel zwie się *Krzysztof Marlowe*. Był to umysł gwałtowny niezmiernie, zuchwały ale wzniosły i ponury: obdarzony „istotną furyą poetycką“ nadto poganin w obyczajach i doktrynach. Marlowe nie wierzy w Boga, ni w Chrystusa, bluźni Trójcy, utrzymuje że Mojżesz był oszustem, Chrystus więcéj godnym śmierci jak Barabasz, że on (Marlowe) napisałby lepszą religię.

Z domowego przybytku licznego rodzeństwa ubogiego ojca, poszedł przez protekcyę na uniwersytet Cambridgski, gdy wrócił do Londynu w pośród ubóstwa, szynków i rozwiązłości nizkiego świata, głowa jego zaszumiała, namiętności się rozgrzały. Został aktorem, ale straciwszy nogę w scenie pijaństwa, porzuca ten zawód. Kochając się, chce zasztyletować rywala, ale ten odwracając sztylet wykłuwa mu nim oko i mózg, skutkiem czego umiéra bluźniąc i przeklinając. Miał wtedy dopiero lat 30; osądzić łatwo, jaka poezya wypłynąć musiała z życia tak burzliwego i pełnego przygód. Najprzód była to deklamacya przesadzona, potém zbiór zabójstw, czyli pompatyczna tragedya maczana we krwi, i namiętności rozhukane do szału. Wszystkie początki teatru angielskiego, tém samém się odznaczają. Jestto jakby pierwszy wybuch młodości. W następnych dramatach Marlowa, *Rzeź Żgo Bartłomieja i Żyd z Malty*, tyrada mniejsza ale gwałtowność taż sama. Jednakże w tych właśnie łatwych i licznych morderstwach i okrucieństwach, maluje się natura, nie trzeba tylko na nią patrzéć okiem kilku późniejszych wieków oświeconych. Głębią człowieka materyalnego, są jego *popędy niepowstrzymane*, jego pragnienia ślepe. Postanowienia przychodzą z pragnieniem, a z postanowieniem chęć urzeczywistnienia natychmiastowa. Wszyscy ci poeci, ci poganie północy, uważali życie za walkę rozpasanych namiętności, a śmierć za sen ponury; dla tego najwyższém dla nich dobrem, była chwila użycia i zwycięztwa. Szli naprzeciw losu z zamkniętémi oczyma, choćby ich *nazajutrz* pochłonąć miało. Mniéj więcéj taką jest myśl przewodnia największego dramatu Marlowa pod tytułem *Faust*, to jest zadowolnić serce za jakąbądź cenę i za jakiebądź następstwa. Czytelnicy polscy ciekawi zapewne będą porównań z Faustem Getego, streścimy przeto ten dramat.

„Dobry magik jest bogiem wszechpotężnym, marzy Faust Marlowa, i posyła duchy szukać złota w Indyach, wygrzebać z dna oceanu skarby pereł wschodnich, które mu wyjawią tajemnice królów, które dopomogą do opasania miedzianym murem Niemiec, i sprawią że fale Renu popłyną przed nim w postaci lwów, aby go strzedz, lub w postaci olbrzymów lapońskich lub kobiét i dziewic...“ Zachcenia to i żądze rozkoszy, którychby się nie wyparł cezar rzym-

ski ani poeta wschodni. Ażeby żądze te zaspokoić, dzierżyć przez 24 lat potęgę, oddaje duszę bez trwogi, nie czekając na kuszenie, odrazu sam z siebie, bo go niepokój wewnętrzny trawi. „Gdybym miał tyle dusz ile świeci gwiazd, oddałbym je wszystkie ażeby mieć na swe usługi Mefistofela. Własną duszę oddać mogę bo jest moją, a ponieważ jestem potępiony i zbawionym być nie mogę, na cóż mam myśleć o Bogu lub niebie?“ Więc chce wiedzieć wszystko i mieć wszystko, chce mieć książkę, z którejby odgadł wszystkie zioła i drzewa rosnące na ziemi, drugą, z którejby odczytał planety, trzecią, któraby mu dała złota ileby zechciał i najpiękniejsze kobiéty, inną któraby mu dawała ludzi potrzebnych do wykonania i zniewoliła na jego rozkaz pioruny i burze. Faust jest to dziecię, wyciągające rękę do wszystkiego co błyszczy, wnet martwiące się myślą o piekle i znów szukające rozrywek. „Wiedz Fauście że w piekle są wszelkiego rodzaju przyjemności!“ O gdybym mógł widzieć piekło i powrócić, jakżebym był szczęśliwy!“

Oprowadzają Fausta niewidzialnego po całym świecie, po Rzymie, podczas uroczystości na dworze papiezkim. Nienasyconémi oczami patrzy na wszystko, bawi się bijąc mnichów, pijąc, jedząc, oszołomiając się. W uniesieniu staje się ateuszem, powiada że piekła niéma. Nagle cmentarna idea uderza go. „Poddam się skrusze, lecz serce moje stwardniałe, nie zdolny jestem do skruchy, zaledwie umiem nazwać po imieniu zbawienie, wiarę, niebo, które brzmią tém straszliwém echem w uszach moich: Fauście, jesteś potępiony! A potém: miecz, trucizna, stryczek, ukazują mi się przed oczami, nakazując mi życia dokonać. Byłbym się już dawno był zabił, gdyby rozkosz nie zwyciężyła głębokiéj rozpaczy.... Po cóż mam umrzéć, rozpaczać nikczemnie?. Nie, Faust nie podda się skrusze.... pójdź Mefistofelesie, pogadajmy jeszcze o boskiéj astrologii... powiedz mi, wiele jest niebiosów po nad księżycem? albo nie, powiedz mi raczéj coś, coby zaspokoiło głód mego serca.... Chciałbym mieć kochankę, tę niebiańską Helenę, którą widziałem nie dawno... niechaj ona słodkiémi pieszczotami odpędzi myśli... Boska Heleno, uczyń mnie nieśmiertelnym przez pocałunek! Jéj wargi są duszą moją, która przygasa. Heleno oddaj mi duszę, niebo drga w twych ustach... wszystko jest błotem co nie jest Heleną. O Boże, płakałbym, ale demon wstrzymuje łzy moje! Oby krew moja popłynęła zamiast łez, tak i życie me i dusza. Oh! on trętwi mój język! Chciałbym podnieść ręce, ale patrzcie, oni je trzymają, oni, Lucyper i Mefisto... Tylko jeszcze godzina do życia, biedna mała godzina... zegar wybije, demon przyjdzie, Faust zginie potępiony!... Oh poskoczyć chcę do mego Boga! któż mię to z tyłu pociąga? Patrzcie tam w górę, gdzie krew Chrystusa zakrwawiła firmament. Kropelka zbawiłaby mą duszę, pół kropelki... Ach Chrystusie!. Ach! nie rozdziéraj mi serca wymówieniem Imienia Chrystusa!... Wymówię go! O Boże! niechaj Faust żyje w piekle tysiąc lat, sto tysięcy lat, lecz niech

nareszcie zbawionym będzie... godzina bije..., czemuż dusza moja nie przemieniona w kropelki wody, któreby wpadając w ocean, zagubiły ją na zawsze!"

Faust jest tutaj człowiekiem żywym, działającym, naturalnym, osobistym a nie symbolem filozoficznym jak u Getego; jest człowiekiem pierwotnym i prawdziwym, ognistym i uniesionym, niewolnikiem popędów i igraszką marzeń, w jednéj i téj saméj chwili przesiąkły chciwością, szałem, sprzecznościami, staczający się z krzykiem rozkoszy i strachu, w całéj świadomości i woli, po brzegach przepaści. Cały teatr angielski ucharakteryzowany w tym dramacie, który jest jakby zarodkiem i posiewem późniejszych, bo Marlowe jest tém dla Szekspira, czém był Perugino dla Rafaela.

Sztuka tak rozwinięta, z końcem wieku staje się doskonałą. Szekspir, Beaumont, Jonson i inni ukazują się razem, tuż po sobie, jako pokolenie nowe, kwitnące na uprawnéj niwie poprzedników.

Nie można pominąć milczeniem jednego jeszcze z dramaturgów téj epoki, *Webstera*, którego myśli zdają się zamieszkiwać wyłącznie w grobach i kostnicach. Nikt mu nie wyrównał w kreśleniu zbrodniarzy, zrozpaczonych mizantropów, w bluźnieniu i spotwarzaniu życia ludzkiego, szczególniéj zaś w malowaniu zepsucia haniebnego i dzikości wymyślnéj obyczaju włoskiego. Posłuchajmy. Księżna Malfi zaślubiła potajemnie intendenta swego Antonia, o czém brat jéj wié; wściekły z gniewu i obrażonéj dumy, chce ją zabić, ale chce żeby konała długą śmiercią, którąby się rozkoszował. Niechaj cierpi sercem, te boleści sroższe od boleści ciała. Posyła zbójców na Antonia, sam zaś przychodzi do niéj ze słodkiém słowem, niby się z nią godzi, nagle pokazując jéj figurki z wosku pokryte ranami, które ona poznaje jako męża i dzieci swe pomordowane. „Upada pod nożem bez krzyku, jak nędzarz zgruchotany kołem." Na pociechy odpowiada dziwnym uśmiechem bladego posągu. „Na honor lituję się nad tobą."

— Szalony jesteś litując się nademną, ja sama nie mogę jéj znać nad sobą, serce moje przeszyte sztyletami." Wymawia te słowa potępiona wolno jakby we śnie. Na to, brat jéj posyła bandę błaznów, którzy wyją, chichoczą się i skaczą koło niéj: widok straszny, mogący przewrócić rozum, a będący jakby przedsmakiem piekła. Ona milczy ciągle i patrzy, serce jéj zamarło, oczy w słup stanęły. „O czém myślisz?" „O niczém, kiedy tak marzę, śpię.— Jak waryatka z otwartemi oczami?" „Czy sądzisz że się znać będziemy na tamtym świecie?"—Zapewne.— Oh, gdyby można tylko przez dwa dni rozmawiać z umarłémi! dowiedziałabym się pewnéj rzeczy, któréj tu, jestem pewną, nie dowiem się nigdy. Powiem ci cud... nie oszalałam jeszcze... niebo wydaje mi się ołowiem topionym nad mą głową, ziemia siarką palącą, a przecież nie oszalałam jeszcze. Przyzwyczaiłam się do rozpaczy, jak galernik do swego łańcucha." W takim stanie członki drgają jeszcze, ale czucia już niéma, nędzne ciało porusza się tylko machinalnie—zanadto cierpiało. Nareszcie grabarz przychodzi z oprawcami,

z trumną, i zaczynają śpiewać przed nią mszę żałobną. „Żegnam cię Cariola, nie zapomnij dać memu chłopcu syropu na chrypkę, a córeczka niech się pomodli zanim się do snu ułoży... a teraz na twoje usługi, jaką śmierć wybierasz?. „Uduszenie. Oto twoi oprawcy... Przebaczam im.... oddasz ciało moje mym kobiétom, oddasz?.... duście, duście mocno, a powiedzcie braciom mym gdy będę już pogrzebaną, że mogą obradować spokojniel“ Po pani, służąca. Ta krzyczy i prosi, „nie chcę umrzéć, nie mogę umrzéć, zaręczona jestem....—Stryczek posłuży ci za pierścień ślubny.—„Jeżeli mnie teraz zabijecie, potępioną będę, bom już dwa lata nie była u spowiedzi.“ Kąsa i drapie, duszą ją razem z dwojgiem dzieci. Antonio zamordowany, kardynał i jego metresa, książe i jego powiernik zatruci lub poduszeni, słowa uroczyste umierających ogłaszają w pośród téj rzezi, niby trąby żałobne, przekleństwo ogólne tego życia. „O ten świat ponury!. W jakiejże głębokiéj studni ciemności, żyje ta biedna trwożliwa ludzkość! Uganiamy się za wielkością, jak dzieci za bańkami z mydła. Przyjemność czemże ona jest? Niczém, tylko odpoczynkiem w gorączce, odpoczynkiem przygotowującym nas do boleści. Kiedy giniemy przez morderstwo, rozkosz, ambicyę—własny proch nas ściera“. Trudno aż do Bayrona wynaleźć obraz smutniejszy.

Zrozumieć łatwo, jak potężnymi muszą być charaktery w tych straszliwych dramatach. Wszystkie osoby tu wchodzące gotowe są do czynów ostatecznych, postanowienia wydobywają z siebie, jak miecze z pochwy, prawie się widzi ich oczy ogniste, wargi zbladłe i muskuły drgające. Ogrom woli ściska ich pięście, a namiętność wezbrana rozpada się w piorunach rozdzierających wszystko, nawet własne serce. Wszak znani bohaterowie tego tragicznego tłumu: Ryszard III, Ledy Machbeth, Othello, Koryolan, wszyscy przepełnieni żądzami i odwagą, po większéj części szaleni lub zbrodniarze, a zawsze wpadający w przepaść z własnéj winy. Tych bohaterów tyle na około Szekspira, ile u Szekspira. Ukażmy jednego, tym razem jeszcze w dziełach Webstera. Nikt po Szekspirze nie zajrzał głębiéj w otchłanie natury diabelskiéj i rozpasanéj. *The White Devile*, oto nazwa jego heroiny. Wiktoria Corambona, bierze za kochanka księcia de Braciano, i od pierwszéj rozmowy obmyśla rezultat tego stosunku. „Dla rozrywki opowiem Wam Książe sen, jaki miałam ostatniéj nocy. Sen marny, bardzo śmieszny“ Sen ten jasno wyłożony i głębokiego znaczenia. „Rozkoszny demonik—objaśnia z cicha brat jéj, pośrednik w téj sprawie—uczy go pod formą snu, jak się ma pozbyć swéj żony i jéj męża.“ Rzeczywiście męża uduszono, księżnę zatruto, a Wiktoria oskarżona o dwie zbrodnie staje przed trybunałem. Pięć za pięcią, jak żołnierz przyparty do muru, broni się zbijając adwokatów i sędziów, nie blednąc, nie mieszając się, jasno, obrotném słowem w pośród obelg i dowodów i pod grozą rusztowania. Adwokat zaczyna mówić po łacinie.... „Niechaj mówi zwyczajnym językiem, inaczéj mu nie odpowiem! Wszak rozumiesz po łacinie... Rozumiem, ale chcę żeby wszyscy tu zgro-

madzeni rozumieli... Otwarcie w obec wszystkich chcę publicznego pojedynku.“ Wyzywa adwokata. „Gotowa jestem, strzelaj jeżeli trafisz blizko, przyznam się.“ I drwi z jego mowy, znieważa go gryzącą ironią. —„Panowie, to niezawodna, że ten adwokat połknął jakiś reskrypt, albo receptę aptekarską, dla tego wracają mu się teraz dziobem niestrawne, ordynarne słowa,“ potém gdy sędziowie najbardziéj byli oburzeni: „Do faktów a precz z frazesami, precz z łaską! Dowiedzcie mi żem winna, a zetniecie mi głowę i rozstaniemy się wówczas dobrymi przyjaciołmi, ale pogardzam życiem, darowaném mi z litości waszéj lub kogo innego.... Co się zaś tyczy frazesów, wolno wam panowie straszyć niemi dzieci niby malowanym diabłem. Ja wyrosłam już z tych lat. Obelgi kobiety publicznéj i zabójczyni do was wrócą, zupełnie tak jak gdy ktoś pluje na wiatr. a wiatr ślinę mu zwraca.“ Argument przeciw argumentowi odbija wszelkie ciosy „Chcecie mnie zgubić.“ Mam domy, klejnoty i resztkę dukatów, dadzą wam one zapewne środki uchodzenia za miłosiernych.“ potém zaś woła głosem przenikliwym:—„panowie lepiejbyście strzelali muchy z pistoletu, gra byłaby szlachetniejszą.“—Wyrok skazuje ją na zamknięcie w domu poprawy.

„Cóż to jest dom poprawy? — Jestto dom dla nałożnic żałujących. — A więc szlachta rzymska wybudowała go dla swych żon?“ — Sarkazm zaczepia jednego po drugim, po nim następują krzyki i przekleństwa, ale się nie ugnie, nie zapłacze. Wychodzi dumnie, nieugięta: „Nie, to nie będzie dom poprawy; sumienie moje uczyni go szlachetniejszym, aniżeli pałac papieża, czyściejszym, aniżeli twoja dusza kardynale.“ Przeciw kochankowi rozwścieczonemu na nią o niewierność, stawia się równie silnie, i ciska mu w twarz śmierć księżnéj, zmusza go błagać o przebaczenie, o poślubienie jéj;— gra komedyę do końca z bezczelnością zuchwałą, a gdy nareszcie złapała się w sidła, pozostaje nieustraszoną, znieważającą bardziéj jeszcze: „Nie lękam się niczego, przyjmę śmierć tak jak król przyjmuje ambasadorów; połowę drogi skrócę, idąc naprzeciw twemu sztyletowi. Dzielny wymierzyłeś cios, — późniéj gdy zadusisz dziecię u piersi mamki, staniesz się sławnym!“ Gdy kobieta raz wyrzecze się swéj płci, czyny jéj przechodzą czyny mężczyzny, i niema nic, czegoby się nie odważyła i czegoby nie wycierpiała.

IV.

W epoce Odrodzenia, niepodobna pominąć genialnego pisarza i naczelnika szkoły *Ben-Johnsona*. Nie będziemy się wszakże bacząc na zakreślone ramy, rozszerzać nad oryginalnym jego charakterem, oryginalną i niepospolitą działalnością i życiem, ani nawet nad dwoma jego tragedyami p. t. *Katylina i Sejan*, z przepyszną wiernością malującą ówczesne zepsucie obyczajów rzymskich i ówczesnych ludzi; zastanowimy się raczéj nad jego komedyami satyrycznemi i naśladowniczemi, mającemi głównie na celu przedstawie-

nie i poprawienie śmieszności i nałogów, a które stanowią przeważny kierunek poetycznéj działalności Johnsona. Mistrzami jego byli: Terencyusz i Plautus, — zachowuje on ściśle jedność miejsca i czasu, wyśmiewając innych mistrzów, grzeszących w tym względzie w wysokim stopniu. Chce przedstawić czyny i słowa jakie się praktykują w świecie, dać obraz epoki i szaleństw ludzkich. „Chce przedstawić ludzi, jakiemi są w życiu“ i to nie tyle z popędu artystycznego, ile z gniewem zaciekłym moralisty. „Chłostać będę małpy, ukazując ich oczom zwierciadło tak szerokie jak teatr, w którym siedzimy.“ Cel taki z góry powzięty, szkodzi może charakterom dramatycznym, bo poeta więcéj myśli o wytępieniu nałogu i błędu, niż o stworzeniu ludzi żywych, bo dają się uczuć wszędzie intencye satyryczne, ale energia talentu potrafi uwidocznić błędy i zbrzydzić je, wydając takie arcydzieło jak *Volpono*, będące znakomitém pochwyceniem obyczajów wieku, ponurą poezyą zetknięcia się chciwości, zbytku, okrucieństwa, miłości złota i bezwstydu.

Znajdujemy się w Wenecyi w pałacu wielmożnego Volpono, otoczonego orszakiem karłów, niewolników, bogactwa, z których się przebija smak sztuk pięknych, słowem, w owém przesławném, pełném rozkoszy mieście, będącém królową występków i sztuki.

Bogaty Volpono żyje po starożytnemu. Bezdzietny, nie mający krewnych, udający chorego, pozwala pochlebcom cieszyć się nadzieją dziedzictwa, a tymczasem odbiera od nich dary, szczęśliwy że ich okpiwa, bo jest artystą w złośliwości i skąpstwie. Zjawia się adwokat Voltore z naczyniem srebrném. Volpono rzuca się na łóżko, obwija kołdrami i kaszle jak gdyby miał za chwilę skonać. „Dziękuję ci Voltore, gdzież jest naczynie srebrne? oczy moje źle widzą. Twoje uczucie nie zostanie bez nagrody. Ja niedługo już pożyję, czuję że umieram, ach! ach!“— Zamyka oczy niby z omdlenia. — Jestemże spadkobiercą? — pyta się Voltore służącego Mosca.

Mosca. Czy jesteś?

— Proszę cię panie, przyrzecz mi policzyć mnie w rzędzie sług twoich. Wszystkie moje nadzieje polegają na Waszéj Wielmożności. Zgubiony jestem, jeżeli budzące się słońce nie oświeci mnie.

Voltore. Oświeci cię mój Mosca i ogrzeje.

Mosca. Panie, nie jestem ja z tych ludzi, którzyby się panu najgorzéj przysługiwali. Noszę tu ze sobą pańskie klucze, pilnuję kufrów i skrzyń, i inwentarza twoich brylantów, srebra i naczynia stołowego, jestem twoim intendentem, stróżem dóbr twoich, panie.

Voltore. Lecz czy ja jestem spadkobiercą?

Mosca. Bez towarzysza panie, dziś rano potwierdzonym. Lak panie jest gorącym, a atrament zaledwie oschły na pargaminie.

Voltore. Jakżem szczęśliwy! I to za co mój drogi Mosca?

Mosca. Za twoje zasługi— innéj nie znam przyczyny.

I opisuje mnogość bogactw, w których się Voltore kąpać będzie, złoto które strugami się przelewa: „Kiedyż mam przynieść Waszéj Wielmożności inwentarz, albo kopię testamentu?

Takiemi szczegółami wyraźnemi, rozpala się wyobraźnię, więc też jeden za drugim schodzą się spadkobiercy, jak kruki. Drugim jest stary kutwa Corbaccio, głuchy, połamany, prawie umierający, który jednak spodziewa się przeżyć Volpona. Ażeby się zaś lepiéj upewnić, radby choremu dać narkotyk przez Mosca. Ma przy sobie ten narkotyk, który sporządzono pod jego okiem. A radość jego gdy widzi słabszego Volpona od siebie, zaprawiona gorzkim komizmem.

„Jakże się on ma?"

Mosca. Usta jego ciągle otwarte, a oczy zamknięte.

Corbaccio. To dobrze.

Mosca. Odrętwienie zimne, zołowiło członki jego i cerę ciała.

Corb. I to nie źle.

Mosca. Puls bije zaledwie.

Corb. I to dobre symptomata.

Mosca. A mózg jego.... (krzyczy głośno).

Corb. Słyszę,— dobrze, dobrze.

Mosca. Zimny pot go oblewa, z oczu łzy płyną.

Corb. Czy być może? Toż ja mam się lepiéj, ha! ha! ha! A jakże z jego zemdleniami?

Mosca. Panie, już się skończyły, teraz stracił już czucie, przestał chrapać, zaledwie rozeznać można że oddycha.

Corb. Przewybornie! doskonale! Z pewnością ja go przeżyję, i to mnie odmładza o jakie 20 lat.

Mosca. Jeżeli pan chcesz odziedziczyć, chwila jest wyborną. Ale nie daj się uprzedzić, właśnie co Voltore przyniósł naczynie srebrne.— Masz tu Mosca worek cekinów, który zaważy więcéj niż naczynie srebrne.—Spisz pan lepiéj testament, wydziedzicz swego syna, zrób Volpona spadkobiercą i przyślij mu testament.— Myślałem już o tém.— Cóż to będzie za efekt wydziedziczyć tak dobrego syna, tak wielkich przymiotów; on się nie oprze takim dowodom czułości.— Dobrze mówisz, ale myśl ta moją była.— A potém, pan go przeżyjesz.— Z pewnością, mając tak kwitnące zdrowie.— I to prawda.— I odchodzi kulejąc, a nie słyszy nawet obelg i drwin, bo jest głuchy.

Po nim wchodzi kupiec Corvino; przynosi perłę wschodnią i świetny dyament.—Jestem spadkobiercą?— Niezawodnie. Voltore, Corbaccio i stu innych było tutaj; zgłodniali dziedzictwa, więc wziąłem pióro i zapytałem się go (Volpona), kogo zrobi spadkobiercą? Corvina.— Kogo exekutorem testamentu? Corvina.— O mój drogi Mosca, a maż on dzieci?— Z tuziu bękartów; nie obawiaj się pan, mów głośno, śmiej się, klnij go, chcesz żebym go dobił?— Dobij, jak tylko odejdę,— Corvino odchodzi. Volpono zrywając się z łóżka, woła: „Boski Mosca!" przeszedłeś dziś siebie samego. Zobaczmy dyament, naczynie, cekiny.... dobry poranek; przygotuj muzykę, tańce i wszystkie rozkosze. Turek nie będzie umiał lepiéj się zabawić od Volpona." Na to Mosca określa mu rozkoszny obraz żony Corvina, Celij. Volpono trafiony w serce, przebiera się za

szarlatana i idzie śpiewać pod oknami Celii, bo jest komedyantem z natury jako Włoch prawdziwy. Ujrzawszy Celię, pragnie ją posiąść, każe słudze użyć wszystkich środków ku temu. Mosca bierze na sposób Corvina, tak, że ten przystaje dobrowolnie na odstąpienie żony. Spieszy się z tém nawet, bo chce uprzedzić innych. Żona płacze i opiera się, mąż wściekły obrzuca ją obelgami.— Scena ta jest typem najostrzejszéj satyry na ówczesne obyczaje. Dość że Celia zostaje u Volpona, ale wtém wydziedziczony syn Corbaccia, który był ukryty, wyskakuje, Celię uwalnia, a Volpona zaskarża przed sądem. Wszyscy trzej łotrzy, mający się za spadkobierców, pracują nad ocaleniem Volpona: Corbaccio wyrzeka się swego syna, oskarżając go o ojcobójstwo; Corvino oskarża żonę o niewierność... Nigdy na scenie nie zdarzyło się widzieć tyle energii kłamstwa, tyle szczerości zbrodniczéj. Mąż, wiedzący o niewinności żony, okazuje się najzawziętszy: lży ją ohydnie i publicznie.— Sprowadzają Volpona, udającego śmiertelnie chorego; dostarczają fałszywych świadectw, aż się im udaje wtrącić Celię do więzienia wraz z jéj obrońcą, a Volpona ocalić. Takie oszustwo jest dla Volpona jedną tylko zabawką więcéj. „Oszukać sąd, skierować wyrok na niewinnych, oto co mnie bawi więcéj jeszcze, niż gdyby Celia była moją!“ Nareszcie pisze testament na korzyść swego sługi, udaje umarłego i patrzy ukryty za firanką, na twarze spadkobierców. „Dręcz ich dobrze Mosca!“ Mosca rozwija testament na stole, i sporządza głośno inwentarz: „Dziewięć dywanów tureckich, dwa gabinety, jeden z kości słoniowéj, drugi z muszel perłowych. Skrzynka onyxowa na perfumy.“ Spadkobiercy mdleją z żalu, a Mosca wypędza ich, przezywając. Woła za Corvinem: Nie wieszże, jako cię mam za osła, rogacza! Ta perła, mówisz, nie jest twoją i ten dyament? Dobrze, ja nie przeczę, ale dziękuję za nie.“ I Volpono wychodzi i dodaje nowe obelgi, ale Mosca, który ma testament żąda od Volpona połowę majątku. Kłótnia obudwu łotrów dochodzi do sądów, które ich wraz z onymi trzema, skazują na galery i pod pręgierz.

Rzadko o komedyę zawziętszą w ściganiu występku, w ujawnieniu go i ukaraniu. Lecz pytanie gdzie tu szukać wesołości? Chyba w farsie i karykaturze. Tylko śmiech czysto fizyczny, daje odpoczynek w téj ciągłéj satyrze. W tym rodzaju wyborną jest także komedya Johnsona p. t. „Milcząca żona.“ W ogóle jest on niższym od Moliera, nie umiejącym tak jak tamten pochwycić głównych chwil życia ludzkiego, a nadto krytyczny zmysł jego psuje artyzm. Jest także za nadto moralistą, a za mało aktorem. Lecz jest poetą. Fantazya u niego bujna, uczucie kształtów i kolorytów żywe.

V.

Nareszcie dochodzimy do tego, który w epoce Odrodzenia widoczny z daleka, który jak dąb najwyższy o gęstym liściu, zwraca oczy wszystkich na siebie. Chcemy mówić o Szekspirze.

Pytanie jakim sposobem, jakim nadzwyczajnym instynktem udało mu się odgadnąć ostateczne konkluzye, najgłębsze zagadnienia filozoficzne i psychologiczne, da się chyba tém rozstrzygnąć, że miał *wyobraźnię kompletną, wszechstronną.* W tém jednem słowie zawarty cały Szekspira geniusz. Kiedy inni zwykli śmiertelnicy myślą o jakiéj rzeczy, widzą tylko część jedną lub dwie jéj strony, o tém co jest ponad nią, jakie właściwości krzyżują się z nią, wiedzą tylko z ogólnego domysłu, lub z niewyraźnego przeczucia. Stopniowo tylko, zwolna dochodzą do powiązania szczegółów w całość, do zrozumienia łączności idei jednéj z drugą.

Zamiast takiéj idei zwiędłéj, niedostatecznéj, wyobraźcie sobie obraz zupełny, czyli przedstawienie wewnętrzne tak bujne i pełne, że wyczerpuje wszystkie własności przedmiotu czy idei, wszystkie jego zakątki wewnętrzne i zewnętrzne; wyobraźcie sobie, że ta idea przedstawia zwierzę, farbę jego, rzut światła i sierci, kształt, drgania członków, błysk oczu a zarazem ruch jego, rozpęd, wszelkie instynkta, budowę, ich przyczynę, ich przeszłość, tak, że tysiąc odcieni składających się na jego naturę, odbija się w przyjmującéj go wyobraźni, a będziecie mieli pomysł artysty, poety, Szekspira;— pomysł tak niezmiernie wyższy od pomysłu logika, pomysł jedynie zdolny przeniknąć głębię istot, rozróżnić człowieka wewnętrznego od zewnętrznego, czuć przez sympatyę i naśladować bez trudu działalność bezładną wyobraźni i wrażeń ludzkich; pomysł zdolny odbić życie z jego nieskończonemi odmianami, z pozornemi sprzecznościami, z jego ukrytą logiką, słowem, pomysł zdolny tworzyć na wzór natury.

Nie będzie to zuchwałością z naszéj strony, gdy ośmielimy się twierdzić, że od takiego talentu krytycznego i badawczego jakim jest Taine, spodziewaliśmy się studyów o Szekspirze, głębszych, ogólny związek poety do onych dzieł, a mianowicie do ogólnego rezultatu ludzkiéj psychologii i myśli, lepiéj i szczegółowiéj tłumaczących. Z tego powodu jako téż i z tego, że w obec wielkiéj ilości komentarzy o Szekspirze, dawanych ostatniemi czasy czytelnikom w potężnych dozach, całość charakterystyki podana przez Taina, niezbyt zdałaby się konieczną, przytoczymy tu tylko niektóre wyjątki, te mianowicie, które objaśniają istotę wewnętrzną nieśmiertelnego poety.

* * *

Szekspir to umysł nadzwyczajny, natura przepotężna, zarówno nie zwykła we wzniosłem jak i w niskiem, niezmiernie twórcza w odtwarzaniu realizmu posuniętego do drobiazgów, olśniewająca fanta-

zyą, w zawikłaniach namiętnością nadludzką; natura poetyczna, niemoralna, natchniona, wyższa od rozumu nagłemi objawieniami natchnienia, ostateczna w boleści i radości, a tak gwałtowna że tylko wiek ten wielki, mógł wydać na świat takie dziecię.

* * *

Wszystko płynie z jego wnętrza czyli z jego duszy i geniuszu, okoliczności zewnętrzne bardzo mało przyczyniły się do jego rozwoju. Skąpany on w głębiach owego wieku, co znaczy, że z doświadczenia znał obyczaje wsi, dworu i miast, że odwiedzał magnatów, lud, średnią klassę, bo zresztą życie jego tworzy się zwyczajnie, a przeplatające je namiętności i wydarzenia trafiają się wielu innym... O ile wiadomo z tradycyi, Szekspir, ulegał namiętnościom przedwczesnym i nierozsądnym. Mając lat 18. ożenił się z kobietą starszą o lat 19. Strzelał zwierzynę potajemnie niejakiemu Tomaszowi Lucy, ktory go za to nieraz obatożyć kazał i więzić, aż wreszcie zmusił do opuszczenia stolicy. Zemścił się na nim poeta, robiąc z niego kreacyę głupiego sędziego. Poszedł do Londynu, gdzie został aktorem bardzo podrzędnym;—a mówią nawet, że był zrazu masztalerzem. Cierpiał więc nędzę, upokorzenie, trudy,—czuł despotyzm ciążący nad ludem... „byłem błaznem bawiącym publiczność, krwawiłem duszę moją sprzedając za lichą zapłatę najdroższe moje skarby; przeklinam moje przeznaczenie.... pogardzam samym sobą.“ Najsmutniejsze to, że w zetknięciu z towarzyszami zabłoconemi, sam się zabłocił. Aktorstwo ówczesne, straszne co do pozycyi socyalnéj, a swoją drogą każące odgrywać namiętności, nastraja duszę do ostateczności, Szekspir tak jak Molier doświadczył tego i uczuł gorzko. Po za teatrem żył z paniczami modnymi: lordami Pembroke, Montgomery i Southampton, którzy życiem rozkoszy i obyczajem włoskim drażnili jego wyobraźnię, podsycaną i tak już naturalnym, unoszącym się temperamentem. Poemat *Adonis* to pierwszy krzyk poety, w którym się mieści cały człowiek.

Miał miłostkę z kobietą niegodną, o czém wiedział, a przecież oderwać się nie mógł. Nic boleśniejszego jak jego skargi i żale w téj mierze „kiedy moja ukochana przysięga że serce jéj prawdą jest, wierzę jéj choć wiem, że kłamie.“ Wielka namiętność jest potopem, zalewającym wszystkie wstręty i delikatność uczuć, zasady i przekonania, serce umiera dla innych zwykłych rozrywek. W obec takiéj namiętności, cóż go powstrzymać mogło? Rodzina? Wszak miał żonę i dzieci. Sumienie? Sam odpowiada na to: „Miłość jest zbyt młodą, ażeby mieć pojęcie sumienia.“ Gniew, zazdrość, udręczenie? „Zadowolony jestem gdy cierpię przez ciebie.“ Nie jest już młody, kochanka jego zdradza go dla przyjaciela, którego sam jéj przedstawił. Wié o tém i cierpi jak Molier, a przecie znosi: „Miłość jest moim grzechem“— powiada. Pierwsze jego dramata: *Sen nocy letniéj*, *Romeo i Julia*, *Dwaj szlachcice z Werony*, znamionują czułość pierwszych wrażeń, delikatność i wykwint uczuć

szlachetnych. Rozmowa jego była przyjemną, wesołość porywającą, wyobraźnia bujną, a jak mówili jego towarzysze, nie przekreślał nigdy słów, które raz napisał, chyba wprowadzał nową ideę na miejsce dawnéj. Miał geniusz *sympatyczny*, co znaczy, że umiał siebie odłączyć, a podstawić we wszelkie przedmioty, które tworzył. Tego rodzaju twórczość wstawia się na miejsce przedmiotów które opisuje, jest odgadnieniem odbudowaném z pomocą natchnienia, będącego w tym razie rozumowaniem uskrzydlonćm. Szekspir odebrał zaledwie pół-edukacyę, języków umiał nie wiele, nie podróżował wcale, czytał tylko literaturę bieżącą, a porachować ile wiedział o człowieku, ile z historyi. Tacy ludzie widzą kilka przedmiotów naraz, rozumieją je szybciéj i głębiéj; nawet wtedy gdy przypadkiem zbraknie im idei, lub gdy są zbyt ostrą melancholią nastrojeni, tworzą żarty i stają się clownami. Dość przypomnieć ironię przy grobie Ofelii, przy łożu śmierci Kleopatry, przy pogrzebie Julietty. Po niesmaku podnoszą się i exaltują nadzwyczajnie, aż do zadrgania radością i tryumfem. Takie nagłe zmiany radości i smutku, takie zachwyty i melancholie, czułości i odrętwienia malują poetę wzruszonego, wiecznie rażonego boleścią, drażliwego za najlżejszém dotknięciem, umiejącego używać i cierpieć potężniej i delikatniéj od innych, zdolnego do marzeń, złożonych z istot wdzięcznych lub strasznych, a tak dramatycznych jak on sam. Po 17 latach aktorstwa, ustala się, zaczyna zbierać majątek. Mając lat 32, oszczędził tyle, że kupił w Stratfort dom z dwoma ogrodami, pozyskał współwłasność w teatrach Globe i Blackfriars, wydał córkę swą Zuzannę za mąż, aż się usunął w zacisze domowo do rodzinnego miasta. Miał 300 szterlingów rocznego dochodu (na dzisiejszą monetę do 60,000 złp.), zdaje się, że się nie zbyt troszczył o swą sławę literacką, bo nawet nie postarał się o wydanie zbiorowe dzieł swoich. Jedna z córek poszła za lekarza, druga za kupca win. W ostatku wypożyczał pieniądze. Zakończenie zdawałoby się dla poety nieodpowiednie.

Styl to człowiek, objaśnia on dzieło ukazując główne rysy genialne. Schwyciwszy raz tę nić przewodnią, widzi się artystę zupełnego, rozwijającego się jak kwiat. Szekspir komponuje bujnie, nadzwyczajnie, obficie, rozrzuca wszędzie metafory szczodrze, co chwila przemienia idee abstrakcyjne w obrazy, niby galeryą obrazów, ustawioną w mózgu. Nie szuka ich, przychodzą doń same, przykrywają zimne rozumowanie, blaskiem swego czystego światła, przyćmiewają logikę. Nie stara się on o złożenie dowodów, ale kopiuje niezmordowanie dziwne i świetne wizye, nagromadzone w jego wyobraźni. Dla tego to umysł dzisiejszy praktyczny, chłodny, dziwi się zrazu i prawie gniewa sądząc, że autor błąka się złym gustem lub zabawką powodowany. Lecz tak nie jest — mówi tak a nie inaczéj z konieczności, metafory to nie kaprys jego woli, ale taka forma jego myśli. W najwyższém uniesieniu jeszcze puszcza cugle fantazyi. Zawsze malarz przenosi w Szekspirze poetę. Z po za maski tragicznéj, z po za jéj fałdów straszliwych, domyśla

się czytelnik uśmiechu wdzięcznego i natchnionego, którego się nie spodziewał. Taka wyobraźnia musiała być gwałtowną. Ktokolwiek naturalnie i mimowolnie przemienia pojęcie suche w obraz, ma płomień w mózgu, bo prawdziwe przenośnie są to płomienne zjawiska, ukazujące w locie błyskawicy skończony obraz. W żadnym narodzie, w żadnym wieku, nie dostrzeże nikt tak wspaniałych uniesień. Styl Szekspira jest zbiorem wyrażeń forsownych, bo nikt nie poddał słów takiéj torturze. Wszystko w jednym wierszu: kontrasta, exageracya szalona, apostrofa, wybryk, szał ody, nagromadzenie obrazów, wszystko co straszne i boskie. Zdaje się że nie napisał słowa, bez wydania krzyku.

— Cóżem uczyniła?— pyta się matka Hamleta.—

„Czyn, który hańbi wdzięk i rumieniec skromności, lży cnotę obłudą, zdziera różę z pięknego czoła niewinnéj miłości, fałszuje przysięgę małżeńską, jak gdyby była przysięgą szulera. Oh! czyn taki wyrywa duszę z ciała, a słodką religię przeistacza w rapsodyę czczych słów. Firmament nieba płomienieje ze wstydu,— tak, a ta kula ziemska z ponurém obliczem jak w dniu Sądu ostatecznego, zachorzała na samo wspomnienie.“

Wszystkie te przenośnie dyszą wściekłością, wszystkie idee staczają się nad brzeg bezsensu, wszystko przetwarza się pod huraganem namiętności. Zaraza zbrodni, którą opowiada, brudzi naturę całą. Cały świat w téj chwili kłamstwem tylko i zepsuciem, a upośledzając ludzi, upośledza i cnotę. Rzeczy nawet nieżywotne pociąga w ten odmęt boleści. Różowawe obłoczki nieba przy zachodzącém słońcu, blady pomrok nocy roztaczającéj się na krajobraz, zmieniają się w rumieńce bladości wstydu.

Styl ten czy w rozmowie czy w inwektywie, wszędzie dosięga ostateczności. Szekspir nie przygląda się nigdy przedmiotom spokojnie. Wszystkie siły jego umysłowe skupia w idei, którą ma właśnie przed sobą. W obec takiego geniuszu, jest się jakby nad przepaścią. Zatrzymujemy się w osłupieniu przed temi konwulsyjnemi metaforami, które zdaje się napisane ręką gorączkową podczas nocy obłąkania, paląc oczy zamiast je oświecać. Słowa utracają swe znaczenie, budowa w gruzy pada, paradoxa stylu stają się zwykłą mową; poeta olśniewa, oburza, przestrasza, przytłacza; wiersze jego są śpiewem wzniosłym i przeszywającym, przechodzącym nasze zmysły, rażącym uszy, a przecież z piękności swéj i trafności zrozumiałym przez naszego ducha.

Taka siła skupienia zdwojoną jest jeszcze nagłością rozpędu. Szekspir nie dba o zrozumiałość, rozwinięcie;—jak rumak ognisty skacze, bo biegać nie umié. Dwoma wyrazami przeskakuje ogromne odległości, w jednéj minucie stając na dwóch krańcach świata. Czytelnik pyta się zdumiony, jakim cudem poeta przeszedł z jednéj idei w drugą, bo my pełzamy gdy on leci. Cóż dopiéro powiedzieć gdy te wyrażenia gwałtowne i niespodziewane, tłoczą się z taką łatwością i obfitością, jak fale uciekające z przepełnionego źródła, a nie mające gdzie zatrzymać się lub wyczerpać! W Romeo

i Julii, dwadzieścia przykładów takiéj niewyczerpanéj werwy. A przekleństwa Lira i królowéj Małgorzaty wystarczyłyby szalonym i uciśnionym całego świata. Płodność ta niesłychana mnożąc przenośnię, gwałci wyrażenia.

Jak to wytłumaczyć? Oto przedmioty przedstawiają się jego umysłowi skończone, ale przechodzą do naszego po kawałku. Szekspir myślał ogromami— my cząstkami, — ztąd styl jego i styl nasz, czyli dwa języki nie dające się pogodzić. My idziemy naprzód stopniowo, posługując się ogólnikami zrozumiałemi i jasnemi, dochodzimy przez to do jasności i trafności, ale zatracamy *życie*. Szekspir ukazuje kawałki, pół-wizye, słówka, po za któremi przyczajony obraz, sytuacya, rój idei. Pod każdym jego wyrazem chowa się gest, zmarszczenie brwi, uśmiech pełen wdzięku; każdy z jego frazesów stanowi akcyę mimiczną, skończoną. Dla tego Szekspir tak dziwny i tak potężny, tak twórczy i ciemny dla współczesnych i dla wszystkich, tak nadzwyczajny pomiędzy wszystkiemi twórcami dusz, tak oddalony od logiki i klasycznego rozumu, tak zdolny rozbudzić w nas cały świat idei, i ustawić przed nami osobistości żywe!

* * *

Poeta nie kopiuje na ślepo otaczających go obyczajów, lecz wybiera z tego ogromnego materyału i przenosi na scenę to, co najbardziéj przypada do jego talentu. Przypuśćcie że jest moralistą, mówcą, tak jak który z wielkich tragików XVII wieku, a obierze on sobie obyczaj szlachetny, unikając ludzi gminnych, zachowa zawsze względy przyzwoitości, wszędzie postara się o smak dobry, omijając poufałość, żarty naiwne życia domowego, nie zajmując się szczegółkami; przeniesie tragedyę w dziedzinę wspaniałą i podniosłą, gdy abstrakcyjne jego osobistości zamieniwszy wymownych kilka frazesów, dadzą się zabić z całą przyzwoitością i jakby na zakończenie ceremonii. Szekspir postępuje całkiem przeciwnie, bo geniusz jego jest całkiem inny. Główną jego zdolnością jest podbudzona wyobraźnia, nie krępowana rozumem i morałem; powierza się jéj przeto, przyjmuje całą naturę znajdując ją piękną, maluje ją w jéj drobiazgach, nieforemnościach, słabościach, w jéj nieładzie i szale. Ukazuje człowieka przy stole, w łóżku, przy grze, pijanego, waryata. Nie pragnie bynajmniéj uszlachetniać, ale kopiować życie ludzkie, i stara się tylko nadać kopii piętno jeszcze energiczniejsze niż je ma oryginał. Ztąd łatwo zrozumiały brak godności. Godność bowiem polega na zapanowaniu nad samym sobą, gdy człowiek dobiera słów i ruchów najszlachetniejszych; tymczasem osoby Szekspira nie wybierają wcale. Królowie jego są ojcami familii i ludźmi— straszliwy Leonatus (1) nakazujący zabić swą żonę i brata, bawi się ze swym synem jak dziecię, pieści go, gada z nim jak

(1) Gadka zimowa.

mamka trywialnie. „Utarłeś nos?— mówią że masz taki jak ja.— Pójdź tu panie paziu, popatrz na mnie twemi niebieskiemi oczami."

Wielkie namiętności poprzedza Szekspir akcyą zwyczajną, pospolitą, uczuciami codziennemi lub rozmową drobiazgową. Wielkie wzruszenia są wypadkami w życiu ludzkiém, gdy jedzenie, picie, gawędka, zajmują nam zwykłe godziny. Szekspir więc maluje nas takich jakiemi jesteśmy; bohaterowie jego witają się, wypytują o nowiny, mówią o deszczu i pogodzie, a to w chwili gdy mają spełnić czyny ostateczne. Hamlet pyta o godzinę, rozmawia o uczcie i prowadzi rozmowę najspokojniejszą aż do zjawienia się ducha jego ojca.

Rozum nakazuje miarę w obyczajach, ale czysta natura gwałtowną jest, unoszącą się. Nie dba ona o temperamenta, okoliczności, idzie ślepo naprzód, wybucha obelgą i nierozumem dzieci.

Osoby Szekspira poddają się najzupełniéj boleści, miłości, oburzeniu, jak Tymon, Leonatus, Cressida i Kapulet. Opór doprowadza ich do wściekłości. Dla tego to przyzwoitość w owym czasie i na scenie, była rzeczą nieznaną. Pozbywają się jéj, bo jest obciążającém wędzidłem. Wyrażenia téż ma Szepkspir surowe, nazywa rzeczy najbrudniejsze po imieniu, miłość fizyczną opisuje po prostu. Rozmowy szlachty nacechowane dwójznacznikami, które dziś zaledwie w szynku usłyszéć można. (Np. w królu Henryku VIII, akt II scena 3, i t. d.). Słownik dam i kawalerów najlepiéj wychowanych, pełen błota, którém rzucają na siebie nie sądząc iżby się powalali. A czyny takie jak słowa. Zabijają, trują, gwałcą, słowem przedstawiają obraz obyczaju wieków. Dosyć przeczytać bunt Jana Cade w Henryku VI, część II akt IV, scena III, ażeby miéć wyobrażenie o tém. Brutalne okrucieństwo, krwiożerczość przeplatana takimże śmiechem i żartami. Natura jest tu szkaradną, a ta szkarada jednak jest prawdą. Lecz nie lud tylko był taki okrutny i grubijański, oto książe Cornouailles każe przywiązać do krzesła starego księcia de Glocester, bo przez niego wymknął się król Lir.

Cornouailles. Przytrzymajcie krzesło: ja mu przydeptam oczy.

Cornouailles wyłupia mu oko i staje na niém nogą.

Regana. Jedna strona byłaby zazdrośną o drugą. Wyłup drugie.

Carnouailles (ze śmiechem). No, jeżeli teraz przypatrzéć się chcesz zemście...

Takiemi są obyczaje teatru, bez wędzidła jak i obyczaje wieku i imaginacya poety.

* * *

Na tém tle rozsnuwa się tłum figur żywych i wyraźnych. Potęga twórcza należy do wielkich darów Szekspira, wywołując efekt taki: każdy frazes wymówiony przez jedną osobę daje poznać prócz

myśli w nim zawartéj, także jéj przyczynę, przymioty téj osoby, charakter, od którego namiętności zawisły, temperament, gesta, spojrzenie a wszystko w jednéj sekundzie. Ta właściwość, że każdy frazes odbija cały świat uczuć i kształtów, pochodzi ztąd, że je powoduje świat wzruszeń i obrazów. Szekspir pisząc, czuł wszystko co my czujemy i czuł więcéj. Miał zdolność szczególną dostrzeżenia jednym rzutem oka całą swą osobę, jéj ciało, ducha przeszłości i teraźniejszości, we wszelkich szczegółach i jéj wyraz fizyognomii. Hamlet czy Otello mówi często takie słowa, któreby potrzebowały kilku kartek komentarza: takiém było skupienie i lot wyobraźni.

Wszystkim zaś osobom złym czy dobrym, głupim czy mądrym, daje Szekspir jeden rodzaj dowcipu, który jest jego własnym. Na samym spodzie ustawił istoty głupie i gaduły, u których w braku rozumu, wyobraźnia jeszcze czynną. Idyota idzie za fantomem zamieszkałym w mózgu jego, Caliban naprzykład istota dzika i niekształtna, mruczy jak zwierzę pod ręką Prospera, który go ugłaskał. Wyrzeka na swego pana, choć wié że za każdą obelgę odpokutuje boleścią. Żarłoctwo, śmiech gruby, to jego właściwość jako natury spaczonéj. W nim jak i w Ajaksie, maluje Szekspir czysty temperament. Inni są tylko gadułami, jak Poloniusz, lub mamka w Romeo. Niemoralność naiwna w mamce i jéj gadulstwo bezmyślne, jej poglądy na ludzi i miłość, uzupełniają portrety.

Imaginacya znowu szybka, świetna, dana osobom dowcipnym Szekspira. Dowcip ten a raczéj duch, przyrównaćby można z werwą artystyczną, przeplataną fantazyą, pełną ruchu i światła. Takim jest dowcip Mercutia, Clownów, Rozalindy i Benedykta. Oni śmieją się nie przez uczucie śmieszności, ale z ochoty śmiania się,— chcą się bawić: oto rzecz cała. Z gry słów układają fajerwerk i rzucają go sobie nawzajem. Wyrażenia ich niezwyczajne, rafinowane, naciągnięte do karykatury. „Ale biedny Romeo—powiada Mercutio—już umarł, zasztyletowany czarném okiem białéj piękności; z przeszytém na wskroś uchem przez piosenkę miłosną“.

Falsztaff znowu ma nałogi bydlęce a wyobraźnię ludzi dowcipnych. Żaden charakter nie maluje lepiéj od tego, werwy i niemoralności Szekspira. Falsztaff jest graczem, krzywoprzysięzcą, włóczęgą i pijakiem. Brzuch ma ogromny, oczy czerwone, policzki karmazynowe, nogę chromiejącą, pędzi życie w szynkach, śpi na ziemi, budzi się klnąc, kłamiąc, chwaląc się i kradnąc. Oszustem jest takim jak Panurgus, który umiał 63 sposobami zachwycić pieniędzy, „z których najpierwszym sposobem było złodziejstwo potajemne.“ Przytém jest szlachcicem, podeszłym dworakiem i z dobremi manierami. Zdawałoby się że wstręt wzbudzi. Przeciwnie, mimowoli polubić go trzeba, bo w gruncie jest „poczciwym chłopakiem“. Nie ma złośliwości w jego czynach, tylko chęć zabawy i pośmiania się. Gdy go znieważają, krzyczy głośniéj od wszystkich i klnie stokroć gorzéj, ale się nie gniewa długo: wkrótce potém zasiada z napastnikami w knajpie, pijąc ich zdrowie.

Ma nałogi, ale je opowiada tak naiwnie, że trzeba mu przebaczyć. Zdaje się mówić: „No prawda, pić lubię, ale czy dobre wino złą jest rzeczą? Uciekam gdy mogę co oberwać, ale czy to kije nie bolą? Robię długi i okpiwam głupców, ale czy to nie przyjemnie mieć pieniądze w kieszeni? Chełpię się, ale któżby nie chciał być cenionym?"

„Słyszysz Henryku, wiesz przecie że Adam w stanie niewinności upadł. A cóż ma począć biedny John Falsztaff w wieku przewrotności? Przecież mam więcéj cielska od innych, toż i więcéj ułomności". Falsztaff jest tak otwarcie niemoralnym, że już przez to nim nie jest. Doszedły do pewnego punktu, kończy się sumienie a zaczyna natura. Falsztaff mając pobrać rekruta, nałapał kubanów od bogatych, a zaciągnął samych urwisów zgłodniałych i nagich. Wszyscy razem mają tylko półtory koszuli. To go niepokoi. „Ba! znajdę przecie bieliznę na płotach". Książe Walii robiąc z nich przegląd zauważył, że mu się nigdy jeszcze nie zdarzyło widzieć takich nędzarzy. „To nic, mój książe, powiada Falsztaff, będzie z nich ścierwo dla armat. Zapełnią fosę tak samo jak inni a nawet lepiéj. Nie obawiaj się, oni także śmiertelni i dobrze śmiertelni." Przysięgi i przekleństwa, protestacye i wykrzyki płyną z niego jak z beczki. Nigdy mu ich nie brak i nigdy nie brak mu wybiegów. Kłamstwa kiełkują w nim, rosną, kwitną, rodzą inne, na wzór grzybów. Kłamie jednak więcéj przez naturalne usposobienie i potrzebę wyobraźni, niż z interesu lub z potrzeby. Poznać go po jego kłamstwach. Opowiada że sam bił się z dwoma ludźmi, niedługo potém, że się bił z czterema, potém że z siedmioma, jedenastoma i nareszcie z czternastoma. Przerywają mu, inaczéj pobiłby całą armią. *Papkin* Fredrowski żywo go przypomina. Gdy mu dowodzą kłamstwa nie traci miny, ale sam późniéj śmieje się ze swych wymysłów.

„Przyjaciele, dzieci moje, złote serca, rozweselmy się, urządźmy jakiego figla".

Improwizuje rolę króla Henryka tak naturalnie, że możnaby go wziąć za króla lub za komedyanta. Słowem poczciwiec ten gruby, tchórz, cynik, pijak i łobuz, poeta szynkowniany, należy do ulubieńców Szekspira. Dlaczego? Bo obyczaje jego odbijają jak w zwierciedle prostą naturę, a duch Szekspira pokrewnym jest z jego duchem. Natura bezwstydna, i gruba, zawarta w téj massie ciała, przemienia się w charakterach kobiecych w delikatną, ale tak samo namiętną i nie rozumującą w Desdemonie jak i w Falsztaffie. Kobiety Szekspira są to piękne dzieci, czułe do zbytku, kochające do zapomnienia; ale są kobietami w całém znaczeniu tego słowa, gdy kobiety naszego teatru są prawie mężczyznami. Kochają one bez rachuby i bez miary, i prawie wszystkie od pierwszego razu. Julietta zaledwie ujrzawszy Romea, mówi do mamki: „Idź, dowiedz się kto on jest. Jeżeli ma żonę, grób będzie mojém łożem weselném". Przeznaczenie ich leży w miłości, kochać będą choćby je śmierć za to czekała. Nieszczęścia i katastrofy mu-

szą być naturalném następstwem takiéj miłości. Cnoty czyli woli i zastanowienia ażeby spełnić obowiązek, nie szukać w nich. Jeżeli, są czystemi, to tylko przez delikatność lub miłość. Brzydzą się występkiem jako rzeczą wstrętną, lecz nie jako niemoralną. Nie czują szacunku dla stanu małżeńskiego, ale uwielbiają swego męża.

* * *

Nic łatwiejszego dla takiego poety, jak kreacya skończonych zbrodniarzy. Demonów przeistacza na ludzi rzeczywistych, *Jago* jest tego dowodem. Człowiek ten nienawidzi bliźnich, szydzi cynicznie ze wszystkiego, sarkazmem opluwa uczucia i zasady, ciesząc się z innych nieszczęścia. „Nędznikiem jesteś“—mówi mu Brabantio. „A pan senatorem“ odpowiada jak Mefistofel, potężny w zbrodni jakby ta była cnotą. Obdarzony werwą dyabelską, zimną krwią nienawiści i hypokryzyi, uzupełnia obraz żywy zdrady i podstępu.

A wielkie charaktery Szekspira? Kleopatra naprzykład, ogarniająca w sieć swych kaprysów Antoniusza, nęcąca i zabijająca, fatalna czarodziejka Wschodu igrająca z miłością i śmiercią, któréj życie jest burzą, a myśl błyskiem piorunów. A daléj Otello zahartowany przez dwadzieścia lat na wojnach, gdy w chwili zazdrości pada na ziemię w konwulsyach boleści, lub Lir charakter zadziwiający, najwyższy wytwór wyobraźni czystéj! Krytyk między temi wszystkiemi charakterami, zgubiłby się jak w jakiém ogromném mieście, zaledwie zdolen opisać kilka pomników. Tutaj daje autor szczegółowy rozbiór kilku najwydatniejszych charakterów, jak: Koriolana, Mackbetha i innych, w czém odsyłamy do samego dzieła. Poczém przechodzi do komedyi Szekspira, tak mniéj więcéj zakończając krytykę ogólną tego poety:

„Dramat daje bez wyboru brzydoty, okrucieństwa, szczegóły przykre, obyczaje dzikie i bezładne, życie najrzeczywistsze gdy się nie ogląda na formy przyzwoitości, rozumu i obowiązku. Komedya (Szekspira) błąkając się w fantastycznych obrazach, przechodzi z prawdopodobieństwa do nieprawdopodobieństwa, idąc ślepo za popędem kaprysów, wyobraźni szukającéj rozrywki romantycznéj; jestto niby koncert uczuć melancholijnych i czułych, unoszący umysł w świat nadnaturalny, uzewnętrzniający oczom za pośrednictwem uskrzydlonych sylfów, geniusz twórczy im odpowiedni“.

....I moglibyśmy powiedzieć poecie na zakończenie tak jak Desdemona Otellowi: „Kocham cię, boś wiele czuł i wiele cierpiał“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pogląd na wypadki 18 marca: prelekcya professora Franka w kollegium francuzkiém. — Pamiętnik z czasów komuny przez Catulle Mendes. — Obraz Paryża: Złudzenia. Pierwsze strzały. Wojna domowa.— Pogrzeby narodowe. Gustaw Flourens. — Spalenie gilotyny przy pomniku Woltera. Kobiety amazonki. — Siostrzyczki ubogich. — Huk bomb i huk młotów. — Dom Thiersa. Kaplica expiacyjna Burbonów. Malarz Gustaw Courbet. Kolumna Vendome. Oda Wiktora Hugo. Pięciodniowa walka uliczna.— Paryż gore! *Sursum Corda!* — Poeci w obec komuny.— Lecomte de Lille autor Kaina.— Wiktor Hugo. Odezwa jego z roku 1848.— Poezya: *Wykrzyk.* Franciszek Coppee. *Dość już krwi. Przechadzki moje.* Poranki dramatyczne w teatrze francuzkim. Modlitwa. Ruiny Paryża w Bostonie. Ostrożnie z ogniem. Nowe publikacye.

Nikt nie zaprzeczy, że głównym przedmiotem zajmującym dziś literaturę całéj ucywilizowanéj Europy, jest pytanie zkąd powstał ten straszny duch niszczenia, który w tak olbrzymich a przerażających rozmiarach, objawił się w samym Paryżu. Jak badacz przyrody śmiało przystępuje do buchającego lawą krateru, aby wzrokiem badawczym sięgnąć do dna otchłani, pewien że rozum ludzki jeśli nie zniszczy przyczyn złego, to przynajmniéj może okiełznać dziką i burzącą jego siłę; jak lekarz zbliża się bez obawy do zadżumionego, którego samo tchnienie przyprawia o śmierć: tak i prawdziwy filozof, w obec społecznych kataklizmów, nie odbiega w pole czystéj abstrakcyi, ale śmiało występuje do walki, przeciw wrogom zasad moralnych. Jednym z takich filozofów jest Adolf Frank, professor kollegium francuzkiego.

Kiedy ekonomiści i politycy, oceniają smutne zjawisko społeczne, pod względem jedynie materyalnym, filozof sięga głębiéj. Tamci szukają przyczyn zewnętrznych, składają winę na cudzoziemców, ponieważ jak twierdzą, nigdy podobny wypadek nie pojawił się w długowiekowych dziejach Francyi; filozof patryota francuzki zostawia na stronie wpływy cudzoziemskie, ale szuka

przyczyn złego w samém sercu narodu: z miłością przykłada rękę do rany, i podaje leczący balsam.

W dniu 12 czerwca, po długiéj przerwie, otworzyły się kursa w Sorbonie i kollegium francuzkiém. Ważna to była chwila dla Paryża, chwila pełna niewymownéj radości tak dla słuchaczów jak niemniéj dla samych professorów. Czuli jedni i drudzy, że po tylu bolesnych wstrząśnieniach, sama tylko prawdziwa nauka, ma w sobie siłę gojącą świeże rany, a ukrzepiającą znużony umysł, że ona sama zdolna wytknąć nowe a bezpieczne drogi na przyszłość.

Professor Frank rozpoczął w tym dniu swój kurs: *O wzajemnym stosunku prawa państwa i prawa jednostek*, poglądem na wypadki 18 marca i zbawienną naukę jaką należy z nich wyprowadzić.

„Ażaliż podobna — mówi professor — w dzisiejszym a tak smutnym stanie Francyi, wśród niedotlonego jeszcze dymu pożarów, odwrócić oczy od obrazu klęsk publicznych, a bez względu na to co się dzieje w obec nas, zmuszać się w badanie oderwanych teoryj? Nie wychodząc bynajmniéj po za granice mego przedmiotu, pragnę rozebrać ze stanowiska filozoficznego wypadki 18 marca, zbadać ich powody, wyprowadzić z nich wielką naukę i surową przestrogę.“

Daléj professor upomina słuchaczy, aby widok niesłychanych gwałtów i dzikich szaleństw jakich byli świadkami, nie zmącił w nich pojęć o naturze człowieka.

„Dusza ludzka— pyta on — byłażby stekiem przewrotności, skażenia, samolubstwa? Człowiek zdolnyż tylko czynić źle? dążyć tylko podstępem lub przemocą, do zaspokojenia własnych uciech, do zapewnienia sobie dobrobytu? Świadectwo własnego sumienia, jak niemniéj świadectwo historyi, zaprzeczają takiéj doktrynie. Zapytajmy sumienia, a odpowie nam, że człowiek pomimo słabości, pomimo samych zbrodni, zrodzony po to aby służył prawu i prawdzie, że jest z natury swojéj istotą rozumną i moralną, że pogwałcając prawo Boże, zadaje gwałt sobie samemu, staje się własnym katem. A cóż odpowie nam historya, ten potężny głos już nie pojedyńczego sumienia, lecz zbiorowego sumienia całéj ludzkości? Cóż nam ukaże historya na pierwszym planie swoim? co stanowi jéj życie, jéj piękność? To wszystko co myśli, co się poświęca: mędrcy, filozofowie, artyści, apostołowie, męczennicy! Odsuńmy to wszystko, odtrąćmy dusze wierzące w porządek wyższy, w świat nadzmysłowy, a zostaną tylko zwierzęta samolubne, chciwe gwałtów i łupu. Historya zamieni się w prostą kronikę, zapisującą podboje wojowników, albo rozwój przemysłu. Ludzkość stanie się martwym trupem! *Caput mortuum!*

„Potrzeba więc mimo przerażającego obrazu, jaki zasmucił wszystkie uczciwe serca, potrzeba nam zachować wiarę w wielkie przeznaczenie rodu ludzkiego, wiarę w pierworodną wielkość naszą.“

Professor zapytuje daléj jakie przyczyny sprowadziły złowrogi dzień 18 marca, ze strasznemi jego następstwami? Te powody dzieli na dwie kategorye: na powody przypadkowe, i zasadnicze albo ogólne.

Do piérwszych zalicza anormalny stan robotniczéj ludności nagromadzonéj w potwornie wielkiém mieście, wystawionéj na wpływy utopistów z całego świata; zalicza również wojnę przeciw obcemu najazdowi, konieczność ogólnego uzbrojenia, to jest oddania miecza w rękę szalonym.

Obok tych przyczyn zewnętrznych, Frank stawia przyczyny zasadnicze: sprowadza je do dwóch najgłówniejszych:

1. Upadek obyczajów, to jest skażenie moralne.

2. Upadek idei, to jest skażenie intellektualne.

„Upadek obyczajów— mówi z boleścią — i któż mu dziś zaprzeczy? zgubny wpływ ostatnich lat dwudziestu rozmiękczył i zniżył charaktery. Życie publiczne odrętwiało, idea miłości powszechnego dobra przyćmiła się w umysłach, zatarła w sercach. Głównym bodźcem do działania był interes osobisty. Dobrobyt, uciecha, zadowolenie egoistycznych pragnień. Literatura chorobliwa, teatr lekkomyślny, rozszerzający zarazę, zamiast przeciwważyć złemu, pchały jeszcze społeczeństwo do moralnego rozprzężenia.

„Co więcéj, szalony zbytek, wyrafinowany dobrobyt, stały się koniecznością nieomal nakazaną prawem. Zamieniono Paryż w miasto pałaców; trzeba więc było bądź co bądź, porzucić dawny skromny domek, a zamieszkać świetny apartament, i zharmonizować pomału sprzęty i ubiór, słowem, cały tryb życia, z tą ramą tak wytworną. Ztąd wydatki nad możność; ztąd w wielkiéj części gonienie za pieniędzmi, szalona gra na giełdzie, chciwość, nieprawy zarobek. Zgorszenie rozlewało się z góry i przesiąkało wszystkie szczeble. Od czasów Ludwika XV, Paryż nie widział może równego wyuzdania; ta niemoralność oddziaływała na ciemny tłum, kryjący się po śmietnikach wielkiego miasta. I ciemny tłum pytał: jakim sposobem ci milionerzy przyszli do owych bogactw, podsycających zbytek i rozpustę? Oto przyszli do nich pogwałceniem prawa i sprawiedliwości; jedna noc grudniowa wystarczyła im na to. Czemużby ich naśladować nie mieli? teraz koléj na nich spanoszyć się, wyprzeć Boga, używać! „Nie o wolność nam idzie — rzekł publicznie jeden z wczorajszych oratorów, — idzie nam raczéj o władzę.“ Wyraz ten jakże wymownie określa tę żądzę używania, co nagle ogarnęła wszystkie szczeble społeczne!“

„Do tego upadku moralnego—mówi daléj professor—dołączmy skażenie intelligencyi, zamęt nurtujący w umysłach, wskutek nasłuchania się materyalnych zasad socyalizmu.“

Ażaliż nie powtarzano od pół wieku na wszystkie tony, że moralność uznająca wyższość ducha nad materyą, poczuła swój czas, że ciało domaga się praw swoich, że klasa mieszczańska, która zajęła miejsce dawnéj szlachty, powinna ustąpić miejsca robo-

tnikom, że robotnicy mają prawo do części produktu, że potrzeba raz skończyć z bezecnym kapitałem i t. p. Dodawano jeszcze, że mieszczaństwo zepsute do szpiku kości, że za to ubodzy, robotnicy, uposażeni we wszystkie cnoty. Twierdzono, że w społeczeństwie dobrze uorganizowaném, każdy ma prawo czerpać w miarę potrzeb własnych z ogólnego funduszu: słowem, zapraszano proletoryat na ten królewski bankiet, od którego dotąd niesłusznie był odtrącony.

„Smutne te doktryny— dodaje Frank, — nie pozostały jak widzimy prostą abstrakcyą: internacyonala przyjęła je i wprowadziła w praktykę. Odczytajmy tylko sprawozdania wszystkich sekcyj: francuzkiéj, angielskiéj, belgijskiéj, a zobaczymy wszędzie formalną i wyraźną negacyę Boga, negacyę rodziny, negacyę własności. Wspólność mienia, życie zwierzęce, materyalizm, oto ideał nowego społeczeństwa. Z tego prądu potwornych idei, miała się zrodzić krwawa rzeź grożąca nie saméj tylko Francyi ale i całéj Europie.

„Insurekcya pokonana już dzięki Bogu— dodaje professor,— ale przyczyny które ją zrodziły jeszcze niestety żyją, i wstrząsają do gruntu społeczeństwem. Potrzeba je zniszczyć; w jaki sposób? Za pomocą dwóch środków:

„Potrzeba najprzód aby warstwy najwyższe w porządku społecznym, były dla warstw niższych wzorem moralności, uczciwości, dobréj wiary. Ci którzy posiadają majątek albo władzę, powinni uważać się za starszych w wielkiéj rodzinie ludzkiéj, a tém samém dawać młodszym braciom zbawienny przykład. Jestto obowiązek moralny, a zarazem konieczność polityczna.

„Ale postępowanie przykładne nie wystarcza; trzeba nauczać i słowem i piórem. Jest dział którego ubodzy mają prawo domagać się od bogatych, tym działem: światło i wiedza. Niechajże lepiéj uposażeni szafują z miłością słowem na rzecz ciemnych prostaczków. Takie miłosierdzie niemniéj miłe Bogu, a pożyteczniejsze może nad ofiarę pieniężną.

„W tym jednak względzie inicyatywa jednostek nie wystarczy; aby dojść do téj spójności duchowéj, do owéj zgody intellektualnéj i moralnej, która byłaby niewątpliwie najpewniejszą rękojmią porządku; instrukcya przymusowa jest koniecznością. Lecz jaka instrukcya? Umieć czytać, pisać, rachować, to nie dosyć: taka nauka nie utworzy jeszcze ludzi, nie przysposobi obywateli dla kraju.

„Wychowanie powinno być religijne. Bez idei, bez poczucia Boga, człowiek musi przywiązywać myśl do ziemi, ograniczać ją na pragnienie rzeczy doczesnych, zapominając prawa ofiary i bezinteresowności, staje się łupem egoistycznych popędów.

„Wychowanie więc powinno mieć charakter religijny, oprócz tego ma być ściśle praktycznóm. Moralność praktyczna musi zająć w niém właściwe miejsce. Potrzeba aby najmniejszy z prostaczków, powołany w naszém społeczeństwie do udziału w pra-

wach powszechnych, miał jakieśkolwiek pojęcie tych ważnych, a tak mało znanych pytań. Co to jest państwo? czém jest prawo? dlaczego prawo wymaga poszanowania wszystkich? co jest podwaliną porządku społecznego? jaki związek istnieje między pracą a kapitałem? co jest podstawą, co przyczyną bytu własności?

„Umysły wykarmione zdrowém pojęciem rzeczy, przestaną być igraszką pierwszego lepszego szarlatana, który nazwie się prorokiem przyszłości, i bluzgać im będzie w oczy ateizmem, socyalizmem, bezbożnemi a przeciw społecznemi doktrynami. Tym sposobem, i tylko tym sposobem możemy się jeszcze dźwignąć z upadku. Jeżeli zaś jest na świecie naród zdolny oprzeć się wpływom zniechęcenia, naród którego umysł tak giętki a tak czynny, potrafi zwalczyć rozpacz, tym narodem bądź co bądź, jest naród nasz francuzki!“

„Jak Dant, za życia przeszedłem przez piekło!“

Ten wiersz wielkiego poety naszego, może powtórzyć każdy, kto przebył w Paryżu dwa z górą miesiące od 18 marca do 23 maja, strasznéj pamięci 1871 roku! My nie byliśmy w tém piekle, książki zaś i pisma z tych czasów, — aczkolwiek przeczytaliśmy ich wiele— dają nam zaledwie chaotyczne pojęcie téj dusznéj a palącéj atmosfery, jaką oddychał biédny Paryż!

Kiedy trzy miesiące temu, kreśliliśmy smutny obraz oblężonéj stolicy, według pamiętników Sarcego, Claretie i innych, z jakże gorącém współczuciem podzielaliśmy cierpienia Paryżanów. Obok cieniu ileż tam było światła, ile szlachetnych uczuć, ile wzniosłych poświęceń! Nowe oblężenie przedstawia się inaczéj. Tu noc czarna, noc straszna, grobowa, rozświecona tylko krwawą łuną pożarów. Nie brakło i tu szlachetnych uczuć, wielkich poświęceń; lecz te kryły się w cieniu, stłumione najstraszniejszym terroryzmem, przy którym bledną nieludzkie wyroki konwencyi. Czas wydobędzie na jaw niezliczone dramata, odbyte w tajnikach serc ludzkich, podczas onéj próby ogniowéj, jak wydobył i ukazał światu przed oczy, tyle dramatów zakończonych gilotyną Robespierra. Ale na to nie pora dziś jeszcze. Książki mówiące o komunie, rzucają proste fakta, nie wdając się ani w filozoficzne wywody, ani w psychiczne określenie jednostek, które odgrywały w dramacie czy to czynną, czy bierną rolę.

Wahaliśmy się z razu co czynić. Możeby lepiéj, mówiliśmy do siebie, zostawić na boku ten czarny obraz gwałtów i bezprawi; godziż się nam dla zaspokojenia ciekawości czytelników, prowadzić ich w ten odmęt, i karmić ich grozą straszniejszą niźli pod pręgierzem Tropmanów? I gotowi byliśmy przemilczeć o komunie, ale jakże tu w kronice naszéj nie zapisać wypadku takiéj wagi? Jak tu zrywać kwiaty i owoce myśli ludzkiéj na polu sztuk

i nauk, a nie wspomnieć piorunów i nawałnic, które zagroziły nabytkom czterdziestowiekowéj cywilizacyi?

Postanowiliśmy téż, aczkolwiek ze wstrętem, przebiedz pobieżnie te smutne wypadki tak jak się przedstawiły oczom autora pamiętników współczesnych, młodego poety i publicysty Catulla Mendes. Nie idzie nam tyle o fakta, szereg ich znany powszechnie z gazet; idzie tu raczéj o sposób w jaki się odbiły w sercu i myśli Paryżanów; a Catulle Mendes nieodrodnym jest synem, krwią z krwi, kością z kości Paryża.

„Tłumy rozjeżdżają się — mówi on — na wszystkie strony kraju. Miliony kufrów, skrzyń, skrzynek i skrzyneczek wysypało się z domów; ładowne wozy, pojazdy i omnibusy rozwożą je na dworce. Ja zacięty paryżanin, postanowiłem zostać w domu i czekać. Podeszwy obuwia mego przyrosły do bulwarowego asfaltu. Pobyt w Paryżu byłżeby w rzeczy saméj niebezpiecznym dla tych, którzy nie chcą działać wspólnie z komuną? Nie sądzę, mimo dokonanych już nadużyć.

„Zresztą gdyby nawet komuna dopuszczać się miała najsroższych gwałtów i bezprawi, gdyby popychała bezmyślnie w otchłań zguby ten Paryż, tak już zbolały i zgnębiony, tak ciężko upokorzony obcém zwycięztwem, i w tym razie nie opuszczę go, ale uczynię jak on rozbitek, co pamiętny szczęśliwie odbytéj żeglugi na pięknym swym okręcie, czepia się skruszonego masztu, aby z nim przetrwać burzę, lub utonąć z nim razem.“

Mendes ogłuszony zrazu wypadkami 18 marca, nie umié sobie zdać z nich sprawy; dzieli w tém błąd spokojnéj części Paryżanów. Z oburzeniem patrzy na morderstwo generałów Clement Thomas i Leconta, z trwogą widzi wychodzące z urny wyborczéj imiona całkiem dotąd nieznane, dziś dyktujące prawa miastu, pod osłoną czerwonéj chorągwi zatkniętéj zwycięzko na gmachu ratuszowym.

„Kto wié— mówi do siebie — może ci ludzie nieznani, przestępni, lecz bez wątpienia szczérzy, wywalczą dla Paryża prawa, których Paryż niemal cały domaga się i pragnie. Któż z nas nie wié, o ile swobody municypalne upragnione przez wszystkich? jak niezbędne w dzisiejszym stanie rzeczy. Dlategoto, aczkolwiek zatrwożeni gwałtami dyktatorów 18 marca, lubo przerażeni widokiem krwi bratniéj umyśliliśmy czekać nie przesądzając sprawy.“

Przez dwa tygodnie Mendes czeka cierpliwie, rozpatruje się bacznie wkoło, zasięga zdania poważnych i doświadczonych ekonomistów. Jeden z nich tak przed nim określa ośmiudziesięciu członków komuny, tylko co wybranych przez miasto:

„Dziwne to zgromadzenie, złożone z najrozmaitszych żywiołów. Nie wszystko tu złe, lecz nie wszystko i dobre. Możnaby podzielić całość na trzy grupy. Jest tu jaki dziesiątek ludzi seryo połączonych ściśle z internacyonalą, ludzi którzy myśleli, pracowali, którzy potrafią działać; potém idzie młodzież gorąca, bez doświadczenia, napojona zasadami jakobinizmu; trzecia grupa naj-

liczniejsza, składa się z weteranów dawnych rewolucyj, dziennikarzy, oratorów, spiskowców. Gawiedź to burzliwa i krzykliwa, lecz pierzchliwa wrazie niebezpieczeństwa, niezwiązana żadném silném ogniwem, gotowa przerzucać się z jednéj strony na drugą."

Tak określił komunę znakomity ekonomista, którego słowa przytacza Catulle Mendes.

Kiedy sobie przypomnimy, że członkowie handlowéj Izby paryzkiéj, z prezesem na czele udali się do Wersalu chcąc służyć jako pośrednicy do układów, między rządem centralnym a komuną paryzką; kiedy widzimy, że Izby handlowe innych miast wdają się niemniéj w to pośrednictwo; kiedy naostatek sam rząd centralny upoważnia bank do wydania kilku milionów franków téjże komunie paryzkiéj: mamy w tém wszystkiem jasny dowód, że ta komuna acz nie legalna, nie ukazała się zrazu w całéj ohydzie, a co najpewniéj, że w początkach istnienia swego, nie miała tych potwornych zamiarow nihilistycznych jakie w końcu ją cechowały. Śmiesznem jest samo nawet przypuszczenie aby mieszkańcy Paryża mogli patrzeć apatycznem okiem na dopełniony przewrot, gdyby przewidywali klęskę zagrażającą miastu. W takim razie nie powstaliżby wszyscy jak jeden? nie zgnietliżby komunalistów w ciągu dwóch lub trzech godzin?

Przerażająca zaś liczba tych, którzy mniéj lub więcéj sympatyzowali z komuną, tłumaczy się tém, że owa komuna w pierwszych chwilach istnienia swego, a szczególniéj po wyborach dopełnionych pod opieką merów 26 marca, reprezentowała gwałtowną potrzebę całéj Francyi, mianowicie Paryża, to jest potrzebę decentralizacyi. W końcu poplątani w myślach, zostali ślepém narzędziem tych wcielonych szatanów, którzy z zimną krwią przeprowadzili system dawno obmyślany.

Ludność paryzka łudziła się do ostatka nadzieją wspólnego porozumienia komuny z Wersalem. Huk dział wytrzeźwił ją z obłędu: wówczas dopiéro krwawe widmo wojny domowéj stanęło jéj groźno przed oczyma.

„Dzień 3 kwietnia, dzień straszny! dzień przeklęty!— woła Catulle Mendes.— Biją się, biją u bram Paryża... Kto? Francuzi przeciwko Francuzom!... Biją się pod okiem Prusaków, którzy jak krucy wlepili wzrok w pole bojowe! Widziałem ambulanse pełne gwardzistów. „Kto ranił was? — pytam — Żuawi!... prawdaż to!... małoż klęsk i upokorzeń, trzebaż nam się stoczyć na samo dno przepaści?"

Ten huk dział tak przerażający, nie miał zmilknąć przez długie dni pięćdziesiąt!... Autor opisuje szczegółowo zaczęte bitwy w Neuilly, Asnière, Courbevoie, Chatillon i tylu innych miejscach, nieociekłych jeszcze ze krwi stoczonéj w wojnie z obcym nieprzyjacielem. W Paryżu straszny popłoch. Tłumy kobiét pod gradem bomb, garną się ku okopom. Wśród stosu trupów i raunych, żony szukają mężów, matki synów! pogrzeby ciągną długim sznurem przez ulice i bulwary.

Przy obrazie pogrzebu poległych, Catulle Mendes rzuca mimochodem rzewny obrazek pogrzebu niemowlęcia, charakteryzujący te smutne czasy.

„Niesiono ulicą maleńką trumienkę, nie większą jak pochwę od skrzypców. Za trumienką szła kobiéta w czarnéj sukni, zapewne matka; prowadziła za rękę małego chłopczyka. Daléj kilka sąsiadek, szło rozmawiając półgłosem.

Nadeszły do kościoła lecz kościół był zamknięty. A przecież w wigilię tego dnia matka zamówiła mszę na godzinę oznaczoną. Jedna z sąsiadek zakołatała do małych drzwi prowadzących do zakrystyi. Otworzył je gwardzista narodowy.

— Nie wolno wchodzić! —zawołał groźnym głosem.

Napróżno kobiéty nalegały. Gwardzista oznajmił im w końcu że proboszcz uwięziony równie jak zakrystyan i cała służba kościelna. aby nie wchodzili w drogę patryotom.

— O mój Boże!—zawołała matka łamiąc ręce—kto pochowa dziecinkę moją, kiedy ksiądz proboszcz uwięziony.

I biédna zanosiła się od płaczu na myśl, że nikt nie odmówi kościelnéj modlitwy za tę biedną duszyczkę, że nie pokropi wodą święconą téj ubogiéj trumienki!

— „Ha panowie z komuny!—dodaje Catulle Mendes—ciężko płakała ta kobiéta, ciężéj płakała jeszcze, kiedy późniéj na cmentarzu, wrzucono w dół drogiego jéj trupka, bez błogosławieństwa, bez modlitwy. Ruszycie ramionami z politowaniem i pogardą, że są jeszcze te matki niegodne rodzić i wychowywać obywateli które nie chcą aby ich dziecko wrzucone było w dół jak szczenię, lecz domagają się chrześciańskiego pogrzebu: te matki które nie wiedzą że modlić sie to zbrodnia, uklęknąć to przestępstwo, powiedzieć Bogu: ja Cię czczę! to obraza przeciwko ludzkości! które zatykają krzyż na drogiéj mogiłce!... krzyż powiecie, po co krzyż? nie mamyżto czerwonéj chorągwi?

W urzędowych pogrzebach, jak się łatwo domyśléć, czerwona chorągiew zastępowała miejsce krzyża.

Co do nas, biorąc rzeczy ze stanowiska ścisłéj loiki, nie rozumiemy dla czego komuna marnotrawiła pieniądz publiczny na koszta pogrzebowe, a nadto, czemu pozwalała ludziom tracić czas na te uroczystości? czas to pieniądz (limes is monay). Wszakże podług szkoły komuny, pieniądz jest alfą i omegą życia pojedyńczych ludzi i społeczeństw. Te trupy nie już nie zdolne produkować; pocóż więc łożyć koszta na ich uczczenie? Właściwiéj byłoby spożytkować ich kości w pierwszéj lepszéj fabryce. Same cmentarze alboż nie są marnotrastwem ziemi, to jest kapitału?

Większą jeszcze nieloiczność pokazują adherenci komuny oddając cześć zasługom swych umarłych. Ta cześć jestże czém innem, jeśli nie pierwszém ogniwem historyi , przeciw któréj oni występują tak silnie?

Rozumiem was i nieloiczność waszą! Wiary w wieczność niepodobna zniszczyć, bo jest częścią człowieka, można tylko za-

mienić jéj formę. Nie chcecie ukłonić się przed krzyżem, zginacie głowę przed innym znakiem któryście sami wymyślili: to znaczy mówiąc po prostu, że podnosicie siebie samych do znaczenia bóstwa i żądacie hołdów dla siebie!"

Podobna nieloiczność cechuje wszystkie akta komuny. Ciż sami którzy wloką do więzienia arcy-biskupa paryzkiego i innych dostojnych zakładników, w tymże niemal dniu palą gilotynę przy pomniku Woltera!

„Dziwne to było widowisko—mówi Mendes. Niezliczony tłum ludu zalał plac i poblizkie ulice. Kobiéty i dzieci z pięścią zaciśniętą, z przekleństwem na ustach gromadzą się w okół stosu. Gwardziści rzucają w ogień porąbane sztuki machiny. Płomień wybucha z trzaskiem, słup dymu niby ofiarne kadzidło, ogarnia cały posąg. Na widok dotlonych głowni szalony okrzyk wybiega z tysiąca ust; co znaczy ta farsa? Paląc straszne narzędzie śmierci, chciałaż dać rozumieć, że minęły czasy, kiedy człowiek pastwił się nad człowiekiem. Okropne widowisko!

Podczas gdy komuna wyprawia *auto da fe*, g'woli zabawie Paryżan, grad kartaczy z po za wałów miasta, przywtarza grzmiącym oklaskom tłumów!

Gwardziści biją się z niesłychaną odwagą. Kronikarz patrzy z boleścią na ten zmarnotrawiony zapał tylu dzielnych synów Francyi.

„Przekleństwo wam członkowie komuny!— dodaje Mendes —że odzieracie Paryż z jego moralnych bogactw, przekleństwo wam! że w złéj sprawie zużywacie te cudowne siły narodu, które przypadek oddał na chwilę w ręce wasze!"

Niesłychany szał ogarnął i kobiety.

„Kto są, pyta kronikarz, te szczególne istoty, co porzucają miotłę albo igłę, odbiegają kołyski niemowląt a walczą i giną obok mężów i braci? Patrzmy na te amazonki gdy śpieszą do zapasu, wściekłe, dzikie, nieustraszone niczém! W Neuilly wiwandierka ugodzona w głowę, znika i niebawem opatrzywszy ranę, wraca na stanowisko. Inna z 61 batalionu, chlubi się, że własną ręką powaliła siedmiu Wersalczyków. Na wzgórzach Chatillonu inna znów, pozostaje do końca z małą garstką gwardzistów, nabija wciąż karabin, sypie strzały, schodzi ostatnia z pola; cofając się obraca jeszcze głowę, daje ognia bez przerwy. Wiwandierka 68 batalionu, pada wpół rozdarta granatem. Po bitwie 3 kwietnia, przyniesiono trupów do Mairce w Vaugirardo; żony i matki przybiegają z latarniami, znajdują wśród poległych kobietę literalnie kulami poszarpaną. Zkądże taki szał opętał te furye? Wiedzą one co czynią? za co giną? Wczoraj do sklepiku przy ulicy Montreul, wchodzi zamaszysto kobieta z bronią na ramieniu; bagnet nie ociekł jeszcze ze krwi: szynkarka zadrżała na ten widok.

— Siedzieć-by lepiéj w domu, pilnować dziatwy—zawołała z oburzeniem.

„Powstaje sprzeczka. Zaczepiona wpada w wściekłość; rzuca się na przeciwniczkę, kąsa ją gwałtownie po szyi; cofa się wstecz, porywa za broń, mierzy;... nagle siły ją odbiegają; blada jak trup, wypuszcza z rąk karabin: jak długa upada na ziemię. Skonała; żyła pękła jéj w sercu, rozdęta szaloném uniesieniem".

Takieto kobiety ujrzał Paryż w tych czasach.

Po tym strasznym obrazie, kronikarz przenosi nas w inne sfery. I tu walczą kobiety, ale jakże odmiennie. Czoło ich promienieje anielską aureolą miłosierdzia.

„Na przedmieściu Ś-go Antoniego—mówi Mendes—zgromadzenie kobiet daje przytułek zgrzybiałym starcom. Liczna gromadka zdziecinniałych dziadków i babek, znajduje tu pomieszczenie, opiekę, słowem wszystko co im potrzeba. Siostrzyczki odziewają ich, karmią i modlą się wraz z niemi. Starcy błogosławią ten zakład miłosierny i Bóg go także błogosławi.

„Dnia jednego wieczorem, było to w końcu kwietnia, siostrzyczki obsłużywszy starców, odmówiwszy pacierze, posnęły pierwszym snem; w domu panowała wielka cisza: nagle strzał rozległ się tuż za bramą.

Łatwo pojąć ogólne przerażenie. Siostrzyczki ubogich nie przywykły były do strzałów jak siostry miłosierdzia. Wrzawa, zgiełk, tartas po wszystkich celach. Biédne siostry zrywają się, zarzucają naprędce odzież; starce dźwigają głowę z pościeli: jedni drugim patrzą w oczy z trwogą i podziwieniem.

Furtyanka otwiera drzwi. Stu gwardzistów z groźną postawą pcha się do sieni, rozbiega po celach, refektarzu i kaplicy; wszyscy zbrojni w karabiny i pałasze, krzyczą, hałasują, istne szatany w piekle. Jeden z nich jak widać dowódzca z długą czarną brodą, przemawia strasznym głosem. Siostrzyczki jak gołąbki spłoszone, tulą się w około przełożonéj.

— Zamknąć drzwi—woła kapitan—gdyby która z tych kobiet chciała uciekać, strzelać natychmiast: rozumiecie?

Wtedy matka przełożona występuje krok na przód:

— Czego chcecie panowie?— spyta spokojnym głosem.

— Obywatele a nie panowie—zakrzyknie dowódzca—i począł kląć na czém świat stoi.

Matka przeżegnała się w milczeniu.

— I czegóż chcecie bracia?— powtarza nieustraszona.

— Chcemy klucza od kassy—odparł kapitan.

Matka skinęła nań, poszedł za nią; ukazała mu szafę: otworzyła ją na oścież.

— Oto cała nasza kassa—rzekła wyciągając szufladę.

Było w kassie dwadzieścia i dwa franki.

— Jakto? nie macie nic więcéj?—spyta kapitan z niedowierzaniem.

— Nic więcéj—rzekła matka—zresztą szukajcie panowie jeżeli chcecie.

Gwardziści rozbiegają się po domu, odbijają zamki, przewracają sprzęty z hałasem: wchodzą nareszcie do sypialni biédnych starców.

Na ich widok dziady i babki porywają się z łóżek. Jęk, lament, jak w dzień strasznego sądu.

— Czego tu chcecie?—wołają wszyscy razem. Dajcież pokój dobrym siostrzyczkom. To nikczemnie! to podle, wstyd... hańba... precz ztąd! nie krzywdźcież ich na Boga!.. co będzie z nami gdy nas siostry opuszczą?

Dziady płaczą jak bobry, babki z gniewem wytrząsają pięściami, krzyczą jak oparzone.

Kapitan osłupiał, ręce opadają gwardzistom: nikt nie spodziewał się takiéj sceny.

— Cicho, cicho, uspokójcież się starzy; nie weźmiemy waszych siostr, nie pokrzywdzim ich — rzecze kapitan wyraźnie złagodzony.

Na dany znak, gwardziści poczęli schodzić na dół.

— Matko, nie zamknęłaś szuflady — zagadnie dowódzca wskazując szafę.

— Prawda panie—odrzekła—taki mój zwyczaj, u nas klucz tylko dla formy.

— Dziś jednak zamknij lepiéj matko, rozumiesz mnie; ja nie mogę ręczyć za wszystkich.

To mówiąc dowódzca wsunął szufladę, przekręcił klucz, oddał go przełożonéj.

— Nie wiedziałem — rzekł półgłosem wyraźnie zakłopotany—nie domyślałem się wcale.. prawiono niestworzone rzeczy... pięknieże się opiekujecie temi biédnemi kalekami.

Widząc to pomięszanie kapitana, jedna z siostrzyczek zbliżyła się do niego trochę śmieléj.

— Od miesiąca—rzeczo—użyłyśmy nie mało strachu. Ludzie mówili że czerwoni chcą nas wypędzić z domu... rzecz okropna. Wszak nie dopuścisz tego panie?

— Nie dopuszczę—zawołał kapitan. Bądźcie pewne, włos wam nie spadnie z głowy.

„W pięć minut potém, w domu zgromadzenia cicho było, jak makiem zasiał.

„Gdyby komuna paryzka postępowała logicznie — dodaje kronikarz—ten kapitan byłby rozstrzelany!“

Pułki wersalskie tymczasem, postępują coraz bliżéj a bliżéj. Paryż ściśnięty znów żelazną obręczą jak za czasów oblężenia pruskiego. Lepsze to były czasy!—mówią ze łzami Paryżanie— żywność drożeje z każdym dniem; widmo głodu przeraża biédną ludność. Słabsze serca upadają; nie jedna ręka chwyta oręż ze drżeniem. Trzeba walczyć za wstrętną sprawę, aby nie umrzeć z głodu!

Komuna wié że dni jéj policzone. By podtrzymywać ducha głosi kłamane wieści o tryumfach; podczas gdy bomby wersalskie szczerbią warowne forty, rozwija najsroższy terroryzm, rzuca się szalenie na prassę, na zabytki przeszłości. Rozpędza redakcye pism niepodległych, więzi dziennikarzy, księży zamyka w Maras, strąca krzyże z przybytków Bożych i ambulansów, łupi kościoły, znieważa je, czyni miejscem bezecnych klubów!

W połowie kwietnia Paryż wyczytał z przerażeniem dekret rozlepiony na rogach ulic:

„Zważywszy że kolumna cesarska na placu Vendôme, jest pomnikiem barbarzyństwa, symbolem siły brutalnéj i fałszywéj chwały, negacyą międzynarodowych praw, obrazą zwyciężonych, zamachem na zasadę braterstwa, postanawia iż kolumna placu Vendôme niezwłocznie zostanie zburzoną".

Paryż zatrząsł się na ten wyrok, Mendes jest tu wyrazem grozy powszechnéj.

„Małoż wam szaleńcy—woła z uniesieniem—małoż wam téj krwi wytoczonéj, tych nieszczęśliwych wdów i sierot, tego przemysłu zwichniętego na długo; małoż wam potyranéj czci narodu, narodu który wśród tylu klęsk i upokorzeń, ocalił przynajmniéj godność własną, nim ją zatracił w hańbie wojny domowéj. Małoż wam nędznicy żeście zburzyli byt obecny, żeście zachwiali przyszłość, wamże jeszcze targnąć się na zabytki pazeszłości? Owa kolumna Vendôme, to Francya, to Francya jaką była, a jaką niestety już nie jest. Pomnikże to samego Napoleona? to pomnik zwycięzkich ojców naszych, tych pysznych ojców, którzy przebiegali świat z trójbarwnym swym sztandarem, potrząsając nim w oczy nieprzyjaciół. Wiecież wy co to zburzyć kolumnę Vendôm? jedno to zaprawdę, co wywlec z grobu szkielety ojców, spoliczkować trupie ich lica, rzucić im wbrew obelgę: „Hańba wam żeście byli dzielni, dumni i wielcy, hańba że zdobywaliście miasta, wygrywali bitwy, zdumiewali świat blaskiem waszym, raczéj blaskiem Francyi!" O! któż temu zaprzeczy, jest zaprawdę chwała częstsza i promienistsza, nad chwałę zrodzoną z wojny i podboju. Wolno wam marzyć o innéj przyszłości, lecz nie wolno burzyć pomników dawnego bohaterstwa, wam potarzanym w błocie hańby!"

„Rozwiany obłęd! łuszczka spadła nam z oczu! dodaje z boleścią kronikarz. My sądziliśmy chwilę, że przez was dobijem się municypalnych swobód. Widzieliśmy w was rewolucyonistów zbyt gorących, nazbyt zuchwałych, lecz powodowanych szlachetną myślą! a czemże wy jesteście? zgrają wichrzycieli ulicznych, chciwych grabieży i bezprawia! Jeżeli w pośród was była garstka ludzi uczciwych, odbiegła ze wstrętem ustępując miejsca nowym przybyszom. Inną z razu odgrywaliście rolę, ztąd i merowie Paryża, złudzeni jak my, wchodzili z wami w układ, by uniknąć walki ulicznéj. Ha! względniéj sądziliśmy rzecz przed miesiącem,

bo nadzieja kołysała nas jeszcze. Dziś sądzimy inaczéj.., znamy was! zna was już cały Paryż!"

. Huk bomb i granatów nie ustawał; przywykliśmy do niego mówi jeden z naocznych świadków, jak do świegotania wróbli na dachach". Do tego huku przyłączył się w net nowy, głuchy, złowrogi, huk młotów powalających zabytki narodowe. Rozpoczęto od *kapliczki expiacyjnéj*, zbudowanéj w miejscu, gdzie pogrzebane były niegdyś prochy Ludwika XVI, Maryi Antoniny i Szwajcarów pomordowanych w ich obronie. Prawdziwi republikanie Paryzcy z boleścią patrzyli na tę zniewagę. Catulle Mendes daleki od legitymizmu, wyraża wiernie opinią powszechną:

„Jak kolumna Vendôme, kaplica expijacyjna przypomina monarchiczną przeszłość Francyi, przeszłość pełną skaz, lecz niemniéj pełną sławy. Bądźmy republikanami, nie zrzekając się historyi naszéj, która była królewską. Popioły monarchii zagrzebane pod tym pomnikiem, niech tu spoczywają na całą wieczność. Wamże obrazoborcy, burzyciele sławy przeżytéj podnosić ten kamień grobowy? Strzeżcie się... umarli wychodzą łatwiéj z trumien, gdy wieko ich otwarte"!

Młoty nie ustawały. Po kaplicy grobowéj Burbonów, przyszła koléj na dom Thiersa. Zobaczmy jak kronikarz opisuje ten czyn bezecnego wandalizmu.

„Wybiła dziesiąta wieczorem. Zawróciłem z bulwarów na ulicę Notre Dame de Lorette. Część ta miasta, niegdyś gwarna i ożywiona, pusta dziś o téj porze. Nagle błysnął mi ogień. Przyspieszam kroku, w oka mgnieniu jestem na placu St. Georges. Wielki płomień wybucha w górę przed domem Thiersa; u bramy dziedzińca stoją straże. Wieczór ciepły, gwardziści otoczyli ognisko; rzucają w nie porąbane krzesła, obrazy, słowem szczątki ruchomości, o których komuna zapomniała. Prawy bok domu już prawie rozwalony. W podwórzu pełno wózków naładowanych książkami, sprzętami i bielizną. Straszny, piekielny obraz! ci ludzie w czerwonym blasku płomieni wyglądają ohydnie! Patrzę z boleścią na dom, przypominam na chwilę męża stanu... myślę że pod tym dachem żył, czuwał, pracował człowiek, że włos mu tu pobielał przy długoletniéj pracy! Dziś spustoszone to gniazdo, jutro nie będzie z niego śladu"!

A pyszne było to gniazdo, prawdziwe muzeum. Malarz Courbet członek komuny, oszacował posągi, obrazy i archeologiczne zbiory na 1,500,000 fr. Część tych osobliwości przeniesiono do Luwru, drugą część rozgrabiono na wszystkie strony.

Imię Courbeta nasunęło nam się tu w samą porę. Szczególna to osobistość, pełna najdziwaczniejszych sprzeczności. Obdarzony geniuszem malarskim, stworzył we Francyi nową szkołę. Jaką? szkołę grubego realizmu! Prawdziwy nihilista na polu sztuki, wypowiada wojnę wielkim tradycyom; odtrąca z pogardą Rafaela, Tycyana, Weroneza, tych *arystokratów* którym hołdo-

wały wieki. Życie tryska z pod jego pędzla, życie materyalne zwierzęce; niedopatrzyć tu iskierki ideału. Trzydziestoletni zawód jego, to uosobiona negacya; negacya tradycyjnego piękna, negacya wszelkich praw Bożych i ludzkich, a w końcu negacya własnych nawet przekonań. Podczas wielkiéj expozycyi Paryzkiéj, Courbet zbyt pyszny, aby oddawać utwory swego pędzla pod sąd komissyi, urządza osobną wystawę, w bliskości Pola Marsowego, lecz za jego obrębem. W trzy lata potém (1870) daje na doroczną wystawę dwie marynarki, wynoszone pod niebiosa przez realistów, zmięszane z błotem przez zwolenników ideału.

Trudno zaprzeczyć tym utworom niesłychanéj potęgi. Szkice to, naklapane pędzlem—jak mówiono—ależ w tém naklapaniu znać rękę mistrza. Sąd umié ocenić te prace; nie daje medalu, bo Courbet ma już wszystkie medale, lecz przedstawia artystę do orderu legii honorowéj. Courbet przyzwala na przedstawienie, otrzymany zaś order odrzuca z pogardą; protestuje przeciwko niemu po pismach, przy pokłasku burzliwéj gawiedzi dziennikarskiéj.

Powołany na członka komuny, Courbet zawiązuje federacyą artystyczną, niepodległą nikomu, uprzywilejowaną własnemi prawami, własnym sądem. Wróg tradycyi, nihilista na polu dziejów, tak samo jak i na polu sztuki, nastaje pierwszy na zburzenie kolumny Vendôme! Dotąd negacya Courbeta ma przynajmniéj pozór loiczny, późniéj staje się negacyą negacyi. Schwytany, wywieziony do Wersalu, oświadcza jako wszedł do komuny jedynie dla ocalenia narażonych zabytków artystycznych. Co więcéj przyrzeka własnym kosztem odbudować kolumnę Vendôme!

Kolumna Vendôme! Patrzmy jak młoty nowych wandalów, uderzają zawzięcie w on pomnik bohaterskiéj chwały narodu. Nie łatwo go powalić! jeżeli runie, azaliż ziemia nie pochłonie miasta z nim razem?—pytają struchleli Paryżanie. Komuna przyśpiesza dzieło zniszczenia, godziny jéj są policzone, tydzień jeszcze a będzie za późno!

Inżynierowie i robotnicy krzątają się po placu; straż gwardzistów opasała go silnie. Przystęp wszystkim wzbroniony. Lud przecież garnie się tłumem, i z po za łańcucha czat, patrzy na pomnik skazany na zatratę. Weterani, ostatnie szczątki wielkiéj armii, i młodzi ich towarzysze, wykarmieni tradycyą napoleońską, ciągną wsparci na kulach; łzy płyną po ogorzałém ich licu, podczas gdy chmary uliczników, wydrzyźniają ich łzy i poklaskiem wtorują młotom.

Tymczasem z rąk do rąk przebiega sławna oda Wiktora Hugo, skreślona w roku 1830, na cześć kolumny Vendôme, a bardziéj na cześć jéj bohatera. Posiwiały poeta, aczkolwiek zacięty wróg drugiego cesarstwa, protestuje silnie przeciw wandalizmowi, rosiewa w tysiącach egzemplarzy poemat wyśpiewany przed czterdziestu laty w chwilach młodzieńczego zapału.

Oto część sławnéj ody. Z nieśmiałością dajemy ją w słabym przekładzie naszym:

DO KOLUMNY.

Gdy budował zamachem szerokiéj prawicy,
Na barkach Europy, kornéj służebnicy;
Ten pilastr arcy-wspaniały,
Na którym miał się wesprzeć pyszny tron olbrzyma;
Ten pilastr nieśmiertelny, co wieki przetrzyma
Ulan ze śpiżu i chwały.

Gdy budował go na to, aby w czasach grozy
Wstrzymać tryumfatorów rozpędzone wozy,
W wojnie czy cudzéj, czy bratniéj;
Aby tego pilastru siła tajemnicza,
Zmiotła gasnącą krasę z bladego oblicza
Cezarów dziatwy ostatniéj.

O piękny to był widok. Z walecznemi druhy
Wzdłuż i wszerz zbiegał ziemię pędem zawieruchy,
A znał swych mężnych imiona!
W zwycięzkiéj wciąż pogoni, parł ludy i wodze,
Zbierał działa, jak żeniec rad zbiera po drodze
Kłosy, gdy kośba skończona.

A gdy wracał bohatér, plonami do sytu
Zawalał Luwr wspaniały wykuty z granitu,
I tłum mu klaskał przy wjeździe;
Powrót jego dla grodu był wielkim dniem święta,
Witał go lud jak orła witają orlęta,
Gdy z łupem siada na gnieździe.

A on, popychał stopą te kruszcu kawały,
Biegł co żywo do kotła, gdzie z szumem kipiały,
Na pomnik z wziętych dział śpiże;
Sam siłą twórczéj myśli wykrzesał dlań modłę,
Pełną garścią, w kotlisko jeszcze niewychłodłe
Dorzucał działa znów świeże.

I znowu go na boje rwie zapęd junaczy,
Pod gradem kul ognistych, pod gromem kartaczy
Zdobywa łupów do syta;
Prowadzi je w tryumfie do francuzkiéj Romy,
I znów rzuca do kotła nowe śpiżu złomy:
Macież go dość już?—zapyta.

Takim był on od młodu. Pacholęciem w szkole,
Nad liczbami wytrwale blednieje pachole,
Drga oręż w dłoni dziecięcéj;

Młodzieńcem piramidy zdobył dla zabawy,
Cesarzem urosł w dumę, i pragnie dla sławy
Dokonać jeszcze cóś więcéj.

Zbudował tę kolumnę, ręką cezarową
Schwycił wiek, młotem woli przekuł w formę nową,
Swą pieczęć na nim wyciska;
Alpy gną grzbiet gdy rozgrzmią jego wojsk pochody,
Rozstępują się Nilu, Renu, Tybru wody:
Słońce Austerlitz połyska.

On, śladem Enceladów pokrytych lat mrokiem,
Pomału a wytrwale pnie się krok za krokiem,
Na szczeble wszechświata tronu;
Wzrusza niebo i ziemię wieszczych słów potęgą,
Na Arkol rzuca Jenę, Wagram na Marengo:
Na Ossę gruzy Pelionu.

Pomnę ten dzień pogodny, kiedyś w słońca blasku
Wstępował na plac Vendôme, przy tłumów poklasku
Poważny, wielki a dumny;
Gdyś odkrył w obec ludu on pomnik wspaniały,
I te orły śpiżowe co w lot się zrywały,
Powstrzymał u stóp kolumny.

Pomnę, iskra tajemna każdą pierś porusza,
Jako niegdyś za wzorem Pawła Emiliusza
Biegły Romy pacholęta;
My dziatki wkoło ciebie garnęły się rojem,
A gdy mężni ojcowie szli w orszaku twojem,
Biłyśmy w drobne rączęta.

Któżby śmiał rzec, gdyś wsparty na onéj trofei,
Zatoczył wzrokiem w okół, i pełen nadziei
Patrzył w szlak jasny a nowy,
Że wnet trzystu rzeczników z zakałą ludzkości,
Poważy się zaprzeczyć popiołom twych kości,
Onéj kolumny śpiżowéj (1).

Ta oda na nowo odbita, przebiega z rąk do rąk, wieszcze słowo brzmi w uszach tysiąca. Ten i ów czyta ją z poruszeniem,

(1) W roku 1830, 7 października, podano do Izby petycyą o przywiezienie zwłok Napoleona z wyspy Śtéj Heleny, i pochowanie ich pod kolumną Vendome. Po krótkiéj naradzie Izba przeszła do porządku dziennego.

nie jeden zapłacze w cichości, ale słowo poety nie ocali kolumny: wyrok na nią już zapadł.

Szesnastego maja, kiedy działa wersalskie szczerbią już wał kamienny opasujący miasto, komuna zapowiada uroczyście powalenie pomnika. Zobaczmy jak naoczny świadek maluje tę przerażającą chwilę:

„Wybiła godzina piąta wieczorem. Dzień był przepyszny, słońce strumieniem światła oblewało Cezara stojącego jeszcze na olbrzymim słupie ulanym z trofeów zwycięzkich! Dwadzieścia pięć tysięcy ludu zalegało szerokie ulice la Paix i Castillone dotykające placu Vendome. Jedni rozpowiadali jak Anglik zapłacił 3,000 franków, aby miał prawo powiedzieć że ostatni był na szczycie kolumny; drudzy obliczali ile *susów* wykuje mennica z tego spiżu: dreszcz trwogi przebiegał obecnych.

„Na wielkim placu pusto. Trzysta osób zaledwie przechadza się w mundurach albo w znakach massońskich. Strojne kobiéty żony i przyjaciółki urzędników komuny zasiadły w oknach pałacu sprawiedliwości. Pęk słomy i faszyny, podścieła grubo podnóże pomnika. Wkoło barłogu sterczy rzęd czerwonych chorągwi.

„O pół do szóstéj powstał szmer; z po za barykady od ulicy Castillone zakraśniały czerwone szarfy: członkowie komuny weszli w tryumfie na plac. Nastąpiła cisza grobowa.

„W chwilę potém pociągnięto za liny; kolumna pochyliła się oblana czerwonym blaskiem zachodu i runęła głucho o ziemię. Pociemniało. Tuman kurzu wybuchnął w górę.... słońce pokryło się całunem!

„Muzyka zagrzmiała Marelieuzę. Niech żyje komuna! krzyknął motłoch. Sypnęły się oklaski.

„Wrzawa piekielna trwała chwilę, wszystko potém ucichło, a tak ucichło głęboko, że słyszałem szczekanie psa, co z trwogą przebiegał po placu.

„Mrok zapadł. Tłumy rozeszły się milcząc, do domów. Paryż zdrętwiał ogłuszony łoskotem.“

Łoskot powalonéj kolumny rozległ się po Francyi, wydobył okrzyk grozy z piersi Francuzów, odczuły go dwie świata półkule.

Ostatni to tryumf komuny, lecz nie ostatnia zbrodnia!

Upadek jéj niechybny. Wszystkie środki odporu wyczerpane, szalona rozpacz ogarnia umysły. Jak drapieżny zwierz otoczony obławą, tknięty oszczepem, dobywa ostatek sił, miota się, i w rzutach konwulsyjnych morduje morderców, tak komuna w ośmiu dniach konania, krwią i ogniem kreśli imię swoje na kartach dziejów, ku ohydzie i klątwie przyszłych pokoleń.

Nie będziemy zatrzymywać się szczegółowo na obrazie tych gwałtów które wycisnęły straszniejszą pieczęć na kończącym się wieku XIX, niż ta pieczęć jaką na XVIII wycisnęła gilotyna Robespiera, na XVII miecz Kromwelowy.

Dwódziestego pierwszego maja, o drugiéj po południu, wdarły się wojska wersalskie wyłomem do lasku Bulońskiego, a oto dopiero 28-o o czwartéj nad wieczorem, naczelny wódz Mac Mahon oznajmił odezwę Paryżanom, że oswobodzeni od komuny. Trwała więc walka uliczna, walka zażarta na barykadach, po domach, kościołach i cmentarzach w ciągu sto siedemdziesięciu godzin. Okropne to godziny! Każda z nich była wiekiem.

Sama długotrwałość tych piekielnych zapasów, udowadnia dziką energią obrońców komuny; wojsko ze swéj strony dotknięte do żywego zburzeniem kolumny Vendome, téj apoteozy militaryzmu, już weszło do Paryża z nienawiścią i żądzą krwawéj zemsty. Nienawiść ta wzrasta w miarę gwałtownego oporu przeciwników.

Ileż tu scen przerażających na ulicach Paryża, straszniejsze dramata odbywają się wewnątrz domów. Ludzie przestają tu być ludźmi, to zażarte lwy i hyeny. Wściekłość ogarnia wszystkich; instynkt zachowawczy niknie pod wpływem szału. Gdzie rzucić okiem stosy trupów, krew płynie rynsztokami, aż skraśniały wody Sekwany.

Kobiéty porwane tym szałem występują tłumnie do boju. Tu w frygijskich czapkach zaprzężone do działa, spieszą na barykady, tam w obec konających, poprzysięgają krwawy odwet. I rozpaczliwą ręką chwytają głownię i roznoszą pożar na wszystkie strony świata.

Paryż gore!... olbrzymi pożar wybucha pod obłoki. Tysiąc słupów dymu i płomieni, rozsianych po obszarze dwumilionowego grodu zaciemnia w dzień słońce, nocą gasi księżyc i gwiazdy. To tryzna pogrzebowa nowego Sardanapala!

Patrząc na te okropności, godne grubych wieków barbarzyńskich, któż nie pochyli głowy w milczeniu? któż nie zapyta, ażali ten stos ohydną zapalony ręką, oblany krwią tylu niewinnych ofiar, krwią arcypasterza i kapłanów, nie był zarazem stosem ofiarnym, w którym stopiony kruszec pozbędzie starych mętów a przetrawion próbą ogniową stanie się bryłą złota,

Tak rozumieją Francuzi klęskę własnego grodu.

Posłuchajmy co mówi Sarcey. Nie był on świadkiem katastrofy. Wypędzony do Wersalu razem z redakcyą Gaullois'a, za przybyciem zastał zgliszcza i gruzy. Poruszon ich widokiem skreślił słowa zasługujące na szczególną uwagę. Przytaczamy z nich ustęp:

„Tysiąc głosów powtarza wam na wszystkie strony: Niéma Paryża! płomień pochłonął najpiękniejsze gmachy, najbogatsze dzielnice grodu. Cudzoziemcy odbiegli i nie wrócą. Ludność zbezwładniona postrachem, przygnębiona zgryzotą, smutno patrzy na rumowiska. Municypalność przepadła, skonał przemysł, sztuka nie zdoła się podzwignąć. Świat nie ma już stolicy.

„Nie wierzcie tym puszczykom!

„Nie czas nam jeszcze śpiewać: *Super fluminae Babilonis!* Zbyt wcześnie Jeremiasze nowi dobyli z pochew żałosne liry swoje.

„Złe wielkie wprawdzie, ale nie bez ratunku.

„I my, wróciliśmy też do drogiego nam Paryża, z sercem ściśniętém niewymowną boleścią. Cóż w tém dziwnego? Widzieliśmy z daleka czerwoną łunę rozpostartą nad miastem. Wyobraźnia rozgorączkowana tylu klęskami, kreśliła nam przyszłość w najczarniejszych barwach!

„Jakaż otucha nasza za powrotem, na widok tego olbrzymiego mrowiska krzątającego się tak czynnie! O! dziwnież to sprężysty charakter Paryżanów! Niech świat co chce mówi o wadach naszych! jest w nas cudowna siła, co ze dna otchłani wypycha nas w górę, co pozwala odradzać się zwycięzko po każdém gwałtownem przesileniu!“

Sarcey patrzy badawczém okiem na zgliszcza. Widok ich nasuwa mu myśl zdrową i zbawienną.

„Niech obraz tych gruzów—woła na braci—da nam wielką naukę. I któreż z tych rumowisk najprzód odbudować nam trzeba. Oto rumowiska wielkich cnót potarzanych w ciągu ostatnich lat dwudziestu.

„Długi a wolny pożar schłonął w nas miłość kraju, dzielność wojskową, zamiłowanie w twardéj pracy, gotowość do poświęceń dla szlachetnéj idei.

„Dusze nasze podniesione ku wierze w lepszą przyszłość. Grzęźliśmy lekomyślnie w odmęcie łatwych uciech: był to błąd! Zaniedbaliśmy wychowanie ludu, który pełzał w śmietniku u stóp naszych; nie baczyliśmy na jego potrzeby i uczucia i ciężką odbieramy za to karę.

„Ręce nasze odwykły od oręża. Drogo nas to kosztuje. Byliśmy próżni, lekcy, łatwowierni, skorzy do uniesienia w słowach; te wady postawiły nas nad przepaścią.

„Gdyby straty nasze większo były jeszcze niż są; rana pieniężna łatwo się zagoi, mówi przysłowie. Nie rozpaczać nam, chyba wtedy gdy duch upada przysypany kupą rumowisk!

„Waleczni żołnierze którzy pokonali bezrząd, zapał dzielnych Paryżanów garnących się do pracy, ażaliż nie świadczą że godzina upadku, nie wybiła jeszcze nad Francyą.

„*Sursum corda!*“

Jaką rolę grali poeci w obec komuny? Większa część ich rozbiegła się, istne ptastwo spłoszone burzą. Z lepiéj nam znanych Eugeniusz Manuel i Emil Bergerat uciekli przebrani do Wersalu; ostatni w beczce potrząśniętéj z wierzchu węglami. Catulle Mendes pozostał w Paryżu, ale nie znajdując w wypadkach pobudki do pieśni, chwytał na gorąco wypadki spełnione pod jego

okiem i ułożył z nich zajmującą kronikę. Lecomte de Lille apologista budystańskiego nihilizmu, autor *Kaina*, który w osobie pierwszego bratobójcy uosobił niedawno proletoryat, występujący groźno przeciwko społeczeństwu, Lecomte de Lille zaniemiał przerażony, skoro ten Kain wychylił głowę z pięćdziesięciowiekowego grobu, gdy rozwiał wkoło siebie trupią woń i morderczą rękę podniósł znowu na brata; powiedzieliśmy już i powtarzamy jeszcze, że znakomity poeta-kreol, szukając bądź co bądź nowych dróg, zbłąkał się mimowoli na bezdroża i potrącił o straszną Nirwanę. Liryczne pieśni jego poświęcone wspomnieniom rodzinnych Antyllów, tryskają uczuciem, które poeta usiłuje stłumić w piersi a raczéj ukryć przed oczyma ludzkiemi. Bardziéj jeszcze utwierdziły nas w tém przekonaniu dwa poemaciki wydane podczas wojny: *Wieczór po bitwie* i *Uświęcenie Paryża*, przejmujący obraz zgłodniałego i bombardowanego grodu; oba utwory pełne gorącego uczucia. Gdyby Kain wypłynąłbył rzeczywiście z głębi przekonania poety, a nie z fantazyi goniącéj bądź co bądź za nowością, w takim razie Lecomte de Lille byłby w obec wypadków realizujących jego marzenia, wyśpiewał jakąś nową marsyliankę, byłby został Tyrteuszem komuny, bo miał siły po temu. Milczenie silnie przemawia za poetą; czekamy niecierpliwie pierwszéj jego pieśni po tych próbach ogniowych, będzie to jak mamy prawo sądzić głos Feniksa odrodzonego z popiołów.

Żadna pieśń nie wyszła z łona buntowników nowego porządku społecznego, rzecz to godna zastanowienia. Pieśń, ta pierzchliwa ptaszyna, co nie lęka się huku młotów, tarcia pił, ani skrzypienia hebli, o czém świadczą wymownie średniowieczni Majstersyngery, ucieka od duszącéj atmosfery klubowéj. Sławny Norymberczyk Hanz Sachs, który wybijając takt pocięglem albo dratwą, wyśpiewał tysiąc kilkaset większych i mniejszych poematów, zatraciłby w takich warunkach bogatą werwę swoją.

W liczbie osiemdziesięciu członków komuny widzimy jedynego poetę Jana Clement. Pieśni jego, mianowicie: *Woda płynie do rzeki* nacechowane prostotą ludową, poruszały dawniéj umysły i powtarzane były nie raz na ulicach Paryża. Odkąd jednak poeta przepasał się szarfą czerwoną, natchnienie odbiegło gdzieś bez wieści. Cały zapał przelewał on w dziennikarskie odezwy *Cri du peuple*, który nieszczęściem nie był głosem wołającego na puszczy, wywołał bowiem najstraszniejszą katastrofę w dziejach ucywilizowanego świata.

Kronikarze dzisiejsi przytaczają imię Tyrteusza ostatnich czasów. Był nim obywatel Laccord, kucharz jednego z arystokratycznych domów Śto Germańskiego przedmieścia.

Przejdźmy teraz do prawdziwego olbrzyma poezyi tego wieku. Jakże Wiktor Hugo wystąpił w obec tych groźnych wypadków? W ciągu długiego żywota, jak każdy wyższy umysł, przechodził on rozmaite fazy, a każda z tych faz wypiętnowała znamię nie tylko w literaturze francuzkiéj ale w literaturze wszyst-

kich ludów, które mniéj więcéj czerpały z niéj natchnienia. My widzimy głównie dwa okresy w poetycznym zawodzie Wiktora Hugo, rok 1848 przedziela je na dwoje. Piérwszy okres nazwaliśmy okresem orlego polotu w coraz to wyższe a wyższe sfery, drugi spuszczaniem się ku ziemi coraz niżéj a niżéj, aż do potrącenia skrzydłem o ziemskie błoto.

Wielokrotne odezwy Wiktora Hugo z ostatnich czasów, aż nadto znane z gazet czytelnikom naszym: nie będziemy ich tu powtarzać. Mniéj znana może odezwa jego z r. 1848, nacechowana jakoby duchem wieszczym. Przytaczamy ją tu dosłownie:

Wiktor Hugo do współ-obywateli.

„Dwie rzeczpospolite są dziś podobne.

„Jedna proporcem czerwonym strąci proporzec trójkolorowy, przekuje na sousy kolumnę Vendome, strąci posąg Napoleona a wzniesie pomnik Maratowi; powali w gruzy Instytut, Szkołę Politechniczną, Gmach Legii Honorowéj. Do staréj dewizy wolność, równość, braterstwo, doda wyraz śmierć, przywiedzie niebawem kraj do bankructwa, zuboży bogatych a nie wzbogaci ubogich, podkopie kredyt, który jest dobrobytem ogółu, zniszczy pracę która daje chléb wszystkim, obali własność i rodzinę, będzie nosić głowy na włóczniach; podejrzliwa, napełni więzienia: okrutna, wypróżni je mordami. Zapali płomień w Europie, cywilizacyą przysypie popiołem, uczyni Francyę krajem ciemności, zamorduje wolność jednostek, zdusi sztuki, zabije myśl, zaprzeczy Boga, wprowadzi w ruch dwie fatalne machiny idące zawsze razem: tablicę assygnatów i gillotynę: słowem spełni to co ludzie 93-go roku spełnili z takim żarem i po wielkich okropnościach jakie widzieli ojcowie nasi, ukaże nam potworność w rozmiarach karłowatych.

„Druga zaś będzie połączeniem wszystkich Francuzów w jednéj wielkiéj zasadzie i t. d.

„Z tych dwóch rzeczypospolitych, ta ostatnia zowie się cywilizacyą, piérwsza zaś terroryzmem. Co do mnie gotów jestem poświęcić życie dla zbudowania pierwszéj i dla odparcia drugiéj!“

Nieszczęściem inaczéj się stało! Wielki poeta przez lat dwadzieścia pracował na rzecz téj drugiéj, podkopując węgły gmachu społecznego. Siał wichry aby zbierać burze.

Z przerażeniem patrzał Hugo na owoc zrodzony z jego własnych posiewów. Zadrżał przeczytawszy wyrok skazujący kolumnę Vendome, tę kolumnę opiewaną przezeń z zapałem tak gorącym, że jego oda przyczyniła się w wielkiéj części do sprowadzenia zwłok Napoleona z wyspy ś-éj Heleny. Daremnie Hugo rozrzuca dawną Odę, aby powstrzymać wymierzony topór burzycieli. Zaczém ostatni pocisk tego toporu ugodził w kolumnę, inny młot zachwiał ją był w posadach. Tym młotem były palące satyry, owe sławne *Chatiment*, któremi sam Hugo uderzał w Napoleonizm.

Talent poetyczny nie opuszcza jednak siedemdziesięcioletniego starca. Lira jego nie często słyszéć się daje, ale ilekroć zabrzmi, porusza serca do gruntu. Podczas panowania komuny, raz tylko poeta zawołał pieśnią na braci; wykrzyk to rozdartéj duszy na widok krwi bratnią stoczonéj ręką. Część jéj dajemy tu w przekładzie:

Wykrzyk (un cri).

Wstrzymajcież zapaśnicy ten zapęd szalony,
Jak płomień co kłosiste pożera zagony;
Zabijacie cześć waszę, przyszłość i nadzieje,
Stójcie! na kraj żałoba z waszéj chwały wieje;
Każdy strzał bratnią ręką wymierzon w pierś brata,
Sieje śmierć i zagubę i srom w obec świata.

Kędyż was ta piekielna pędzi zawierucha?
Byłoż bohatérskiego odzyskać wam ducha,
By nędzną bratobójstwa okryć się sromotą?
Biada wam nieszczęśliwi!

Czy widzicie oto
Tę chorągiew cmentarną nad waszemi głowy?
Ach straszna! istny całun, czarna do połowy;
Do połowy znów biała jak żgło—wieje górą!
Rządzi tu! sprawia czaty głucho a ponuro;
Plugawi waszych fortów upiętrzone szczyty,
Gniecie was, tak jak Egipt gniótł Izraelity;
Ach! ta wojna domowa co w pierś wam się wbodła,
Bolesna po Austerlic, po Sedanie.... podła!

Zgubion ten, klątwa wieków nędznika obarczy,
Kto na zlanéj krwią bratnią opiera się tarczy;
Kto na trupach buduje kolumnę swéj chwały,
Kto wznosi nienawiści rozorane wały;
Kto tchem własnego ducha podnieca z niesławą,
On płomień, co z dwóch głowni wybucha tak krwawo;
Kto w obec klęsk i gruzów o zwycięztwach tuszy,
Gdy Francya morduje dziś duszę swéj duszy,
Paryż, to słońce świata! kto bez dreszczu trwogi,
Obcych tryumfatorów słyszy śmiech złowrogi.

Chciał poeta, jak starożytny Lumir czeski, pieśnią *ześpiewać* serca. Naprożno! pieśń nie przebiła się przez twardą skorupę długo karmionéj nienawiści.

Inny młodszy poeta Franciszek Coppée, znany już czytelnikom naszym, wyrzucił téż gorącą pieśń z serca, na widok brato-

bójczych zapasów. I ta przebrzmiała zgłuszona hukiem dział i kartaczy.

Dajemy ją tu w przekładzie.

Dość już krwi.

O Francyo! twą dziatwą gdy wściekły szał miota,
Słowami: ojczyzna, wstyd, prawda i cnota,
Próżnobym zażartych rozbroić chciał!
Te słowa szaleńcy odtrącą ze śmiechem,
Lecz twojéj boleści ja pragnę być echem,
Wśród stali poszczęku, wśród huku dział.

Ach! okrzyk śpiewaka w téj wrzawie co znaczy,
Zapluty obrzydłym wymiotem kartaczy,
Powstrzymasz te tłuszcze pijane krwią?
Lecz imię twe święte ja rzucę w to piekło,
Ukażę krew czystą z żył twoich pociekłą,
I noże co w drogiéj twéj piersi tkwią!

Cień grozy nad miastem pomyka grobowo,
Wnet wściekłe trybuny podchwycą me słowo,
I w serce jastrzębi utkwią mi szpon;
Lecz zaczem mnie krwawy dosięgnie morderca,
Wprzód klątwę piorunną dobędę z dna serca,
I z pieśnią przed Boski rzucę je tron!

Ach! zstąpmyż więc matko w to gniazdo bezcześci,
Gdzie sztandar czerwony nad dachem szeleści,
Gdzie kipi niezgody piekielny szał;
Gdzie w bratnich zatargach ta czerń się szamocze,
Ty, skreśl im na murze te słowa prorocze,
Przy których połysku Baltazar drżał.

Ty, ukarz im w oczy krwi strugi co płyną
Z twéj piersi rozdartéj, i ręką matczyną
Rozedrzyj ten wyrok... wiekowy srom!
Ten owoc ohydny występku i zdrady,
Co w wojny domowéj bezecne szkarady,
Pogrąża dziś matko twój stary dom.

A potém przekroczym za więzień tych kraty,
Gdzie starce styrani boleścią i laty,
Pobledli pod strutym złoczyńców tchem;
Od stopni ołtarzy porwani znać w chwili,
Gdy czoło z pokorą przed Panem korzyli,
W modlitwie ofiarnéj za domem twym!

W lot skrzydła! na miasto popatrzéć nam z góry,
O! głucho tam, pusto! i tylko drgną mury,
Gdy płomień z działowych połyśnie paszcz;
Gdy groźno pobudka zadzwoni na hasło,
Pod prochu kurzawą tam słońce zagasło,
Śmierć wkoło żałobny rozwiała płaszcz!

Ubiegli ztąd ludzie jak ptacy przed słotą,
Pod ścianą pałaców zkąd bisior i złoto
Roztacza ponętne tumany złud;
Niewiasta lub starzec przesunie się zwolna,
Bezczynnie, bo ręka do pracy niezdolna,
Gdy trwoga pierś dławi, gdy bodzie głód.

Zadrżało powietrze!.. czy słyszysz te strzały?
Tłum zbrojny co żywo popędził na wały,
Tnie z Wanwu i z Neuilly ognisty grad!
Dlatego ta pustka, żałoba ta w mieście,
Dlatego łzy lica zbroczyły niewieście;
Dlatego ten postrach na serca padł.

Odwróćmy ztąd oczy, bo tchu nam niestanie,
Zaślijmy wzrok lepiéj po krętéj Sekwanie.
Co widzę? do rzeki krew ścieka w bród?
Ach! przytul mnie matko, ty matko rodzona,
Do piersi gorącéj, nim zbrodni dokona,
Nim w pierś tę ugodzi wyrodny lud!

Niech głos twój posłyszę gdy z łkaniem zaryczy:
„O dzieci! wam skruszyć ten oręż zbrodniczy;
Te bratnie zatargi zakończyć czas!
Dość krwi już przeciekło! aż ziemia skraśniała,
Niebaczni! wszak jedna przyświeca nam chwała;
Wszak jeden proporzec ocienia nas!

Wasz tryumf nademną kir czarny rozpostrze,
Wamże to wyrodnym poruszać to ostrze,
Co przybysz mi cudzy w głąb serca wparł;
Śmierć matki zbyt drogo wasz tryumf okupi,
Szaleńcy! wy chcecie na głowie méj trupiéj
Frygijskiéj purpury podziwiać czar!

Ach! zgody, pokoju, balsamu na rany!
Czas wrócić do ładu serc węzeł stargany:
Dalejże do pracy! pochwyćmy młot!
Wygładźmy z pamięci te widma grobowe,
A potém gdy z prochu podźwignę ja głowę;
Gdy z czoła promienie trysną mi w lot:

O dziatwo serdeczna! niezłomni wy Galle,
Pochwycim za oręż w młodzieńczym zapale,
I liczni jak kłosy normandzkich pól,
Ku Renu wybrzeżom pomkniemy w lot strzały:
Tam czoło opłuczem z ohydnéj zakały,
I z serca ten ciężki wyrzucim ból!

Ach! mów im to matko, a pieśń ma jak ptasze
Poniesie te słowa w szeregi tam nasze,
Co bratnią krwią święty plugawią dom;
Zieloną im rószczkę z miłością poniesie,
Grom dębów konary druzgocze po lesie!
Lecz biédnéj ptaszyny nie tknie ten grom!

Grom w rzeczy saméj nie dotknął ptaszyny. Franciszek Coppée lubo nie opuszczał Paryża podczas terroryzmu, szczęściem nie podzielił losów Chandeya, który jak on śmiałą stopą nastąpił na łeb hydrze (1).

W ogólności więc, jak widzimy, poeci odegrali piękną rolę w tych czasach rozkiełznania i bezrządu: strażnicy pieśni nie sponiewierali jéj w brudnéj kałuży.

Zaledwie że ulice paryzkie ociekły ze krwi, ledwie że dotlały zgliszcza pożarów, a oto Coppée rozwija skrzydła jak skowronek po burzy, kołysze się w pogodnym błękicie i pogląda z góry na spustoszone gniazdo. To przysiędzie na dachu, to zajrzy w okienko poddasza, to przeleci nad polem Marsowém, to pomknie na lasy i na błonia i chwyta wszędzie niby strzępki złota, promyki tego słońca, osuszającego brudne bagniska realizmu, słońca, zwanego ideałem.

I znalazł poeta siła tych strzępków złotych i wplótł je w drobne obrazki wysnute z życia, i garstkę tych obrazków rzucił na pociechę smętnym braciom, jak gdyby mówił do nich: podnieście głowy, słoneczko Boże nie zagasło jeszcze nad nami!

Oto kilka tych dziesięcio-wierszowych obrazków.

Przechadzki moje.

I.

Nim nas dotknął obcy najazd i krwawsza niedola,
Chodziłem ja za piosenką, na miasto, na pola;
Plon mój biédny, kłos po kłosku cierpliwie zebrany,
Niosłem pilnie na poddasze między puste ściany.
I te kłosy i te kwiaty, ja ubogi żeniec,
Póki krasne, póki wonne splatałem na wieniec.

(1) Chandey jeden z redaktorow Siekla, uwięziony przez komunę, i zamordowany w ostatnich dniach jéj rządów.

„Nie na dobie dziś ten wieniec, ozwie się głos braci,
Kto na puste dziś piosenki czas bezcenny traci?
W téj niedoli inny wątek przędą myśli nasze!“
Cóż wam szkodzi, ach! pozwólcie, niech pośpiewa ptasze.

II.

Oto szkółka: czarne ławy, ściany pobielone,
Krzyż na murze, a pod krzyżem dwie palmy zielone;
Nad dziatkami czuwa siostra w bieluchnym kornecie,
Sercem matki, okiem matki, każde ściga dziecię;
Jéj się czoło nie zachmurzy, ni lica nie zbledną,
Choć powtarza po sto razy wciąż jedno i jedno.
Jest-li dziewcząt aż dwadzieścia, nie ladaż to praca,
A od ławy psotnych malców pilnie wzrok odwraca;
Bo tam bystrych ócz dziewcząteк utkwiło jak w tęczy,
Gdzie uwiązan chrząszcz na nitce po papierze brzęczy.

III.

Odkąd puścił się na wojnę syn jedynak wdowy,
Dziwnież jakoś opustoszał dla niéj próg domowy;
Lecz u stołu próżne miejsce czeka wiernie syna:
Talerz pełen tam rosołu, pełna czarka wina.
Po obiedzie stara matka za progiem przystanie:
„A nie idzież tam ulicą biédny dziad w łachmanie?“
Nadszedł... wiedzie go do domu... i serce jéj rośnie,
„Jest ubogi; syn nie zginął“— powtarza radośnie,—
A filozof na przeciwko poruszył ramiony,
Rychłoż— pyta— lud porzuci te czcze zabobony!

IV.

Słyszę, smętne dźwięki pieśni płyną z za okienka,
Blade dziewczę szyje w oknie, skromna jéj sukienka;
Bóg poskąpił jéj urody, wié dziewczyna o tém,
Naparsteczek u niéj srebrny jedynym klejnotem,
A izdebka ubożuchna, wkoło nagie ściany,
Sprzęty: szafa orzechowa, stołek wyplatany;
Choć z mozołem zapracuje na dobę dwa franki,
Da miedziaka gdy przed domem dmie grajek w organki;
Każdy sąsiad na dzień dobry pozdrowi ją szczerze,
A za grzeczność smętny uśmiech w zapłatę odbierze.

V.

Mała jeszcze, bo zaledwie skończyła pięć latek,
Ale w myśli jéj rozwaga, w oku dziwny statek.
„Popiastujże mi braciszka“— mówi matka do niéj,—
A dziewczynka się z radości jak różyczka płoni:

Niańczy dziecię, bawi, tuli, rączęty drobnemi,
Wtém braciszek jak aniołek uleciał od ziemi;
Położyli go w trumienkę, posypali kwiatem,
A siostrzyczka dniem i nocą łzy roni nad bratem:
„Precz odemnie— rzecze— lalko, nic mi już po tobie,
Gdy braciszek mój kochany śpi w głębokim grobie!“

VI.

Lat sześćdziesiąt ma weteran, lecz chwat zawołany,
Mocno jeszcze on się trzyma na nodze drewnianéj;
Obiad z garnkiem związał w chustkę czerwono-kraciastą,
I wesoło z młodym druhem podąża za miasto;
Idą obaj ku okopom przez pole Marsowe,
Siedli: wiarus w czarce wina, czerpnął myśli nowe.
Błyska ogień w mętném oku, w głosie nowa nuta,
O przygodach afrykańskich prawi do rekruta;
Gdy słów brakło, aby lepiéj oddać rzecz w obrazku,
Kréśli sławny bój pod Smalą koszturem na piasku.

VII.

Trotuarem na przedmieściu świętego Germana,
Przy poważnym księdzu uczeń wraca ze mszy z rana;
Lat dwanaście ledwie skończył nasz markizek młody,
Czarną kurtkę, biały kołnierz nosi według mody;
Głowę zadarł, pyszny z rodu; przepatrzmy herbarze:
Dom-ci żaden z jego domem nie śmie stanąć w parze.
Weszli w progi: stary mentor, próżno smaży głowę,
Dziś ma z uczniem się zapuścić w wywody dziejowe;
Zbyt drażliwéj ksiądz professor materyi dotyka,
Czém był pradziad, ulubieniec trzeciego Henryka!

VIII.

Wiatr w ogrodzie botanicznym woń roznosi wiosną,
Kwitną drzewa, zwierz za kratą poryka radosno;
Gdy słoneczko zamigocze jasno przed drzew sploty,
Jak w ów pierwszy dzień stworzenia za rajskiemi wroty:
Jam swobodny, jam szczęśliwy, i w duchu się korzę,
I w méj piersi czuję znowu ciepłe tchnienie Boże;
Patrzę na dal gdym ramiona wsparł o pień cedrowy,
Jak potrząsa dumnie grzywą król puszczy lew płowy,
Jak pobratan słoń z człowiekiem w myśl pierwotną nieba,
Długą trąbą z ludzkiéj dłoni chwyta kęsy chleba.

IX.

Wczora oto na gościńcu, za miastem daleko,
Szli poważni głuchoniemi parami nad rzeką;

Ten tamtemu szybko ręką znak w powietrzu wskaże:
Ja poglądam zadumany w ich milczące twarze;
Przeszli cicho, powracają parami ku szkole,
Sam zostałem, wiatr w liściaste zaszumiał topole
Uroczyście jak w organy, w Boży dzień odpustu,
Roje ptasząt zaświegoczą piosenkę wśród chrustu:
Gwarzy świerszczyk między trawą, przytulon do ziemi,
A jam westchnął i pomyślał: biedni głuchoniemi!

X.

Droga prosta jakby strzelił, śniegiem przypruszona:
Czy olbrzymów ją żelazne objęły ramiona?
To bezlistne drzew gałęzie tak sterczą do góry,
Z dala słońce rozpostarło swą tarczę z purpury;
Za szeroki las jodłowy za chwilę się schowa,
Pusto, głucho, nawet smętna nie zakwili sowa:
Wtém na tarczy mi słonecznéj cień przemknął się czarny,
Stąpa wolno, sunie cicho: duch-li to cmentarny?
Nie! to zgięta pod ciężarem stara babka niesie,
Na ramionach wiązkę chrustu uzbieraną w lesie!

XI.

Ja na papier rzucam wiersze, jak w majowy ranek
Macierzanki i bławatki rad zaplatam w wianek;
Może było tych bławatków nie zrywać mi lepiéj,
Co podnosić słodki urok choć się duszy czepi;
Pocóż z serca przędzę marzeń wysnuwać głęboko,
Gdy obrazek mi na drodze stanął oko w oko;
Komu dzisiaj taka piosnka wystarczy mój Boże!
Chyba jakiś znów marzyciel podejmie ją może;
A nie wstyd-że dziś wystąpić w marzyciela roli:
Cóżto? czytasz gdy ja piszę!... powoli! powoli!

W teatrach paryzkich cisza głucha, na żadnym dotąd repertuarze nie pojawiło się nic nowego; przedstawiają tylko znane opery: Rossiniego, Aubera, i niemniéj znane dramata i komedye: Dumas'a, Augier'a, Sardou.

Teatr Francuzki otworzył także w dniu 17 lipca poranki dramatyczne. Są to jak w początkach zeszłego roku, przedstawienia sztuk klasycznych, poprzedzone konferencyami najznakomitszych professorów. Widowiska te nazwaćby raczéj wypadało kursem literatury dramatycznéj.

Rozpoczął owe poranki akademik Légouvé, piękną konferencyą; następnie panna Favart wydeklamowała *modlitwę*, wiersz

p. Pailleron. Słowa te poruszyły głęboko słuchaczów: byłto jakby wykrzyk wyrwany z serca wszystkich.

Przytaczamy część téj *modlitwy*:

O nieba!
Ileż potwornych przestępstw odkupić nam trzeba!
Jak przebłagać, o Boże, święte Imię Twoje!
Widzieliśmy w tych murach bratobójcze boje,
I straszną wieżę Babel— dzieło grzesznej pychy,
Braci... jeśli Kaina bratem Abel cichy;
Ludzi... jeżeli tygrys z niewiasty zrodzony;
Francuzów... jeśli godni zwać się ich imiony.
Te wyrodki pijane krwią i wściekłym szałem,
Co nad matki półmartwém pastwiły się ciałem;
A gdy ją blada niemoc rzuciła na łoże,
W zszarpane jéj wnętrzności strute pchali noże;
I kiedy już przedśmiertne wstrząsały nią dreszcze,
Jéj łańcuch, win brzemieniem obciążali jeszcze!
Oniż-to synów twoich imieniem się szczycą,
Co krew z twych żył staczali, matko męczennico!
I nad twoją w kałuży potyraną głową,
Zapalili tę straszną tryznę pogrzebową,
A przez ohydne gwałtów i zbrodni koleje
Zburzyli twoje prawo, zdeptali nadzieje.
Oh! ten młot który progi naszych świątyń kruszy,
Burzy ład sumień naszych, i świątynię duszy
Zawalił rumowiskiem,— błagamy więc Boże,
Miłosierdzia Twojego!

Tak poważny głos przy rozpoczęciu widowisk, daje nam się spodziewać, że wielkie *Sursum Corda*, które powtarza dziś Paryż i Francya, odbije się niemniej na deskach teatru francuzkiego.

Kiedy Francuzi nie kwapią się z przedstawianiem nowości teatralnych, inne za to kraje: Belgia, Anglia, Ameryka exploatują świeże a smutne wypadki zaszłe w Paryżu, i rzucają je na pastwę chciwym gwałtownych wrażeń tłumom. W Brukselli oddawna już grywano sztuki z oblężenia Paryża; w Bostonie, bez względu na przysłowie: *ostrożnie z ogniem*, posunięto się daléj jeszcze: przedstawiono w obrazach ostatnią katastrofę, wielką fantazmagoryę p. t. *Ruiny Paryża*.

Wszystko tu wystąpiło na scenę: i pałace, i barykady, i członkowie komuny, i gwardya federalistów.

Pierwsze i jedyne przedstawienie zakończyło się w tragiczny sposób: w chwili gdy podpalacze przyłożyli głownię do papierowego gmachu, wyobrażającego ratusz, płomień wybuchnął, spalił

dekoracye, ogarnął cały teatr. Fikcya zmieniła się w okropną rzeczywistość: sztuczne wrażenia stały się prawdziwemi. Pożar ugaszono, ale sztuka upadła.

Nie byłoż to cudowne ostrzeżenie? Boston mógł drożéj jeszcze przypłacić lekkomyślność!

Kroniki i pamiętniki z ostatnich czasów, sypią się z niesłychanym pośpiechem: zapisujemy tu niektóre z nowych publikacyj.

Paryż spalony przez komunę, wyszedł w drukarni Plon, w pięknem wydaniu z 12 rycinami, rysunku Bretona. Jest to ciekawy opis pogorzałych zabytków sztuki, przeplatany szeregiem wspomnień historycznych: ostatnie wypadki oddano z dramatyczną werwą.

Pamiętniki tajemne komitetu centralnego komuny, przez J. de Gastyne. Autor wprowadza czytelnika do sali ratuszowéj, podczas tajemnéj obrady, i ukazuje w jaki sposób Paryż administrowany był przez dwa miesiące.

Cztery dni więzienia pod komuną, przez G. Richardet, redaktora Nationala. Autor opisuje własną przygodę, z któréj przypadkiem wyszedł cało; kreśli żywy obraz naczelnika policyi Raoula Rigault. Piękna przedmowa wierszem Emila de la Bedolliere, dodaje wartości temu dziełku.

Historya autentyczna komuny paryzkiéj, przez margrabiego Beaumont Vassy— podejmuje ważne zagadnienia polityczne i wojskowe.

FRANCISZEK SALEZY DMOCHOWSKI.

Dnia 3 sierpnia r. b. zakończył życie w Warszawie Franciszek Salezy Dmochowski, którego imię od lat pięćdziesięciu dobrze było w całym kraju znajome, bo przez ciąg całego półwieku, stał na niwie literackiéj, jako wytrwały a gorliwy i zacny pracownik.

Był jednym z najstarszych redaktorów prassy polskiéj z grona żyjących i najstarszym z pisarzy.

Urodził się dnia 14 marca 1801 roku z ojca Franciszka Ksawerego i Izabelli z Mikorskich.

Postać jego rodzica świetnie wydatnieje na tle ostatnich lat zeszłego stulecia i początkowych naszego wieku. Franciszek Ksawery Dmochowski nie tylko na polu literatury przeważne zasługi położył: serdeczny przyjaciel Ignacego Krasickiego i Hugona Kołłątaja, znał ich najskrytsze tajniki duszy.

Piérwszy, umierając powierzył mu swoje rękopisma i zlecił ogłoszenie drukiem; drugi zasięgał jego rady zdrowéj, w ważnych sprawach krajowych i na niéj polegał.

Spełnił F. K. Dmochowski Krasickiego życzenie: wybrane wspólnie rękopisma wydał w dziesięciu tomach w najlepszéj edycyi, która dotąd służy za jedyne źródło do przedruków, poprzedziwszy ją wiadomością o życiu i pismach tego reprezentanta okresu literatury naszéj XVIII wieku.

Tłumacz *Iliady* Homera, *Enejdy* Wirgiliusza, *Raju utraconego* Miltona i *Nocy Jounga*, znany był kilku pokoleniom, które z utworów jego czerpały poczucie do tego co piękne i szlachetne; z nich pojmowano wieki starożytnéj Hellady, jak potężnéj Romy, zaogniało wyobraźnię Miltonem i Joungiem, a co najgłówniejsza z nich uczyło się ojczystego języka.

Jego *Sztuka rymotwórcza*, ów kodex literacki, który umieliśmy na pamięć w szkołach, oznajamiał chociaż pozornie tylko z arcydziełami obcych narodów i własnemi. W czasach tak zwanych *pruskich*, Dmochowski podjął redakcyą *Pamiętnika warszawskiego* i tém jedyném pismem reprezentował prassę naszą literacką i naukową.

Dziś blask tego szanownego imienia przygasł, który go jeszcze otaczał za lat naszych młodych; chociaż za prawdę godzien wdzięcznéj pamięci.

Padł on ofiarą zawiści, jako przyjaciel Hugona Kołłątaja w saméj sile męzkiego wieku, bo w 46 roku życiu, i ten sam los spotkał w sędziwym wieku jedynego jego syna Franciszka Salezego, któremu niniejsze poświęcamy wspomnienie. W ósmym roku życia utracił ojca. Nauki szkolne otrzymał w Kollegium księży Pijarów, wyższe w b. Uniwersytecie Warszawskim na wydziałach prawnym i nauk pięknych, i równocześnie w latach 1820 i 1821 był nauczycielem w pierwszych trzech klassach Liceum Warszawskiego. W ostatnim roku opuścił miasto i wyjechał do majątku, który po ojcu odziedziczył. Ciężary obarczające z czasów wojennych od 1807 do 1815 zmusiły Dmochowskiego do sprzedania rodzicielskiéj zagrody; powróciwszy 1824 roku do Warszawy, stale w niéj osiadł, i przez ciąg lat szesnastu, bo do roku 1840 oddał się wyłącznie pracom literackim i wydawnictwu.

Pierwszą pracą drukowaną naszego pisarza, był wolny przekład poematu: *Wspomnienia* Legouve'go, ustępy poświęcone ważniejszym wypadkom z historyi francuzkiéj zastąpił krajowemi.

Stały zawód swój literacki rozpoczął przed 52 laty, bo w roku 1819, od przekładu dramatów i komedyj francuzkich. Przetłumaczył najprzód tragedyą P. Arnault'a w trzech aktach wierszem: *Maryusz w Minturnie*; następnie, dwie komedye Moliera: *Urojona niewierność* i *Natręty* (1), oraz tragedyę Rasyna *Andromakę:* wszystkie te utwory wierszem. Przekłady te jak i późniejsze odznaczają się gładkością wiersza i czystością języka, zarówno jak i prace pisane prozą.

Od roku 1820 objął wspólnie z Dominikiem Lisieckim (2) redakcyą Tygodnika Polskiego (3 tomy) po Brunonie Kicińskim,

(1) Dnia 19 listopada 1765 roku, otwarto pierwszy raz stały teatr w Warszawie, który pod dyrekcyą Wojciecha Bogusławskiego już się ustalił. Na jego otwarcie przedstawiono komedyę „*Natręty*", ktorą autor jéj Józef Bielawski, a cel żartów dowcipnych Kajetana Węgierskiego, naśladował z Moliera. Wyszła ona z druku tegoż roku z przypisem do Stanisława Augusta.

(2) Dominik Lisiecki (ur. 1801, † 1846,) uczeń Uniwersytetu Warszawskiego, następnie urzędnik Komissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu, od roku 1833 oddany zawodowi rolnika. Niepoślednich zdolności prozaik i gładki wierszopis, był wielce użytecznym współ-pracownikiem w rozwoju prassy peryodycznéj, pomagając Brunonowi Kicińskiemu, a następnie F. S. Dmochowskiemu, w ich wydawnictwach. Wiele prac jego znajdujemy w Tygodniku polskim i dalszym jego ciągu Wandy. Scenę krajową silnie podpierał przekładami sztuk francuzkich; tłumaczył komedyę Delavigne'a: *Szkołę Starców* i *Niestały*, przedstawione na scenie, zarówno jak tragedye: Kornela *Polieukt* i Woltera *Śmierć Cezara*, które pozostały w rękopiśmie. Ogłosił drukiem w roku 1820: „*Nieszpory Sycylijskie*"

w następnym roku 1821 wydawał *Wąndę tygodnik dla płci pięknéj* (1), gdy wyjazd z Warszawy przerwał dalszą publikacyą.

Za powrotem, widząc potrzebę poważniejszego organu, po upadku *Pamiętnika Warszawskiego* zaczął sam redagować: *Bibliotekę polską, pamiętnik literacki historyczny i naukowy.* Wydał w roku 1825 tomów IV, w roku zaś następnym trzy tomy.

Trzeba przenieść się myślą w tamte czasy, ażeby pojąć, z jakiemi trudnościami walczyć musiał każdy wydawca peryodycznego pisma. Na obcą pomoc mało mógł rachować; nie było w zwyczaju płacenia honoraryów, zdolniejsi nie pisali z potrzeby zarobku, ale szli za potrzebą jedynie duchową i w chwilach wolnych od zajęć swych obowiązkowych, a grono piszących było nadzwyczaj szczupłe. Redaktor musiał głównie liczyć na własne siły i być najczynniejszym współpracownikiem własnego pisma. Liczba pewnych prenumeratorów, rzadko liczbę stu przenosiła, trzeba się było starać o jéj pomnożenie stosunkami przyjacielskiemi.

W takiém położeniu rzeczy, prawdziwą *ofiarą* była redakcya pisma i to jeszcze pisma treści poważniejszéj. *Biblioteka Polska* składa się też z prac niemal wyłącznie pióra F. S. Dmochowskiego tak tłumaczonych jak oryginalnych.

Redakcya tego pisma dała mu największy, ale niepochlebny rozgłos, a to z powodu gorącéj walki klassyków z romantykami. Z obowiązku swego, w tym organie pomieścił dwie rozprawy: pierwszą: „Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiéj“ drugą: „Uwagi nad Sonetami pana Mickiewicza“ (2).

W pierwszéj rozbiera w swém sprawozdaniu, utwory autora *Dziadów* w wydaniu pierwszém, które sam Mickiewicz ogłosił w Wilnie (3), ocenia daléj J. B. Zaleskiego, A. E. Odyńca, Al. Chodźkę i Stefana Witwickiego.

tragedyę Kazimierza Delavigne'a: komedyę Moliera: „*Kto się kocha ten się kłóci.*“ (przełożona na współkę z F. S. Dmochowskim) i „*Dumania poety Alfonsa de Lamartine*“; ostatnia praca miała w swoim czasie nie mały rozgłos a całe wydanie które ogłosił N. Glücksberg 1820 r. w Warszawie, w krótkim czasie rozchwytane zostało.

(1) Przy tym tygodniku dołączano słynne z dowcipu i humoru świstki Aloizego Żółkowskiego p. n. *Pot-pourri.*

(2) Piérwsze ozdobne wydanie Sonetów wyszło w Moskwie nakładem autora, w drukarni Uniwersytetu 1826r. w 4-ce str. 48. Na czele mieści się na dwóch kartach litografowanych z Sonetów krymskich: „Sonet V. Widok Czatyrdahu ze stepów Kozłowa; z polskiego na wiersz porski przełożył Muża Dżafar Topczy-Baszy, prof. adjunkt w Uniwersytecie St. Petersburskim, tłumacz w kollegium azyatyckiém.“ Drugie ich wydanie dał Mickiewicz w zbiorze swoich poezyj drukowanych w Petersburgu 1829 we dwóch tomach. swoim nakładem, drukiem Karola Kraya.

(3) Wydanie to, pierwszego tomu 1822 a drugiego 1823 r. należy już do rzadkości.

Ton cały tego sprawozdania, które wówczas uważano za krytykę, obruszył żywo wielbicieli Mickiewicza i naśladowców jego, tém więcéj, że odbijał w nim głos nauczycielski, jak w zakończeniu pierwszéj rozprawy.

„Zastanowiwszy się nad poezyami, które w ostatnich kilku latach wyszły na widok publiczny (mówi F. S. Dmochowski) tak w oddzielnych zbiorach jako téż w pismach peryodycznych, postrzeżemy, że oryginalnie piszący młodzi poeci, usiłowania swoje na to zwrócili, aby utworzyć właściwą nam poezyą. Głos publiczności pochwala ich starania. Aby cel zamierzony osiągnęli, niech unikają wykwintności francuzkiéj, która piszącym nie dozwala rozwinąć skrzydeł swego talentu i nie wpadają w drugą ostateczność, to jest mierność i przesadę, która częstokroć szpeci utwory poetów niemieckich. Niech ze starożytnych pisarzy naszych wyrozumieją duch języka, a nieubliżając mu w niczém, niech świeżość i żywość wyobraźni romantyków, połączą z gustem i poprawnością klassyków“

Obrok taki duchowy nie mógł smakować żadnéj stronie i sam F. S. Dmochowski przyznaje w swoich *Wspomnieniach*, wydanych w 34 lat późniéj, że „nie zadowolnił, ani jednéj ani drugiéj strony“.

Stefan Witwicki po tym rozbiorze, spalił całe wydanie dwóch tomików swoich *Ballad i romansów*, które ogłosił, i dziś należą one do *białych kruków* bibliograficznych. W drugiéj rozprawie, mamy rozbiór sonetów Mickiewicza, którą F. S. Dmochowski wydrukował zamykając wydawnictwo Biblioteki polskiéj.

Przypomina on w nim swoją pierwszą rozprawę i w tymże samym tonie rozwija sprawozdanie o nowém dziele wielkiego poety wykazując podług swego zdania, obok zalet i usterki.

Było to dolanie oleju na żarzewie. Powstały nieprzyjazne setki w obronie sonetów, z goryczą odzywając się o redaktorze *Biblioteki polskiéj*, a w końcu wystąpił i sam Mickiewicz z piorunującą odpowiedzią w słynnéj rozprawie: „*O krytykach i recenzentach warszawskich*“, którą pomieścił na czele drugiego wydania swoich poezyj, wydanych w Petersburgu 1829 roku w dwóch tomach.

Kto nie żył w owych czasach i nie był uczestnikiem w téj gorącéj walce klassyków z romantykami, ten niemoże mieć wyobrażenia, jak potężny wpływ duchowy wywarła pomieniona rozprawa. W dwóch tych obozach jakże osobliwe pojawiły się zjawiska! W starym, gniew i oburzenie, a po nich osłupiałość; w młodym nieopisany zapał i uniesienie, wraz z obudzoną myślą wzgardy dla wszystkiego co tylko miało jakąśkolwiek powagę, i najznakomitsze nawet zasługi, przeciw każdemu kto nie był gorącym wyznawcą nowych pojęć, nowych torów poezyi.

Dmochowski już od téj pory umilknął, ale mu młodzi zwolennicy obrazy twórcy *Dziadów* i *Sonetów* przebaczyć nigdy nie mogli, jak śmiał krytykować tak wielkiego poetę! Dopiéro teraz, w pośmiertném wspomnieniu Redaktora Biblioteki Polskiéj (1), sędziwy

(1) Kronika Rodzinna Nr. 12 z r. 1871.

wieszcz Antoni Edward Odyniec, podaje zajmującą wiadomość, że sam Mickiewicz nie podzielał téj zawiści przeciw F. S. Dmochowskiemu, owszem: „Nieraz śmiejąc się powtarzał, że Dmochowskiemu dostało się za wszystkich; a tym którzy go wprędce spodziewali się zobaczyć, polecał aby mu oświadczenie jego szacunku i życzliwe pozdrowienie zanieśli“

My tu dodamy, że widzieliśmy ofiarowany przez Mickiewicza egzemplarz tego wydania poezyi, przesłany Dmochowskiemu, z własnoręcznym przypiskiem poety. Objawy te osobistego szacunku dla zmarłego, mało były znane wówczas, ale wszyscy czytali ową rozprawę, w któréj Franciszek Salezy Dmochowski stoi na pierwszym planie, i nie w pochlebném wcale malowidle.

Wdzięczni jesteśmy A. E. Odyńcowi za szlachetną obronę zgasłego męża.

„Nieświadome przeszłości młode pokolenie—pisze on—a sądzące o niéj z pogłosek, obwołało F. S. Dmochowskiego jako najzaciętszego wroga nowszéj poezyi naszéj, i jako osobistego Zoila jéj mistrza. Jest to fałsz! i niech mi wolno będzie, słowem szczeréj a bezstronnéj prawdy, zdjąć zeń tę plamę krzywdzącéj potwarzy. A sądzę że mam prawo do tego, nie tylko jako ostatni już świadek i uczestnik polemicznych owego czasu zapasów, ale i jako stojący w nich zwykle pod sztandarem przeciwnego obozu”.

Wymowna jego obrona, a szczera i pełna prawdy, jest najpiękniejszym wieńcem pamięci, złożonym na grobie zgasłego pracownika.

My jako świadek, ale nie uczestnik „tych właśnie zapasów“ w żywéj zachowaliśmy pamięci, wszystkie jéj objawy. Mając zaś stosunki w obudwóch nieprzyjaznych obozach patrzyliśmy na szybkie jak błyskawica skutki owéj przemowy: *Do czytelnika o krytykach i recenzentach warszawskich.*

Było to uderzenie śmiertelne i ostatnie, wymierzone ramieniem olbrzymiém, w spróchniały pień jeszcze stojącego klassycyzmu, który się przed nim ostać nie mógł i runął. Najwięksi jego zwolennicy, w żałobném milczeniu, patrzyli ze smutną zadumą na jego upadek: wielu z pomiędzy nich sądziło, że zaraz nastąpi koniec świata, bo nawet pojąć nie mogli, co na jego zwalisku wyrosnąć może. Dmochowski, który oceniał cały geniusz Mickiewicza i pojmował nową erę poezyi, umiejąc mnóstwo długich nawet ustępów z jego poezyj na pamięć, które deklamował zawziętym klassykom w obronie swojéj, gdy mu zarzucali o sprzyjanie „nowatorom każącym smak i język“; napastowany przez młodszych zapaleńców: „o bluźnierstwo przeciw natchnieniu i uczuciu, nie szczędził (jak dobrze wyraża A. E. Odyniec) rownież cytat i przytoczeń, na wykazanie przesady lub śmieszności, w jakie wówczas wielu adeptów nowéj szkoły wpadało“.

Po zamknięciu *Biblioteki Polskiéj*, wydawał następnie we własnéj drukarni *Gazetę korrespondenta*, od 1826 do 1829 roku, redagu-

jąc przy niéj *Rozmaitości*, jako część literacką, w których pomieścił pierwszy utwór młodzieńczego pióra Zygmunta Krasińskiego. W ostatnim roku, właśnie pojawiło się nowe wydanie poezyi Mickiewicza w Petersburgu, ze wspomnianą już przemową do *Czytelnika*.

Żywo nią ugodzony, w oddzielnéj książce śmiało wystąpił przeciw ogólnemu jéj tonowi lekceważącemu wszystkie prawie bez wyjątku prace przeszłości i zasługi zacnych mężów, którzy w okresie swoim rozniecali światło i wiedzę. Był to dowód prawdziwéj odwagi, wystąpienie śmiałe przeciw takiéj powadze, jaką już stanowił Mickiewicz. Ale Dmochowskiemu nie szło tu wcale o spór wyższości nowej szkoły poezyi, bo ją sam otwarcie przyznawał od pierwszego jéj objawu, ale o poniewierkę pracowników, którzy w zacnéj myśli uprawiali w najnieprzyjaźniejszych chwilach dla społeczności naszéj, niwę literatury i stali na straży rodzinnego języka. Dzieło to Dmochowskiego ma napis: „*Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza o krytykach i recenzentach warszawskich*".

Wydrukował je zaraz po ukazaniu się nowéj edycyi poezyj Mickiewicza w roku 1829, a gdy pierwsze wydanie w prędkim czasie wyczerpane zostało z obiegu handlu księgarskiego; wydał drugie 1830 roku z dołączeniem dwóch artykułów z *Biblioteki Polskiéj* t. j.: „Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiéj" i „Uwagi nad Sonetami pana Mickiewicza". Rozprawy te przedrukował w tym celu, ażeby przekonał czytelnika, z jakiego stanowiska oceniał utwory poetów nowéj szkoły.

Jeżeli rozkupienie w krótkim czasie pierwszego wydania *Odpowiedzi* Dmochowskiego, a następnie i drugiego, stawia wymowny dowód, że głos jego ma jakieś znaczenie i powagę, bynajmniéj to nie wpłynęło na zmianę sądu ogółu w przedstawianiu go zawsze jako głównego szermierza w obronie upadłego klassycyzmu.

W końcu roku 1830 ucichły te gwary sporne, które miały rozgłos nie mały w całéj prassie peryodyczuéj.

* * *

Przez pół wieku, działalność F. S. Dmochowskiego na polu literackiém nie ustawała, w rozmaitych kierunkach czy jako pisarza, czy iako redaktora pism czasowych, czy jako nakładcy i wydawcy. Nikt więcéj nie rozszerzył zamiłowania do czytania i pokarmu duchowego w naszéj społeczności, w owych właśnie czasach, kiedy letarg umysłowy szerokie rozwijał panowanie.

Bruno hr. Kiciński, pierwsze na téj drodze zaczął łamać za wady i jemu należy hołd uznania w rozwoju prassy peryodycznéj (1). W jego strzemię wstąpił F. S. Dmochowski, i w mniéj

(1) „Bruno Kiciński" syn jedyny Piusa kasztelana połonieckiego a słynnego na sejmie czteroletnim mówcy i Franciszki Cieciszowskiéj podkomorzanki łukowskiéj, nauki pobierał w Teresianum w Wiedniu, następ-

przyjaznych okolicznościach, daleko daléj poprowadził dzieło swego poprzednika, a różnorodnym wydawnictwom, umiejętnie zastosowanym do potrzeb i żądań ówczesnéj społeczności, rok za rokiem rozszerzał koło czytelników polskich książek. Od roku 1819 ogłosił drukiem przeszło trzysta tomów, pomiędzy tymi, wiele jest dzieł wysokiéj wartości.

Mając własną drukarnią, w niéj odbijał swoje pisma czasowe, przedruki ważniejszych a wyczerpanych utworów z dawniejszego okresu i przekłady licznych powieści, któremi właśnie rozszerzał coraz więcéj koło czytelników. Trzeba było być świadkiem w owéj dobie, jakie budziło zajęcie każde ogłoszenie F. S. Dmochowskiego o wydawnictwie tłumaczeń romansów Walter-Skotta. Z trzydziestu sześciu ogłoszonych tomów, dwadzieścia cztery są przekładem samego Dmochowskiego. Publikacya ta stanowi u nas godne uwagi zjawisko, raz z tego powodu, że skromna dotąd cyfra prenumeratorów, zaledwie sięgająca od 300 do 400, podniosła się teraz do tysiąca z górą, a w ciągu lat trzech z wydania w 1,500 egzemplarzach rozkupiono 1,300; powtóre, że zwracając ogólne zajęcie na

nie w konwikcie Piarów w Warszawie. Ukończywszy szkoły, czas pewien spędzał przy krewnym swoim Joachimie Lelewelu, zkąd nie małe w ukształceniu naukowém otrzymał korzyści. Podówczas wzrastała potrzeba pism peryodycznych. Jedyne pismo naukowe w Warszawie *Pamiętnik*, téj potrzebie nie wystarczało. Obydwa zajęci gorliwie przedmiotami nauk, czuli to, zamierzyli więc usiłowań swych ku temu dokładać. Wkrótce podały się do tego sposobności. Lelewel powołany na professora do Wilna, dał życie *Tygodnikowi Wileńskiemu*; Kiciński zajęty interesami we Lwowie, usilném staraniem jego wychodzić zaczął *Pamiętnik Lwowski*. Jedyném ulubioném zatrudnieniem Kicińskiego była literatura. Posiadając naukę języków łaciny, grecki, francuzki, niemiecki i angielski, zajmował się przekładami. We Lwowie wyszła z druku jego „*Batrachiomachia*“, przekładał wyjątki z *Przemian* Owidyuszowych, które się ukazywały w pismach peryodycznych. Z początkiem roku 1816 przybył do Warszawy i zajął miejsce w ówczesnéj *Kommissyi Handlowéj*, niezaniedbując przecież prac naukowych. Tak ukazał się w tłumaczeniu jego bandyta Rinaldyni (*Rinaldo Rinaldyni sławny bandyta Włoski*. 3 Tomy). Niebawem nabywszy dom przy ulicy *Gęsiéj*, założył w nim drukarnią, a z początkiem roku 1818 rozpoczął wydawanie pisma „*Tygodnik Polski i Zagraniczny*,“ którego tytuł w połowie roku 1820 na Wandę zamieniono. Młodzież garnęła się z pomocą; w początkach największą pomoc miał z Ant. Góreckiego. Górecki od młodych lat żarliwy poezyi zwolennik, już w r. 1811 młody podporucznik 3 pułku piechoty wojsk Księztwa Warszawskiego, obozujący pod Modlinem, dozorując porządku żołnierzy wznoszących tę fortecę, niezważając na skwarne niebo pamiętnego kometowego roku, z ołówkiem w ręku, kreślił swe płody, napełniał tekę, z któréj udzielał je Kicińskiemu. Brykczyński Józef zawcześnie zgasły, dał swój przekład poematu Tassoniego: „*Wiadro porwane*“, że nie wspominamy wielu innych.

wielkiego romansopisarza Szkocyi, wywołała u nas licznych naśladowców.

F. S. Dmochowski, mając już szersze a wyrobione przez siebie koło czytelników, zaczął następnie ogłaszać tłumaczenia powieści Dukanża, Kocka, (z oczyszczeniem miejsc drażliwych) Dumasa, Balzaka i Bulwera a nadto przekłady z najciekawszych podróży.

Pierwszym był u nas z rzędu pisarzy, który zespolił w osobie swojéj księgarza, nakładcę i wydawcę.

Na początku roku 1830 uczynił próbę rozwożenia książek po miastach i dworach wiejskich, uzyskawszy od ówczesnéj Komissyi Rządowéj przychodów i skarbu, zwolnienie od formalności, które taki handel niemożliwym czyniły. Wysłał w styczniu i lutym t. r. komisanta z książkami w Radomskie i Krakowskie. Odbyt był dosyć znaczny, lecz koszta utrzymania koni i ludzi, wynosiły trzecią część wpływu, to jest zwykły *rabat* księgarski. Próba ta, z powodu następnych wypadków, nie miała dalszego rozwi-

Zaraz z początku odezwą do swoich starszych braci, innych pism peryodycznych, oraz zmianą pisowni, Kiciński wywołał hałasy, u zwolenników konserwatyzmu.

„Obok wydawanego *Tygodnika*, własnemi zasilanego pracami, Kiciński zajmował się wydawaniem pism politycznych. *Gazeta Codzienna* wychodziła pod jego i Teodora Morawskiego redakcyą; wydawnictwo to rozbudziło gazeciarzy warszawskich. Dwie podówczas wychodziły: *Gazeta Warszawska* i *Korrespondent Warszawski*, dwa razy w tygodniu: w środę i sobotę. Ażeby zrównoważyć konkurencyę z Gazetą Codzienną, odtąd cztery razy w tygodniu wydawane były. Publiczność zawdzięczała to Kicińskiemu. Po niéj wydawał *Kronikę* nieperyodycznie: w ostatku ogłosił *Orła*: wyszło go w roku 1819 tomów IV, w 1820 tomów IX. Na czele tego pisma stanęła nowa redakcya złożona z Kicińskiego, T. Morawskiego i Brykczyńskiego. Chociaż Joachima Lelewela w Warszawie nie było, dom jego rodziców był punktem oparcia się dla Kicińskiego i współpracowników jego. Tutaj oni zbierali się nieprzerwanie. Ojciec jego kasztelan Kiciński, niegdyś Szef Gabinetu Stanisława Augusta, człowiek wysoko ukształcony a nader przyjemny, był duszą tych zebrań: tu się kształciła młodzież, tu téż niemały poczet bywających udzielał zasiłku młodym redaktorom. W roku 1822 zerwał się raz jeszcze Kiciński i rozpoczął wydawać „*Pamiętnik Zagraniczny*“ (w 4-ce), wydał dwa półrocza i na tém skończyły się jego peryodyczne wydawnictwa“ (Notata Prota Lelewela, brata Joachima.). Do niéj dodać winniśmy, że Kiciński był założycielem i pierwszym redaktorem Kuryera Warszawskiego: mylnie przeto ten organ podaje za twórcę swego L. A. Dmuszewskiego. Dmuszewski kupił Kuryera od Kicińskiego i w tém ma zasługę, że potrafił pomnożyć liczbę jego czytelników i zrobić pismem przystępném dla ludu warszawskiego. Wspomniany powyżéj Brykczyński oddzielnie wydał tylko: „Pieniacze komedya Rassyna, przekładem Józefa Brykczyńskiego. W Warszawie w drukarni przy ulicy Gęsiéj pod nr. 2286 (Taką firmę miał zakład typograficzny Brunona Kicińskiego.) 1820 w 12-ce.

nięcia, chociaż nie wątpliwie ten sposób wózkowéj sprzedaży, wpłynąłby przeważnie na podniesienie handlu księgarskiego, a tém samém i oświaty (1).

Jako nakładca wydał oprócz wzmiankowanych powieści i podróży, szereg dzieł prawdziwéj wartości literackiéj. Do liczby tych policzamy *Iliadę* Homera trzy tomy w przekładzie Franciszka Ksawerego Dmochowskiego, ojca naszego pisarza; *Enejdę* Wirgiliusza tegoż, ale w tém wydaniu księgę X sam wytłumaczył. a XI i XII wspólnie z Franciszkiem Kowalskim, gdyż tych ksiąg w przekładzie pierwotnym nie było, śmierć bowiem przerwała dalszą pracę F. K. Dmochowskiego. *Dzieła Fr. D. Kniaźnina*, tomów VII, pierwsze zupełne wydanie z rękopismów biblioteki puławskiéj i z tychże rękopismów. *Dzieła Franciszka Zabłockiego* w VI tomach, *Żywoty sławnych Polaków*, *Pisma Franciszka Ksawerego Dmochowskiego* tłumacza Iliady (dwa tomy, Warszawa 1826 r.), w których ogłosił drobniejsze z angielskich pisarzy przekłady, zarówno jak z literatury rzymskiéj a przytem drobne pisma, bezimiennie poprzednio wydane i ową *Sztukę Rymotwórczą*, która stanowiła przez wiele lat w szkołach pijarskich historyą literatury powszechnéj i polskiéj. Przypomnieć też tu musimy, że w końcu 1830 drukował swoim nakładem: „*Obraz literatury starożytnéj i nowożytnéj przez Fryderyka Szlegla*", przełożony z niemieckiego, którego tom tylko pierwszy ogłosił z datą następnego roku, dalsze bowiem wydawnictwo przerwane zostało ówczesnemi wypadkami.

W głuchéj ciszy na polu literackiém jaka panowała od roku 1832, Dmochowski od 1835 zaczął wydawnictwo pisma illustrowanego p. n. *Muzeum domowe*, i utrzymał je do 1839 roku; ryciny (klisze) głównie sprowadzał z zagranicy, w części wykonywał je *Dietrich* miejscowy artysta, bo nikt u nas nie marzył o krajowém drzeworytnictwie, które obecnie śmiało może współzawodniczyć z zagranicznemi illustracyami, a w wielu razach wykończeniem artystyczném przewyższa francuzkie i angielskie illustracye.

Dobór artykułów w tém *Muzeum*, wskazuje, że redaktor znał dobrze potrzeby swoich czytelników i zarazem umiał wybierać przedmioty zajmujące i pożyteczne.

W roku 1829 założył pod swoją firmą księgarnię w Radomiu, która istniała do 1833, w r. 1839 sprzedał własną drukarnię, a w 1842 i księgarnię w Warszawie. Przeniósł się na wieś i zamieszkał w powiecie Lipnowskim, gubernii Płockiéj, w majętności obszernéj, ale zniszczonéj przez dawniejszych dziedziców. Usunąwszy się z literackiego pola (lubo w zaciszy, nie przestawał pracy w raz obranym kierunku), oddał się zawodowi rolnika i w nim ze zwykłą sobie energią podniósł gospodarstwo.

(1) Jak tego rodzaju kolporterya rozwija pokup książek, mamy poważne świadectwo szanownego ks. pastora Otto, że w Szlązku austryackim (dokąd się przeniósł z Warszawy) księgarze wózkowi sprzedają od 10 do 12 tysięcy książek dla ludu pisanych.

W początkach roku 1856 osiadł stale napowrót w Warszawie i rozwinął dawną działalność. Jako współ-pracownik *Gazety Codziennéj*, nabył na własność: *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych*, która powstała z *Dziennika Warszawskiego* założonego przez Henryka Rzewuskiego, Kiedy jednakże *Gazetę Codzienną* zakupił bankier warszawski Leopold Kronenberg i postawił na czele jako redaktora głównego J. I. Kraszewskiego, który zmienił jéj tytuł na *Gazetę Polską* z powiększeniem formatu, Dmochowski zmuszonym został, ze znaczną i niepowetowaną stratą odstąpić *Kronikę*.

Pomimo tego niepowodzenia, nie ustawał w pracy. Od roku 1856 wydał przeszło pięćdziesiąt tomów, w których oprócz tłumaczeń, mieszczą się powieści oryginalne, zalecające się treścią, jak i wyższą myślą moralną, pisma poświęcone dla ludu i dla młodzieży. Najważniejszemi z nich jednak są: „F. S. Dmochowskiego Wspomnienia od roku 1806 do 1830 roku" w których dał nam zajmujący obraz czasów ks. Warszawskiego; wiele szczegółów z pobytu swego w Uniwersytecie warszawskim, oraz opis działalności tak własnéj, jak i ówczesnych literatów (1).

W roku 1863 otrzymał miejsce nauczyciela języka polskiego w wyższych klasach *trzeciego* Gimnazyum w Warszawie. Tak po upływie lat 43 mozolnych i pracowitych, objął też same obowiązki, złamany wiekiem i trudami, które pełnił w chwilach pierwszéj swéj młodości. Jako nauczyciel napisał i wydał: „*Naukę prozy, poezyi i zarys piśmiennictwa polskiego*" w któréj ramy i sposób wykładu zastosował do pojęcia młodocianych umysłów i do zakresu czasu na ten przedmiot w szkołach przeznaczonego. Do tego dzieła przygotował zastosowane: „*Wzory i przykłady prozą i wierszem*". w 3 tomach.

Kiedy Jan Kanty Wołowski, jako wdzięczny uczeń, powziął piękną myśl uchronienia od zatraty prac słynnego w swoim czasie professora Uniwersytetu Warszawskiego Ludwika Osińskiego, wezwał pomocy F. S. Dmochowskiego.

Chętnie uczonemu prawnikowi takowéj udzielił i zająwszy się ze zwykłą gorliwością, przejrzał pozostałe rękopisma, uporządkował i opatrzywszy życiorysem zgasłego professora, wydrukował w IV sporych tomach w Warszawie 1861—1862.

Wydawnictwo to obudziło w Dmochowskim gorące pragnienie zebrania wszystkich pism Kazimierza Brodzińskiego, professora tegoż uniwersytetu, z którym go ścisłe stosunki przyjaźni łączyły. Wiadomo, że Brodziński po wydaniu dwóch tomów poezyj swoich, w roku 1822 ogłosił prenumeratę na zbiór prac prozą i wydał w roku 1830 piérwszy tom, złożony głównie z rozpraw wykładanych z katedry. Pomiędzy niemi była jedna o *Egzaltacyi*, która

(1) Uzupełnił je w części w Bibl. Warsz. (Tom III. r. 1866) z powodu wydanéj broszury Lucyana Siemieńskiego p. n. „Obóz klassyków."

niemiała szczęścia podobać się młodym pisarzom. Maurycy Mochnacki wystąpił ostro przeciw autorowi w rozbiorze tego tomu: Brodziński cichy a skromny, tak nią został zrażony, że przerwał publikacyę swoją. Wśród następnych zdarzeń, już nie miał ani chęci, ani sposobności do dalszego wydawnictwa; złamany moralnie, dotknięty nieuleczoną chorobą, pracując jednak zawsze w zaciszy, zgasł w lat kilka i spoczął na cmentarzu w Dreźnie.

Rękopisma jego pozostałe rozmaitym ulegając kolejom, w znaczniejszéj części ogłoszone zostały jako zaginione, a Teofil Glücksberg księgarz wileński ogłosiwszy nowe wydanie pism Brodzińskiego, nic z prac nieznanych, oprócz drukowanych nie podał, i to w najniedołężniejszéj redakcyi, z niemałemi a dowolnemi zmianami i opuszczeniami (1).

Wszyscy, którzy oceniali tak talent Brodzińskiego, jak i jego wzniosłe stanowisko, zarówno uczniowe i zwolennicy autora *Wiesława*, co z prawdziwą rozkoszą ducha zgromadzali się wokoło jego katedry, boleli z goryczą nad zatratą prac tak szacownych, mogących w prawdziwém świetle dać poznać potomności przeważne zasługi, jakie położył dla literatury krajowéj.

F. S. Dmochowski wiedział jaki go mozół, jakie trudy oczekują ażeby spełnił swoje zadanie; ale się niemi nie zraża i zaczął troskliwe starania nad wyszukaniem rękopismów Brodzińskiego. Z początku niewiedząc gdzie na ich ślad natrafić, zaczął zbierać notaty z prelekcyj, jakie jego uczniowie zachowali starannie; gdy niespodziewanie odbiera wiadomość, że u pozostałéj jedynaczki Brodzińskiego, znajduje się kufer z własnoręcznemi rękopismami jéj ojca.

Trzeba było widzieć radość czcigodnego starca, kiedy dobrał się do tak długo wyczekiwanego daremnie skarbca, gdy w tym stosie pomięszanych bezładnie kartek, ujrzał rękę swego przyjaciela!

Rozpoczętą przeto pracę nad układem prelekcyi Brodzińskiego, ze skryptów jego uczniów odłożył, a zabrał się z młodzieńczym zapałem do autografów. Tu okazał żelazną wytrwałość: obok zeszytów mających ciąg jakikolwiek, pokazały się braki, tak w środku jak i w zakończeniach rozpraw. Ulotne świstki musiał starannie odkładać i segregować, ażeby w miejscu właściwém wypełniały one braki lub opuszczenia częściowe. Wyborna pamięć którą zachował prawie do śmierci, posłużyła mu tu nie mało. Nie zapomniał o żadnéj kartce luźnéj którą raz miał w ręku, a znał przytem gruntownie każdy przedmiot jaki rozwijał się w autografach Brodzińskiego.

Co za uciecha była F. S. Dmochowskiego, kiedy całość dała się odszukać, i bez szczerby można ją było przepisać. Tak, dzień po dniu w bezustannych poszukiwaniach postępując, w ciągu kilku lat, przygotował zupełne wydanie pism Brodzińskiego, a wywią-

(1) Wydanie to wyszło w Wilnie 1842—1844 w 10 tomikach.

zawszy się z obowiązków przyjacielskich dla zmarłego poety i estetyka, w ręce jego córki złożył dziesięć tomów ułożonych w należytym porządku rękopismów, przepisanych starannie i przejrzanych tak, że w każdéj chwili mogą iść pod prassę drukarską (1).

Równocześnie, na usilne nalegania przyjaciół, zabrał się do pisania pamiętników, albowiem *Wspomnienia* które wydał, były tylko lekkim szkicem, tych zajmujących opowieści, które z takim wdziękiem umiał słuchaczom swoim udzielać. Długo się opierał tym żądaniom, lekceważąc drobne szczegóły, które właśnie jak małe szczątki cudnéj mozajki mogły się ułożyć w pełny obraz, malujący dokładnie i ludzi i czasy właściwego okresu. Nie ukończył ich jak zamierzał, bo ciężka choroba wytrąciła mu pióro z drżącéj ręki, a śmierć zbliżała się pewnym i niezachwianym krokiem. Czuł ją z dala, a tém pewniejszego nabrał przekonania, kiedy swą słynną pamięć nagle utracił. Ze łzami w oczach skarżył się na ten cios smutny przed przyjacielem swoim, który go nawiedzał w téj niemocy i uważał to, jako gońca zapowiadającego koniec pielgrzymki ziemskiéj i spoczynek wieczysty. Na kilka dni przed zgonem, przypomniał sobie własny wiersz napisany w pierwszych latach młodości, i z radością przedeklamował, ale zaraz potem, zgasła pamięć na zawsze, i ciemna pomroka ją pokryła, z któréj żadnego, nawet małego okrucha dobyć nie potrafił.

Od chwili kiedy już choroba śmiertelna wzięła przewagę nad silnym dotąd organizmem, i żółtaczka, wywołana moralną boleścią, ubarwiła całe ciało, pomimo tego, oblicze jego zawsze pogodne wyszlachetniało i wypiękniało. Na tych regularnych rysach twarzy schudzonéj, malował się spokój i rezygnacya; czekał ostatniéj chwili przygotowany do niéj jako dobry chrześcianin, i usnął w Bogu, zaczynając rok 71 życia, otoczony gronem swojéj rodziny.

Spoczął ś. p. Dmochowski na tym samym cmentarzu Powązkowskim, na którym pogrzebany został i dostojny jego ojciec przed sześćdziesięciu trzema laty, bez pamiątki pogrobowéj. A zasłużyli tak syn jak i rodzic pracami całego życia podjętemi w najszlachetniejszych celach, zarówno na pomniki grobowe, jak na trwałą pamięć, nietylko współczesnych ale i potomnych.

K. Wł. Wójcicki.

(1) Do ostatnich prac ś. p. F. S. Dmochowskiego należy tłumaczenie dzieła *Careja*: „Zasady umiejętności społecznéj" dwa tomy całkowicie są przełożone, trzeci zaczęty.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Przegląd utworów dramatycznych z r. 1870.

W przeglądzie obecnym możemy zanotować fakt nader pocieszający: liczba utworów dramatycznych oryginalnych z roku zeszłego (w Królestwie wydanych) przewyższyła liczbę tłumaczeń, gdy przeciwnie w roku 1869, jak to widzieć można z poprzedniego mego przeglądu, rzecz się miała całkiem odwrotnie. Faktu tego niepodobna nam wytłumaczyć jasno i szczegółowo, bo nie znamy istotnych jego przyczyn. Być może, że większa dbałość teatru naszego o sztuki swojskie wpłynęła na to, być też może, że redaktorowie pism uznali za swój obowiązek, nie zapełniać szpalt swoich wydawnictw jak najtańszym kosztem. Dosyć że faktem jest, że w roku 1870 na całkowitą cyfrę utworów dramatycznych (naturalnie rozmaitego rozmiaru i wartości) 19; na oryginalne przypada 11 (jeden przedruk), a na tłumaczone 8. Są one następne:

Oryginalne: 1) *Balowe rękawiczki*, obrazek dramatyczny w jednym akcie przez *Władysława hr. Koziebrodzkiego* (w Bluszczu); 2) *Febris aurea*, komedya w 5ciu aktach przez *Zygmunta Sarneckiego* (w Gaz. Warsz.): 3) *Mazepa*, tragedya w 5ciu aktach *Juliusza Słowackiego* (osobno, nakładem wydawnictwa M. Dzikowskiego); 4) *Miłość i miłość*, dramat w 2ch aktach *Mieczysława Dzikowskiego* (w Opiek. Domow.); 5) *Naszyjnik brylantowy*, obrazek sceniczny przez *H. M. Rzętkowskiego* (w Wędrow.); 6) *Obrączki zaręczynowe*, przez *Gabryelę z Güntherów Puzyninę* (w Kronice Rodzin.); 7) *Po ślubie*, komedya w 2ch aktach przez *Władysława hr. Koziebrodzkiego* (w Kłosach); 8) *Poświęcenia*, komedya w 4ch aktach przez *Józefa N.* i *Wołodego Skibę* (w Tygodn. Illustrowanym); 9) *Trafiła kosa na kamień*, przez *Gabryelę z Güntherów Puzyninę* (w Kron. Rodzin.); 10) *Wanda*, komedya w 3 aktach przez *Zofię Mellerową* (w Kłosach); 11) *Zemsta pani Hrabiny*, komedya w 5ciu aktach przez *Zygmunta Sarneckiego* (osobno).

Tłumaczone: 1) *Bez stanu*, komedya w 1ym akcie *Ernesta Legouvé*, przekład *K. Zalewskiego* (w Kłosach); 2) *Córka króla René*, dramat w 1ym akcie *Henryka Hertz'a*, przekład *F. H. Lewestama* (w Kłosach); 3) *Froufrou*, komedya w 5ciu aktach przez pp. *H. Meilhac* i *Ludwika Halévy*, przekład *St. Go.* (w Gaz. Pol.); 4) *Julia*, dramat w 3ch aktach *Oktawiusza Feuillet*, tłumaczenie *Władysława Świeszewskiego*, artysty teatrów warszawskich (w Czytelni domowéj); 5) *Król Lear*, tragedya w 5ciu aktach *Williama Szekspira*, przekład wierszem *Adama Pługa* (w Tyg. Mód); 6) *Nieużyteczni*, komedya w 4ch aktach *Edwarda Cadol*, przekład *Joanny Bełejowskiéj* (w Tyg. Mód); 7) *Robotnicy*, dramat w 1ym akcie *E. Manuela*, przekład *Seweryny Duchińskiéj* (w Tyg. Mód); 8) *Tymon*, tragedya w 5 aktach *Williama Szekspira*, przekład prozą *E. L.* (w Bibliotece Warszawskiéj).

Na czele zeszłorocznych wydawnictw położyć musimy tragedyę *Juliusza Słowackiego* p. n. *Mazepa*. Nie jestto jednakże utwór tych czasów; należy on do owéj świetnéj epoki poezyi naszéj, w któréj natchnienie naszego narodu płynęło najpełniejszém korytem, w któréj fantazya twórcza przedstawicieli tego natchnienia rozpryskiwała się w przecudne brylanty, które na swéj powierzchni odwzorowywały najdelikatniejsze odcienia uczuć ludzkich, a we wnętrzu swém ukrywały myśli potężne oryginalnością, głębią i żywotnością. Juliusz Słowacki był jednym z głównych reprezentantów téj epoki. Natura żywa, kapryśna, fantastyczna. Słowacki zachwycał nietylko urokiem słowa, jak to utrzymują niektórzy, chociaż to była jedna z najpotężniejszych dźwigni jego talentu, bo takiéj skali w swym głosie nie posiadał żaden inny poeta ani przed nim, ani po nim; ale również fantazyą bujną, świeżą, nieznającą przeszkód, ni granic, i myślą nieraz tak głęboką, że mimowolnie wżerała się w mózg czytelnika i nie dała się już nigdy odłączyć od osobistości wieszcza. Taki był ogólny charakter tego okresu w życiu Juliusza, w którém pisał takie arcydzieła jak: *Ojciec zadżumionych*, *W Szwajcaryi*. Do tego okresu należy też między innemi i *Mazepa*. Sądzić ten utwór w krótkich urywanych zdaniach, byłoby to zniżać go do poziomu płodów dzisiejszéj naszéj codziennéj literatury, która niéma nawet pretensyi spółubiegać się o lepszą z poprzedniczką swoją. Słowacki miał już swego biografa i krytyka (*Małecki* 1867), mieć ich jeszcze będzie wielu, bo też należy do tych milionerów słowa i myśli, którzy karmią tysiące. Skreślić charakter utworów dramatycznych Słowackiego: (Marya Stuart, Mindowe, Lilla Weneda, Balladyna, Mazepa, Sen, Ksiądz Marek, Beatryko Cenci, Niepoprawni i t. d.), wykazać ich różnice, a zwłaszcza spólne tło zapatrywania się na świat i ludzi, które prawie we wszystkich dostrzedz można, — wymagałoby tu osobnego studyum, a nie pobieżnych spostrzeżeń. Na takiéj dopiéro podstawie możnaby stanowczy wypowiedzieć sąd i o tym utworze, który tu nas zajmuje t. j. o Mazepie. Przytaczać treści nie potrzebujemy, bo zdaje nam się, że utwór ten znajdzie się w ręku każdego, kogo tylko

ojczysta literatura interesuje. Zejdźmy więc z tych wyżyn, na które nas wspomnienie pierwszorzędnego talentu wprowadziło, na glebę naszą powszednią, z jéj potrzebami, wymaganiami i... małostkami.

Zaczynam od utworu, który przy tytule ma położony napis: dramat. Jestto *Miłość i miłość*, przez Mieczysława Dzikowskiego. W zeszłorocznym przeglądzie zrobiłem już wzmiankę o p. Dzikowskim, jako o autorze drobnych obrazków scenicznych, które miały dosyć powodzenia na naszéj scenie. Zrobiłem tam między innemi uwagę, że szerokie poglądy leżą poza sferą jego dotychczasowéj działalności. Otóż w dramaciku obecnym p. Dzikowski wziął się właśnie za pogląd szerszy, ważniejszy. Chciał on przedstawić dwojaki rodzaj miłości: dbającéj tylko o siebie z podeptaniem wszelkich węzłów rodzinnych i społecznych; i miłości poświęcającéj siebie dla podtrzymania tychże węzłów. Przedstawicielką pierwszéj jest Julia, która kochając innego poszła za starca; przedstawicielką drugiéj, jéj pasierbica Aniela, która pokochała dawniejszego kochanka swéj macochy Wacława. Wacław i Julia chcą uciekać; Aniela dowiaduje się o tém i własném poświęceniem chce ocalić ojca swego od hańby. Na nocną schadzkę z Wacławem przybywa i stara się go nakłonić do zaniechania hańbiącego jéj ojca zamiaru. Prawie już dokonywała swojego dzieła, gdy podejrzliwość ojca wcale inny obrót rzeczy nadaje. Wacław i Aniela zdybani na wieczornem sam na sam, muszą się przyznać do wzajemnéj miłości, któréj ze strony mężczyzny nigdy nie było; a gdy z tego powodu Wacław mówi Anieli, że ją nienawidzi, ta ostatnia dostaje obłąkania zmysłów, a Wacław tymczasem wraz z Julią ucieka. Z téj plątaniny wypadków widzimy, że pan Dzikowski *scharakteryzował* tylko dwojaki rodzaj miłości, ale nie wydobył na wierzch ostatecznego swego zdania i sądu, nie zbudował żadnéj całości — tylko małą jéj cząstkę, którą miotają burze przypadkowości i awantur. Walki namiętności, odkreślenia jéj jasnego nie ma prawie wcale; charakteru żadnego. Słowa, uczucia, są suche, bez życia, bez wyrazu, idą po sobie, posiekane na dyalogi, jakby rozprawa pocięta na wierszowe kawałki. Przypadek, grający w téj historyi najgłówniejszą rolę, możliwy w rzeczywistém życiu, nie został przyodziany szatą artystycznéj prawdy, nie wzbudził więc sympatyi dla swojéj ofiary, tylko smutne (dla utworu) ubolewanie nad zbiegiem fatalnych okoliczności. Tak więc *Miłość* i *miłość* ma pierwszy pomysł dobry, mogący nawet posłużyć za temat do obszerniejszego utworu; z powodu braku charakterów, zwłaszcza tego, któryby był moralnym motorem dramatu *(Anieli)*, z powodu słabego organizmu namiętności i jeszcze słabszego jéj wypowiedzenia, nie tylko nie stanowi artystycznéj całości, ale nawet w szczegołach swoich nie przedstawia wyższych zalet. Co więcéj, lekki, zręczny dosyć dyalog, który nadaje barwę mniejszym obrazkom p. Dzikowskiego, tutaj dla poważniejszéj treści zaniechany, nie zamienił się w dramatyczną, silnie uczuciem przejętą dykcyę, ale stał się rozwlekłą, nieponętną wcale gadaniną.

Z *czterech* komedyj obszerniejszego zakresu dajemy *względne* pierwszeństwo *Poświęceniom* napisanym przez pp. *Józefa N.* i *Wołodego Skibę*. Na wyrazie *względne* kładziemy nacisk z tego powodu, że komedyi, któraby odpowiadała najgłówniejszym choćby warunkom sztuki, tak jak i w roku 1869 nie było i w zeszłym. Wyższość jednakże tego ostatniego nad swoim poprzednikiem wyraża się w tym wymownym fakcie, że gdy poprzednio mieliśmy *jedną* tylko komedyę, obecnie mamy ich cztery: (*Poświęcenia*, *Wanda*, *Zemsta pani hrabiny*, *Febris aurea*). Wartość ich jest różna a tém się odznaczają, że z wyjątkiem jednéj, reszta nosi na sobie cechę tendencyjności.

I tak *Poświęcenia* mają na celu przedstawienie dosyć rozpowszechnionego rodzaju ludzi, co lubią samolubstwo swoje płaszczykiem poświęcenia dla innych okrywać. Główną postacią uosabiającą w sobie ideę komedyi jest pani *Laura*, któréj całe życie jest pasmem bezustannych poświęceń. Przez poświęcenie wyszła za mąż za starego ale bogatego człowieka; przez poświęcenie ukrywa w świetnych strojach swą niepospolitą urodę, żeby córce pozwolić tém cudniéj zabłyszczéć; przez poświęcenie trzyma przy sobie siostrę, starą pannę, która ją we wszystkich zatrudnieniach domowych wyręcza i na którą swój zły humor może wylewać swobodnie; przez poświęcenie pragnie swą córkę powierzyć bogaczowi, ażeby z nią razem tém swobodniéj używać świata, który dla niéj nie postradał nic ze swego uroku... Słowem, nie można kroku postąpić, ażeby nie posłyszéć z ust jéj wychodzącego wyrazu: ofiara, poświęcenie. Córka w takiéj atmosferze wyrosła, jestto istota złożona z próżności, chęci podobania się i zbytku, któréj jedyném zdaniem: bogato przystroić wieniec swój ślubny. Napotkała téż na swéj drodze taki *przedmiot*, co mógł jéj ku temu celowi posłużyć i dołożyła wszelkich starań ażeby go uplątać, do siebie pociągnąć. Przedmiot ten jednakże prócz pieniędzy i serca miał téż i cokolwiek rozumu, chociaż w stanie uśpienia, spowodowanym przez ślepego Erosa, jak powiadali starożytni. Rozbudza go z tego uśpienia rozum praktyczny uosobiony w jego przyjacielu, co chcąc go wyratować podstawia pewnego starca z galanteryą przedpięćdziesięcioletnią, który dotychczas zbierał tylko grosze, przed oczy owéj panny dla zrobienia w jéj uczuciach dywersyi. Planik się udaje, stary, niezgrabny, nie mogący zgiąć kolan, śmieszny bogacz więcéj u panny znalazł waloru, niż mniéj przez fortunę udarowany poprzedni jéj wielbiciel, który zostaje uratowany; gdy tymczasem owa rachunkowa panna osiada na koszu, bo się pokazało, że owe starania starca były tylko próbą, były *poświęceniem* dla odjęcia ofiary próżności. Równolegle odbywa się cicha, skromna miłość owego rozumnego przyjaciela z kuzynką córki pani Laury, miłość uwieńczona naturalnie pomyślnym skutkiem. Takie są ramy téj komedyi pod względem artystycznym niezbyt szczęśliwie wykonanéj, bo bez spójnéj intrygi, która zawiązuje się dopiéro przy końcu prawie i zbyt szybkiém zakończeniem przerywa raczéj, niż rozwiązuje utwór. Podnosić myśli w Po-

święceniach zawartéj niéma potrzeby: jest ona jasna i dla każdego zrozumiała, jestto jakby świętoszkostwo swojego rodzaju. Dyalog jest żywy, choć zużyty, dowcipu znaczna dosyć doza; charakterów dobrze odkreślonych dwa: pani Laury i jéj męża staruszka facecyonisty, zajętego po całych dniach pszczolarstwem i prawie monomana. Sztuka ta napisana jest we dwóch. Przykład pracy podobnéj w zakresie literatury, za granicą, a zwłaszcza we Francyi bardzo pospolity, u nas dotąd zaledwie po trzykroć dostrzedz się daje, a mianowicie: Kraszewskiego z Dycalpem (Placydem Jankowskim), tegoż z doktorem Wolfgangiem w opisie Druskiennik, i tak zwana *powieść zszywana*, któréj autorowie komiczne przybrali nazwiska.

P. Wołody Skiba (Władysław Sabowski) pracujący w literaturze co najmniéj lat już 15, nie pozyskawszy wielkiego w niéj rozgłosu sam jeden, połączył się i stowarzyszył z innemi i dał w roku zeszłym dwa utwory składane: komedyą *Poświęcenia* i powieść *Straceni*. W talencie p. Skiby dostrzedz można kilka bardzo cennych przymiotów, mianowicie: trzeźwy i zdrowy pogląd na rzeczy, brak affektacyi i śmiesznéj miłostkowości, dowcip niezbyt wprawdzie obfity, ale w każdym razie większy od innych nam spółczesnych (obecnie) powieściopisarzy i wreszcie żywość i oryginalność stylu. Brak mu jednakże widocznie twórczéj fantazyi artystycznéj, któraby rzecz powieściową lub dramatyczną rozwijała w całkowitych, skończonych obrazach. Ztąd utwory jego mniejsze (których jest mnóstwo, zwłaszcza w *Opiekunie Domowym* od 1865 r. t. j. od czasu jego powstania) i większe (kwiat Sumatry, Pan Walery, Rodzina Orskich, komedya Pozorów) są zbiorem ułamkowych szkiców, pełnych nieraz zalet, ale nie całości. P. Wołody Skiba jest także i poetą rymowym. Oprócz wielu drobnych wierszy, w 1860 wyszły jego *Ziarna i Plewy*, a w 1869 poemat *Edward*, tudzież przekład z poety węgierskiego Petőfiego: *Janosz Wojak*. *Poświęcenia* są o ile wiemy, pierwszą jego próbą na polu dramatycznem, próbą jednakże nie przedstawiającą wad początkowania. Napisana ze znajomością sceny, dobrze ułożona, ma jednak wadę spólną wszystkim utworom p. S.; brak jéj zaokrąglenia, całości, brak istotnéj siły dramatycznéj, objawiający się w źle poprowadzonéj intrydze. Nie można powiedzieć, żeby w Poświęceniach przebijała się dwoistość ręki, i owszem wszystko tam równe, gładkie, nie głębokie i nie płaskie, tak jakby przez jednego pisane. Co do spółkowéj pracy artystycznéj jesteśmy w ogóle zdania, że można przez nią niezłe tworzyć rzeczy drobne, obmyślane, lepiéj może przeprowadzone, ale arcydzieła (choćby na małą skalę, trudno się od niéj spodziewać. Nie jestto praca twórcza ale robotnicza. Do wszystkich wielkich rzeczy potrzeba zestrzelenia w jedno ognisko wszystkich władz duszy: myśli, fantazyi, uczucia; wówczas wychodzi całość jakby z jednego odlewu. Praca twórcza jest modlitwą, potrzeba się do niéj skupić.

P. *Zygmunt Sarnecki* jest nową zupełnie osobistością literacką, powiększającą zastęp polskiéj dramaturgii. Przedstawiona w r. 1869 na scenie warszawskiéj pięcioaktowa jego komedya: *Zem-*

sta pani hrabiny z poziomu teatralnych desek ogłosiła to imię. Publiczność przyjęła sztukę dość chłodno, krytycy ogólnie biorąc, dość przychylnie. Dyalog był potoczysty, elegancki, upstrzony co prawda mnóstwem francuzkich frazesów, ale ponieważ przedstawiał arystokratyczną sferę i to po części poza granicą kraju; nie robiono z tego autorowi wielkiego zarzutu. Komedya była bezcelową, bezteudencyjną: przedstawiała obraz życia sfer wyższych, zcudzoziemczałych, chciała odrysować kilka charakterów z tego świata. Pani hrabina miała niegdyś adoratora, który przy zaczęciu sztuki jest narzeczonym pewnéj panienki (Julii), która niczém się inném nie odznacza, tylko właśnie podobieństwem do tysiąca innych. Hrabina, sądząc mylnie, że on rozgłasza stare jéj romanse, przez intrygę skłania matkę Julii do przyrzeczenia jéj ręki kapitaliście Goldbergowi. Ztąd wynika pojedynek na scenie między owym dawniejszym narzeczonym a bratem Julii, skutkiem którego rzecz się cała wyjaśnia: w Julii budzi się serce, zemsta hrabiny pełznie na niczém i komedya kończy się jak mniéj więcéj wszystkie jéj siostrzyce. Treść lekka, błaha nawet, nie daje wyższego znaczenia komedyi, którą ratują dwa głównie charaktery: kapitalisty Goldberga i męża pani hrabiny, który z początku uległy jéj kaprysom, zdobywa się na energię i naznacza jéj właściwe miejsce w ekonomii małżeńskiego pożycia. Charaktery te jednak jak zresztą wszystkie inne nie były własnością oryginalną p. Sarneckiego: ich słowa, postępowania, sytuacye nawet na każdym niemal kroku zdradzają swe pochodzenie: z kartek romansów francuzkich. Jestto uwaga, która każdemu obeznanemu choćby powierzchownie tylko z literaturą nadsekwańską, za przeczytaniem kilku scen lub przypatrzeniem się im na scenie, mimowolnie przychodzi. Nie wypada ztąd jednak, żeby były całkiem niemożliwe w naszéj wyższéj społeczności, która małpuje za granicą dźwięcznie paplącą. Taki był pierwszy występ p. Sarneckiego, drugi (w szpaltach Gazety tylko, przynajmniéj u nas) przedstawia się trochę inaczéj. Zamiarem autora było udramatyzować często od kilkunastu już lat na rozmaity sposób opiewany zwrot ludzkich praktycznych umysłów do złotego czy papierowego materyału pomyślności, zwrot, który w objawach swoich nader rozmaitéj wartości moralnéj fazy przechodził i przechodzi. *Febris aurea* (gorączka złota) opanowała większą część umysłów, zatruła spokój domowy, zabiła sumienie. W utworze p. Sarneckiego występuje głównie dorobkowicz mający sumienie zapisane krwawemi oskarżeniami ludzi, którym po kawałku wydzierał złoto dla zbudowania ołtarza dla swéj jedynaczki... Dziwnym on jest człowiekiem, przynajmniéj go dziwnie p. Sarnecki przedstawił. Pochodzenia chłopskiego, zrobił majątek na przemyśle wódczanym, wykradł i ochrzcił żydówkę za którą dziwném zrządzeniem okoliczności wielki wziął posag; nawet doszedłszy już kilkomilionowéj fortuny, nie wyrzekał się zysków, które na liwerunkach żydowskich mógł dla siebie wycisnąć. W obejściu jego, w całém otoczeniu nie widać najmniejszéj różnicy od arystokratycznego oburzenia, w którém z mi-

łą chęcią jest przyjmowany, nie popełnia żadnéj towarzyskiéj śmieszności, jest nawet galantem. Nie przeczymy bynajmniéj, żeby dorobkowicze w ogóle, któremi przepełniona jest nasza literatura, podnosząc niesłusznie ich tylko śmieszności, nie mogli się nic odróżniać w niczém od ludzi nawykłych do życia wystawnego; ale w danym przypadku, taką nagłą a raczéj radykalną zmianę w włościaninie bez żadnego wykształcenia, uznać musimy za antypsychologiczną. Jestto uwaga poboczna, wracam do innych osób. Mamy tu jeszcze obraz przemysłowca, kwintessencyę (zdaniem autora a nie czytelnika) europejskiéj oświaty, pogardzającego wspomnieniami, na spekulacyach giełdowych opierającego swój byt teraźniejszy, z uśmiechem łatwym i sercem bez napisu, które gotowe do najszaleńszych przeskoków od jednego do drugiego krańca wieku ludzkiego, byle tylko.... z banknotami. Jest hrabina objeżdżająca co rano swoje obszerne majątki osobiście i upatrująca gdzie co można oberwać. Są jeszcze dwaj żydzi: z których jeden reprezentuje uczciwy a drugi byle jaki sposób zarobku. Ażeby posklejać jako tako wszystkie te osobistości i jeszcze kilka innych (idących równolegle ale nie połączonych czcią jednego Boga) użył autor starożytnego skarbu, zakopanego gdzieś w piecu kaflowym, w którym oprócz kartki z przestrogą nic więcéj się nie znajduje. Łatwo pojąć, że i ów dorobkowicz i ów przemysłowiec i owa hrabina, starają się nabyć ów majątek, a raczéj ów piec ze skarbem i to stanowi punkt jedności dla komedyi, która inaczéj byłaby seryą scen niczém ze sobą niezłączonych, lub zupełnie niepotrzebnych.

To jedna tylko strona tego utworu. Równolegle jak powiedziałem, idą charaktery wolne od scharakteryzowanéj choroby. Jestto mianowicie młody właściciel owego majątku z piecem kaflowym i stary jego opiekun, który zamiłowany w archeologii, przeoczył potrzeby praktyczne i dla dania jakiegokolwiek zasiłku swemu pupilowi nie widział innego sposobu prócz sprzedania majątku. Otóż ów młody właściciel (Juliusz) kocha się w Leokadyi córce dorobkowicza, ale nie chce wziąć jéj za żonę, ponieważ „dukaciki jéj ojca nie wykazałyby zkąd rodem," a raczéj wykazałyby to ze wstydem. Jeden ten rys oznaczający człowieka z charakterem silnym, przejętym istotną moralnością, odznacza dosyć zresztą wyblakłą postać bohatera i nadaje mu piętno. Wchodzą tu jeszcze: jakiś idealista, marzyciel, który się kocha również w Leokadyi, ale mówi o tém tylko niejakiemu doktorowi, który wszystko obserwuje, ma być filozofem sztuki, pełnym dowcipu odmówionego mu przez naturę; daléj niodorostek książe Lilli, kochający się w guwernantce Leokadyi, która go straszy ciocią, że ta mu klęczeć każe itp.

Oto jest ogólny obraz téj chaotycznéj komedyi, w któréj wszystkiego po trochu, ale związku i ładu jak najmniéj. Tytuł wskazywał cel wyższy komedyi; roztrząśnienie znanéj, oklepanéj niemal kwestyi, ale zawsze ważniejszéj trochę od anegdotki o piecu, która jest ostatecznie essencyą całości. Interes czytelnika skupia się w dwóch osobach, które tu są rzeczywiście potrzebne: Juliusza

i Leokadyi, czy się połączą, czy nie. Przeszkodę już znamy, usuniętą ona została przez skarb, w którym spodziewano się zastać złoto, a zastano papierek, który na giełdzie ma znaczenie zera. Na tym skarbie Juliusz opierał swój związek z Leokadyą, po której nie chciał dostać nietylko posagu, ale nawet obecności ojca zmuszonego przez zięcia pokutować oddaleniem. Gdy skarbu nie znaleziono, Juliusz odstępuje od swego zamiaru? Trudności więc wskazanéj poprzednio nie uczyniono zadość; jakiż więc cel miała komedya? Widocznie w umyśle autora nie było jasnego pojęcia zadania, czyż ono mogło odbić się w utworze?... Autor użył mnóstwa osób, które pokazały tylko jego nieumiejętność postawienia ich na scenie, niektóre jak np. owego idealisty, doktora i żydów, najzupełniéj mogą być wyrzucone ze scenicznego personelu bez najmniejszéj szkody całości. Nie idzie jednak zatém, żeby w tych osobach i scenach nie było wiele zalet (szczególniéj w żydach, na których autor w przypisku robi szczególny nacisk): owszem, dyalog dość zręczny, gładki, średnio dowcipny, jest niepoślednim środkiem artystycznym dla autora; ale cóż po tém, kiedy się to wszystko z sobą nie łączy. Prócz tego zwrócić muszę uwagę, że wszystkie osoby w słowach swoich są zawsze *unisono*; jednym i tym samym stylem, jednemi i temi samemi wyrażeniami i dowcipami posługują się wszyscy (oprócz żydów). Czuć w tém brak artystycznego rozmysłu i poczucia indywidualnéj różnicy każdéj osoby nie tylko w postępowaniu ale nawet i w słowach. Nie pomogą tu nic grzmiące słowa o niwelacyjnym wpływie cywilizacyi; dopóki istnieć będą odrębne charaktery (a takie są w komedyi p. S.) dopóty będziemy mieli i ich odrębny sposób wyrażania swych myśli.

Czy w porównaniu z *Zemstą pani hrabiny* nie widzimy w *Febris aurea* postępu? I owszem, od próżnéj, błahéj wielkoświatowéj intrygi, p. S. przeszedł do *przeczucia* ważniejszych tematów; od nawpół francuzko-romansowych postaci, posunął się do wierniejszego malowania naszéj rzeczywistości; od charakterów zaledwie naszkicowanych podniósł się do trochę pełniejszych. Wzbogacenie jednak treści rozepchało formę, w którą zmieścić się nie mogła; rozerwanie jedności (gorączka złota, i zupełnie inna kwestya szlachetnéj drażliwości sumienia Juliusza) nie nadało utworowi cechy wykończenia. Przyszłość dopiéro pokaże, czy p. Sarnecki zdoła połączyć treść ważniejszą z formą jéj odpowiednią, czy utworzy *komedyę* w pełném znaczeniu.

Pani *Zofia Mellerowa* wystąpiła poraz pierwszy na deski teatralne w r. 1867 ze *Złotém runem*, w którém krytycy upatrywali jak na pierwszą próbę, dosyć dobry dramatyczny obrazek, ceniąc atoli głównie dyalog i dowcip autorki, co zresztą musi być wypływem i dobrego opanowania przedmiotem, o którym się coś zwięźle, zręcznie lub dowcipnie powiada. Po *Złotém runie* nastąpił mniejszy jeszcze obrazek *Postanowienia*, który miał kilka scen niezłych, ale widać w nim było jakąś skłonność do rozwijania deklamacyjnych ustępów, które były tylko prostym balastem sztuczki. W roku

zeszłym pojawiła się już 3aktowa komedya: *Wanda*, oceniona bardzo rozmaicie. Na scenie po kilkakrotném przedstawieniu nie utrzymała się. Żywioł deklamacyjny rozwinął się tu w całéj pełni. Oto krótka treść: Pewien młody hrabia, człowiek szlachetny, ukształcony i... nudny, zaręczony jest z kobietą próżną, zajętą strojami, chcącą się bawić, posiadającą atoli w głębi duszy jakieś wyższe, szczersze uczucie, które dopiéro pod ciężarem nieszczęścia się objawia. Z początku jest zdecydowana pójść za hrabiego dlatego tylko, ażeby zostać hrabiną i zasilić milionami chudą szkatułę *rodziców* hrabiego. Na drodze temu połączeniu staje biédna nauczycielka, która prócz niezmordowanéj pracy i wyższych pojęć nic więcéj w dom ulubionego nie wniesie. Można się domyśléć, że ta nauczycielka wywarła na hrabiego wpływ stanowczy, który pomimo zrzeczenia się kobiety, musiał przyjść do urzeczywistnienia przy ołtarzu. W kobiecie zaś owéj próżnéj wypadek ten wykrzesuje miłość dla hrabiego, która niczém inném się zresztą wyrazić nie może, prócz... bolesną ironią z pękatéj szkatuły. Treść, jak widzimy, pożyczona z pierwszéj lepszéj powieści Berquina lub kogo innego; mogła się wprawdzie stać interesująca (bo dla kogóż tryumf cnoty i pracy nie może mieć powabu?), gdybyśmy w komedyi znaleźli ludzi a nie... frazesy. Otóż namiętności ludzkie wypowiadają się tu suchą nomenklaturą szumnobrzmiących wyrażeń, wygładzonych i poprzestawianych wedle prawideł o okrągłości okresów nawet wśród scen najbardziéj gorących, w których tyleż się przynajmniéj myśli o peryodach znajduje, ile o niebezpieczeństwie febry przy ratowaniu tonącego. Przesada i wyszukanie w słowach z jednéj strony, a brak istotnéj akcyi z drugiéj, zatarły wrażenie kilku dobrze pomyślanych postaci, jak np. ojca hrabiego, podagrzysty, epikurejczyka, który przecież obok myśli głównéj, zachowania równowagi w swoim fizycznym organizmie, nie wyrzekł się jeszcze uczuć rodzicielskich, świętych. Jestto charakter, który powstał z połączenia samolubstwa, interesowności i z poczciwości tradycyjnéj. Takich spotykamy massami, i to właśnie nadaje żywotności téj postaci. Drugim charakterem dobrze pojętym jest owa próżna ale w gruncie niepozbawiona uczucia kobieta, która w chwili walki łatwo zapomina o najważniejszych swoich zkądinąd zajęciach: koronkach i wstążkach. Te dwie postacie są samodzielnie pojęte i dają dowód pewnego stopnia twórczości w autorce. Bohatérowie jednak główni tak są bladzi, tak nic nie umiejący zrobić, prócz powiedzenia nauczających i moralnych, ale wszystkim aż nadto dobrze znanych kazań, że całość robi wrażenie akademickiéj mowy, a nie dramatu. Jestto wada wszystkich bez najmniejszego wyjątku, młodych t. j. świeżo występujących na widownię literacką autorek, że się nie umieją powstrzymać w zapale kaznodziejstwa; wypowiadają z całą pompą nową wykrytych w duchu lub społeczeństwie ludzkiém pewników, zdań takich, które przechodząc stopniowo od poezyi, powieści i dramatów, znalazły się wreszcie w każdym elementarzu, w każdéj, choćby najlichszéj powiastce dla dzieci. Zapominają ta-

kim sposobem o starém a bardzo nauczającém przysłowiu łacińskiém: *ne acta agas*, t. j. nie przelewaj z pustego w próżne. Zapominają prócz tego, że źródłem zadowolenia w dramacie czy powieści, nie tyle jest piękna maksyma moralna, ile rzeczywistość obleczona w szatę działania i wypadków; nie tyle rozumowania porwą czytelnika, ile go jakiś obraz, sytuacya, wypadek zajmie. Nie znaczy to, żeby ze sfery piękna należało wykluczać wszelkie myśli, które powinny być podstawą *wszelkiéj* a zatém i *estetycznéj* działalności człowieka; ale w dziele sztuki myśli *oderwane* należy zamieniać w obrazy *rzeczywiste*. To jest właśnie zasadą wszelkiéj poezyi, wszelkiego piękna. Jeżeli ktoś czuje w sobie zdolność tworzenia takich obrazów, niech pisze powieść, dramat lub komedyą; jeżeli zaś kto w imaginacyi swojéj dostrzega tylko sam szkielet rozumowania, a co gorsza frazesów, niechże nie stawia tego szkieletu w obec żyjących postaci.

Tak surowego wyroku nie zastosujemy do pięciu rozebrać się jeszcze mających *obrazków dramatycznych* stanowiących niejako drobną monetę sztuki. Na czele postawimy utwór młodego poety p. *St. M. Rzętkowskiego*, znanego już czytelnikom z zeszłorocznego przeglądu. Utwór ten ma napis: *Naszyjnik brylantowy*. Jestto fraszka dość zręcznie przeprowadzona. Młode małżeństwo jest w nieporozumieniu, którego przyczynę najbliższą widzimy w tajemniczém wchodzeniu i wychodzeniu jakiejś osoby z pokoju małżonki. Tajemniczość ta budzi zrazu niepokój a potém straszne nawet podejrzenia w sercu męża. Ztąd wynika rozmowa, która dzięki otwartości i szczerości małżonki, doprowadza nie tylko do wyjaśnienia, ale i do istotnego pogodzenia się stron obu. Osobą ową tajemniczą był po prostu jubiler, od którego małżonka nabywała fałszywe brylanty (na prawdziwe ją niestało), co chciała ukryć przed mężem, ażeby nie stracił illuzyi. Rzecz kończy się morałem, że ludzie z pozoru sądząc inaczejby to osądzili i postępowanie jéj surowéj poddaliby obmowie; lepiéj więc zamiast brylantów wpiąć we włosy biały kwiat kamelii. Przeprowadzeniu tego urywka zarzucamy moralizujący koniec, który psuje najzupełniéj efekt całą poprzednią rozmową. Jak na poetę i to poetę dramaturga—zamało w nim wynalazczości. Zresztą dyalog żywy i dobrze utrzymany.

Pana *Władysława* hr. *Koziebrodzkiego*, autora kilku dramatycznych drobnostek, nazwanych komedyami, otrzymaliśmy w roku zeszłym dwie sztuki: *Po ślubie* w dwóch aktach i *Balowe rękawiczki* w jednym. Pierwszą ma większą pretensyę, bo się nazywa komedyą: ale do niéj nie dorasta; druga nazwana obrazkiem, z ram jego wcale nie wychodzi.

Po ślubie, ma za przedmiot to rzeczywiście prawdziwe spostrzeżenie, że bardzo a bardzo często ślub jest granicą dwóch zupełnie odrębnych usposobień: przed nim jak tu np. mężczyzna starający się o kobietę jest zapamiętałym zwolennikiem śpiewu słowika, szemrania potoku, kaskady, fortepianowych dźwięków i t. p.; po za nią gra żony go nie wzrusza, wzniosła poezya zasypia, kwiaty

nudzą.... Na podobną właśnie chwilę w małżeństwie natrafiła para narzeczonych i zrobiła komedyą w komedyi. Powiedziano owemu znudzonemu już młodemu małżonkowi, że warunkiem połączenia się zakochanéj pary będzie widok niezmiennéj, jakby przedślubnéj miłości w małżeństwie. Dobry w gruncie chłopiec zgadza się na odgrywanie scen czułych, w których tak wreszcie zasmakował, że i nadal wyprawiać je przyrzeka. Nic to jednakże nie przeszkadza, żeby nazajutrz po odjeździe gości nie miał wrócić do ziewania przy bębnieniu po fortepianie choćby z wielkiém uczuciem. Zastrzegam, że to uwaga nie autora, ale moja. Autor w optymizmie swoim nie wątpi (w sztuce naturalnie), że ów małżonek wiecznie pozostanie zakochanym w swéj żonie. Oto i cała treść.... nie głęboka, co prawda, czysto obrazkowa. Wykonanie... ot, ujdzie. Dowcipu, jak prawdziwych brylantów, bardzo mało.

Jeszcze mniéj go znajdziemy w *Balowych rękawiczkach*, których missya rzeczywiście bardzo ważna, bo rozstrzyga o losie dwojga, owszem trojga ludzi. Rozgrywa się to Hamletowskie pytanie: czy hrabina pojedzie na bal, czy nie pojedzie? i czy przez to da nadzieję jednemu czy drugiemu konkurentowi. Ktoby uwierzył że tak ważną kwestyę załatwia... roztargnienie jednego z pretendentów do ziemskiego raju? Przez pomyłkę zostawia on swoje a bierze hrabiny rękawiczki, która nie mogąc dla spóźnionéj pory kupić sobie drugich, (dziwna rzecz, że tylko jedna para była u hrabiny) musiała się wstrzymać z pojechaniem na bal.... i oddała rękę roztargnionemu. Wiadomo, że podobne sztuczki utrzymują swój smak jedynie za dodaniem dobréj dozy soli atyckiéj, bez któréj ulatniają się w oka mgnieniu... nie z papieru na którym się znajdują, ale z umysłu czytelnika, który je przyjął. A prócz tego, gdy nie są świéże!... Szkoda i mówić o tém.

Ciągle jeszcze otrzymujemy pozostałości z teki ś. p. *Gabryeli z Güntherów Puzyniny*. Dowodzi to wielkiego poszanowania dla zmarłéj, ale nie zawsze dobrego smaku. Mojém zdaniem tylko z prac geniuszów i wielkich talentów zbierać powinniśmy najdrobniejsze okruszyny, bo oni skupiając w sobie częstokroć łata całe z życia narodu, winni być rozważani w drobnostkowéj całości. Rozjaśni to ich ducha, rozjaśni i stan umysłów ogólny. Ale dla talentów skromniejszych którzy więcéj słyną z wypracowania niż z natchnienia, jestto rzeczą zbyteczną. Tak naprzykład *Kronika Rodzinna* w roku zeszłym wydrukowała dwie drobnostki: *Trafiła kosa na kamień*, w któréj zapalona do swoich bazgrot niebieska pończocha, kładąca w uszy każdemu kto chce lub nie chce swoje dolnolotne utwory, spotyka się z podobnymże egzemplarzem rodzaju męzkiego i rada nie rada ustąpić mu musi, przyrzekając poprawę; i *Obrączki zaręczynowe*, gdzie znana od czasów Polikratesa a raczéj Herodota bajka o rybie, w któréj wnętrzu, pierścionki umyślnie rzucone się odnajdują, harmonią dwóch serc zerwaną niegdyś przez lekomyślność jednego z nich, kojarzą. Rzeczy to już należące do archeologii a nie do teraźniejszości żywéj i kipiącéj, wypowiedziane

sposobem mdłym, rozwlekłym i nudnym. Nie wzbogacają one ani myśli, ani uczucia; nie przynoszą nawet umysłowéj rozrywki. Lepiéj im było spoczywać. Rozumiemy cześć dla osoby, ale nie lubimy fetyszyzmu.

Taki jest ścieśniony obraz utworów oryginalnych z roku zeszłego. Oprócz Mazepy i dwóch ostatnich, wszystkie zresztą pisane są prozą, która zdaje się stanowczo ma wyprzéć rymy z zakresu poezyi dramatycznéj. Jestto dążnością bardzo naturalną i odpowiednią dzisiejszemu dążeniu sztuki; odbijania ważniejszych momentów z rzeczywistości farbami tejże rzeczywistości. Ztąd téż, w komedyi przynajmniéj, zawsze nas raził wiersz rymowy najzupełniéj przeczący zwykłemu tokowi rozmowy towarzyskiéj, któréj miał być wyrazem. W ogóle zamiłowanie w rysunku wiernym, realnym, w rozmaitym naturalnie stopniu doskonałości, jest cechą wspólną wszystkich dzisiejszych, dopiéro co rozbieranych utworów. Idealnych, pozaświatowych postaci szukać nam przyjdzie tylko w Mazepie i w postaci Anieli (*Miłość* i *Miłość*), która jak się zdaje powstała pod świeżym wpływem utworu Słowackiego i jest bladą kopiją (w swoim charakterze wewnętrznym) głównéj bohaterki Mazepy. Zresztą wszyscy inni autorowie starają się brać swe postacie prosto z życia dzisiejszego, odbijając nawet niekiedy, chociaż bardzo nieznacznie kierunki niektóre młodszego pokolenia (w *Febris aurea: Krot*, Spekulant giełdowy, *Juliusz i Maurycy* zwący się każdy człowiekiem przedewszystkiem *praktycznym*; w *Poświęceniach*: Edward wyobraziciel zapanowania ale nie zatłumienia uczucia przez rozum). Co jest idealném i powinno takiém zostać w dramatach i komedyach naszych, to pojęcie miłości, jako kwiatu uczucia, jako spójni nietylko rodzinnéj ale i społecznéj. Zadalekoby to nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli bliżéj myśl tę rozwinąć, wykazać wyższość tego poglądu, nad traktowanie miłości jako rzecz przelotną, z uśmiechem sceptycznym lub gorzką ironią. Ale zapatrywanie to sprawia monotonią, gdy nie jest podniesioném przez inne, przeciwne poglądy; a każda monotonia zabija sztukę, która jest właśnie zharmonizowaniem przeciwnych żywiołów i kontrastów. Tu więc odnajdujemy przyczynę tego smutnego zjawiska, dlaczego przy czytaniu tych utworów, lub przypatrywaniu się na scenie (Wanda), trudno się obronić ziewaniu, chociażby się nawet oddawało wszelkie pochwały pojedyńczym scenom, charakterom lub myśli przewodniéj.

W porównaniu z r. 1869 widzimy już postęp ogólny wielki; jeżeli nie mamy jak poprzednio, tak i teraz dobrego dramatu, to przecież możemy *jednéj* przeciwstawić *cztery niezłe* komedye. Zawsze atoli brak ogólny wyżéj wskazany czuć się w nich daje (obok wielu ubocznych, jak w każdém dziele ludzkiém); i dopóki autorowie nie zaczną wszechstronniéj zapatrywać się i przedstawiać rzeczywistości, zachowując zresztą koniecznie wysokie swoje poglądy na miłość, dopóty oryginalna nasza dramatyczna literatura, nie zapuści silnych korzeni w społeczeństwie naszém; dopóty na utwo-

rach francuzkich, pomimo całéj ich częstokroć niezastosowalności do życia naszego więcéj będzie widzów; dopóty zdanie, że oprócz sporadycznych przykładów, nie ma u nas oryginalnego narodowego dramatu czy komedyi, będzie miało całkowite swoje znaczenie.

Przechodzimy do tłumaczeń.

Za najważniejszy nabytek dla naszéj literatury uważa się świeżo dokonany przekład, nieznanego dotąd w mowie polskiéj utworu Szekspira, który ma napis *Tymon*. Do takiego uznania skłania nas nie szczególna doniosłość artystyczna czy społeczna téj tragedyi, ani téż mistrzostwo w jéj odlaniu na nasz język; ale po prostu nowość. Aż do ukazania się Tymona wybierano zwykle pewne kółko tworów Szekspira i na kręceniu się w niém wszystkie zużywano siły. Hamlet, Romeo i Julia, Mahbed, Król Lear, Otello znajdowały gorliwych przekładaczy od Kefalińskiego aż do Ostrowskiego; zachwycano się niémi, podziwiano, komentowano, oddając resztę na łup zapomnienia. P. E. L. zrozumiał, że kręcenie się nie jest alfą i omegą artystycznéj działalności, którąby mogła istotny pożytek społeczeństwu przynieść: postanowił więc i dokonał rozszerzenia granic tego koła, tłumacząc Tymona. Utwór ten ma za cel przedstawienie charakteru człowieka dobroczynnego, rozrzutnego nawet, ufającego w szczerość uczuć ludzkich wypowiadanych słowami człowieka, który po stracie majątkowéj przekonywa się o fałszywości swego dawniejszego mniemania, udaje się w oddalone miejsce i tam żyjąc samotnie, staje się mizantropem, nie mogącym znaleźć dosyć wyrazów na skarcenie podłości i nikczemności ludzkiéj. Inwencya tego pomysłu jak w ogóle wszystkie inne sztuki Szekspirowskie, nie jest zasługą tego poety. Treść w głównych rysach zaczerpnięta jest z podań greckich o tym odludku, zapisanych u Plutarcha. Widocznie Szekspir nie znał obrobienia tego tematu przez dowcipnego pisarza greckiego z II wieku po Chrystusie, *Lucyana*, boby ten dostarczył mu przynajmniéj greckich nazwisk, mających tu taką rolę jak przyjaciele Tymona w tragedyi Szekspira np. *Gnatosides*, który jak powiada Tymon u Lucyana, wczoraj dał mi kawał powrozu, gdym go o chléb prosił, a zjadał najsmaczniéj przed tém moją pieczeń; albo *Filiander* którego córce dał posag za to że jego głos chwaliła, a kiedy schorzały i głodny przyszedł do niego, kazał go obić; albo *Demeasz*, krasomówca, który dowiedziawszy się o znalezieniu skarbu przez Tymona pośpieszył co prędzéj z sążnistym, doskonale napisaném postanowieniem areopagu, nakazującego postawić pomnik szlachetnemu ateńczykowi Tymonowi i t. d. Tymczasem u Szekspira rażą niestosownością swoją nazwiska łacińskie, których ówcześni Grecy nawet ze słyszenia nie znali; tak np. Lukullus, Semproniusz, Hortensyusz, Flaviusz, i t. d. Lucyan na temat Tymona napisał *dyalog*, wychodząc z owéj chwili, kiedy go zbytnia poczciwość i dobroć serca zniszczyła, bo rozumiejąc że użycza przyjaciołom, między kruki i wilki to rzucał: ci obj dli go, skradli i poszli, bo już nic było co jeść i kraść. Wtém z rzą-

dzenia Jowisza wykopuje skarb, o którym wieść rozchodzi się lotem błyskawicy i jeszcze prędzéj sprowadza mnóstwo dawnych jego przyjaciół, którym razem z pieniędzmi czułość powróciła. Ale Tymon doświadczony w biédzie, rozgania ich motyką i rydlem, a kiedy nie może już dać sobie rady, kamieni się chwyta. Odtąd postanawia żyć zdala od ludzi, którym po wszystkie czasy nieubłaganą nieprzyjaźń wypowiada. Co więcéj przerzuca się w drugą ostateczność i chce w piwnicy skarby swoje ukryć, strzedz ich przez całe życie a gdy umrze razem z niémi spoczywać (1). Z tego przytoczenia widzimy spólność pomysłu wynalezienia skarbu i schodzenia się różnych osób do nowo wzbogaconego. Widać atoli różnicę w głównem pojęciu charakteru Tymona. O ile u Lucyana występuje na jaw ta właściwość niektórych wyższych usposobień ludzkich, że z jednéj w drugą wpadają ostateczność; o tyle Szekspir przelał w swego bohatéra nieuleczoną niczém chorobę znienawidzenia ludzi po zbytniéj a raczéj nierozumnéj ich miłości; nierozumnéj powiadam dlatego, że Tymon nie umiał się poznać na istotnéj wartości człowieka, nie ocenił go wedle rzeczywistych jego oznak, ale podmiotowe swoje zapatrywanie przenosił w treść ducha innych. Ta ostatnia cecha zachowała się i wśród późniejszego przewrotu w jego umyśle, kiedy nierozumna miłość zastąpiła nierozumną nienawiść, która się przerodziła w namiętność ślepą, zapamiętałą, któréj nie wzrusza nawet niedola ojczyzny, która mu wkłada w usta te niegodne, potępiające go wyrazy, wypowiedziane do senatorów wzywających go na naczelnika obrony kraju przeciw indywidualnéj zemście Alcybiadesa: „Jeżeli Alcybiades zabije moich współ-obywateli, powiedzcie mu od Tymona, że się Tymon tém nie zmartwi; lecz jeżeli wyda piękne Ateny na łup; jeżeli pobożnych starców targać będzie za brody, a nasze święte dziewice wystawi na hańbę zwierzęco-dzikiego zuchwałego żołnierza, to powiedzcie mu, tak powiedzcie mu, iż Tymon rzekł: „przez litość dla naszéj młodzieży i starców nie mogę się powstrzymać, iżby ci nie powiedzieć, *że wcale o nich nie dbam*, niech jeszcze gorzéj postąpi! niech się nie zatrzymuje wrogi nóż jego, *dopóki wy gardła macie.*“ Doprawdy w ojczyznie Milcyjadesów, Cymonów, Arystydesów, mógł się tak wyrażać tylko nikczemnik. To odejmuje mu wszelką sympatyę szlachetnego człowieka, obywatela, to rzuca posępny cień na całość utworu.

W bardziéj drobnostkowy rozbiór Tymona wchodzić nie potrzebuję: kto zna inne utwory Szekspira, ten łatwo zrozumié, że są tu silne wyrażenia, trafne scenowanie, wejrzenie w serce ludzkie, głębokie ale niezawsze prawdziwe, znajomość stosunków ludzkich ale nie greckich, przeciwko którym grzeszy na każdym niemal kroku. Wiadomo, że zarzut anachronizmu, zrobiony Szekspirowi

(1) Dyalog ten jak i wiele innych dowcipnych i charakterystycznych z Lucyana znajdujemy w przekładzie w dziełach *Krasickiego* (Rozmowa XIV.)

od dawna,stał się tak popularnym, że przestano nawet brać go na uwagę. Akcya w téj tragedyi nie jest tak naprężona i pełna jak w innych; jestże to ruchliwość nieustanna, która jednakże nie może sobą w zupełności nagrodzić niemiłego wrażenia sprawionego dwoma ostatniémi aktami, w którym obok powyżéj wskazanego wstrętnego charakteru Tymona, istnieje istotna powódź przekleństw, wymyślań, łajań po prostu całego społeczeństwa ludzkiego.

Oryginał Tymona jak wszystkich w ogóle tragedyi i tak zwanych kronik (*histories*) pisany jest wierszem białym z kilku rymami ku końcowi scen, z lirycznemi kawałkami i miejscami prozą, któréj tu zresztą mniéj jest niż w innych. Nie sądzę, ażeby Szekspir wiele stracił w Tymonie. na tłumaczeniu prozą, która jest płynną, gładką, dobrą polszczyzną pisana, oczyszczona z niektórych zbyt ostrych wyrażeń, zamienionych na delikatniejsze, co odejmuje charakter niewolniczego przenoszenia wyrazów z jednego języka do drugiego, chociaż czasami żałuje się téj siły wyrażeń objawiającéj się w Szekspirze, w zwięzłości i dobitności.

Powtarzam *Tymon* uważanym być powinien za użyteczny nabytek dla literatury, że zbliża nas do owéj chwili, kiedy będziemy mogli czytać całego Szekspira w naszym własnym języku. Wielceby się zasłużył p. L., gdyby skupił swe siły na wytłumaczenie i innych tworów tak sławionego dziś dramaturga, choćby nawet i mniejszéj wartości. Z tragedyj nie mamy jeszcze następnych: *Troilus i Cresida*, *Cymbelin*, *Antoniusz i Kleopatra*, *Tytus Andronik*, *Perykles*.

Za to mamy nowe tłumaczenie *Króla Leara* przez *Adama Pługa* wierszem rymowym dokonane. Wiersz jest estetyczny, piękny, gładki, rzadko silny, ale w czytaniu zawsze miły tém bardziéj, że powyrzucano ze względów przyzwoitości (drukowano go w *Tyg. Mód*) wszystkie jaskrawsze ustępy. P. Pług znany już jest z przekładu *Burzy*, przed parą laty w Kłosach ogłoszonego, któremu znawcy wiele przyznawali zalet. Obecny dla saméj formy rymowéj wiernym być w zupełności nie może, o czém jednak szczegółowiéj przekonać się nie mogłem, nie mając spółcześnie oryginału pod ręką. Co do saméj sztuki, o téj sądzę, nie potrzebném byłoby rozprawianie, jako o rzeczy dobrze już znanéj z innych przekładów. Powiem więc tylko, że tragedya ta liczy się do najwznioślejszych tworów albiońskiego wieszcza.

Zstępujemy znowu do spółczesnéj nam doby. Pomijając to co się tylko na deskach teatralnych ukazało, liczymy drukowanych 3 dramata i 3 komedye, w których (oprócz jednéj) nie widzimy nic, coby ich przekład koniecznym dla naszéj literatury czyniło. Z dramatów najlepiéj *artystycznie* wykonanym jest *Julią* w 3-ch aktach *Oktawiusza Feuillet*. Nazwisko to jest bardzo dobrze znane w naszéj literaturze począwszy od sympatycznego *Romansu ubogiego młodzieńca*, aż do skandalicznego *Pana de Camors*. *Feuillet* jest nadzwyczaj utalentowanym stylistą, trafnym spostrzegaczem drobnostkowych objawów psychicznych, lubiącym w późniejszych zwłaszcza utworach wyprowadzać na jaw anormalne zjawiska wyż-

szego życia czy to pod względem majątkowym, czy też rodowym tylko. Umié głęboko zaglądać w serce zarówno mężczyzn jak i kobiét, umié zarazem subtelnie je cieniować i w pełnych życia dyalogach lub spostrzeżeniach oddawać. Trzyma się sfery wyłącznie moralnéj, nie zaczepiając innych stron życia społecznego, nawet tam, gdzie jak w *Panu de Cambors* kulminacyjne jego objawy przedstawia. Zarówno w tym romansie jak i w dramacie *Monjoye*, którego przedstawienia w naszym teatrze zwykle tłumami widzów się zapełniają, obok delikatności i miękkości rysunku i dykcyi, charakteryzujących jego poprzednie utwory, objawił on w wielu miejscach niezwykłą siłę i energię zarówno w scenach jak i słowach. Wszystkie przymioty składają się na wytworzenie prawdziwego artystycznego talentu, którym też Feuillet jest w rzeczy saméj. Utwory jego atoli nie zawsze urzeczywistniają całą rozciągłość jego talentu, co jest rzeczą zbyt powszechną we wszystkich nietylko talentach ale i genjuszach, żebyśmy dziwić się temu mieli. Takim niedojrzałym utworem są *Portrety hrabiny*, takim jest też *Julia*. Myślą, która dramat ten obwija splotem zjednoczenia, jest owo spostrzeżenie, które przed laty trzystu nasz rubaszny ale trafnie częstokroć sądzący Rej wyraził w tych słowach: „*Kobiéty naród to mdły a na wszystko snadnie nałomny*“ (w Żywocie czł. poczci.). Określając myśl tę bliżéj rysami ze sztuki czerpanemi w ten sposób ją sformułujemy: kobiéta zamężna, opuszczona przez męża dla kochanek, chociażby była najuczciwsza, pomimo walki kilkunasto-letniéj, jeżeli spotka człowieka niezwykłego a kochającego ją całą potęgą swéj duszy—upaść *może* i upadek ten częstokroć życiem przypłacić *musi*. Ową kobiétą jest *Julia de Cambre*, owym niezwykłym człowiekiem p. *de Turgy*, kochający Julią od lat kilku czy kilkunastu, a jednakże szczerze napominający jéj męża a swego przyjaciela, ażeby z *całą* swoją miłością zwrócił się *jedynie* do żony. Gdy ten radę jego lekceważy, wyznaje swoją miłość Julii, która dłużéj walczyć nie mogąc ulega. Tymczasem jéj dorosła już córka kocha p. *de Turgy*, mąż po namyśle uznaje słuszność rady swego przyjaciela: wszystko to razem połączone jest zawiązkiem scen nadzwyczaj dramatycznych. Wierzchołkowym punktem dramatu jest rozmowa męża, który się o wszystkiem dowiaduje, z żoną która wybucha wymówkami za zaniedbanie i żąda żeby ją zabił. Mąż nie każe sobie tego powtarzać i oznajmia (fałszywie) że p Turgy nie żyje. Zaledwie chwila milczącego pasowania się uczuć Julii rozpoczęła, wchodzi p. *de Turgy*. Julia umiéra z nadmiaru niepogodzonych uczuć. Dramat kończy się dosyć melodramatycznie słowami:

P. *de Cambre*: Czy wiész, że ja cię zabiję!
P. *de Turgy*: Czy wiész... że ona umarła?!

Pod względem artystycznym utwór ten prawie nic do życzenia nie pozostawia. Dramatyczność silna, mowa namiętności ognista, dyalog gładki i dobrze prowadzony... Inaczéj uważam ten dramat pod względem myśli zasadniczéj, który dzisiaj ściśle z arty-

stycznym łączyć się musi pod karą zejścia sztuki do znaczenia bezmyślnego bawidełka. W *Julii* nie widzę celu żadnego. Zdarzyć się może tak, zdarzyć się może inaczéj. Nie zawsze burza jak w Enejdzie, sprowadza kochanków do jednéj groty: grobu jednostronnéj niewinności. W tak pojętym i przeprowadzonym dramacie wszystko zawisło od zjawisk atmosferycznych. Nie zaprzeczając ich wpływu, nie możemy nie widzieć upokorzenia dla duszy człowieka i dla jego myśli, skrępowanéj chmurą lub grzmotem. Słowem błąd w tém, że rozwiązania zagadki Feuillet nie szukał wewnątrz, ale na powierzchni.

Tłumaczenie *p. Wł. Świeszewskiego*, artysty teatrów warszawskich dość dobre, nie odznaczające się ani szczczególnemi zaletami, ani też rażącemi wadami.

Jednoaktowy dramaci k *E. Manuela*, autora pięknego, potrzykroć u nas tłumaczonego *Bezrobocia kowali*, nie przestającego tworzyć i w czasie oblężenia Paryża (dla rannych) jest opromieniony myślą żywotną, szlachetną, maluje nam życie robotników francuzkich z całą prostotą i naiwnością, tak rzadko spotykaną w nadsekwańskiéj literaturze; ale jest zarazem odbiciem braku dramatycznych zdolności w autorze. Wiersz gładki, myśli sympatyczne, ciepło uczucia, mogą stworzyć wierny poemacik; dla dramatu atoli potrzeba czegoś więcéj: potrzeba siły. Téj nie posiada Manuel, ztąd *Robotnicy* są dyalogowaną powiastką, niezłym poematem, ale złym dramatem. Miłość dwojga młodych ludzi, z których jedno (mężczyzna) nie zna ojca, co z biédy i z nałogu dopuściwszy się występku zabójstwa uciekł gdzieś daleko porzuciwszy żonę z nienarodzoném jeszcze dzieckiem, stanowi treść utworu. Dramatyczność wywiązuje się dopiéro wtedy, gdy młodzieniec dowiaduje się, że mniemany ojciec a właściwie opiekun jego lubéj jest jego ojcem: walka między oburzeniem na nikczemny dawniejszy jego postępek a uznaniem jego ekspijacyi stanowią krótką dramatyczną chwilę, zapełnioną zresztą samemi tyradami, którym nie brak sensu ale brak właściwości w daném miejscu.

Również jednoaktowy dramat *Henryka Hertza*, pisarza duńskiego p. n. *Córka króla René*, nie przyniósł nam nawet miniaturowego arcydzieła z téj mało znanéj literatury. Treść mówi tu sama za siebie: *Jolanta*, córka hr. Prowancyi *René*, poślubiona w dzieciństwie Tristanowi de Vandemont, oślepła w młodości. Rzecz tę ukryto; trzymano ją i wychowywano zdala od towarzystwa ludzkiego, w pięknéj ustroni téj przecudnéj krainy. Tristan zawędrował tam przypadkiem zwyczajem średnich wieków, ujrzał ją i pomimo ślepoty pokochał, nie wiedząc, że kocha własną swą narzeczoną. Doktor przywraca wzrok Jolancie i wszystko szczęśliwie się kończy, budząc w czytelniku żal, że się tak w rzeczywistości nie dzieje. Istotnie ten żal jest jedyném wrażeniem, jaki z tego niby dramatu wynosimy. Cały jego przebieg zakreśla się epoką od południa do zachodu słońca, co naturalnie nie było obszernem polem do rozwi-

nięcia akcyi. To też sceny liryczne przeważne zajmują tu miejsce a psychologiczno-moralne rozprawy, główne tło stanowią. Myśli w tém wszystkiém szukam napróżno. Autorowi widocznie bardzo oryginalném i wielce zajmującém wydało się wprowadzenie na scenę niewidomej bohatérki, która przez przyzwyczajenie tak już ze wszystkiemi obeznała się przedmiotami, że jéj chód, zachowanie się, czynności na pierwszy rzut oka nie przedstawiają żadnéj różnicy od ludzi mających organ widzenia w dobrym stanie. Była to pomyłka, bo widzimy, że jeden z najpotężniejszych dzisiaj talentów *Wiktor Hugo*, w ostatnim swoim utworze (*Człowiek śmiejący się*) ślepéj swéj bohaterki *Dei*, ani zajmującą ani ważną uczynić nie mógł. Tém bardziéj p. *Hertz*, którego talent sądząc po tym utworze, można nazwać miernością.

Tłumaczenie wierszém miarowym nie zadawalnia estetycznych wymagań, a wiersze liryczne nie ukazują wysokiéj zdolności, do trudnéj sztuki dźwięcznego rymowania.

Z trzech komedyj stawiamy na czele utwór spółkowy panów Meilhac'a i Halevy'ego: *Fru-fru*, ale jedynie dla większéj jéj od od innych wartości artystycznéj, nie zaś dla jakiéjś wyższéj podniośléjszéj myśli, którąby nadawała ton całości. Owszem jestto komedya intrygi i poczęści charakterów. Kobieta płocha, zalotna, lubiąca stroje, które stały się przyczyną jéj przydomku (Fru-fru) wychodzi za człowieka poważnego, surowo patrzącego na życie, silnie czującego. Człowiek ten jest przedmiotem cichéj miłości siostry Fru-fru Ludwiki, kobiety jakby dla niego stworzonéj tak pod względem usposobienia i charakteru jak i wewnętrznych przymiotów jéj serca. Ludwika poświęca swą miłość dla siostry zdającéj się kochać swego przyszłego męża, w téj myśli, że jego charakter spokojny, głęboki, zrównoważy jéj płochość i dzieciństwo. Dla Frufru potrzeba wrzawy balowéj, światła sztucznego i uczucia sztucznego, które znajduje w typie Don Juana, Pawle de Valreas, ubiegającym się spółcześnie o względy staréj kokietki baronowéj de Cambrai. Po pewnym przeciągu czasu strawionego na życiu światowém, Frufru nagle odkrywa, że opuszczone dziecko i... mąż zyskali miłość Ludwiki, która we wszystkich szczegółach domowego pożycia w jego poważnéj stronie zajęła jéj miejsce. To uderza ją gromem, zwraca jéj myśli na głębie obowiązku..., które niestety! dla nie przygotowanéj duszy stają się zawrotu powodem. Ślepą zazdrością uniesiona porzuca dziecko i męża Ludwice, a sama w większy jeszcze wir życia się puszcza, nie mogąc przecież przytłumić w sobie wewnętrznego głosu obowiązku, który gdy raz się odezwie, przytłumić go... staje się niepodobieństwem. Zmęczona moralnie i fizycznie, przekonana o fałszywości drogi, którą poszła, po wielu wahaniach powraca wreszcie do domu męża, ażeby uściskać dziecko, przeprosić męża, przebłagać Ludwikę i... umrzéć z temi słowami cechującemi gwałtowność namiętności i rezygnacyę przebaczenia: „On jest twoim (mówi do siostry o swym mężu), oddaję ci go. To już takie było moje przeznaczenie, wszyscy mię

zanadto kochali!“ Sens moralny: burzliwe życie lekkomyślności nie jest rajem szczęścia: lepsze twarde, nieugięte życie powszedniego obowiązku. Ale nie to czytelnika w komedyi téj zajmuje. Może się on przypatrzyć kilku postaciom, których życiowość jest hasłem dającém im zadatek dłuższego pozostania w umyśle słuchacza czy widza. Taką przedewszystkiém jest Frufru, którą całość komedyi zbyt jasno charakteryzuje, ażebym miał tu jeszcze zbierać pojedyńcze rozproszone jéj rysy; taką jest Don Juan ów wzór lekkomyślności i motylkowatości męzkiéj, taką jest baronowa, stara już a niewyrzekająca się tryumfów, taką ojciec Frufru i Ludwiki p. Brigard, któremu zamiłowanie rozproszonego życia, kapelusiki i wstążki zawsze stawały na przeszkodzie wtedy, gdy poważniejsze uczucie ojca miało się w nim odezwać; człowiek w gruncie dobry, ale słaby i lekkomyślny do najwyższego stopnia, tak, że politowanie tylko a nie pogardę ku sobie obudza: postać, najwięcéj ze wszystkich w sztuce i to prawdziwie, komiczna. Ta ostatnia postać miała nawet zakrój na nadanie całości jakiéjś idei społeczno-moralnéj, czemu brak bliższego rozwinięcia i gubienia się w drobnostkowych scenach na zawadzie stanęło. Dyalog żywy, dowcipny, jest okrasą téj sztuki, niewydającéj się z resztą tak dobrze w czytaniu jakby można było przypuszczać na scenie; ztąd prawdziwe jéj znaczenie okaże się dopiéro po przedstawieniu.

Drugą komedyą, która w ogólnym szkicu wydaje się prawie bliźnią poprzedniéj, taką jednakże nie jest w wykonaniu, są *Nieużyteczni*, dzieło Edwarda Cadol'a. Autor przedstawia tu z jednéj strony ludzi oddanych przyjemnościom życia, a z drugiéj pracowitych, poświęconych obowiązkom społecznym. Najlepszą postacią jest pewien młodzieniaszek, syn dorobkowicza, rozpowiadający, że im więcéj wydaje pieniędzy, im dłużéj w domu go nie ma, tém jego papa dobrodziéj mocniéj się cieszy i raduje, że synek jego umié używać pieniędzy. Przebiegu całéj historyi, nie intrygi, bo téj nie ma, opowiadać nie będę, ze względu na małą wartość sztuki; powiem tylko, że rezultatem ostatecznym pokazuje się to, że i tak zwani nieużyteczni nie są zbyt wielkimi potworami, że umieją powstać z grzechu lekkomyślności i obudzić do siebie sympatyą. Nie zaprzeczam. Ale na przeprowadzenie téj myśli użyto wyblakłych fabr, niknących jak majaki, zręcznego dosyć ale zawsze bezbarwnego dyalogu, który czczość po sobie zostawia, charakterów, których podrzędność i pospolitość jest rażąca.

Toż samo mniéj więcéj da się zastosować i do trzeciéj komedyi „*Bez stanu*“ przez Ernesta Legouvé napisanéj, a przez p. K. Zalewskiego wierszem rymowym na nasz język nieudatnie przełożonéj. Treść taka: Pewien młodzieniec *bez stanu*, to jest bez urzędowego jakiegoś zajęcia, ale umiejący grać dobrze, śpiewać jeszcze lepiéj a układać wiersze jeszcze lepiéj; pełen zresztą poświęcenia i... dobrego tonu, kocha się i pomimo kilku przeszkód z powodu braku stanu wynikających, zostaje mężem również dobréj, tkliwéj i... ckliwéj panienki, któréj ojciec uznaje wreszcie, że można być dobrym

człowiekiem i mężem nawet... bez stanu. Trudno pomyśléć treści błachszéj, bardziéj nieznaczącéj; taka treść ocala tylko zręczność i lekkość scenowania i dyalogowania; inaczéj jest nudną ramotą. W tym właśnie wypadku znajduje się pomieniona komedya, będąca prawdziwém archiwum rozwlekłości, wytartych ogólników i zwietrzałych tyrad, które archiwicznie zwłaszcza wyglądają w Rejowskich rymach p. Z.

Ogólnym wnioskiem tego przeglądu przekładów będzie, że nie umiano zrobić dobrego wyboru (prócz 2 sztuk: Tymon i Fru-fru, poczytując tłumaczenie Leara jako szlifowanie tylko), że tłumaczono rzeczy, bez znajomości których, można się było bardzo dobrze obejść. Niech to będzie na przyszłość przestrogą, ażeby się nie brano do przekładów na chybił-trafił, ale dobrze miano na względzie pożytek narodowéj literatury. Kiedy nie można twórczości w sobie znaleźć, to umiejmyż odkryć ją przynajmniéj w innych.

Piotr Chmielowski.

Deutsche Volkslieder aus Kärnten. (*Pieśni ludowe niemieckie z Karyntyi*) *zebrali Dr. V. Pogatschnigg i Dr. Em. Herrmann. Tom I. Pieśni miłosne. Graz 1869. Tom II. Pieśni różnéj treści. Graz 1870.*

Pieśni niniejsze, jużto z ust ludu, już z kilku Roczników, gdzie je umieszczano pojedyńczo, zebrane, mają wszystkie zalety, jakie cenione są w tego rodzaju utworach, obok wad jakie im zwykle zarzucają. Ztąd też góruje częstokroć w udatności tekst nad melodyą a bywa i przeciwnie: bo pieśni te, jak wszystkie ludowe, nie z jednéj mózgownicy i nie z jednego wyszłe gardziela, różnorodną muszą w sobie ukazywać pstrociznę, lubo nie trudno dostrzedz że wpstrociznie téj dobre zwykle nad złem przeważa. Słyszéć się one dają po wsiach i miasteczkach, mianowicie podczas tłumnych zgromadzeń świątecznych, kiermaszów, targowisk, weselnych uroczystości, prymicyj i t. p., jak niemniéj przy zalotach i miłosnych powitaniach (serenadach) parobków u okien swych kochanek wyprawianych.

Osobliwie ciekawym jest pod tym ostatnim względem tom I, obejmujący aż do 1568 numerów, gdzie cały przebieg serdecznych dziejów, od piérwszego poznania się oblubieńców począwszy, aż do ostatecznego zakochanéj pary skojarzenia, lub niestety, rozstania jéj i żalów ztąd powstałych, nader troskliwie nagromadzony i porządnie jest ułożony. Pieśni te, już są dłuższe już krótsze; przeważa w nich jednak forma epigramatyczna czterowierszy (jak to i w naszych krakowiakach widzimy), a rytm odpowiednim jest

rytmowi w całych niemieckich Alpach upowszechnionemu; metrycznością swą wiersz niemal każdy przypomina miarę wiersza wielu staroniemieckich poematów.

Tom II obejmuje pieśni przy różnych nucone okolicznościach, gdzie szczególniéj uwydatnioném jest przywiązanie owych górali do rodzinnéj strzechy i do swych gór, ale zarazem i do wszelakich uciech karczemnych. Pijaństwo jednakże nie jest bynajmniéj u ludu tego nałogiem powszechnym, a wybryki dobrego i złego humoru jak i mocna do zmysłowości podnieta, wspólne mu są ze wszystkiemi innemi pod jednaką lub podobną strefą żyjącemi ludami, jakiemi są np. południowo-słowiańskie, włoskie i t. d. Wielce przydatną jest przy każdéj pieśni wskazówka miejsca, gdzie takowa słyszaną była, przez co w wielu bardzo razach i ojczyzna jéj bywa uwidomioną; a korzyść ta tém staje się dla filologów większą, że odmiany i odcienia dyalektowe każdéj z osobna doliny, o ile możności, ściśle zostały zachowane, lubo wydawcy nie małą widzieli trudność w dokładném i odpowiedniém pojedyńczych brzmień oddaniu.

Dla nas zbiór ten i tę jeszcze ma wartość specyalną, że lud niemiecki pieśni owe nucący jest sąsiednim podobnegoż, bo pogórskiego ludu Słowian Karyntyi i Styryi. Więc przy odwiecznem a ciągłém ludów tych z sobą zetknięciu a częstém obcowaniu, ani wątpić się godzi, że nie jedna myśl i nuta tu równie jak i tam jednakie zyskała prawo obywatelstwa. Rzeczą więc badacza będzie wykryć wzajemny wpływ, jaki oba te ludy na siebie wywierały, i objaśnić krytycznie ile materyał przedstawiony, słowiańskich zawierać w sobie może żywiołów. *O. K.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Sierpień 1871. — Redakcya Bibl. Warsz. otrzymała od p. Bilińskiego autora dzieła pod tytułem: „Studya nad podatkiem dochodowym", odbitkę odpowiedzi jego (drukowanéj w piśmie lwowskiém p. t. Prawnik nr. 27 i 28) na recenzyę tegoż dzieła umieszczoną w czerwcowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj. wraz z listem, w którym żąda przedrukowania swéj odpowiedzi w Bibl. lub uczynienia o niéj wzmianki, uznającéj słuszność jego sprawy.

Redakcya nie byłaby .nic miała przeciw zamieszczeniu odpowiedzi p. Bilińskiego w Bibliotece, gdyby jéj była nadesłaną przed wydrukowaniem jéj w jednem z pism lwowskich; z powodu tylko że pismo to mało jest rozpowszechnione u nas, postanowiła dać wiadomość niniejszą o sporze wywołanym recenzyą w Bibliotece mieszczącym się.

Spór sam toczy się na szerokiém i otwartém dla swobody zdań, polu teoryj ekonomicznych i finansowych. Różnice zdań są tam konieczne, naturalne a nawet pożyteczne dla wyrobienia się wszechstronnego sądu u publiczności. Obok odmienności poglądów na kwestyę podatków w ogólności a w szczególności podatku dochodowego ze strony statystów i ekonomistów różnych krajów, sąd o niéj nie czas byłoby jeszcze wydawać. Nie bierze téż na siebie tego redakcya, zostawić to trzeba doświadczeniu narodów, które same ostateczny wyrok wydać będzie zdolne, w tym przedmiocie nie małéj istotnie wagi.

P. Feliks Zieliński zakończa swój przegląd pracy p. Bilińskiego wyznaniem, że indywidualny jego pogląd nie stanowi przygany dla p. Bilińskiego, któremu owszem należy się zasługa obeznania publiczności naszéj w pracowitym i sumiennym wykładzie, z różnie ocenianym ale zawsze nadzwyczaj ważnym i coraz więcéj w użycie wchodzącym środkiem finansowym. Redakcya łączy się z tém uznaniem zasługi autora Studyów nad podatkiem dochodowym, uznaje również niemałą zasługę autora w podjęciu zadania, wykazania jak niebezpieczną i niepraktyczną jest teorya podatku dochodowego jako podatku wyłącznego, mającego zastąpić wszystkie inne. Tę wszakże uwagę widzi się zniewoloną dodać Redakcya, że porównawcze badania źródeł naukowych z różnych krajów pochodzących które p. Zieliński zaleca, uważa za nader odpowiednie celowi i naturze tego rodzaju dzieł (1).

(1) Przedruk z odbitki p. Bilińskiego, pomienionéj wyżéj odpowiedzi panu F. Zielińskiemu, znajdzie czytelnik w ostatnim zeszycie Ekonomisty z r. b.

— Od piérwszego wydania dzieł Ignacego Krasickiego w dziesięciu tomach przez Fr. K. Dmochowskiego, tłumacza Iliady, kilkanaście mamy przedruków, a wszystkie oparte na pomienionéj edycyi. Natan Glücksberg tém wyróżnił swój nakład, że dołączył do pierwotnego wydania Dmochowskiego, ośm tomów, utworów mniéj znanych lub po raz pierwszy z rękopismów I. Krasickiego drukowanych. Nie znaliśmy wszakże wspaniałego wydania, w kroju arkuszowym Edwarda hr. Raczyńskiego. Zasłużony ten pisarz i wydawca, zamierzał wydać zupełną edycyę utworów I. Krasickiego; wyszedł jednakże tylko tom pierwszy, z mową Fr. K. Dmochowskiego na czele, p. n.: „Ignacego Krasickiego dzieła poetyckie. Wydanie Edwarda Raczyńskiego. Tom I. Poznań. Drukiem W. Deckera i S-ki 1830.“ Tom ten obejmuje poemata: Myszeis, Monomachię, Antimonomachię, Wojnę Chocimską i Pieśni Ossyana.

Dalszy ciąg wydawnictwa, ówczesne wypadki przerwały, a tom ten nie ukazał się nawet w obiegu handlu księgarskiego.

— Nakładem księgarza M. Neudinga wyszła broszura: „Kochanki Augusta II króla Polskiego zwanego „mocny“. Spolszczył M. J. (Warszawa 1871, w 12-ce str. 106.). Przedmiot ten, w szczegółach bogatszy, mamy podany w *Zarysach domowych* K. Wł. Wójcickiego, podług rękopismu z bibl. Józefa Dzieszkowskiego we Lwowie.

— Romuald Zientarski, wydał: *Śpiewnik kościelny* (Cantionale ecclesiasticum), obejmujący pieśni, hymny, antyfony, nieszpory etc. z melodyami, oraz objaśnienia tyczące się świąt i obrzędów kościoła rzymsko-katolickiego, ułożony podług muzyki kościelnéj, chóralnéj i figuralnéj.

— W zbiorach Prota Lelewela, brata Joachima, zachowały się osobliwego rodzaju monety szwedzkie. Są to prawie kwadratowego kształtu blachy miedziane, ciężkie, grube na $^1/_6$ część cala, jakby z pod młota kowalskiego wyszłe. Najdawniejszym jest pół talar z czasów królowéj Krystyny. Na środku takiéj blachy w otoku jakby pieczęciowym napis: „$^1/_2$*Daler Sölf: Mij*“ na czterech rogach korona królewska i pod nią cyfra *C. R. S.*. Największa blacha jest z roku 1725, bo tejże grubości, ale szeroka na 10 $^1/_2$ cali a wysoka 9 $^1/_2$. Na środku wyciśnięty napis: „*4 Daler Silf: Mynt.*“ pod nim dwie strzały nakrzyż i cyfra *F. R. S.* i rok *1725*, na czterech rogach pod koronami cyfra taż sama. Po niéj idzie mniejsza, szeroka cali 6 $^1/_2$, wysoka 5 $^1/_4$, z napisem na środku: „*1 Daler Sylf. Mynt.*“ w czterech rogach cyfra taż sama, pod koroną druk *1747*. Najmniejszą w tym zbiorze jest blacha pół-talarowa szeroka cali 4, wysoka 3 $^1/_2$, z napisem w środku; „$^1/_2$ *Daler Silf, Mynt.*“ pod nim dwie strzały, i jak na poprzednich w czterech rogach cyfra *F. R. S.* (Fryderyka) królewska pod koroną z rokiem *1746*.

— W Berlinie, w galeryi hr. Anastazego Raczyńskiego, ofiarowanéj na użytek publiczny, jest znanego malarza Canalettego obraz niezmiernie ciekawy, przedstawiający elekcyą Stanisława Augusta. Na pierwszym planie pełno figur z natury portretowanych, typów, strojów i powozów z wielką starannością wykonanych a dla historyi nieoszacowanych.

— Artystka z Gdańska panna Friedrichsen, obecnie bawiąca w Düsseldorfie, przedstawia w utworach swego pędzla, przedmioty żywo nas zajmujące. W zeszłym roku piękny jéj obraz flisaków powracających do domu i na drodze modlących się pod krzyżem, kupił Amerykanin. Równéj wartości ukazała w r. b. na wystawie Drezdeńskiéj małą kompozycyą, mającą zalety prostoty, prawdy i znakomitą technikę. Kobiéta, gdzieś znać z Żuławów, powraca czółnem wioząc z pola zboże. Dziecię siedzące przy niéj smaczno zajada chleb razowy. Włościanki typ schwycony z natury. Krajobraz traktowany swobodnie, szeroko, bez wielkich efektów, wyborny. Kobiéta i czółno w cieniu, z boku tylko musnął ją promyk słońca.

— Bibliografom naszym wiadomo jak rzadkie są pisma drukowane Jana Potockiego uczonego badacza wieków pierwotnych i starożytności słowiańskich; odbijano je bowiem w bardzo szczupłéj liczbie egzemplarzy. Z pomiędzy tych do więcéj jeszcze rzadkich, należy zbiór małych scen dramatycznych po francuzku, jakie odgrywano na teatrze w Łańcucie. Przypisał je Sewerynowéj Potockiéj z domu księżniczce Sapiehównie, wydał je p. n. „*Recueuil de Farades représentées sur le teatre de Lancut dans l'anneé 1792. Varsovie 1793*" (w 4-ce str. 87). Na końcu przypisania położył autor swoje imię i nazwisko. Najdokładniejszą wiadomość o życiu i pismach tego męża, podał F. M. Sobieszczański w Encyklopedyi Powszechnéj.

— Otrzymujemy wiadomość co do teatru polskiego w Poznaniu. Kiedy pierwszą myśl podniesiono stałego teatru w tém mieście, p. Bolesław Potocki obywatel, darował na ten cel własność swoją przy ulicy Berlińskiéj w Poznaniu. Miejscowość ta jednakże z powodu odległości od miasta, okazała się niedogodną, gdy jednakże p. Potocki daru swego nie cofnął, sprzedano tę posiadłość za 12,000 talarów i fundusz ten złożono do kassy spółki akcyjnéj zawiązanéj dla budowy teatru. Konsens na budowę teatru już od rządu otrzymano; zajmują się teraz skwapliwie tak planem przyszłéj budowli, jako też powiększeniem koniecznego funduszu, na niezbędne wydatki. Ustanowiona w téj rzeczy dyrekcya spółki, w któréj ręce oddano całą sprawę sceny polskiéj, składa się z pp. Ign. Grabowskiego prezesa, dr. Wł. Łebińskiego zastępcy prezesa a zarazem kasyera, i sekretarza Teodora Żychlińskiego.

Bibliografii polskiéj Karola Estrejchera zeszyt III, wkrótce opuści prassę drukarską; dociągnięty jest do wyrazu *Dramatycy*. Czwarty zeszyt który zamyka tom pierwszy tego dzieła, z końcem litery *E*, wyjdzie na wiosnę przyszłego roku. Jak żywo miłośników literatury krajowéj obchodzi ta publikacya, mamy dowód w wydanéj broszurze dr. Wł. Wisłockiego, we Lwowie (1870 r. w 8-ce str. 47.): „Uwagi nad pierwszym zeszytem Bibliografii p. Karola Estrejchera." Uwagi pomienione wyszły tylko w stu egzemplarzach, jak to na karcie tytułowéj wydrukowano.

— *Rozprawy w Towarzystwie miłośników rossyjskiéj literatury przy Uniwersytecie w Moskwie.*" (Zeszyt III rok 1871.). Najważniejszemi są tu materyały do historyi literatury rossyjskiéj, jak: „Materyały do historyi cenzury rossyjskiéj" i „Wypadki z praktyki cenzuralnéj," Zeszyt ten obejmuje historyę Cenzury rossyjskiéj od 1803 do 1825 roku. Czytamy tu kilka Sonetów Mickiewicza w przekładzie p. Majkowa. Zajmującą jest także niemało „Podróż po Ameryce 1869 i 1870 p. Cymmermana". Autor już był przed kilką laty w Ameryce; obecne dzieło jest owocem drugiéj jego wyprawy, w któréj przejechał znakomity jéj obszar, zwiedzając miasta, wsie i różne instytucye. Daje więc obraz życia amerykańskiego wszechstronnie, a wzgląd socyalny przeważne zajmuje miejsce.

— W Odessie *Towarzystwo archeologiczne*, założone w roku 1839, którego celem jest zbieranie, opisywanie i ochranianie zabytków starożytności, odkrywające się w całéj nadpontyjskiéj ziemi, zebrane wiadomości podaje w dziele p. n. *Zapiski*, których wyszło dotąd siedm dużych tomów. Bogaty to zasób dla badacza przeszłości Słowian. Oddzielna jest publikacya: *Pamiętniki odesskiego komitetu statystycznego*, poświęcone wyłącznie miejscowości. W miesiącu czerwcu r. b. *Towarzystwo słowiańskie* obchodziło w témże mieście pierwszą rocznicę swego istnienia, i wydało na uczczenie téj uroczystości, sprawozdanie ze swéj działalności. Towarzystwo wzięło za cel tylko wspieranie Słowian południowych, a to jedynie pod względem materyalnym; wszelkie polityczne propagandy usunęło ze swego zadania. Zakłada bibliotekę mającą się składać wyjątkowo z dzieł słowiańskich, lub odnoszących się do słowiańszczyzny.

— Najwięcéj przedsiębierczy księgarz lwowski T. H. Richter, zawiadamia rozesłanym okólnikiem z sierpnia r. b. iż w Poznaniu zakłada księgarnię zupełnie oddzielną od lwowskiéj. F. A. Brockhaus w Lipsku, załatwia komissa dla téj nowéj księgarni poznańskiéj.

— Pan Adolf Aleksandrowicz chemik krakowski, ogłosił drukiem: „Rozbiór chemiczny dwóch źródeł wody siarczanéj Krze-

szowickiéj". W piśmie tém wykazuje autor, że zdroje krzeszowickie, dziś niemal zupełnie zaniedbane, są niepośledniéj wartości, i posiadają siarkan wapniowy w takiéj ilości, iż mało które źródła w Europie im dorównywają, a urządzone stosownie, mogłyby codziennie 500 kąpieli dostarczyć. Pan Aleksandrowicz stwierdza domniemanie Dra Dietla, o podobieństwie źródeł Krzeszowickich z Trenczyńskiemi pod względem jakości, oraz ilości składników. Miejscowość Krzeszowic daje rękojmię, że gdy o skuteczności wód tutejszych nie będzie wątpliwości, zakład kąpielowy może się jak najświetniéj rozwinąć.

— Antoni Walewski professor historyi powszechnéj w uniwersytecie Jagiellońskim, wydał w Krakowie w latach 1866—1868 dzieło wysokiéj wartości: „Historya wyzwolenia Polski za panowania Jana Kazimierza (1655—1660)." W roku zeszłym ogłosił dalszy ciąg téj pracy, pod zmienionym tytułem a odpowiednim treści: „Historya wyzwolonéj Rzeczypospolitéj wpadającéj pod jarzmo domowe za panowania Jana Kazimierza (1655—1660). Wyszedł tom pierwszy (Kraków 1870 r.), nakładem Towarzystwa naukowego krakowskiego z fundacyi księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, w 8ce str. 332. Dokumentów LXXXIV, i treści str. XIV.

— Lucyan Siemieński wydał obszerną i wielce zajmującą monografię: „Wacław Rzewuski i jego przygody w Arabii, opowiedziane z pism pozostałych po nim." Kraków 1871. Jest to taż sama osobistość, o któréj pismo nasze w *Kronice zagranicznéj* podało zajmujące szczegóły, i wykazało zasługi naukowe.

— „Romans polski w początku XIX wieku." Prelekcya Dra St. Tarnowskiego z dnia 10 i 17 grudnia 1870 r. na korzyść Towarzystwa bratniéj pomocy uczniów Uniw. Jagiell. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1871, (w 8ce str. 65). Jestto osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego" i już znajduje się do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa. Przebiega w niéj autor dzieje téj gałęzi literatury, która w obecnych latach najwięcéj się rozwinęła.

— We Lwowie od czterech lat wydaje tameczny księgarz i antykwaryusz Igiel: „*Bibliotekę teatralną lwowską*" zeszytami, w któréj mieszczą się utwory mniejsze sztuk dramatycznych: Jana Aleksandra hr. Fredry, Aurelego Urbańskiego, Michała Bałuckiego i Władysława hr. Koziebrodzkiego. Od 1868 do roku bieżącego wyszło zeszytów VII.

— Z powodu zamiaru zgromadzenia wszystkich utworów Holbeina do Drezna, w celu urządzenia z nich, od dnia 15 sierpnia r. b. do 15 października, wystawy dzieł tego malarza, naznaczono dnie, pierwszy do 3 września b. r, na zjazd w stolicy saskiéj: historyków

i znawców sztuki, oraz badających jéj przeszłość archeologów. Komitet zajmujący się tém zadaniem, stanowią w połączeniu przedstawiciele świata artystycznego z Bazylei, Karlsruhe i Drezna, pp. *Ed. His*, *A. Woltmann*, *A. Zahn*. Professor dr. Uniwersytetu Jagiellońskiego J. Łepkowski, otrzymał na pomieniony zjazd zaprosiny.

— Najnowszy i bardzo dobry przewodnik dla podróżujących do Rzymu i w środkowych Włoszech wydany został w roku bieżącym w Hildburghausen przez dr. Teodora Essell-Fels. Tom pierwszy zawiera opis Włoch środkowych (Mittel-Italien). Tom drugi miasto Rzym (Rom).

— W numerze gazety Szlązkiéj z dnia 16 lipca r. b. jest długi i ciekawy artykuł o Górnym Szlązku pod względem językowym, pod tytułem: Eine Sprach-Frage.

— Hebrajski Gil-Blas. W jedném z pism czasowych hebrajskich wychodzących w Cesarstwie (Haszachas), drukuje p. Smoleński powieść obyczajową p. t. „Błędna podróż po drogach życia“ (Hathoe b'darke hachajim). Przedstawia w niéj żywot swoich spółwyznawców w stosunkach rodzinnych, gminnych i rządowych. Angielskie i rossyjskie tłumaczenia téj powieści są zapowiedziane.

— Słynnéj karty jeograficznéj Berghausa, w Niemczech lecz po angielsku ogłoszonéj p. t. „Chart of the world“ wyszło w r. b. szóste poprawne wydanie u Perthe a w Gotha.

— *Goniec Europy*, (z miesiąca czerwca r. b.) donosi nam o nowém wydaniu „dzieł *Dzierżawina* z komentarzami Grota.“ Publikacya ta zbliża się już ku końcowi, wyjdą jeszcze VI i VII z., z których ostatni obejmie prozę, mowy Dzierżawina itp.; ósmy zamknie całość wydawnictwa, i w nim znajdziemy życiorys tego autora i różne dopełnienia bibliograficzne. Komentarze wydawcy dadzą obraz nie tylko samego autora, ale i jego epoki pod wielu względami. W tomie obecnie wydanym, część jego najważniejszą stanowią: „Pamiętniki Dzierżawina“. Obfitość faktów z życia ludzi z wyższéj państwowéj sfery, bezstronność i prostota opowieści, nabierają tu niezwykłego znaczenia. Pamiętnik ten, do roku 1858 nie był znanym, bo lubo po śmierci autora wkrótce się w druku ukazał, znikł jednak potém bez wieści.

— W tymże *Gońcu Europy* mamy sprawozdanie na ogólném zebraniu w kwietniu 1871 r. „Towarzystwa wsparcia niezamożnych literatów i uczonych rossyjskich.“ Od 1 stycznia do kwietnia r. b. udzielono wsparcie od 20 do 300 rs. 22 osobom; rs. 120 przesłano do Uniwersytetu Charkowskiego dla niezamożnych studentów; wpis szkolny za trzech uczniów w Gimnazyum zapłacono rs. 190, a rs. 15 miesięcznie za półroczną naukę jednego z synów zmarłego archeo-

loga. Tytułem pożyczki udzielono rs. 885, prócz tego komitet dopomógł jednemu literatowi w wydrukowaniu jego pracy tłumaczonéj, wyrobił jednéj wdowie płacę po mężu urzędniku, a innéj przyjęcie córki do zakładu naukowego.

Bilans Towarzystwa za czas od 1 stycznia do 1 kwietnia r. b. przedstawia, że do 1 stycznia pozostało w kasie rs. 52,044 z procentami. Przez pierwszy kwartał r. b. wpłynęło rs. 20,492 kop. 74; wydano zaś 17,684 kop. 72.

— Palacky, w nowém wydaniu ogłasza swoje: *Dzieje narodu czeskiego*. Publikacya ta wychodzi zeszytami. Dotąd wyszło ich dwadzieścia sześć. Równocześnie drukuje: „Materyały do historyi czeskiéj". (Przispievky k'dziejepisectwi czeskému). Korrespondent z Pragi Czeskiej do Gazety Warszawskiéj o tém dziele mowi: „Jest to coś nakształt: „przygód w poszukiwaniu i badaniu rzeczy polskich", które Lelewel, podobnie jak Palacky lepszy historyk niż polityk, z niezrównaną dobrodusznością opowiada na czele pierwszego tomu swéj *Polski*. Palacky opisuje swoje „przygody" w poszukiwaniu materyałów po archiwach krajowych i zagranicznych, złośliwe zawody i uprzejme ułatwienia, które na swojéj drodze spotykał; przypomina brak środków pieniężnych na swobodne oddanie się badaniom naukowym i pomoce szlachetnie w jego osobie niesione sprawie nauki. Prócz tych zajmujących szczegółów biograficznych, autor w swéj pracy podaje mnóstwo cennych wskazówek, gdzie i jak czego szukać; w tym względzie nie powodując się dość pospolitą u badaczów zazdrością, postępuje torem Budrysa:

„Sam ja dzisiaj nie jadę,
Lecz jadącym dam radę".

— Wdowa po Wuku Karadziczu Anna Karadziczowa wskrzesicielu literatury Serbskiéj, i wydawcy: „Zbioru pieśni narodowych serbskich," ogłasza nowe ich wydanie i pomnożone. Cały zbiór tych nieoszacowanych zabytków ludowéj poezyi składać się ma z trzech części; pierwsza wyszła z pod prassy w Wiedniu. Tegoż pisarza część druga Słownika Serbskiego (dział niemiecko-serbski) już się drukuje w stolicy austryackiéj.

— Pieśni narodowe o słynnym serbskim królewiczu Marku, nakładem Wielimira Wałożicza, w Białogrodzie zaczęły wychodzić. W zbiorze tym, którego wydawnictwo przeciągnie się dłużéj, pomieszczone być mają i pieśni epickie, przechowywane dotąd w pamięci tylko ludu, a ich treścią są czyny waleczności bajecznego bohatera serbskiego, królewicza Marka.

— Na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Serbskiego w Białogrodzie, w miesiącu sierpniu r. b. odbytém, członek tegoż Stojan Boszkowicz czytał swój projekt co do wydania Encyklopedyi

powszechnéj naukowéj, dla narodu serbskiego, słoweńskiego i bulgarskiego.

— Wiadomo, że drogocenny pomnik starożytnéj poezyi czeskiéj, zawiera się w *Rękopiśmie Królodworskim*, którego przekład mistrzowski mamy przez Lucyana Siemieńskiego. Niemcy, do niedawna z zaciekłością występowali przeciwko jego autentyczności; ale nie mogli utrzymać fałszywego swego zdania. Obecnie, poważny organ prassy czeskiéj, *Narodne listy*, wydrukowały obszerną rozprawę, o podskrobywaniach w oryginalnym rękopiśmie pargaminowym tego zabytku, przechowywanym w muzeum czeskiém w Pradze. Celem tych podskrobywań było wedle krytyka, podniesienie do XIII wieku tego pomnika, gdy całość jego nie sięga po za wiek XV lub XVI. Podskrobywania te zrobione zostały dla nadania językowi zakroju starożytniejszego i poprawienia mylnych form grammatycznych". Czy te zarzuty przez Czecha robione, utrzymają się w obec poważnych znawców, czas późniejszy dopiero pokaże. Autentyczność tego zabytku pozostała nietkniętą, spór idzie tylko w ktorym wieku został napisany?

— W Warszawie zajmują nas teatrzyki letnie jak Trapszy w Tivoli, Ratajewicza w Eldorado, Stobińskiego w Alhambrze, pomijając przedstawienia teatralne w Grenadzie, w Prado a nawet niemiecki teatrzyk Blattnera w Alkazarze, który równać się nie może z przeszłorocznym teatrem pani Lukatzy. Wiemy kiedy się w tych teatrach kortyna odsłania, jakie tam sztuki dramatyczne, jaka publiczność i jaka swoboda. Lecz porównywając to wszystko z teatrami zagranicznemi, zawsze spotkać można jakiś nowy szczegół, inny porządek, inne zwyczaje. I tak w podróży po Włoszech (Italien in den Jahren 1868 und 1869) H. Börnstein opisuje jak pomiędzy innemi zwiedził teatr Ciniselli w Medyolanie, który jest policzony do wielkich teatrów. Tam w ciągu jednego wieczora, był obecnym na przedstawieniu składającém się z pięciu aktów opery i z siedmiu aktów baletu, a za bilet zapłacił jednego franka tylko. „Przedstawienie—mówi autor—rozpoczęło się o godzinie wpół do ósméj, a trwało po północy. Obnoszono piwo bawarskie, wodę sodową, we wszystkich kierunkach chłopcy biegali sprzedając cygara i zaraz podawali zapalone fidibusy. Widzowie palili cygara. W czasie przestanku orkiestra nasycała się dymem tytuniowym, zapalając cygara u lamp przed nią stojących. Sufler którego budka wcale przed publicznością nie zakrywa, wraz z orkiestrą puszczał dym cygarowy. Dość, że w teatrze Ciniselli panowała nieograniczona swoboda. Każdy robi co mu się podoba. Śpiewacy popisywali się swym głosem. Publiczność o nic się nietroszcząc rozmawiała, a gwar się ciągły rozchodził. Kiedy jednak ulubiona Cabaletta przypadła, nagła cisza zaległa teatr, wszyscy z wstrzymanym prawie oddechem, słuchali muzycznego utworu z największym namysłem; a po ukończeniu znowu rozpoczęły się

gwar i rozmowy po dawnemu. „Śpiewacy byli zdolni. Tenor i bariton pięknym obdarzeni głosem i odznaczający się wyższą szkołą. Jednak publiczność nie mogła znosić żadnego przymusu, i zawsze bawiła się po swojemu.“

— Ciekawém jest rozwijanie się dziennikarstwa peryodycznego w Królestwie Węgierskiém. Według dziennika urzędowego: Posta Közlöny (Monitor pocztowy) w granicach korony Ś-go Stefana, rozchodzi się na rok bieżący następująca ilość egzemplarzy:

I tak: w języku węgierskim wychodzi 16 wielkich politycznych dzienników, z których dwa wychodzi dwa razy dziennie, 106 dzienników tygodniowych, 53 przeglądów miesięcznych, razem 175, które prócz miasta Pesztu liczą 136,700 prenumeratorów pocztowych. W mieście zaś Peszcie niepodobna skontrolować egzemplarzy, których najmniéj połowa téj liczby rozchodzi się w języku niemieckim. W Węgrzech drukuje się 15 dzienników codziennych, 60 tygodniowych i 8 przeglądów miesięcznych, razem 85. Prenumeratorów pocztowych 97,800. W językach słowiańskich w samém Królestwie Węgierskiém wychodzą: 2 dzienniki codzienne, 31 tygodniowe, 12 przeglądów mies. razem 45; prenumeratorów pocztowych 30,950. W języku rumuńskim w Węgrzech i Siedmiogrodzie 11 dzienników. Prenumeratorów pocztowych 7,800. W włoskim języku 3 dzienniki, 2,200 prenumeratorów pocztowych. W łacińskim języku wychodzi w Budzie dzienniczek: „Fasciculi ecclesiastici“ który bardzo małą liczbę ma prenumeratorów. Tak więc wychodzi razem w sześciu językach 321 dzienników, które liczą prenumeratorów pocztowych 275,450 a prócz tego prawie drugie tyle prenumeratorów przez księgarzy i w miejscu, tak że całkowita ilość wynosi najmniéj 400,000 prenumeratorów.

— W bibliotece gdańskiéj mają się znajdować rękopisma po Antonim z Galatiny, zwanym zwykle Antonius de Ferrariis Galateus. Niewiadomo jakim się tam dostały sposobem i jakiéj są treści. Antoni zmarły r. 1517 w Lecce, był filozofem, poetą, ziemiopisem i lekarzem włoskim.

— P. Izydor Szaraniewicz wydał w języku niemieckim, krytyczne poglądy na historyą narodów karpackich w starożytności i w średnich wiekach.

— U Czajkowskiego i Seyfahrta we Lwowie, wyszły: Sielanki Ziemianina Polskiego przez Dom. Mieczkowskiego.

— Najważniejszą zasługą Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie jest wydawnictwo czasopisma p. n.: „Szkoła“ które z po-

wodu przystępnéj ceny, rozchodzi się w znacznéj liczbie egzemplarzy.

— Zakład imienia Ossolińskich zajmuje się wydawaniem starożytnych pomników piśmiennych. Pierwszy taki pomnik: „Biblia szaroszpatacka“ wyjdzie jeszcze w tym roku. Druk ukończony, brak tylko facsimiliów, które w tych dniach nadejdą z Wiednia. Za wstęp stanowić będzie rozprawa Małeckiego o tym starożytnym pomniku. W tym roku wyjdzie także pierwszy tom literatury polskiéj Antoniego Małeckiego. Dzieło to składać się będzie z kilku tomów.

— W Toruniu u Rakiewicza p. n.: *Ochronka buchwaldzka* wyszła instrukcya do zakładania, utrzymania i prowadzenia tanich ochronek ludowych, wypracowana dla dziewcząt polskich, przez Helenę Dominirską.

— Danilo Medić przełożył na język serbski Konrada Wallenroda Mickiewicza. Przekład ten ma wyjść w Nowym Sadzie drukiem Subbotticza.

† Dnia 4 sierpnia r. b. umarł w powiecie Błońskim, gubernii Warszawskiéj, we wsi Żołwinie własności swéj Eustachy Marylski w 68 roku życia, pochowany w Brwinowie w rodzinnym grobie. Członek Towarzystwa Geograficznego Paryzkiego znanym jest z prac literackich: „Wspomnienia zgonu zasłużonych w narodzie Polaków". Warszawa 1829 r. „Pomniki i mogiły Polaków na cmentarzach zagranicznych" (z rycinami). Warszawa 1860 w 4-ce. Jestto jakby dalszy ciąg dzieła trzytomowego K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą" i dlatego autor dał mu ten sam w czwórce format. Swoim kosztem wystawił w kościele Ś-go Józefa Opieki (dawny Wizytek) posąg (dłuta Władysława Oleszczyńskiego) Kazimierza Brodzińskiego.

† Zakończył życie w tych czasach w Paryżu *Jan Lewicki* illustrator Pamiętników Paska, kostiumów ludu naszego i albumu facecyj, w którym obok *Panie kochanku*, przedstawił zwolennika Towiańszczyzny. Długi czas bawił zagranicą, za powrotem do kraju, po śmierci *Piwarskiego*, który był pierwszym dyrektorem części artystycznéj w *Tygodniku Illustrowanym*, objął po nim to kierownictwo. Po paru latach, gdy nie miał powodzenia w zakładzie swoim fotograficznym, opuścił kraj i na obcéj ziemi grób znalazł. Jako artysta niepośledni to był talent. Illustracye do Paska, są dla nas szczególniéj cenne.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.
Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 17 Августа 1871 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1871.

Archeologia.

Stron.

O grobie Dąbrówki w Gnieźnie. (Szczegóły udzielone przez prof. J. Łepkowskiego)..... 39

Materyały historyczne.

Jan Czarnkowski i jego kronika, przez *Ludwika Kubalę*..... 340

Starożytności.

Osady przedhistoryczne na gruntach dawnego Starostwa Gulczewskiego pod Płockiem, w dobrach generała Bontemps..... 102

Kopiec na łące Wilkanowskiéj należącéj do wsi Nakwasina, w ziemi Wyszogrodzkiéj..... 103

O podsusidkach, przez *K. P.*..... 105

Życiorysy.

Stron.

Franciszek Salezy Dmochowski, przez *K. Wł. Wójcickiego*..... 433

Literatura krajowa.

Wiek Jana Kazimierza w głównych przedstawcach piśmiennych. I. Szymon Starowolski, przez *A. Tyszyńskiego*..... 55

Literatura powszechna.

O moralności legend dramatycznych w Grecyi. (Z M. Eggera), przez *J. P.* 44

Literatura angielska. Z H. Taina, przez *Edwarda Lubowskiego*..... 366

Powieść.

Człowiek bez jutra. Powieść przez *Jana Zacharyasiewicza*..... 1, 157, 309

Nauki przyrodnicze.

O porach roku w naszym klimacie i o ważności narodowych przysłów meteorologicznych, przez *Wł. Witkowskiego*. (Z rysunkiem)..... 204

Przemysł.

O żegludze parowéj, jéj odkryciu, rozwoju, zastosowaniach, pożytkach i znaczeniu, przez *Felixa Kucharzewskiego*..... 232

Kroniki zagraniczne.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna.

Dzisiejszy stan Francyi.— *To by or not to by.*—Żywioły składające narodowość, społeczeństwo, cywilizacyą i Państwo francuzkie, — według Emila Chasles. — Podbój Cezara. — Potęga Druidów.— Gaj marsylski z Farsali Lukana. — Przeradzanie się Gallów w Gallo-Rzymian. — Korneliusz Gallus. — Petroniusz. — Narada Gallów

Stron.

w Reims. — Wpływ idei chrześciańskiéj. — Lyon.— Poeta Laktancyusz. — Hymn żałobny nad Rzymem: *Dies Irae.* — Poeta Pantiliusz; jego poemat: Odjazd z Rzymu do ojczyzny.— Sydoniusz: obraz ludów barbarzyńskich. — Salwian: Skargi na lekkomyślność Trewizanów. — Frankowie. — Chlodwig. — Poeta Avitus, poprzednik Miltona: Raj zatracony. — Fortunat. — Żale Radegundy. — Porównanie jéj z połocką Goryslawą. — Grzegorz z Tours: jego kronika. Wpływ matki. Barbarzyńska łacina. — Pierwszy brzask literatury ludowéj.— Gallo Frankowie. — Dwuwiekowy pomrok. — Znaczenie Legendy.— Karol Wielki.— Szkoły.— Alkuin.— Obraz Karola Wielkiego z Eginharda.— Wojny domowe.— Chaos.— Skargi poetów po obu stronach Renu. — Wyrób narodowości francuzkiéj. — Pierwsze jéj objawy:—Krucyaty..... 73

Odmęt we Francyi.— Reakcya.— Zwrot do historyi.— Szkoła metryk państwa.— Muzeum archiwów francuzkich.— Ocalone pomniki przeszłości.— Papyrusy i pargaminy. — Akta konwencyi. — Blankiet na 37 ofiar.— Pismo Napoleona I. — Prace Akademii Nauk.— Aerostacya.— Balon z kierownikiem.— Słowa Gambetty.— Członkowie akademii ofiary ostatnich nieszczęść: Dr. Longuet, Payen, generał Niobert.— „Trzeba nam się odrodzić“.— List Dumasa syna.— Przegląd nowych publikacyj.— „Siedmdziesiąt trzy dni komuny“.— „Drugie oblężenie Paryża“ L. Hansa.— „Paryż pod komuną“ pana Boriac. — „Pernetta“ poemat Laprada. — Ballada Forezka. — Zapomniany obchód urodzin Kornela. — Juliusz Janin. — Ocenienie Pompejusza.— Krytyk i Poeta.—Kornel w przekładach polskich i na scenie warszawskiéj..... 251

Pogląd na wypadki 18 marca: prelekcya professora Franka w kollegium francuzkiém.—Pamiętnik z czasów komuny przez Catulle Mendes.— Obraz Paryża: Złudzenia. Pierwsze strzały. Wojna domowa.— Spalenie gilotyny przy pomniku Woltera. Kobiety amazonki. — Siostrzyczki ubogich. — Huk bomb i huk młotów. — Dom Thiersa. Kaplica expiacyjna Burbonów. Malarz Gustaw Courbet. Kolumna Vendome. Oda Wiktora Hugo. Pięciodniowa walka uliczna.—Paryż gore! Poeci w obec komuny.— Lecomte de Lille autor Kaina.— Wiktor Hugo. Odezwa jego z roku 1848. —Poezya: *Wykrzyk.* Franciszek Coppee. *Dość już krwi. Przechadzki moje.* Poranki dramatyczne w teatrze francuzkim. Modlitwa. Ruiny Paryża w Bostonie. Ostrożnie z ogniem. Nowe publikacye..... 403

Pismiennictwo krajowe i zagraniczne.

Przegląd powieści z 1870 r. Przez *P. Ch.*..... 108

Archiwum Południowo-Zachodniéj Rossyi, wydawane przez Komissyę czasową do rozbioru akt dawnych. Czast piataja. Akty o gorodach. (Kiow. 1869). Przez *K. P.*.... 131

Stron.

O dobrach koronnych byłéj Rzeczypospolitéj Polskiéj, według źródeł wiarogodnych skreślił Kornel Czemeryński Koncypista przy c. k. krajowéj dyrekcyi skarbu. W dwóch działach. Lwów. 1870. Przez *F. Z.* 281

Przekłady Horacego. Przez *P. Chmielowskiego* 285

Aktorka, powieść Edw. Lubowskiego. Warszawa. 1871. Przez *X.* 299

Przegląd utworów dramatycznych z r. 1870. Przez *Piotra Chmielowskiego*.. 445

Deutsche Volkslieder aus Kärnten. (Pieśni ludowe niemieckie z Karyntyi) zebrali Dr. V. Pogatschnigg i Dr. Em. Herrmann. Tom I. Pieśni miłosne. Graz. 1869. Tom II. Pieśni różnéj treści. Graz. 1870. Przez *O. K.* 464

Sprawozdanie redakcyi Bibliotcki Warszawskiéj z funduszu stypendyalnego ś. p. M. Konarskiego 136

Wiadomości literackie 150, 304, 466

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.